

# INVOCATO

Agnieszka Tomaszewska

# Prolog

Ciche kroki odbijały się od marmurowych i kamiennych płyt nagrobnych. Alejki krzyżowały się ze sobą prostopadłymi szarymi liniami. Cmentarz, niemal opustoszały o tej porze dnia, był cichym azylem starej dzielnicy miasta. Porośnięty wysokimi drzewami, z daleka wyglądał jak park i ciągnął się aż do torów i stacji na rogatkach.

Ktoś wygarniał lichą miotłą pierwsze jesienne liście zza starego krzyża, na którym dumnie wisiał posrebrzany Bóg. Bóg, w którego ona nigdy nie wierzyła, bo nie miała czasu, by się nad nim zastanowić. Nie modliła się, bo nie był władzą wykonawczą w jej świecie. Nie był alfą i omegą. Nie stanowił przykładu, nie był antybohaterem. Nawet teraz, gdy nie miała już przy sobie nikogo bliskiego ani też nawet zaprzyjaźnionego wroga, nie potrzebowała go do lamentu, płaczu czy pretensji o zły los i spieprzone życie. Po prostu nic jej nie obchodził byt nadprzyrodzony, który teraz gapił się na nią z każdego krzyża w morzu krzyży.

Ustawiła kwiaty w wazonie i uklepała gliniastą ziemię pod nogami. Grób był świeży i kopiec rozmywał się od deszczu. Zapaliła znicz i usiadła na ławeczce wkopanej przy sąsiednim nagrobku. Często zastygała w tej pozie i trwała tak godzinami. Nawet lubiła to uczucie tępoty i wyciszenia. Zaczynała rozumieć medytujących mnichów. Świetny sposób spędzania życia. Włączasz tumiwizizm i znikasz z rzeczywistości, a panowie w białych kitlach nie przypinają cię do łóżka, taki jesteś zrelaksowany.

- Nie jest ci zimno? - spytał jakiś szczerze nieobojętny głos.

Odwrociła się w jego stronę i odruchowo uśmiechnęła. To był stary dozorca. Widywała go codziennie od trzech miesięcy, od pogrzebu. Na głowie obszarpana mycka w kratkę, na szyi czerwona apaszka, wywinęta nonszalancko i zawadiacko. Tweedowa marynarka i podwinięte nieco nogawki spodni. Opierał się o rozczochraną miotłę z gałęzi, swoje narzędzie pracy, którym przeganiał ptaki i chuliganów popijających wino w starych kapliczkach. W zmęczonych oczach połyskiwał w słońcu ognik dawnej młodości, więc wyglądał jak młokos, tylko że starszy o jakieś pięćdziesiąt lat.

- Siedzisz tu już trzecią godzinę.
- Nie mam nic lepszego do roboty.
- Ach tak - wysapał. - Szczęściara.

Usiadł kilka grobów dalej, na ławce z oparciem, i wyciągnął kanapki z wewnętrznej kieszeni śmiesznego uniformu.

- To ja też zrobię sobie przerwę.

Chwilę ciamkał w ciszy, potem, sądząc z dźwięków, jakie do niej docierały, popił solidnie. Nie wiedziała, dlaczego wypadło jej to z ust. To było tak naturalne, jakby pytała samą siebie.

- Dlaczego oni to robią?

Usłyszał to wyraźnie. Patrzyła na niego spokojnie i żarliwie. Rozejrzał się dokoła, jakby przyparty do muru, bo znał setki odpowiedzi, ale żadna by jej nie zadowoliła. Siedzieli w sektorze H 11, pod samym murem w kącie cmentarza. W sektorze samobójców. Wiatr cicho poruszał koronami drzew, ostatnie słońce tej jesieni migotało w ciszy na szarych marmurach, na imionach i nazwiskach, na datach, na epitafiach, które bez sensu opisywały ludzi i wydarzenie samego zejścia ze świata.

Podrapał się po policzku z brodawką.

- Mówią, że samobójstwo to ostatnia i jedyna odwaga tchórza - mruknął.
- To nie jest odpowiedź.
- Każdy jest inny i ilu tu ich leży, tyle byłoby odpowiedzi na twoje pytanie.
- Może to i prawda, ale ja chcę wiedzieć, dlaczego akurat ten to zrobił.

W jej głosie było tyle samo spokoju, co pasji i gniewu. Tyle samo bólu i strachu, co hardości, i odwagi.

- Wiesz, przypomniało mi się coś. - Uśmiechnął się pod nosem, jakby uradowany z tego, co miał jej powiedzieć.

Odczekał jeszcze kilka chwil i spojrzał gdzieś nad korony starych skrzypiących drzew.

- Słyszałem kiedyś historię o Mieście Samobójców. Kojarzysz?

Pokręciła głową, że nie.

- To bardzo dziwne miejsce. Jeśli samobójca ma szczęście, zostaje uratowany i trafia właśnie tam.

- Uratowany? Przed czym?

- A bo ja wiem, co ich tam czeka? - Wzruszył ramionami. - W każdym razie jeśli tam trafi, to ma szansę żyć w tym mieście jeszcze raz.

- Mówisz mi, że jeśli i ja założę sobie stryczek, to przy odrobinie szczęścia będę miała szansę zapytać go osobiście, czemu był takim idiotą?

- Bystra jesteś - rzucił ze śmiechem dziadek.

- Odpada. Ja nie jestem z tych ostatecznie odważnych. Jest inny sposób?

Znowu się zaśmiał i niemal wziął pod boki.

- Z diabłem ci kontrakt spisować, dziewczyno. Jest. Jest jeszcze jeden sposób.

- Jaki?

Jej oczy płonęły. Żarliwie pragnęła odpowiedzi.

- Musisz się pomodlić.

Cisza.

- Modliłaś się kiedyś?

- Nie.

- Jesteś wierząca?

- Jestem ochrzczona, ale na to nie miałam wpływu. Nie modlę się, bo nie ma w moim życiu nikogo wartego modlitwy.

- Już nie ma. Ale to może nawet lepiej, że to twój pierwszy raz - zmienił temat. - Bo to inna modlitwa. Nie paciorek przed snem i nie nabożne jęki dewot.

- To jaka ma być ta inwokacja?

Dziadek znieruchomiał na moment.

- Ładnie to nazwałaś. Dziś już nikt nie używa tego słowa.

Przyjrzał się jej raz jeszcze. Pokiwał głową, ostatecznie przekonując siebie, że postępuje słusznie.

- Musisz ją ułożyć sama. Wszystko ma być w niej szczerze, wszystko przemyślane, wszystko z serca. No i musisz być pewna, że tego chcesz. Naprawdę pewna, że chcesz znać odpowiedź.

- To wszystko?

- Tak, chyba tak.

- Więc do zobaczenia. Idę napisać inwokację o przyjęcie do Miasta Samobójców.

Zaskoczyła go. Nie zdążył jej nawet odkrzyknąć. Siedział chwilę osłupiały, potem oparł się wygodnie o łuszczącą się z farby ławkę i podrapał pod apaszką, gdzie uciął go komar. I po wyraźnym śladzie duszenia, który zachodził mu wysoko na kark szeroką siną pręgą.

- Kto wie. Może się jeszcze zobaczymy. - Uśmiechnął się i wsparłszy o miotłę, podniósł się z ławki.

Mieszkała na najwyższym piętrze przedwojennej kamienicy. Przy wejściu na klatkę schodową trzeba było wstrzymać oddech, bo jak zwykle w sobotę sąsiadka z parteru lizolem zmywała obszczywane przez pijaczków deski podłogi. Tym razem też nie pożałowała i niemal szczypało w oczy. Trzeba było jednak przyznać, że szczury wyniosły się z piwnicy, odkąd wytoczyła to działo w walce ze smrodem i brudem.

Wdrapała się po wysokich schodach. Przełożyła siatkę w drugą rękę i sprawdziła, czy palma, która stała między drzwiami jej i sąsiadki, ma wystarczająco mokrą ziemię. Pokręciła klucz i stary zamek szczęknął znajomo. W środku było jasno. Jeden duży pokój łączony blatem z kuchnią. Dwa okna, białe firanki, zasłonki w kwiatki. Białe ściany. Skromnie, ale czysto. Rozłożona sofa, na której spała, przykryta szarą kapą. Telewizor pomiędzy oknami. Stoliczek, dwa niewielkie fotele. Na blacie, pod którym stały dwa wysokie taborety, leżała kartka i ołówek. Odstawiła siatkę i dopisała jeszcze kilka

zdań, a potem odłożyła ołówek i poszła do ciasnej łazienki. Odkręciła kurek i zatkała wannę. Wszystko robiła jak w transie. Pieniła szampon na włosach, potem je suszyła, zjadła kolację przy jakimś durnym teleturnieju, posprzątała po sobie. Tylko jedną rzecz zrobiła świadomie. Włożyła kurtkę i buty i położyła się z tą kartką w ciemności pokoju. Nieruchomo, gapiąc się w okno. Kiedy zrobiło się jasno, zapłakała cicho. Ludzie często myślą, że nie mają już siły płakać i łzy zaskakują ich w najmniej oczekiwanych momentach. Tekst na kartce rozmazał się. Potem było już lepiej i zaciskając pięść na szarej kapie, czytała słowo po słowie. Zasnęła chwilę później, zmęczona kolejną nieprzespaną nocą i kolejnym płaczem do świtu.

Słońce powoli zalało pokój. Na telewizorze spokojnie osiadał kurz. W głębi dudnił w ciszy zegar ścienny. Podmuch lekkiego wiatru wpadł przez okno i poderwał do lotu firanek. Kartka, która leżała na łóżku, zsunęła się bezszelestnie i opadła na podłogę. Kolejny podmuch wsunął ją delikatnie pod komodę w przedpokoju. Na szarej, zmiętej kapie pozostał jedynie odcisnięty ślad sylwetki. Na łóżku nie było nikogo.

## *Miasto*

Policzek miała niemiłosiernie obolały. Roztarła go sennym gestem i ziewnęła słabo. Wszystko ją bolało. Sądząc po słońcu, zasnęła i wystraszona tym faktem zerwała się na równe nogi. Świat zawirował. Machnęła odruchowo rękami do tyłu, łowiąc powietrze i próbując utrzymać równowagę. Słońce było co najmniej na jedenastej, niebo lekko zachmurzone, wiatr dość silny. Jak na statku, kiedy czuje się pęd. A ona stała na krawędzi wysokiego budynku i patrzyła na wieże innych budynków. Na strzeliste anteny, które połyskiwały w słońcu niczym sztywny las. Budynki oplecione były do samej ziemi grubą kratownicą ze stali. Rdzawe zacieki na ścianach wyglądały niczym krwawe ślady od wbitych w mur prętów. Przetarła oczy. Stała na dachu pośród wielu takich anten i patrzyła na inne wyglądające identycznie. Nie była nigdy w podobnym miejscu. Nigdy nie oglądała programu ani nie czytała książki o czymś takim. Wyglądało jak budowane na raty. Część piętér z czerwonej cegły, część z betonowych bloków albo z pustaków, których pokaleczone krawędzie porósł mech. Nieotynkowane, szare, brudne i smutne. W bezkształtnym monumencie naprzeciwko ktoś chyba z żalu za pięknem wmurował kamienne rzygacze, których rozszerzone paszcze służyły za gniazda ptakom.

Odważyła się spojrzeć w dół. Ulica pod nią tętniła życiem. Nie widziała wielu aut. Z rzeki małych punktów wyłowiała riksę i dwa rowery. Poza tym po prostu masę ludzi w wąskiej wstążce bez wyraźnej jezdni czy chodnika. Coś było nie tak. Nie było tam sklepów, domów handlowych czy kawiarni. Złapała się za głowę i chwytając łąpczywie każdy następny oddech, rozglądała się dalej. Nie było szyldów, neonów, billboardów. Ani jednego drzewa, trawnika czy skweru. Gdzie okiem sięgnąć dzieło budowlanego Frankensteina.

Poczuła zimny dotyk na karku. W jednej chwili zastygła w bezruchu. Delikatnie, ale stanowczo ktoś wymusił, by pochyliła lekko głowę.

W jej dzielnicy używano raczej prehistorii. Kastetu, pały, metalowej rurki czy też staroświeckiego, wdzięcznego tulipana. Kradli tam wszystko, co dało się upłynnić na bazarze. Każdy tłukł się z każdym i nikogo to nie dziwiło. Ale to, co przyłożono jej do karku, wymagało od atakującego jedynie kiwnięcia palcem. Na chwilę zapomniała o oddechu.

- Ani drgnij - powiedział męski głos.

Nie posłuchała. Złapała się za uszy i pisnęła cicho.

- Mówiłem, żebyś się nie ruszała - ponaglił ją.

Jęknęła z wyraźnym bólem. Mówił w języku nieprzypominającym jej żadnego, który kiedykolwiek słyszała. W głowie ten język brzmiał jak jej własny. Tłumaczyła go automatycznie i to powodowało ból. Ogromny, tępy ból.

- Odwróć się powoli.

Zatrzęsła się i niemal popłakała.

- Dobrze. Zrobię wszystko - wykrztusiła z siebie.

- - Tylko niech pan już nic nie mówi. Niech pan nic nie mówi, bo rozerwie mi czaszkę.

Odwróciła się powoli i spozjrzała na lufę, która ocierała się o jej włosy, a teraz utkwiała między oczami. Ręka, która ją trzymała, była zdecydowana i silna. Czarny kombinezon, wojskowe buty, podwinięte rękawy, dziwny order lub odznaczenie na piersi. Stał ciężkimi butami na kracie, na której przed chwilą spała, a pod jego nogami leżała jej czapka. Uniosła oczy do góry. Biała skóra, zacięte wąskie wargi, mleczone włosy spięte w lichą kitkę. Miał coś koło pięćdziesiątki. Taksował ją jasnym spojrzeniem spod niemal mleczych rzęs. Oddychał spokojnie i był pewny przewagi. Stali tak przez chwilę.

- Jak się tu znalazłaś?

Pisnęła i zamknęła oczy, a gdy je ponownie otworzyła, stał w takiej samej pozycji, równie spokojnie patrząc w jej oczy. Czekał na odpowiedź.

- Przez inwokację - wyszeptwała.

Unióś lekko brodę i spojrział na nią spod zmrużonych powiek, doszukując się bezczelnej intrygi lub kłamstwa. Zadzwonił telefon i odruchowo odchyliła się do tyłu. Długa srebrna lufa podążyła za nią. Serce biło jej jak oszalałe. Nikt nigdy nie celował do niej z pistoletu. Powoli miękły jej kolana.

Mężczyzna wyciągnął telefon wolną ręką z kieszeni na piersi. Ona sama nigdy nie miała komórki. Nie miała do kogo dzwonić, więc jej sobie nie kupiła. Ale ta była inna. Prosta, czarna i matowa. Rozsunęła się w jego palcach z dziwnym metalicznym dźwiękiem, jakby obie części poruszały się po szynach. Była szeroka i wydawała się ciężka i solidna. Nad białym jak śnieg wyświetlaczem mignął srebrny symbol, taki sam, jaki miał na piersi. Zaciśnęła dłoń na uszach z całych sił, ale i tak usłyszała rozmowę.

- Tu Stacja Kontroli 00. Namierzaliśmy pana, kapitanie. Zgłoszono kod czerwony. Czy wysłać posiłki? - zgrzytnęło w dziwnym telefonie.

Nie spuścił z niej jasnego, przenikliwego spojrzenia.

- Nie. To fałszywy alarm - odpowiedział.

- Co spowodowało anomalię?

Chwila ciszy.

- Kapitanie? Słyszysz mnie pan? Co mam wpisać w raporcie? - ponaglał, choć niezwykle delikatnie, głos w aparacie.

- Właśnie na to patrzę. Chyba zdechł tu pies i zleciały się ptaki.

- Czy dobrze zrozumiałem, kapitanie? Mam wpisać, że zdechły pies wywołał anomalię?

Kapitan objechał ją spojrzeniem od góry do dołu i na jego twarzy pojawił się cień bladego uśmiechu.

- To był duży pies, więc zleciało się dużo ptaków. Wpiszcie, że to owczarek lub bernardyn.

- Kapitanie, z całym szacunkiem, ale nie złożę podpisu pod tym raportem - odpowiedział, jękając się głos w słuchawce.

- To połóżcie go na moim biurku. Sam podpiszę, kiedy wrócę - polecił stanowczym głosem.

- Tak zrobię. Bez odbioru.

Odsunęła ręce od głowy i opadły wzdłuż ciała wycieńczone zaciskaniem aż do bólu. Pociągnęła nosem i otarła łzy. Kapitan oderwał lufę od jej czoła i włożył pistolet do kabury, którą miał wszytą w nogawkę kombinezonu. Schylił się i podał jej czapkę. Chwilę zastanawiał się, co zrobić. Gestem dłoni nakazał jej pozostać na miejscu. Odsunął się na kilka metrów i odwrócił bokiem. Surowy profil zdradzał lata doświadczenia. Wyciągnął telefon i przycisnął tylko jeden przycisk. Nie usłyszała, bo szeptał coś do pancernego aparatu. Długo słuchał rozmówcy i znowu telefon złożył się metalicznym trzaskiem, który sprawiał wrażenie, że może uciąć palce przy nieostrożnej obsłudze. Potem podszedł do klapy gdzieś między kratowiskiem i odrzucił ją z hukiem. Gestem palców przywołał ją do siebie. Chwilę trwało, nim zdecydowała się postawić pierwszy krok. Podeszła na sztywnych nogach, słysząc głucho echo swoich własnych kroków. Wszedł na wąskie stopnie schodów przeciwpożarowych i wyciągnął do niej rękę. Bała się tak bardzo, że niemal usłyszała, jak przełyka ślinę. Wysunęła powoli dłoń i widział, że drży. Jego uścisk był silny i ciepły. Postawiła stopę, potem drugą i chwyciła się metalowej bariery.

Jeśli to tylko możliwe, chciałabym dojść tam, gdzie mnie pan prowadzi, w ciszy Rozumiem, co pan mówi. - Drgnęła ze strachu. - Ale wolałabym nie słyszeć nikogo. Czy to możliwe?

Odwróciła się i prosiła zaczerwienionymi od łez oczami. Skinął głową, że się zgadza, i po chwili usłyszała, jak zeskakuje z ostatnich stopni. Było wysoko i machnął do niej, by skoczyła, a on ją złapie. Po chwili postawił ją i kazał iść przodem, w dół po schodach.

Szli ciągle w dół i w dół. Słyszała, jak stawia kroki tuż za nią. Mijali piętra. Każde kolejne podobne do poprzedniego. Szare. Nijakie. Oświetlone jak fabryki albo piwnice, nie jak domy. Rząd funkcjonalnych jajowatych lamp nie dodawał im uroku. Budynek był chyba opuszczony, bo nie słyszała nikogo i niczego prócz swoich drobnych kroków i tych miarowych, wojskowych za sobą. Gdy poczuła chłodniejsze powietrze, byli już w piwnicy i białowłose kapitan nieznannej jej armii, otworzył przed nią wielkie metalowe drzwi. Mruknęły groźnie. Zawahała się przed wejściem. Mężczyzna zaczekał na jej pierwszy krok. Tym razem poszedł przodem i prowadził ją za rękę. Drugą trzymał latarkę. Kierował się napisami na ścianach. Namazane farbą fluorescencyjną z daleka gryzły ciemność. Nie rozpoznała liter. Nie był to alfabet, jaki znała. Nic podobnego do arabskich zwięzłych szlaczków czy chińskich domków. Raczej kreski i linie. Proste geometryczne kształty. Szli tak ponad godzinę. Słyszała czasami wodę w rurach, które gdzieś tam mijali, oraz dźwięki kroków i ruchu ulicznego, gdy przechodzili wąskimi przesmykami z piwnicy do piwnicy. Wszystkie były do siebie podobne. Wszystkie ciemne i zimne. Tylko dłoń kapitana była niezmiennie ciepła i twarda.

W końcu wydostali się na powierzchnię przez takie same wielkie metalowe drzwi. Na nich też widniał napis. Weszli na piętro i pięli się w górę. Przez moment miała wrażenie, że zatoczyli koło i znaleźli się w tym samym miejscu co na początku. Wszystko było niemal identyczne jak w poprzednim budynku. W końcu wyszli z wąskiej klatki schodowej i stanęli przed drzwiami z drewna. Otworzył je. W pomieszczeniu było widno. Czekał. Spojrzała w jasne oczy po raz ostatni i weszła do środka. Kapitan zamknął za nią drzwi i podszedł do okna na końcu długiego korytarza. Wsadził rękę w kieszenie i usiadł na szerokim parapecie. Rozejrzył się, po okolicy. Z góry wyglądało to jak szara makieta więzienia

- zaostrzonym rygorze. Z nudów popatrzył na zegarek, na którym było kilka mniejszych tarcz. Odwrócił go w palcach
- spojrzął na drugą, identycznie usianą mniejszymi tarczami stroną. Były podpisane niemal każdym większym miastem świata. Odetchnął głęboko.
- Zapowiada się ciekawy tydzień - powiedział do siebie.

Wylądowali w polu wysokiej trawy o pięknych, smukłych źdźbłach. Obmacała ręce i głowę. Czapkę nacisnęła głębiej na oczy. Oślepiło ją wschodzące słońce. Kapitan zaśmiał się ciepło, choć formalnie.

- Nazywamy to portalem z braku lepszego słowa. Choć ludzkość za jakiś czas wymyśli pewnie coś innego, by określić takie przejście - urwał na chwilę. - Już się nie łapię za uszy. Czy Mnisi pomogli?

- Tak. Dziękuję - odpowiedziała.

- Tak więc to, co nas tu przywiodło, to portal. Technicy ustawiają koordynaty i lądujemy na... - rozejrzył się wokół - .. łące na przykład.

Uśmiechnęła się blado.

- Co powiedzieli ci Mnisi?

- Że dobrze trafiłam.

Butne, spokojne spojrzenie. Niecierpliwe i sprytne. Niespełna kilka godzin temu znalazł ją na dachu i przemycił piwnicami do pokoju Mnichów, a oni powierzyli ją jemu. Tylko po co?

- Trafiłaś najgorzej jak mogłaś.

- Adres się zgadza - zaprotestowała szybko.

Co nie znaczy, że powinnaś się z tego cieszyć. Trafiłaś do jednego z trzech Miast. My jesteśmy od samobójców. Inne jest od tych, którzy nie są świadomi własnej śmierci i błąkają się bez celu w świecie żywych. Jeszcze inne skupia się wyłącznie na walce.

- Walce z czym?
- Z demonami.
- Z szatanem? - wydukała.

To było chyba jedyne, co wywołało u niej reakcję inną niż strach.

- Nie znam gościa. A przynajmniej nie gra w naszej drużynie - zażartował sztywno kapitan.
- Szkoda. Zbieram wpisy do pamiętnika. Fajnie byłoby mieć parafkę kogoś znanego.

Nie tego się spodziewał. Trzęsie się ze strachu. Ledwo kontaktuje, a wciąż myśli jasno i potrafi być bezczelna.

- Jesteście aniołami czy kimś takim?
- Raczej kimś takim. My po prostu zabijamy demony, które żerują bądź zmuszają dusze do samobójstwa.
- Jak to żerują? - Szept.
- Dosłownie.
- Dużo jest takich dusz?
- Tysiące.
- A gdzie trafiają ci uratowani?

Przejrzał ją. Cała rozmowa po to, by zadać to jedno pytanie.

- Nasze Miasto łączy się portalem z miejscem, które przypomina twój świat. Wszystkie uratowane dusze lądują właśnie tam. My jesteśmy żołnierzami, można powiedzieć. Mieszkamy w Mieście. Oni muszą żyć tam.

- Dlaczego użył pan słowa „muszą”?

- Bo tylko jeden na dziesięciu nieszczęśników poprzestaje na jednej śmierci. Ludzie chcą odchodzić ponownie i tu jest haczyk. Tu się nie umiera taką śmiercią. Tu się musi przeżyć swój bardzo, bardzo długi czas. Ze wszystkimi wspomnieniami, z tęsknotami, z głupotą, z nietolerancją. Tu wszyscy mówią jednym językiem.

Odczekał chwilę, by to do niej dotarło.

- Nikt tu nie jest wyjątkowy w tym, co zrobił. Każdy powód do samobójczej śmierci jest czymś normalnym. Tu jeden samobójca nic nie znaczy, bo jest w masie takich samych jak on. Muszą żyć obok siebie, a to najczęściej egocentrycy, którzy do tej pory uważali swój problem za najważniejszy na świecie, więc nie jest to łatwe.

Obracała w palcach źdźbło trawy. Słuchała i analizowała w milczeniu.

- Takie samo, a raczej podobne Miasto mają ci od dusz zagubionych. Nie ma jakiegoś szczególnego imienia bądź nazwy. Tak samo jak to, które widziałaś, jest oddzielone od świata, gdzie trafiają uratowani przed głodnym demonem. A one są zawsze głodne, więc mamy sporo roboty. Z tą tylko małą różnicą, że gdy dusza jest już gotowa odejść, po prostu odchodzi do lepszego świata i znika. W sumie to dobrze, bo nie wystarczyłoby miejsca dla setek dziennie. Rekord od chwili przejścia do odejścia to miesiąc.

- A gdzie jest ten lepszy świat?

- Nie mam pojęcia i tobie też radzę się nad tym nie zastanawiać. Wierz mi, nie dojdiesz do żadnej konkluzji, z wyjątkiem takiej, że pytanie jest bez sensu.

Odetchnął i po chwili mówił dalej:

- Trzecie Miasto jest po prostu miejscem, w którym mieszkają najlepsi wojownicy. Zabijają demony. Codziennie, całodobowo, siedem dni w tygodniu. Wszystkie te... - szukał słowa - ..miejsca były kiedyś jednym, ale pojawiły się pewne problemy, więc je rozdzielono.

- Jakie problemy?

Ludzi przybywa - to pierwszy. Co za tym idzie, więcej jest wojen i konfliktów, a to wymaga częstszych interwencji z naszej strony. Miasto musi być przynajmniej nad danym kontynentem, żebyśmy się mogli szybko teleportować. W tym fachu liczą się ułamki sekund. Śmierć nie lubi odwlekania w czasie swojej roboty. Tak więc podzielono ludzi i ich misje na trzy części. Mówiłem, że trafiłaś najgorzej, bo nasze Miasto jest najmniejsze, najslabiej dofinansowane i co tu dużo mówić, najbrzydsze.

- Od kiedy to pogromcom demonów potrzebne są pieniądze? Nie używacie wody święconej i krucyfiksu?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. A może przy okazji uświadomić ją, że zębowa wróżka to ścierna?

- Od kiedy w 1857 Smith & Wesson weszli w spółkę.

Wyciągnął z kieszeni broń. Widział, jak przełknęła ślinę.

Wyłuskał kulę z magazynku i podał ją jej. Były na niej wyryte małe litery ich alfabetu. Połyskiwały jak rozżarzone, ale nie były gorące.

- Czosnek, krucyfiksy i inne gadżety w tej walce są nieskuteczne, chyba że trafisz delikwenta w oko. Musieliśmy zrezygnować z mieczy, łuków i innych takich. Potrzebowaliśmy czegoś szybszego, skuteczniejszego i mniej niebezpiecznego, bo choć nasze rany goją się szybciej i raczej nie grozi nam aids czy epidemia cholery, to nie jesteśmy nieśmiertelni. Dobrze więc, że nie musimy podchodzić do nich za blisko. Zdarzało się bowiem i tak, że Miasto niemal się wyludniło, bo nie było już komu walczyć.

Słuchała go niezwykle uważnie. Już nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś słuchał go z taką uwagą. Zasłużenie czy nie, powierzono mu najwyższą rangę, ale szacunek i strach przed odznaką nie dawały tyle satysfakcji co jej świdrujące spojrzenie.

- Musimy mieć pieniądze, by w świecie ludzi kupować broń i amunicję. Ubrania i technologie. Podszycamy się pod fikcyjne firmy. Nawet VAT płacimy. - Zaśmiał się. - Nie ma w tym krzty romantyzmu, więc jeśli szukasz lśniącej zbroi i okrzyku „W imię Boga i komornika”, to ich tutaj nie znajdziesz.

- A to? Co to jest? - Obracała w palcach płonący napis.

To jest dzieło jednego z Invocato. Jest ich dwanaście rodów. Dwanaście najstarszych rodzin w trzech Miastach. Osiem żyje w mieście wojowników, trzy w tym od błakających się dusz i jedna w naszym. Potrafią zabijać demony I yłko za pomocą Inwokacji. Napis jest wyrytą przez Invocato modlitwą. Ich umiejętności są ogromne, a w naszym mieście mieszka jeden z trzech najsilniejszych. Dar przekazywany jest jedynie w linii męskiej. Kobiety w rodach nie wykazują żadnych skłonności do Inwokacji. Poza nimi jest jeszcze kilkanaście rodzin, które nazywane są szlacheckimi, ale ich zdolności są mniejsze i powstały raczej sztucznie, tylko po to, by wymienić materiał genetyczny. Nie można wечно mieszać się w kręgu dwunastu rodzin. Nadażasz?

Nie odpowiedziała, jakby nie było pytania, zamiast tego mruknęła pod nosem:

- Książd podczas egzorcyzmów również wypędza demona za pomocą modlitwy.

- Ten wewnątrz nie obchodzi nas, dopóki nie doprowadzi do samobójstwa. Zwykle jednak nie udaje się wtedy uratować duszy. Jest, jak by to ująć, pierwszy na miejscu wypadku, a my nie potrafimy znaleźć się tam dość szybko. - Popatrzył na jej zmęczoną twarz. - Na dzisiaj wystarczy. To twój drugi w tym dniu wschód słońca. Dość emocji jak na jeden poranek.

- Co teraz ze mną będzie? Trafie tam gdzie samobójcy?

Licho wie, czemu chce trafić wprost do piekła, ale nie będzie to takie proste.

- Nie. Widzisz chłopca, który naprawia traktor na drodze? - Pokazał głową. - Pomachaj mu.

Zrobiła, co kazał.

- On mnie nie widzi - szepnęła.

- Witaj po drugiej stronie, Alicjo.

- I co teraz?

- Co najmniej tydzień pobędziesz z Mnichami, a potem, kto wie?

- Ale gdzie ja będę mieszkać? Co ja mam tu robić?

Logiczna i przerażająca reakcja. Wciąż rozumuje na najwyższych obrotach.

- Zamieszkaś u mnie, to znaczy w mojej kwaterze - wytłumaczył pospiesznie. - Tu jest ciasno, a ja mam trzy pokoje, więc się pomieścimy. Mnisi oddali cię pod moją opiekę. Pamiętaj jednak, że wciąż mówisz w swoim języku, więc jesteś jedyną osobą w świecie Trzech Miast, która to potrafi. O tym, że jesteś człowiekiem, wiemy jedynie ja i trzech starców, z którymi rozmawiałeś. Staraj się nie odzywać, jeśli nie będzie to konieczne. Jesteś głodna? - szybko zmienił temat.

- To wy tu jecie?

- Nie. Czerpiemy siły z życiodajnej stołówki. - Uśmiechnął się ciepło. - Musimy ci jeszcze wyrobić przepustki i inne plastiki. Jak ci na imię?

Zastygła. Blask w oczach zastąpił szary smutek.

- A czy to ważne?



- Możesz sobie jakieś wymyślić. Każdy, kto tu trafi, może sobie nadać jakieś na nowo. Mamy już pięciu Rambo. Musimy ich numerować. - Zaśmiała się, a ona oddała uśmiech.
- Nazywam się Lilith. Lilith Novak. Napisz przez „v”, będę się czuła jak obywatel świata. Jest bystra, pomyślał.
- Dobrze, Lilith.
- Mam prośbę.
- Słucham.
- W raporcie wpisz owczarka. Bernardyn to rzadsza rasa. - Zmarszczyła nos, patrząc w słońce. Stał chwilę w bezruchu.
- Zawsze jesteś taka logiczna?
- Tylko kiedy się boję.
- Musiałaś odczuwać wielki strach.
- Kwestia wprawy, bo boję się nieustannie. Spojrzał na zegarek.
- Możemy wracać.
- Jak? Tu też jest portal?

Zabiorą nas dokładnie za pięć minut.

- Ale jak?
- Złowią nas na wędkę - parsknął, a potem spojrzał gdzieś daleko i wyteńczył wzrok. - Wybrałem to miejsce, bo jest stosunkowo wysoko i będziesz mogła zobaczyć to z bliska.
- Co zobaczyć?
- To. - Odwrócił ją i stanął za plecami, trzymając ręce na jej ramionach. Nie dostrzegła tego w pierwszym momencie. Potem zobaczyła coś na kształt płaskowyżu, ale nie stykał się z ziemią. To coś unosiło się wysoko nad nią. Wielka, monumentalna skała, która nie rzucała cienia, wisiała nad horyzontem. Jej wystrzępione kanty dryfowały w ich kierunku bezszelestnie. Olbrzymi mur spinał ją w jedną bryłę. Kamień, cegła, bloki betonu, kawałki marmuru. Ściana w łaty. Przysłoniła jej wszystko, od jednego krańca do drugiego, i była wszędzie, dokąd sięgała wzrokiem. Ale nawet jedno źdźbło trawy nie zdradziło światu, że płynie nad nimi ta niezwykła wyspa. Gdy była nad ich głowami, spojrzała pod nogi i uśmiechnęła się, przygryzając wargę. Zauważył to.
- Co cię tak rozbawiło?
- Nic takiego, po prostu przyszło mi do głowy coś głupiego i tyle.
- No to podziel głupotę na pół - zaciekawiał się. Spojrzała w jego jasne oczy.
- Wy na pewno wiecie, kto robi kręgi w zbożu. Nie można było odmówić jej szybkości w kojarzeniu faktów, bezczelności i uroku osobistego. Z godziny na godzinę, z tematu na temat, lubił ją coraz bardziej, a to nie zdarzyło się już od jakiegoś półwiecza.
- No jasne. Studenci z deską i sznurkiem. Oglądałem o tym program na Discovery. Całkiem sprytnie im szło. Tylko wzór mieli oklepany.
- Macie telewizję, sieć komórkową, pewnie i Internet.
- A demony namierzamy GPS-em.
- Tak? A ty gdzie masz swój? - Zmierzyła go oczami od góry do dołu.
- Nie pytaj - zabrzmiął sztucznie złowrogo. - Czas na nas.

Polubiła kapitana. Mieszkali razem już trzeci miesiąc. Z początku był zażenowany tym, że mieszka z dziewczyną, ale z czasem przywykł. Zmienił swoje kawalerskie nawyki i przestał chodzić w białym, bieliznie już po pierwszej wpadce, kiedy przyłapała go na robieniu porannej kawy w bokserkach. Codziennie o tej samej porze budził ją śpiewem przy goleniu. Ich język był płynny, miękki, nieagresywny. Czasami wydawało się, że to czyste brzmienie. Słuchała ich mowy, gdy tylko udało się jej podsłuchać kogoś na schodach bądź w windzie.

Kapitan mieszkał na najwyższym piętrze i nie docierały tutaj odgłosy z ulicy w dole. Okna uchylały się jedynie na kilka centymetrów. Z dwudziestego piątego piętra widziała inne dwudzieste

piąte piętra wieżowców. Czasami podglądała ludzi z naprzeciwka. To była rodzina. Z tego co posiadał w swoim domu kapitan, wywnioskowała, że muszą być bogaci. Dobrej jakości meble, zaopatrzone barek. Byli młodym małżeństwem, a przynajmniej tak się zachowywali. On wyglądał na urzędnika. Nosił okulary i często przecierał oczy, jakby długo pracował przy monitorze. Ona frywolna, dużo młodsza. Wczoraj karmiła go lodami. Długo i namiętnie.

Wychodziła z kapitanem niemal każdego wieczoru. Włóczyli się po ulicach, a on odpowiadał na nieustający potok jej pytań. Unikała spojrzeń, gdy go pozdrawiano. Szli ramię w ramię i często w tłumie łapał ją za rękę, żeby się przypadkiem nie zgubiła. Codziennie grali w szachy i pokera, oglądali telewizję. Rozmawiali. Nie pytał o imię, to prawdziwe. O przeszłość. Czasami tylko prosił, żeby się nie smuciła. Żadne z nich nie poruszało tematu, który nurtował oboje. Ale stali się sobie bliscy, nawet bardzo. Opowiadał o zmarłej żonie, o tym, że pochodzi ze szlacheckiej rodziny, bo jego ojciec dorobił się małego majątku, a on sam posiada zdolność Inwokacji, choć jej siła jest znacznie mniejsza niż w przypadku dwunastu rodzin. Opowiadał o swojej pracy. Był kapitanem Północnej i Wschodniej ściany Miasta. Jako jedynemu powierzono mu aż dwa Posterunki. Przyjaźnił się ze swoim zastępcą i o nim też opowiadał.

Plotki o tym, że z kimś mieszka, rozeszły się lotem błyskawicy. Kilkakrotnie zauważyła, że dla odmiany to ich podglądają. Śmiał się, że jest jego tajemnicą, bo inni podejrzewają go o romans. Zastaniała zasłony i wyłączała światło, ilekroć zachodziło słońce. Czasami zachodziło i wschodziło kilka razy w ciągu doby. Tylko dzięki zasłonom nie zwariowała. Dzięki zasłonom i klimatyzacji. Miasto sunęło raz nad pustynią, raz nad szczytami oblodzonych gór. Automat włączał i wyłączał klimatyzację zależnie od temperatury na zewnątrz. Już nawet jej nie budził. Tu wszyscy spali według zegara. Jedynie tak utrzymywano sztuczny rytm dnia. Tyle a tyle pracy. Pory śniadań, obiadów i kolacji. Kapitan miał na ścianie elektroniczny wyświetlacz, na którym pokazywały się nazwy coraz to nowych miast lub po prostu koordynaty, gdy byli gdzieś pomiędzy. Często narzekał na dany kraj czy miejsce, bo ciężko się tam walczyło. Najbardziej nie lubił Nowego Yorku. Za to podobały mu się niewielkie miasteczka o niskiej zabudowie, takie ze straganikami na rogach ulic, z parkiem i ratuszem w centrum. Nigdy tego nie powiedział, ale domyśliła się, że właśnie dlatego robi to, co robi. Chciał być choć przez chwilę, raz na jakiś czas, w takim właśnie miejscu.

Opowiadał jej o swoim domu, który zbudował wiele lat temu dla siebie i żony. Był w tym drugim świecie. Tym dla samobójców. W samym Mieście też było ich sporo. Mieli szkołę, do której można było się dostać po testach, jak to ujął kapitan: „na wykrycie syndromu czterech klepek”. Wyszli ze słusznego założenia, że żaden samobójca nie jest normalny, i zaniżyli standardy. Nauka trwała czasem nawet pięć lat, w zależności od umiejętności ucznia. Każdy oceniany był przez nauczyciela indywidualnie. Ale zdarzały się też przypadki ukończenia szkoły już po pół roku. Wielu mieszkańców Miasta było potomkami samobójców. Choć, jak mówił kapitan, wielopokoleniowe rodziny często nie pamiętają już swojego przodka ze słabą osobowością. Starają się normalnie funkcjonować. Uczą się i pracują, jakby nie było innego świata.

Przebywała tu już trzy miesiące i nie umiała określić, czy polubiła to miejsce. Nie tęskniła za domem. Nie było do czego tęsknić. Tu przynajmniej miała z kim rozmawiać. Widywała wojskowych od brudnej roboty. Kobiety i mężczyźni. Techników, medyków, zaopatrzeniowców w szarych kombinezonach. Wyglądali w większości normalnie, gdyby nie wymieszanie ras i kultur. Często przystawała i przyglądała się im. Byli czymś w rodzaju udanej wersji wieży Babel.

Wojskowi byli najciekawszymi obiektami do obserwacji. Kapitan mówił, że nie są lubiani, bo pozwala im się z reguły na więcej. Narażają życie, więc biorą z niego garściami. Piją, balują, wszczynają burdy. Kilkakrotnie była świadkiem jego rozmów telefonicznych z dowódcami oddziałów, których członkowie poszli w tango. Nie wiedziała, że jej gospodarz ma taki zasób przekleństw i tekstów rodem z rysztocka. Trzeba było przyznać jedno - znał swoich ludzi bardzo dobrze.

Pokazał jej również zdjęcia pozostałych Miast. Pierwsze wydawało się rzeczywiście najładniejsze. Nowoczesne i czyste. Zupełnie inne od tego za oknami. Drugie również wykazywało spory standard i tak jak Miasto Samobójców łączyło się portalem z inną ziemią, do której trafiały uratowane przed demonami dusze. Jednak nie pozostawały tam długo. Inaczej działało się z samobójcami. Było ich tak wielu, że teren, który zajmowali, odpowiadał niemal obszarowi Ameryki Południowej. Porośnięte lasami, przecinane rzekami piekło, w którym musieli żyć przez wiele, wiele lat. Jakby to miało być ich karą za występki przeciwko świętości najwyższej. Życiu.

Żyło się im spokojnie. Kapitan jakby poweselał, uśmiechał się częściej, był pogodniejszy. Ona miała z kim rozmawiać, uczyła się dużo o ich świecie, o nich samych.

Tego dnia pokłócili się po raz pierwszy.

Była dziesiąta wieczór, a słońce właśnie wschodziło. Mieszkali na rogu budynku i zarówno zachody, jak i wschody wpadały przez okna w całym domu. Stała z kubkiem herbaty przy oknie, a kapitan czytał gazetę. Tutaj wszyscy czytali gazety i oglądali wiadomości. Zakładali się, gdzie będzie największe stężenie samobójstw.

- Pójdziemy dziś na spacer? - spytał znad gazety.

- Nie.

- Dlaczego, boli cię coś? - Zaśmiał się łagodnie.

- Zwykle to ty mnie wyciągasz.

Bawiła się nerwowo sznurkiem od ekspresowej torebki. Zanurzała ją i wyciągała. Odłożyła gazetę.

- Chcę się nauczyć walczyć. Chcę zostać żołnierzem.

Cisza. Stateczne, surowe rysy jego twarzy stężały. W końcu odważył się na nią spojrzeć.

- W twoim wieku dziewczynki marzą o kucyku.

- Wyrosłam z kucyków i z misiów.

- No to może pójdziemy na zakupy? Stać mnie. Wsiądziemy w portal, kurs na Paryż i...

- Wiesz, że nie chcę żadnych prezentów. Miałam przy sobie tyle pieniędzy, że wystarczyło na dwie pary spodni, trochę bielizny i trzy bluzki. Więcej na razie nie potrzebuję, ale chcę zarabiać na siebie, chcę móc o sobie decydować.

- Niczego ci nie zabraniam. Ani ja, ani Mnisi. Trafiałaś tu...

- No właśnie. Trafiałam tutaj, a nie bezpośrednio do samobójców. Chcę więc robić to, co robicie wy. Może po to tu jestem? Może od tego powinnam zacząć?

Milczał. Miękkie mleczne włosy leżały na barkach. W końcu wstał i podszedł do niej. Granatowa koszula kontrastowała z bladą twarzą. Bardzo jasne szare oczy popatrzyły na nią smutno. Nie wytrzymała długo tego spojrzenia.

- Jesteś zły, że o to proszę, czy że proszę akurat ciebie?

- Nie, nie jestem zły, że prosisz mnie. Kogo miałabyś prosić, jeśli nie kapitana? Jestem zły, dlatego że obiecaliśmy sobie szczerłość, oczywiście w granicach rozsądku, a ty kłamiesz w żywe oczy i nie szanujesz mnie na tyle, żeby chociaż trochę bardziej się postarać.

Przyłapał ją i wiedział o tym.

- Chcesz się uczyć, bo wyjaśniłem ci, że tylko wojskowi i część technicznych może przechodzić na drugą stronę. Palisz się do wojaczki i strzelania, bo chcesz się tam dostać.

Przełknęła ślinę.

- Tak. To prawda.

- Jest inny sposób. Wystarczy, że...

- Nie. Nie zgodzę się.

- Aż tak ci nie w smak moje nazwisko? Członkowie szlacheckich rodzin mają przywileje. Mogłabyś mieszkać tu i schodzić tam choćby i codziennie. Dałbym ci obstawę, byłabyś bezpieczna...

- Wiesz, że nie o to chodzi. - Przymknęła oczy i zawstydzona wpatrzyła się w drobny rząd guzików. - Śmialiby się z ciebie.

- Z czego?

- Wiesz z czego.

- To się da nadrobić.

- Czym? Miną? - parsknęła.

- Przy tobie oni musieliby nadrabiać, nie ty przy nich. A jeśli idzie o resztę, wystarczy trochę czasu. A czas płynie tu szybciej.

Spojrzała na jego zmęczoną twarz. Zależało mu na tym. Nawet bardzo. Był smutny i chyba nią rozczarowany, bo wydawało mu się, że już znalazł to, czego szukał. Uśmiechnęła się ciepło i pogłaskała go po policzku, który pokrywał gęsty biały zarost.

- Ja też bym chciała. Wierz mi. Ale możemy dobić targu. Ty obgadasz z Mnichami, że nie można mnie więcej ukrywać w domu, bo obgryzam tynk ze ścian i przekonasz ich, żebym mogła się uczyć wojaczki, jak to nazwałeś, a ja postaram się być dobra w tej drugiej nauce, żeby móc spełnić nasze marzenie jak najszybciej. Zgoda?

Usta rozbiegły mu się w szerokim uśmiechu.

- Szachrajka z ciebie - zamilkł na moment. - Pod jednym warunkiem.

Zmienił mu się wyraz twarzy. Powrócił surowy, twardy dryl.

- Piątki, soboty i niedziele spędzamy razem, a do tego pozwolisz mi się utrzymywać.

- I kto tu szachruje? Zgoda. Tylko nie przesadz z tym utrzymywaniem. Masz tendencję do rozpieszczania. Nie jestem aż tak naiwna, by uwierzyć, że levisy kosztowały dwa euro.

Przytulił ją po raz pierwszy. Czowała zapach proszku do prania i czegoś metalicznego. Odczucie było jeszcze wyraźniejsze, kiedy delikatnie pocałował jej włosy. Stali tak przez chwilę.

- Jesteś dla mnie za bystra. Zawsze udaje ci się mnie przekabacić.

- E tam, po prostu masz do mnie słabość.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

- Tak. Jesteś moją największą słabością - szepnął, zaniepokojony tym, na co się zgodził.

Mnisi dali jej swoje błogosławieństwo. Do rozmowy z nimi przygotowywali się dwa dni. Potem było trudniej, bo to nie oni stanowili największy problem. Był nim kapitan. Chyba sobie postanowił, że zrobi wszystko, by zmieniła zdanie. Wynajął na miesiąc małą salę do ćwiczeń i chodzili tam podziemnymi przejściami. Miał wysoko postawionych przyjaciół i sam też był nie byle kim, więc mu na to pozwalano, a właściwie nie pytał o zgodę nikogo. Kiedy pierwszy raz stanęła na macie, była spokojna i słuchała z uwagą. A kiedy pierwszy raz dostała w twarz, aż poczuła na dżiąsłach krew, słuchała jeszcze uważniej. Tłukł ją, jak chciał, i za każdym razem pytał, czy ma już dość, czy chce oberwać jeszcze. Nie odpowiadała mu. Wiedziała, że robi to, by ją zrównać z poziomem maty, więc słuchała tylko tego, co dotyczyło treningu.

Walenie w worek nie było tępą młócką, jak do tej pory jej się wydawało. Trzeba było techniki, by nie nabawić się kontuzji. Powtarzał jej przy tym, że jest tylko człowiekiem, że jej ciało nie goi się ani tak łatwo, ani tak szybko jak jego. Trudno było wytrzymać ciągłe komendy i razy, ale nauczyła się puszczać mimo uszu jego paplaninę.

Trwało to pół roku. W końcu uznał, że wystarczy, by mogła startować do szkoły. Gdy to powiedział, padła na matę i nie mogła powstrzymać się od histerycznego śmiechu. Nie był zadowolony. Znał wszystkich instruktorów, większość z nich uczył sam, ale obiecał jej, że nie będzie żadnej protekcji. Kusiło go szepnąć słowo tu i tam, ale i tak wymyślił dość przewrotny plan, by zapewnić jej maksimum bezpieczeństwa.

Zaułki dużych miast wyglądały tak samo. Kubły na śmieci, smród i szczury wielkości kotów. W tym akurat było cicho. Za cicho. Bezdomny spał na stercie kartonów przykryty gazetą po czapkę, by mu słońce nie zacinało w oczy. Wszystko było takie swojskie i naturalne. Oprócz potwora, który skulił się łbem w dół na pionowej ścianie. Wielkie żółte ślepia, cztery łapy jak u psa. Trząchał futrem na grzbiecie. Mienił się kolorami tynku i farby z graffiti. Z paszczy wystawały mu kły, które co jakiś czas oblizywał długim jęzorem. Gdzieś w oddali rozwyła się syrena karetki, ktoś nacisnął klakson. Drużyna Koshego przeczesywała teren od trzech dni. Przy rutynowym przejściu natrafili na gniazdo Hien i wrócili, by wybić stado. Były szybkie, zwinne i do tego polowały hordami. Podobne do swoich imienniczek, z wyjątkiem budowy ciała. Miały bardziej kocie ruchy i ogon, ale poza tym zjadały każdą energię astralną, dlatego były utrapieniem wszystkich trzech Miast. Hiena nie pogardzi nawet umierającym szczurem. Zeżre wszystko i mnoży się, gdy tylko znajdzie większe żerowisko. Kilka ulic stąd stała ubojnia, więc sprawa wydawała się prosta, ale nawet demony ewoluują i uczą się, więc zwykle ich gniazda były w pobliżu, a nie bezpośrednio na żerowisku. Ta, którą zagonili w zaułek, była jedną z ostatnich. Zmęczeni i głodni, nadal pracowali na najwyższych obrotach, wiedząc z doświadczenia, że rutyna zabija.

- Prince, namierzyłeś ją? - spytał, przysuwając komunikator bliżej ust, by siedzący w centralce usłyszał szepł wyraźnie.

- Macie ją przed nosem. Zachodnia ściana - odpowiedział głos w słuchawce. - Klecha ma ją dokładnie pod nogami.

- Pod nogami to ja mam wrzód na dupie społeczeństwa - mruknął Klecha, który kucał na gzymsie i z wysokości szóstego piętra patrzył w dół na śpiącego pijaczka.

Wysłuchał się raz jeszcze w lichej dźwięk, który do niego dotarł. Samochody na ulicy stanęły na światłach. Teraz usłyszał wyraźnie. Ślina z pyska kapała wprost na przykrycie bezdomnego.

- Mam cię - szepnął do siebie i zaczął biec po pionowej ścianie w dół.  
- Poły rozciętej sutanny rozwiały się na boki. Wysunięty pistolet podążał za celem. Maskowała się barwą otoczenia, ale gdy się poruszyła, kontur rozmywał się jak żelowa przezroczysta plama. Jej jedyną obroną w takich sytuacjach był kamuflaż nieskuteczny w ruchu. Biegła wprost na niego, skacząc na boki, by jej nie namierzył. Strzelił, gdy była zaledwie o jeden skok od niego. Odrzut oderwał ją od ściany i spadła z hukiem na kontenery. Bezdomny podskoczył i chyba momentalnie wytrzeźwiał. Rozglądał się wokół, ale nie było nikogo. Klecha zeskoczył, gdy zostało mu kilka kroków do ziemi. Poza tym czysto w tym kwadrancie - usłyszeli w słuchawkach.

- Zbieramy się - padł rozkaz.

Borys wyszedł z za ciężarówki, Szczur schodził podobnie jak Klecha, po pionowej ścianie domu naprzeciwko. Koshe wszedł w zaułek z ulicy. Spotkali się w połowie drogi. Klecha podpalił papierosa, ale nie zdążył się zaciągnąć, gdy Prince gruchnął z centrali:

- Macie jedną na ulicy po przeciwnej stronie. Biegnie wprost na was.

Nie zdążyli zareagować. Usłyszeli strzał, potem ręka trzymająca pistolet wysunęła się z za rogu, a palec ponownie nacisnął spust, tak jak nakazywał przepis, i tak jak oni już dawno przestali robić. Szkoda kuli. Ręka cofnęła się, więc poszli sprawdzić, kto wciął im się w robotę. Zdążyli tylko zobaczyć, jak ktoś ląduje na dachu, bo wchodził po linie. Było zbyt wysoko i pod słońce, by przypatrzeć się dokładnie.

- Szczur, przyjrzyj się.

Szczur zrozumiał rozkaz. Nasunął okular na oko i automatycznie dostosował ostrość. Na dachu stała dziewczyna i odpinała uprząż.

- Jakaś bura cizia.

- Bura? - spytał Klecha, machając petem w zębach.

- Kolor włosów... jakiś taki, chujowaty. Młoda. Cycek prawie zero.

- Znasz?

- Nie, ale podobno Stary puka jakąś młódkę. Może to ona?

- Prince, kto trzyma powróż?

- Stary - usłyszeli po chwili.

- Gdzie jest?

- Spójrz w górę.

Stał tam ich kapitan. Z jego miny wynikało, że coś mu się nie podoba. Znali się za dobrze, by nie zrozumieć mowy ciała szefa.

- Koshe - usłyszał głęboki, twardy ton.

- Słucham - odpowiedział mu po chwili.

- Spotkamy się dzisiaj przed kolacją w sali odpraw. Mamy do pogadania.

- Czyżby ustalili już koordynaty, o które prosiłem, bo jeśli tak to...

- Nie. To prywatna sprawa. Czekam o osiemnastej.

Koshe spojrział na zegarek. Było po piętnastej ich czasu.

Zerknął jeszcze raz w górę, ale nie było tam już nikogo. Wyłączył komunikator i wyciągnął słuchawkę z ucha. Omiótł wzrokiem towarzyszy. Każdy miał minę winowajcy.

- Nie był taki oficjalny od czasu, kiedy przemyciliście pół kilo zioła. Tak więc zapytam wprost. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć?

Popatrzyli po sobie.

- A o jakim rzędzie wielkości przegięcia mówimy? - spytał Klecha, krzywiąc się od dymu, który wpadł mu do oka.

Prince był Włochem z pochodzenia. Jego matka miała restaurację ze swojskim żarciem i nie wiedziała nic o niebezpiecznej pracy syna. Makaroniarz, jak go również przezywali, znał się na wszystkim, co miało guziczki i przyciski. Kumple śmiali się z niego, że ślini się na widok mrugających diod. Cała jego liczna rodzina myślała, że w Mieście jest technicznym dla wojskowych i że pracuje za biurkiem.

Z matką widywał się na każdej przepustce i wtedy ściągał wszystkie swoje ozdoby, a było ich sporo. Kolczyki, bransoletki, koszulki z niewybrednymi napisami. Opróżniał też kieszenie z masy kolorowych lizaków i palce z licznych srebrnych obrączek. O tym, że był homoseksualistą, też nikt z jego bliskich nie wiedział.

Jechał na swoim skuterku, przeciskając się przez tłumy na obrzeżach ulic. Jaskraworóżowy kolor widać było z daleka. Na kierownicy, po obu stronach okrągłego okularu przedniego reflektora, powiewały włoskie chorągiewki. Przystopował na światłach. Ruch zatrzymał konwój z zaopatrzeniem. Wielkie stare ciężarówki sunęły w stronę Północnego Posterunku. Obok Różowej Landryni, której imię wdzięcznie namazano złotą farbą na pojemniku na kask, stanęła półciężarówka. Poznał ją od razu. Z głośników biła ta sama co zwykle młódka. Wiedział, że będą szukali zaczepki. Oddział z Południowego, z którym wiecznie był problem. Przyjeżdżali tutaj, bo w północnej części były najlepsze speluny i najładniejsze dziewczyny. Akurat ci jednak, nie umieli odróżnić, kiedy kończy się zabawa, a zaczyna ostra zadyma. Jeden z nich prowokacyjnie zwiesił się z okna, uśmiechając się bezczelnie. Prince zdusił kolejny zielony balon i poprawił okulary przeciwsłoneczne. Lśniący od wosku ford zajęczał silnikiem dwa razy z rzędu.

- Prince, ale ty masz maszynę. W papierniczym farbę wybierałeś?

Ciche śmiechy z wnętrza samochodu zamieniły się w ryki. Uśmiechnął się do nich pełnią śnieżnych zębów i przeżuł zadziornie, tak by guma nieestetycznie utkwiała mu między zębami. Potem zawinął językiem i ostentacyjnie zgarnął ją z powrotem.

- Gdyby inteligencję mierzono wielkością felg, byłbyś geniuszem.

Zniżył lekko głowę i uchylił palcem okulary.

- O, zobacz. Rdza - zakwilił przesadnie i tępak odruchowo wychylił się jeszcze bardziej.

Zielona guma przeleciała mu przed nosem i utkwiała nisko na drzwiach. Mordercze spojrzenie mogło być niepokojące, ale Prince miał dzisiaj wyjątkowo udany dzień i olał je tak jak dziesiątki poprzednich. Mrugnął mu tylko jak dobry znajomy.

- Polecam się.

Zasalutował ręką w skórzanej rękawiczce bez palców i wjechał pomiędzy ciężarówki z kolumny. Słyszał, jak próbowali zrobić to samo, ale strąbili ich niemiłosiernie. Jechał, trzy mając się jedną ręką ślimaczo sunącej landary. Potem odbił w prawo, w wąski przesmyk między budynkami. Reszta już na niego czekała. Zatrzymał się przed wejściem i zaparkował swoje cudo obok kolarzówki Klechy. Starł jeszcze jakiś niewidoczny pyłek z kierownicy i podszedł do swoich. Ktoś z piskiem zahamował przed zjazdem. Silnik burknął znajomo. Ten sam łoskot rozrywał głośniki.

- Prince, zawsze chowasz się za kumplami czy może płacisz w naturze za ochronę?! - ryknął tępak.

W tym samym czasie Koshe wyszedł z samochodu zajęty rozmową przez komórkę. Chłopcy z Południowego zauważyli go i zaczęli wycofywać na ulicę. Prince posłał im zwiewnego - buziaka i zęgnął ich, przebierając palcami.

- Nie wykonuj przy mnie tych ciotowatych gestów - burknął Szczur i pociągnął go za kołnierz skórzanej kamizelki. - Kiedyś będą z tego jakieś kłopoty.

Wciągnął go do środka.

Jechali windą na najwyższe piętro.

- Powiedz, po co my tam idziemy? - zaczął Klecha. - Przecież nic na nas nie ma.

- Żeby nie musiał wam wszystkiego powtarzać - mruknął dowódca.

Wysiedli i wyszli na pusty korytarz. Stanęli przy drzwiach i Prince przykleił do ściany podsłuch. Ustawił głośność. Borys z Klechą oparli się po bokach, by zasłonić brzydkie pudło własnej roboty. Koshe wszedł i w głośniku usłyszeli jego kroki. Podszedł do pulpitu.

Kapitan siedział oparty nogami o mapnik i bawił się elektronicznym wyświetlaczem. Grał ze sobą w kółko i krzyżyk. Sala odpraw była aulą, w której zaczynali dzień. Mieściła jakieś sto osób, ale nigdy nie widział w niej więcej niż pięćdziesiąt. Wielki monitor, który wisiał na ścianie, pokazał remis.

Koshe oparł się o pulpit jednego z pierwszych krzeseł. Założył ręce na piersi i czekał, gotowy po raz kolejny wyciągać swoich z kłopotów. W sali było ciemno i jedyne światło dawał zimny odbłask monitora.

- Wiem, że znowu napisałeś prośbę o znormalizowanie czasu waszych akcji - odezwał się w końcu kapitan.

Dopiero teraz Koshe zauważył do połowy pustą butelkę, którą szef Posterunku miał pod nogami. Szklankę trzymał w ręku. Popijał małymi łydkami herbaciany trunek.

- Zgadzam się, żebyście pracowali od poniedziałku do czwartku, od godziny ósmej do piętnastej.

Koshe był zadowolony, ale coś mu nie pasowało.

- To była czwarta taka prośba w tym miesiącu. Mój sekretarz wysyłał ją w każdy poniedziałek od trzech miesięcy. Czym ta różniła się od poprzednich?

Stary pociągnął ze szklanki solidniej i musiał uzupełnić brak. Zakrętka szurwała po szyjce butelki.

- Tym, że przedtem zależało na tym jedynie tobie, a teraz zależy nam obu.

Cisza.

- Gdzie tkwi haczyk?

- Polubi cię. - Kapitan zaśmiał się do siebie. - Oboje szybko myślicie.

- Kto ma mnie polubić?

- Twój nowy członek załogi.

Martwa cicha wściekłość.

- Nie potrzebuję nowego. Mam komplet.

- Masz o trzech za mało i przymykają na to oko, bo ja przymykam na to oko.

- Za co jestem wdzięczny, ale nie potrzebuję nikogo nowego. Jesteśmy tym zespołem od lat i niech tak zostanie. Wódz i Ron zapewne wrócą. Podejrzewam, że ich misja, czy co tam robią, nie będzie trwać wiecznie.

- Ale Marii nie ściągniesz z powrotem. Mija rok od jej awansu.

Znali się ze Starym, odkąd Koshe był dzieckiem. Już wtedy go tak nazywali. Uczył go osobiście, bo takie życzenie wyraził jego ojciec. Nadzorował go do chwili, gdy oddał mu pod dowództwo własny oddział. Nigdy nie wtrącał się w jego działania ani nie komentował jego metod. Dziś był pierwszy raz.

- Wiesz, że nikogo spoza wąskiego grona ludzi nie zaakceptuję. Nawet gdybyś dał mi kogoś, kogo znam, byłoby mu ciężko, bo ja nie lubię czuć niczyjego oddechu na karku. Dobrze mnie znasz, a jednak wciskasz mi go na siłę.

- Nie wciskam, a proszę - rzucił kapitan z zażenowaniem.

Koshe opuścił ręce.

- Ty? Prosisz?

- Na trzeźwo nie byłbym do tego zdolny, a kaca mam zwykle po przekroczeniu połowy flaszki. Jestem... - spojrzał na resztki - .. jedną czwartą od dna, więc jutro radzę schodzić mi z drogi do południa.

- Dlaczego tak ci na tym zależy? Kto to jest? Syn wpływowego urzędnika? Protegowany z majątnej rodziny?

- Nie. To mój protegowany, a raczej moja.

Koshe się uśmiechnął.

- A więc to prawda. Masz jakąś młodą dupę i zachciało jej się walki z demonami. Jeśli tak, to daj ją pod Herosa ze Wschodniego. On już wie, jak nikogo nie narazić. Mnie nie mieszaj w swój kryzys wieku średniego.

Gdy na niego spojrział, poczuł zimny dreszcz w okolicy kręgosłupa. Jasne oczy Starego zaszkliły się niebezpiecznie. Odstawił szklankę na podłogę i odsunął ruchomy pulpit nogami. W dwóch krokach stanął przed dawnym uczniem. Wymienili wrogie spojrzenia.

Jesteś dla mnie jak syn - wycedził kapitan. - Uczyłem cię, odkąd wypadły ci mleczaki. Ale jeśli jeszcze raz nazwiesz ją obraźliwie lub pozwolisz o niej mówić tak innym, zapragniesz mieć na powrót choćby mleczaki. Czy się zrozumieliśmy? Koshe nie był bojaźliwy. Stary był jedyną osobą w całym tym Mieście, którą szanował, cenił i która była mu bliska, jak bliski powinien być ojciec.

- Aż tak jest dla ciebie ważna?

Właściwie nie musiał pytać. Widział jak bardzo.

- Tak. I wiem, że niestety, tylko ty, jeśli obiecasz, że jej dopilnujesz, to tak będzie.

- Może ufasz nie tej osobie, co trzeba?

- Chcesz w ryj?

Koshe zaśmiał się i cała groza prysła. Na szczęście Stary też spasował. Dawno nie było między nimi takiego napięcia.

- No to gdzie jest to twoje чудо?

- Czeka na nas w szatni. Przydzieliłem jej szafkę Marii.

- Skąd wiedziałeś, że się zgodzę?

- Ja nie piję na darmo.

To mówiąc, wychylił szklanę, do której wylał resztki z butelki. Szkło odstawił do innych na tacy przy czajniku, a butelkę wrzucił do kosza. Zgarnął klucze z pulpitu i zgasił wyświetlacz. Koshe wyszedł pierwszy, a za nim kapitan, który zamykał drzwi tyłem do podsłuchujących. Gdy przekręcał klucz w drugim zamku, mruknął do nich:

- Tylko odczepcie to tak, żeby farba nie odlazła. Ostatnim razem musieli malować ścianę przed inspekcją.

Borys zaśmiał się, ubawiony sytuacją, a Klecha zgasił niedopałek na posadzce. Poszli za nimi.

Szatnie i sale do ćwiczeń zajmowały starą część budynku. Sale ulokowane były wzdłuż galerii, a na placu pomiędzy arkadami stały metalowe szafki i ławki. Szli drugim piętrem, skąd mieli dobry widok na dół. Szafka Marii była otwarta. Ktoś układał w niej swoje rzeczy. Widać było tylko nogi, dopóki nie zamknęła drzwiczek. Nie chciały się domknąć i musiała przycisnąć je całym ciałem.

A teraz najważniejsze, panowie - odezwał się Stary. - Ona przeszła jedynie moje szkolenie. Zapisalem ją do Szkółki, więc wieczorami od poniedziałku do czwartku, będzie chodzić na zajęcia.

- Teraz rozumiem - podsumował Klecha. - Czas pracy jak w fabryce, żeby mała miała czas na naukę.

- Dajesz mi żółtodzioba? - Koshe wykrzywił się brzydkiem.

Przecież to jak wyrok. Narażasz nie tylko ją, ale i nas.

- Dziękuję, że mi to uświadomiłeś. Od razu widzę jaśniej i zaraz skoryguję swój błąd.

- Nawet ja musiałem przejść tę debilną Szkółkę - odezwał się Szczur, który bardzo niemiło wspominał ten czas.

- Powiedzmy, że jest wyjątkowa nie tylko dla mnie i dobrze byłoby, gdyby nauczyła się wszystkiego szybciej.

Popatrzyli na dziewczynę w dole.

- A co w niej wyjątkowego? - palnął Szczur. - Chuda, niska, płaska.

Koshe nie zdążył zareagować. Kapitan był szybszy.

- Uprzedzam, Szczur. - Stał obok chłopaka. - Ona mówi proszę, dziękuję, smacznego, więc to może być dla ciebie szok kulturowy. Nie zapomnij języka w gębie.

Z miny Szczura wynioskował, że w te kilka sekund został całkowicie zresocjalizowany. Ruszył w stronę schodów, a oni za nim. Koshe machnął ręką, że zaraz ich dogoni, bo rozdzwonił się jego telefon.

Słyszała kroki, ale nie odwróciła się, bo ta cholerna szafka już prawie się zamknęła. Czyjaś szczupła dłoń oparła się na drzwiczkach przed jej twarzą, docisnęła mocniej. Zobaczyła też but na spodzie, po przeciwnej stronie.

- Musisz docisnąć w tych miejscach. Dojdiesz do wprawy.

Gdy zamek zaskoczył, palcem zakręcił tarczą z szyfrem.

Odwróciła się powoli i zastygła zdumiona. Ten, który jej pomagał, nosił sutannę. Rozcięta po bokach i z tyłu, długa do pół łydki. Podwinięte rękawy i szkarłatna koloratka dały jej jasno do zrozumienia, że nie ma do czynienia z proboszczem.

Wysoki i szczupły, ale czarne sukno zdradzało, że nie jest cherlawy. Z rozcięcia na wysokości kieszeni, wyciągnął paczkę marlboro i wystukał z niej papierosa. Wprawny ruch nadgarstka otworzył i zamknął zapalniczkę. Jasne proste włosy kontrastowały z czernią i czerwienią pod szyją. Postrzępiona czupryna sięgała za uszy. Najwyraźniej od dawna nie korzystał z usług fryzjera. Delikatna twarz, duże wyraźne oczy, wąski nos i blade usta, a w nich wdzięcznie unoszący się papieros, jak u alfonsa. Patrzył na nią z góry.

Obok stał ktoś równie niesamowity. Oparty o rząd szafek naprzeciw niej trwał w pozycji luzaka. Chłopak był może w jej wieku, może nawet to nie. Twarz wiecznego dziecka. Był ogolony niemal na zero, z wyjątkiem płowej, słomianej grzywki, która wpadała mu do oczu. Do wielkich, zielonych jak trawa gał. Poza tym był patykowaty i długi. Obcięte rękawy koszulki nie ukazywały żadnych większych bicepsów. Długa szyja z wyraźnym jabłkiem Adama, sprane dzinsy, koszulka z angielskim napisem „kocham duże niebieskie oczy”. Nie patrzył na nią zbyt przychylnie i ten napis wiele jej wytłumaczył.

Na ławce siedział kolejny, który się jej ciekawie przyglądał. Ciemna skóra jak u Włocha czy Greka. Ładna, wręcz idealna proporcja twarzy. Bujna czupryna opadająca na szyję, zaczesana na brylantynę. Na nosie ciążyły mu okulary, takie same, jakie nosił kapitan. Metalowy drut oprawek i duże czarne szkła. Również wysoki, długie nogi sięgały pod rząd szafek z naprzeciwka. Białe adidas, jasne



spodnie, przy szlufce łańcuszek z kluczami, którymi się bawił. Masa srebrnej biżuterii. Kolczyk w brwi, biała koszulka z podwiniętymi rękawkami. Wizerunek dopełniała krótka skórzana kamizelka i także rękawiczki bez palców. Wyglądał dość oryginalnie, więc było dla niej jasne, że jest innej orientacji.

Natomiast za kapitanem stał olbrzym. Gdyby miał brata, byłby nim Goliat. Wielki i zбитy jak skała. Mięśnie przebijały przez obcisłą koszulkę. Można było uczyć na nim anatomii.

Szeroki skórzany pas ozdabiał obcisłe dżinsy. Miał ze dwa metry wzrostu. Popatrzyła na pogodną twarz. Włosy ciem- noblond, krótko przystrzyżone, schludny i wyprostowany. Okrągła buzia i pełne policzki przypominały dobrotliwego misia. Był z nich wszystkich najstarszy i najwyraźniej najspokojniejszy. Miodowe guziczki oczu uśmiechały się do niej przyjaźnie.

- To jest Lilith - odezwał się po dłuższej chwili kapitan. - Od jutra zaczynacie razem pracować, więc zostawiam was, żebyście się bliżej poznali.

Odszedł i zostawił ją na pastwę czterech świdrujących par oczu. Tak jak się spodziewała, zwalisty osiłek podszedł jako pierwszy, uśmiechnął się ciepło i podał jej wielką twardą dłoń.

- Witaj, Lilith. Nazywam się Borys - usłyszała gong w studni. - Miło nam cię poznać, prawda, chłopcy?

Chłopcy niezgrabnym chórem mruknęli wdzięczne „taaa”. Uścisnęła bochen chleba i odwzajemniła uśmiech. Potem Borys ustąpił miejsca temu, który wszedł jako ostatni i stanął za jego plecami. Wyglądał jak urzędnik wyższego szczebla w piątkowy dzień bez krawata, ale sądząc po wyrobionej postawie, aktówki raczej do pracy nie nosił. Kilka pasm czarnej połyskującej grzywki wyszło z zaczesanego wysoko warkocza. Sięgnął mu do ramion spięty srebrną klamerką. Nie oderwał od niej zaciętego spojrzenia, ale i bez tego było jasne, że szczęśliwy z nowego przydziału nie jest.

Wskazał na tego w sutannie.

Ten w kiece to Klecha bądź Kaznodzieja. Chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego - odezwał się surowym tonem. - Młody to Szczur. Koleżanka obok niego to Prince lub Makaroniarz. Borys ci się już przedstawił. Ja nazywam się Koshe. Wszyscy tak tu na mnie mówią, więc i ty tak mów. Jestem twoim dowódcą. Zaczynamy jutro o ósmej i jak wszystko pójdzie zgodnie z planem, wrócimy do piętnastej. Śniadanie serwują o siódmej, więc jeśli załpisz, zapiszesz czy spēkasz i nie stawisz się punkt ósma przy portalu, na tym zakończymy współpracę. Zrozumiałaś?

Skinęła głową. Stał jeszcze przez chwilę i taksował ją wzrokiem, bezczelnie nie omijając tego, co ominąć powinien.

Według niego wyglądała jak dziecko. Miała może z siedemnaście lat, a może i tego nie. Waga: jakieś pięćdziesiąt, góra pięćdziesiąt dwa kilogramy. Wzrost: na oko metr sześćdziesiąt. Ale nie to go zaciekało. Jeszcze nigdy nie widział tak smutnych oczu ani takiego koloru tęczy. Nie miały żadnej wyraźnej barwy. Były po prostu brudne jak zamulona kałuża. Odcinały się od niemal błękitnych białek. Wielkie smutne oczy. Włosy za ramiona w takim samym kolorze, jakby w jej ciele był tylko jeden barwnik. Kilka jasnozłoty malutkich piegów wokół oczu i na nosie. Biała jak pergamin skóra. Nie była okazem, który zachwyca. Dziwił się, że wywarła takie wrażenie na Starym. Kapitan lubił kobiety ciekawe, niekoniecznie ładne, ale Inga była dalece bardziej interesująca od chuchra, które miał przed sobą. Wojskowa zielona patrolówka, której oni nie mieli na wyposażeniu, leżała na ławce obok, więc z pewnością należała do niej. Podobnie kurtka, która też miała wojskowy krój i była w kolorze wojskowej zieleni. Poza tym zwykła szara bluzka z wywiniętym białym kołnierzykiem, która nie odkształcała się w miejscu, gdzie powinna. Ciemnogrnatowe dżinsy i glany. Chyba się przebierała, bo miały wywinięte języki, a sznurówki wyciągnięte z rzędu dziurek. Tylko tego mu brakowało. I tak byli zbiorowiskiem czubków i zadawali się z sobie podobnymi, ale zbuntowana nastolatka to już gruba przesada.

- Szczur miał rację. - Uśmiechnął się wrednie. - Ty cała jesteś bura.

Rozejrzał się po sali i spojrzał na zegarek z wieloma tarczami. Podrapał się kciukiem w prostą czarną brew.

- Mam spotkanie o dziewiętnastej, więc do jutra. - Odszedł w kierunku wyjścia, odwijając rękawy koszuli.

Reszta również się zbierała. Z tyłu został tylko Szczur. Rozłożył ręce.

- Szkoda, mała, ale Lara Croft to ty nie jesteś.

Zaśmiała się pod nosem i postawiła nogę na ławce. Powoli ściągała sznurowadła.

- Taka ze mnie Lara Croft jak z ciebie Indiana Jones - mruknęła lekko rozbawiona. Zatrzymali się niemal w tym samym momencie i odwrócili jak na komendę. Podeszli i otoczyli, nie przestając się na nią gapić.

- Co ty powiedziałaś? - zapytał, jękając się Szczur.

- Powiedziałam, że żaden z ciebie Indi, więc ja mogę nie być Larą. Niech zgadnę, chodziło ci o... warkocz? - Zaśmiała się i zawiązała sznurówkę.

Szczur podszedł do niej i tknął ją dwa razy palcem tak mocno, że wpadła z łoskotem na szafki.

- Słyszałem, że w Instytucie tworzą różne maszynki, ale ta jest naprawdę dobra.

Szturchnął ją jeszcze raz, zanim uderzyła go w rękę.

- Zrobisz mi siniaka.

Bez pardonu podciągnął jej bluzkę i uszczypnął w brzuch.

- Baterie wkładam gdzie indziej. - Spojrzała w wystraszone zielone ślepie.

- Program wrednych odzywek też ci wgrali? - mruknął Klecha znad kolejnego papierosa.

- Tak, ale wybaczcie, nie pokażę wam łącza. Sami rozumiecie, tajemnica patentu.

Postawiła drugi but i sznurowała go, próbując ukryć zakłopotanie wywołane całą tą sytuacją. Wychodziło na to, że się nie polubią. Włożyła kurtkę i sprawdziła klucze, które brzęknęły w kieszeni. Zwinęła włosy w kok i schowała je pod czapkę.

- A teraz panowie wybaczą, ale idę do stołówki.

Podniosła z ławki przepustkę i włożyła ją na szyję, gdzie na kulkowym łańcuszku kołysał się nieśmiertelnik. Dostawali go tylko ci, którzy wychodzili do świata żywych. Przeszła okrzakiem nad ławką i ruszyła w stronę wyjścia w ścianie z wielkimi masywnymi oknami po sam sufit.

- Jak ci na imię? - spytał wściekły Koshe.

- Lilith. Lilith Novak - rzuciła, a potem dodała smutnym, pustym głosem: - A na drugie mam anomalia. - Zaśmiała się pełna goryczy.

Kiedy usłyszeli, jak wachluje skrzydło drzwi, a jej kroki ucichły w głębi korytarza, zaczęli głośniej oddychać. Prince odezwał się pierwszy:

- Co to, kurwa, było?

- Nie wiem, ale się dowiem. A na razie mamy problem - podsumował dowódca.

- Kolejny na liście. Wpiszemy ją między brak amunicji a brak wyposażenia, zaraz pod spieprzoną centralką, którą trzeba naprawić po raz czwarty w tym miesiącu - mruknął Klecha i puścił kłęb dymu.

- Będziemy robić za przedszkole w zamian za normalny czas pracy, którego od lat nie mieliśmy, i mnie to pasuje.

- Będziemy ją niańczyć, bo Stary ma do ciebie słabość - wciął się Makaroniarz.

- Zrobimy to, żeby z zemsty nie wcisnął nam kogoś na miejsce Rona i Wodza, a ja go znam i wiem, że zrobiłby to bez mrugnienia okiem. Poza tym skoro będzie u nas ktoś dla niego ważny, my również staniemy się ważni. Może przy okazji uda się wydebić nowy sprzęt.

- Mamy kłopot - odezwał się spokojny i opanowany Borys.

Borys rzadko się odzywał, ale kiedy to robił, zwykle miał rację.

- Ona poszła do stołówki, gdzie jest teraz co najmniej dwadzieścia osób, i swoim cichym głosikiem poprosi o kakao.

Ruszyli w stronę drzwi. Tylko Koshe zapiął w końcu guziki w mankietach i odszedł w innym kierunku. Spojrzał jeszcze raz na zegarek. Już był spóźniony.

\* \* \*

Stołówka przypominała dziewiętnastowieczną rzeźnię. Karmili całkiem dobrze, ale ich załoga tylko czasami z niej korzystała. Dziewczyna siedziała przy długim stole w kącie sali pod oknem. Co i rusz ktoś na nią zerkał. Była nowa, a wszystko co nowe, było ciekawe. Ludzie dawali sobie znaki, pytając się między sobą, w którym jest zespole. A więc jeszcze się nie rozeszło.

Klecha podszedł do niej i zdjął jej z szyi plastikowy dowód, przepustkę i nieśmiertelnik. Mało brakowało, a zahaczyłyby

- nie łyżką z budyniem. W sali jakby zgęstniało. Obsiedli ją \_wkoło. Klecha zajął miejsce naprzeciwko, obok niego usiał

Makaroniarz, a po obu jej stronach chłopak z grzywką i pogodnie uśmiechnięty Borys. Odłożyła na bok wymiętolony

- ubrudzony tłustymi plamami jadłospis w ich języku. Zapowiadało się na maglowanie. Blondyn podrapał się pod koloratką i przekładając w palcach jej dokumenty, zadał kluczowe pytanie wieczoru:

- Kim ty, kurwa, jesteś?

Kłąb dymu uleciał nad stół. Machnęła ręką nad miską.

- Zacznijmy od tego, że jestem niepaląca.

- Wiesz, o co pytam.

- Już trzeci raz czytasz moją odpowiedź.

Pochylił się nad stołem i położył na nim jej własność.

- Żyjemy tu już jakiś czas i jeszcze spotkaliśmy kogoś, kto zachował swój ojczysty język.

Odłożyła łyżkę i spojrzała w jasne oczy.

- Nie ma w tym świecie nikogo takiego jak ty. Ani tu, ani w dwóch pozostałych piekiełkach.

- Witaj w moim koszmarze.

Nie skomentował jej słów, bo właśnie mijali ich wychodzący. Westchnął zrezygnowany.

- Wcześniej czy później wyda się, że jesteś... - szukał określenia - ...inna.

- Wcześniej. Muszę tu normalnie funkcjonować, więc...

- Gdzie będziesz mieszkać? - spytał Prince.

Sięgnęła ręką do kieszeni i wyciągnęła klucze. Położyła je na metalowy stół. Para zwykłych kluczy na zarzewiałym kółku. Szczur parsknął i zaczął je oglądać.

- Myślałem, że nasze kwatery przerobili na magazyn.

- Przerobili. - Wyjęła mu je z palców i wsadziła z powrotem do kieszeni kurtki. - Czy skończyliśmy ma dzisiaj, bo muszę się jeszcze rozpakować?

Spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Klecha zgasił papierosa o metalową nogę krzesła i wystrzelił niedopałek palcami za uchylone okno.

- Nie spóźnij się. Koshe nie lubi... wielu rzeczy.

- Nie musi mnie kochać.

Makaroniarz parsknął szczerze ubawiony.

- To jesteś jedyną babą w promieniu, niech pomyślę, od muru do muru, która nie chce być kochaną przez Koshego.

Z jej miny wynikało, że nie rozumie, o czym mówi. Odsunęła krzesło i podniosła tacę.

- Jeśli to wszystko, pożegnaj się już. Do jutra. Będę punktualnie.

Borys przepuścił ją i podziękowała mu delikatnym uśmiechem. Do okienka zwrotów brudnych naczyń miała jakieś dwadzieścia metrów. Szła dzielnie, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie nachalne spojrzenia. Zrobiło się niemal głucho i tylko z kuchni dobiegały na salę odgłosy krojenia, siekania i okrzyki kucharzy. Dla lepszej oceny nowego nabytku dwóch wstało i poszło za nią krok w krok. Nie spieszyła się. Podała tacę starszej kobiecie i odruchowo wyrwało jej się, bo taki mała zwyczaj wpojony od dziecka.

- Dziękuję.

Mężczyzna za nią wypuścił tacę z ręki i wszystko poleciało na podłogę z łoskotem. Odeszła szybszym krokiem, by nie wzbudzać niezdrowej ciekawości. Skrzydło wielkich drzwi machnęło się kilka razy, zanim osłupiały, zaczął zbierać skorupy. Jego towarzysz zapomniał zamknąć ust i gapił się w nicłość.

Klecha odpalił kolejnego papierosa. Zapalniczka zamknęła się wraz ze zgrabnym ruchem nadgarstka.

- Panowie, nowa mała w cyrku. - Zaśmiał się leniwie i wypuścił długi strumień siwego dymu.

# Zakład

Gdy weszli do sali przy wejściu w portal, już na nich czekała. Szczur chciał powiedzieć coś dosadnego, ale kątem oka spostrzegł stojącego przy centralkach Starego. Opierał się o barierki na półpiętrze. Cała konstrukcja zespawana była z metalowego stelaża oplecionego siatką ogrodzeniową. Gdyby gdzieś istniała nagroda za miejsce, które w pełni wykorzystuje odpadki, wygraliby w przedbiegach.

Kapitan machnął na Koshego, który podszedł, choć bardzo niechętnie.

- Pamiętaj, że to jej pierwszy raz. Nie bądź aż takim sukinsynem.

Koshe spojrzął w dół na swój nowy nabytek.

- Powinienem się obrazić. Mówisz do mnie tak nieczule.

- Czule. Powiedziałem: „nie aż takim”.

Wymiana spojrzeń była konieczna. Kapitan znał swojego ucznia i dobrze wiedział, że bez profilaktycznej reprimendy już w windzie ustawiałby ją po swojemu.

Dziewczyna nie patrzyła na dwójkę na galerii. Bardziej ciekawiło ją to, co widziała przed sobą. Klecha miał pod sutanną spodnie, takie jak kapitan - z wszytymi, sztywnymi kaburami. Stał z nieodzownym petem w zębach i ogólnym tumiwisi- zmem na twarzy, kontemplując odpadający ze ściany tynk.

Prince, w swoim barwnym wdzianku i z lizakiem w ustach, sprawdzał po raz czwarty, czy łączy jej komunikator. Borys na szerokim skórzanym pasie miał wysięgnik z podłączonym działkiem. Sprawdzał jego mobilność, kręcąc nim na boki. Gdy się odwrócił, zobaczyła wielką rurę, a właściwie jednorurowe działo. Ona nie uniosłaby pewnie samych pasów, ale Borys był olbrzymem. Uśmiechnął się do niej łagodnie i spytał, jak jej minęła pierwsza noc na pokładzie. W odpowiedzi wydukała coś bez sensu, ale olbrzym nie zmienił pogodnego spojrzenia.

Najbardziej intrygująco wyglądał Szczur. Jego zbroja błyszcząca czystym metalicznym światłem, wypolerowana na błysk. Egzoszkielec. Widziała prototypy, ale nigdy w pełni działającego urządzenia, a może telewizja nie pokazywała wszystkiego? Borys poprosił młodego o podtrzymanie wielkiej bazooki. Na twarzy Szczura nie pojawił się nawet cień wysiłku. Metalowa przegubowa rękawica uniosła ją bez problemu. Tylko gdy się poruszał, dało się słyszeć cichy hydrauliczny odgłos. Do pleców przytwierdzony miał duży pojemnik - zapewne baterię albo coś w tym rodzaju. Na obojmy głowy umieszczony był okular z celownikiem i lunetą. Gdy stanął z boku, widziała przez moment to, co on. Nie wiedziała, jak tym steruje, ale ostrość dostrajała się szybko, z automatu. Poza tym ubrany był zwyczajnie, w koszulkę z bazgrołem „napis testowy” i poszarpane dżinsy.

Gdy szare, odrapane drzwi windy rozsunęły się szeroko, weszli do niej, jakby wchodzili do baru. Koshe - ostatni. Wyglądał inaczej niż wtedy, w szatni. Jego czarne połyskliwe włosy zebrane były w irokeza, który pomagały utrzymać w pionie niecodzienne spinki: srebrne pazurki wykonane na wzór szponów ptaka zbierały je od skroni aż po kark. Grzywka opadała mu na oczy. Poza tym ubrany był w takie same jak reszta zespołu spodnie z wszytymi kaburami i czarną koszulę do kompletu. Spod podwiniętych rękawów wystawała bransoleta zegarka z wieloma tarczami.

Oparła się bokiem o ścianę i poczuła na skroni jej chłód. Odwrócił się do niej, ale nie podniosła oczu.

- Zanim dostaniemy pozwolenie i nacisnę guzik, uprzedzam, że to dość osobliwe odczucie - mruknął.

- To nie jest mój pierwszy raz - powiedziała spokojnie.

Uśmiechnął się półgębkiem, złośliwie.

- Dużo masz ostatnio tych pierwszych razów.

- Z chamstwem też spotykam się nie po raz pierwszy, więc nie sil się na oryginalność.

Przestał się śmiać i gdyby wzrok działał jak trzaska w pudełku od zapalek, spłonęłaby żywcem. Widać nie był przyzwyczajony do takich odzywek.

Prince siedział w centralce. Jego komenda zaczęła się od odgłosu wyciąganego z mlaskiem lizaka.  
- Kszszszszy - zapiszczał do mikrofonu. - Tu centrum kontroli teleportacji - naśladował głos przepitej stewardesy. - Za chwilę dostaną państwo pozwolenie na start.

Klecha wypuścił kłęb dymu i uśmiechnął się szeroko.

- Niech mnie pani potrzyma za rękę. Boję się latać.

- Za molestowanie personelu pokładowego można skończyć w wiosce mormonów. Papierowe torebki rozdane, pasy i rozporki zapięte. Zaczynam odliczanie. Trzy świnki, dwie świnki, jedna świnka...

Koshe wbił pięścią czerwony gumowy cycek na ścianie. Jedyny, jaki był wewnątrz poobdzieranego pudła. Czerwone światło zalało wszystko wkoło. Ostatnie, co zapamiętała, to wściekłe spojrzenie swojego dowódcy. Potem ściany zaczęły wysysać się na boki, a uczucie ogromnego przeciążenia zastąpiła niebywała lekkość.

Otworzyła oczy. Wszyscy się na nią gapili. Odetchnęła głębiej i założyła włosy za uszy. Było gorąco i sucho. Rozejrzała się dokoła.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

Nadal mówisz swoim dialektem - skrzeknął Szczur i to, że mówił po hiszpańsku, wcale nie złągodziło jego ochryplego głosu.

- A wy nie, ale i tak was rozumiem.

Klecha zgasił papierosa w spalonej słońcem ziemi.

- Witaj w naszym koszmarze - powiedział bez akcentu.

Stali na wzgórzu, w dole widniało malowniczo położone

miasteczko. Bielone ściany domów, czerwona dachówka, wąskie kamienne uliczki.

- Mamy tu zarazę. Padają zwierzęta, więc rutynowo wybijamy Hieny. Gdyby się jednak coś napatoczyło, a zwykle tak właśnie jest, również to dezaktywujemy - poinformował dowódca, stojąc bardzo blisko za jej plecami.

Ruszyli w dół, w stronę miasta.

Szli, starając się omijać ludzi. Z tego co mówił jej kapitan, zderzenie z żywą istotą jest nieuniknione, ale do przyjemnych nie należy. Ruch ciała wtedy zwalnia. I mimo że jest to codzienność, kazał tego unikać. Poza tym w świecie ludzi nikt ich nie widział, a kule, które nie trafiały w cel, rozpląwały się przy zetknięciu z materią nieastralną.

Szli za Koshem aż do rynku w centrum. Mały kościółek lypał na nich ciemnym okiem rozwartych odrzwi. Kilkoro dzieci chłodziło się w fontannie. Z knajpek dochodziła ich senna muzyka z radia. W ogródkach pod parasolami siedzieli tutejsi i popijali, czytając gazety. Jakaś kobieta trzepała w oknie makatkę, inna podlewała kwiaty na parapecie. Leniwa miłośnica pośrodku niczego.

- Najwięcej jest ich w dwóch miejscach. Na północ, przy spichlerzu, i na południowym wschodzie, tuż za supermarketem. Zwierzęta chowają się tam w cieniu i zdychają - odezwał się Makaroniarz.

- Ile sztuk? - spytał Szczur.

- Czytnik wariuje.

- Zacina się przy dwudziestu - skomentował Kaznodzieja i machnął nadgarstkiem, by zamknąć zapalniczkę. Ja idę pod spichlerz, Klecha i Szczur za sklep. Borys i Bura pokręcą się po okolicy i ewentualnie, powtarzam - spojrział w brudne tęczówki - ewentualnie wybiją pojedyncze sztuki.

Rozeszli się, zostawiając ich pośrodku rozgrzanego słońcem placu. Fontanna szumiała zachęcająco. Borys usiadł na murku, który ją otaczał.

- Żałuję, że nie wzięłam foremek. Poklepałabym babki dla zabicia czasu.

- Daj mu się oswoić z sytuacją. Każdego z nas gnębił na początku.

- Nie o to mi chodzi. Chciałam się czegoś nauczyć, a jak tak dalej pójdzie, nie będę miała szansy.

- Chodź, pokręcimy się po okolicy. - Poklepał ją po ramieniu tak, że omal nie połamał obojczyka.

Wstali i poczapali w jedną z najbliższych uliczek. Nie zauważyli niczego podejrzanego, więc szli dalej. Nagle się zatrzymała.

- Borys, jak myślisz, skąd ta zaraza? Ludzie nie chorują, tylko psy, koty, wiewiórki. - Popatrzyła na padlinę w zaułku.

Borys myślał w ciszy, by zabłysnąć po chwili.

- Woda. Ludzie piją wodę z kranu, oczyszczoną. Zwierzęta piją skąd bądź.

- A gdzie na tym pustkowiu może być taka woda. Ścieki?

- Popatrzyła dokoła. - Prince, jest tu jakaś rzeka?

Borys uśmiechnął się pod nosem. Podobało mu się, że nie jest wstydliwą panienką.

- Sprawdzam. A na przyszłość radzę wyciszać mikrofon

- parsknął.

Akurat wisało jej, czy ktoś słyszał ich rozmowę.

- Znalazłem jedną smródkę za miastem. Idźcie prosto. Jest za wzgórzem.

Ruszyli szybszym krokiem. Miasteczko nie było duże, więc wkrótce minęli ostatnie budynki. Borys był wyższy, więc widział więcej. Zanim wyszli zza wzgórza, kłapnął ją ręką z góry, .iż wbiła się w piach po kostki. Wychyłili się na jego znak.

Nie miały barw maskujących. Ich brudne futra nosiły ślady tarzania się w padlinie. W wodzie, która przesiąkała płytką kałużą od strony rzeki, leżały ciała saren, psów, kotów i licho wie czego jeszcze. Wiatr przywiódł smród w ich stronę.

- Widzisz kanister na brzegu?

- Tak - odszepnęła.

- Jakiś pestycyd. Ktoś albo wyrzucił, bo nie wiedział, że niecka wypełni się wodą, albo zrobił to specjalnie. Może chciał zabić uciążliwego psa sąsiada.

- Albo wybić cudze stado owiec. Spójrz na prawo.

Rzeczywiście. Stało tam dogorywające stado jakichś dwudziestu sztuk.

- Hieny polują i bronią się w grupach. Nie słychać strzałów, więc chłopcy jeszcze nie zaatakowali. Gdy to zrobią, te też się rozbiegną. Roboty na cały dzień. Tu jest ich na oko koło pięćdziesiątki. Są najedzone, ale to nie znaczy, że nie podejną do stada i nie będą żerować dalej. Na razie owce są zbyt zdrowe, ale to kwestia minut, by je wyczuły. Niedobrze.

Myślała przez moment, po czym wyciągnęła coś z kieszeni. Granat miał zasięg dwudziestu metrów. Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Koshe obedrze mnie ze skóry. - Pokiwał głową.

- Albo i nie, jeśli nam się uda.

Oboje już dawno wyciszyli mikrofony. Tamci pewnie zrobili to samo, bo nie słyszała ich rozmów.

- Zaufaj mi. Poza tym, kiedyś musi być ten pierwszy raz i lepiej wcześniej niż później.

W orzechowych oczach Borysa zabłysły ogniki. Nie czekała na inną zgodę.

Prześlizgnęła się na czworakach w stronę stada najciszej jak umiała. Podniosła się i weszła między śmierdzące runo.

Oceśniła, gdzie mniej więcej może być środek, i ułożyła granat. Wyglądał jak jajowaty żuk i nie rzucił się zbyt w oczy. Wycofała się tyłem i po chwili była już obok Borysa. Niedługo potem Hieny zaczęły podchodzić do owiec. Wielkie szerokie łapy uderzały w truchło, by wydobyć zeń resztki ducha, którego oni nie widzieli. Mniej więcej w tym samym czasie usłyszeli pierwsze strzały.

- Teraz - powiedział Borys.

Nacisnęła przycisk zapalnika. Smugi jasnego światła przeleciały nad ich głowami. Stado nawet nie pisnęło. Borys wychylił się, gdy znikło całkowicie.

- Dobra nasza. Teraz tylko czekać na te, które się zbiegną.

Nie czekali długo. W słuchawce usłyszała dowódcę.

- Borys, to ty?

- Tak, to my.

- Kryjcie się. Idą prosto na was.

- Nie podchodźcie zbyt blisko. Mamy dla nich niespodziankę - odezwała się spokojnie.

Borys uniósł brew, ale było za późno, by wyrzeć. Zbiegały się ze wszystkich stron. Ich cielska waliły o ziemię i choć nie wzniewały kurzu, a ich pazury nie pozostawiały śladu na twardej ziemi, brzmiały jak stado słoni, a nie kotowate demony. Gdy w miarę ucichło, wyciągnęła za pazuchy kolejny zapalnik. Borys zaśmiał się i przysunął komunikator bliżej ust.

- Padnij, panowie. Kobieta wali z setki.

- Z setki?! - usłyszała krzyk Makaroniarza.

Setka biła na sto metrów. Używali jej sporadycznie i jedynie na otwartym terenie. Wszystko się zgadzało, tylko że to ona naciskała czerwony guziczek, do czego ich męskość chyba nie przywykła. Jasne oślepiające światło dotarło nawet do pierwszej linii domów. Potem znikło.

- Czy któraś została? - rzuciła do mikrofonu.

- Ani sztuki już nie ma, ale co się dziwić. To ładunek pierw • szoligowy. Brawo, Bura. Twoje pierwsze duże bum.

- Dlaczego Bura? - spytała jakby siebie. - Ksywkajakdlapsa.

Ktoś stanął na szczycie pagórka nad jej głową. Nawet cień bił niezadowolaniem.

- A dokładniej jak dla kundla.

Koshe nie był ani trochę zachwycony jej pierwszym bum.

- Następnym razem zaczekajcie na wsparcie. Gdyby chociaż jedna podeszła bliżej, byłoby po was. Dla nich pachniemy jak szynka parmeńska. Czy wyraziłem się jasno?

Gapił się na nią z wściekłością. Nie lubił jej i nie ukrywał tego faktu.

- Normalnie zgłodniałam. - Spojrzała lekceważąco na zegarek. - Jeśli kończymy na dzisiaj, to zdążę wziąć prysznic przed obiadem.

Nie wybuchł, ale widać nie doprowadziła go jeszcze do wrzenia. Wycofali się na rynek, słuchając Princea, który pluł im w uszy jakieś zasłyszane w centrali plotki. Nie znała ani jednej osoby, o której mówił. Wrócili z tego samego miejsca.

- Trzy świnki, dwie świnki, jedna świnka...

Szkółka była prowadzona przez Hitlera, a jej grupie przydzielono instruktora rodem z SS. Chodził sztywno jak kukielka i mówił jak stara dobra pepesza. Nie było ani jednego niepotrzebnego oddechu. Wypluwał z siebie monotony potok wrzasków i nie zaszczycił żadnego z nich chociażby spojrzeniem. Chodził wzdłuż rzędu i zagłuszał sąsiada, który mówił coś do swojej grupy. Przegięli już na samym wstępie. Na zakończenie swojego wywodu, którego i tak nikt nie słuchał, kazali im powtórzyć hasło dnia.

- Jesteście gównno, babracie się w gównie i gównno z was zostanie! Powtórzyć!

- Jesteście gównno, babracie się w gównie i gównno z was zostanie!! - poszło po placu.

- Że co, kurwa? - Poczerwieniał. Z rzędu obok doszły ich ciche chichoty.

- Ja wam pokażę świat od strony dupy - wysyczał Pepesza. - Tak was przeciągnę, że przy was dżdżownica będzie ptakiem! Na liny, gównojady!!

Pobiegli w stronę parku linowego.

- Pieprzone dusze z resajklingu - warknął i splunął z obrzydzeniem.

Ktoś otworzył drzwi i wyciągnął rękę do włącznika.

- Nie! - krzyknęła. - Bo mnie popieści.

Otworzył drzwi szerzej. Pośrodku pomieszczenia stało krzesło, na nim taboret, a na nim, chybocząc się, ona. Światło mrugnęło dwa razy i pojaśniało. W kontakcie siedziała zapalka. Dobrze to wykombinowała. Kiedy tu mieszkali, też tak robili. Powoli zgramoliła się w dół. I na nowo zaczęła ustawiać wieżę tym razem pod lufcikiem z klimatyzatorem. Postawił tacę z jedzeniem na skrzynkach i usiadł na pryczy. Więzienie było przytulniej sze. Tę kwaterę przydzielono im na początku istnienia grupy Koshego. Tak dawno temu, że niemal zapomniał, jak się czuł za tamtych dni. W tym pokoju mieszkali on i Ron. Na ścianach zostały jeszcze ślady ich ostatniej popijawy. W kątach kurz i mysie bobki, a pod sufitem girlandy pajęczyn. Wyciągnął papierosa i położył się na szarym gryzącym kocu. Sprawdził, co ma pod głową. Tam też leżał zwinięty koc. Krzesło, na którym stała, chybotąło się na boki. Słyszał, jak upadają na podłogę odkręcane śruby, a potem jak siłuje się z pordzewiałą obudową. Usłyszał wyraźne „ohyda” i na podłogę spadło mysie truchło.

- Zjedz, bo wystygnie.

- Myślałam, że nie wolno jeść poza stołówką - mruknęła z nosem w zakurzonych kablach.

- Bo nie wolno, a przynajmniej nie wszystkim.

Coś zatrybiło i klimatyzator wypluł chmurę pyłu. Kaszlnęła i konstrukcja poruszyła się spazmatycznie. Podniósł leniwe spojrzenie. Stała tuż nad jego głową. Ubrana w dzinsy, biały podkoszulek i koszulę w kratkę. Włosy spięte w beładny kok. Przygryzała wargę z taką zaciętością,

że gdyby od tego zależała naprawa, siłą woli odpaliłaby T34. W końcu mechanizm ruszył i przykręciła obudowę z powrotem. Przystawiła krzesło do skrzynek.

- Co to jest?

- Dziś mamy piątek, czyli wszystko z tygodnia - odpowiedział ubawiony.

- Ale to jest zielone.

- Dodają groszek, żeby zabarwić papkę. Jak trafisz na mięso, dobrze radzę ominąć.

Dłubała od niechcenia i popijała rozwodnionym sokiem.

- Nie podпалиłeś papierosa, bo szanujesz moje płuca czy masz dziś jakieś święto?

Zamknął oczy. Nic dziwnego, że jest dla Koshego jak ropna wysypka między półdupkami. Nie jest głupia, a w dodatku nie nadskakuje mu cyckami. Zresztą nie miałaby czym. Spojrzał na nią. Nawet nie nosiła staników, które ukryłyby jej liche kształty. W fiszbinach i silikonowych wkładkach. Znał się na tym chyba bardziej niż na swoim fachu.

- Ograniczam - mruknął, a po chwili dodał: - Słyszałem, że podpadliście Katarynie.

- Wolę nazywać go Pepeszą.

W półmroku błysnęły zęby.

- Też ładnie.

Odstawiła tacę i łyknęła soku po raz ostatni. Usiadł na łóżku i wsadził papierosa za ucho. Nie miał na sobie swojej sutanny. Grafitowa koszula była niemiłosiernie wymięta. Popatrzył na jej niewielki dobytek rozłożony na półce. Kiedyś trzymał na niej osprzęt do aparatu. Cisza była niezręczna.

- Musisz nauczyć się z nim dobrze żyć. Może wydawać się szorstki, ale jeśli to przetrzymasz, dalej będzie lepiej. On nie lubi...

- Wielu rzeczy - wcięła mu się w słowo. - Już mówiłeś.

- To powtórzę.

Wstał i podszedł do niej, by wziąć tacę.

- Dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

Popatrzył na nią, jakby była Yeti. Chyba nie dziękowano mu za często.

- Pepesza jest nienormalny. Nie ma na niego żadnego haka, więc staraj się nie podpaść mu bardziej.

Uśmiechnęła się, choć był to raczej grymas goryczy.

- Obiecuję, że jeśli Koshe nie będzie mnie drażnił, nie będę mu ciężarem.

Miała świadomość, że właśnie o to mu chodziło. Przyszedł tu po to zapewnienie i je dostał. Nie odpowiedział słowem, ale wiedziała, że jest zadowolony z takiego układu.

Następnego ranka mieli pomóc innej grupie. Wszystko wyglądało podobnie, ale gdy weszli do windy, Makaroniarz miał problem z centralką. Cieszyła się, że nie ma klaustrofobii. Stali dłuższą chwilę, słuchając, jak klnie.

- Na pych ją odpalasz? - skrzeczał Szczur.

- Nie, kurwa, walę z dyni w rozdzielnię - warknął.

- Stąd to echo.

Coś załomotało w kraty półpiętra.

- No - usłyszeli w słuchawkach. - Laczek dobry na wszystko. Kontrolki mrugają jak portowe dziwki. Dajcie mi chwilę, bo muszę sprawdzić wtyki.

Koshe odwrócił się do niej. Oparła się o ścianę i udawała, że nie widzi jego obojętnej miny.

- Mam dla ciebie zadanie na dzisiaj - odezwał się beznamytnie i wyciągnął coś zza pazuchy.

W ręku dyndały mu foremki i łopatką w pomarańczowej siateczce. Szczur parsknął i rozwył się na całego. Spojrzała na Kaznodzieję. Z jego miny wywnioskowała, że ich wczorajszy pakt właśnie wygasł.

- Jak miło. Dzięki - zaświergotała. - Ale skoro dajemy sobie prezenty, to ja też mam coś dla ciebie.

Wyciągnęła z kieszeni wyprasowany i równo złożony kawałek białego płótna. Wziął go ostrożnie.

- Rozwiń. To w sumie niewiele, ale skoro jesteśmy razem w drużynie i w ogóle. - Machnęła ręką jak piszczący podłotek.

To był duży worek na bieliznę, który dostaje się w pralni. Jego nazwisko było na nim namazane czarnym flamastrem.

- Co to jest? - spytał osłupiały.



- Powłoczka - zakwiliła i dodała po chwili cierpkim od życzliwości głosem: - Na twoje ego.
- Odpalamy. Trzy świnki, dwie świnki, jedna świnka...
- Miał taką twarz, że sama walnęła w cycek.

Wylądowali i Borys z miejsca zgarnął ją za kołnierz. Machała nogami w locie przez dobre dwadzieścia metrów. Zatrzymała się plecami na murze. W słuchawce wrzeszczał Prince.

- Spierdalajcie stamtąd! Pulsar na północnym wschodzie! Ośmiornice w odwodach!
- Odruchowo ustawili się z Borysem plecami do siebie. Uspokoila drżenie dłoni, bo lufa biegała jak wskaźnik sejsmiczny przy dziewięciu w skali Richtera. Oddychała głęboko.
- U nas cisza - zameldował Borys.
  - Bura jest z tobą?! - spytał Prince.
  - Tak. U nas cisza.

Gdzie indziej nie było już tak łatwo. Słyszała krzyki, strzały i wizg potworów. Rozeszli się na boki zatłoczonej ulicy. Wycelowany pistolet trzymała przed sobą. Zmysły działały jak sito wszelkich bodźców. Szczekanie psa pod sklepem, radio w taksówce, rowerzysta jadący pod prąd. Rozejrzała się po billboardach. Byli w Ameryce.

- Rzeźnia. Jakaś sekta popełniła zbiorowe samobójstwo - relacjonował Szczur.
- Usłyszała głośnie strzały i wyraźny odgłos biegu.  
Mam cztery... - kilka ciężkich wdechów - ..za plecami.

Poznała głos Klechy. Zdecydowała w jednej chwili. Podbiegła do Borysa.

- Wyciągnę Pulsara na środek skrzyżowania. - Wskazała czteropasmowy iks między budynkami, na którym ani przez moment nie ustawał ruch. - Uda mi się. Ty znajdź dobry punkt do strzału.

Popatrzył na nią z wysoka. Ta mała była szalona.

- Proszę, zaufaj mi. - Krzyki w słuchawce nie dawały jej uspokoić myśli, więc ją wyciągnęła.
- Będziemy mieć duże kłopoty - powiedział niepewnie z rosyjskim akcentem.
- Ty jesteś duży. - Zamachała przed nim rękami, usiłując ogarnąć jego szerokie bary. - Co to dla ciebie taki kłopot.

Uśmiechnął się.

- Masz pięć minut, potem powoli dochodzimy do reszty, jeśli się uda.
- Dzięki, Borys.
- Za co?
- Za to, że nie ciąży ci niańczenie mnie.

Poklepała go po ramieniu i wbiegła między strumienie samochodów. Chwilę zajęło jej dotarcie na miejsce. Uspokoila oddech i przełknęła ślinę. Borys zdążył wejść na dach budy z żarciem i ustawić się do odpalenia. Klęczał na jednym kolanie i gdy zobaczył, co robi dziewczyna w czarnym kombiniezonie, zaklął szpetnie i ręka mu opadła.

- Tym razem Koshe zabije nas oboje - powiedział z pełnym przekonaniem.

Jeden pistolet trzymała luźno w ręku, drugi przyłożyła sobie do skroni. Czują chłód lufy. Zamknęła oczy. Zaczęło się najdłuższe pięć minut w jej życiu.

Jedna z Ośmiornic uciekła Szczurowi spod lufy. Potrafiły poruszać się po gładkich powierzchniach lotem błyskawicy.

- Co jest, kurwa? - Rozłożył ręce.

Po drugiej stronie brudnego korytarza czynszówki stał Koshe. Klecha zdyszany głosem powiedział, w którym kierunku biegać. Rzucili się w pogoń całkowicie zdezorientowani. Prince podał koordynaty drugiej grupie, która była na miejscu pierwsza.

Ośmiornic było ponad dziesięć. Był to rodzaj demona, który żywi się duszami samobójców. Potrafi miesiącami trwać uczipiony pod sufitem, za oknem, w szafie i podsycać desperację przyszłego dania. Karmić się jego smutkiem jak przystawką. Wyglądał jak galaretowata kałamarnica z czymś w rodzaju ruchomego oka na grubym łbie. Dziewczyna na schodach przeciwpożarowych nie miała pojęcia, że właśnie otoczyła ją śliska sina macka. Uchwyciła się jej jak latarni T przeskoczyła na budynek obok. Ośmiornice zwykle były wielkości półciężarówka, ale ta wydawała się wyjątkowo obżarta. Klecha biegł po dachach, przeskakując między nimi. Nie spuszczał jej z oka.

- Pierdolony Spiderman - wycharczał.

Stała niewzruszenie, poruszając jedynie ustami. Pierwszy zauważył ją Szczur. Okular dostosował ostrość. Była w linii prostej jakieś czterysta metrów przed nimi.

- Co ta idiotka wyprawia? Borys!
- Wie, co robi, więc jej nie przeszkadzaj - mruknął zamerykanizowany Rosjanin.
- Pulsar idzie prosto na was, Borys! Spieprzajcie stamtąd! To nie nasza liga! - krzyknął Makaroniarz.

- Spaghetti, spokojnie - odparował dziwnie podekscytowany i ustawił celownik na zbliżający się gigantyczny obiekt. - Młoda ma więcej ikry od zmutowanego jesiotra - dodał cichym skoncentrowanym basem.

Sekundy mijaly w ślimaczym tempie. Łzy ciekły jej po policzkach. Szept przechodził w szloch. Pulsar pojawił się znikąd i rozłożył cielsko, lewitując nad skrzyżowaniem. Żerowały na wszystkim, ale najbardziej lubiły desperację mordy. Afekt, bójka ze skutkiem śmiertelnym, gwałty, molestowanie i wszelki inny rynsztok, łącznie z samobójstwem. Rzadko pojawiały się wspólnie z Ośmiornicami, ale teraz tak właśnie się stało.

Rozłożył pulsujący płaszcz nad skrzyżowaniem i karmił się jej desperacją. Pomimo zamkniętych oczu czuła jego siłę. Podjudzał w niej strach, budził zapomniane sceny w pamięci, mącił umysł. Usłyszała wizg Ośmiornic. Były blisko. Podniosła oczy. Płaszcz nad nią był czarny jak noc. Przypominał wielką amebę, która płynie w powietrzu.

- Borys - szepnęła.
- No to bum - usłyszała w słuchawce.

Działo wydało z siebie dźwięk zasysanego powietrza. Pulsar dostał prosto w środek i zdychał w męczarniach. Jego kawałki padały na przechodniów, samochody i wystawy sklepowe. Co dziwne, ludzie odbierali to jako wiatr, który zerwał się znikąd.

Ośmiornice rzuciły się na nią w jednym momencie. Wystrzeliła z dwóch luf naraz. Spadła jedna z latarni i jedna ze ściany budynku. Biegły do niej rozwścieczone po maskach samochodów, które czekały na światłach. Borys zjawił się chwilę potem. Działko wypluło z siebie masę łusek. Wizg umierania demona nie dał się porównać z żadnym innym dźwiękiem natury. Walili w nie wszystkim, co mieli. Nie było możliwości odwrotu i przez moment żałowała, że kiedykolwiek pomyślała o takiej pracy, ale było za późno na mazanie się. Zmieniła magazynek już dwa razy. Ostatnią położyła, gdy zapaliło się zielone światło. Stali jeszcze przez chwilę w pełnym skupieniu. Słyszała, jak obrotowa lufa działka zatrzymuje się powoli. Klecha wstał zza skrzynki pocztowej. Szczur i Koshe wyszli z paki ciężarówki zaparkowanej na rogu. Kierowca wypakowywał z niej kolekcję futer. Opuściła ręce i odetchnęła z ulgą. Wytarła oczy ramieniem. Weszli z Borysem w zaułek, w który zaciągnął ją, gdy wylądowali. Popatrzyli po sobie zmęczonym wzrokiem i zaczęli się histerycznie śmiać. Przerwał im inny śmiech. Do tej pory nie wiedziała, że można śmiać się z akcentem, ale naprawdę tak było. Kucnęła, bo choć była ciekawa, kto to, adrenalina opadała, a wraz z tym ogarnęło ją znużenie. Podszedł do nich mężczyzna w białym, siatkowym, obcisłym podkoszulku. Przywitani się z Borysem solidnym uściskiem dwóch niedźwiedzi.

- Wiedziałem, że przyślą nam najlepszych, bo ścierwa byfc> po moje złote zęby. - Uśmiechnął się szeroko i górna piątka błysnęła mu pokazowo. - Ale, że Koshe dorobił się nowego, tom nie wiedział.

Był starszy od Borysa, bardziej narwany i dosadny. Przyglądał się jej z uwagą. Wstała i podała mu rękę, którą uprzednio wytarła o spodnie.

- Miło mi poznać. Na imię mam Lilith, ale ochrzcili mnie Bura. Zupełnie nie wiedzieć czemu.
- Ty mówisz po swojemu. - Wytrzeszczył oczy.
- Tak. Bura to jedyny taki egzemplarz - pochwalił się Borys.
- Powinni cię nazwać Szalona. Takich rzeczy nie widuje się codziennie. - Pokręcił głową. - Ja jestem Rasputin, dowódca Iwanów, jak nas nazywają. A to... — pokazał na zbierających się wokół nich - ..moja ekipa.

Przywitała ich kiwnięciem głowy i przyglądała im się z uwagą. Widać było, że Borys zna tych chłopaków dość dobrze. I nie tylko on. Klecha i Szczur witali się z nimi jak kumple od niejednej walki. Spuściła oczy i czekała na najważniejszego w ich stadzie. Czuła przez skórę, że nie będzie łatwo.

Nagle usłyszała, jak ktoś zbiega pionowo po ścianie. Wiedziała, że tak potrafią, ale było ich więcej niż jeden. Ktoś zeskoczył tuż za nią. Odwróciła się powoli. To nie był wściekły Koshe. Ten ktoś miał

na sobie połyskliwy czarny kombinezon i hełm z osłoną na oczy. Zdjął go powoli. Mężczyzna. Z jego wściekłych oczu waliły gromy. Patrzył na nią z pogardą. Zaczynała się do tego przyzwyczajać.

Coś ty sobie myślała? - syknął do niej.

- Dokładnie czy tak ogólnie? Bo nie wiem, czy uwzględnić listę zakupów?
- Panowie, spokojnie - odezwał się Rasputin. - W końcu gramy do jednej bramki.

Dowódca Iwanów dostał swoją działkę wzrokowej nienawiści.

- No to był spalony. Czego was tam uczą w tym kurwi- dołku?
- Zdalnego podniecania panów w średnim wieku - wypaliła, ubawiona nabrzmiałą żyłą na jego szyi.

Prince prychnął jej w ucho. Nie ugięła się pod wściekłym spojrzeniem nieznanego.

- Dziewczynko, to był Pulsar, nie Hiena - wygarnął jej w twarz. - Umiesz coś poza wpierdalaniami się w nie swoją robotę? To był nasz demon.
- Masz na niego paragon czy chociaż obrożę? Niech zgadnę? Daliście mu z żoną Pimpus, po dziadku?

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Któremu dowódcy dajesz dupy, że pozwała ci na takie pyskówki? - mruknął niebezpiecznie nisko.

- Żadnemu - usłyszeli w końcu zaułka.

Koshe przyglądał się temu od dłuższej chwili. Chciał się wtrącić, ale do tej pory to bezczelne, kukułcze jajo, drażniło tylko jego nerwy. Przyjemnie było patrzeć, jak zjednuje sobie nowych wrogów. Była w tym naprawdę niezastąpiona.

Podszedł do nich wolno.

- Koshe. Można się było tego spodziewać. Tylko ty spuszczasz swoje psy tak blisko naszych.
- Uważaj na język - powiedział spokojniej niż zwykle.

- Bo co? Mam się ugiąć przed twoim szlacheckim tyłkiem? - zadrwił. - Zabieraj swoich niedouczonek gówniarzy i zmiatajcie stąd, zanim nie uznam za słuszne opisać tego w raporcie.

Jedyne słowa, jakich nie tolerowała względem swojej osoby, to te odnośnie do jej edukacji. Zawsze była pilna i wiedziała po trochu o wszystkim, a przynajmniej się starała. Podpalili się w niej szczerzy ogień nienawiści do tego osobnika.

Koshe stał obok, ale zupełnie nie zważając na jego reakcję, zagarnęła go ręką za siebie. Ubawiło go to niemilosiernie, choć nie pokazał tego po sobie. Po raz pierwszy ktoś stanął w jego obronie, nie na odwrót.

- Ty połyskliwa parowo - wydyszała wściekle. - Było wyjąć dupę z dresu disco i pobiegać, zamiast się przyglądać. Jakoś nie widziałam, jak ty i twoje świetliki wojujecie w pocie czoła. A może tak wam ścisnęło jaja, że zapomnieliście, jak się biega i zgubiliście demona wielkości stodoły? Wracaj do biurka, gdzie twoje miejsce, i napisz w raporcie, że Pulsara sprzątnęła ci sprzed nosa dziewczynka i Rusek z bazooką. - Zaśmiała mu się prosto w twarz. - Bo takie są fakty.

Nie czekała długo na jego reakcję. Złapał ją za szyję i machnęła nogami w powietrzu. Przycisnął ją do muru.

- Puść - powiedział cicho jej dowódca.

- Ty kurw...

Nie dokończył. Widziała tylko, jak Koshe kładzie mu dłoń na ramieniu, a potem niezwykle szybko jakaś siła wbija mężczyznę w ścianę naprzeciwko. Osunął się na brudny chodnik i kaszlnął krwią. Roztarła sobie szyję, choć pociemniało jej od tego w oczach. Albo umknęło jej kilka klatek z filmu, albo to, co zrobił Koshe, było awykonalne.

- Zapominasz, do kogo mówisz.

- Nie! - zdołał krzyknąć do swoich, by nie zaczęli bójki.

Reszta w kombinezonach zamarała w pozach gotowych do mordobicia.

- Nigdy więcej nie obrażaj moich podwładnych. Zdarzyło ci się to już kilka razy i wystarczy jak na jedno życie.

Wstał, choć nie bez trudności.

- Nie masz na tyle honoru, żeby nie korzystać ze swoich przywilejów?

Pobawić się możemy zawsze. Wydobrzejesz do Koniunkcji, więc zapraszam do rewanzu. A teraz zabierajcie się, bo ja mam wrodzone wyczucie, kiedy spasować, ale moi ludzie już nie.

Połykliwe kombinezony rozmyły się w powietrzu. Znikli tak szybko, że nie była w stanie zarejestrować, kiedy to się dokładnie stało. Długą ciszę przerwał Rasputin.

- Czy mnie się przesłyszało, czy nazwałaś dowódcę Wojaków Parową?

Zakryła oczy i pisnęła cichutko.

- Przepraszam. Ale strasznie mnie - zrobiła pauzę na przemyślenie wulgaryzmu, którego chciała użyć - wkurzył.

Zaczęli się śmiać. Nawet wściekle oczy jej dowódcy roziskrzyły się na moment.

- A to dobre. - Dowódca Iwanów zarechotał.

Koshe zgarnął ją i odeszli kawałek.

- To, co dziś zrobiłaś, było skrajnie głupie - warknął, kiedy reszta nie mogła ich już usłyszeć, bo nie chciał psuć im humorów po udanej walce. - Pulsar to nie byle co, choć trzeba przyznać, że poszło ci lepiej niż niejednemu z wiekowym stażem. Różnica między tobą a doświadczonym jest taka, że on już niejedno widział i wie, co ryzykuje.

- A ja nie ryzykuję życia?

- Tak, tylko że twoje jest mniej warte.

Popatrzyła na niego, o dziwo, z pełnym zrozumieniem jego słów. Nie obraziła się, nie strzeliła focha.

- Od dzisiaj masz wolną rękę. Jeśli chcesz robić to po swojemu, rób. Przywykłem do tego, że jestem dowódcą tylko wtedy, gdy potrzebna jest na coś moja zgoda lub któregoś trzeba wyciągnąć z karceru. Tylko pamiętaj, że jeśli dasz się zeżreć, to ja będę brał za ciebie cięgi od Starego.

- Ojej. Chyba moja duma nie pozwoli mi brać za mnie odpowiedzialności komukolwiek.

Wysapał powietrze z takim zacięciem, że niemal widziała parę ulatującą z nozdrzy.

- Obiecuję, że nie dam się zabić.

- Z minuty na minutę jestem coraz bardziej przekonany, że Stary dokładnie wiedział, co robi, i tylko przy nas uchowasz się cało.

- Co masz na myśli?

- Z twoim charakterem w każdej innej drużynie albo rzeczywiście musiałabyś dać komuś dupy, albo sprzątałabyś im kwatery.

- Założymy się?

A już myślał, że nie spotka go nic dobrego tego dnia. Uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze. Skoro tak bardzo chcesz mi udowodnić, że mam rację.

- Panowie, zakładzik na trzeciej - pisał Makaroniarz.

- Prince, słyszałeś kiedyś o czymś takim jak prywatność? - wyszczał Koshe w pałąk od mikrofonu.

- Nie używam takich trudnych słów. Potem mi narysujesz. - Zaśmiał się.

Otoczyli ich kołem. Koshe obmyślał swój diaboliczny plan uśmiechnięty i zadowolony jak nigdy.

- Przez kolejne dni wyślemy cię na akcje z innymi drużynami. Ale w każdej będziesz miała tylko jeden dzień na udowodnienie, że dajesz sobie radę i to z równą pasją. Jeśli urobisz cię wcześniej, wygram. I wierz mi. Wymyślę ci takie zadanie, że zapragniesz wrócić do lat, w których ssie się kciuk i gaworzy.

- Nie podpalaj się tak od razu, bo jeśli ja wygram zakład, zrobię z ciebie gwiazdę.

Uniósł brew. Nie bardzo wiedział, o co może jej chodzić.

- Dosłownie - mruknęła, przytykając oczy z maksymalnym zadowoleniem.

- Rasputin już cię zna, więc jego sobie darujemy. Zaczynasz od jutra. Radzę wziąć ze sobą knebel. Będzie ci potrzebny.

Spojrzeni na siebie pełni zaciętości i ubawieni jednocześnie.

Ogłaszam wyścig za rozpoczęty - zakomunikował sztywno Prince. - Z uwagi na przymus poufności obowiązuje nas klauzula milczenia do dnia zakończenia tego jakże edukacyjnego eksperymentu. Jednocześnie przypominamy państwu, że zakłady przyjmowane są w naszej kolekturze do siódmej rano ostatniego dnia testu. A teraz zapraszamy wszystkich przy odbiornikach, na program o życiu zwierząt w gospodarstwie domowym. Trzy świnki, dwie świnki, jedna świnka...

Wieczorem naprawiali centralkę. Monitory stały w rzędzie, przegrodzone szerokimi dechami obitymi metalem. W ich budzie było mnóstwo małych papierów przytwierdzonych starymi magnesami z lodówki. Był kucharz z patelnią, któremu Prince dorysowywał wąsy, gdy się nudził.

Były warzywa z gumy, znaki zodiaku, literki z jogurtów i reklama piwa z piniącym się kuflem. Do namagnesowanej ściany przylegały również części zamienne do tej prehistorycznej machinerii.

Koshe zamawiał części przez telefon, a reszta czekała na werdykt grzebiącego w bebeczach rozdzielni jej głównego operatora. Prince leżał plecami na starej deskorolce, która była ich głównym narzędziem naprawczym, i klął, co chwila sycząc z bólu, bo pociął sobie palce o nieosłonięte kable.

Szczęknął telefon.

- Części będą na dziś wieczór. Zdążysz?

- Tak. Tylko przynieście mi coś do jedzenia. Poprzednim razem odsprzedaliście moją kolację.

- To tradycja - pisnął Szczur. - Stołówkowe porcje Koshego idą na piwo, a Borysa na fajki i chipsy. Ostatnia impreza była za moje żarcie, bo miałem dyżur przy sprzęcie, więc nie jęcz.

Jęknął po raz ostatni. Wysunął się spod konsoli i wyjął latarkę z ust.

Jest do naprawienia, ale to chyba już jej koniec. Następne przepięcie i mrugać będzie w niebie z innymi atari, amigami i kasami na korbkę. - Wyprostował obolałe plecy. - O! Jest i nasza bohaterka dnia. Nagrałem jej pyskówkę i puściłem w sieć. Musiałem wyłączyć telefon, bo wszyscy pytają, co za jedna.

- Z nią jest coś nie tak - mruknął zamyślony Koshe.

- Innych fachowych diagnoz też udzielasz? - bąknął Klecha.

- Jasne, że jest coś nie tak - parsknął Szczur. - Ma za małe rycki na swój wiek.

Przyglądali się jej z góry. W sali było jeszcze kilka osób. Szła jak na skazanie w stronę schodów. Prowadziły prosto do drzwi kapitana i jego zastępcy. Czekał na nią wściekły. Widzieli, jak chodzi w kółko w swoim gabinecie, który wyglądał raczej na budę stróża lub na kanciapę oborowego, a nie na biuro kapitana dwóch Posterunków. We Wschodnim mieli lepsze warunki, ale on nie lubił być ponad, wręcz przeciwnie.

- Coś jakby urosła... - mruknął zapatrzony Klecha, dokładnie w momencie gdy zamyślona potknęła się o pierwszy stopień. - A może jednak nie. - Wydmuchał dym.

Gdy weszła do środka, zastępca uciekł w popłochu. Zanim usiadła, kapitan podszedł do okien i szarpnął za sznurek od poszarzałej rolety. Zasunęła się z trzaskiem. Jego gromy słyhać było aż u nich, a ich centralka była ostatnia. Wszyscy znieruchomieli i słuchali o nieodpowiedzialności, niesubordynacji, głupocie, olewaniu przepisów i rzekomej nieczytalności jej i jej podobnym. Potem było coś o raporcie, w którym dowódca z drugiego Miasta domaga się od niej publicznych przeprosin za zniesławienie, a jego kapitan informuje, że poruszy kwestię dopuszczania ludzi od samobójców w obszar ich działania na następnej Radzie Starszych. Potem strofował ją już nieco ciszej, aż w końcu niemal zamilkł. Wyszła po dłuższej chwili, trzymając w ręku rurkę z kremem. Popatrzyli z niedowierzaniem. Szła powoli, nie zważając na licznych gapiów. Gdy znikła w korytarzu, szum informacyjny przebiegł po sali.

- No, no. Nasza mała Lolita nieźle się ustawiła, nie ma co - zapiszczał Szczur czymś, co miało być szeptem.

\*\*\*

Zanim weszła do siebie, widziała, że pali się światło. Ostrożnie otworzyła drzwi. W pustym pokoju siedział Klecha i palił.

- Gdzie są moje rzeczy?

- A bo ja wiem? Tak to zastałem.

Miała jeszcze mokre włosy. Dziś Pepesza przeciągnął ich podwójnie i było coś koło ósmej wieczór. Zachód mieli już dwa razy, więc teraz dla odmiany wschodziło słońce.

- No to super.

Rzuciła się bezsilnie na gołe sprężyny pryczy. Zaskrzypiały i rdza posypała się na posadzkę.

- Zbieraj się. Zamieszkaś z nami. Tylko Koshe i Borys mieszkają oddzielnie.
- Wszystko robicie razem? - Zaśmiała się.
- Staramy się nie, choć Prince zarzeka się, że kiedy na nas patrzy, nie jest nawet al dente.

Tym razem zaśmiali się oboje. Potem zamilkła.

- A gdzie wy właściwie mieszkacie?
- Mamy coś w rodzaju domku na drzewie. Nazywamy to Norą, bo przypomina lej po bombie. Nie mówię, że nie bez naszych zasług. Staramy się co dnia, by podłoga nie straciła naturalnego wosku z brudnych skarpet.

Wyszli i zamknęła drzwi na klucz. Jej kwatery była na samej górze w końcu korytarza i do wyjścia mieli dobre dwadzieścia metrów. Z innych pokoi dobiegała muzyka, kłótnie i telewizja. Wyszli na zewnątrz bocznym wejściem. Stał obok roweru i odwrócił go w stronę ulicy.

- Żartujesz - jęknęła.
- Nie. Wskakuj na ramię.
- To aż tak daleko?
- Godzina z hakiem.
- A czym ja będę dojeżdżać? - pisnęła.

Ty? No cóż. Wychodzi na to, że musisz być miła. Kolarzówka nie była najlepszym środkiem transportu, a oni nie mieli tu dobrych dróg. Klecha, o dziwo, nie pachniał dymem i nikotyną. Woda kolońska miała delikatny, klasyczny zapach. Zwykle nie nosił sutanny poza wypadami do świata żywych. Na rowerze jeździł popisowo. Mijali wściekłych przechodniów i po pięciu minutach wjechali w dzielnicę, której nie znała.

- Gdzie my jesteśmy?
- W części fabrycznej.

Budynki pod strażą. Wykrywacze metali przy bramach. Działka na dachach.

- Kradną tu?
- Nigdy nie były użyte - odpowiedział, wiedząc, na co patrzy.

Jechali dalej slalomem między ogrodzeniami, aż zwolnił. Minęli obaloną bramę, prawie o nią zahaczając.

Mamy u siebie kilka zasad, które powinnaś znać. Po pierwsze, nie musisz ściemniać. Jeśli czegoś nie chcesz mówić, możesz skorzystać z prawa Koshego.

- Co to za prawo?
- Nie mówisz, gdy nie chcesz.
- Kto je wymyślił?
- Nie pamiętam. - Skrzywił się zabawnie.
- Alzheimer?

- Chciałabyś. Aż taki stary nie jestem. Dwa skrety, pół butelki whisky i jakieś perfumy, które piła Maria.

- Druga zasada?
- Nie matkować.
- Wymyśliłeś to.
- I co z tego? Jestem władzą ustawodawczą i wykonawczą na tym rowerze, więc się liczy.
- Trzecia?
- Śpisz na kanapie, bo nie ma wolnego pokoju.
- Może być.

- Nie bądź taka pewna. Na tej kanapie Szczur gra w play- station i xboxa. Powinna być objęta kwarantanną.

- Czy coś jeszcze?
- W zlewie hodujemy lekarstwo na raka, a przynajmniej taką mamy nadzieję. Tyle lat pracy nie mogło pójść na marne. - Błysnął zębami. - Lodówka jest wiecznie pusta, więc jeśli coś kupisz, nie zdziw się, kiedy zniknie, zanim spróbujesz. Paniąki sprowadzamy średnio raz w tygodniu, zwykle wtedy jest impreza. Co do Makaroniarza, to nie wiem, jak to załatwia. Nie wiemy z kim, jak i gdzie i mało nas to obchodzi.

- Nie ma mnie w piątki, soboty i niedziele.
- Tak? A co wtedy robisz? Balujesz w Ritzu?

- Prawo Koshego - odpowiedziała z tajemniczym uśmiechem.

Nie skomentował, ale widziała, że przyjął do wiadomości, że i ona ma swoje sekrety.

- Ile dokładam się do czynszu?

Znów była człowiekiem śniegu.

- Mamy układ z właścicielem fabryki. Pilnujemy mu dobytku w zamian za rachunki. Kosztować cię to będzie tylko jedzenie i fragment życiorysu - kłamał, ale nie wiedziała o tym.

- Aż tak u was wesoło?

- Kochana - głos mentora-imprezowicza zabrzmiał z przekąsem - w całym tym zawznowym Mieście nie ma takich balang jak u nas. W sumie to powinnaś wiedzieć, że niejedna chciałaby być na twoim miejscu.

- Zapewne chodzi o tę kanapę. - Zaśmiała się z przekąsem.

- Każda laska wie, że leżeć na wznak w naszym skromnym gniazdku, to zaszczyt.

Zatrzymał rower i postawił go obok Landrynki. Wyglądała dumnie okryta plastikowym pokrowcem. Właściciel dbał o nią, jakby była żywym stworzeniem wymagającym czułości. Pucował ją co tydzień i lśniła żarówiastym blaskiem. Obok stał samochód. Nie znała się na markach ani na modzie, ale lo, co pomyślała na jego widok, było zbliżone do uczucia niepohamowanego głodu kobiety na diecie, której pokazują wielkie puchate ciastko z bitą śmietaną.

Matowa czerń karoserii, skromne eleganckie wnętrze. Uroku dodawała całości drapieżna linia. Zamyśliła się, więc pociągnął ją w stronę budynków.

- Witamy w domu wilka - mruknął złowrogo.

Weszli przez duże drzwi. Budynek był opuszczoną fabryką. Od części produkcyjnej oddzielała ich zespawana siatka ogrodzeniowa. Czują zapach ziemi, metalu i smaru. Kratownica schodów prowadziła na górę. Pod schodami zobaczyła mały korytarz, a w nim dwoje drzwi naprzeciw siebie. Jedne były uchylone, drugie rozwalone na oścież. Widziała rękę Princea, który jak oszalały biegł po gryfie gitary, tworząc przy tym niewyobrażalny jazgot. Szczur otworzył swoje szerzej i rzucił w niego butem.

- Nie możesz słuchać jakiegoś pedalskiego boysbandu, rockowy czubku?!!

Jego głos był bolesny dla uszu, ale gdy wchodził na wyższe tony, brzmiał jak pisk kontrolny. Na tę krytykę sąsiad przekręcił gałkę na piecu i ponownie uderzył w struny. Omal nie wyleciały okna pod dachem. Klecha wszedł na schody, a ona za nim. Znaleźli się na wprost kuchni. Po lewej było coś na wzór salonu. Duże pomieszczenie z brunatną od brudu kanapą. Popatrzyła na swój nowy dom. Dwa okna na jednej ścianie. Pojedyncze szyby w metalowej ramie i żadnego klimatyzatora. Widać dezynfekowali mrozem, a przynajmniej taką miała nadzieję. Na ścianie ogromny telewizor z mnóstwem przycisków. Dwuosobowy fotel niewiadomego koloru i stolik pośrodku, z popielniczką pełną petów. Pod oknem, w kącie, fotel bujany. W kartonie pod telewizorem kable, konsole i pudełka z gramami i filmami. Poza tym betonowa lśniąca posadzka i obdrapane ściany z naturalnym zabrudzeniem w roli lamperii. Kuchnia była dokładnie taka, jak opisał ją Klecha. Zlew po szafkę nad nim zastawiony brudnymi naczyniami. Pachniało z niego co najmniej zgniłym jedzeniem. Szafki, sądząc po stylu, pamiętały lata ciężkiej komuny. Pomieszczenie miało kształt prostokąta - długiego i wąskiego. Od szczytu wpasowane było okno, również wąskie i długie, sięgające sufitu. Na blatach pokaleczonych nożem albo siekierą, sądząc po niektórych odpryskach, powystawiane były zakupy z całego tygodnia. Papier toaletowy, cukier, jakieś opakowania po żarciu na wynos. Sądząc po zapachu - hinduskie. Poszła za gospodarzem, który oprowadzał ją w ciszy. Na prawo, zaraz za kuchnią, minęli małe drzwi. Nie otworzył ich, więc nie zapytała, co tam jest. Zaraz za nimi były następne, narożne. Otworzył i weszła pierwsza. Stało tam tylko łóżko z żelaznymi ramami i gałkami na szczytach. Oblażiło z białej farby do żywego. Jedna wymięta poduszka, duża kołdra. Pod łóżkiem popielniczka i paczka papierosów. Wszystkie okna były na jednej ścianie. W lufciku buczały zamontowany klimatyzator. Stara szafka na dokumenty była najpewniej szafą.

Usiadła na łóżku.

- Posiadasz więcej ode mnie. Skroili mnie na czysto.

- Nie skroili. - Skrzywił się od mówienia prawdy. - Szczur przewiózł twoje rzeczy, kiedy byłaś na zajęciach.

- Po co?

- Żeby się z tobą nie użerać. Nie przyszłabyś po dobroci, a ja nie umiem prosić.

Zmarszczyła czoło od myślenia.

- Po co wam kolejny lokator?  
- Po nic. Po prostu taki mamy styl. Do łazienki idzie się przez kuchnię. Wejście za lodówką.  
- Myślałam, że to spiżarka.  
- Mieliśmy, ale powiesił się w niej szczur. Uznaliśmy to za zły omen i замуrowaliśmy. Teraz stoi tam kosz z brudami.

- Macie pralkę?

Coś tam jest. Chyba nawet działa.

- To jak pierzecie?  
- Sposobem. Potrafimy być mili.  
- Posiadacie taki sprzęt jak żelazko albo deska do prasowania?  
- Żelazko powinien mieć Prince, ale nie wiem, czy działa. Ostatnio naklejał nim jakąś kalkomanie na koszulkę, więc sama rozumiesz. Deski używamy jako stołu. Cała jest w plamach po żarciu. Stoi za lodówką.

- Za tą lodówką macie małą czarną dziurę.

- Jest ich u nas więcej, ale sprytnie się maskują. Trzeba uważać, gdzie się staje.

Podniosła się z łóżka i wróciła do kuchni. Poczłapała za lodówkę. Drzwiczki były wąskie i skrzypiały. Wymacała włącznik i pożałowała, że wymyślono stuwatowe żarówki. Pomieszczenie było spore. Wanna na wprost wejścia, duża, od ściany do ściany. Na jej brzegu stała żółta kaczuszka z miejscem na mydło, choć sądząc po czarnych przypalonych plamach, w trakcie kąpieli służyła jako podstawka pod papieros. Sedes i umywalka po prawej. Pralka automatyczna robiła za podest na brudy i ledwo spod nich wystawała. Pociągnęła za łańcuszek nad szafką i podeszła do lusterka. Było umazane kremem do golenia i pastą do zębów. W kubku stojącym na umywalce zobaczyła trzy szczoteczki do zębów, z czego jedna była różowa. Od razu wiedziała czyja. Otworzyła szafkę za lustrem. Pasty do zębów, nić dentystyczna, krople do oczu, kremy do golenia, męskie perfumy, pusta tubka po kremie do rąk, płyn do płukania ust i cały stos prezerwatyw. Zamknęła ją i oparła się o szerokie brzegi umywalki. Z kranu ciekła woda, tworząc żółty ślad kamienia. Stała na dywaniku, ale nie wiedziała ani z czego jest, ani jaki ma kolor. Pełne barwy maskujące. Popatrzyła na kafelki na ścianie. Zrezygnowała z ustalenia wieku brudu, po prostu zdrapała paznokciem sporą strużkę tłustego nalotu. Były prawie na pewno białe. Odkryła klapę sedesu i natychmiast ją zamknęła. Usiadła na odrapanej desce. Tak samo jak na umywalce tak i na niej były ślady po papierosie. Pod nogami

stała niemal łysa szczotka w połamanym stojaku, a obok niej

powyginana butelka żelu czyszczącego o wzniosłej nazwie WC Predator. Po chwili zadumy zerknęła na podejrzenie szczęśliwą, gumową kaczkę.

- Jestem pewna, że ten szczur nie powiesił się z głodu.

Koshe wybrał jej cztery inne grupy. Pierwsza była grupa Rodmana. Sami ciemnoskórzy, którzy nie rozstawiali się z piłką. Grali we wszystko. W siatkę, w kosza, w ręczną, w nogę. Prawdopodobnie graliby i w curling, gdyby kamień był bardziej okrągły. Sam Rodman był długi i gibki. W uszach jeżyły mu się kolczyki, a na grzbiecie marszczyła sportowa koszulka z numerem. Sądząc po strojach, jej nowa drużyna przed akcją miała mecz siatkówki. Wpadli tylko po komunikatory i wskoczyli w windę. Ich człowiek w centralce odliczał nie świnkami, ale trzema czołowymi zawodnikami NBA.

Akcja nie trwała długo. Mówili do siebie jakimś sportowym szyfrem, którego całkowicie nie rozumiała, więc robiła dokładnie tak, jak ustalili. Była w pełni sobą. Gdy drzwi windy się rozsunęły, jej ekipa już na nich czekała. Ze swojej akcji wrócili wcześniej, ale jeszcze się nie przebrali.

- Siemanko, Rodman. - Puknęli z Prince'em żółwika. - I jak poszło naszej kijance?

- Całkiem spoko jak na młodą żabkę. Pokicała, postrzelała.

- Jeśli chcesz, możesz ją zatrzymać. Dobrze się wam razem współpracowało - wtrącił spokojnie Koshe.



Wielki chudy Murzyn zaśmiał się szeroko, aż po różowe dziąsła.

Matkowanie szaleńcom tobie wychodzi lepiej. Wiem, że jesteś dziany gość, ale żadne pieniądze nie skuszą mnie, żebym ją wziął. Pasuje do was. Jest jak jednoosobowa jednostka kamikadze. Wpuściliśmy ją dwa razy w gówna, a ona nic.

Lubię grać w gry, które mają jakieś zasady. A Bura ma własne. Zupełnie jak ty. - Odszedł, bo ktoś rzucił do niego piłkę.

Stała przy stole pośrodku hali. Nie słyszała, o czym rozmawiali, ale sądząc po ich minach, było jeden zero dla niej,

.1 zupełnie się do tego nie przyłożyła.

Następnego dnia był piątek i nie powinno jej tu być, ale obłąskawiła kapitana, trzepocząc rzesami, z czego uśmieł się do łez. Dał jej czas do drugiej. Tyle wystarczyło. Tym razem zapowiadało się na prawdziwą odprawę. Jej przyszywany dowódca lubił wojskowy dryl. Miał ksywę Sierżant, która idealnie do niego pasowała. Drużyna Koshego miała kłopot z centralką, więc na jej nieszczęście, stali na pół- piętrze i rozpromienieni patrzyli na cyrk w dole. Zresztą nie tylko oni. Część przy innych centralkach również była zainteresowana.

Sierżant przypominał jej postać z filmu. Wojskowe wypastowane oficerki. Spodnie na szerokich zielonych szelkach. Biały podkoszulek bez rękawów, który rozpierał solidny antał brzucha. Wypisz, wymaluj wojak Szwejk. Pykał krótkie cygaro, które latało mu wprawnie z jednego kącika ust w drugi. Chodził wzdłuż rzędu wyprostowanych, wręcz wykrochmalonych mężczyzn. Wychyliła się i przyjrzała się im. Żaden nawet na chwilę nie spuścił z oczu niewidzialnego punktu przed sobą. I każdy chłonał całym sobą mrukiące wrzaski dowódcy.

- ... .A gdy dojdziemy już do punktu kulminacyjnego i po natychmiastowym odwróceniu należy zapierdalać, zapierdalać, zapierdalać, ty... - huknął na nią i podszedł, naruszając co najmniej przestrzeń osobistą.

Odgieła się w tył, bo jeszcze chwila, a miałyby bliskie spotkanie z pierzastym bobrem spod pachy.

- Koshe dał mi ciebie na sprawdzian umiejętności. Nic dziwnego. Jestem tu najstarszy, najlepszy i widzę, że jesteś jeszcze zielona.

Skupiła się na dziurach w ospowatym nosie. Wymiętolone cygaro żarzyło się tuż przy jej czole.

- A więc co robimy, gdy dojdziemy do punktu kulminacyjnego?!

Starła się nie zwracać uwagi na to, że ją opluła.

- Zapierdalamy, zapierdalamy, zapierdalamy...

- Źle! Przy trzecim zapierdalanu jesteś martwa.

- Rozumiem.

- Co rozumiesz?

- Zapierdalanie jest obowiązującą jednostką czasu!

Sierżant poczerwieniał, jakby zaraz miał dostać wylewu.

Słyszała, jak Borys rozciąga basowy śmiech w czasie.

- Nie wiem, co za gryziopiórek wymyślił, że nie można swojemu strzelić za pyskówki, ale ty mi wyglądasz na taką, co to nie ma na nią innej metody.

Akcja również nie trwała długo. Gdy winda się otworzyła, byli na miejscu niemal równocześnie. Z portalu obok wyszedł Szczur i zamarł. Jednego z chłopaków Sierżanta wynieśli pod pachy. Był blady jak płótno. Szwejk podszedł do Koshego.

- Złamała wszystkie możliwe zasady. Jeśli chcesz mojej opinii, dam ci ją na piśmie.

- I jak będzie brzmiała?

- Nienormalna! - wrzasnął i niemal połknął ogryzek cygara.

Gdy Sierżant pomaszzerował zamasyście do swojej kanciapy, Koshe postął jeszcze przez chwilę, przyglądając się ofierze losu, która leżała omdlała na stole.

Podniósł głowę do siedzącego w ich centralce.

- Co mu się stało? - spytał operatora.

Chłopak wyjął słuchawkę z ucha i oparł się wygodnie na obrotowym fotelu, którego noga przyspawana była do krat.

- Wystawiła go na przynętę. Powiedziała, że jest czysto, a sama zdjęła Ośmionoga z dachu metru nad jego głową. Współczuję takiej numerantki.

Dwa zero.

W sobotę była w grupie Jekylla. Nie rozumiała skąd ta Icsywka, dopóki nie wylądowali. Chłopak wyglądał na mola książkowego. Okulary, wystraszone rozbiegane oczy, do tego strasznie się jąkał. Dopiero adrenalina wywoływała u niego efekt Hyde'a. Sto osiemdziesiąt stopni przemiany osobowości. Jąkanie ustąpiło wyraźnej męskiej mowie. Chude ramię uniosło snajperski karabin, a przepaska nad okularami powiewała na wietrze. Był swoim własnym bohaterem. Na jego ludziach nie zrobiło to żadnego wrażenia. Ona jednak była w głębokim szoku. Mrugnął do niej zalotnie i nazwał kwiatuskim. To dało jej pewność, że miała do czynienia z panem Hyde'em.

Skończyli przed drugą i była niemal spóźniona. Gdy wyszła zza ciężkich stalowych drzwi, napadła na Koshego.

- On jest nienormalny.

Uśmieł się pewny wygranej, ale Jekyll, który wyszedł drugi, cały się trząsał.

- O - zaczął i musiał spauzować, bo nie był w stanie uspokoić oddechu. - Ona strze... strze... strzeliła mi nad karkiem. Po-po-poczułem pę-pę-pęd kuli na skórze. Ni-ni-nigdy więcej Ko-oshe.

Poczłapał blisko ściany z nisko zgiętą głową. W swojej naturalnej formie był po prostu nieudacznikiem.

Prince podszedł do dowódcy.

- I-i-i co?

- Czas na plan B - odparł Koshe.

- Czyli?

- Widziałeś dziś Sadystę?

- Oho, oho - zakwilił Makaroniarz i przeczesał palcami nawoskowane włosy.

Postać chwilę, zasłaniając usta.

Czy to nie będzie zbyt niebezpieczne? Sadysta to czubek.

rozpina kombinezon. Krew uderzyła jej do głowy - jak dotąd po raz pierwszy. Zaszumiło jej w uszach. Potem chyba przez mgłę, która zamroczyła ją na chwilę, usłyszała głos Koshego. Mówił do niej po rosyjsku.

- Bura, gdzie jesteś? Bura, które piętro?

Nie był zachwycony. Nie wiedzieć czemu, przypomniała sobie o tym głupim zakładzie. Jest tak blisko wygranej... Nie może teraz odpuścić. Wymacała ręką potłuczoną szybę, której kawałki leżały obok. Gdy ją odwrócił przyłożyła mu jeden z nich do krocza. Poczłował chłód i spojrzał na jej zawziętą twarz.

- Piąte, ale nie spiesz się. Lubię intymną atmosferę.

Sadysta wstał i naciągnął z powrotem rękawy kombinezonu. Szkło w jej ręku nie odstraszyło go wcale. Usłyszał, że idą po nią.

- Dobra - syknął i wycelował w jej głowę. - Ze mną poradziłaś sobie całkiem nieźle, ale przeżyć bez broni wśród Hien, to już inna sprawa.

Przesunął ręką w prawo i strzelił w stronę drzwi. Padła pierwsza sztuka, więc zaraz zjawia się kolejne. Wybiegł, a ona za nim.

Klecha był we wschodnim skrzydle i trafił na jedną z panienek Sadysty. Ta była ruda. Sztucznie kręcone włosy, bio- drówki i koszula w kratę z podwiniętymi rękawami. Jej supeł zwisał na piegowatym brzuchu, a guziki ledwo utrzymywały duży biust.

- Te! - krzyknął, gdy wyłapał ją w pustym korytarzu. - Domek na prerii dla dorosłych.

Popatrzyła wściekle spod umalowanych rzęs. Zza paska na plecach wystawała jej nadprogramowa beretta. Przyspieszył kroku.

- Gdzie twój treser? - warknął.

Uciekła, ale wcześniej uśmiechnęła się do niego bezczelnie. Biegł za nią dwa piętra w dół. Za zakrętem klatki schodowej Szczur zgasił jej światło.

- Rozstawiamy setki. Rozkazał sukom tłuc pojedyncze sztuki. Są już na każdym piętrze. Chwycił miss Teksasu za pas i pociągnął, nie siląc się na kurtuazję.

- Bura, gdzie jesteś? - usłyszeli nawoływania Princea.

Ucichli. Jedynym odgłosem były uderzające o posadzkę buty i przerywany płytki oddech.

- Biegnę na... dach. Mam za sobą dwie. Nie... odpuszczają. Ruda zabrała mi broń. Schody... się... kończą.

- Jestem po drugiej stronie budynku. Klecha masz do niej jakieś dwadzieścia metrów na wschód - odezwał się Koshe.

Klecha zerwał się i szukał otwartego okna. Wyszedł na ścianę i ruszył w dół. Potrzebował sporego rozbiegu. Zakręcił niemal przy samej ziemi.

- Skacz, Bura. Złapię cię.

Cisza.

- Skacz. Jestem na czwartym. Złapię cię - wydyszał.

- Wiem - usłyszał, zanim zobaczył, jak spokojnie osuwa się z krawędzi.

Niemal już ją chwycił, gdy zobaczył za nią macki. Opadła prawie idealnie i zazgrzytał butami, osypując tynk. Zjechali piętro w dół. Chwyciła go za rękę i przyciskając jego palec do spustu, zestrzeliła obie Ośmiornice, które leciały wprost na nich. Nie czekał na rozkaz. Zbiegł w dół na złamanie karku. Nie zdążyła dotknąć ziemi, gdy szarpnął ją za rękę i pociągnął biegiem w kierunku Borysa, który walił z działka w stronę głównego wejścia do budynku. Szczur był obok i trzymając nieprzytomnego rudzielca za pasek, walił razem z nim. Prince przebił się przez strzały i krzyknął, że Koshe jest po drugiej stronie, tuż przy wystających zza zakrętu maszynach do rozbiórki. Ma ze sobą dwie i Sadystę. Z nimi były cztery, więc się zgadzało. Podeszła do rudej i wyciągnęła swój pistolet. Nagle wszystko ucichło.

Zbierajcie się. Odpalę na tuż przed - rozkazał Koshe i wyjął komunikator z ucha.

Nie było świnek. Zanim drzwi windy się otworzyły, z całych sił kopnęła w brzuch dziewczynę, którą wciąż trzymały metalowe ręce.

- Żebyś wiedziała, gdzie twoje miejsce - syknęła.

Koshe odpalił i na monitorze Princea, rozbłysło jak

w Nowy Rok. Makaroniarz podszedł do dziewczyny przy centralce i wywlókł ją za kark do pokoju Starego. Zgarnął z biurka klucze i zamknął drzwi od zewnątrz. Chodziła od okna do okna i waliła w nie pięściami.

- Stul jadaczkę. Pokłapiesz przy przesłuchaniu - usłyszała zza szyby.

Obie windy otworzyły się niemal jednocześnie. Sadysta wyszedł z lufą przy czole.

- Nic na mnie nie masz, Koshe - mruknął beznamiętnie.

- Nie byłbym tego taki pewien. Prince?

- Będą za pięć minut. Stoją w korku na krzyżówce.

- Twoje szczęście, że podpadłeś mi na monitorowanym kanale. Inaczej prędzej wyrzygałbyś śledzoną, niż był przesłuchiwany.

- To groźba?

- Wizja przyszłości. Ja nie zapominam tak łatwo jak wewnętrzni.

Do sali wbiegła brygada pod bronią. Zgodnie z procedurami musieli odłożyć własną. Stary przyszedł bezpośrednio z domu. Cywilne ciuchy wyglądały na nim nienaturalnie. Podszedł do Burej, która stała obok Borysa.

- Zakładam, że wygrałaś zakład? - Patrzył na nią z góry.

Pokiwała głową. Spojrzał na dziewczynę, która tłukła krzesłem w drzwi na piętrze. Oczywiście przedtem Makaroniarz zdążył je otworzyć.

- Cemu ona demoluje mój gabinet? - warknął.

- A bo ja wiem? - Prince wzruszył ramionami i zrobił głupią minę. - Może jest nienormalna?

Kazali im zejść do szatni, ale zeszła tylko ona, bo każdy dostał oddzielnego śledczego. Usiadła na ławce i dopiero teraz, zobaczyła, że ma skaleczoną dłoń. Musiała mocno ścisnąć ten kawałek szkła, którym go postraszyła. Otworzyła szalkę i wyciągnęła z niej wodę utlenioną i paczkę z bandażami

Kaleczyła się dość często. Oni też, tylko że oni na zagojenie takiej rany potrzebowali dnia. Ona tygodnia.

Koshe usiadł obok niej. Pomógł otworzyć zakrętkę i wy ciągnął gazę z opakowania. Polał solidnie i krew opryskała posadzkę pod ich nogami. Potem bez słowa przyłożył gazę i zabandażował rękę. Robił to wprawnym ruchem. Pewnie i on skaleczył się nieraz.

- Przydzieliłeś mnie Sadyście, żeby mnie upokorzył?

- Nie. Żeby ci pokazać, jak wielkie masz szczęście, że trafiłaś akurat do nas. Wszystkich innych naraziłaś na takie niebezpieczeństwo, że teraz już wiem, że nas na nie byś nie naraziła.

- Jekyll przesadził. Ten wariat wbiegł mi na linię strzału.

- A chłopak od Sierżanta? Miał mokrą płamę po kolana. Też ci podszedł pod lufę?

- On jest po prostu głupi. Darwin upomni się o swojaka wcześniej czy później.

Zaśmiał się zrezygnowany. Była niereformowalna.

- Kiedy ściałał ciuchy, myślałam tylko o tobie.

Nie była już smutna. Patrzyła na niego roześmiana.

- Fajnie. Kojarzę ci się też z jakimś innym typem zwyrod- nialca, czy gwałciciel to top one twojej listy?

- Pomyślałam o naszym zakładzie. Nie mogłam przegrać. Nie z tobą - prychnęła lekceważąco, ale wciąż uśmiechnięta. - Pamiętasz? Zrobię z ciebie gwiazdę. Wielką sceniczną osobowość - pisnęła.

- Tak, a co? Przypniesz mnie do koła i będziesz rzucać nożami? - parsknął.

- To mogę zrobić zawsze. - Machnęła ręką w bandażu. - Poza tym muszę uwzględnić wszelkie twoje talenty.

Wstał i unióś ręce nad głowę.

- Koniec. Dopięłaś swego. Wygrałaś. Jesteś najbardziej beznadziejnym przypadkiem, jaki znam. Do zobaczenia w poniedziałek o ósmej. Mam nadzieję, że do tego czasu żaden bury kot nie przebiegnie mi drogi.

Wycofał się tyłem i słyszała, jak odchodzi. Powoli dawała upust emocjom. Łzy kapały na płamę rozmytej krwi. Ramiona zatrzęśły się spazmatycznie. Pociągnęła głośno nosem.

- No i walnęło się z lekka na ryjek. - Wybuchła płaczem.

W sali nie było nikogo.

Dokładnie w środę dostał swoje gwiazdorskie zadanie. Był wściekły jak nigdy, ale nie poprosił o zmianę. Słono go kosztował ten zakład. Musiał przekupić chłopaków, by też się zgodzili. Opłacił im balety na rok, ale jak już miał to robić, wołał z nimi i spróbować się przy tym dobrze bawić. Bura była wniebowzięta i śmiała się na sam ich widok. W sobotę mieli swój wielki występ. Do knajpy w dzielnicy fabrycznych slumsów ściałała nawet Starego, a ten wziął ze sobą zastępcę i kilku innych ważniaków z dowództwa.

Oni sami weszli tylnym wyjściem i ćwiczyli w kanciapie na skrzynki. Właśnie kończyli butelkę, gdy usłyszeli, że coś wali w drzwi. Koshe siedział najbliżej, więc wstał i otworzył je zamasyście. Stał tam nie kto inny jak Bura, z młotkiem opartym o bark.

- Co robisz? - spytał szpiega.

- Dbam o wasz imidż. W końcu jesteście nie byle kto. - Zaśmiała się i pokazała mu przybitą na drzwiach tandetną złotą gwiazdę z napisem „Star”.

Odeszła w gorii i chwale, a on zmiął kartkę, którą trzymał w rękach i cisnął nią w ścianę.

- Nie wyrzucaj. Po dzisiejszym będzie warta fortunę. Sprzedamy na eBayu - pisnął Szczur.

- Dobra. Ostaniam kolejka na kastrację honoru i wio - zasalutował Prince i łokcie poszły w górę.

Gdy wyszli od strony kuchni, ciżba oszalała. Był chyba każdy z Północnego Posterunku. Techniczni, obsługa pomocnicza, zaopatrzeniowcy. Gwizdali i krzyczeli, wiwatując na ich widok. Stara fabryka była przerobiona na spelunę. Specjalnie ją wybrali, bo nikt tu z reguły nie przychodził, ale widać Bura postarała się za trzech. Pomachała do nich, dumnie siedząc na barze. Podjudzała tłum do większych oklasków. Gdy ustawili się na podeście, gdzie zwykle stukał w klawisze przygłuchy pianista, jakby ucichło. Prince usiadł z akustykiem na hokerze obok Koshego, który był bły jak płótno i szczęka chodziła mu na boki. Klecha i Szczur mieli wspólny mikrofon, a Borys stał jak filar przed swoim, dumny, że operuje tamburynem, który w jego dłoni wyglądał jak zabawka. Makaroniarz przejechał palcami po gryfie. Tłumek ucichł. Koshe odważył się spojrzeć w dół. Były tam co najmniej cztery kamery i dziesiątki cyfrowek. Mnóstwo dowodów do zniszczenia.

- Zanim zaczniemy - odezwał się po angielsku - wielkie dzięki Instytutowi za udostępnienie nam modulatorów głosu. Nasz techniczny ma kilka ulepszeń, więc jeśli jest tu ktoś od nich, to zapraszamy za kulisy po występie.

Zaszumiał śmiech.

- Mam też słowo do naszej menedżerki. - Podrapał się zakłopotany w nos. - Bura, zabiję cię.

Sala zanosła się śmiechem i rozległy się oklaski zachęcające do występu. Po chwili ciszy zabrzmiała słodką nutą gitara. Koshe, niestety, był już trzeźwy.

- *If I would tell you, how much you mean to me, I think you wouldn't understand it. So I'll wait, I'll wait until this day comes. When you will understand it.*

- Publikacja wyła, ale był twardy. Posłał jej mordercze spojrzenie i w zamian puściła mu przez salę całusa. *But I can't help myself, I can't stop myself. I am going crazy. And I can't stop myself, cannot control myself. I am going crazy. And I love you, I want you, I want to talk to you. I want to be with you. And I love you, I want you, I want to talk to you. I want to be with you.*

Przy refrenie, gdy wszyscy razem zakwilili zgodnym chórem, omal nie popłakała się ze śmiechu. Nie była odosobnionym przypadkiem.

- *I cannot change it, I am sure not making it. One big hell of a fuss. I cannot turn my back, I've got to face the fact. Life without you is hazy. And I...*

Ponad setka osób domagała się bisu. Takiego show nie mieli już dawno. The Kelly Family było strzałem w dziesiątkę. Gdy skończyli, w ich stronę poleciała przeważnie damska bielizna, a ona uciekła tylnymi drzwiami.

## Tzłowiek

Nie było kolejnego poniedziałku o ósmej. Po incydencie z Sadystą dali im tydzień wolnego. Miała czas na zakupy, porządki, zaległe pranie. Była w nowym domu sama. Szczur powiedział, że znika, bo musi poszukać części u samobójców. Prince z miejsca pościagał kolczyki i pomachał jej z korytarza. Borys powiedział „do zobaczenia” i tyle go widziała, a Klecha odwiózł ją do domu na ramie swojego roweru i oddał do ręki klucze. Nie wiedziała, że jakiegokolwiek klucze w ogóle istnieją. Zwykle, gdy wchodziła czy wychodziła, po prostu było otwarte. On też zapowiedział, że znika, i puścił do niej porozumiewawcze oko.

Było cicho i tak jakoś nieswojo. Do tej pory codziennie rano budził ją okrzyk Princea dochodzący z łazienki. Chyba był na którejś z parad równości, bo brzmiał coś jak „uła, uła”. Chwilę później wbiegał na schody Szczur i groził, że wybije mu z głowy pedalskie przyśpiewki. Był zagorzałym heteroseksualistą, który godzinami mógłby wpatrywać się w obfite dekolty. Zwykle przy tym widoku łagodniał, więc Makaroniarz powiesił sobie na drzwiach plakat z wyjątkowo piersiastą dziewczyną, co dla Szczura było prawdziwą profanacją.

Zazwyczaj jeszcze spała na stojąco, gdy Klecha robił kawę, której nie piła. Potem czyściła zęby przy otwartych drzwiach, bo za jej plecami Prince układał sobie włosy małym, metalowym grzebykiem. Na Posterunek woził ją Klecha albo Makaroniarz. Potem były zajęcia i spanie i tak w kółko. Tego tygodnia zabrakło jej rutyny, więc zajęła sobie czas tym, co umiała robić perfekcyjnie.

Był piątek wieczór, gdy wrócił Klecha. Od samego wejścia coś mu nie pasowało. Zapalił światło na dole i osłupiał. Było zamieciono. To znaczy chyba było, bo nie miał pojęcia, że pod piaskiem jest posadzka. Przed pokojami chłopaków, w korytarzu, leżały na kartonach wyprane i złożone ubrania. Nie wiedział, że Szczur w swojej szafie ma białe skarpety. Z tego co sobie przypominał, nigdy nie były białe. Koszule ich „prawie kolegi” wisiły na kłamej jego pokoju. Wieszaki. Tego z pewnością

zaden z nich nie posiadał. Zgasił światło i wszedł na górę. Potknął się o wycieraczkę - wytwór cywilizacji dotąd mu nieznany - i ważył w strachu naciśnięcie klamki. W korytarzu było ciemno, ale już czuł zapach detergentów. Włączył światło i uśmiechnął się szeroko. Było dokładnie tak, jak się spodziewał. Żadna normalna dziewczyna nie wytrzyma długo w takim syfie, a ona musiała w nim mieszkać. Wszedł do ich reprezentacyjnego salonu. Kanapa była zielona w jaśniejszy, tkany deseń. Ślady szczotki odznaczały się głębokimi szramami na pluszowej tkaninie. Fotel był od kompletu, o czym do tej pory nie wiedział. Zdarła nawet gumę, którą ktoś przykleił do oparcia podczas ostatniej imprezy. Stolik połyskiwał od wosku. Popielniczka była pusta i o dziwo, nawet ładna. Już zapomniał jak wyglądał szklany łąbędz z obitym skrzydłem. Wycofał się do kuchni i zupełnie jej nie poznał. Umyte okno, blaty, szafki. Do tej pory myśleli, że lodówka jest żółta od starości. Zlew był pusty po samo dno. Otworzył chlebak. Trzymali w nim zwykle otwieracze i kapsle. Jakież było jego zdumienie, gdy znalazł tam chleb. Zjadliwe jedzenie było czymś nowym w ich Norze. Otwierał po kolei szafki. W wąskiej zamiast słoika z kawą były puszki. Herbata, kawa mielona, rozpuszczalna, zbożowa. Dalej kubki na dole i talerze na górze. Zamknął ją szybko. W następnej stały makarony, kasze, oliwa, ryż, mąka i cukier. Mieli starą kuchenkę. Kiedyś Prince, który chciał przygotować popisowe danie swojej matki, zalał ją dokumentnie i od tamtej pory gasili w niej zapalki, aż uzbierał się solidny stosik. Nazywali go Kopcem Trzech Wspaniałych. Teraz po ich kopcu nie było śladu. Palniki lśniły beztłuszczowym blaskiem, a na kratce dumnie stał czajnik. Pod zlewem znalazł kosz na śmieci, płyn do naczyń i gumowe rękawice. Nic dziwnego, że musiała ich użyć. Zrobiło mu wstyd, ale tacy już byli. Nieodpowiedzialni i leniwi.

Bał się wejść do łazienki. Światło go oślepiło. Odbijało się od wypolerowanych białych płytek na ścianach. Na pralce stał kosz na brudną bieliznę. Obok na podłodze proszki i wybielacz. Wanna była nieskazitelnie biała. Stała na swoich lwich łapach ubrana w dwie zasłony przysznice. To oni mieli zasłony? Dywanik pod umywalką był niebieski i puchaty. Szok nie pozwolił mu zapalić. Poszedł do siebie i zamarł w drzwiach.

Pościel zwykle oddawał do pralni. Korzystali z niej za darmo, bo przysługiwała im, jako że byli, kim byli. Nigdy nie doprali ani jednej rzeczy, którą im dawał, dlatego przestał. Teraz patrzył na swoje łóżko pełen podziwu. Stał w progu, a i tak czuł świeży zapach. Umyte okno, pościągane pajęczyny, zmyte tłuste plamy przy uchwytych na szafkach. Pod łóżkiem czysta popielniczka, zamieciony popiół. Dotknął poduszki. Nigdy nie była tak idealnie sztywna i biała. Stał przez chwilę oślepiały. Wiedział, że posprząta. Nie wykapałaby się w takiej wannie i nie zjadła w kuchni, w której trzeba jeść prosto z puszki. Nie ten typ.

Otworzył szafę i opadły mu ręce. Oparł się o kraty łóżka. Koszule wisały kolorami. Wyprasowane i pachnące. Wyprała nawet te, które były czyste. Widać, miała wysokie standardy. Najbardziej ubawiły go jego sutanny. Miał ich kilka. Wisały odseparowane od koszul jak mundury. Sztywne koloratki, bez załamań, bez śladu po żelazku. On nie umiał ich prasować, bo trzeba było robić to przez inny, wilgotny materiał. Nie miał do tego cierpliwości, więc podziwiał jej pracę i nawet ich nie dotykał. Na dnie szafy leżały poskładane w kostkę koszulki i swetry. Spodnie wisały na niższym pałąku, wszystkie jak spod linijki.

- A miałaś nam nie matkować. - Zaśmiał się.

Przeraziła go szafka z bielizną, którą przerobił z szuflad na akta. Stała w kącie, ukryta pod oknem, a na niej pusta ramka na zdjęcie. Dostał ją kiedyś w prezencie, ale nie wiedział, co do niej wsadzić. Szkiełko było zamglone, choć nie po tajfunie, jaki nawiedził jego pokój. Otworzył powoli pierwszą z szuflad i przetarł ze zdziwienia oczy. Gacie też poskładała w kostkę. Dolna była na skarpety. Spoważniał i zaciśnięte zęby zabolowały cierpkim wspomnieniem. Nawet matka, kiedy był mały, nie łączyła jego skarpetek w pary. Nigdy. Nie zrobiła nawet takiej głupiej rzeczy jak posortowanie skarpet przed wrzuceniem ich do szuflady. Zamknął ją i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Gdy weszła, było ciemno. Poczwała zapach dymu i ruszyła jego śladem. Siedział na bujanym fotelu i palił w oknie. Pod nogami stała butelka i szklanka. Łąbędz połyskiwał w świetle księżycy jak prawdziwy kryształ. Nie spojrział na nią.

- Cześć - powiedziała lekko wystraszona.

- Dziś piątek. Nie balujesz w Ritzu?

Coś było nie tak. Nawet na nią nie spojrział.

- Nie. Chyba zrezygnuję z ich usług. Na dłuższą metę cały ten blichtr jest męczący. Nie to co tu. Eklektyczny wystrój, śniadanie do łóżka, trzech półnagich żołnierzy na zawołanie.

Zaśmiał się, a więc się udało. Podeszła bliżej. W rękę trzymała pudełko earl greya.

- Napijesz się herbaty? - zaryzykowała.

Popatrzył na nią z politowaniem i rozbawieniem. To była jedyna znana mu osoba, która proponowała herbatę zamiast wódki i robiła to w tak naturalny sposób, że nie umiał odmówić.

Dobra. Czemu nie. Zapomniałem już jak smakuje.

Wypili niemal w ciszy i zmyła po nich. Nie skomentował niczego, co zrobiła w domu. Nie miał ochoty na pogawędkę, więc nie naciskała. Powiedzieli sobie „dobranoc” i każde poszło do siebie.

Tej nocy było bardzo zimno. Szczur miał powiesić jej klimatyzator już w poniedziałek, ale chyba zapomniał. Zesztywniała i zziębnięta zapukała do Klechy.

- Proszę - usłyszała obojętny głos.

Nie spał. Leżał i palił, jak zwykle zresztą.

- Mogę się u ciebie zagrzać? Strasznie zimno. - Szczęknęła zębami.

- Wchodź. - Odślonił kołdrę zupełnie bez skrępowania. - Jesteśmy nad Alpami.

Poczuła miękki materac pod plecami i ciepło rozlało się przyjemnie po ciele. Błogo. Zgasił papierosa i położył się obok niej. Zagarnął ją do siebie. Leżała tyłem do niego. Przez chwilę nie mówili nic.

- Coś się stało, prawda? - zaczęła cicho.

On się stał. Przydarzył się jednej parze ludzi, z których żadne nie powinno mieć dziecka. Nie wiedział, co go podkusiło, by odwiedzić dom. Już w progu pożałował swojego nieprzemyslanego wygłupu. Był tam zaledwie kwadrans, a potem odbijał to sobie przez resztę wolnego. Robił takie rzeczy, że zdziwi się, jeśli nie będą go szukać. Nie pamiętał już, ile lat temu wstecz przestał się wstydzić czegokolwiek. Oparł głowę o jej kark. Czują wyraźnie jego ciężkie westchnienie.

- Nie, Bura. Nic się nie stało. Po prostu czasem każdy ma ochotę na szklaneczkę przed snem.

- Muszę spróbować. Do tej pory nie miałam czasu. Może lepiej by mi się spało.

- Ale gorzej wstawało. - Zaśmiał się cicho. - Zostań przy herbacie.

Miała na sobie piżamę w niebieską kratkę. Włosy pachniały jej landrynkami. Zabrał ją do sklepu z kosmetykami. Myślał naiwnie, że potrzebuje czegoś w rodzaju pudru czy szminki, ale ona kupiła szampon dla dzieci, oliwkę dla niemowląt i dezodorant. Prince spytał, kiedy zostanie wujkiem, bo chętnie zrzucą się na wózek, czego pożałował bardzo szybko. Dała im półgodzinny wykład o roli reklamy w ogłupianiu ludzi, konsumpcyjnym podejściu do życia, a skończyła na testach na zwierzętach. Więc teraz leżał obok pachnącej cukierkami i gumą do żucia idealistki w słodkiej piżamie.

- Bura.

- Hm...?

- Tam na dachu miałaś dziesięć pięter w dół, a nawet nie spojrzałaś, czy jestem tam, gdzie lecisz.

- Skoro mówiłaś, że tam jesteś, to tak było. Nie potrzebowałam patrzeć w dół.

- Nikt mi jeszcze tak nie zaufał.

- Nikomu innemu bym nie zaufała.

Leżał jeszcze przez chwilę, rozmyślając nad tym, co działo się przez te ostatnie dni.

- Zapomniałbym. Złamałaś zasadę numer dwa. Miałaś nam nie matkować.

- To mnie wyeksmituj - odgryzła się sennie.

Usnęła po tej rozmowie niemal natychmiast. Słuchał jej spokojnego oddechu. Może czas na zmianę? Taki spokój był kuszący. Niewinne landrynki, niebezpiecznie nietknięta pościel. Skłamałby sam przed sobą, gdyby twierdził, że nie było w tym czegoś magicznego, tak różnego od jego dotychczasowych upodobań. Przycisnął ją bardziej do siebie. Mruknęła przez sen. Poudaje przez te kilka godzin, że jest normalny, niepokaleczony. Spróbuje zapomnieć o przeszłości i pocieszy się tą chwilą spokoju, zanim zaśnie. Uciszy płacz dziecka w sobie. Zagłuszy tęsknotę za domem.

Koshe nie spał tej nocy. Wieczorem zjawiała się u niego Maria. Miała sprawę w okolicy i przyszła wypytać o sprawę z Sadystą. Chciała usłyszeć relację z pierwszej ręki. Znali się od wielu lat, a od siedmiu sypiali ze sobą. Czasem częściej, czasem rzadziej, ale była to jedyna kobieta, z którą łączyło

go coś więcej niż seks. A przynajmniej tak o tym myślał. Maria była ambitna, błyskotliwa, uśmiechnięta. To ostatnie przynajmniej z początku. Trafiła do ich drużyny z przydziału, ale była świetnie wyszkolona, nie to co Bura. Maria od początku była na swoim miejscu. Starła się o awans. Chciała pracować z najlepszymi, z Wojownikami. Śmiać mu się chciało na wspomnienie wyszczekanej Burej, gdy ośmieszyła ich dowódcę. Gdyby Maria mogła to zobaczyć, może zmieniłaby - nich zdanie. Tak czy inaczej dostała świstek, który wszystko zmienił. I wtedy właśnie pękła nić porozumienia między nimi. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Nie potrafił cieszyć się razem z nią, a po krótkim czasie chciał, by jak najszybciej przeniosła się do wewnętrznego. Życzył powodzenia, kupił jej nawet kolczyki na tę okoliczność. Za każdym razem, gdy się spotykali, miała je w uszach. Jak zapewnienie, że wciąż jest jego, wciąż chce być tylko jego. Ale nie była i nie umiał się nawet postarać spróbować naprawić cegokolwiek. Dochodził zawsze do punktu, w którym trzeba było powiedzieć prawdę, a nie znał jej. Nigdy nie wyznał, że ją kocha, bo sam tego nie wiedział. Wracła na samo wspomnienie, czujna i ciepła. Dawała mu wszystko, ale nie chciał brać. Do tej pory nie wiedział dlaczego. Aż pojawiła się Bura i pojął to w minutę. Prawda była boleśnie oczywista.

Przeglądał nagrania ze wszystkich akcji. Siedział w swoim mieszkaniu przed laptopem ze szklaneczką z ciętego szkła

- nie odzywał się od dobrych dwudziestu minut. Widziała, jak przesuwając palcem po padzie, by przewinąć fragment po raz czwarty.

- Czego szukasz? - popłynęła delikatna aluzja, by przestał.

Siedziała na skórzanym fotelu, oparta wygodnie. Trwali w półmroku, więc zapaliła lampę.

- Z tą małą jest coś nie tak.

- Mówi swoim językiem. Słyszałam nagrania.

- A właśnie. Jak dochodzenie?

- Cztery z nich mimo że go o nic nie oskarżyły, z miejsca poprosiły o przeniesienie. Dwie pozostałe trwają hardo przy swoim. Nie zrobił nic nagannego, uwielbiają go i nie mają nic przeciwko jego metodom. Dobrze przeszkolone. Co do próby gwałtu niczego mu nie udowodnimy. Słowo przeciwko słowu. To było w budynku, więc nie ma nagrań. Grozi mu zdegradowanie za narażenie życia podwładnego, a rudej za pomoc w tym. Ogólnie będzie miał szczęście, jeśli skończy w Szkółce. Tam wszystko jest pod lupą, więc nikogo nie tknie. A tak w ogóle, to co ci strzeliło do głowy z tym Sadystą?

Popatrzył na nią. Nie chciał jej tłumaczyć, skąd u niego taka desperacja.

- Przyjdź w niedzielę. Ją też przyciągnę za włosy. Zorganizujemy wam zapasy w kisielu. Szczur się ucieszy. Już dwa razy proponował mi ustawienie baseniku pod schodami.

- Aż tak ci załazła za skórę? - spytała z niedowierzaniem. - Przecież jest młodziutka. Daj jej trochę czasu. Mnie też na początku próbowałeś trzymać krótko.

- Przyjdź i zobacz, a potem będziesz mnie oceniać.

- Nie oceniam ciebie tylko twoje postępowanie.

Cisza. Zawsze była dobra w sztuce konwersacji. W sztucznym świetle mrugały do niego jej kolczyki.

- Byłem na rodzinnym spotkaniu. Dostałem prezent.

- Samochód, żebyś się zabił, czy miesiąc na Ibizie, żebyś dostał marskości wątroby, a metaamfetamina wypaliła ci zwoje?

- Narzeczoną.

To był dla niej cios. Nie samo słowo, ale sposób, w jaki to powiedział. Podeszedł do barku, żeby sobie dolać. Próbowała być dzielna.

- No cóż. Wiedzieliśmy, że to się kiedyś stanie - zaczęła rzeczowo, by nie stracić twarzy.

- Rozmawiałem z nią. Jest niewiele starsza od Mii.

Wolał patrzeć na lód w szklance niż na jej zaszkłone oczy.

- Ma na imię Sara. Jej rodzina nie znaczy wiele pod względem finansowym, ale jest siostrzenicą jednego z silniejszych. Wybór idealny. Młoda, zdrowa, niegłupia, niebrzydka.

- Powiedziałeś Mii?



- Nie. Dostaje furii na samą myśl, że coś takiego jak małżeństwo może być przedmiotem handlu. Poza tym rozpuściłem ją. Myśli jak dziecko, nie jak panienka na wydaniu. Zdarza się jej jeszcze tupać nogą. Jest na etapie plakatów i pamiętnika i niech tak zostanie.

- Chronisz ją przed brutalnym ciosem, a siebie nie umiesz obronić?

- Tak jak powiedziałaś. Wiedzieliśmy, że to się kiedyś stanie.

Wstała dość lekko jak na taki cios. Podeszła do niego i spójrzała mu w oczy.

- Jeśli chciałeś to zakończyć, było to po prostu zrobić. Nie musiałeś odstawiać szopki.

- Sara istnieje.

- Ja też.

Wyszła. Nie liczył na to, że zostanie. Nawet Mia wiedziała, że są razem od czasu do czasu. Tolerowała Marię. Niekiedy rozmawiały ze sobą. O szkole, lekcjach gry na skrzypcach, a gdy nie słyszała, plotkowały o chłopakach.

Wrócił do oglądania nagrań. Znał je na pamięć, jednak miał nieodparte wrażenie, że coś mu umyka i to coś jest rażąco oczywiste, a on jest na to ślepy. Zatrzymał w momencie, gdy patrzyła w bok, siedząc pod ścianą z bronią gotową do strzału.

- Co ukrywasz, Bura? - szepnął. - Powiesz mi po dobroci czy mam to z ciebie wycisnąć?

Wszedł bez pukania i z miejsca go zamuroowało. Było po siódmej rano i słońce, o dziwo, wschodziło zupełnie normalnym rytmem. Nora zalała się porannym światłem i zobaczył ją w całej okazałości. Było czysto. Nie czysto, kiedy sprzątała zmuszeni do tego po tygodniowej balandze, albo gdy ciągi komunikacyjne w stylu wąskiego przesmyku między lodówką a łazienką były zawałone odpadkami, ale czysto, kiedy sprząta kobieta. Obejrzał salon i był niemal pewien. Kiedy zobaczył łazienkę, nie miał już złudzeń. Bura mieszkała z nimi. Otworzył szafkę nad lustrem. Skrzydlaty dowód stał w paczce pakowany po dziesięć sztuk. Poza tym nawet Prince nie używał różowych maszynek do golenia. Klecha był w domu, bo miał jego rower oparty o schody. Otworzył drzwi i skamieniał. Glany i koc leżały pod łóżkiem. Bura spała z kołdrą po sam nos. Klecha obejmował ją czule. Po chwili widać poczuł przeciąg i otworzył oczy. Odruchowo spojrzał na zaspaną twarz obok. Powoli i ostrożnie zgramolił się z łóżka. Koshe nie czekał na niego. Wszedł do kuchni i wystawił z szafki dwa kubki. Nastawił czajnik i zasypał kawę. Klecha przyczłapał po chwili i przeciągnął się o futrynę. Rozpięty pasek sterczał mu ze spodni. Zapiął koszulę i usiadł przy stoliczku, który naprawiła. Półkolista decha przytwierdzana do ściany z ruchomą nogą. Wziął do ręki gazetę, którą przyniósł ze sobą Koshe.

- Od jak dawna mieszka z wami?

- Od kilku dni.

- A od kiedy sypiacie ze sobą?

Odłożył gazetę.

- Nie sypiamy. Wczoraj były Alpy, a w pokoju nie ma klimy, więc przyszła spać do mnie. Poza tym gdyby nawet, niczyja sprawa co robimy razem. Wożę ją też na ramie swojego roweru. To z pewnością podtekst erotyczny. Nie ma lepszego podrywku niż lśniaca rama.

Podał mu kubek.

- No i jak wam tu na kupie?

- Całkiem, całkiem, jak widać. Dobrze, że Szczur zamyka swój grajdołek na trzy zamki. Wyobrażasz ją sobie w tym bajzlu?

Zaśmiali się na samą myśl o tym.

- Bura nie jest złą dziewczyną. Narwana i pyskata, ale zła nie jest. Zła nie pierze i nie prasuje w wolnym czasie. A jak tobie minął tydzień? Nadrobiłeś, co miałeś nadrobić?

- Nie. Przyszedłem tutaj, żeby popracować, ale chyba się nie skupię, tak tu czysto. A, zapomniałbym. Maria wpadnie w niedzielę. Nasza mała gwiazda robi furorę w wewnętrznym. Po raz pierwszy od dziesiątek lat będzie degradacja stopnia i zarazem rozwalenie całej grupy.

Klecha gwizdnął przeciągle. W drzwiach stanęła Bura. Koshe zaśmiał się perliście na jej widok.

- Cześć, Koshe - mruknęła, przecierając oczy.

- Brakuje ci tylko pluszaka przytulanki.

- Idę się przebrać, więc nie zaglądalejcie do pokoju.

- A właśnie. Gdzie ty masz swoje rzeczy? - spytał Klecha.

- W kanapie. - Ziewnęła.

Obaj jak na komendę się zakrztusili.

- Coś nie tak?

- Otworzyłaś kanapę? - Koshe osłupiał.

- Tak. Ona się nawet rozkłada.

- I co było w środku?

- Nic prócz kupy kurzu, butelek, pisemek dla dorosłych, trzech zepsutych wiatraków, pionków od warcabów i mnóstwa drobnych z całego świata. Kupię wam klaser. A co powinnam zastać?

Popatrzyli po sobie ubawieni.

- Dokładnie to, co wymieniłaś.

- To idę się ubrać. Nastawcie wodę.

Klecha wychylił się sprawdzić, czy odeszła na tyle, by ich nie usłyszeć.

W podstawach wiatraków był hasz, którego Szczur nie zdołał upłynnić. Między pisemkami cztery dmuchane lale na Koniunkcję. Trzy flaszki chleba w jedynej słusznej postaci. Skręca włosy w nosie. Osobiście degustowałem próbki na warsztacie u Rasputina. Eurocenty były z cyny. W środku miały listki nasączone ekstazy - wyszeptał naprędce i przeczesał włosy. - Posprzątała na amen.

- Zarobiliście na mnie. Prince i Szczur na pewno nie wrócą z pustymi rękami, więc się wyrówna.

Zaczęli się śmiać. To, że posprzątała ich zapasy, było tak absurdalne, że aż śmieszne. Koshe sporadycznie korzystał z ich zasobów, ale nie miał nic przeciwko. Lubili się dobrze zabawić i zwykle bawili się na cztery fajerki. Szkoda tylko było jej pracy. Jedna trzydniówka i będzie musiała robić wszystko od początku.

Tego dnia po raz pierwszy wybrała się na basen. Kapitan obiecał, że nauczy ją pływać. Trzymał ją za rękę i uspokajał. Była w wodzie dość długo i zsiniały jej usta, więc poszedł po jeszcze jeden ręcznik i herbatę z automatu. Siedziała na skraju głębokiego na pięć metrów basenu pod mniejszą skocznia. Nikt nie skakał, więc oglądała sobie halę na cztery baseny, przygryzając z zimna róg ręcznika. Ludzi nie było wielu. Na basenie obok ćwiczyli pływacy, na kolejnym piszczwały dziewczyny w wieku szkolnym. Chyba licealistki na zajęciach z pływania. Nie usłyszała, kiedy podchodzili. Było ich czterech. Stanęli za jej plecami. Jeden usiadł z boku.

- Cześć, Lolita. - Zaśmiał się rubasznie.

- Pomyłka - bąknęła i pociągnęła nosem.

- Żadna pomyłka. Lubisz starszych?

Robiło się niebezpiecznie. Stojący za nią zdjął jej ręcznik z ramion.

- Co my tu mamy?

Wstała i spojrzała prosto w oczy chłystkowi niewiele starszemu od siebie.

- Zjeżdżajcie stąd - powiedziała spokojnie, wzięwszy pod uwagę ich chamstwo.

- Nie obruszaj się tak. Dajesz tylko geriatrici? - Obleciał ją wzrokiem.

- Jemu wyliniało dwa razy to, co tobie nigdy nie urosło - odgryzła się.

- Suka - warknął i popchnął ją do wody.

Spanikowała. Nafykała się wody i zakrztusiła. Pociemniało

jej w oczach. Poczowała dno pod nogami. Coś huknęło obok. Ktoś wyciągał ją na powierzchnię. Oczy otworzyła dopiero na drewnianej ławce. Ktoś pocierał ręcznikiem jej ramiona i twarz. Oczy piekły niemiłosiernie. Złapała go za rękę.

- Przepraszam. Spanikowałam i...

Koshe wyglądał na złego jak diabli. Mokre włosy, obcisłe kąpielówki i stoper na nadgarstku.

- Mam omamy.

- Gdybym nie zauważył twojego ohydneho kostiumu, utopiłabyś się. - Był zły.

- Następnym razem - kaszlnęła - będę topić się tylko w środy, żeby cię nie denerwować.

Usiadł obok. Nie patrzyła na niego.

- Koshe, a zemdlec mogę?

Nie zdążył nic odpowiedzieć. Osunęła się na stertę sznurów z bojami.

- Rozcięcie z tyłu głowy zszyto jej w zabiegowym i kapitan zabrał ją do siebie. Do domu wróciła w niedzielę wieczór. Był komplet. Nawet Borys. Były też jakieś dzieci i dwie kobiety, których do tej pory nie znała. Jedna była filigranową blondynką w okularach. Biały koński ogon frunął za nią, gdy

biegała za dwuletnim chłopcem. Borys trzymał na kolanach dziewczynkę, która wyglądała jak kopia swojej matki. Kobieta podeszła do niej i przedstawiła się: Mam na imię Jane. Jestem żoną Borysa.

- Miło mi. Lilith.

Druga wstała z kanapy. Była wysoka i smukła. Idealna sylwetka, perfekcyjnie dobrany strój. Smągła cera, piękne ciemne oczy i burza połyskliwych czarnych pukli do pasa. Wyglądała jak Cyganka lub Greczynka. Uśmiechnęła się do niej przyjaźnie. Nigdy nie widziała tu piękniejszej kobiety.

- Jestem Maria.

- Lilith, ale dali mi Bura, bo Koshe nie grzeszy wyobraźnią.

Roześmiała się szeroko, ukazując idealnie równe, białe zęby. Wyglądała jak z okładki Vogue'a.

Przysiadła na kanapie. Po jednej stronie usadowił się mały Aleksander, po drugiej Natasza. Borys był dumny ze swoich pociech. Poczuli się trochę słabo, więc po chwili poszła się położyć z dziećmi do pokoju Klechy. Usłyszeli, jak śpiewa im kołysanki.

- Niesamowite - odezwała się zafascynowana Jane. - Ona naprawdę mówi jak żywa.

- A mnie obchodzi bardziej nie to, jak mówi, tylko, co mówi. - Maria zaśmiała się, patrząc na Koshego.

Nie odezwał się. Znali to spojrzenie. Myślał nad czymś intensywnie. Prince zrobił herbatę i podał ją na tacy, która odnalazła się za lodówką podczas porządków. Była malowana w babcine róże. Bura wyszła na korytarz, powoli zamykając za sobą drzwi. Za oknem panowały ciemności, choć było dopiero po szesnastej.

- Nie powinni spać o tej godzinie, ale Natasza powiedziała, że byliście w parku. Zasnęła niemal natychmiast.

- Znasz się na dzieciach - stwierdziła Jane. - Powinnaś mieć własne.

- Mam - odpowiedziała cicho i usiadła ostrożnie przy Marii. - Pilnuję trzech takich, żeby nie obrośli brudem.

Koshe patrzył to na jedną, to na drugą. Były zupełnie różne. Maria miała w sobie klasyczne piękno. Ubrana nienaganie tak samo w strój, jak i w maniery. Bura wypadła przy niej szaro. Pokaleczona, zmęczona, w wytartych džinsach. Dżinsy, zaświtało mu w głowie. Zerwał się na równe nogi tak szybko, że wszyscy na niego spojrzeli. Minął stolik z herbatą i ciastem, które Prince dostał od matki. W progu zawrócił i stanął nad nią.

- Nie będzie mnie pięć minut. Kiedy wrócę, masz siedzieć w tym samym miejscu.

Zostawił ich zupełnie osłupiałych. Chwilę trwali tak w ciszy.

- Za dużo pracuje. W głowie mu się miesza - skomentował Makaroniarz.

Po niespełna trzech minutach ktoś wyhamował przed samym wejściem. Trzasnęły drzwi i wbiegł Koshe, błądzący jak płótno. Był wściekły. Podłączył do telewizora laptop, który przyniósł ze sobą.

- Szczur, dawaj wódkę. I kieliszki. Albo lepiej szklanki.

Młody zrobił, o co go poproszono. Bura nie odezwała się słowem. Całkiem spokojnie, na wpół otepiąłem gapiła się w podłogę.

- Polej.

Jego spazmatyczne zdenerwowanie udzieliło się wszystkim. Klecha zapalił, choć nie palił przy gościach. Koshe uderzył w enter i komentował film:

- A oto, proszę państwa, film z zakładu numer jeden. Bohaterowie? Grupa uzależnionych od sportu czarnoskórych mężczyzn i nasza mała dziewczynka. Miejsce? Ziemia. Dokładniej nas nie interesuje. Akcja? Moment, w którym genialne dziecko wysadza z dwudziestki Ośmionoga w zaułku.

Obejrzeliby fragment do końca.

- No i? - spytał Szczur.

- Jeszcze raz. - Przewinął.

Nikt się niczego nie dopatrzył.

Nasza koleżanka nie miała na sobie munduru. Tego dnia była w džinsach i podkoszulku. W tych džinsach, które ma na sobie. Gdy wybuchł ładunek, przypaliło jej nogawkę. - Wstał ze swojego miejsca i kucnął przy niej. - Co zresztą widać. Podniósł jej nogę i pokazał nadpalony szef.

- Ale wybuch nie pokaleczył jej kostki. - Odgiął skarpetkę.

- Bo jest żywym, w pełni sprawnym i myślącym człowiekiem.

Popatrzyła smutno w buchające wściekłością oczy. Wstał i wziął szklanekę wódki. Wypił ją jednym haustem. Było tak cicho, że niemal słyszała szum swojego tętna.

- To dlatego nosisz plaster na rękę. Goisz się wolniej od nas. Dlatego światło z granatu nic ci nie zrobiło. Reagują na nie tylko ciała astralne. I dlatego przyciągnęłaś do siebie Pulsara. Pomyślałaś o samobójstwie, a reaguje tylko na ludzi.

Usiadł dumnie w podwójnym fotelu naprzeciwko.

- To brzmi... - odezwała się Jane.  
- Absurdalnie, wiem. Ale zawiodył mnie wszystkie logiczne wyjaśnienia.  
- Bura, powiedz... - zaczął Klecha.  
- Jesteś tępak - rzuciła prosto we wściekłą twarz dowódcy.  
- Właśnie wygrałam sto euro. Założyłam się z kapitanem, że odgadnięcie prawdy zajmie ci dłużej niż tydzień.

Cisza.

- Więc przyznajesz się?  
- Do czego?  
- Do tego, że jesteś człowiekiem.  
- A czym według ciebie jest człowieczeństwo? - fuknęła.  
- Mówisz o mnie jak o podgatunku.

Wstała powoli i podeszła do stołu. Wzięła jedną ze szklanek i wychyliła duszkiem. Skrzywiła się i niemal pociekły jej łzy.

- Wódka tu i tam smakuje tak samo.

Zerwał się i stanął obok najeżony i wściekły do granic.

- Anomalia, tak? A czy nie przyszło ci do głowy, że narażasz nie tylko siebie?

Popatrzyła na niego jak na przygłupa roku.

- Co ty pieprzysz? Dobrze wiesz, że narażam się znacznie bardziej niż wy. Mam tylko swoje, góra sześćdziesiąt lat, jak dobrze pójdzie. A ty, ile ich masz jeszcze przed sobą? Jestem tu i taki jest fakt. Nie można tego odkręcić, bo nie istnieję już w swoim świecie, geniuszu od siedmiu boleści. Skoro jesteś taki inteligentny, to znajdź sposób na to, żebym wróciła do siebie.

Patrzył z niedowierzaniem.

- Jednego dnia byłam tam, a następnego tu. Nie wiem jak. Nie wiem po co. Ale jak masz coś do mnie, to nie udawaj, że to przez to, że jestem ta z dołu, bo ci nie uwierzę. Znajdź sobie lepszy powód do nienawiści, bo ten jest gównem wart. I jeszcze jedno. Ja tu zostanę, czy ci się to podoba, czy nie. Jestem zbyt bliska celu.

- Jakiego celu?

Zaśmiała się histerycznie.

- Jesteś kawał sukinsyna - prychnęła mu w twarz. - Ciebie nie obchodzi, że tu zdechnę, sama, bez rodziny, przyjaciół. Że straciłam wszystko i wszystkich. Ciebie nie obchodzi jak, tylko po co? Nie umiesz przyjąć do wiadomości, że czegoś nie wiesz. Ale wiesz co? Gównem mnie to obchodzi. Mam gdzieś twoją niezdrową ciekawość, twoje gigantyczne ego, twój nadęty wypucowany sposób bycia. Szukasz zagadki? Zaczynaj rozwiązywać w wolnym czasie krzyżówki.

Poczuła ciepło na karku. Dotknęła delikatnie miejsca, które było szyte. Leciąca z niego krew. Miała ją na rękę. Wyszła do łazienki i namoczyła ręcznik. Odchyliła kołnierzyk koszuli i przyłożyła go w gorące miejsce. Trzęsły się jej ręce. Musi wyjść na powietrze, odetchnąć. Nie zdążyła.

Obudził ją sygnał dzwonka. Miała coś w rękę. Było ciemno, więc nie wiedziała, co to takiego. Telefon rozsunał się z trzaskiem. Odruchowo przyłożyła go do ucha.

- Tak - jęknęła, bo ból głowy pulsował niemiłosiernie.  
- Jane szła cię wczoraj raz jeszcze. Jest lekarzem - usłyszała głos Princea.  
- Dziwne, że Koshe nie kazał mi zaszyć ust.  
- Upadając, walnęłaś o umywalkę, stąd siniak na czole.  
- Która jest godzina?  
- Jesteśmy po odprawie. Idziemy sami.  
- A to dlaczego? Czyżbym awansowała?  
- Masz rozciętą głowę. Pogadamy później.

Rozłączył się, a ona zgramoliła się z łóżka. Pusta butelka po wódce stała na stoliku. A więc opili wieści.

Miała wolne, toteż postanowiła załatwić zaległą sprawę. Było koło południa, gdy dotarła na miejsce. O podwiezienie poprosiła jednego od Rodmana. Stała z adresem spisany na kartce, w rękę trzymała koszyk z owocami. Spory prezent, wzięwszy pod uwagę ich możliwości. Odźwierny otworzył jej szklane drzwi i weszła do holu, w którym cicho rozbrzmiewała przyjemna muzyka. Było tam jasno. Eleganckie stiuki na ścianach i suficie, ubrany na galowo ochroniarz przy windach. Pełna obsługa godna pięciu gwiazdek.

- W czym mogę panię pomóc?

- Chciałabym spotkać się z panem Koshe, jeśli oczywiście jest w domu.

Chwycił za telefon.

- Proszę chwileczkę zaczekać.

Rozejrzała się dyskretnie po holu. Kwiaty w wazonach, marmur na podłodze.

- Pana Koshe nie ma w tej chwili, ale ktoś może odebrać od pani wiadomość osobiście. Czy chce pani pojechać na górę?

- Tak, jeśli można.

Uśmiechnął się do niej wypracowanym grymasem i zaprosił teatralnym gestem do windy.

- Dwudzieste piąte piętro.

- Dziękuję.

Weszła i nacisnęła guzik. Winda nie służyła jej bólowi głowy. Kiedy drzwi otworzyły się, weszła wprost do salonu. Nowo czesny i surowy wystrój był czymś tak różnym od tego, co do tej pory widziała. W porównaniu z tym oni żyli na śmietniku. Ktoś wyszedł z pokoju obok, zasuwając za sobą wielkie skrzydło matowych drzwi. Dziewczyna. Niewiele młodsza od niej. Czarne włosy obcięte na pazia i szkolny mundurek. Była śliczna.

- Przepraszam, chyba pomyliłam piętra - powiedziała zakłopotana.

- Nie, nie pomyliłaś. Jestem Mia. Siostra Koshego. Wszyscy tak na niego mówią, więc ja też. - Uśmiechnęła się uroczo.

Była tak zaskoczona, że ledwo mogła opanować dolną szczękę. Postawiła kosz na szafce przy wejściu. Stały na niej ich wspólne zdjęcia. Gdy odwróciła się do nastolatki, odważyła się powiedzieć, po co przyszła.

- Nie wiem, czy Koshe, to znaczy twój brat mówił ci, że pomógł mi gdy - zaśmiała się na sam dźwięk tego dziwactwa - gdy się topiłam.

- Aaaa! Ty jesteś Bura.

- Dla przyjaciół Lilith.

- Mówił, a raczej stękał, bo on nie za bardzo umie rozmawiać z ludźmi. Wiem, to mój brat i nie powinnam tak mówić, ale jest strasznie nadęty.

Zaśmiały się dokładnie w momencie, gdy drzwi windy się rozsunęły. Nawet na nią nie spojrział. Był tak wściekły, że aż szklisty. Naparł z całą mocą na siostrę.

- Dzwonili ze szkoły. Już trzeci dzień wagarujesz.

- Mówiłam ci, że będę spotykała się z chłopakiem, czy ci się to podoba, czy nie! Skoro zakazałeś mi spotykać się z nim po szkole, to korzystam z czasu na szkołę!

- On nie jest dla ciebie, Mia!

- A kto jest? Kto ci dał prawo o tym decydować?!

Nie wytrzymała i odezwała się mimowolnie:

Nawet jeśli teraz tak myślisz - zaczęła drżącym głosem - że twój brat jest surowy, zły, a może nawet okrutny, to wierz mi, kiedyś przestaniesz.

Patrzyli na nią zakłopotani, że była świadkiem ich kłótni.

- Zazdroszczę ci - ciągnęła dalej. - Gdybym miała kogoś takiego jak Koshe, gdybym miała starszego brata, który broniłby mnie i chronił przed całym złem tego świata, byłabym dziś najszcześniejszą dziewczyną na świecie. Oddałabym wszystko za jedną taką kłótnię.

Spojrzała na niego.

- Zostawiłam ci coś na szafce. - Skinęła głową i wyszła. Popatrzył na siostrę. Była równie zaskoczona, jak on.

- Po co przysła?

- Mówiła, że chodzi o basen.

Podszedł do szafki i spojrzął na kosz z owocami. Wyjął bilecik spomiędzy łusek ananasa. Pisała w swoim języku. „Tego też się nauczę. Zobacysz”. Zgarnął klucze i wbiegł do windy. Zapytał odźwiernego, w którym poszła kierunku, i znalazł ją uliczkę dalej. Szła z rękami w kieszeniach. Szarpnął ją za ramię.

- Odwiozę cię - oznajmił i pociągnął ją w stronę samochodu.

To był ten sam samochód, którym zwykle jeździł Szczur. Otworzył drzwi i niemal wcisnął ją na siedzenie.

- Dżentelmen to ty nie jesteś, ale to już ustaliliśmy. Silnik zamruczał niedźwiedzim warknięciem.

Ruszył ostro.

- Wolniej. Trzeci raz nie dam się szyc.

Nie odezwał się słowem, ale zwolnił. Na światłach przyjrzał się jej uważnie, ciągle jednak się nie odzywał. Gdy weszli do fabryki, wszyscy, którzy byli wczoraj, czekali na nich. Przywitała się bladym „cześć” i usiadła na zielonej kanapie. Koshe,

- dziwo, usiadł obok. Kapitan przyszedł tuż po nich.

- Rozmawialiśmy wczoraj o tym, że... jesteś... - zaczął Koshe.

- Człowiekiem - wyręczyła go.

Jane pracuje w Instytucie, a on nie cieszy się tutaj popularnością. To miejsce, w którym tworzą nowoczesny sprzęt i technologię, ale ma też swoje ciemne strony, o których się głośno nie mówi i nie ma na nie dowodów. Jane jest dyrektorem oddziału szpitalnego i kieruje przychodnią wojskową.

Jane siedziała zdenerwowana, poprawiając spódnicę.

- Wyjaśniła nam, oczywiście hipotetycznie, że jeśli wieść o tobie doszłaby do Instytutu - westchnął - nie byłoby po tobie śladu. Jesteś żywym dowodem błędu. Jak to ujęłaś, anomalią. Ale prawdopodobnie nie daliby ci umrzeć. My tu mamy wiele nowinek technicznych, zupełnie różnych od tych, które znasz. Jakby ewolucja technologiczna poszła tu w innym kierunku. Inny świat, inne potrzeby. Co nie zmienia faktu, że coś musiało pójść całkowicie nie tak. Inaczej. Więc zapewne, nie przebierając w środkach i nie zważając na taki archaizm jak prawo do życia, doszliby, w czym tkwił błąd i naprawili go. Z tobą czy bez ciebie.

Był poważny jak nigdy. Wiedziała o tym wszystkim, ale kiedy mówił to głośno, może działało to na nich uspokajająco. Kapitan objął ją ramieniem i pocałował czule w czoło. Przez chwilę wszystkie spojrzenia niezręcznie śledziły ten gest.

- Oficjalnie Instytut wie o tobie, ale nie uważa cię za ciekawy przypadek. Sprawdziłam to. W papierach masz, że Mnisi na tobie eksperymentowali i dostałaś swój język od nich. Chcieli sprawdzić, czy ich moc działa w ten sposób - wyjaśniła Jane.

- Tak, wiem. Kiedy z nimi rozmawiałam, omówili ze mną tę wersję wydarzeń.

- Rozmawiałaś ze starymi? - Szczur usiadł z wrażenia. - Nie dają się namierzyć. Nikt z nas ich nigdy nie widział.

- Ups. - Nadęła policzki.

Koshe zapadł się ciężko w głębokiej kanapie.

- Wiedziałaś o wszystkich zagrożeniach i mimo to zgodziłaś się na horror w HD?

- Na to nie za bardzo chcieli się zgodzić. - Zmarszczyła brwi. - Musiałam negocjować.

- Zaraz. Ty tego chciałaś? - Makaroniarz osłupiał.

- Niestety - sapnął kapitan.

- Dlaczego? - spytał spokojnie Koshe.

- No widzisz. Gdy na mnie nie wrzeszczysz i artykułujesz spokojnie pytania, to aż się chce odpowiadać. Muszę się dostać do miasta na dole.

- Tam nic nie ma. Jeśli wyobrażasz sobie uduchowione miejsce z mnóstwem ludzi ubranych na biało, dających sobie ciągle znak pokoju i jedzących algi, to się grubo mylisz.

- Wiem, że to nie posiadówka jehowych. Po prostu chcę się tam dostać. Tak jak wy. Dostać od czasu do czasu przepustkę.

- Po co?

- A ty swoje. Po co i po co? - Westchnęła. - Nie wolno mi mówić na ten temat. Wszystko, co dotyczy mojej przeszłości, jest objęte tajemnicą. Nie jestem za dobra w negocjacjach.

- A imię? Nazwisko? Są prawdziwe?

- Nie.

To był chyba dla nich największy cios, szczególnie dla Klechy. Zaufali jej, a ona niczym dobrym się nie odwzajemniła. Wypranie nawet setki gaci tego nie zmieni. Czas się było pokajać.

- Musiałam je sobie wymyślić. To imię było pierwszym, jakie przyszło mi do głowy. Nie jest prawdziwe, ale reszta tak. Próbowałam być inna, wierzcie, ale z wami nie da się nie kłąć i grzecznie czekać na swoją kolej do łazienki. Nawet o przestrzeń na stołówce trzeba walczyć. Jak w buszu.

Zaśmiali się cicho.

- A tak naprawdę, robię coś w kółko, żeby nie myśleć. Wolę horror w HD niż świadomość, że nie znajduję tego, czego szukam.

- Pogadali jeszcze o pierdołach, by rozładować atmosferę. Kapitan wyszeptał jej coś do ucha i pocałował po raz kolejny. Stało się dla nich jasne, że są kochankami. Próbowali się nie dziwić temu, choć Stary raczej nie kojarzył im się z amatorami. Ciągłe ją przytulał, a ona lgnęła do niego jak miękki kociak.

Rozmawiali nieskrępowanie, ale od czasu do czasu nachylał się nad nią i szeptał do niej czule, a za rękę trzymał niemal nieustannie.

Gdy została sama z Borysem, Koshem i swoimi współlokatorami, zrobiło się nieco sentymentalnie.

- Pomyśleliśmy... - zaczął Klecha.

- Kłam dalej - wciął się Koshe.

- Pomyśleliśmy - zaakcentował mocniej - że powinniśmy się bliżej poznać.

- To zależy.

- Od czego?

- A będziecie się rozbierać?

- Nie. Przedstawimy się.

Zaskoczyło ją to.

- Robin Charles - odezwał się Szczur.

- Masz angielski akcent, gdy jesteśmy na dole.

Pokiwał głową. Grzywka zadrgała delikatnie na rzęsach.

Patrzyły na nią wielkie zielone oczy.

- Tak. Urodziłem się w Anglii. Jestem samobójcą.

Chwila ciszy.

- Ja niestety urodziłem się tutaj - westchnął zrezygnowany Prince. - A co za tym idzie, mam rodzinę. Liczną i krzykliwą. Nawet w zaświatach Włosi skrzykują się i żyją na kupie jak w hipisowskiej komunie. Pablo Ferrero.

- Borys Aleksiejewicz Kasparowicz. Samobójca. Moją jedyną rodzinę poznałaś.

- Fajną masz rodzinę.

- Ja jestem Koshe. Koshe tępak.

- Oj tam - mruknęła. - Wszystko bierzesz do siebie, jakbyś był jedynakiem.

Popatrzyła na Klechę. Jak zwykle palił jednego za drugim.

- Palisz jak lokomotywa.

Ej, pamiętaj o zasadzie drugiej. Mówisz, jakbym miał dostać raka.

- Pamiętaj o moich płucach. Twoja degradacja jest moim rakiem.

Miał opory przed powiedzeniem swojego imienia.

- Natan.

- Jak ten prorok?

- Nie. Jak Nataniel Gerard.

- Francuz?

- Kilka pokoleń wstecz na pewno. Urodzony w przeklętym świecie.

- U mnie bez zmian. - Posmutniała.

- A tak w ogóle, ile ty masz lat? - zaskrzeczał Szczur.

- Uuuuu. Zaczynają się trudne pytania. Ktoś chce piwo?

- Nie wymigasz się. - Skoczył obok niej i palnął się jak długi, wyciągając nogi na jej kolanach.

- Ała. Masz kości z kaktusa. Zabieraj kopyta.

- Ile? - Przycisnął mocniej.

- Dziewiętnaście T1000. Złaź, bo mnie pokaleczysz. Zaczęli się śmiać.

- Na nasze standardy jesteś nieletnia - zakwilił Prince.
- A na moje leciwa.

Klecha złapał ją za rękę i przewiesił sobie przez ramię.

- Idziemy na browar.
- Zaczekaj. Wypadnie mi telefon. Zaczekał, aż wyciągnie go z tylnej kieszeni.
- Trzymaj, Prince.

Popatrzył na czarny szeroki aparat.

- Dlaczego mi go dajesz, przecież jest twój - spytał zdziwiony.
- Nie mam do kogo dzwonić.
- Wprowadziłem ci nasze numery. Nie płacimy rachunków, więc możesz podzwonić do nas.

Popatrzyła na symbol nad wyświetlaczem. Kapitan miał inny.

- Co to za znaczek?

To twój znaczek. Moje nazwisko. Nie umiesz czytać? - bąknął Koshe swoim naturalnym wrodzonym tonem.

- Właściwie, to nie.

Klecha postawił ją na ziemi i mogli gapić się na nią z góry.

- Nagle wyrosły mi czułki? Po prostu Mnisi pomogli mi opanować ból przy tłumaczeniu słów. Gorzej z literami. Powiedzieli, że to przyjdzie z czasem. Mam nadzieję, że już niedługo. Wczoraj weszłam do męskiej toalety.

Śmiali się z niej jak zwykle.

- No cóż, nudzić się z tobą, to my zapewne się nie będziemy - skwitował dowódca.

Siedzieli w speluncie na obrzeżach dzielnicy fabrycznej. Stoliki były przytwierdzone do betonowej posadzki, a półkoliste stołki skręcone ze sobą po dwa. Pili piwo, ale jej zamówili sok z różową słomką, jak dla dziecka.

- Za młoda jesteś - zaskrzytał Szczur zadowolony z tego, że nie jest już najmłodszy.
- Nie rozumiem, z czego się cieszysz? Gdyby zbadać nas pod względem hormonów, przy mnie sikasz do góry.

Podszedł do nich barman.

- Przychodzisz od piątku do niedzieli od siódmej do piętnastej.
- Dobra. Kto otwiera budę?
- Ja. Mam pokój w kanciapie.

Pokazał palcem na wystający cycek pod dachem. W czasach gdy była tu fabryka, znajdowało się tam pewnie biuro nadzorcy.

- Bądź punktualnie. To mnie obudzisz.

Odszedł.

- Co ty, Bura? Zaczynasz karierę jako kelnerka? - zdziwił się Prince. - W takiej mordowni? Inne kelnerki są prostytutkami, a on ich alfonsem. Nie to że chcemy się mieszać, ale jak się rozniesie, że tu pracujesz, nikomu nie przetłumaczysz...

- Potrzebuję pieniędzy. I to sporo - przerwała jego wywody.

- Po co? - spytał Klecha.

- Prawo Koshego. Poza tym nie szukam sobie męża, więc nie zależy mi na reputacji. A co do ewentualnego drugiego etatu, dziwi mnie tylko, że kiedy mówię, z kim pracuję, wszyscy odmawiają mi w trwodze. Dziwne, prawda? Powinniście nająć się jako wykidajła. Odstraszacie nawet wtedy, gdy was nie ma.

Klecha przechylił kufel do dna.

- Idę do baru. Przynieść coś komuś?

Nigdy siebie nie pytali o oczywiste rzeczy. Nikt się nie wychylił, więc poszedł między stolikami do zamglonego od dymu kontuaru. Borys kłapnął muchę przed nosem Koshego i wrzucił ją do jego kufła. Koshe popatrzył na niego wymownie. Żaden z jego ludzi nie był głupi, ale Borys czasami zaskakiwał go prostotą myślenia.

- Ty też musisz iść do baru. Mucha wpadła ci do piwa - oświadczył Borys.

Koshe wstał i poszedł, zostawiając Szczura i jego opowieść

- gigantycznych sutkach jednej z tutejszych prostytutek. Stał obok Klechy i czekali razem na swoją kolej.



- Wyglądasz dość nietęgo - odezwał się Klecha, wydmuchując dym.
- Wyglądam jak twój nowy wspólnik.

Klecha uśmiechnął się szeroko. Za długo się znali. Przez ten czas zdążyli się i pokochać, i zniechęcić. Wszyscy razem i każdy z osobna. Byli na siebie skazani jak przyjaciele i wrogowie jednocześnie. Czasem rozjeżdżali się na miesiąc, dwa, ale gdy wracali do wspólnej Nory, było w tym coś fajnego. Wystarczył jeden telefon. Słowo powiedziane nie tak jak zwykle, a zjawiali się całą ekipą i nieumiejętnie udawali, że zupełnie przypadkiem pojawili się w tej knajpie, zaskoczeni jego niewiarą. I czy chodziło o niego, czy o Koshego, algorytm był ten sam. Jeden ciągnął drugiego za kołnier.

Barman postawił przed nimi dwa piwa. Koshe stukał banknotem o wyrobiony lakier na barze.

- Ile chcesz za tę budę?

\*\*\*

Dwa dni później odbywały się zawody pływackie. O tym, że Koshe bierze w nich udział, dowiedziała się tego samego dnia od Mii. Wpadła przed śniadaniem jak burza i rozglądała się ciekawie wokół. Ładne modne ciuchy siostry Koshego nie pasowały do jej skromnej sukienki w kwiatki, ale była jedyną, jaką miała, a znajdowali się nad Afryką, więc skwar był nie do wytrzymania. Z tego co mówiła Mia, brat zabronił jej przychodzenia do Nory, bo groziło to co najmniej salmonellą. Jednakże od kiedy mieszkała z nimi Bura, ryzyko zakażenia znacznie zmalało.

Polubiła ją. Zresztą jej nie dało się nie lubić. Była wygadana i naturalna, zupełnie jak jej brat. Tylko uśmiechała się częściej.

Trybuny wypełnione były po brzegi. Dla bezpieczeństwa trzy pozostałe baseny, na których zawodnicy nie pływali, zostały przykryte siatką. Jeszcze przed startem rozmawiał przez telefon. Gdy go odłożył, zobaczył ich od razu. Tu, w Mieście, wszyscy byli niezwykle barwni i oryginalni, ale swoją ekipę poznał z daleka. Szczur trzymał transparent, a raczej płachtę w plamy, na której namazał czerwoną farbą napis w angielskim: „Koshe, jak przegrasz, to jesteś cieniem”. Prince wymyślił inne hasło, a że nie doszli do porozumienia w tej kwestii, siedział dwa rzędy niżej, z dalszym ciągiem wypisanym na wielkich białych gaciach z nogawkami nadzianymi na dwa kije, z czego jeden był od szczotki, a drugi od teleskopowego mopa. Napis końcowy brzmiał: „albo fujara”. Mia siedziała razem z nimi. Było ciasno, więc wskoczyła na kolana Borysowi, żeby lepiej widzieć. Bura siedziała na kolanach u Klechy w jakiejś babcinej sukience i sandałach, zajęta gwizdaniem w palce.

- Gdzieś ty się chowała? W slumsach? - mruknął ubawiony.

Gwizdek i weszli na pozycje. Strzał i skok. Na mecie już wiedział, że wygrał. Oddychał ciężko całkowicie znudzony. Nie uczono go przegrywać. Zawsze musiał być najlepszy.

W szkole, na macie, wszędzie. A jednak miał wrażenie, że był przegrany. Właściwie przegrywał każdego dnia, ale nie wiedział, jakich reguł jeszcze nie pojął. Spojrzał na trybuny. Gacie na kijach poruszały się jak kukielka ponad głowami bijących brawo zawodnikom. Szły w stronę wyjścia, podrygując do góry i w dół. Przynajmniej oni cieszyli się z jego wygranej.

Szkółka miała dwa etapy. Pierwszy z nich skończył się po trzech miesiącach. Ciężko było pogodzić pracę od siódmej do piętnastej, a potem zajęcia, nie licząc kelnerowania w weekendy i czasu z kapitanem. Teraz powinna odetchnąć, bo zaczęły się lekcje teoretyczne. Pepesza nie zmienił stylu i wykład wypluwał równym rytmem, czasami wplatając w to przecinek na pomruk niezadowolenia. Siedziała ze swoją grupą w auli. Na dole była biała tablica, na której ktoś namazał jego karykaturę. Zaczął zajęcia od obejrzenia podobizny i dorysowania kilku szczegółów. Albo miał do siebie dystans, albo naprawdę był nienormalny. Rysunek przedstawiał go, jak siedzi na kiblu i czyta gazetę. Napis nad głową głosił: „Spierdalać gównojady! Niczego nie oddam bez walki”.

Za jej plecami usiadło trzech najzdolniejszych zawodniaków. Starła się z nimi nie rozmawiać. Kiedy oni rwali panienki czy gnębili młodszych, ona po prostu odpoczywała. W szkółce byli ludzie w różnym wieku. Tylko kilka osób wyglądało na tyle lat, co ona, reszta była albo starsza, albo bardziej starsza.

Pepesza przedstawił scenariusz hipotetycznej akcji.

- Jest was siedmiu. Tyłu, ilu zwykle w drużynie. Jeden dowódca i sześciu pozostałych, którzy byli za głupi, żeby zostać alfą. Miasto. Duże, brudne i śmierdzące. W naszej bajce mamy cztery Ośmionogi i całe mnóstwo Hien. A wy kto? - zapytał siedzących w ostatnim rzędzie.

- Wolni słuchacze - odezwał się sennie Klecha, który zajęty był układaniem kostki Rubika.

- Konsultacja techniczna - naprostował grzecznie Prince i kopnął w kostkę Borysa, który przysypiał.

Szczur grał na konsoli i nawet nie podniósł grzywki, taki był zajęty.

- Zostańcie przy konsultacji. Mądrzej wtedy wyglądacie - burknął Pepesza i ciągnął dalej.

Towarzystwo mięśniaków o małym przyrodzeniu zaczęło się puszyć przed konsultantami. Ukryła się głęboko na swoim krześle. Żeby tylko nie wyszło na jaw, że już jest w jakiejś drużynie, bo nie dadzą jej żyć.

- Jak rozplanować akcję?

- To proste. - Największy z osiłków przeżuł gumę. - Idziemy i walimy wszystko jak leci. Prawda, chłopaki?

Zanim chłopaki powtórzyły genialnemu pomysłowi, wymknęło jej się ciche parsknięcie. Na jej nieszczęście Pepesza miał słuch dzikiej antylopy. Wyrzął zza rzędu obok i uśmiechnął się niebezpiecznie szeroko.

- Panienska, widzę, ma inne zdanie.

Była na siebie wściekła.

- Tam od razu zdanie. Chora jestem, to i kicham ukradkiem.

Konsultanci byli dyskretnie rozbawieni.

- Słuchamy. Nie krępować się, nie jąkać. To rozkaz.

- Tak jest. Pomysł kolegów byłby idealny, gdyby to były same Ośmiornice, ale są też Hieny. A one polują w stadach i mają swój system komunikacji. Prymitywny bo prymitywny, ale zawsze. Nawołują się. Gdy ginie jedna, reszta to wyczuwa i biegnie jej pomóc. Zwykle jest ich więcej, niż obejmuje to radar. Akcję trzeba rozegrać tak, by podejść Ośmiornice możliwie najbliżej, omijając oczywiście Hieny. Nie atakują, nie czując zagrożenia, więc zacząć trzeba jednocześnie. Dopiero po wybiściu Ośmionogów należy brać się do Hien.

- A to niby dlaczego? - bąknął osilek.

Bo jak strzelisz do Hieny na początku, to zbiegną się kolejne, a skubane szybko biegają. Jeśli jest ich więcej niż dziesięć na dwóch, nie masz szans - mruknął Szczur, nie odrywając oczu od wyświetlacza.

- Tak jest. Panienska podważyła teorię o jednoczesnej ewolucji gatunku ludzkiego. Poparła tym samym Darwina, który jak wiadomo twierdził, że idiota to stan od urodzenia do szybkiej śmierci. Inny przykład. Zamknięty budynek. Ludzie, psy, koty i staruszki w jednym kotle. Wąskie korytarze. Piwnica i dach. Nie mamy kontaktu z radarem. Straciliśmy łączność i jesteśmy zdani na siebie. Co robimy?

- Dzielimy się - odpowiedział poważnie osilek. - Łatwiej się rozglądać samemu w wąskich korytarzach i na schodach.

Tym razem nie odezwała się słowem. Pepesza stanął obok niej i oparł się o siedzenie naprzeciwko.

- Słucham opcji feministycznej.

- Zaczynamy od piwnicy. Razem. Gdy jest czysto, dzielimy się na grupy co najmniej dwuosobowe. Budynki zwykle mają dwa lub więcej wejść. Idziemy piętro po piętrze. Jeśli to możliwe, na każdym z nich zostaje jeden człowiek. Jeśli kondygnacji jest zbyt wiele, nie robimy tego. Właściwie nie powinno się w ogóle wchodzić do budynku, gdy nie ma łączności z centralą. Może być tam samotna Hiena, żywiąca się trutymi szczurami, ale może też być po Ośmiornicy na każdym piętrze. I jest to tylko dwójka z szerokiego wachlarza potworów, jakie możemy tam znaleźć.

- Konsultację proszę? - zakwilił Pepesza, udając, że prosi.

- Zasada numer dwa regulaminu, którego i tak nikt nie czyta - odezwał się Prince. - Jeśli centrala nie działa właściwie bądź wcale, a nie ma możliwości podpięcia się pod inną grupę w zasięgu akcji, wycofujemy się.

- Zgadza się. Więcej książek, mniej sztangi, a może kiedyś jakiś idiota was awansuje - powiedział do chłopaków za jej plecami.

- I tak oto w pięć minut zyskała sobie nowych, kipiących testosteronem wrogów.

\*\*\*

Kapitan zapisał ją do najlepszego liceum w całym ich świecie, mimo że upierała się przy zwykłym. Chciał dać jej wszystko, co najlepsze. Uczyła się wieczorowo, ale i tak mieli obowiązek noszenia reprezentacyjnego mundurka szkoły. Budynek na zewnątrz nie wyróżniał się niczym szczególnym. Kraty na ścianach, duże okna, sześć pięter i basen na dachu. Zajęcia odbywały się w piątki, soboty i niedziele od osiemnastej do dwudziestej drugiej, czasem do dwudziestej trzeciej. Poziom był bardzo wysoki, ale na szczęście zaliczyła wszystkie przedmioty i teraz była w ostatniej, trzeciej klasie. Ich system był inny, niż ten, który znała. Mogli brać tematy zajęć do przerobienia i zdawać końcowe testy przed komisją, która codziennie siedziała w jednej sali i tylko tym się zajmowała. To było idealne rozwiązanie dla niej. Poza tym, jeśli ktoś był zdolny i chciało mu się, mógł zaliczyć semestr w ciągu miesiąca. Gdy o tym usłyszała, poczuła się jak w raju. Wychodzili ze słusznego założenia, że albo coś umiesz, albo nie.

Nie licząc małych wyjątków, uwielbiała się uczyć. No i było w tym systemie coś, co z początku ją zastanowiło, a potem śmiała się ze swojej głupoty. Nie było nauki języków. Początkowo nauczyciele dziwili się jej mowie, ale szybko przyswoili inny styl zdawania. Podobały jej się również nietypowe zajęcia, takie jak taniec czy basen. Postanowiła dopisać je sobie do podstawowych i podnieść nimi średnią. Basen potraktowała jak wyzwanie, a taniec jak zabawę. No i były jeszcze takie perełki jak architektura, sztuka czy socjologia. Była ich strasznie ciekawa.

Zaliczyła wszystkie przedmioty z wyjątkiem matematyki, fizyki i chemii. Ciężko jej szło ze ścisłymi, więc postanowiła chodzić na zajęcia i dopiero później przystąpić do egzaminów. Tego dnia była podminowana swoim nowym, ulubionym przedmiotem - architekturą. Profesor, który go prowadził, na co dzień wykładał na uczelni. Był bardzo miłym starszym panem. Mówił spokojnie i ciekawie. Usiadła więc wygodnie w auli pełnej ludzi w różnym wieku i czytała notatki. Miała tyle pytań. Gdy wszyscy usiedli, zamiast uprzejmego „Dzień dobry moi mili. O czym dziś będziemy mówić?” usłyszała głos dowódcy. W pierwszym momencie myślała, że już wariuje z przemęczenia, ale, niestety, to była prawda. Koshe zdjął marynarkę i usiadł za eleganckim biurkiem.

- Witam. Moje nazwisko Koshe. Wasz profesor, a mój dawny promotor, poprosił mnie o zastąpienie go do końca semestru, więc spotykać się będziemy częściej.

Po sali przebiegł pisk damskiego zachwytu. Zniesmaczyło ją to. On jednak zupełnie sobie z tego nic nie robił. Nawet nie spojrzął, do kogo mówi. Podniosła zeszyt dużego formatu i ustawiła na pulpicie, by ją zasłonił. Może go słuchać, ale nie musi na niego patrzeć. Tyle czasu udawało się jej ukrywać to, że się uczy. Wszystkie swoje książki trzymała u kapitana. Nie utrzymywała bliższych kontaktów z nikim, by nie zostać zdemaskowana. Tyle trudu tylko po to, żeby mógł sobie tak po prostu wejść i oznajmić, że na nią dybie.

- Wasz nauczyciel zapewne nie zmienił nawyków i jak go znam zwykle pytał kogoś z poprzedniego rozdziału. Ja też nie zmienię tej rutyny.

Rozłożył dziennik, a ona zamknęła oczy. Chciała przestać istnieć w tej koszmarnej rzeczywistości.

Usłyszała jego cichy śmiech.

- Lilith Novak.

Umarła w tej samej chwili, a on wyszukał ją na sali. Niemal wbiła paznokcie w tekturkę okładki zeszytu. Wstała, ale jej nie odpuścił.

- Zapraszam bliżej.

Wyszła z rzędu, a on dyskretnie i bardzo wymownie omiół ją spojrzeniem od góry do dołu. Czarne sznurowane buty. Białe podkołanówki. Plisowana spódniczka przed kolano i kamizelka na drobne guziki w granatowym kolorze. Biała jedwabna bluzeczka z bufkami na ramionach. Mia miała taki sam kostium. Zaśmiał się mało profesjonalnie. Przechodząc obok niego, fuknęła wściekle.

- To molestowanie.

Stała obok biurka. Koshe oparł się łokciem o blat i zaczął maglowanie.

- Jakie zastosowanie w architekturze mają kolumny?

Mówiła równym rytmem ponad piętnaście minut. Potem skakał z tematu na temat. Nie spuszczała oczu z lamp wiszących daleko przy wejściu. Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad

odpowiedziami. Nie zaskoczył jej niczym z wyjątkiem tego, że pytał bez ustanku. W końcu przestał i zamknął książkę.

- Czytałaś więcej niż jedną pozycję na ten temat. Możesz zdawać egzamin z marszu. Czemu tego nie zrobiłaś?

- Miałam kilka pytań do profesora.

- Pytaj więc.

- Poczekam z tym do następnego semestru.

Bawiło go, że była wściekła i czerwona.

- Podziękujcie koleżance. Na następnych zajęciach zreferuje wam kolejną książkę, więc róbcie notatki. Postara się mówić wolniej, prawda?

Posłała mu miazdzące spojrzenie.

- Na dzisiaj to koniec.

Odeszła marszem defiladowym. Gdy pakowała zeszyt do torby, zadał ostateczny cios.

- Novak! Jeśli nie masz więcej zajęć, odwożę cię do domu. Musisz być zmęczona, w końcu stałaś na baczność ponad godzinę.

Nie policzyła, ile zawistnych, umalowanych spojrzeń zabiło ją w tym momencie.

Przez całą drogę śmiał się ukradkiem. Nawet otworzył jej ostentacyjnie drzwi auta na oczach połowy szkoły, chyba tylko po to, by znienawidziły ją wszystkie dziewczyny. Ko- she uchodził tu za bóstwo wcielone. Owszem, był diabelnie przystojny i wiedziała o tym nawet ona, ale jego paskudny charakter nie był wart takiego wysiłku. Jedna z dziewczyn miała całą szkolną szafkę wyklejoną jego zdjęciami robionymi z ukrycia. To było chore, a nie była w tym odosobniona.

Nie pozwolił jej się przebrać, więc spakowała torbę i jechała w mundurku. Wiedziała dokładnie, że odstawi szopkę przy reszcie, więc darowała sobie komentarze. Gdy weszli na górę, zastali ich komentujących telezakupy. To był ich ulubiony sporny kanał, bo gdy każdy chciał oglądać co innego w tym samym czasie, prawo Nory nakazywało tylko ten. Weszła do pokoju zupełnie zrezygnowana. Klecha wypuścił papierosa z ust i wstał ze swojego bujanego siedziska. Byli w takim szoku, że śmiać się zaczęli dopiero po dłuższej chwili.

- No jasne. Jakby było coś śmiesznego w tym, że ktoś się uczy.

- Ale ty robisz liceum, mała. - Makaroniarz zaśmiał się hałaśliwie.

- No i co z tego. Mam dziewiętnaście lat. To chyba normalne.

- A jaka pilna jest. Chciała podrywać profesora na zainteresowanie tematem - wypalił Koshe.

- Ja naprawdę miałam pytania.

- To czemu nie pytasz?

- Powtarzam. Miałam. A wy co? Nie kończyliście szkół czyjak?

- Kończyliśmy, ale takie bez mundurka - odpowiedział jej Szczur znad miski płatków.

- Tak, a jakie?

- Studia skarbie.

- O! To chętnie posłucham.

- Jak chcesz. Fizyka, matematyka, a ostatnio elektronika i robotyka jakieś dziesięć lat temu - zaskrzeczał i oblizwał łyżkę z mleka.

- Historia, elektronika, robotyka i matematyka - zsalutował Prince.

Klecha dopalał papierosa, który spadł mu na podłogę.

- Historia, socjologia, fizyka.

Borys obierał jabłko małym nożykiem.

- Socjologia, psychologia, stosunki międzynarodowe, resocjalizacja.

Opadły jej ręce.

- No cóż. Podejrzewam, że nie będę miała możliwości takiego rozstrzału. Ucieszę się, gdy uda mi się skończyć dwa kierunki.

Poczłapała do pokoju Klechy, ciągnąc po ziemi torbę z rzeczami. Zamknęła za sobą drzwi i opadła na łóżko. Ktoś wszedł za nią. Jak zacznie mówić o tym, że może wszystko, jeśli tylko chce, to go pogryzie, nawet jeśli to Borys. Ale Borys nie palił.

Popatrzył na jej warkoczyk i sprzączkę od kamizelki. Spódniczka podciągnęła się do połowy ud. Leżała twarzą do poduszki i słyszał, jak cicho oddycha. Nie widziała, kiedy się jej ciekawie przyglądał ani na co patrzył. A było na co. Gładka skóra, jędrne pośladki. Talia ostro podkreślona

obcisłą kamizelką. Nawet Prince przyznał, że ma ładną figurę. Patrzył, ale ona nie miała pojęcia, jakie wywołuje myśli. Albo ufała im tak bardzo, albo była uroczo naiwna.

Nie odpowiedziała, gdy pytał, czy napije się herbaty. Zasnęła.

Dwa dni później była powtórka z cyrku. Wywołał ją do tablicy i przez godzinę odpowiadała na pytania wpatrzona w lampy przy drzwiach. Po wszystkim musiał oczywiście utrudnić jej życie do reszty. Gdy sala zbierała się do wyjścia, wykrzyczał gwóźdź do jej trumny.

- Bura, jutro poniedziałek, więc odprawę mamy w sali. I przypomnij Szczurowi, żeby zdał raport technicznym.

Posłała mu wyszczerzony uśmiech. Wydawał się taki dumny z siebie, że aż cierpko było na niego patrzeć. Po tym jego wyskoku, zyskała jednak przychylność męskiego grona. Wiedzieli, że Bura to pseudonim jedynej dziewczyny, którą miał w drużynie. Plotki rozchodziły się tu z prędkością światła. Za to grono dziewczyn było już mniej zadowolone.

Tydzień później po basenie zauważyła, że nie ma telefonu. Szukała go wszędzie, ale nie znalazła. Koshego spotkała przed zajęciami na głównych schodach.

- Gwizdnęli mi telefon. Szukałam w każdym możliwym miejscu.

Wyciągnął swój aparat i wybrał kogoś z listy.

- Prince, namierz mi Burę... Nie, nie zamierzam... Opanuj słowotok, idź do komputera i zrób, o co proszę. Jest cała, zdrowa i rumiana... No i? Mam do ciebie anielską cierpliwość.

Westchnął i zszedł kilka stopni. Siedziały na nich trzy rozchichotane dziewczyny. Wyciągnął z kieszeni kamizelki jednej z nich czarny solidny aparat. Nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Bura była wściekła.

- To wszystko twoja wina - fuknęła prosto w niezadowoloną twarz. - Gdyby nie dowiedziały się o tym, że mnie znasz, nie byłoby takich sytuacji.

- Jakich sytuacji? - Wyglądał jakby szczerze nie rozumiał.

Dym omal nie poszedł jej uszami.

- Koshe jest taki przystojny - pisnęła jak nastolatka do plakatu. - Ma taki ładny uśmiech i świetny gust. Widziałyście, jaką miał dzisiaj marynarkę? - Przycisnęła rozmarzona zeszyt do piersi. - Gdybym tylko wiedziała, jak zwrócić na siebie jego uwagę, na pewno by się we mnie zakochał. Mam przecież nowy aparat.

- Daj spokój, młoda. Fundujesz mi zmianę numeru.

Zaśmiała się frywolnie i przygryzła wargę.

- Wiedziałam, że ktoś może je podejrzec, więc pozamieniałam numery. Twój wpisałam pod Szczura, a Klechy... - parsknęła. - Kapitan się ucieszy.

Trzeba było jej przyznać, że bawić się cudzym kosztem umiała po mistrzowsku. Śmiali się przez dłuższą chwilę i zebrało się sporo gapiów w okolicy schodów. Kolejne plotki. Wyciągnęła rękę po swoje. Ale i on umiał się dobrze bawić, gdy była okazja. Chwytał ją na ręce i powoli znosił po schodach. Była wściekła, jednak zbyt wiele par oczu ich obserwoowało, więc nie mogła nic zrobić.

- Jeśli jeszcze raz spojrzysz na innego, to go zabiję - gromił sztucznie podirytowany.

- Och, nie. I co mu zrobisz? - Odgrywała scenę.

- Zabiję go. Niezwłocznie bądź wkrótce.

Odeszli spory kawałek, mijając kamienne posągi na korytarzu. Postawił ją przy auli i rozstali się w przyjemnej atmosferze.

- Wariatka.

- Sztyniak.

Naprawdę polubiła ich codzienne sprzeczki, kłótnie o pilota i granie w kamień, papier, nożyce przy wyborze zmywającego dnia. Ustaliła nową zasadę. Mieli wrzucać pieniądze na jedzenie do świnki na lodówce i robili to bez przypominania. Ona zwykle siadała z książkami na podwójnym fotelu i kładła je na szerokim podłokietniku. Koshe, który najwyraźniej wolał Norę niż swoje mieszkanie, siadał obok niej z laptopem i dokumentami. Niemal nieustannie rozmawiał przez telefon. Jedynie gdy dzwoniła Mia, nieco łagodniał, poza tym jego wypracowany rzeczowy ton był lodowaty.

Mieli swoje dziwaczne rytuały. Gazetę dla przykładu, czytali po kawałku. Prince brał ogłoszenia, które zresztą zbierał. Klecha dodatek finansowy, a Szczur grał na wyścigach, więc sprawdzał sport. Resztę czytał Borys.

Tego dnia grali w jakąś młóckę i Klecha zapisywał wyniki w zeszytce. Z zaczytania wyrwała ją cisza po prawej stronie. Koshe już trzeci raz kreślił obliczenia.

- Napijesz się kawy? - spytała zupełnie bezwiednie.

- Tak. Dziękuję.

Widziała, że był zaskoczony. Jemu kawę przyniosła w kubku, a reszcie w dzbanku. Byli tak zajęci okrzykami, że nawet tego nie zauważyli.

- Coś ci nie idzie? - Podała mu kubek i usiadła obok.

- Nie idzie to mało powiedziane. Chcę wybudować coś wielkości fabryki, a mam jedynie trzech ludzi, w tym jednego zarządzającego, i pieniędzy tylko na materiały.

Wiedziała, że jest bogaty. To, jak się ubierał i mieszkał, mówiło samo za siebie.

- A konkretnie, co budujesz?

- Cegielnię.

Zmrużyła oczy.

- Coś mi świta. Zrób jak za czasów boomu budowlanego w Anglii.

Spojrzał zdziwiony. Absolutnie nie wiedział, o czym mówi.

- Jaśniej, nie wzięłem okularów.

- Pracownicy fabryki budowali ją za jedzenie, a potem dopiero w niej pracowali. Było wtedy trudno o robotę. Ze swoich trzech pracowników zrób trzech brygadzystów. Jak pokazać, którym końcem trzymać kielnię, to i ze mnie zrobiłbyś murarza.

Borys uśmiechnął się znad kubka kawy. Czekał codziennie, aż Jane skończy pracę, i razem odbierali dzieci ze żłobka. Towarzystwo przed telewizorem ryknęło po widowiskowej walce. Prince po raz kolejny zastukał obrączkami o joystick.

- Przez te twoje kastaniety własnych myśli nie słyszę - skomentował Koshe.

- To idźcie do Klechy - obruszył się Szczur. - Tu się ważne rzeczy rozgrywają.

Poszli więc. Ona położyła się na łóżku przed książką, a on konsultował z kimś ten dziwny pomysł. Po godzinie usiadł obok i milczał przez chwilę.

- Jak podrośniesz, to cię zatrudnię.

- Wykluczone. Jak podrosnę, to...

- To co?

Odwróciła się do książki.

- To sama zbuduję cegielnię.

Kłamała, bo była smutna, czy po prostu nie miała marzeń?

Tej nocy nikt jej nie mógł odebrać ze szkoły, więc szła ulicą sama. Było jasno jak w pogodny jesienny wieczór. Skręciła za róg i wpadła na kogoś. Nie знаła go, więc odruchowo przeprosiła. Chciała iść dalej, ale mężczyzna chwycił ją za rękę. Było ich trzech i żadnego nie rozpoznała.

- To ona. Tylko jedna w Mieście zachowała swój język. Nie może być pomyłki - powiedział najwyższy.

Niższy zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów.

- A teraz podzwoimy, kwiatuśku. Dzwon, sierotko, do krasnoludka w różowej czapeczce.

Prince właśnie wszedł do swojego pokoju. Szczur wpadł za nim i zaczął grzebać mu w szufladach. Oskarżył go o kradzież DVD i kilku gier, których nie miał u siebie. Prince walnął się więc na łóżko i włączył muzykę. Za pierwszym razem nie usłyszał telefonu. Jako dzwonek wstawił sobie tytułowy fragment piosenki *Who wants to live forever*. Za drugim razem odebrał.

- Tu erotyczny kalendarz. Jeśli jesteś zbudowany lepiej ode mnie, wpisz się na czwartek, jeśli lubisz kwiaty i czekoladki, termin walentynek jest już zajęty. Jeśli masz do mnie inny biznes, nie jestem zainteresowany. Po usłyszeniu sygnału niestandardowo prosi się o rozłączenie. Piiii...

- Prince - usłyszał w słuchawce bardzo cichy głos.

Na chwilę osłupiał, a potem siłował się z wtyczką od wieży przy łóżku. Rzucił w Szczura pudełkiem po lizakach i nastawił na głośnik.

- Prince... Twoja koleżanka lubi samotne spacerki przed północą. A szkoda. Całkiem milutka jest, jak na twoje towarzystwo.

Poznał głos. To był jeden z Południowego, który wciąż szukał zaczepki. Wczoraj znowu była scena i po raz kolejny dał popis. A mógł siedzieć cicho.

- No i co mi powiesz?
- Jeśli spadnie jej choćby włos z głowy, to masz przejebane nie tylko u mnie.
- Tak? Czyżby Koshe nie był teraz u siebie, w grajdołku samookaleczenia i innego masochizmu?

Szczur już do niego dzwonił. Zgarnął Klechę przy wejściu i pokazał, by słuchał rozmowy z gościem po drugiej stronie słuchawki. Prince namierzał telefon.

- Skoro już nas namierzyłeś, to zapraszamy. Nie będziemy się nudzić do tego czasu. Jej włosy tak ładnie pachną cukierkami. Może jak ty lubi lizaki? Przekonamy się?

Rozłączył się. Klecha był blady i wściekły, a Szczur wystraszony.

- Koshe pyta, gdzie.
- Pod murem na drugim końcu miasta. W starym urzędzie.

Wybiegli. Zapakowali się do samochodu i Szczur ruszył z piskiem opon. Przez miasto pędzili jak szaleńcy. Nie liczyli stłuczek za nimi ani złamanych przepisów. Kamery uliczne podążały za nimi szklanym okiem.

Biegł po dachach. Stary urząd był tuż za rogiem. Wyglądało na to, że jest pierwszy. Gdy schodził w dół po pionowej ścianie, usłyszał znajomy warkot silnika i charakterystyczny poślizg kół na piaszczystej nieużywanej drodze. Z całą pewnością prowadził Szczur. Tylko on miał wrodzony talent do obsługi maszyn wszelkiej maści. Wyhamował tuż pod jego głową. Wysiedli i bez słowa weszli do budynku. Nie musieli długo szukać. Trzech najbardziej krewkich z siedmiu idiotów czekało na nich w wąskim długim holu. Bura wisiała na schodach uwiązana za ręce i nieprzytomna, sądząc po tym, jak trzymała głowę. Strzelili niemal jednocześnie. Koshe machnął ręką, zataczając niewielkie kółko. Piasek z podłogi zawirował przed nimi z prędkością piły tarczowej i pochwycił kule. Upadły na ziemię. Byli na tyle oryginalni, by posłużyć się wypalanymi kulami. Tylko takie nie znikają po kontakcie z murem, deską czy chociażby koszulą. Jeden z nich zaśmiał się nieładnie. Piasek opadł i podeszli bliżej.

- A, a, a. - Najwyższy i najbardziej zaciekły w tępieniu Princea przyłożył jej pistolet do uda i podjechał wolno zimną lufą pod plisy spódnicy. - Spokojnie. Przecież nie chcemy, by stało się coś naszej nowej koleżance. Sprawdźmy, czy jest hetero. - Polizał wnętrze jej uda. - Smakuje jak hetero.

- Wy po prostu chcecie dostać wpierdol - odezwał się Klecha. - Było przyjąć i powiedzieć.

Ruszył od lewej, Prince od prawej. Koshe został na miejscu. Szczur jak zwykle wykazał się zapobiegliwością i filmował zajście telefonem. Dupochron zawsze się przydawał.

Nie byli zbyt dobrymi strzelcami. Prince dorwał swojego

- jakieś pół minuty wcześniej niż Klecha. Metalowa rurka znaleziona pod grubą warstwą kurzu była idealna do okładania, o czym teksański macho przekonał się na własnym kolanie. Bójka nie trwała długo. Drużyna Koshego uważana była za szaleńców, którzy nigdy nie odpuszczają mordobicia, więc najczęściej ich nie zaczepiano. Do tej pory najslabszym ogniwem był Szczur, bo najmłodszy, najbardziej ordynarny

- dosadny. Teraz trzeba było pilnować Burej.

Został im jeszcze jeden, który celował jej w głowę. Spokojnie wycofali się pod ścianę i Prince odrzucił rurkę w bok. Przestraszony dryblas niepewnie i nazbyt nerwowo naciskał spust. Na jego szczęście miał spore luzy.

- Nie ośmielisz się złamać prawa - wystękał i pot wyszedł mu na czoło. - Nie użyjesz Inwokacji.

Koshe na chwilę przymknął oczy i gdy je otworzył, całkowicie wypełniły się białym światłem.

- Rzuć broń, zanim komuś stanie się krzywda - powiedział spokojnie.

- Odsuń się! Odsuń się, bo ją zastrzele!

Palec poszedł nieco dalej niż w nerwowym skurczu. Nie widzieli, gdy ruszył z miejsca ani jak pochwycił kulę. Po prostu w jednej chwili był przy drzwiach, a w drugiej stał obok Burej zamiast dryblas z gnatem. Usłyszeli strzał, a potem broń roztrzaskującą się o ścianę w głębokim holu. Jej właściciel uderzył tuż obok niej i opadał wolno na posadzkę wraz z tynkiem i kawałkami cegieł. Koshe wypuścił kulę z ręki i pisnęła metalicznie o potłuczoną posadzkę w biało-szare gwiazdy. Światło w jego oczach zgąsło. Gdy wyciągnął ręce do sznura nad jej rękami, miała otwarte oczy i patrzyła na niego z bardzo trzeźwą pogardą w oczach. Przed budynek zajechali wewnętrzni czarnymi furgonetkami.

Siedziała w sali zabiegowej. Zimny metalowy stół przykryty był zieloną płachtą. Kapitan ściągnął Jane z zabiegówki, by opatrzyła jej głowę. Machała gęstym kucykiem pod jej zwieszonymi nogami, szukając w szufladach u dołu szafek odpowiednich opatrunków. Kapitan stał milczący pod oknem. Koshe był za drzwiami i widziała go przez przeszklenie. Rozmawiał z Marią, która należała do ekipy wewnętrznych. Nie była zadowolona, ale z mowy jego ciała wynikało, że nie robi to na nim żadnego wrażenia. Jane wyszła do sali obok po zimny żelowy okład i maść na gojenie ran.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - spytała niewyraźnie, bo usta miała solidnie rozbite.
- Bo nie dałabyś mu szansy.
- Na co?
- Na to, żebym był spokojny.
- A w czym jest lepszy od innych? - wycodziła przez zęby.
- W łapaniu kul.

W tym momencie obejrzał się na nią zza szyby. Jego oczy były takie jak zwykle. Pewne siebie, spokojne i zimne. Jej mówiły jawnie, że go szczerze nienawidzi. Nienawidzi go, bo jest Invocato.

## *Koniunkcja*

Zbliżała się Koniunkcja. Ciągłe słyszała to słowo. Chłopaki szykowały się do niej jak do wojny, a raczej wielkiego wyścigu samczych zapędów. Szczur nawet wyczyścił paznokcie ze smarów i kąpał się codziennie. Pablo śmiał się z niego, że brud odchodzi od skóry etapami i musi wpierv namoknąć, ale sam nie był lepszy. Przy piątej torbie ze śmieciami, którą wyniósł ze swojego pokoju, przestała je liczyć. Klecha natomiast wydawał się dziwnie podenerwowany. Sam sprzątał swój pokój. Trzeci dzień z rzędu wkładał najlepsze koszule i nie wychodził z domu, jakby na coś czekał. Na dwa dni przed imprezą natrafiła przypadkiem na jego nietypowych gości.

Niosła przed sobą torby z zakupami i opakowanie popcornu dźgało ją rytmicznie w oko. Kopnęła mało subtelnie w drzwi i weszła wprost do kuchni. Klecha rozmawiał z kimś u siebie. Początkowo myślała, że przez telefon, ale ktoś zaśmiał się kobiecym głosem w odpowiedzi na jego monotony ton. Nie zauważyli, że weszła. Postawiła więc torby na blacie i chciała cicho wyjść, ale wtedy dotarło do niej, o czym rozmawiają.

- Słyszałam od twojej matki, że odwiedziłeś ją jakoś ostatnio.
- Tak.

- Nie była zadowolona. Narzekała, że zaledwie wszedłeś, a już się pokłóciliście.

Nie odpowiedział. Widziała, że stał pod oknem, a jego goście siedzieli na łóżku. Kobieta miała jasne włosy do ramion, a ktoś za nią był zapewne mężczyzną i leżał na łóżku z rękami za głową. To chyba nie były zbyt radosne rozmowy, bo jak знаła Natana, nie bywał tak poważny. Słyszała, jak stukał rytmicznie papierosem w parapet.

- A może dałoby radę uratować coś z tamtych czasów? Mieszkałam obok ciebie pół życia, a nawet mnie nie odwiedziłeś.
- Daj spokój, Ruth. Chłopak wyszedł z bagna, a ty zamiast mu gratulować, ciągniesz go tam z powrotem - odezwał się mężczyzna.
- Nieprawda. Mówię tylko, że mi go brak...
- Jestem z kimś i ona nie wie o mnie wielu rzeczy. Byłaby zła, gdybym nagle zaczął odwiedzać wszystkie znajome z dawnych czasów.
- Ja nie mówię o wszystkich, tylko o mnie.
- Z nią jest inaczej.



- Ile razy już to słyszałam. - Zaśmiała się brzydko. - A co jest z nią inaczej? Bawicie się w czystym łóżku i bez wódki i już myślisz, że się poukładałeś?

- Staram się.

- Nie wierzę.

- To uwierz.

- Nie wierzę, że istnieje ktoś, dla kogo byłbyś w stanie się zmienić.

Trzasnęły drzwi. Ktoś postawił wyładowane, papierowe torby w kuchni.

- Wróciłam! - Kobięcy głos.

Odgłos kroków w korytarzu.

- Pomożesz mi poukładać zakupy... - Rozejrzała się po pokoju. - Przepraszam, nie wiedziałam, że mamy gości.

Ruth spojrzała na niego. Jego mina świadczyła o tym, że właśnie przyszła jego idealna, życiowa partnerka. Uśmiechnął się do niej szczerze i radośnie.

Bura pozwoliła sobie zerknąć na jego gości. Kobieta siedząca na łóżku z pozoru wyglądała normalnie. Tusz na rzęsach, pomadka na ustach, lakier na paznokciach. Jedynie szczegóły zdradzały, że zewnętrzny spokój to tylko pozory. Pozadzierane skórki przy paznokciach jak krwawe cętki od nerwowego obgryzania. Rozbiegane, niepewne spojrzenie brązowych oczu, drżenie dolnej wargi. Mężczyzna za nią miał ospowatą twarz i pełne usta. Na szyi i nadgarstku szeroki srebrny łańcuszek. Bez większego skrępowania obejrzał ją sobie dokładnie.

- Poznajcie Lilith. Mieszkamy razem od jakiegoś czasu - przedstawił ją Natan. - Mówi w swoim języku, bo Mnisi próbowali sił w nowych sztuczkach.

Podawała rękę kobiecie.

- Miło mi.

- Ruth.

- Stephen.

Jak na jej gust mężczyzna o kilka chwil za długo przytrzymał jej dłoń, ale nie czuła zagrożenia. Podeszła do Klechy i objęła go w pasie. Stała na palcach i pocałował ją przelotnie. Widziała w jego oczach ulgę i wdzięczność.

- Dlaczego nie zaproponujesz swoim znajomym czegoś do picia. Dobrze się składa, kupiłam ciasto.

Gdy odwróciła się w stronę łóżka, dziewczyna miała w oczach łzy. Popatrzyła na nią wystraszona.

- Czy coś się stało? - spytała i chciała podejść, ale Klecha bardzo stanowczo przytrzymał ją za ramię.

- Nie, nic. - Uśmiechnęła się niemrawo i umalowane usta rozeszły się sztucznie na boki.

- Na nas już czas. - Stephen wstał. - Spotkamy się przy okazji. Zatrzymaliśmy się w motelu na obrzeżach i będziemy tam do Koniunkcji.

Pożegnali się i wyszli, zostawiając ich w pokoju. Klecha odwrócił się do okna i patrzył, jak odchodzą do bramy. Dziewczyna wyraźnie płakała.

- Przepraszam. Nie powinnam była - szepnęła Bura i wyszła.

Trzęsły się jej ręce, gdy wciskała do zamrażalnika pudełka z lodami. Gdy zamknęła lodówkę, niemal obiała się o jego tors.

- Dzięki.

- Za co? Za wtykanie nosa w nie swoje sprawy?

- Było dość niezręcznie.

Wróciła do wciskania jedzenia w przepastne szafki. Codziennie dokupywała coś na imprezę, którą organizowali w dniu Koniunkcji.

- Nie zapytasz, czemu, albo, kto to był?

- Nie.

- I nie chcesz wiedzieć?

- Nie. A propos, powiedz swojej prawdziwej dziewczynie, że musicie uzgodnić nową wersję.

Wyszła z naręczem chemikaliów do łazienki.

- Po co? Przecież już wszystko wiesz - mruknął pod nosem.

Jeszcze tego samego wieczoru poszedł z Princeem i Szczurem do knajpy obok motelu. Przed wejściem uzgadniali wersję wypadków.

- Zdajesz sobie sprawę, dlaczego tak ją splawiłeś?
- O co ci idzie, Spaghetti?
- Nie o co, a o kogo - wyłożył Szczur.

Klecha stęknął przeciągle.

- Które z rodziców ma coś przeciwko?

Nie jesteśmy ślepi. Ona ci się podoba, ale nie jesteś pewien, czy ty jej też. Nie rezygnowałbyś ze stałego kontaktu z dochodzącą laską dla byle dupy. Myślisz o Burej na poważnie - oburzył się Makaroniarz.

- Idziemy wypić kilka piw z moimi starymi kolegami z podwórka. Znacie Ruth. Wiecie, jaka jest, kiedy pije, a zapewne jest już przy szóstej kolejce.

- Dobra, nie nasza sprawa. - Szczur podniósł ręce. - Tylko czy moglibyśmy zachowywać się w miarę normalnie? Nie chcę mieć odrapanej gęby przed imprezą. Poza tym chciałbym choć raz wyjść drzwiami.

Weszli i od razu zobaczyli Ruth. Siedziała z lekko rozmazanym makijażem. Stephen zajmował miejsce naprzeciw niej. Gdy podchodzili, szturchnął ją łokciem i zdjęła buty z krzesła obok. W knajpie cuchnęło smażonym żarciem i starym papierosowym dymem. Usiedli. Kelnerka przyniosła piwo. Chwilę trwało, nim spojrzął na nią po raz pierwszy. Nie była już załamana. Była wściekła.

- Ludzie się nie zmieniają.
- Co nie znaczy, że nie mogą próbować - odezwał się znad kufla.
- Ty lubisz się bawić inaczej. Zawsze tak będzie.
- Nie zawsze tak było. Czasami udaje mi się być normalnym.

Szczur i Prince popatrzyli po sobie porozumiewawczo.

Znali Klechę od samego początku. Wiedzieli o jego upodobaniach do ostrych zabaw, chociaż nie gustował w skórzanych wdziankach i pejcach. Wybierał takie, którym odpowiadała jego gwałtowna gra wstępna. I tylko takie. Ruth była pierwszą z nich i wracał do niej co jakiś czas. Do tej pory widywali ją czasem nad ranem. Poczochraną, jeszcze pijaną, z papierosem w ustach. Jego destrukcyjny styl bycia wyciszył się jednak, gdy pojawiła się Bura. Zmiany w ich życiu zdarzały się rzadko, a szybkie zmiany, takie jak ta próba pozbierania się do kupy po latach gówna, nie wróżyły nic dobrego.

I myślisz, że dla niej uda ci się to osiągnąć? To jeszcze dzieciak. Gówniara. Nie ma mowy, żeby w ogóle rozumiała, co ci siedzi w tej zepsutej głowie. - Machnęła ręką, jakby chciała go uderzyć w potylicę.

- To prawda, jest dzieciakiem, ale nie próbuje nawet pytać, czemu jestem, jaki jestem. Zaakceptowała to.

Ruth zaśmiała się niczym pijana ulicznica o czwartej nad ranem.

- Nie będę ci się z niczego tłumaczył. Ani tobie, ani matce, nawet im. - Pokazał palcem na siedzących obok milczków.

- Uuuuła. Wsadziłeś psychotyczną mamusię do tego samego worka, w którym trzymasz niegrzeczne dziewczynki od robienia laski.

- Następnym razem, gdy będziesz komuś robić dobrze, nie zapominaj, że nie mówi się z pełnymi ustami. Nie krzycz: „tato głębiej”.

Wybiegła z sali. Stephen siedział jeszcze chwilę.

- Po tym, co powiedziałeś, nie odezwie się do ciebie nigdy więcej. - Zawisł nad stołem.

- Wiem. Obojgu nam to dobrze zrobi.

Wstał i wyszedł. Siedzieli bez słowa jeszcze dłuższą chwilę.

- Byliśmy sąsiadami z dzieciństwa. Stephen wyjechał zaraz po mnie. Chyba mu się nawet ułożyło. Ruth mieszkała obok. Mieliśmy pokoje okno w okno. Często wieczorem rozmawialiśmy, siedząc na parapetach. Ot, dwójka niewydarzonych dzieciaków w slumsach. Kiedy zaczęła dorastać, w oknie pojawiła się zasłona, a ona sama posmutniała. Gdy ją pytałem, o co chodzi, nie odpowiadała, udawała, że wszystko jest dobrze. Któregoś wieczoru nie zasłoniła okna. Jej ojciec. Musiał to robić już od jakiegoś czasu, bo nie protestowała. Mieszkała z młodszym bratem i z nim, odkąd się wprowadziłem. Potem nie umiała już inaczej. - Popił solidnie.

Dobrze wiedzieli, że on też nie umiał. Tylko że on przez matkę. Biła go regularnie, gdy odszedł od nich ojciec. Obwiniała go o wszystko. Thukła do krwi za najdrobniejsze przewinienie. Potem dostawał

codziennie. Dzieciństwo trwa w ich świecie bardzo długo. Pięćdziesiąt lat katowania musiało skończyć się katastrofą i tak właśnie się skończyło.

W przeddzień Koniunkcji byli na akcji z innymi drużynami. Drugie miało kłopoty z nadmiarem Hien, bo portowa dzielnica w jednym z miast mokrej i mżystej Anglii stała się ich domem. W kontenerach umierały zwierzęta, więc karmiły się, biegając od jednego krańca portu do drugiego, i nie można było podejść do środka. Pierwsze z Miast szukało wśród kontenerów demona, o którym nie wiedzieli nic poza jego destrukcyjną siłą. Gdzieś w tych metalowych skrzyniach ktoś przewoził ludzi. Handel żywym towarem to wypisz, wymaluj praca dla wcielonego ludzkiego zła. Ich drużyna miała się zająć wybicciem Hien i weszli jako pierwsi. Było czysto, więc obstawili teren razem z zespołem Rasputina. Mżyło i cuchnęło smarem i rybami. Gdy dojrzała połyskliwie kombinezony, wiedziała, że weszli ci z Drugiego. Po strzałach w oddali minął niespełna kwadrans i zobaczyła zespół z Pierwszego. Ubrojeni i umundurowani jak najnowocześniejsza jednostka specjalna. Stała na rogatkach krzyżujących się ścieżek między kolorowymi kontenerami i słuchała Princea, który podawał koordynaty dla tych z południowej części. Przebiegli cicho obok niej. Niemal bezszelestnie. Mogła tylko patrzeć jak sprawnie idzie im przeszukiwanie terenu. Hełmy i osłony na oczy jak u pilotów myśliwców. Przed lewym okiem jednego z nich zauważyła mrugające na czerwono nadajniki innych członków drużyny. Uznała to za wyjątkowo wkurzające, bo oni sami co najwyżej mogli krzyczeć do siebie, że są na linii strzału i mieć nadzieję, że zostaną usłyszani. Jeden z nich miał znaczek na lewej piersi, znaczek dowódcy. Sądząc po rozmiarach zamieszania, szykowały się prawdziwe łowy. Czujność utrzymywali przez ponad godzinę. Zmókła i wyziębiła się maksymalnie. Gdy Prince dał sygnał do odwrotu, wolno człapała do punktu zbiórki, omijając kałuże i pociągając nosem. Z kaptura kurtki kapłała woda.

- Kogo ja widzę. Koshe - odezwał się jeden ze świetnie uzbrojonej drużyny.

Zdjął hełm i przeczesał jasną czuprynę. Magika znali z niektórych akcji. Był jednym z lepszych, nawet biorąc pod uwagę tak zacne towarzystwo, jak cztery inne ekipy z Pierwszego.

Podali sobie ręce. Zza zakrętu wyszedł Rasputin i z miejsca obsztorcował Szczura.

- Następnym razem, młody, jak mówię schowaj dupę, to padasz i pełtasz, bo ci odstrzelę ten metalowy zad.

- A co ja, kurwa, Transformers jestem? - zaskrzeczał młody, aż zaboląły ich uszy.

Zaśmiali się wszyscy.

- A wy nadal na rogatkach zamiast w centrum? Dawno powinniście awansować. - Magik pokiwał głową.

- Wyniki mamy świetne, ale oblewamy testy psychologiczne - odezwał się Klecha i puścił dym nosem.

Na czterech kondygnacjach z ustawionych jeden na drugim kontenerów stanęli dawni znajomi z Drugiego w parówiastych kombinezonach. Ich dowódca spojrzął na Koshego.

- Do zobaczenia na macie - rzucił.

- Będę czekał po apelu - zapewnił go Koshe.

Znikli.

- Z pewnością macie u siebie więcej zabawy niż my. - Magik rozładował chwilę napięcia.

- E - mruknął Rasputin. - Zabawa zabawą. Dziewczyny na pewno u nas ładniejsze.

Bura wyszła zza zakrętu. Niemal zakręciła się w kurtkę, a ręce wcisnęła pod pachy. Nie podniosła głowy.

- Możemy wracać? Mam Anglię w butach. - Potrząsnęła nogą w powietrzu i pociągnęła nosem.

- A to pewnie jest Bura. - Przyjrzał się jej, a inni z jego drużyny podeszli bliżej, ciekawi okazji. -

Dziewczyna, która samym urokiem osobistym rozbiła drużynę i zdegradowała dowódcę z wieloletnim stażem. No, no.

Podniosła głowę i spojrzała w ładną uśmiechniętą twarz.

- Dzień dobry. Samo imię wystarczy. Dokonania w nazwisku przyćmiewają jego subtelne przesłanie.

Magik zaśmiał się i popatrzył znacząco na Koshego.

- Szkoda, że nie mogę zostać dłużej. Jutro Koniunkcja i organizujemy imprezę.

- To przyjdźcie do nas. Mamy tyle żarcia i wódki, że do wieczora dnia następnego będziecie w stanie błogiej nieświadomości - zaprosił Klecha.

Magik rozejrzał się po swoich. Byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. U samobójców imprezy były najlepsze. O niektórych mówi się do dziś, w tym o co najmniej dwóch z udziałem drużyny Koshego. Uzgodnili, że przyjdą po południu.

- Apelu też nie opuścimy. - Mrugnął do niej jeden z nich. - Publicznie musisz pokajać się przed Parową.

- Zaczęłam nowy trend.

Zdjęła kaptur i schowała się pod daszkiem z blachy falistej. Porozmawiali jeszcze przez chwilę i uzgodnili, ile czego przynieść. Szykowała się balanga stulecia.

Jeszcze z rana robiła z Princeem gar lemoniady i wstawili go do wanny z zimną wodą. Potem szykowała się do apelu i po raz kolejny czytała swoje oficjalne przeprosiny. Koshe miał złe przeczucia, bo gdy tylko natrafiała na fragment u dołu kartki, śmiała się ukradkiem. Jednak od momentu, gdy dowiedziała się, że jest Invocato, nie rozmawiali prawie wcale. On miał za dużo na głowie. Doszła mu narzeczona z castingu i depresja Mii, kiedy się poznały. Nie dołoży sobie Burej, której reakcji nie rozumiał.

W auli reprezentacyjnej w centrum Miasta zebrali się wszyscy. W pierwszych rzędach kapitanowie wszystkich Miast. Dalej dowódcy oddziałów. Wyszukała zza kotary Koshego. Siedzieli razem z Magikiem obok Rasputina i rozmawiali zniecierpliwieni, spoglądając co jakiś czas na zegarki. Rasputin pociągał ukradkiem z piersiówki i dzielił się z Sierżantem, którego miał za plecami. Dalej zajmowali miejsca zaproszeni goście, prominentni i wpływowi. Sala mieściła ponad cztery tysiące osób i tych z dalszych rzędów nie sposób było rozpoznać. Towarzystwo ucichło po dłuższej chwili. Na środek wyszedł kapitan z Południowego. Przywitał wszystkich i dokonał podsumowania roku. Mówił dość ciekawie i nawet wplótł kilka niezobowiązujących żartów. Potem zapowiedział głównego inspektora do spraw etyki, który upomniał wszystkich zebranych, przypominając o utrzymaniu porządku publicznego w obrębie Miasta. Pomruk cichego rozbawienia uniósł się nad widownią, gdy wspomniał o zeszłorocznym zbeczeszczeniu parku obok auli. Zaciął się na szukaniu odpowiedniej formy, by ująć w słowa to, że załatwiło tam swoją potrzebę fizjologiczną około setki osób. Po takiej zenującej scenie kapitan zapowiedział ją, by, jak to ujął, sprostowała swoje zachowanie wobec wyższego stopniem. Odetchnęła głęboko. Reflektory świeciły jej prosto w oczy, więc widziała tylko dwa przednie rzędy. Kapitan siedział po prawej i chyba był zdenerwowany.

Miała na sobie szkolny mundurek, bo tego wymagał podpisany przez nią statut szkoły. Podczas każdego publicznego wystąpienia, apelu, oficjalnego pogrzebu czy święta, musiała być ubrana w jej barwy. Poprawiła mikrofon i chrząknęła. Ledwo wystawała ponad pulpit.

- Czy mogę prosić o coś pod nogi? - poszło w salę.

Rasputin nachylił się do Koshego.

- Co ona kombinuje?

- Nie mam pojęcia, ale będą kłopoty.

Podziękowała i zaczęła już nieco pewniej, piskliwym, dziecinnym głosem.

Jak państwo słyszeli, mam oficjalnie ustosunkować się do swojej niestosownej wypowiedzi względem dowódcy Czwartego Oddziału Szturmowego Miasta numer Dwa. Nie mam na swoje usprawiedliwienie nic poza tym, że była to moja pierwsza akcja z udziałem innej grupy i zaledwie druga na ziemi. Warunki były trudne i choć to nie powinno mieć wpływu na moje reakcje, skłamałabym, że bliskie spotkanie z Pulsarem nie wywołało skrajnych emocji. Nie miałam również żadnego doświadczenia w kontaktach z grupą z innego Miasta, więc moja reakcja na słowa jej dowódcy, cytuję: „Czego was tam uczą w tym kurwidołku?” i pytanie „któremu kapitanowi...”, przepraszam za wyrażenie, „dajesz dupy?”, była dość nietypowa. Zdaję sobie sprawę, że i dowódcy ulegają emocjom, jednak nie rozumiałam i nadal nie rozumiem złości, która nim powodowała. Jakkolwiek moje doświadczenia były mizerne, to w kwestii ochrony, obrony i walki ze wspólnym wrogiem wszystkie trzy Miasta w podpunkcie pierwszym Przysięgi Żołnierza mają tę samą maksymę: „Walczę w imię dobra z wszelakim złem, które napotkam, by bronić i ochraniać nieświadomych niewinnych”. W tym momencie chciałabym serdecznie podziękować Borysowi Kasparowiczowi, mojemu koledze z drużyny, z którym to wspólnie unicestwiliśmy Pul-sara. Mogę jedynie ubolewać nad faktem, iż zajęcie po akcji w ogóle miało miejsce i że jego konsekwencją jest

moje wystąpienie. Dlatego pragnę serdecznie przeprosić za słowa, które, pozwolą państwo, przytoczę: „Ty połyskliwa parowo. Było wyjąć dupę z dresu disco i pobiegać, zamiast się przyglądać. Jakoś nie widziałam jak ty i twoje świetliki wojujecie w pocie czoła. A może tak wam ścisnęło jaja, że zapomnieliście jak się biega i zgubiliście demona wielkości stodoły? Wracaj do biurka, gdzie twoje miejsce, i napisz w raporcie, że Pulsara sprzątnęła ci sprzed nosa dziewczynka i Rusek z bazooką. Bo takie są fakty”.

Sala zamarła, a kapitan zamknął oczy i chyba chciał uciec, w każdym razie spoglądał z utęsknieniem na drzwi. Reakcji pozostałych nie zobaczyła, bo światła były za silne. Wróciła do pokreślonej kartki.

- Przepraszam jednocześnie za mój brak oglądy, jednak przyzwyczajona do stosunków, jakie panowały w drużynie na początku mojej pracy, nie uważałam używania wulgaryzmów za nic nagannego. Z miejsca pragnę obiecać, że postaram się nie używać słów niestosownych w kontaktach z wyższymi stopniem, tyczy się to również mojego dowódcy, który, jak wynika z moich dotychczasowych z nim stosunków, ma do mnie, swojej podwładnej, spory zapas nauczycielskiej cierpliwości. Mam jednocześnie nadzieję, że dowódca Czwartego Oddziału Szturmowego wybaczy mi moje niestosowne i niepotrzebne słowa i przymknie w przyszłości oko na inne moje niedociągnięcia fachu i wychowania. Zapewne będziemy jeszcze nieraz współpracować ze sobą i liczę na jego wyrozumiałość w przypadku innych moich niewłaściwych zachowań. Dziękuję za użyczenie mi czasu podczas tak ważnej uroczystości. Życzę miłego dnia.

Odeszła w takiej ciszy, że słychać było tylko jej kroki. Minęła się z osłupiałym prowadzącym, który opadł rękami na deski pulpitu i drżącym głosem zakończył cyrk na galowo.

- Ja również życzę państwu miłego dnia. Postarajmy się uczcić Koniunkcję w sposób zabawowy, ale i spokojny. Udanego wieczoru.

Powoli wychodzili ci z tylnych rzędów. Koshe siedział sztywny i osłupiały. Takiego skandalu nigdy nie widział.

Ty wiesz co ona właśnie zrobiła? - Magik zadał retoryczne pytanie. - Obraziła go po raz drugi, tym razem przy większej publiczności i jednocześnie zagwarantowała sobie, że już nigdy nie będzie stać z przeprosinami po tamtej stronie mikrofonu. Cokolwiek teraz powie czy zrobi, nikt nie odważy się wejść na oficjalną drogę, by domagać się publicznego zadośćuczynienia. Zrobiła z niego kompletnego idiotę, seksistę i nieetycznego służbistę o erekcyjnym ego, w sposób elokwentny i przemyślany. Większość z tych ludzi jej nie zna i wykorzystywała to. Wykreowała się na licealistkę o ślicznej buzi i cienkim głosiku. Szkolny mundurek, warkoczyk wokół głowy, lakierki. Dzieciak nie Amazonka. Nikt nie odebrał jej zniewag jako obraźliwe, a wręcz przeciwnie. On obraził jej delikatny i poprawny wizerunek nastolatki i słusznie dostało mu się za to. Połowa sali się z nią zidentyfikowała, a druga połowa była obojętnie rozbawiona przedstawioną sytuacją. Do tego wplotła w to ciebie, całkowicie biorąc na siebie odpowiedzialność za swoje wygłupy, byle, terazniejsze i niedosze, a podkreślając jednocześnie, że jesteś jak najbardziej wyrozumiałym, cierpliwym i dobrym dowódcą. Ma dziewczyna talent aktorski, bez dwóch zdań. - Pokiwał głową.

Koshe nie odpowiedział nic, bo i nie było czego komentować. Magik dobrze to ujął. Tylko że w tłumie na sali, gdzieś daleko, a może i blisko, siedział Parowa, gotowy do mordy na tym niewinnie wyglądającym dziewczątku z diablím charakterem. A teraz czeka na niego w sali treningowej. Odetchnął głębiej. Tłum w drzwiach wyraźnie się przerzedzał.

- Chodź. Będiesz sekundantem z wolnej stopy - zwrócił się do Magika.

- Tak? A kto się pojedynkuje?

- Ja z Parową. Jak on w ogóle ma na imię? - Skrzywił się.

- Już nikt nie wie, jak ma na imię. Miała rację. Wprowadziła nowy trend.

Wyszli jako ostatni.

Szatnie były pełne. Chciała wejść ukradkiem, ale Prince wyłapał ją przy drzwiach.

- To było mistrzostwo świata, młoda - powiedział dumny jak nigdy dotąd.

Przywitali ją brawami i gwiazdami. Rodman wskoczył na szafki i odtńczył pałakowaty taniec zwycięstwa.

- O co tyle krzyku? Ja tylko znów narobiłam kłopotów - odezwała się cicho.

Oni zawsze mieli się za lepszych. Lepszy sprzęt, większe demony, wyższe zarobki. Ich Miasto nie wygląda jak budowlany kataklizm. Wszystko u nich jest większe. Ulice, domy, mają nawet drzewa i chodniki - rzucił zamyślony Sierżant, oglądając swoje cygaro.

- Powiedziałaś publicznie, żeby sami masturbowali swoje ego. I bardzo mnie to cieszy.

Tłum jeszcze raz zagwizdał, a potem pogrupował się na większe i mniejsze skupiska ubawionych i dumnych ludzi. Wprowadzeni w dobry nastrój szli się bawić. Przy jej szafce siedziała reszta. Borys zaśmiał się tak głęboko, jakby płuca zaczynały mu się w piętach.

- Na co czekamy? Nie idziemy jeszcze?

- Nie. Koshe zaraz przyjdzie, a potem idziemy na maty - odpowiedział Szczur.

Pojawił się wraz z ludźmi Magika. Na jej widok chłopaki z Pierwszego zaczęły się śmiać.

- No, Bura, masz jaja.

- A ty co powiesz? - spytała Koshego.

Wcisnął do szafki swój mundur po kawałku. Na końcu zdjął buty i zaczął rozpinąć spodnie. Przyzwyczajona była do widoku całej masy mężczyzn w samych gaciach, ale odruchowo stanęła do niego tyłem.

- A więc zaczynają się ciche dni? W takim razie zostaw mi wiadomość na lodówce, pod listą zakupów.

Stał za nią i słyszała jak sznuruje spodnie do treningu. Były białe i płócienne, wiązane kilkakrotnie wokół pasa szerokimi taśmami.

- Już ci kiedyś powiedziałem, żebyś robiła, co uważasz, a mnie nic do tego.

Minął ją i wyszedł, a oni za nim. Szła obok Magika, który zerkał na nią ciekawie.

Sala treningowa była kołem otoczonym przez dwa poziomy kratowych kondygnacji sztucznie obniżających wysoki sufit i jednocześnie dających dwa rzędy dla publiczności. Na dole leżało wiele zielonych i szarych, sfatygowanych mat. Na galerii stali Rasputin i jego ekipa. Weszli schodami po prawej od wejścia, ale ona została przy drzwiach. Parowa czekał ubrany w bardzo kunsztownie wykonane luźne spodnie. Obaj byli boso. Koshe przyjrzał mu się uważnie i zupełnie bez emocji stanął naprzeciw niego. Parowa był sporo starszy i zdecydowanie bardziej zmotywowany.

- Cuchnie tu skarpetami. Zrzućcie się na odświeżacz - mruknął i uśmiechnął się półgębkiem.

- Tak. A ja spałem z twoją matką, siostrą, bratem i psem. Pies miał nieświeży oddech, a matka okolice intymne. Możemy zacząć?

- Tak.

Wiedziała, że walka w wykonaniu dwóch dowódców może być ciekawa, ale nie przypuszczała, że aż tak widowiskowa. Parowa był szybki i twardy i Koshe to wykorzystywał. Właściwie to chyba nawet trochę się z nim bawił. Ani razu go nie trafił, ale też sam nie pozwolił się dotknąć w okolicie twarzy. Starcie wyglądało jak taniec, w którym jeden niewyobrażalnie szybko zbijał próby ataku drugiego. Światło wpadające przez okno uwidaczniało przezroczyste, wirujące drobiny kurzu i precyzję ich ruchów. Koshe był jak maszyna. Skupiony, miękki i coraz szybszy. Parowa tracił siły, a on dopiero wtedy zaczął powoli przyspieszać, niszcząc w nim morale. Oddech przeciwnika znacznie się spłycił i pot połyskiwał mu na czole, a Koshe nadal był jak skała. Musiał trenować godzinami, by uzyskać takie przygotowanie. Niechętnie przyznała sama przed sobą, że był niesamowity.

Walka zakończyła się chwilę później. Koshemu znudziła się zabawa i uderzył nogą po raz pierwszy, w przeciwieństwie do przeciwnika. Cios dotarł czysto, bo zmyłka była szybka i Parowa nie zdołał się zasłonić. Upadł nieprzytomny na matę. Dwaj z jego grupy ściągnęli go w milczeniu w stronę kolumny i ułożyli na ławie. Koshe spokojnie wyszedł na korytarz, mijając ją bez słowa.

- Młody jest coraz lepszy. Walczył na poziomie przeciwnika i nie pokazał wszystkich swoich umiejętności. Rośnie nam legenda - powiedział Rasputin.

Wyszła z sali i pomaszerowała w stronę szatni. Przy szafce go nie zastała, więc poszła w głąb korytarza, do łaźni. Stał w pierwszej kabinie, oparty rękami o wierzch obłożonego kafelkami murku. Nie spojrzął na nią.

- Zapomniałem, że nie wiesz co to dobre maniery.

- Nie dramatyzuj, widzę tylko czuprynę i dłonie. Nie interesuje mnie twój szlachecki tyłek.

Podniósł na nią oczy i zakręcił wodę.

- To po co tu przysłaś? Bo przecież nie pogratulować wygranej.

- Nie.

Śmiała się zadowolona i tak dumna, że wozila się na palcach w tył i w przód.

- Przyszłam podziękować ci, że nie dałeś sobie otłuc tej pięknej buźki. - Nadeła policzki i pogładziła je delikatnie, mrużąc oczy - Twoje wielbicielki byłyby zawiedzione, a trzeba ci wiedzieć, że handluję twoim wizerunkiem. Źle wychodzisz na zdjęciach, gdy jesteś niewyspany lub wściekły na mnie.

Podeszła do ławki, na której leżały jego cywilne ciuchy Podniosła szare bokserki i wydeła usta.

- Nie wypada ci chodzić w bawelnie. Kup sobie coś jedwabnego.

- Bura. Właśnie jestem bliski utraty resztek mojej nauczycielskiej cierpliwości - syknął.

- Nie oburzaj się tak. Mogłam ci zrobić zdjęcie w stroju Adama, więc docień moją powściągliwość.

Wyszła, machając majtkami.

- Bura!! - rozniosło się echo po szatni.

Czekali na nich przy szafkach. Otworzyła swoją i wyjęła z niej woreczek na suwane zapięcie hermetyczne. Wrzuciła do niego majtki i zapięła, uśmiechnięta i zadowolona. Walnęła drzwiami szafki i zakręciła tarczą szyfrowego zamka.

- Zwinęłaś mu majtki? - zniesmaczył się Prince.

- Mam na nie kupca. Trzysta euro piechotą nie chodzi.

- Zaraz. Gdzieś u nas przewala się jego koszula. - Zamyślił się.

- Nie próbuj psuć mi rynku. Poza tym koszula poszła zaledwie za sto, bo była poplamiona czymś, czego nie dało się sprać.

- Po co go tak drażnisz? - Klecha dmuchnął siwym dymem.

- Czy ja wiem? - Cmoknęła sztucznie zakłopotana. - Ma w sobie takie pokłady niewykorzystanego uroku i ciepła. Gdzieś na pewno je ma. A ja jedynie nieumiejętnie trącam w struny, by je ujawnić i zarobić przy okazji.

- Ale majtki?

- Jego wdzięk i klasa są ponad takie doczesności jak gacie. Jestem lepsza od tych z public relations. - Wzięła się dumnie pod boki. - Zanim się pojawiłam, był jak szara kukła na świeczniku. A teraz jest jak papież machający do tłumu. Głosi pokój światu, nawołuje do porządku, kocha gejów, Żydów i prostytutki. Popiera in vitro.

Drzwi do łaźni zamachały złowieszczo. Prince chwycił ją za nadgarstek i pociągnął w stronę wyjścia.

- Zawiozę cię do domu, zanim papież namaści cię przed nagłym zgonem.

Magik uśmiechał się do Klechy, który wyraźnie przyzwyczajony był do jej stylu bycia. Koshe wyłonił się wściekły do granic i milcząc, szukał w szafce zastępczej bielizny.

W niewielkiej sali biura kapitana z Centrum zgromadzili się wszyscy zainteresowani tematem. Gdy kapitan wszedł do środka, wrzało jak w ulu. Tym razem nie wybroni jej tak łatwo. Mógł coś zrobić, gdy rzecz była wewnętrzna, ale teraz sprawa nabrała rozgłosu. Mówią o tym wszyscy, nawet woźny, którego mijał w holu, sprzedawał ubarwioną wersję technicznemu. Zapewne ktoś to nagrał i jest już w ich wewnętrznej sieci. Szlag by to trafił.

- Witam. Aleksander Kaztez. Dowódca Północnego Posterunku.

Rzucili się na niego. Jeden omal nie dostał zawału.

- Spokojnie. Odpowiem na pytania po kolei.

- Dlaczego w drużynie doświadczonych żołnierzy umieszcza się licealistkę bez najmniejszego przygotowania? Z dokumentów wynika, że jest jeszcze w trakcie szkolenia, które zaczęła dopiero po umieszczeniu jej w ekipie Koshego.

- Taki dostałem rozkaz od Mnichów. Dziewczyna jest pod ich opieką i to oni zdecydowali o dopuszczeniu jej do walki przed ukończeniem szkolenia. Przedtem sam ją uczyłem. Osobiście. I dobrze ją wyszkoliłem, bo zabicie Pulsara to nie lada wyczyn.

- Jesteś z siebie dumny! - krzyknął jeden z dowódców Drugiego Miasta.

- Tak. Szybko się uczy, jest bystra.

- To słyszeliśmy.

- Panowie, bez urazy, ale dziewczyna dobrze wykonuje swoją robotę.

- Dlaczego przydzieliłeś ją akurat jemu?

Kaztez odetchnął ubawiony lekko parodią dyskusji, która i tak zawsze kończyła się tym samym zarzutem. Czemu jeszcze nie znalazł haka na Koshego? Czemu nie jest zobowiązany do tego, by go zdegradować, czego by nie zaakceptował i odszedł wtedy do poważniejszych zajęć? Był wpływowym, bogaty, no i był jednym z trzech najsilniejszych Invocato. Miał inne zadania, poważniejsze, niż niańczenie wykolejonych kumpli i pyskatej dziewczyny

Po pierwsze, dlatego że jak co roku jego drużyna ma jedno z najlepszych wyników. Po drugie, dlatego że wiedziałem o potencjale mojej uczennicy i o tym, że nikt oprócz drużyny Koshego, nie będzie w stanie poprowadzić jej lepiej. Po trzecie, dlatego że chciałem mieć dwoje swoich najlepszych podopiecznych w jednym zespole, by poprawić ich wyniki.

- A nie dlatego, że pieprzysz się z tą małą? - bąknął wyniośle któryś po jego prawej.

Nie odpowiedział nic. Uderzył go na odlew wierzchem pięści, mijając niewinnego sąsiada, z którym stykał się ramieniem. Uderzony poleciał na szafkę z dokumentami.

- Panowie - uspokajał gospodarz. - To koleżeńska rozmowa.

- No to po koleżeńsku dostał w mordę - skomentował Kaztez bez większych emocji i poprawił mundur. - Jeśli są jeszcze jakieś pytania, które nie dotyczą moich intymnych stosunków z Lilith Novak, proszę pytać.

- Tak. Znowu macie dziurę w kasie. Na co poszły te pieniądze?

- W końcu coś konkretnego - stwierdził spokojnie i położył skórzaną teczkę na stole. - Panowie usiądą. Trochę to potrwa.

Ktoś zapukał i echo poniosło ten dźwięk po pustym korytarzu. Ktoś poczłapał do drzwi.

- Kto tam? - spytał głos starca.

- Allah.

- Mahomet.

- Tancerka egzotyczna - zakwilił starzec udający kobietę.

Sztaba w zamku odsunęła się błyskawicznie i drzwi uchyliły się, a potem otworzyły szeroko. Staruszek witał trzech innych staruszków stojących w drzwiach, po czym zaprosił ich do środka.

- A gdzie reszta? - spytał najwyższy i najchudszy z gości.

- Ustawiają kino domowe. Macie DVD?

- *Gwiezdne Wojny, wszystkie części Obcego i ekranizacja jakiegoś komiksu o walkach robotów.*

- Patrzcie. - Jeden ze staruszków wyciągnął coś z kieszeni. - Kupiłem na eBayu. - Błysnął mieczem świetlnym, który przy poruszaniu buczał jak w filmie. - Yodą w roku tym będę.

- Byłeś Yodą w zeszłym roku. Teraz moja kolej - obruszył się ktoś z głębi pokoju.

- Co niezdrowego mamy do żarcia?

- Chipsy, popcorn z dużą ilością masła, pieczony kurczak, zapiekane ziemniaki...

- Nie jem ziemniaków. Mam po nich wiatry.

Geriatryczne towarzystwo poczłapało do pokoju przez

długi jasny hol. Gospodarz poszedł do kuchni i nastawił czajnik. Wyjął filiżanki z kredensu i ustawił je na tacy obok dzbanuszka z mlekiem i cukiernicy. Usiadł na taborecie i cierpliwie czekał, aż czajnik zagwiżdże.

- W końcu nigdzie nie napisali, że Mnich musi być poważny.

Wychylił się poza solidny brzuszek i popatrzył na swoje bambosze z dużymi, czerwonymi pomponami jak u klauna.

Impreza na dachu wielkiej fabryki była strzałem w dziesiątkę. Przyszło z pięćdziesiąt osób i wciąż dochodziły nowe. Przed samym rozpoczęciem Klecha zawiózł ją pod mur i pomógł się na niego wspinać. Widziała miasto w dole i oświetlone słońcem pola. Byli nad jakimś ciepłym krajem, żeby zapewnić sobie dobrą pogodę w święto. Trzymał ją za rękę, kiedy wychylała się w dół. Widok był niesamowity.

- Wiesz, jaki dziś jest dzień?

- Nie - odpowiedziała zmieszana. - Straciłam tu poczucie czasu.

- Dziś jest pierwszy listopada.

- Święto Zmarłych.

Tak. Jedyny dzień w roku, w którym nie walczymy ze złem. Powietrze jest aż gęste od ścierających się astralnych mas. Mamy radary, skanery, ale tego nie umiemy wyjaśnić.



Tak się po prostu dzieje i już. Ludzie tego dnia mają swoje święta. Amerykanie wychodzą na ulice miast i rozświetlają je lampionami z dyń. W Europie palą świece na grobach zmarłych lub z nimi uczują, a my mamy bibę jak w Nowy Rok. Chyba tylko po to, by nie myśleć o zmroku, którego będziemy się starali unikać. Spójrz tam. - Wskazał na zwodzony most, który łączył ich Miasto z innym, równie potężnym.

- O rany.

- Koniunkcja to dzień połączenia wszystkich trzech Miast. Ale nie dla każdego. Tylko ktoś taki jak Koshe czy Stary może przejść do pozostałych dwóch. Nam nie wolno.

- Dlaczego?

- Różnie. Za mało wpływowi, za biedni. Ale do nas może przejść każdy. Traktują nas jak wysypisko. Jedyna jednostka karna jest w świecie samobójców. Można tu przyjść i narobić bajzlu, a potem się zmyć. Myślisz, że któryś z naszych brał udział w osrywaniu jedyne skrawka zieleni, jaki mamy? To jedyne przyjemne miejsce, jakie tutaj jest.

- To niesprawiedliwe.

- Wiem. Chodźmy im pokazać, jak się bawią samobójcy.

Z początku myślała, że Klecha ma na myśli ich dobrą zabawę, ale chłopcy mieli inne podejście do tego pojęcia. Ustawili armatkę do piłek tenisowych obok grilla, który obsługiwali Rasputin i Borys. Wycelowali nią w Miasto numer Dwa i kalibrowali jakieś dziesięć minut przy wtórze śmiechów i głośnym kibicowaniu. W końcu udało im się wzbudzić ciekawość jego mieszkańców, którzy wyszli na mur i wypięli się gołymi tyłkami w ich stronę. Szczur wycelował i stracił jednego.

- Trafiony, zatopiony!!

Muzyka zawyła z głośników. Klecha miał rację. Płynęli wciąż na zachód i wieczór nie nastawał. Mieli za to przyjemne gorące słońce i zapach grillowanych kiełbasek.

Przez całą wieczór kręciła się po kuchni. Dolewała napojów, donosiła mięso do długiego stołu zaimprovizowanego z drewnianych skrzynek, które stały w ich starej kwaterze, a o których wszyscy już dawno zapomnieli. Uginał się od jedzenia wszelkiej maści. Każdy z czymś przyszedł i było naprawdę miło. Bez awantur, burd, czy wymiotów przez murek na dachu.

Lampiony kołysały się na lekkim wietrze, rozwieszane wzdłuż sznurów gęstym kolorowym dywanem. Kosz na jednorazowe kubki zdał egzamin, choć oczywiście musiała przepchać swój projekt przez sito niezrozumiałych zasad ich dawnych imprez. Dzieciaki Borysa siedziały na kocu obok ojca, a Jane chyba trochę się upiła, bo wisiała na ramieniu męża rozanielona. Byli niemal wszyscy, którzy trzymali się blisko z grupą Koshego. Tańczyli, śmiali się i bawili naprawdę wesoło.

Maria podeszła do niej, gdy przelewała sok z kartonu do dzbanka. Był z nią Magik i wyglądało na to, że są ze sobą dość blisko, bo położył jej rękę na ramieniu. Jak zwykle wyglądała pięknie. Poprosili o coś do picia, a Maria przekazała jej duże, solidne ciasto, na które od razu znalazło się mnóstwo chętnych. Nie było jedynie Koshego i jakoś jej czegoś brakowało. Mimo że nie darzyła go szczególną sympatią, to jednak przywykła do tego, że siedzi obok niej na fotelu, że ciągle gdzieś dzwoni albo dzwonią do niego, że ma swoje tajemnice tak jak oni wszyscy.

Zeszła na dół i wybrała numer. Nie odebrał raz ani drugi, więc zadzwoniła do Mii. Ostatnio dużo rozmawiała przez telefon. To była bardzo zagubiona, ale i przesympatyczna dziewczyna, a poza wszystkim kochała brata najbardziej na świecie.

- Mia, słucham - usłyszała chlipnięcie w słuchawce.

- Cześć. Czemu płaczesz?

Ogłuszył ją wzbierający lament. Ktoś z nią był i podał chusteczkę. Podziękowała.

- Pokłóciliśmy się. Ja i ten dureń, mój brat.

- Nie odbiera telefonu ten twój durny brat.

- I nie odbierze. - Mia pociągnęła nosem.

- A to czemu? Ręce mu odebra<sup>3</sup>o?

Ktoś zaśmiał się oszczędnie w tle.

- Poszedł na przyjęcie ze swoją przyszłą żoną.

- Z kim? - Aż wstała ze stopnia schodów.

- Nic ci nie mówił? No tak, w końcu nie ma się czym chwalić. Wybrali mu ją starsi z naszej rodziny. Jest tylko dwadzieścia lat starsza ode mnie. Pokłóciliśmy się, bo ja nie chciałam iść, a on powiedział, że odeśle mnie na dół, bo nie ma do mnie cierpliwości.

Na dół oznaczało do samobójców.

- Nie płacz, Mia. Ja już mu wygramę. I powiem mu dokładnie, że jest głupi buc.
- Poczekaj, Thomas chce z tobą porozmawiać.
- Kto to jest Thomas?
- Nasz jedyny rodzic, choć każe do siebie mówić per kamerdyner.

Dźwięk przekazywanego telefonu.

- Dobry wieczór. Jeśli dobrze zrozumiałem, ma pani mojego pracodawcę za durnia - usłyszała cichy, stanowczy ton.

- Dureń to złagodzona wersja mojego zdania na jego temat.

- A czym sobie zasłużył na taki brak serdeczności?

- Niech pomyślę. W sumie to mamy dziś święto i zapewne ma pan ciekawsze rzeczy do roboty niż słuchanie długiej listy uposłedzeń mojego dowódcy, więc powiem tylko, że uważam go za durnia, ponieważ ma wszystko pod nosem, a własnego szczęścia zobaczyć w tym nie umie. Tak w skrócie.

- Jest pani dowódcą? Czy mam przyjemność z panią Lilith?

- Lilith Novak. Miło mi.

- Mnie tym bardziej, moja droga.

- Niech pan będzie tak dobry i zrobi Mii kakao. Ono jest najlepsze na smutki i zasypia się po nim szybko. Pewnie wymyślił je ktoś, kto miał dużo dzieci.

To mogę zagwarantować. Czy przekazać coś panu?

- Nie, dziękuję. Wszystko, co mam mu do przekazania, zwykle robię osobiście. Dobranoc. Życzę miłych obchodów święta.

- Wzajemnie. Dobranoc.

Blade wargi po drugiej stronie miasta rozsunęły się w szelmowskim uśmiechu.

- Mia, skarbie. Jak ta Lilith wygląda? Możesz mi ją opisać? - poprosił stateczny pan.

- Mam kilka jej zdjęć w telefonie. Nazywają ją Bura, bo ma ciemne włosy i oczy. O, proszę.

Thomas wziął do ręki aparat i przewijał zdjęcie po zdjęciu. Po chwili oddał go z powrotem.

- A teraz napijemy się kakao.

- A będzie pianka? - Pociągnęła nosem.

- Będzie - zapewnił.

Sprzątanie po imprezie nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Grill dogasał, to, co nadawało się do zjedzenia, było w lodówce, resztę wyrzuciła. Chłopcy zegnali gości, którzy jeszcze tańczyli przed bramą. Było naprawdę fajnie. Dawno się tak dobrze nie bawiła. Zeszła na dół i ogarnęła łazienkę. Na jej łóżku spała rodzina Borysa, który jak ciepła, cudownie kochająca góra, obejmował cały swój przychówek i żonę. Nakryła ich i poszła do kuchni, żeby dokończyć zmywanie. Klecha wszedł za nią i zakręcił kran.

- Spać. I tak większość rzeczy robiłaś ty. - Pociągnął ją za rękaw piżamy do swojego pokoju.

Wskoczyła pod kołdrę. Zmierzch dopadł ich przed dwoma godzinami i było już ciemno. Zdjął powoli koszulę i buty. Spodnie przewiesił przez kratę łóżka.

- Słyszę, jak się tam czerwienisz.

- Zamknęłam oczy. - Zaśmiała się. - A propos. Wasze fanty leżą pod twoim łóżkiem. Położyłam je tam dziś rano, ale zapomniałam powiedzieć.

- Jakie fanty?

- Srebra rodowe - mruknęła, sztucznie zirytowana jego niedomyślnością. - Myślałeś, że wyrzuciłabym wasz skrzętnie ukrywany dobytek?

- Aaa. Dobytek. - Odchrząknął.

- Słyszę, jak się czerwienisz.

Położył się obok.

- Dzwoniłam do Koshego, ale nie odebrał.

- Jest zły. Wcisnęli mu narzeczoną.

- Wiem od Mii. Znów się pokłócili. Chyba często się kłóca.

- To normalne. Próbuje zastąpić jej ojca i matkę. Łatwe to nie jest, szczególnie że mała dorasta.

- Jak to?

Odetchnął głębiej i wymacał pod łóżkiem pobitego łabędzia i paczkę papierosów. Zapalniczka szcęknięta w ciemności.

- Naprawdę jesteś ciekawa?

- Tak.

- No więc, dawno, dawno temu, była sobie bardzo bogata i z pozoru szczęśliwa rodzina. Mama, tata i dwójka dzieci. Synek i córeczka. Ojciec, głowa rodu, był surowy i silny. Bali się go wszyscy i uciekali w trwodze, gubiąc bawelniane gacie.

Zaśmiała się.

- Mama była nieco szalona i ekscentryczna. Lubiła muzykę, taniec i wydawała wspaniałe bale. Ojciec wziął sobie do serca wychowanie syna i hartował chłopca, odkąd ten skończył trzy lata. Potem urodziła się córka, a rok później rodzice mieli wypadek i zginęli oboje. Zaczął ich wychowywać wuj, ale gdy syn wszedł w wiek dorosły, przejął wszystkie firmy i inne bogactwa swojej rodziny i sprawił, że stali się gospodarczą potęgą. Wziął na siebie również wychowanie siostry i jest dla niej niemal jak ojciec. Koniec.

- Są jeszcze inne opowieści - powiedziała po dłuższej chwili.

- Jakie.

- Te, jak staliście się drużyną.

- To strasznie nudne.

- Opowiedz.

- No więc dobrze. W lesie mieszkał straszny wilk. Wołali na niego Koshe Wyłupiaste Oko.

Szturchnęła go w rękę.

- Nie bić bazarza.

Zaciągnął się mocniej i wpatrzyła się w hipnotyczny żar.

- Koshe uparł się, że chce walczyć. Był młody i niedoświadczony, więc kiedy jeszcze żył jego ojciec, dał go do Starego na szkolenie. Ten też go nie oszczędzał, ale przysiągłbym, że i tak był po stokroć lepszym nauczycielem niż surowy ojczulek. Koshe był krnąbrny, ale Stary go nie gnoił, raczej szlifował, ukierunkowywał jego złość do świata przeciwko złu wcielonemu. Nadał mu kształt. Kształt demona. Koshe radził sobie naprawdę świetnie, ale ciągle nie chcieli mu dać ludzi. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Był Invocato z potencjałem na najsilniejszego spośród dwunastu i chcieli go w innych Miastach, najlepiej w Pierwszym, a jemu to nie pasowało. Nie wiem dlaczego, ale nie przyjmuje żadnych propozycji przeniesienia, odkąd go znam. W końcu kupił swój awans. Dał za niego kontrakt na pięćdziesiąt lat darmowych kul.

- Jak to?

- Wszystkie fabryki broni w Mieście należą do niego. Nie wiedziałaś?

- Wychodzi na to, że więcej nie wiem, niż wiem.

- Ale nie chciał nikogo ze znanych mu żołnierzy. Chyba go nie lubili za bardzo, ale nigdy nie umiał zjednywać sobie ludzi. Nikt się nie pokwapił, by przebić się przez jego skorupę, więc nie miał zbyt wielu znajomych. Nie chciał dostać jakiś niedobitków z innych ekip, znalazł sobie własnych.

Wziął piwo spod łóżka i otworzył butelkę o jego wystający kant.

- Chcesz?

Łyknęła solidnie.

- Pierwszy był Ron. Koshe zszedł do samobójców i spędzał czas na poszukiwaniach. Jadł właśnie obiad w knajpie, gdy zobaczył Japończyka, który siedział na beczce i gapił się przed siebie. Podszedł i przedstawił się, a on odpowiedział mu, że jest Roninem i nie ma innego imienia. W tych czasach w Japonii wiele rzeczy uchodziło za harbę. Ron nigdy nie powiedział, dlaczego ciachnął się po kichach, a i u nas jest zasada, by o to nie wypytywać. To jak pytać kogoś o rzecz bardzo intymną, jak pierwszy raz czy pierwsza miłość.

- Rozumiem.

- Ron walczy po staremu. Sporadycznie używa pistoletu. Następny był Dakota alias Wódz, bo jak wkurwi Szczura, to krzyczy na niego Wódz Pióro w Dupie. Wodza znalazł, gdy chcieli mu poderżnąć gardło, słusznie zresztą, bo kantował w pokera. Widział, jak daje radę sześciu chłopom, a mieli znaczną przewagę. Byli trzeźwi. Tak więc zostało znaleźć jeszcze pięciu.

- Pięciu? W drużynie zwykle jest siedmiu.

- Ośmiu, ale u nas są cięcia, bo Miasta nie stać na utrzymanie ósmego. Potem był Prince. Och, co to była za rewolucja. Nie krył się ze swoją orientacją. Elegancik z twardą lufą. Naukowiec. To on ze Szczurem wynaleźli pierwszy granat. Eksperymentowali na lazaretach, gdzie umierali na dżumę. Jak pizdnęło, to było jasno przez godzinę.

Zachichotała w poduszkę.

- Szczur to w ogóle inna historia. Mieszkał na śmietniku. Zbudował sobie fortecę z żelastwa i chodziła tak sprawnie, że doszły o tym słuchy aż do Miasta. I co zrobił Koshe? Poszedł na śmietnisko i obiecał brudnemu gałganowi, że da mu tyle żelastwa, ile zapragnie, i pozwoli mu budować maszyny wojenne. Młodemu tylko oczy zabłyły i się zgodził.

Kolejka piwna przerwała na chwilę opowieść.

Borysa poznałem w więzieniu. Mieliśmy cele obok siebie.

Borys kiedyś był w drużynie razem z Rasputinem. Mieli dowódcę skurwysyna i wystawiał ich często jak pionki w grze, na pewną śmierć. Nie było wtedy radarów, monitoringu, nagrywania rozmów wewnętrznych. Na nieszczęście nie trzeba było długo czekać. Zginął młody chłopak. Był dla Borysa jak brat. Zabił dowódcę jeszcze nad zwłokami tamtego. Gołymi rękami zmiażdżył mu czaszkę. W więzieniu trzymaliśmy się razem. On mało mówił, ja też. Trzęśliśmy całym grajdołkiem. Mieliśmy wszystko, czego dusza zapragnie. Tylko że znudziło nam się brać. Koshe przychodził od jakiegoś czasu i stawał z wartownikami. Widzieliśmy, że nas obserwuje. W końcu zszedł do nas i spytał, czy chcemy zmienić fach. Mnie do końca wyroku zostało piętnaście lat, a Borysowi coś koło dziesięciu. Wykupił nas. W tamtych czasach można było wykupić więźnia. Sporo go kosztowaliśmy. Uzbieraliśmy pieniądze, ale nie wziął. Marię dali nam z przydziału. Była młoda i śliczna jak anioł. Koshe odmówił jej przyjęcia, ale rozkaz popłynął z góry i Stary wymusił na nim zgodę. Dobrze się nam współpracowało. Potem Ron i Wódz odeszli bez słowa, nie wiadomo gdzie. Pewnie przydzielono im jakieś zadanie i ten stan trwa już od jakichś dziesięciu lat. Maria dostała awans. Starła się o niego i w końcu go dostała. To cała historia.

- Za co siedziałeś?

Pociągnął z butelki i postawił ją na podłodze.

- Odwiedziła mnie ostatnio Ruth. Wychowywała się na tym samym podwórku co ja. Jej ojciec skrzywdził ją, jak tylko mocno skrzywdzić może ojciec i mężczyzna. Zabiłem go w dzień po tym jak się dowiedziałem.

Nie widział jej twarzy, ale cieszył się z tego. To była jego wieloletnia tajemnica. Chwilę milczała, a potem położyła się pod jego ramieniem i przytuliła.

- Dobrze, że go zabiłeś. Ja też bym go zabiła.

- I nadal mi ufasz?

- Nawet bardziej.

Leżeli w milczeniu, a on nie mógł przestać się uśmiechać. Ulżyło mu.

- Wiem, dlaczego Koshe nie chce awansu.

- Tak?

- To proste.

- Oświeć mnie.

- Bo jesteście jego jedyną rodziną.

Bawił się jej włosami i czuł, że zasypia. Jemu nie sen był w głowie, ale to, jak się w niego wtuliła, jak ufnie przyłgnęła do boku, świadczyło jedynie o tym, że nie ma pojęcia, iż dawno przestał ją traktować jak kumpla z drużyny. Właściwie od początku tak o niej nie myślał.

## *Klasa D-1*

Po Koniunkcji nadszedł czas egzaminów. Teoretyczny zdali wszyscy, co Pepesza uznał za swoją zasługę, bo jego zdaniem wykształcić debili nie jest łatwo. Na dole, w salach odpraw, treningowej, stołówce i szatni zebrali się ludzie ze wszystkich Posterunków. Wielu z nich przytaczało duże plazmowe telewizory, które ustawiali gdzieś w kątach, żeby wszyscy dobrze widzieli. Egzaminy praktyczne wyłaniały nowych członków drużyn. Dowódcy wybierali ich sobie i była to świetna okazja do zarobku, bo zakładom nie było końca.

Zaczęła się odprawa. Cztery klasy ustawiły się w dwuszeręgu i czekały na wyznaczenie dowódców drużyn. Byli klasą D, czyli ostatnią. Nowy mundur pił ją wszędzie i śmierdział magazynem. Zapach był nie do zniesienia. Zapaliły się lampy, bo za oknem psuła się pogoda. Byli gdzieś nad Azją, a tam z reguły aura była zmienna i gwałtowna. Jej drużyna stała przy centralce. Było niemiłosiernie ciasno. Wszyscy się gapili, a Prince z wprawą maklera giełdowego przeliczał stawki zakładów. Borys robił za kasjera. W sumie nie zdziwiło jej to. Sam wyglądał jak sejf.

Instruktorzy zaczęli wybierać dowódców i podpisywali swoje wybory na karcie, którą obnosił kapitan. W jego kan ciapie siedzieli inni zarządzający Posterunkami. Mieli własny telewizor i dystyngowanie popijali z filiżanek, ale i tak nikt nie wierzył, że była w nich herbata.

Gdy doszło do Pepeszy, uśmiechnął się zjadliwie i również wpisał nazwiska na listę. Z ust wyczytała jego ulubiony epitet.

- Gównojady.

Kapitan przeczytał nazwiska.

- Simons.

Jeden z trzech osiłków pogratulował sam sobie i wyprężył się jeszcze bardziej. Kapitan uśmiechnął się pod nosem.

- Novak.

Słyszała dokładnie szyderczy zgrzyt Szczura. Jeden z osiłków był wyraźnie zawiedziony. Pepesza miał rację. Co poniektórzy są debilami i nawet zachować się nie umieją.

- Novak? - parsknął.

- Novak, bo nie myśl fiutem - skomentował nieskrępowanie Pepesza.

Ryk oglądających odprawę przed ekranami rozniósł się po sam dach. Wszystko szło jak leci niecenzurowane. Za pół roku egzaminy we Wschodnim, wtedy ona się pośmieje.

- Podzielcie się na drużyny. Wchodźcie jako ostatni.

Zawsze dzielili się tak samo. Osilek brał trzech innych osiłków i trzy różnobarwne laski. Rudą, blond i brunetkę. Były najhojniej obdarzone przez naturę i zachowywały się jak cheerleaderki dopingujące chłopaków z drużyny nie tylko na parkiecie. Reszta nie wyglądała już tak imponująco. W tym i ona.

Rozeszli się, a ona wyszła na korytarz przed drzwiami wejściowymi. Było jej nieco słabo.

- Coś milcząca jesteś - usłyszała ubawionego Szczura.

Zeszli po schodach i Klecha odpalił papierosa. Było parno, lepkie powietrze przyklejało się do skóry. Prince obszedł ją i spryskał odświeżaczem. Nawet tego nie skomentowała.

- Śmierdzisz jak pomoc humanitarna.

- Może powiecie coś bardziej konstruktywnego. Na przykład: strzelaj celnie, biegaj szybko, nie rób w stringi.

- Myśl - usłyszała dowódcę.

- Zawsze myślałam tylko za siebie.

- No to teraz będziesz myśleć jeszcze za sześciu.

- Na co dzień byłam jedynie podwładnym.

- Od kiedy? - Zaśmiał się szyderczo.

Podniosła głowę i spojrzała w radosną, złośliwą minę. W końcu zszedł i stanął oparty o wielkie metalowe drzwi, na których rdzewiał napis „Wejście”.

- Ustawiaj ich sobie jak pionki na szachownicy. Pamiętaj o plecach, miej kogoś z tyłu. I nie rób wszystkiego sama, bo masz tendencję do brania na siebie najcięższych ciosów. Nie będą skuteczni, jeśli będziesz im biegać na linii strzału. Też się uczyli i jeśli chcą to robić, daj im szansę, bo wiedzieli, na co się piszą. Jak któryś się zatnie, strzel go w mordę. Tam nie może dojść do sytuacji, w której ktoś odpada ze strachu. Wiesz, że nie ma czasu na strach.

Szczur stał za jej plecami i od dłuższej chwili układał sobie zapalki w palcach. Nie wytrzymała.

- Co ty robisz?

- Będziemy losować, kto ci da kopa na drogę. Wiesz, zawsze to telewizja, nie?

Zabrała mu je z ręki.

- Prince, będziesz moim w centrali?

Prince był zaskoczony, ale pokiwał głową.

- Kiedy wchodzicie? - spytał Klecha.

Popatrzyła na zegarek.

- Za godzinę czterdzieści.

- To niemal wieczność. Pogramy w karty?

Nie rozumiała, dlaczego tak zawzięcie grali w te karty. Szczur przegrał wszystkie swoje zapalki, a Klecha papierosy.

Borys miał dobrą passę. Siedział po turecku z wyprostowanymi jak struna plecami i śmiał się dobrotliwie, niczym puciołowaty posązek Buddy.

Gdy weszła uśmiechnięta i radosna do sali odpraw na dwadzieścia minut przed startem, zrozumiała, po co były karty. Przez ten czas nie myślała o walce, o egzaminie, o ryzyku. Na podłodze przed windą zobaczyła krew. Ktoś został ranny i opatrywali go w zabiegowym. Dziewczyna w kącie miała krew na rękach i chlpała cicho pozostawiona sama sobie w całym zamieszaniu. Podeszła do niej i bez słowa wyciągnęła chusteczkę z jednej z wielu kieszeni kamizelki. Powoli wycierała jej palce. Na ekranie podwieszonym nad windami coś rozbłysło. Podzielony był na wiele kamer i operator na bieżąco wybierał ujęcia. Błyski oznaczały czyszczenie terenu z resztek astralnego ścierwa. Używało się do tego celu granatów. Teren, który został wybrany do egzaminów, był zaminowany, i gdy kończyli zadanie, w ten sposób pozbywano się ewentualnych niedobitków. Któryś z technicznych podszedł i wcisnął jej hełm z przymocowaną do niego kamerą. Zostawiła płaczącą dziewczynę pod opieką jej koleżanki i podeszła do centralki. Były niemal nowe. Prince cmoknął na widok monitora plazmowego i panelu sterowania rodem ze statku obcych. Dostali je tylko na dzisiaj od tych z Centrum, którzy ostatnio kupili cztery od Drugiego. Ich Posterunku nie było stać na taki wydatek, więc pożyczali wyłącznie na egzaminy. Obok, na blacie metalowego stołu przed windą, siedział technik od montażu. Stojak z kilkoma mniejszymi monitorami dawał obraz z siedmiu kamer przy kaskach i ósmy z ujęcia na windę. Zebrali się koło niej. Przedstawiła im Princea.

- To jest Pablo i będzie naszymi oczami.

Okularnik stojący obok nie odrywał oczu od rozbryzgu krwi na hełmie. Zabrała mu go z ręki i oddała swój. Włożyli je i stanęli przed windą. Źle to widziała. Byli bodaj najslabszą klasą w dziejach Szkółki. Pepeszy zwykle wciskało się

najgorszych, bo z kupy wielu nieudaczników wyciągał w najlepszym przypadku dwóch, góra trzech zdolnych do walki. Jej grupa nie wystraszyłaby nawet myszy. Miała czterech chłopaków. Jeden okularnik. Chudy, patykowaty, wiecznie zamyślony. Wołali na niego Gil, bo ciągle leciało mu z nosa. Inny miał kolorowego irokeza i palił zupełnie w stylu Klechy. Dużo i szybko. Ten ze zrozumiałych przyczyn nazywany był Kogutem. Potem było nieco lepiej. Sam - najstarszy z nich wszystkich i Karol, jego kolega. No i dwie dziewczyny. Jedną nazywali Szpryca, bo była ćpunką. Sądząc po żyłach, dość aktywną. Druga miała na imię Gwen. Wielkie niebieskie gały i wiecznie potargane włosy. Wszyscy byli od niej starsi.

Przed wejściem do wind Prince sprawdził komunikatory i ustawił głośność. Simons, wchodząc ze swoimi do środka, uśmiechnął się do niej zwycięsko.

Weszli i oni. Koshe stanął obok Princea z założonymi rękami, spokojny i pewny. Jeśli chciał ją uspokoić, nie udało mu się. Nie było Szczura, który zajmował pół windy swoim egzozłomem. Nikt nie

dmuchał dymem prosto w ucho, nikt nie nucił basem z głębi studni. Dziś to ona nacisnęła czerwony cycek na ścianie. Ręka jej zadrżała.

- Jeśli wylądujemy oddzielnie, bo i tak się zdarza, szukamy najbliższego kolegi i zbieramy się do kupy. Drużyna Simonsa jest o jakieś dwa kilometry od nas. Słuchajcie strzałów, jeśli są prawie niesłyszalne, to będą od nich. Mamy przeczesać teren zgodnie z instrukcjami z centrali i spotkać się w punkcie odbioru po skończonym zadaniu.

Wbiła guzik.

Tak jak myślała, rozrzuciło ich w obrębnie kilkuset metrów. Koguta miała w zasięgu wzroku.

- Meldować - usłyszeli jej głos w słuchawce.

- Czysto. Jest nas czwórka. Gil, Szpryca, Karol i Sam.

Kogut podszedł do niej spokojnie.

- Jestem z Kogutem - poinformowała. - Gdzie jesteś, Gwen? Odezwij się.

Ktoś biegł. Szybko i panicznie.

- Jest na północ od ciebie. Ma za sobą Wodnika. Powtarzam, ma za sobą Wodnika. Biegnie w stronę pozostałych. Masz ich dwa budynki po lewej - odezwał się Prince.

Dopiero teraz się rozejrzała. Pobiegli we wskazanym kierunku.

- Zasadźcie się na niego.

- Jak?

Gdyby pytała za każdym razem „jak”, nie byłoby jej już na świecie. Ciągłe słyszała paniczny oddech. Obiegnęli dwupiętrowy market. Zaczynał padać deszcz. Niedobrze. Woda to środowisko naturalne Wodnika. Byli na obrzeżach jakiegoś mniejszego miasta. Góry i tarasy ryżowe. Mnóstwo wody i jeszcze ten deszcz. Wbiegli za budynek. Gwen pruła w ich stronę, uniosła pistolet i pokazała, że nie ma amunicji.

- Gil na środek i celuj w niego. Stanę za tobą i kiwnę do niej, kiedy ma paść. Słyszałaś Gwen?

Jęknęła ostatkiem sił. Już ją widzieli. Gil przyklęknął z karabinem na środku drogi. Było zupełnie pusto. Wszyscy pochowali się przed deszczem. W ogródku domu za wysokim płotem jakaś rodzina jadła obiad, nie zdając sobie sprawy z tego, co dzieje się pod ich nosem.

Zobaczyli Wodnika. Niemal sięgał ją łapami z wodorostów. Bezzębna paszcza zionęła ciemną zgnilą zielenią. Czarne mokre guziki oczu połyskiwały w deszczu. Woda leciała mu z pyska. Wyglądał bardziej jak człowiek o długich rękach niż jak istota żyjąca w wodzie. Jak skoczna małpa chwycił się drzew i niskich lamp swoimi zielonymi mackami.

- Nie dam rady - jęknął Gil.

- Dasz, bo jeśli nie, to zaraz ją zeżre. Jest za szybki na pistolet. Masz jeden strzał.

- Nie dam rady. - Lufa karabinu kiwała się na boki.

- Dasz. - Przyłożyła mu pistolet do potylicy. - Albo ona, albo ty.

Koshe pokiwał głową z uznaniem. Na ekranie widzieli z różnych ujęć, jak chłopak wyciera okulary z deszczu i przykłada się bardziej do celowania.

- Utrzymaj lufę stabilnie. Nie jesteś z cukru. Deszcz ci nie zaszkodzi. - Przycisnęła mu głowę niżej ziemi.

Poskutkowało.

- Przygotuj się... Padnij, Gwen.

Kamera zalała się błotem, a dziewczyna przejechała pingwinkiem dobre cztery metry. Strzał był czysty. Wodnik dostał prosto w nienaturalnie długi kadłub. Podniosła Gila za kołnierz i popukała go w hełm.

- Widzisz, wystarczy jedna laska w błocie i robisz się pewniejszy.

W salach rozbrzmiały śmiechy

- Jest sporo drobnicy na polach u podnóża gór. Wodnik to płodne bydle, uważajcie na wodę. Najlepiej nie wchodzić.

Odrzuciła się do swoich. Sam trzymał Gwen za ramiona, bo niemal wypluła płuća.

- Wodnik nie żywi się duszą samobójcy. To coś w rodzaju Hieny tyle że wodnej. Żre truchła ryb, żab i innych mniejszych zwierzków, ale nie pogardzi dwunożnym kawałem mięsa - przypominała wykłady. - Trzymajmy się pasów suchej ziemi. Pada deszcz i jest ślisko, więc gęsiego. Jest niezwykle zwinny. Potrafi swoim algowym ciałem tańczyć lambadę, aż wystrzela się całą amunicję. Korzystajcie z noży w razie potrzeby.

Gdy doszli do pola, pokazała palcem na usta. Podzieliła ich na trzyosobowe grupy, a sama ruszyła środkowym pasem. Pola miały jakieś dwadzieścia metrów długości i dziesięć szerokości. Deszcz przybierał na sile.

- Gdzie są?

- Radar wychwytuje co najmniej dwa w każdej z kałuż i coś jeszcze. Jest ruchliwe i małe. Pewnie jego liczna dziatwa.

- Miejcie oczy z tyłu głowy

Szpryca poślizgnęła się. Szła z Gilem i Kogutem. Gil przytrzymał ją i zamarli.

- Dlaczego nie można ich wytluc granatem? Po jednym w bagno i po krzyku - odezwał się Sam.

- Woda załamuje światło. Nawet w deszczu używanie granatów jest nie całkiem skuteczne - szepnęła, nie odrywając oczu od lasu zielonego ryżu, który jeżył się jak sztucznie sadzona trawa. - W wodzie jest bezpieczny. Świetnie pływa i nawet nie trąca sadzonek. Ale widać go na radarze, więc na pewno tu jest.

Jak na zawołanie wyskoczył i stanął dęba nad pierwszą trójką. Strzeliła czysto i zielona maź zalała okulary Gila i niemal całą Szprycę. Potwór padł do tyłu i pływał na powierzchni. Opuściła pistolet. W tym samym czasie drugi wciągnął Sama pod wodę. Nie rozumieli, dlaczego rzuciła się w pole obok. W nim ich na pewno nie było. Szukała czegoś przy dnie i w końcu wyciągnęła. Wyglądało jak mała zgniła kapusta. Wyszła na brzeg, trzymając to w rękę. To miało oczy i kłapało paszczą jak jednym, wielkim stawem. Wsadziła kłapaczkę pod wodę, gdzie Sam szamotał się jak opętany. Nagle przestał i wielka mięsista alga uniosła go do góry. Wodnik podniósł się. Był wielki, o wiele większy od dwóch pozostałych. Zawył złowieszczo. Sam dusił się w powietrzu, wierzgając nogami.

- Nie strzelać. Uniknie kuli, a jemu skręci kark - powiedziała.

Pokręciła przecząco głową, patrząc wprost na Wodnika.

Wbiła paznokcie w zgniłe liście kapusty. Pisnęła cienko. Wyciągnęła z kamizelki granat i powoli wysunęła go nad pole za sobą. Woda aż kłębiła się od niemrawych, kapustnych potomków. Wbiła paznokcie głębiej i naciągnęła boleśnie mazisty liść tak bardzo, że niemal oderwała od niego szkliste czarne

ślepia. Wodnik odstawił Sama na ziemię i wyglądało na to, że darował sobie walkę. Ale to była zmyłka.

Rzucił się w wodę.

- Do wody! Już!

Skoczyli bez namysłu. W sekundę później jego zionąca mułem gęba rozwarła się przed jej twarzą. Wsadziła mu do niej granat i zakorkowała kapuścianym łbem. Odskoczyła do tyłu i zakryła ją mulasta warstwa. Rozjaśniało nad polem i opadło po chwili. Zebrali się na środkowym pasie, czyszcząc się z błota.

- Prince, te kamery są wodoodporne?

- Powinni dać ci je do testów. - Zaśmiał się.

- Mamy tu coś jeszcze?

- Tu nie. Teraz do portu rzecznego. Coś się dzieje w przetwórnicy ryb. Radar wykazuje aktywność, ale nie mówi mi, co to. Kieruj się na najwyższy budynek z zielonym dachem.

Rozejrzała się. Deszcz nie przestawał padać.

- Widzę. Słyszeliście. Wakacji ciąg dalszy. Jak tam? - Kiwnęła na Sama, który masował obolały kark i czerwoną szyję.

- Skurwysyn silny jest. - Odcharknął i splunął.

- Mówisz, czyli przeżyjesz. Dobra, sprzątamy i idziemy dalej. Po dwadzieścia w każdy dół.

- Mówiłaś, że w wodzie nie używa się granatów.

- Myśl, Karol. Dorosłego bym nie zabiła, a pokaleczony jest groźniejszy. Młode zabije nawet przytłumione światło.

Odpalili, gdy byli na ubitym trakcie w pobliżu wioski. Potem poszli prosto, kierując się na spadzisty zielony dach.

Prince ściągnął słuchawki i wyłączył mikrofon.

- Na razie idzie jej dobrze.

- Na razie - odbąknął Koshe, który od dłuższej chwili przyglądał się poczynaniom drugiej części klasy D-1.



Doszli do portu. Przetwórnia była spora. Dwie kondygnacje. Na górze niewielkie biuro, a niżej pojemniki z wodą i kilkoro ludzi oprawiających taśmowo ryby. Z radia leciała lista przebojów, zagłuszając pracę ruchomego stołu. Widzieli ich jedynie przez wielkie okna. W środku paliły się lampy zwisające od samego dachu. Zarządca fabryki chodził po swoim pseudo- biurze i wyklócał się przez telefon o cenę z hurtownikiem.

- Jesteśmy na miejscu. Czego szukać?
- Wodników i Hien. Rozpełzły się. To jedyny zakład przetwórczy w okolicy. Jest o co walczyć.
- Zrozumiałam.

Rozejrzała się.

- Gil idziesz na ten dach. - Pokazała budynek obok. - Sam na ten za nim. - Był bardziej barakiem niż domem. - Strzelać tylko w przypadku zagrożenia. Niech się zejda, bo będziemy ich szukać do nocy.

Deszcz padał nieustannie.

- Gwen i Karol biorą uliczkę za fabryką. Kogut i Szpryca idą dalej. Nie wychylać się. Poczekamy, aż się zbiorą. Szybko robią się głodne.

Rozeszli się, a ona została przy przesuwanych drzwiach do przetwórnicy i nasłuchiwała. Meldunki przyszły niemal jednocześnie.

- U nas dwie zębate. Idą w kierunku fabryki - odezwał się Karol.
- U nas trzy. Idą kurwy blisko - stęknęła Gwen.
- Spokojnie. My jesteśmy ich najmniejszym problemem. Idą wolno, bo to nie ich teren. Nie wychylać się z krzaków.
- Siedzimy w jakimś ogródku Zen, a mnie się chce jarać. Dzisiejsza Azja ma w sobie za wiele z Zachodu. Ten ciągły pośpiech - szydził Kogut.
- To usiądź w pozycji lotosu i poproś Szprycę o dawkę nastroju - odezwał się Sam. - U mnie cztery algi. Chyba szykuje się bitwa o cmentarz.
- U mnie czysto. W fabryce nic się nie dzieje, poza tym, że Beyonce spadła z drugiego na czwarte - mruknął Gil.

Cisza.

- Będzie ostro. Hieny zbiegają się zewsząd, a z rzeki wyszło jeszcze trzech zielonych.
- Siedzieć i czekać.
- Na co? Mam czysty strzał - obruszył się Gil i pociągnął nosem.
- Jak strzelisz, to wyleczę cię z kataru raz na zawsze. Tak ci poustawiam przegrody, że będziesz smarkał uszami.
- Ja też mam czystą pozycję - mruknął skupiony Sam.
- Ludzie, na jakich wy imprezach bywacie? Na wieczorkach tanecznych? Jak bije się dwóch twoich wrogów, to kibicujesz i rozbijasz osłabionemu zwycięzcy butelkę na głowie. Takie są zasady. Siedzimy i czekamy.

Po chwili usłyszeli, że zaczyna się szamotanina.

- Stawiam na Wodnika - zachrypiął Sam. - Podusi je.
- Ile ich się tam bełta? - spytała, chodząc po fabryce i podglądając ludzi.
- Ciężko określić. Na oko jakieś sześć Hien i cztery Wodniki - relacjonował Sam.
- Stawiam na Hieny.

Kotłowanina ucichła, a ona wyszła ze środka i stanęła przy ścianie budynku, na którym siedział Gil.

- Skąd wiedziałaś? - spytał Sam.
- Hieny mają zęby i pazury, a Wodnik jest miękki.
- Co teraz? Weszły do fabryki.
- Teraz fajerwerki. Kryć się, liczę do trzech.

Okna w przetwórnicy rozbłysły jasnym przenikliwym światłem. Na oko niewielka dwudziestka. Gil podniósł głowę i poprawił hełm.

- Czy coś jeszcze, Pablo?
- Nie, na dziś to wszystko. Wygląda na to, że po egzaminie.

Gwen pisnęła jej w ucho.

- Dobra, ludzie. - Odetchnęła. - Sprzątamy i do punktu odlotu.

\*\*\*

Deszcz nie przestawał siać. Stali pośrodku niewielkiego parku. Było pusto i cicho. Słyszeli jedynie kapiące krople. Nagle trzasnął piorun. W uszach jej zagwizdało i ból złożył ją wpół.

- Walnęło w Miasto. - Kogut pokiwał głową i spróbował odpalić mokrego papierosa. Po chwili wyciągnął go z ust i cisnął w kałużę.

- Straciliśmy łączność. Pablo, puść sygnał, jeśli mnie słyszysz.

Odpowiedział jej szum.

- Pablo, puść tylko jeden sygnał.

Cisza.

- Kurwa. Simons, odezwij się. Simons, słyszysz mnie?

- Słyszę. My też nie mamy kontaktu z centralą. Musiało im wywalić rozdzielnię.

- Skończyliście?

- Taa. Idziemy sobie spokojnie i bawimy się w strzelanie do uciekającej w popłochu zwierzyny demonicznie łownej. Odbiorą nas za godzinę, więc się jeszcze pobawimy. A ty, Novak, nie jesteś zajęta podcieraniem nosów swoim ludziom? A może niesiesz za nich sprzęt albo parasol?

Wyjęła słuchawkę.

- Mamy godzinę, więc posiedzimy tu trochę.

- Dziwne. Był piorun, a nie było grzmotu - głośno myślał Karol.

Wsadziła sobie do uszu słuchawki od mp3 i skuliła się pod drzewem. Ustawiała muzykę cicho i słyszała w oddali pojedyncze strzały. Idiota bawił się w safari.

Udało się im uruchomić awaryjną linię. Włączyły się telewizory i mieli widok z kamer. Technik obsługujący nowe centralki z latarką w zębach grzebał pod odkręconą konsolą.

- Jest w punkcie odbioru - odezwał się Szczur, który stał obok Koshego.

Wszyscy biegali jak opętani. Rozdzielnia na dachu płonąła niczym pochodnia. Miasto było bez prądu. Rozwyły się syreny. Czerwone światło rozjarzyło krwawą poświatą wszystkie pomieszczenia. Kapitan wyszedł na półpiętro i oparł się o rurę poręczy.

- Spokój! - Wszyscy zamarli. - Co z łącznością?

Technik wyjął latarkę z ust.

- Widzimy ich i słyszymy, ale żaden nasz sygnał nie wychodzi.

- Dlaczego?

- Spaliło wszystkie obwody. Trzeba podpiąć starą, jeśli któreś nie sfajczyło.

Prince pobiegł do swojej centralki, przeciskając się przez ludzi. Włączył. Nie ruszyła. Wymacał kable pod rozdzielnią i wcisnął je głębiej. Zawsze wyłączał ją z prądu, bo była wrażliwa na wszelkie spadki napięcia. Odetchnął głęboko i przesunął włącznik. Załapała.

- Działa! - krzyknął do swoich na dole. - Szczur, poszukaj długich kabli. Trzeba dorobić wtyczki.

Koshe spojrzął w monitor raz jeszcze. Kamera Burej była w ruchu. Zerwała się na równe nogi i biegła. To nie wróżyło nic dobrego.

- Puść dźwięk na głośniki. Nie słyszę, co mówi - poprosił montażystę.

Przełączył.

- Gdzieś tu jest rzeka? - pytała swoich, którzy w osłupieniu, próbowali za nią nadążyć.

- Tak - odpowiedział Sam. - Rozdziela mięcinę na pół.

Wybiegła na malowniczo przewieszony mostek i rozejrzała się na obie strony. Po lewej, daleko w wykoszonych przybrzeżnych szuwarach miały wodę dwie turbiny, a nad nimi wisiał budynek.

- Nie rozumiem. Po co ci rzeka? - spytała Szpryca.

- Nie rzeka, tylko to co jest na niej. Był piorun, ale nie było grzmotu.

Koshe złapał za telefon.

- Łącz mnie z Drugim. Od razu z górą.

Słuchał przez dłuższą chwilę.

- Kiedy możecie się pojawić? - Zacisnął zęby.

Telefon szczęknął tak mocno, że jego pancerna konstrukcja niemal się rozpadła. Kapitan trwał od dłuższej chwili na bezdechu.

- Ico?

- Wejdziemy w ich radar dopiero za dwie godziny. Pierwsze jest na drugiej półkuli. Są zdani tylko na siebie - odpowiedział wściekły, patrząc na monitory.

- Wszystkie radary zdechły. Centrala tu nic nie da - odezwał się Prince. - Możemy się tylko przyglądać. Portal działa wyłącznie w jedną stronę. Padł system ruchu energii. Nie zejdziemy do nich. Cisza zawisła nad patrzącymi w monitory i ekrany.

- Co ona robi? Po cholere wychodzi z punktu zbiórki? - Szczur rozłożył ręce.

- Bo myśli - odezwał się Koshe.

- Simons, bierz swoich ludzi i biegiem do nas. Natychmiast! - Wypadła z parku w stronę uliczki ze sklepikami. Jej ludzie ruszyli za nią.

- Spokojnie, wystarczy tego dla wszystkich. Piętnasta! - krzyknął triumfalnie dowódca drugiej drużyny.

Widzieli go. Właśnie wyszedł krokiem zdobywcy na koniec długiej alei. Pomachał do niej podniesionym pistoletem w czarnej obcisłej rękawicy.

- Spierdalaj stamtąd!! One nie uciekają przed tobą!!!

Chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył. W tym samym momencie za jego plecami przebiegła Hiena i odwrócił głowę. Wycelował, jednak strzelić nie zdążył. Długie przejrzyste ramię owinięło go i cudownie hipnotyczne, kolorowe światełka zamigotały na jego powierzchni. Śmiertelne widowisko nie potrwało długo. Simons zatrzęsł się w powietrzu, jakby tańczył w objęciach niewidocznej siły. Ramię zwolniło i upadł w kałużę. Nie ruszał się.

- Co to? Co to, kurwa, było? - Gwen nie mogła złapać tchu.

- Iskra. Demon energetyczny. Siedzi w elektrowni wodnej. Ma długie przejrzyste macki, które ciężko dostrzec, i wypuszcza je, by łowić - odpowiedziała, myśląc intensywnie.

- I co on mu zrobił?

- Zabił.

Stali przez moment w deszczu.

- Simons nie żyje, powtarzam, nie żyje.

- Co ty pieprzysz. Miałem go jeszcze chwilę temu za plecami - zaprotestował osiłek numer dwa.

- To się nie oglądaj. Przejmuję dowodzenie. Przestańcie strzelać i do parku. Nie będę powtarzać.

- Pierdol się!

Zacisnęła zęby.

- Zapiierdalaj do tego parku i bierz ze sobą kumpli i króliczki. Idź naokoło, omijając łukiem rzekę. Czekam pięć minut.

- I co mi zrobisz? - Strzały. - Oszczędź twoje dowodzenie.

- Masz za plecami Iskłę, debilu!!

Ktoś krzyknął przeciągle. Głos przerażenia.

Na monitorach widzieli, jak coś przesuwają się po kamerze i coraz jaśniej połyskuje cudownym blaskiem tysiąca ruchomych światełek. Nagle wszystko znikło.

- Kto? - spytał kapitan w nieruchomej ciszy.

- Blondynka - odpowiedział montażysta i przesunął drugi szumiący kwadrat na górę monitora obok pierwszego.

Przestało być zabawnie. Reality show ze śmiercią na żywo nie było śmieszne. Patrzyli na bezdechu.

- Jesteśmy w jakimś budynku. Chyba sklep w remoncie - usłyszeli zdyszany głos. - Jest nas czworo. Dwie dziewczyny i nas dwóch. Co to, kurwa, było?

- Iskra. Siedźcie tam. Spróbujemy podejść.

- Ale on jest wszędzie. Oblazi ściany. - Strzały, nieregularne i chaotyczne, oddech w słuchawce paniczny, jęklivy.

Nagle ucichło. Opuściła głowę.

Cztery kolejne szumiące szarością ekrany pobiegły na górę wielkiego wyświetlacza. Borys upuścił kasetkę z pieniędzmi i toczyła się po stopniach w dół. Deszcz monet spadał przez kraty na posadzkę. Ich cichy pisk gryźł martwą, wściekłą ciszę. Szczur i Prince wrócili do spazmatycznej walki z kablami. Wtyczki nie chciały się łączyć w drżących rękach, a przecież ta prowizorka mogła uratować komuś życie.

- Wiem, gdzie są - odezwał się w słuchawce kolejny mięśniak. Słyszała jak wali butami w mokry chodnik. - Idę po nich.

- Zawracaj natychmiast. Nie ma po co iść! Oni nie żyją, ty tak!

- Już jestem.

Strzały były pewniejsze, ale Iskra miał wiele głodnych macek.

Kolejny szumiący ekran popłynął prowadzony niewidzialną ręką.

- Co teraz? - Gil pociągnął nosem. - Nas też zeżre?

Nie - odpowiedziała pewnie, choć chciało jej się płakać. - Jego macki nie są rozciągliwe. Dorwie nas tylko wtedy, gdy wyjdzie z elektrowni i będzie łąził po mieście. Wołała nie dodawać, że jest to całkiem prawdopodobne.

Weszli w szczelinę między dwoma sklepami. Kogut usiadł na koszu na odpadki i próbował podpalić papierosa drżącymi rękami. Szpryca skuliła się w kucki i cicho pociągała nosem.

- Iskra to demon, z którym z reguły walczy Drugie Miasto. Noszą specjalne kombinezony, które odbijają jego prąd i rażą go samego. Ironia losu, ale demon ginie od prądu, którego przepływu nie kontroluje. Jeśli do tej pory nie wysłali nikogo, to znaczy, że mają problem z portalem. Zawsze gdy są kłopoty, wysyłają inną grupę. Widać reszta jest za daleko od nas. Nie mamy łączności, ale jeśli działa awaryjne zasilanie, to portal nas zabierze, chyba że szlag trafił ustawienia i koordynaty - Spojrzała na zegarek. - Jeśli coś nie zadziała, przekonamy się o tym za czterdzieści pięć minut. Do tego czasu nie wychylamy nosa.

- Mądra dziewczynka - mruknął pod nosem kapitan.

Koshe nadawał do słuchawki niczym centrala telefoniczna.

Klecha palił jak lokomotywa. Prince zębami rwał izolację i przerzucał gotowe kable przez poręcz.

- Meldować co z portalem! Do roboty, bo kolejna siódemka dzieciaków zostanie tam na zawsze! - wrzasnęła Kaztez.

- Radar zaskoczył - Prince uderzył w monitor.

- I co?

Makaroniarz zbladł.

- Wyszedł z elektrowni. Wiruje dokładnie w ich kierunku.

Ciszę przerwał dziwny dźwięk. Coś jak tupiące w kałuży dziecko. To dziecko szło w ich kierunku. Ręką pokazała, by schowali się głębiej pod daszki, z których ciurkiem kapała woda. Doszli do ściany i gestem kazała im przykucnąć. Sama położyła się na ziemi i poprawiła hełm. Leżała niemal nosem w kałuży. Wychyliła się powoli.

\*\*\*

Ktoś stojący obok kapitana i jego zastępcy zaklął w przerażeniu. Koshe na chwilę przestał mówić i odsunął telefon od ust. Obraz na monitorze nie był czysty, bo kamerę co chwila zalewała woda, ale widzieli go wyraźnie. Był niczym wirujące, piękne tornado ze zwiniętych, mrugających tęcz. Wysoki na jakieś sześć metrów, cienki i długi. Tańczył w kałużach jedną nogą, bujając się na boki, uczepony linii wysokiego napięcia. To się zatrzymywał, to zawracał, to owijał się górną częścią na mokrych drutach. Szedł w stronę drużyny Novak. Zamarli.

Wycofała się, próbując nie mącić wody, i schowała się za kubłem. Pokazała palcem, by nawet nie drgnęli. Gwen zamknęła oczy, gdy przechodził obok jak barwna karuzela. Słyszeli go jeszcze przez moment, aż w końcu ucichło. Wyrzała ostrożnie. Wisiał na słupie wysokiego napięcia tuż obok wejścia do parku. Owinał się pasami o druty, a środkiem leżał na drewnianym korpusie. Schowała

się i uspokoiła oddech. Spojrzała na zegarek. Trzydzieści pięć minut do odbioru. Zerknęła na resztę pod ścianą. Karol zabronił Gilowi pociągać nosem i chłopak musiał ratować się sztywnym rękawem munduru.

- Leży na słupie, tym przy parku. Jeśli nie naprawią łączności, a pewnie nie ma co na to liczyć, nie zmienią koordynat. Nie zabiorą nas z zaułku. Musimy albo go wypłoszyć, co jest mało prawdopodobne, albo go zabić, i to już bardziej prawdopodobne - wyszeptała do mikrofonu.

- Zabić? - oburzył się Sam. - Jak na razie jest siedem do zera i mnie ten wynik wystarcza. Jest kurewsko przekonujący.

On nas wyczuje, wcześniej czy później. Jesteśmy mokrzy, ale deszcz przestaje padać. Nie ukryje naszej temperatury. Na razie woda wystarcza, ale nie na długo. Nie wysiedzimy tu do czasu, aż naprawią łączność - wyszeptała jeszcze ciszej, bo deszcz przestawał siąpić i już tak dobrze nie zagłuszał dźwięków.

- Jeśli zaatakują, mamy mniejsze szanse, niż kiedy my jesteśmy atakującymi. Poza tym jeśli nie działa łączność, nie widzą nas na radarze, a może też nie słyszą i nie mają obrazu z kamer. W sumie nie wiedzą, czy ktoś żyje, czy nie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z procedurą, to granaty czyszczące uruchomią się dosłownie minutę po tym, jak wejdziemy w portal lub w niego nie wejdziemy. Więc albo zeżre nas on, albo połączymy się z Gają dzięki własnej broni. Wybieram podjęcie ryzyka. Uda się, trzeba tylko podejść bardzo blisko.

- Wyciągnęła z cholewy nóż. -1 przygwoździć gnoja do ziemi. Wystarczy kula w jego pulsującą dupę. Leży nią na środku pała. Nóż należy wbić pomiędzy światła, nie pośrodku macek, bo tam jest miękki i się zerwie.

- Skąd wiesz? Robiłaś to już kiedyś? - spytał Karol.

- Nie. Tylko czytałam. Sprawdzimy słuszność przysłowia, że wiedza ratuje życie.

- A nie takiego, że tonący brzytwy się chwyta? - zadrwił Kogut.

- Tego też.

Odetchnęła głębiej.

- Mamy tylko tę jedną szansę. Nie spierdolicie tego. Jasne?

- zabrzmiała jak prawdziwy dowódca, słodko i bezpośrednio, zupełnie w stylu Koshego.

Wstała i poczekała, aż wstanie reszta.

- Tak samo jak poprzednio. Ja i Gil walimy centralnie na słup. Kogut i Szpryca po lewej, przy tym zakrytym straganie. - Wskazała na obłożone folią stoisko z warzywami na rogu. - Gwen i Karol po prawej. Przy ścianie. Sam jest na końcu i biegnie do tej osoby, którą złapie pierwszy, bo kogoś na pewno złapie. Pamiętajcie. Między światła i do ziemi. On nie jest za silny, po prostu naładowany złą energią.

Zaśmiali się cicho. Podeszli do krawędzi i Gil przygotował się do startu. Kiwnęła głową i wybiegli. Tak jak się tego spodziewała, niektórych macek nie zdążył odwinąć z linii wysokiego napięcia. Ją i Gila sięgnął krótszymi i niemal jednocześnie przybili je do słupa. Szpryca trafiła swoją i przybiła ją do pała podtrzymującego wiatę. Kogut zawrócił i pomógł Gwen przyszpilić do ziemi najdłuższą. Karola owinął za nogę, ale nie zdążył nic zrobić, bo Sam ciął go głęboko, raniąc jednocześnie kolegę. Obaj przygwoździli go niemal w tym samym momencie. Karol wstał i dał znać, że rana jest niewielka.

- Skurwysyn wielki jest - podsumował Kogut.

Jego macki były naprawdę długie. Przyjrzała się światełkom pod błoniastą, przezroczystą skórą.

- Będzie zdychał zbyt wolno. - Podeszła do Gila i wzięła od niego karabin.

Przyłożyła oko i strzeliła. Zarzuciło nim kilka razy i zgasł jak wyłączony z prądu. Sam opadł na ziemię i pacnął dupą w kałużę.

- Zostało dwadzieścia minut. Mam nadzieję, że to koniec rewelacji na dziś. - Rozejrzała się wokół.

- Umie ktoś przekazywać informacje telepatycznie? - spytał Prince. - Cała wataha idzie prosto na nich. Wodniki, Hieny i co najmniej cztery Ośmiornice.

Pod konsolą Szczur przyłączał nowe kable.

- Daj mi jeszcze pięć minut. Pięć minut i ta kupa złomu zabłyśnie jak choinka.

- Za późno - wyszeptał Makaroniarz i odwrócił się do ekranu nad windami.

Sama dopadła pierwsza i przetrąciła mu kark. Wisiał bezwładnie jak kukielka. Dyszała z jego głową w paszczy. Odgryzła mu ją i krew pociągnęła się pasem. Potem ją wypluła i chciała zacząć jeść, ale

Kogut był szybszy i strzelił jej prosto w łeb. Zdążył jeszcze zerwać z szyi Sama nieśmiertelnik i zwać przed czterema kolejnymi. Biegli uliczką w stronę rzeki. Minęli zaledwie kilka domów i ukryli się w zaułku pomiędzy płotami. Milczeli i nasłuchiwali. Wiele łap biegło w ich stronę. Za wiele.

- Ja i Gil zostajemy! Reszta do świątyni! - Wskazała głową na wejście za nimi.

To był duży plac, ogród i niewielki budynek, z którego wnętrza połyskiwał obfity brzuch złotego Buddy. Ruszyli. Gil strzelał celnie. Wyszli na ulicę i tłukli jak leci. Nie było im końca. Próbowali odciągnąć je od reszty, ale nie dali rady. Większa część pobiegła w kierunku świątyni, w tym dwie Ośmiornice. Usłyszała strzały. Okularnik zdejmował te dalsze, ona te, które oblażyły ich z bliska. Nie miała czasu przeładować. Było ich zbyt wiele. Rzuciła granat i pociągnęła kolegę w zaułek. Przykucnęła i zamknęła na chwilę oczy. Błysło. Siedzieli, kontrolując każdy płytki oddech. Popatrzyła w jego stronę. Macka owinęła mu się wokół szyi i ciągnęła w górę. Rzuciła się i tłukła w nią kolbą od jego karabinu. Nie było amunicji. Gil dusił się i próbował walić w potwora pięściami. Wyciągnęła granat z kieszeni i wrzuciła go na dach. Rozbłysło i urwana macka opadła mu na kolana. Oderwała ją od niego i próbowała cucić. Jego szyja była granatowa. Nie reagował. Przez moment zatrzęsły się jej ręce. Słyszała strzały na placu. Zerwała mu nieśmiertelnik i ostrożnie biegła od zaułka do zaułka. Deszcz niemal przestał padać.

Do świątyni dotarła, gdy było już cicho. Na kuckach przeszła pod jej zadaszoną wiatą i zajrzała przez otwarte okno. Ciało Gwen szarpały dwie mniejsze Hieny. Większa wyżerała bok Karola. Leżał twarzą do ziemi.

- Czy ktoś mnie słyszy? - zapytała cichym, nieobecny głosem.

- Tak - odpowiedział jej uśmiechnięty Kogut. - Jestem od strony rzeki.

Przeszła po trawie i znalazła go z tyłu świątyni. Leżał obok Szprycy. Ona nie miała gardła, on lewej nogi poniżej kolana. Podeszła i uklękła przy nim.

- Mamy jeszcze czas.

Kogut zaśmiał się z trudem i złapał ją za rękę. Wcisnął jej dwa kulkowe łańcuszki i zerwał swój. Zakrwawione palce zacisnęły jej dłoń.

- To tak jakbyśmy wrócili do domu - szepnął z trudem. - Tam w środku są jeszcze dwa. - Pokiwał głową. - Zabierzesz nas do domu?

Przez dłuższy czas nie odpowiedziała nic. Jego uścisk słabł, aż w końcu zelżał i niemal go nie wyczuwała. Miała dziwne przeczucie, że jeśli mu odpowie, to sobie odpuści i zgaśnie.

- Tak - odezwała się cicho. - Zabiorę co do jednego. Zamknął oczy. Przez jakąś chwilę klęczała otumaniona.

Rzeka połyskiwała w słońcu, które wychodziło zza chmur. Woda szemrała cicho. Świątynny ogród dotykał jej brzegów. Zaszumiało w słuchawce.

- Bura, słyszysz mnie? Bura, odezwij się!

- Słyszę. - Odetchnęła głęboko, powracając do rzeczywistości.

- Masz pięć minut. Nie zejdziemy, bo wszystko się sfajczyło. Idź rzeką. Tam jest spokojnie.

- Wiem.

- Wiem, że wiesz.

Wyłączyła nasłuch centrali. Wyjęła z ręki Koguta pistolet. Drugi leżał obok. Sprawdziła. Były nabite. Krwawe ślady na kulach mówiły jej, że czekał na swoją kolej, leżąc tu, obok martwej koleżanki. W jedno ucho wsadziła słuchawkę od mp3, drugą wpięła pod komunikator. Łańcuszki wcisnęła do kieszeni i zakrwawionymi palcami ustawiła sobie muzykę. Może nie mieli u siebie najlepszego wyposażenia ani broni, ale za to umieli sami robić pancerny sprzęt użytkowy. Kiedy go dostawała od Princea, powiedział jej, że czołg może po tym przejechać i się nie zepsuje. Miał rację. Lista utworów biegła im przed oczyma. Wybrała jeden z nich i włączyła. *My Dying Bride - Ihy Raven Wings*.

Słyszeli jak fortepian w pierwszych taktach zapłakał delikatnie. Kamera pokazała tęczę nad jej głową. Wstała i niemal równo z pierwszymi gitarami stanęła na deskach przed wejściem do świątyni. Rozsunęła jedną część wielkich drzwi.

- Co ona robi? - wystękał Szczur.

Wycelowwała w tę, która była najbliżej.

- Nie - szepnął Klecha.

Strzeliła prosto w zdziwione ślepią. Odrzuciło zakrwawioną paszczę. Kamera uniosła się na pozostałe w głębi.

- Już biegna - zapowiedział blady jak płótno Makaroniarz, nie odrywając się od monitora. - Nie zdąży.

Koshe wybrał kolejny z listy numerów.

- Łącz z Drugim.

Pozwoliła im podchodzić blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Liczyła kule. W każdym pistolecie miała piętnaście sztuk. Pięć pierwszych i cisza. Oddech spokojny. Stała blisko ciała Karola. Nachyliła się i zdjęła łańcuszek. Obeszła go i zdjęła nieśmiertelnik z szyi Gwen. Muzyka jej nie przeszkadzała, wręcz przeciwnie. Ośmionóg zsunął się z dachu. Strzał. Drugi wypełził zza Buddy. Strzał. Widziała, jak Hieny biegna rzędem, szykując się do skoku przez otwarte okno. Pierwszą położyła przed ścianą, druga padła jej pod nogi, trzecią ustrzeliła z przykłąku. Dostała prosto w miękkie. Wyszła ze świątyni i ruszyła alejką nad rzeką. Woda burzyła się przy brzegu. Pierwszy dostał, gdy był na tyle blisko, że odbiła się w jego bezdennie szklanych ślepiach. Drugi owinął ją macką, ale zdążyła unieść rękę nad głowę i jednym ruchem nadgarstka ustawiła pistolet na cel. Strzeliła prosto w mazisty łeb. Szła dalej.

\*\*\*

- Nie słyszy mnie! Wyłączyła centralę! - Prince rzucił słuchawkami.

- Nie wciskaj mi, że nie znacie kodów. Macie nowsze systemy, a włącz do was byle technicy i podglądają laski w szatniach - syczał Koshe. - Nie czas na procedury, wejdź na naszą sieć zdalnie i wyłącz zegar na granatnikach.

Z wściekłości ledwo ruszał szczęką.

- Ty chyba nie wiesz, z kim mówisz. Jestem Koshe i mówię ci, że jeśli tego nie zrobisz, osobiście dopilnuję, żeby cię zdegradowano na pomocnika w kuchni. Do końca życia nie wyjdiesz z obierek. Wklep to pierdolone hasło i wyłącz zegar!

- Minuta! - krzyknął Prince i zerwał się na równe nogi.

Klecha wypuścił z palców papierosa. Ostatnie, co widzieli, to kiedy stała pośród soczystej zieleni mokrych drzew. Kamera pokazała, jak napiera na nią Ośmionóg. Pozwoliła mu podejść blisko. Lufa nie drgnęła. Za blisko. Szum. Rozbłyski na radarze poszły kołem i opadały powoli. Usłyszeli ładującą się windę. Powoli rozsuwały się odrapane drzwi. Stała oparta głową o ścianę, tak jak zwykle. Przywitała ją martwa cisza. Wyszła powoli. Nie patrzyła na nich. Ćwiczyli to przed egzaminami. Zdawanie raportów. Tylko nikt z nich nie przewidział takiego wyniku.

Podeszła do stołu i położyła na nim oba pistolety i hełm. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła z niej zakrwawiony zlepek metalu i rzuciła obok.

- Melduję Klasę D-1 do raportu - odezwała się cicho. - Trzynastu zabitych, zero rannych, jeden sprawny.

Odeszła spokojnym krokiem w stronę szatni. Mijała ludzi, którzy stali i patrzyli na nią jak nieme posągi. Weszła między rzędy szafek. Nawet nie widziała, ilu ich jest, a były tłumy. Rozstąpili się, gdy przechodziła obok. Nie zauważała nikogo.

Otworzyła drzwi do łaźni i weszła w pierwszą kabinę. Odkręciła kurki, ale nic nie poleciało na jej głowę. No tak. Przecież nie było prądu. Oparła się plecami o zimną ścianę i osunęła wolno na kratkę ściekową. Kapitan przerwał jej bezmyślny stan. Spojrzała na niego i oczy zalały się jej łzami. Nie mogła oddychać. Podniósł ją i mocno tulił. Zakrwawione palce zacisnęły się na rzędach metalowych odznaczeń.

- Przepraszam - wyłkała.

## Strajk

Kaztez wszedł do siebie i stał chwilę, stukając teczką o stary fotel, po czym zamachnął się i rzucił nią o ścianę. Chmura papierów powoli opadała w dół. Podeszedł do biurka i wyciągnął z szuflady butelkę. Nalał sobie i postawił ją obok szklanki, nie zakręcając. Na dole zebrali się dowódcy drużyn. Koshe schylił głowę. Nie zdziwiło go to.

- A więc ni-ni-ni-ci z dotacji - wyjąkał Jekyll.

- Ale żeby nawet centa? To już przesada. - Rodman, który dla odmiany bawił się raketą tenisową, pokręcił głową.

- Niby tragedia, niby wszyscy ci współczują, ale choć nie było żadnych błędów operacyjnych, to i tak jesteśmy krowie czopy - fuknął Rasputin.

- Róbcie, co uważacie. Ja kończę współpracę z tym urzędem. Nie ma sprzętu, mundurów, kul. Sramy w kiblach bez klimatyzacji i wentylacji, bo oszczędności. Kotły nie grzeją, prądu nie ma, bo nie ma kasy na kable. Równie dobrze możemy zwinąć majdan. Czas postawić sprawę na ostrzu noża. Cokolwiek nie robimy, ile byśmy nie wytlukli Hien, Wodników, Ośmiornic, ilu by nas nie zginęło - zniżył głos Sierżant - to jesteśmy śmieci wśród umrzyków. Ja mówię dość. Nie puszczę swoich chłopaków na śmierć. Nie dziś, nie jutro, to za rok, bo zabraknie kul albo karabin się zatnie.

Może i młodzi, może i narwani. Jeden nawet szalony, bo chce się żenić. - Zaśmiał się półgębkiem. - Ale nie chcę patrzeć jak umierają. Kiedyś któryś mnie zastąpi, będą mieli swoich ludzi. Na razie doświadczenie nic nie znaczy. Nie będziemy przecież strzelać z procy.

Koshe popatrzył po ich zmęczonych twarzach. Beznadzieja przekroczyła dopuszczalne normy.

- Dobra. Przedstawienie czas zacząć. - Sięgnął po telefon i wybrał numer. - Nadaj komunikat na otwartym. Tak. Skąd wiesz, o czym rozmawiamy? Masz podsłuch w sali? - Śmiech. - Ty się, Prince, marnujesz. Powinieneś kram z wróżbami otworzyć. - Zasunął klapkę.

- Kto powie Staremu? - spytał Rodman, nie przestając rytmicznie walić piłką w posadzkę.

- Idziemy wszyscy - stwierdził Rasputin.

Weszli do kanciapy. Koshe usiadł pod ścianą.

- A wy co? Po urlop? Nie ma funduszy. Na nic nie ma funduszy - mruknął znad szklanki.

- Nie. My wymówić umowę - odezwał się Sierżant.

Kapitan uśmiechnął się radośnie.

- Na kogo jak na kogo, ale na własnych ludzi zawsze można liczyć.

- Nie jesteś zdziwiony. - Koshe spojrzał na szefa z niedowierzaniem.

- Mogą mi naskoczyć. Idźcie i dopilnujcie, żeby nie było gorliwych. Jak nie prośbą to groźbą wycisnę z nich tę kasę.

- Nie. Jeszcze nie. - Koshe zatrzymał ich w drzwiach.

Założył ręce na obdartych oparciach fotela i rozsunął wargi w diabelskim uśmiechu.

Hieny i inna „drobnica”, którą tak gardzą, same się nie wytluką. Daję tydzień i wyślą kogoś do nas na zastępstwo. Pewnie Drugie wycisnie kilka drużyn, a i z Pierwszego można się spodziewać tych słabszych. Przygotujmy im kilka niekli- matyzowanych kwater, wykręcmy ostatnie dwa działające se esy, w łaźni odłączmy co sprawniejsze prysznice. Ktoś niech się zajmie się zebraniem najlepszego sprzętu. Nawet kule będą musieli mieć własne. Ja zadbam o to, by nie przyjął ich żaden hotel, motel czy speluna w Mieście. Nawet wódkę dostaną żenioną. Jeśli nie zmusi ich do tego strajk, zrobią to ludzie. Są rozwydrzeni nowinkami technologicznymi, przyzwyczajeni do wygod. Byłem u nich nie raz. Mają sauny, boisko, halę sportową, a siłownię większą od naszej największej sali treningowej. Sprzęt najwyższej klasy od lamp po wykładziny, a my nawet o żarówki musimy się wyklócać. W stołówce też trzeba ułożyć im szczególne menu. Jak dostaną sraczkę czy zatrucia, szybciej zapragną powrotu do domu.

Rasputin zaśmiał się i podrapał w głowę.

- Wchodzę. Pomyśl ze sraczem przypadł mi do gustu.

Odmeldowali się i każdy poszedł zebrać swoich ludzi. Ko-



she odwrócił się w stronę zapuszczonych rolet i oceniał, ile warstw taśmy utrzymuje rozbitą szybę, której od lat nikt nie wymienił.

- Co z nią?
- Kilka zadrapań. Mało mówi, mało śpi. Ma koszmary. - Kapitan odstawił butelkę do szuflady.
- Da radę zejść na dół?

Kaztez zaśmiał się.

- Tego jestem pewien. Może pierwszy strzał będzie nieco mniej pewny, ale da radę.
- Nie lepiej dla ciebie byłoby mieć ją w domu?
- Jasne, że tak, ale ona nie da się trzymać w złotej klatce. Wolę, by bawiła się na moim podwórku, niż biegała po innym, na przykład w spelunie, której właściciele przypadkiem znam.

Koshe uśmiechnął się pod nosem. Kaztez to stary wyjadacz i nic mu nie umknęło. Trzeba przyznać, że pilnował swojej Lolity jak oka w głowie.

- A teraz bądź tak miły i nie zwracaj sobie głowy moim życiem erotycznym. Chcesz posłuchać paniki?
- Wybrał numer

na starej centralce telefonicznej i włączył głośnik. - Dzień dobry. Mówi Kaztez.

- Witaj, Kaztez. - Chwila ciszy. - Przykro mi z powodu tego, co się stało.
- Mówisz o śmierci trzynastu uczniów Szkółki czy o tym, że nie dostaliśmy po raz kolejny ani grosza?
- O tym pierwszym.
- Tośmy się nie zgrali, bo ja właśnie w sprawie pieniędzy.
- Wiesz, że nie jestem w tej kwestii decyzyjny.
- W tej nie, ale jesteś od przydziałów, a u mnie właśnie ludzie odeszli od centralek i kazali przekazać wam mało przyjemne hasło strajku.
- Yyyy...
- Musicie sobie radzić sami, chyba że wyślecie kogoś do nas. Mamy kilka wolnych kwater. Będzie wam tak wygodniej. Skakać od siebie byłoby trudno. My idziemy po trajektorii samobójstw, jak wiesz.
- Jaki, kurwa, strajk?!
- Normalny. Na Posterunku tak cicho, że chyba włączę radio.

Koshe słuchał z rękami w kieszeniach. Stary potrafił być podły.

- Kaztez, o czym ty mówisz?

- Daj spokój, tylko idiota nie przewidziałby takiego rozwoju wypadków. Zginęło trzynastu uczniów na oczach wszystkich trzech Miast. Dokładnie wiecie, co zaszło. Twój ludzie też oglądają egzaminy. Jutro muszą pośmiertnie odznaczyć trzynaście kamiennych tabliczek, więc nie wciskaj mi zdziwienia. Nie mamy tu prądu, wody, a przydzielany nam sprzęt jest demobilem od was, zasrańce. Na co liczyłeś? Na oklaski?

Rozłączył się i przycisnął inny mrugający guzik.

- Kaztez.

- Tu Dzik Zachód - odezwał się ubawiony kapitan z Zachodniego. - Dlaczego mam wrażenie, że rozmawiałeś właśnie z personalnym z Pierwszego.

- Telepatia?
- Nie. Mam go na linii. Powiedziałem mu, że idę się rozeznąć. Moi ludzie są już w szatniach, szykują się na przyjęcie nowych gości. Daję im dwa tygodnie i zatęsknią za mamusią.

- Co mu powiesz?
- Żeby sobie wsadził w dupę ten najnowszy granatnik i wystrzelił się w kierunku słońca. - Zaśmiał się głośno. - A tak poza wszystkim, czy ja muszę się komukolwiek tłumaczyć? Po jakiego nas zrobili kapitanami? Żeby im relację zdawać? Do usłyszenia. Tak się ubawiłem, że ciśnienie mi skoczyło. Zgraja debili.

Kaztez wyciągnął się w skrzypiącym fotelu.

Przyszła późno, bo kapitan długo nie umiał wypuścić jej z domu. Miała wyrzuty sumienia. Był jej bardzo oddany, cierpliwy, kochający, a ona zwyczajnie zbyt otumaniona, by mu się odwdziżyć. Weszła do kuchni. Chłopcy byli dobrze przygotowani. Czysto, świeży chleb, na patelni resztki kolacji. Dali sobie radę bez niej. Może dadzą sobie radę ze wszystkim? Może nie jest już potrzebna? Przez nią zginęli ludzie. Przez jej brak pewności siebie, brak zorganizowania, myślenia. Przez jej niedouczenie, złe rozkazy, butę, że zawsze ma rację. Zasłoniła usta i weszła do łazienki. Zimna woda pomagała na ataki płaczu. Nie zobaczą

jej łez. Wszystko może pokazać, ale nie łzy. Nie pokaże, jak jest słaba, jak szybko się łamie, bo nie wezmą jej na dół, nie zda kolejnych egzaminów, nie dostanie przepustki, nie zejdzie do samobójców. Bo go nie odnajdzie.

Wyszła. Koshe czekał na nią oparty o futrynę. Podszedł i złapał za rękę. Nie zdążyła powiedzieć, że boli. W pokoju siedziała reszta. Posadził ją na kanapę z takim rozmachem, że odbiła się od oparcia. Sam usiadł na fotelu. Klecha nawet nie patrzył w jej stronę. Siedział, o dziwo, bez papierosa i gapił się za nocne okno. Zapadła nieprzyjemna cisza

- Ustaliliśmy już, że brak ci co najmniej połowy mózgu - odezwał się spokojnie dowódca, choć był bliski furii.

- Daruj sobie. Widziałam to nagranie setki razy. Wiem, gdzie popełniłam błędy. Czytałam regulamin i znam go niemal na pamięć. Wszystkie punkty, podpunkty i załączniki. Doskonale rozumiem, że nie nadaję się na dowódcę, a że to nie grozi mi w najbliższym czasie, więc bez obaw. Nikogo więcej nie pošlę na śmierć. To był pierwszy i ostatni raz. Co do tego, że nie dostałam glejtu na następny rok, trudno. Przydzielią mnie do innej klasy żółtodziobów i tym razem nie zrobią dowódcą. I bez tego będzie ciężko. W końcu jestem felerna, nie?

Mówiła monotonicznie, smutno. Cisza.

- Ty chyba nie do końca wiesz, co zaszło? - mruknął Prince ze zmarszczonym czołem.

- Wiem. Zabiłam trzynastu ludzi. Odhaczę ich sobie kreskami na ścianie. Jeszcze dwóch i skreślę zaczęłą piątkę.

- Zdałaś egzamin - oświadczył Borys, który siedział z założonymi rękami w rogu kanapy.

- Co? - Skrzywiła się.

- Zdałaś egzamin.

Rozejrzała się po pokoju.

- Jaja sobie robicie? Czy to był egzamin na to, kto przeżyje?

- Czytaj z ruchu warg - odezwał się Koshe. - Egzamin zaliczyłaś na pełne dziesięć punktów. Zaliczyli ci pełne szkolenie i jesteś oficjalnie po Szkółce. Jutro na ceremonii Pepesza wręczy ci dyplom i koniec z nauką. Umiesz więcej, niż powinnaś.

- Że jak? Zawaliłam egzamin, a oni zginęli przeze mnie. - Pokazała na siebie palcem.

- Nie, Bura. Zginęli, bo pizdnął w nas Iskra. Szedł nisko, odbił się od nas, spalił wszelkie obwody w wszystkim i poleciał do elektrowni - sprostował Makaroniarz, a Szczur przytaknął, machając grzywką.

Skrzywiła się jeszcze bardziej.

Sprzęt nawalił, ale ja też.

- Nie! - ryknął Koshe. - Załatwię to szybko, bo powiem tylko raz i nie liczę na powtórki. Byłaś świetnym dowódcą. Skupiona, myśląca, kreatywna. Prowadziłaś ich tak, jak ci radziłem. Każdy miał swoje zadanie i czuł się potrzebny. Gdyby centrala działała, zabraliby was stamtąd wcześniej i nikt by nie zginął. Iskře zobaczyliśmy tuż przed tobą. Niesubordynacja i arogancja drugiej grupy były ewidentne.

- Ale to ja miałam za mało ikry, by ich sprowadzić do punktu. Nikt inny tylko ja.

Nie dlatego, że brak ci ikry, ale dlatego, że masz cycki. Ludzie od Simonsa zginęli, bo od początku nikt ich nie prowadził. Byli jak kumple na wypadzie do baru, nie jak ekipa w walce. Ty byłaś najlepsza ze wszystkich dowódców. W odróżnieniu od ciebie, ja widziałem cały egzamin, również kilkakrotnie. Inni mieli gorszy czas, bardziej się miotali, czyli byli tacy, jak być nie powinni. Błaznowali, kłócili się, stroszyli jeden przed drugim. Ty byłaś dokładnie tam, gdzie być powinnaś. Zabić Iskře nawet doświadczonym żołnierzom nie jest łatwo. To demon Drugiego, bo dla reszty jest za szybki. Wodnika też pozbyłaś się brawurowo. Cholernie ryzykownie, ale pokazowo. Przypominałaś im wykłady. Sprowadzałaś spanikowane myśli na ziemię. Mówiłaś, co robisz, co planujesz, i poszło ci świetnie. Gdyby nie brak funduszy na nowe centrale, światłowody, na agregaty awaryjne, żyliby wszyscy. Pierwsza domyśliła się, że to Iskra. Nie widziałaś go, gdy byliśmy na dole. Czytałaś o nim i to ci wystarczyło, by poprowadzić grupę żółtodziobów i go zabić. Od momentu, gdy zdechła centrala, powinniście wszyscy nie żyć. To, że sobie tu teraz siedzimy i słuchamy mojego pieprzenia o rzeczach oczywistych, jest tylko twoją zasługą. Egzamin to formalność, zabawa. I byłoby tak, gdyby nie ciągle cięcia w budzecie. Nie ma już nawet na pompę i wybija szambo w łaźni. Zabił ich chory ustrój, nie ty. Doświadczenia masz niewiele, ale jesteś najlepsza z nich wszystkich. I na tym koniec rozpamiętywania zajścia. A teraz idź spać, bo jutro o ósmej

stajesz do apelu. Będą tam wszyscy, łącznie z ludźmi z innych Posterunków. Dla nich nie jesteś młodą dupą, której udało się przeżyć, więc stój prosto, kiedy będą wyczytywać twoje imię.

Wyszli, pozostawiając ją w osłupieniu. Kapitan coś tam do niej mówił o jakichś odznaczeniach, ale nie bardzo go słuchała. Zrobi tak, jak jej powiedział Koshe. Zaśnie na rozkaz.

Zegarek wskazywał drugą w nocy i rzeczywiście było ciemno jak w nocy. Teraz krzyk usłyszał wyraźniej. Wyszedł z pokoju. Siedziała na łóżku, łapiąc oddech jak po długim biegu. Chwilę odczekał i zawrócił w progu.

- Widzę, że nie zgadzasz się z teorią, jakobym była genialnym dzieckiem? - mruknęła cicho.

Zacisnęła rękę na kłamece i zawrócił tak szybko, że omal nie wpadł na rozłożoną kanapę.

- Mam ochotę tobą potrząsnąć - syknął.

- No dalej. Obiecuję się nie wrywać.

- Nigdy więcej nie rób takich głupich i niepotrzebnych rzeczy. Ustalmy coś. Nigdy więcej samotnego strzelania do Hien, Wodników i Ośmiornic. Nigdy więcej niepotrzebnego ryzyka. I zdecydowanie nigdy więcej obwiniania siebie o to, że stało się tak, jak się stało, bo to nie twoja wina. Jasne? Gdyby to co ty zrobił Szczur czy Prince, obiłbym im mordy. Wiesz dlaczego?

Pokręciła przecząco głową.

- Bo tak jak mówiłaś, jesteśmy swoją jedyną rodziną.

Trochę się uspokoił. Ciemna postać na tle nocy stała przez chwilę nieruchomo.

- Ile nocy nie śpisz?

- Nie śpię od dwóch dni. Gdy tylko zamknę oczy, jestem wciąż na dole.

Chwycił ją za rękę i poprowadził do pokoju. Pościel była jeszcze ciepła. Leżeli obok siebie jak już kilkakrotnie wcześniej.

Zanim zasnęła, opowiadała jej o strajku. Długo i szczegółowo. To było jak gra w karty przed egzaminem, ale o tym przekonała się dopiero następnego dnia.

Nie spała spokojnym snem. Natan rzucił się, bo ograniczał palenie, i miała wrażenie, że pali we śnie. Machał rękami jak oszalały. Siedziała w pierwszym rzędzie na samym rogu, obok kapitana. Co chwila łapał ją za rękę, nieskrępowany ciekawymi spojrzeniami. Na podeście wyżej stały stoły, a na nich ułożone obok siebie trzynaście kamiennych tabliczek każda z imieniem i nazwiskiem. Miały zostać wmurowane w ścianę, na której setki podobnych trwały jedna przy drugiej. Dom Pamięci, jak go nazywali, był jednym z najstarszych budynków w Mieście i najliczniej zamieszkanym. Liczył sobie ponad dziesięć tysięcy mieszkańców. Dziś dojdzie do niego kolejnych trzynastu.

Nie słuchała, co mówił kapitan z Centralnego. Był poważny i smutny. Cały czas myślała o tym strajku. O braku pieniędzy, motywacji. O tym, że samobójców uważa się za gorszych, bo walczą tylko z Hienami i innym ścierwem astralnym, a przecież niejedyn z tych wymuskanych gogusiów nie poradziłby sobie w wielu sytuacjach, z których im udawało się wyjść obronną ręką. Niekiedy myślała, że już dawno przestało chodzić o demony. Po prostu schodzą na dół, by walczyć o swój honor, bo nic innego nie potrafią robić dobrze, a przecież są rewelacyjni. Wciąż dają radę i mają jedne z najlepszych wyników. Zajadli, uparci, waleczni. Tyle że biedni.

- Lilith Novak - usłyszała swoje imię i nazwisko.

Kapitan ścisnął jej dłoń po raz ostatni i wypuścił na stopnie podestu. Weszła lekko, choć nie było to łatwe. Szkolny mundurek wyglądał niepozornie. Zwiędły warkoczyk leżał na ramieniu niczym licha wstążka. Pepesza odprowadził ją wzrokiem, gdy stanęła na krańcu stołu, obok swoich.

Odwrócił się do zgromadzonych w auli i dopiero teraz zobaczyła jego poszarzałą, zmęczoną twarz. Piętno winy było aż nadto wyraźne.

- Za wykazanie się niezwykłą dojrzałością, celnością podejmowanych decyzji, profesjonalnym podejściem do powierzonego zadania, odwagą, sprytem i determinacją, komisja egzaminacyjna zdecydowała, iż na tym kończy się twoja nauka. Nie mogliśmy nauczyć cię niczego więcej, więc liczymy na twój wkład w walce ze złem. Powtarzaj za mną. Walczę w imię dobra z wszelakim złem, które napotkam, by bronić i ochraniać nieświadomych niewinnych...

Potem wręczył jej dyplom i licencję. Nie umiała spojrzeć mu w oczy. Po nim podszedł do pulpitu kapitan z Centralnego i odczytywał kolejno nazwiska. Było ciężko, ale Koshe kazał jej stać prosto, więc stała sztywna jak kołek i patrzyła w światła daleko w tyle.

- Lilith Novak. - Podszedł do niej, a w rękę połykiwała mu mała czarna gwiazda.

Już miał ją przypiąć do niewielkiej poły kamizelki, kiedy złapała go za rękę. Nie zdziwił się.

- Czy mogę odmówić przyjęcia? - szepnęła.

Przytaknął ruchem głowy.

- A więc odmawiam. Mnie się ta gwiazdka nie należy.

Nie odpowiedział. Odszedł i dodał kilka słów na zakończenie. Potem wychodzili powoli i w ciszy. Ona wyszła ostatnia. Nie spozrzała na tabliczki na stole. Nie umiała stłumić żywych obrazów i krzyków. Ich krzyków.

Gdy weszła do szatni, krzątali się w niej ludzie. Otworzyła szafkę i wyciągnęła z niej swoje rzeczy. Musiała doprać mundur z krwi, bo pralnia nie umiała nawet tego. Złożyła go w kostkę i usiadła naprzeciw swojej szafki. Pogieęte drzwiczki, obdrapana farba. Cuchnąca stęchlizną i wilgocią przestrzeń prywatna. Kopnęła w nią z całych sił. Nie usłyszała, gdy posiadali wokół niej. Gdy ich spostrzegła, było już za późno na taktyczny odwrót. Nie chciało jej się słuchać po raz kolejny

- całym zajściu. Zaczęła z innej beczki:

- Nawet jeśli ten strajk potrwa miesiąc, a pewnie potrwa, to i tak dostaniemy grosze. Może wystarczy na kable i rozdzielnię, ale to kropla w morzu potrzeb.

- Nic nie poradzisz. Z pustego i Salomon nie należy. Oni mają lepszych menedżerów, kontakty, sponsorów - odezwał się smutno Rodman.

- Mają plany zamknięcia nas. Zrobią z Miasta Szkółkę

2 będą ćwiczyć na mniejszej zwierzynie. Kapitan coś przebąkuje, że trwamy ostatkiem sił. Już trzy razy głosowali nad projektem przejścia co najmniej dwóch Posterunków. W tym naszego. Według nich przynosimy straty. Inwestycje nie dają efektów, więc przestali nas dotować. Albo wykorzystamy ten miesiąc i wszystkie ręce na pokład, albo gdy przyjdą tu na inspekcję, okaże się, że nas zamykają i oddają innym, a z tego co wiem, nie macie tu świadczeń emerytalnych.

Wszyscy zamilkli. Piłka, którą Rodman odbijał ze zrećnością maszyny, potoczyła się pod ławkę.

- Mamy miesiąc, by zarobić te pieniądze - rzuciła.

- Zarobić?

- Tak.

- Zapomnij. Nie mam tyle gaci - mruknął Koshe gdzieś z tyłu.

- Miałam na myśli prawdziwy i realny zysk z waszych umiejętności.

- Hazard może obejmować jedynie koleżeńskie zakłady. Nie można urządzać walk - powiedział Rasputin z głębokim żalem w głosie.

Mnie nie chodzi o wasze muskularne ciała, tylko o głowy. Na egzaminy Centralny pożyczył nam sprzęt, który kupili od Drugiego, ale i tak Prince mówił, że to szajs, tyle że ładnie wygląda. Nasz złom wytrzymuje większe przepięcia, a każda z central to już odrębny twór, bo każdy naprawiający inaczej przywracał ją do stanu używalności. A gdyby tak zrobić własne, zamiast kupować od nich z demobilu? Mamy warsztaty. Chłopcy robią w nich cuda, bo musieli nauczyć się produkować z gówna granat. Tamci nie mają takich możliwości. Mają nowy, ale felerny sprzęt. Dlatego dostajemy bezpieczniki, które są niby spalone, a wystarczy odgiąć blaszki tam i tu i działają. Dałoby się ujednoczyć krój, zoptymalizować przyciski, bo z tego co mówią ci z obsługi, część nadaje się tylko do pstrykania dla zabicia czasu. Wystarczy kupić kilka plazmowych monitorów i sprawić, by wyglądały profesjonalnie, a dają głowę, że zaczęliby kupować je od nas. To my stalibyśmy się potrzebni im, nie oni nam. My dyktowalibyśmy warunki. Technicznych mamy najlepszych. Dadzą radę. Posterunek zacząłby na siebie zarabiać, nie byłoby dziur w kasie. Szczur wymyślił nowy krótki strzał świetlny. Ukierunkował światło z granatu. Trzeba jeszcze przetestować i mamy nowy rodzaj broni. Koniec z łaską tych skurwieli. Albo wymyślą własną technologię, albo kupią ją od nas.

- Czy to prawda, Szczur? - spytał jeden od Rodmana.

- Ale ty masz długi jęzor. - Wykrzywił się na nią. - Prawda. Razem z Makaroniarzem skonstruowaliśmy prototyp. Nie licząc taśmy klejącej i tony silikonu montażowego, jest gotowy do produkcji. Ma niedługi zasięg i nie wszystko da się tym zabić, bo wali krótkimi i cienkimi pasmami, ale

pracujemy dalej. Teraz przerabiamy rynnę na strzał kierunkowy z zasięgiem jakichś dwudziestu metrów i średnicą dziesięciu centymetrów. Jak się uda, Pulsar będzie gatunkiem zagrożonym.

- O kurwa. To naprawdę działa? - osłupiał Sierżant, który kalkulując, niemal zjadł swoje cygaro.

- A jak myślisz, kto unieszkodliwił cztery metry agresywnego muru w zeszłym miesiącu? - zaskrzeczał Szczur.

Zaśmiali się głośno.

Koshe kupi patent i ruszamy z robotą - odezwał się Kle ha, żując wykałaczkę. - Prawda, Koshe? I tak wszystkie fabryki broni są twoje. Masz doświadczenie i pieniądze. Koshe odetchnął głęboko.

- Z kasą za patent będziecie musieli trochę poczekać. Żeby ruszyć z produkcją, musiałbym wykupić co najmniej cztery hale produkcyjne i je wyposażyć. Zatrudnić ochronę i dobrze opłacić, żeby nikt ich nie podkupił i nie podejrzwał parku maszynowego. Koszt takiej inwestycji jest niewyobrażalny, ale opłacalny. Jeśli do użytku wejdzie taka broń, to choć nie wyprze zwykłych kul, wszyscy będą chcieli ją mieć. I zapłacą każde pieniądze. Jak szybko jesteście w stanie zbudować matryce?

Prince liczył w pamięci.

- One są właściwie gotowe. Trzeba je odlać i wio. Ta broń wygląda jak pistolet, z tym że w komorze na kule ładuje się granat dopasowanej wielkości z cienkim jak igła wyjściem. Światło to nie gaz. Nie ma ciśnienia. Konstrukcja tego jest tak banalna, że sam się dziwię, dlaczego nie wpadliśmy na to lata temu. Z nudów zaczęliśmy to kleić i wyszło nam po miesiącu. Materiał świetlny, który wchodzi w skład dwudziestki, daje

jakieś dwanaście strzałów.

- Marzenie. Dwanaście cichych strzałów. - Sierżant ścisnął

mokre cygaro.

- No dobra, ale reszta też wymaga pracy - odezwała się po chwili.

Ustalenia kto, za co i za ile, trwały do późna. Każdy miał jakiś pomysł na swój wkład w ratowanie miejsca pracy. To było jedyne, na czym się znali. Niektórzy walczyli dosłownie od wieków. Zapalił się w nich ogień rywalizacji i chęć pokazania swojej wartości. Jeśli nie doceniają ich walki, to będą musieli docenić spryt.

Rozeszli się i jeszcze długo słyszała jak dyskutują. Został

tylko Klecha.

- Uspokoisz tym sumienie?

- Nie, ale przynajmniej nie będę miała poczucia, że zginęli zupełnie bezsensownie.

Koshe wszedł bez pukania i stanął przy zbitej szybie okna, które wychodziło na salę odpraw. Wziął do ręki telefon i spokojnym ruchem nadgarstka wybijał po kawałku poklejone kawałki szkła. Kaztez oderwał się od wielkiego kalkulatora i popatrzył sennie.

- Chcesz mi zafundować szklarza?

Koshe uśmiechnął się z przekąsem.

- Jaki kolor ścian preferujesz?

Kapitan zmrużył powieki i sondował go przez dłuższą chwilę.

- Zaczynam się bać.

Dokładnie tydzień później przysłali ludzi na zastępstwo. Zdziwiło ich to, co zastali. Cały Posterunek był w gruntownym remoncie. Szkołka zawiesiła pracę na miesiąc i wszyscy uczniowie pomagali w pracach. Kaztez umieścił nowo przybyłych w auli odpraw. Dostali łóżka polowe i dostęp do łazienki reprezentacyjnej, z której nikt nie korzystał od lat. Tego dnia śmiał się sam do siebie na wspomnienie ich głupich min. Z trzech wind w remoncie nie była tylko jedna, by mogli spokojnie pracować, co łatwe nie było.

Nie widywali się ostatnio zbyt często. Każdy miał jakieś zajęcie i trudno było za nimi nadążyć. Ich reakcja była raczej do przewidzenia. Wizja bezrobocia wisiała nad nimi na pajęczej nici, ale reakcji Miasta się nie spodziewała. Do tej pory myślała, że raczej stronią od swoich obskurnych bohaterów.

Boją się ich, wytykają palcami, czasami gapią, gdy idą ulicami. Przywykła do tego. Jednak na wieść o tym, że Pierwsze chce przejść Posterunki, zawrzało. Miasto numer Jeden nie cieszyło się u nich ani szacunkiem, ani poważaniem. Pogardzani i wyśmiewani samobójcy nie chcieli oddać pola.

Posterunki utrzymywały spokój w Mieście. Mieli monitoring policyjny, służby prewencyjne, a nawet dochodzeniówkę, ale to zakapiory w służbie „naziemnej” odpowiadały za spokój. Nie było morderstw, większych kradzieży, sutenerstwa, czyli wszystkiego, czego można by się po nich spodziewać. Bywali w sobie tylko znanych spelunach i jedyne, co można było im zarzucić, to bójki, którymi zwykle kończyli zabawowy weekend. Lokalny patriotyzm okazał się silniejszy od niechęci społecznej i na Posterunki zaczęły napływać datki. Przy sklepowych kasach pojawiły się puszki z napisami, który Posterunek sklep dotuje. Przedsiębiorstwa sponsorowały większe zakupy. Mówiło się o tym wszędzie. Znienawidzone Pierwsze, kryształowo wspaniałe, zorganizowane i dumne, mogło ich teraz pocałować w wielką samobójczą dupę.

Wezwali ją przez telefon. Zastępca kapitana wypluł z siebie szybki rozkaz. W szatni ubierali się Klecha i Koshe. Bez słowa wyjęła z szafki sfatygowany mundur. Sprzęt wynieśli na stół w sali odpraw. Kaztez, sądząc po minie, nie był zadowolony. Prince z jakimś chłopakiem w kombinezonie technicznego naprawiał kontakty za starym stołem po centralkach. Odwrócił się do nich i wyjął lizaka z ust.

- Czyżby nasi pomagierzy mieli kłopoty z Hienami?

- A żebyś wiedział - odparł Stary.

Przy jedynej centrali, którą przytachali ze sobą, siedział mężczyzna w mundurze z Pierwszego. Jego mina mówiła sama za siebie. Mieli kłopoty, a centrala się zawiesiła, bo tak jak i ich sprzęt zawieszała się przy dwudziestu sztukach. Prince podszedł do niego i bezceremonialnie odsunął go na bok.

- Moja rada na przyszłość - powiedział, resetując urządzenie. - Skoro wiesz, że może się zawiesić, bo będzie za dużo obiektów, ustaw koordynaty na jakieś sto, sto dwadzieścia metrów w bok i dopiero włączaj.

Centralka zaskoczyła i mógł zacząć wydać komunikaty.

- Dzięki - odpowiedział tamten, choć niechętnie.

- A wy gdzie? Sami? Bez oczu? - Prince popatrzył wymownie w stronę Starego.

- Pójdziemy bokiem, po obrzeżach - wyjaśnił Koshe. - Jeszcze godzina i nie będzie kogo zbierać.

- No to chociaż puszczę wam muzykę.

Weszli w portal. Mundur pił ją na karku. Nerwowo poruszyła barkiem. Koshe odwrócił się zirytowany jej tikami i szarpnął za tkaninę.

- Mundur jest w porządku.

Klecha popatrzył to na jedno, to na drugie. Czemu nie wziął ze sobą Borysa zamiast niej? Kazał ściągnąć ją. Chce ją złamać czy oswoić ze śmiercią? Wypuścił dym długą zamyśloną smugą. Czerwony cycek rozpląszczył się pod naporem pięści.

- Skoro już jesteście pupcia obok pupci, pozostaje mi tylko zakomunikować, że macie pas wolny od strony jeziora aż do parku. Kierujcie się na centrum. Tyle mego występu. Na waszym kanale puszczam ulubione kawałki Burej. Sorki, mała, zwinąłem ci mp3 z kieszeni.

- W życiu bym się nie domyśliła.

- Wracam do swojej roboty. Uważajcie na swoje odwłoki. Na dole są dwie drużyny podpięte do jednej wadliwej centrali. Wiesz się, kiedy trzy kanały są zajęte. Szmelc gorszy od naszego. To do obiadu.

W słuchawce rozbrzmiały ostre gitary.

Teren nad jeziorem wydawał się czysty, więc szli parkiem. Pogoda była taka sobie. Ludzie używali tu dziwnego języka, więc nie wiedziała, gdzie są. Jakby próbowali mówić z kluską w ustach. Nagle ktoś wybiegł prosto na nich. Pędził z kolanami wyrzucanymi prawie pod brodę. Wykrzyczał coś dziwnego. Potem zwolnił i mijając ją, wysapał:

- Na trzeciej.

- Masz go najbliżej, Bura - usłyszała Koshego.

- Ty strzelasz celniej.

- Czyżby.

Wiedziała, że Invocato poruszają się szybko, ale on w tym samym momencie pojawił się na trzeciej, a zza niego dochodził dziki wizg Ośmiornicy. Lufa zachybotwała się na boki.

- Ochujaleś, Koshe? - wystękała.
- Albo strzelisz, albo będzie po mnie. Decyduj szybko. Nacisnęła spust w momencie, gdy na niego wyskoczył.

Strzał odrzucił miękkie galaretowate ciało wprost na krzaki. Opuściła wolno sztywny łokieć. Klecha podszedł do niej i pstryknął ją w czoło.

- Żyjesz?

Wychyliła się za niego.

- Czy ty jesteś normalny?
- Musiałem sprawdzić, czy się jeszcze nadajesz.

Już chciała mu coś odszczeknąć, ale ten, który biegł, zdążył wyhamować i zawrócić.

- Ja cię znam - odezwał się do niego Koshe. - Jesteś od nas. Tamten pokiwał głową, łapiąc oddech.
- O czym Pierwsze nie daje mi zapomnieć. - Obliznął wargi.
- Awansowałem, bo zawsze byłem dobry z Inwokacji, a u nich walczą przeważnie nią.
- Co oni tam robią? Ćwiczą nadgarstki nad własnym ego?

- mruknął Klecha i odpalił szluga.

- To pierwsze zejście. Zaczęli strzelać jak leci. Jak Szkółka, a nie jak zawodowcy. Wszystko zleciało się do centrum. Idioci.

- Skoro wiesz, jak walczyć z mniejszą zwierzyną, to czemu im nie wytłumaczyłeś?

- Po pierwsze, bo nie pytali. Po drugie, bo i tak by nie posłuchali.

Koshe uśmiechnął się pod nosem.

- Zrobiłeś to po swojemu, czy się mylę? Żołnierz z Pierwszego pokręcił przecząco głową.

To ja poprosiłem o wsparcie od samobójców. Zarzuciłem cały teren na wschód od kościółka - wskazał na wieżę w oddali - wszystkim od dwudziestki wzwyż. Jest tego jakieś dwanaście sztuk.

- Oho, czyli się nie rozdrabniasz. - Natan zaśmiał się głośno.

- Jest ich za dużo na walkę. I nie ma na nią już czasu.

- Dobra. Ściągnij swoich na obrzeża. Powiedz, że zeszyły trzy drużyny od samobójców, bo inaczej nie posłuchają, głąby - mruknął znad papierosa. - My zaminujemy resztę. Czekać tu na nas.

Mężczyzna pokiwał głową z zadowoleniem. Klecha posłał Koshemu porozumiewawcze spojrzenie. Dawno nie mieli okazji tak się pobawić. Pobiegli przez park.

Miasteczko było nawet ładne. Niedużo ludzi. Sądząc po strzałach, Pierwsze oddalało się w stronę jeziora. Nie mieli chwili do stracenia, bo gdy zwierzyna się rozpełźnie, ciężko ją później zebrać do kupy i po jakimś czasie trzeba schodzić jeszcze raz. Klecha i Bura szli przy murach kamieniczek i co kilkanaście metrów zostawiali po granacie. Potem Natan pomógł jej wejść na dach, gdzie czekał Koshe. Nie tłumacząc się słowem, chwycili ją za obie ręce i dopiero przy trzecim dachu załapała rytm skoków. Nie pozwoliliby jej spaść, a wizja skoku z taką asekuracją, to czysta zabawa. Gdy sprowadzili ją po pionowej ścianie, nie mogła przestać się śmiać. Dochodząc do zdziwionej ekipy z Pierwszego, Koshe wyciągnął zza pazuchy detonator.

- Miało was być trzy drużyny - odezwał się mało zadowolony jeden z dowódców.

- I jest. - Wzruszyła ramionami.

Koshe nacisnął mały guziczek. Oparła się o Klechę, który z wdziękiem ulicznicy zaciągał się po raz kolejny.

- Szczęśliwego Nowego Roku - mruknął.

- I Wielkanocy - powiedziała zapatrzona w spektakl.

- I Bożego Narodzenia. - Koshe uśmiechnął się tajemniczo.

Setka walnęła, aż stężało powietrze. Był uradowany jak dziecko. Ktoś z tyłu podsumował wybuch, jako bezmyślność. Koshe odwrócił się wolno.

- Bezmyślność to walenie jak leci do Hien. Choć niewielkie i głupie, są bardzo niebezpieczne. Gdyby tak nie było, nie mielibyśmy u siebie ponad dziesięciu tysięcy tabliczek z imieniem i nazwiskiem. Następnym razem, gdy wpadniecie w gie, mądrze byłoby poprosić o pomoc od razu, tak żeby nie trzeba było ustawiać setki w centrum miasta. Radzę poczytać albo zapytać o sposób walki z drobnicą, bo ma kły i pazury. I ciągle jest głodna.

Wyciągnął telefon z kieszeni.

- Prince, zabierz nas. Za pół godziny mam spotkanie.

Portal najpierw przejął Pierwsze, potem ich. Na stole pośrodku zrzucali sprzęt. Na podeście dla centralek stali Prince, Szczur, dwóch technicznych i Borys, który w jednej ręce trzymał metalowy stół pod

nowe centrale. Przerzucali kable zajęci liczeniem i kolejnością. Na parapecie stał sprzęt grający, z którego leciała rytmiczna, ostra muzyka. Z szatni wyłonił się Rodman, który bez większego entuzjazmu ciągnął za sobą wiązkę kabla zaczytany w grubą instrukcję obsługi. Mamrotał pod nosem i liczył coś zawzięcie w pamięci.

Wyszli i oni. Zanosilo się na coś, bo grupka szesnastu mężczyzn przy stole była dziwnie milcząca i jakby stężała. Podeszła pod podest i patrzyła, jak Szczur instruuje młodego technicznego, w jakiej kolejności wpinać.

- Jak było? - rzucił Rodman znad drobnych liter i schematów.

- Normalnie - odpowiedziała nieskrępowana.

- Dla nienormalnej, wszystko co nienormalne, jest normalne.

Odwróciła się. To był jeden z dowódców. Zmrużyła oczy.

- Jesteście tu gośćmi i traktujemy was jak gości. Uważajcie więc na komentarze.

Wyluzuj, Bura. - Kolejny zaśmiał się złośliwie. - Jesteśmy nieprzyzwyczajeni do dziewczynek w drużynie. Może nauczysz nas czegoś jeszcze? Na przykład, jak robić sztuczne oddychanie albo jak użyć stanika zamiast wyrzutni.

Towarzystwo zarechotało.

- Spokojnie, chłopcy. Oni tu mają zadanie do wykonania. Oczywiście sobie z nim nie radzą, jak na przykład dzisiaj - odezwał się Kaztez oparty o poręcz naprzeciw drzwi do swojej dziupli. - Ale swoją drogą - cmoknął wymownie - ja jestem na urlopie, wy jesteście na urlopie. Nic mi do tego, co robicie w czasie wolnym.

Wszedł do siebie i zamknął za sobą drzwi. Rodman zrzucił z ramienia kable na posadzkę, a zamkniętą książkę odłożył obok wieży stereo. Podkreślił ją głośniejszym głosem. Koshe stanął obok byłego samobójcy.

- Wyjdz.

Tamten posłuchał bez słowa.

Koshe strzelił z karku i uśmiechnął się do Klechy.

- A już myślałam, że nie spotka mnie dzisiaj nic ciekawego, a tu proszę, dwie imprezy, jedna za drugą.

Prince odłożył lizaka i przerzucił nogi przez barierkę. Zdążyła wejść na pierwsze stopnie w kierunku pokoju kapitana. Myślała, że dziewczyny z zasady nie muszą brać udziału w zabawie. Myliła się. Ktoś uderzył ją pod kolanem i padła na kraty. Odwróciła się. To był młody dowódca drugiego oddziału.

- A ty gdzie?

- Odczep się ode mnie - syknęła. - Baw się z kim innym. - Złapała się za obolałe kolano.

Za nabuzowaną testosteronem sylwetką wrzało jak w ulu. Przez ułamek sekundy widziała Borysa, który bił się, jakby odganiał się od natrętnych owadów, a nie od ludzi. Nim zdążyła powiedzieć słowo, dowódca drugiego uderzył ją pięścią w brzuch. Gdy otworzyła oczy, widziała, jak wybałusza na nią oczy. Stał nieruchomo.

- Zabawa zabawą, ale posunąłeś się za daleko - usłyszała

głos Koshego. - Jest od ciebie dwa razy mniejsza i rozsądnie chciała stąd iść.

Jednym ruchem ręki, gdzieś z końca sali, machnął nim

- drzwi windy. Wgniotły się. Borys miotnął innymi trzema po raz ostatni.

- Oficjalnie dostaliście wpierdol, a teraz do swoich kwater - powiedział głos, którego przedtem nie słyszała.

Magik stał w drzwiach i sądząc po minie, zachwycony nie był.

- Natychmiast.

Albo cieszył się u nich szacunkiem, albo najnormalniej się go bali, bo zaczęli się zbierać. Magik podszedł do niej i wziął na ręce. Bez słowa zaniósł do zabiegówki i posadził na stole. Podciągnęła nogawkę. Obejrzał ranę.

- Dwa dni i się zagoi.

Wiedziała, że w jej przypadku potrwa to dwa tygodnie, ale uśmiechnęła się, przytakując. Koshe wszedł za nimi, ubierając się w biegu. Zerkał na zegarek. Już był spóźniony.

- Co tu robisz? - spytał Magika.

- Przyszli mi, żeby ich kontrolować. Ich mogę, ale was już nie.



- To oni zaczęli - odezwała się przez zaciśnięte zęby. - W ramach podziękowania za wyprowadzenie z bagna.

Magik uniósł brwi.

- Nie dziwi mnie to. - Polał ranę czymś, co zapieniło się  
Zmżyło krew.

- Jestem już spóźniony. Zdążyła go chwycić za rękaw.

- Zostań.

Popatrzył w szczere przez ułamek chwili oczy. Bała się. A może mu się wydawało? Magik nie przerwał zabawy w siostrę miłosierdzia. Koshe pokiwał głową i zadzwonił do sekretarza, by przeprosił w jego imieniu za spóźnienie. Porozmawiali jeszcze chwilę o tym, co się wydarzyło na ziemi, a potem odwiózł ją do Nory. Nie zapytał, o co jej chodziło. Wiedział, że chwila szczerości już minęła.

Zapowiadał się pierwszy od rozpoczęcia strajku wieczór, gdy wszyscy byli w domu. Koshe siedział na kanapie, jak zwykle rozmawiając przez telefon, Prince i Szczur pochylali się nad jakimiś technicznymi planami, a Klecha zamelinował się w składziku za kuchnią, który okazał się ciemnią. Była na niego zła, że nie powiedział jej o swoim hobby, ale szybko się wytłumaczył. Każdy z nich miał jakieś zajęcie. Prince grał na gitarze, Szczur uwielbiał samochody i ciągle składał jakieś starocie, on fotografuje, a Borys jest wolontariuszem i pomaga w poradni psychologicznej ludziom z traumą pourazową. Koshe nie jest lepszy, jego pasją jest projektowanie. Od kilku lat ślęczy nad projektem, który ma mu dać duży profit i zapewnić stały dochód. Ona też miała pasję, ale do tej pory się z nią kryła. W drzwiach zakolysała się pod ciężarem wielkiego pudła. Zatrzasnęła je nogą i niemal zabiła się o kanapę. Ostatkiem sił postawiła karton na poduszkach.

- Co przywlokłaś? - spytał Szczur, który z ołówkiem w zębach przewracał cienkie arkusze rysunków technicznych.

- Pieniądze. To znaczy nie dosłownie, ale będą z tego pieniądze. - Opadła obok pudła i czekała, aż puls jej się uspokoi.

- Czyli co? - zapytał Klecha i usiadł obok z aparatem w rękę.

- Moje skarby, zbierane dzielnie, odkąd odkryłam Internet.

Pablo podszedł i otworzył zmęczoną tekturę.

- Muzyka. - Uśmiechnął się szeroko. - Dużo muzyki.

Wyciągali płytę po płycie i oglądali tytuły.

- Nie znam połowy z tego. Ale rozstrzał, młoda. Od klasyki po metal - rzucił ze śmiechem Makaroniarz. - Co chcesz z tym zrobić?

Tydzień karnawału. Pogadałam z menedżerem knajpy, w której pracuję. Pomyślałam, że ostatni tydzień można przeznaczyć na zabawę. Od poniedziałku do soboty, potem dzień na kaca i poniedziałkowa inspekcja. Wejściówka nieduża, kilka drinków i piwo, dobre nagłośnienie, DJ. Przyszłyby i snoby z Miasta, ale ten buc mówi, że musi pogadać z właścicielem, więc czekam.

Klecha spojrzał błagalnie na Koshego. Nie chciał, by wiedziała, że to on kupił spelunę.

- Ja jestem właścicielem. Jeśli przygotujesz plakaty, zapewnisz ochronę i dopilnujesz, żeby buc nie żenił wódki, to proszę bardzo. Opłacisz prąd i spisziesz licznik wody przed i po. Rozliczymy się w przyszłym tygodniu. Może być?

Popatrzyła na niego ucieszona.

- Gdybyś nie był sobą, kiedy to mówisz, dałabym ci cmoka w czołko.

Wrócił do rozmowy przez telefon. Chwilę jeszcze słuchał tego po drugiej stronie słuchawki, aż w końcu zatrzasnęła kłapkę.

- Musimy pogadać.

Koshe bardzo rzadko przybierał taki ton. Cokolwiek to było, musiało być ważne. Szczur wsadził ołówek za ucho.

- Brakuje mi jednej hali. Wszystkie obok są w remoncie, poziomują nowe posadzki i stawiają nowy płot pod prądem, ale jednej wciąż brakuje. Tej.

Cisza była bardzo niewygodna. Bura spojrzała na nich z wyrzutem.

- A tyle razy prosiłam. Tyle razy zbywaliście mnie półsłówkami. Tyle razy wierciłam dziurę w brzuchu, a wy i tak nie powiedzieliście mi, kto jest właścicielem tej budy.

Wstała i pomaszerowała do kuchni. Szukała czegoś w szafkach.

- O co jej chodzi? - zdziwił się Koshe.

- Jest uparta jak oślica, więc po prostu weź pieniądze - mruknął Borys znad kosztorysu.

Przysła z plikiem banknotów.

- Obliczyłam średnią stawkę za mieszkanie w tej okolicy Odliczyłam od metrażu pokój takiej wielkości i dodałam średnią zużycia wody i prądu. Zbierałam co miesiąc, więc jest tego sporo.

Pieniądze wisiały w dłoni tuż nad jego głową. Była zła i gotowa do awantury, więc po prostu je wzięła.

- Od nikogo nigdy nie brałam pieniędzy.

- A tak, wiem. Stróżowali.

- Te pieniądze nie są mi do niczego potrzebne.

- To je przeznacz na jacuzzi albo saunę. Nie wezmę ich z powrotem. Gdy za miesiąc skończy się strajk i dożyję następnego, dostanę wypłatę. Jestem jeszcze winna kapitanowi za każde zakupy, które mi fundował, a zbierałam dopiero połowę, więc moja pierwsza wypłata pójdzie na długi.

- Jak to pierwsza wypłata? - zaskoczyła go tym.

- A tak to. Przecież bez licencji nie wciągnął mnie na listę płac.

Szczur podrapał się po grzywce.

- Ty durna babo, czemuś nic nie powiedziała? Zakupy dzielilibyśmy na trzech, nie na czterech.

- Mowy nie ma - fuknęła. - Mogę zmywać gary u buca okrągły tydzień, a nie dopuszczę do tego, żeby ktoś mnie utrzymywał. Czy to jest jasne? - Popatrzyła na nich.

- Jasne - odpowiedział Klecha. - Kto będzie twoim DJ-em?

- Pablo. Codziennie rano uła, uła, więc będzie miał szansę zaistnieć. - Posłała uśmiech Włochowi.

- No dobrze, a co z halą? - spytał Szczur. - Jesteśmy bezdomni, chciałbym zauważyć.

- Czy ten budynek pod siatką też jest twój, Koshe?

- Który?

- Ten w chaszczach, taki z parkingiem na ciężarówkę pod spodem.

- Tak. Co ci chodzi znowu po tej połowie mózgu?

- To już nie jesteśmy bezdomni. Wyskakiwać z kasy, panowie.

Nie skomentowali, ale ich miny jasno mówiły, że można się po niej wszystkiego spodziewać. Kwestionowanie pomysłu i tak niczego by nie dało.

Przez ostatni tydzień niewiele spała. W hangarze po fabryce, który przerobiony był na knajpę, bawilo się przeszło tysiąc osób każdego z sześciu wieczorów. Rasputin i Borys stali na bramce, a reszta Iwanów była w środku. Koshe zgodził się, by takie imprezy odbywały się co tydzień w sobotę, bo odzew był ogromny. Ludziom spodobał się ten pomysł, bo do tej pory pić było gdzie, ale potaćzyć już nie. Nawet oszczędnie pochwaliła ją i o mało nie puściła tacy z drinkami.

W dzień przed inspekcją miały miejsce wielkie porządki. Oficjalnie zakończyli strajk i odprawili kolegów po fachu, którzy odchodzili zmęczeni, niewyspani, bo ciągle ktoś gdzieś wiercił lub walił, oraz zdecydowanie chudsi. Widać nie smakowała im wykwintna kuchnia Trzeciego.

Gdy tylko winda się za nimi zamknęła, ludzie z Północnego obeszlą wszystkie sale po kolei. Centralki błyszcząły satynowanym metalem obudów. Ergonomiczna konsola, monitory plazmowe, nowe, szybsze oprogramowanie. Chłopcy się spisali. Posterunek został odmalowany i oznakowany zgodnie ze standardami, windy naprawione, a ich drzwi nie waliły już jak w oborze. Szli dalej. Szatnia była majstersztykiem. Wielki, przenośny, słomkowy parawan oddzielał część z szafkami od rekreacyjnej. Nowe szare szafki były większe i bardziej pakowne. Trzy rzędy równych drzwiczek i nowych ławek. Pachniało farbą i świeżym tynkiem. Klimatyzatory mruczały cicho, a ich nowe białe obudowy sugerowały wysoką cenę za wysoką jakość. Za parawanem - rozbudowana siłownia. Pod ścianą rzędy hantli, wykładzina w kolorze ciemnej zieleni w jaśniejsze cętki. Wyglądało to na kurort wypoczynkowy i w niczym nie przypominało obskurnej nory. Łaźnia zaparła im dech. Pod ścianą kabiny z niebieskimi matowymi drzwiczkami. Było ich dwanaście. Wysokie szyje zgarbionych pryszniców, gdzie każda końcówka miała możliwość regulacji z opcją hydromasażu. Białe kafelki, ozdobne wałki przy wykończeniach. Działające umywalki i dozowniki pełne mydła. Do tej pory każdy miał własne. Teraz stać ich było na zakupy. Sauna przytuliła się do kąta. Duża, drewniana konstrukcja. Pośrodku dumnie stało jacuzzi. Instrukcja pozwalała na piętnastu użytkowników jednocześnie. Metalowe półki na czyste ręczniki, kosze na brudne. Było jasno, żadna z lamp nie mrugała. Po prostu majstersztyk.

- Tylko nie wiedziałyśmy, czym zasłonić okna. Ci z budynku obok będą mieli radochę, bo wymieniliśmy szyby - powiedziała jedna z dziewczyn od Jekylla.

Koshe wyszedł poza zgromadzenie i chwilę przyglądał się oknom w pobliskim urzędzie. Stare okna w łazience zamalowane były farbą, a te dla odmiany były krystalicznie czyste. Zapalił światło w oczach i prowadził myśli niewidocznym piórem. Szkło zapiszczało cienko szlifowane na wzór witraża. Gdy skończył, wyglądało jak kieliszki z najszlachetniejszym ornamentem.

- No stary. To się nazywa sztuka. - Rodman pokręcił głową.

Poszli do sali treningowej. Wnętrze przypominało dojo, a nie salę do młócki. Dwie okrągłe purpurowe maty oddzielała kurtyna z flauszu. Na ziemi piętrzyły się szerokie poduchy z szarego płótna. Na ścianach kawałki w takim samym kolorze zwisały niczym sztandary. A wszystko to na wypolerowanej do połysku, ciemnej podłodze. Sierżant popukał w dechy.

- Wyciszone, zaimpregnowane, wypolerowane.

Koshe, mógłbyś to zrobić raz jeszcze? Nie wiedziałyśmy, co napisać na tych płótnach, ani czym.

Koshe uśmiechnął się pobłaźliwie. Do tej pory widziały w nim tylko nadzianego przystojniaka. Miło było dla odmiany być potraktowanym jak normalny człowiek. Szkło pisnęło raz jeszcze. Gdy skończył z szybami, wypalił wzory na płótnach. Miała problemy z czytaniem, więc dukąła półgłosem. Sylaby układały się w słowa. Męstwo. Odwaga. Praca. Honor. Nie wiedziała, jak to robi, ale nie pojawił się żaden dym, a wzory były czerwone, krwiste i pasowały do wystroju, jaki stworzyły dziewczyny.

Pewnych rzeczy wyjaśnić się nie da, na przykład tego, że największym, najbardziej oczekiwanym punktem programu okazał się kibel. Przywitany radośnie, ckliwie i rzewnie jak niewidziany od lat stary dobry przyjaciel. Był męski i damski, z czego do tej pory korzystali jedynie z damskiego, bo tylko tam działały ostatnie dwa niedobitki. Białe płytki i jasnoniebieskie ściany, kabiny z zamykanymi drzwiami. Rasputin był dumny z siebie i chłopaków.

- A teraz nasza niespodzianka - odezwał się Borys. - Zapraszamy wszystkich do holu.

- Przecież nie ma holu. Zastawiony jest od lat i wchodzimy bocznym wejściem - zdziwił się Kaztez.

- No to teraz już jest.

Poszli za nim do drzwi, które zwykle były zamknięte. Pośrodku stały cztery windy plecami do siebie. Odmalowane i działające. Podłoga była z marmuru, czego do tej pory nikt nie zauważył. Sklepienie miało kształt kopuły. Wysokie, smukłe. Budynek w większości wykorzystywano jako archiwum i dział kadr. Pokój jedyne księgowego wciśnięty był gdzieś w zapomnianym korytarzu. Każdy z dowódców miał swój mały pokój do pisania raportów, ale zwykle robili to gdzieś na kolanie, bo w środku było za zimno lub za ciemno. Kapitan obiecał się tym zająć; fundusze od ludzi z zewnątrz wciąż napływały.

Przed windami naprzeciw wielkich czerwonych drzwi zobaczyli działającą fontannę. Koshe zapalił światło w oczach po raz kolejny i na mlecznych szybach w drzwiach, przez które wpadało jedyne dzienne światło, wypalił symbole „Posterunek Północny”. Przez witraż wpadły promienie słońca i załamały się dziesiątkami smużek płynących każda w innym kierunku po samo sklepienie. Rozświetliły fontannę i perły wody, które niosła w górę.

- A gdyby to nie wystarczyło, mamy jeszcze oświetlenie sztuczne - mruknął Borys i włączył serię lamp.

To były stare uliczne latarnie stojące po bokach. Odrestaurowane, fikuśne i urokliwe.

- Znaleźliśmy je u technicznych zawałone jakimś złomem. Chyba stały tu dawniej, bo pasowały idealnie.

Kaztez powoli zszedł po marmurowych schodach i otworzył drzwi. Wychodziły na ruchliwą ulicę. Dwie donice z dużymi sztucznymi jukami stały na straży po obu stronach.

- Nie będą mieli wyjścia. Jesteśmy teraz na ich poziomie. Koniec z wyszydzeniem i ciągłymi pretensjami. Teraz muszą potraktować nas poważnie. Niech ktoś jutro weźmie kamerę i filmuje z ukrycia. Chcę oglądać ich głupie miny do końca życia.

Byli zmęczeni, ale przede wszystkim zadowoleni, gdy dochodzili do domu.

- Aż się boję. Prowadź, Bura - mruknął Prince.

Ich nowa kwatery nie była dalej niż poprzednia. Przystrzyżone krzaki okazały się nawet ładne. To był spory budynek. Jego jedna część wystawała nad duży parking. Otworzyła prowizoryczne blaszane drzwi.

- Parkować! - krzyknęła do Szczura, który ustawił swoją cud maszynę obok Różowej Landryny Princea.

Rozejrzeli się. Były tam wszystkie narzędzia i klamoty, których używali do napraw, z czego całą ścianę zajmowały rzeczy Szczura. Poprowadziła ich do wejścia i pchnęła drzwi.

Pomieszczenie było duże i wysokie. Kuchnia po prawej, pośrodku metalowe schody. Salon był na wprost. Ich kanapy i kilka innych foteli. W centralnym punkcie ława z łabędziem, a naprzeciwko niej plazma na ścianie. Światliki były wysoko na całej długości sufitu.

- No to na górę, do swoich gniazd rozkoszy. - Machnęła głową.

Wchodzili na piętro pełni obaw. Klecha rozpoznał plakat na drzwiach.

- To twój, Prince.

Makaroniarz nacisnął klamkę i wszedł do jasnego pokoju. Wszystko w nim było jak należy. Komoda, łóżko, szafa. Sprzęt grający, laptop na biurku i gitary wiszące na ścianach. W oknie szumiał klimatyzator.

- Jest OK. - Pokiwał głową. - Dokupiła dywanik w kształcie truskawki. - Zarechotał.

Obok był pokój Klechy. Jemu zafundowała szafę i łóżko. Kolejne drzwi ujawniły dwie puste ramy bez materaców i dwie metalowe skrzynie.

- Pokój Rona i Dakoty. Kiedy wrócą, będzie jak znalazł - skomentował Klecha.

Klitka za nim okazała się ciemnią. W rogu była łazienka, dużo większa od poprzedniej, i pokój Szczura. Młody nacisnął klamkę.

I przez dłuższą chwilę nie zrobił ani kroku. Prince i Klecha zamarli. Szczur nikomu nie pozwalał wchodzić do swojego pokoju. Nawet gdy pracowali nad czymś wspólnie, mieli zakaz wchodzenia. Nie wstydził się swoich rzeczy zbieranych przez lata i upychanych pod sam sufit. On po prostu dobrze się czuł tylko otoczony śmieciami, w których się wychowywał. Zaslaniał okna, blokował drzwi. Prince wielokrotnie powtarzał, że Młody jest genialny, o wiele mądrzejszy od niego. Razem konstruowali cuda, ale zwykle to Szczur wpadał na coś w ostatniej chwili i decydował o ostatecznym kształcie projektu. Umiał tak wiele poza jednym. Nie dawał sobie rady z przeszłością. A teraz stali za jego plecami i patrzyli na uporządkowany świat w jego burdelu. Cały był w pudłach podpisanych czarnym flamastrem. Lutownice, przyrządy kreślarskie, ubrania, sprzęt w częściach, sprzęt w całości, kable, młotki i inne narzędzia, świerszczyki, gry i konsole oraz wiele, wiele innych. Weszła za nim do pokoju i podała mu piwo.

- Zebranie tego zajęło mi dwa dni. - Kopnęła podłużny karton. - Tu masz metalowy stelaż. Sam sobie go złożysz i powykładasz swoje skarby.

Stali chwilę na bezdechu. Nagle Szczur spokojnie uderzył szyjką butelki o jej butelkę.

- W porządku, siostra.

Odetchnęli.

Borys, wchodząc, trzasnął drzwiami na dole.

- Ale mojego dzieła oczywiście nikt nie zauważył? - obruszył się, pokazując na kominek w rogu pokoju.

Podeszli, by obejrzeć cudo kamieniarskiej roboty. Kominek stał we wnęce między drzwiami wejściowymi a ścianą za kuchnią. Klecha dopiero teraz zobaczył swoje zdjęcia na ścianach.

- Wyszperałam je w twoim pudle. Masz talent.

Były tam fotki niemal od początku ich znajomości. Szczur szperający w aucie, kiedy zsunęły mu się spodnie, Prince w koszuli z żabotem i kapeluszu, Maria w hipisowskim wdzianku i Koshe z siostrą na rękach, gdy była jeszcze dzieckiem. Borys ze swoimi pociechami i na zdjęciu ślubnym z Jane. Byli tu wszyscy ich znajomi. Bliżsi i dalsi. Rozpoznała Wodza i Rona. Wódz na tych zdjęciach wydawał się wesółkiem, Ron zaś oazą spokoju i równowagi. Natan fotografował ich miny dla uchwycenia oczywistego kontrastu. Chwilę stali tak w ciszy.

- Jak ten czas szybko płynie - odezwał się zamyślony Prince.

- Za szybko - usłyszeli smutne podsumowanie śmiertelnika.

\*\*\*

Inspektorzy byli wściekli. Gdy wyszli z szatni i stanęli przed półpięciem z nowymi centralkami, wiadomo było, że zadowoleni nie są. Chodził z nimi sekretarz, ciągnąc za sobą torbę dokumentów, a w niej zapewne dowody na to, jak są nieużyteczni, i oczywiście plan przejęcia Posterunków. Północny zwykle odwiedzano na końcu, bo szefowie lubili ich poniżyć względem tego, co zobaczyli w poprzednich. Tam też stały nowe centrale. Odremontowali niemal wszystko i Kaztez dokładnie o tym wiedział. Pod sobą miał jeszcze Wschodni i im również robota paliła się w rękach. Ale to, czego dokonali tutaj, wszystko rozpoczęło.

Stali rzędami w sali odpraw. Nowe mundury, kurtki, hełmy z osłonami na oczy, nowa broń w kaburach. Jak spod igły. Zdyscyplinowani, profesjonalni, oddani sprawie.

- Słyszałem, że to dwójka inżynierów od was zaprojektowała i zbudowała prototyp centrali - mruknął zaczepnie jeden z wyższych rangą.

- Prototyp to oni mieli w domu. Te tutaj to jak najbardziej sprawne maszyny i będziemy z nich korzystać. Produkcja ruszyła tydzień temu i na sprzedaż czekają pozostałe.

- A co w nich tak rewelacyjnego? Oprócz ładnego wyglądu, rzecz jasna.

- O dwa kilometry większy zasięg, większa liczba podpiętych, bieżąca obsługa wszystkich monitorów bez potrzeby ciągłej zmiany ustawień radarów. Jest szybsza i dokładniejsza, jeśli chodzi o lokalizację. Na testach wyszło zaledwie pół metra błędu. Poza tym ustawiona jest tak, by w razie potrzeby jedna obsłużyła wszystkich, bez konieczności zmiany operatora.

Szlag ich mało nie trafił, ale przełknęli przewagę nad ich awaryjną kupą złomu ze statku kosmicznego. Kaztez zaprosił sztabowców do siebie. Gdy weszli, jeden z nich zaklął mało sympatycznie. Sierżant zafundował mu podłogę, a Koshe biurko i eleganckie fotele. Wyburzyli stary magazynek obok i powiększyli wnękę, w której mógł swobodnie pracować. Pod przeciwległą ścianą stała duża skórzana kanapa i stoliczek do kawy. Obok niej zabytkowy barek, również prezent od Koshego. Posiadali gdzieś bądź i czekali na werdykt najważniejszego.

- Wszystko pięknie, Kaztez. Postarali się i nie myślcie, że tego nie doceniamy, ale to jeszcze nie wszystko. Macie za mało ludzi, a nie stać was na większą obsadę.

- Mylisz się. Stać nas. Nawet na więcej niż trzy grupy, ale zaczniemy od trzech. Archiwum zostało przeniesione i wynajmujemy tu lokale. To ładny, użytkowy budynek. Wkoło same urzędy.

- Tak. A kto je od was wynajął?

- Na początek Policja Miejska. Ich stary zatechły gmach się wali. A u nas trzy piętra są tylko dla nich. Nie mówię tu o zwykłych urzędnikach, ale o centrum dowodzenia i monitoringu. I tego z Miasta, i tego z dołu. Ich sprzęt wniosą tu lada dzień, jeszcze tylko trzeba odmalować te hale, ale moi ludzie już się tym zajmują. Poza tym wyremontowaliśmy piętra dla ludzi i dobrze o tym wiecie. Możemy przyjąć nie trzy, ale pięć drużyn. I przyjmujemy, kiedy tylko skończą się ostatnie treningi Szkółki. Zgłosiło się już dwóch doświadczonych dowódców.

- A co powiesz na to? - Szef delegacji rzucił mu na stół zwinięty w rurkę kalendarz.

Kaztez odwinął go i uśmiechnął się na widok Rodmana upozowanego na Bonda. Mieli chłopcy wyobraźnię.

- Kalendarz. Każda grupa zrobiła sobie taki.

- To wiem. A co on trzyma w ręku? - Wydał wargi.

- Nową broń Koshego. Ale o tym lepiej opowie on sam.

Wyszedł z biura i machnął na niego ręką. Weszli i zamknęli za sobą drzwi.

- Witam. Czym mogę panom służyć?

- Ta broń jest twoja?

- Tak.

- To czemu nic nie wiemy o przetargu na nią?

Koshe zaśmiał się mało dyskretnie.

- Ponieważ nie było przetargu. Odkupiłem patent zgodnie z prawem. Mój prawnik może wam przesłać kopię umowy. Patent obejmuje broń świetlną, czyli granaty, które już produkuję, a ponieważ ta też jest świetlna, więc mam do niej wszelkie prawa. Skonstruowali ją moi ludzie, więc moi ludzie dostali ją jako pierwsi. W ramach gwarancji usterki będą usuwane jeszcze przez rok, ale tych jest mało. Kosztorys zakupu również może wam przesłać mój prawnik.

- Jesteś Invocato. Po co się bawisz w takie interesy, skoro masz i pieniądze, i władzę? Jesteś szlachcicem z urodzenia. Po co tkwisz tutaj, w górninie bez przyszłości?

W końcu ktoś pękł i zadał to pytanie bezpośrednio. Do tej pory był tylko bogaty i wpływowy. Teraz stał się niewygodny. Spojrzał przez szybę na dół, na grupkę w rogu sali. Klecha przeżuwał wykałaczkę, a Borys poprawiał mundur na kościstych ramionach chłopaka z grzywką.

- Bo tu mi się nie nudzi. Poza tym jest tak, jak powiedziałeś. Mam wszystko, więc to taki mój kaprys. Broń i centralki można zakupić jedynie hurtowo. Czas realizacji do miesiąca. Uprzedzam, że jeśli znaję w mojej fabryce choć jednego szpiega, nie będę pytał, dla kogo węszyć.

- Umiesz robić interesy. Zupełnie jak twój ojciec. Twardo i bezpośrednio.

Koshe zacisnął szczękę. Jedyne, czego nienawidził do żywego, to porównań do ojca.

- Może i jestem do niego podobny. Mój ojciec również był lojalny. Czy to wszystko?

Poprosilibyśmy o tę kopię.

- Dostaniecie ją jutro. Do widzenia.

Wyszedł, a Kaztez rozsiadł się w swoim nowym fotelu i założył ręce za głowę.

Czekali na niego pod schodami.

- Słuchajcie, ludzie - zagwizdał Prince przy centralkach. - Zapraszamy jutro na balety. W naszej nowej Norze.

- Wyprowadziliście się z Nory? - zdziwił się Rasputin.

- Do innej Nory.

- Na podkute łapy psa piekielnego. Albo się starzeję, albo właśnie kończy się jakaś epoka.

## Zmiany

Pierwsza akcja po ponad miesiącu była szybka i szalona. Biegali po niedużej mieścinie i dla zabawy tłukli to, co obejmował radar. Byli już przy ostatniej Ośmiornicy, gdy Koshe, który cały dzień ciągał za sobą Burą, wszedł do jednego z mieszkańek na poddaszu i usiadł na łóżku. Weszła za nim.

- Na co czekasz?

- Klecha ją sprzątnął. Wylazła na dach.

- No i?

- Czekamy na kolejną.

Odruchowo odsunęła się pod ścianę, bo do pokoju weszła młoda dziewczyna zawinięta w ręcznik.

- Ustawcie się. Zaraz się zbiegną.

- Kto ma się zbiec?

- Głodne maskary, a kto inny?

Nie patrzył na dziewczynę. Wyciągnęła z szuflady przy łóżku żyletkę i usiadła obok niego. Drżały jej ręce.

- Przygotuj się.

- Co ona robi?

- Będzie się cięła, więc zaraz się zaczniesz jatkan.

- No to mów do niej!

Popatrzył na nią osłupiały.

- Co się na mnie tak głupio patrzysz? Od czego ty jesteś

Invocato? Po cholere ci twoja moc, jeśli nawet jednej duszy nie umiesz powstrzymać?

- Bura, to nie działa - odezwał się smutno Prince. - Oni potrafią wpływać na wszystko z wyjątkiem dusz.

- Nie pierdziel mi tu. Mów do niej. Spraw, żeby cię usłyszała. Tyle chyba umiesz.

- To się nie udaje - odpowiedział jej pewny swoich słów.

Rozejrzała się po pokoju. Na komodzie leżały zakupy. Wyjęła z torby małe, związane ze sobą sznurowadłami buciki dla niemowlaka.

- Czy to według ciebie nie jest wystarczający powód, żeby spróbować?

Długo nie odrywał oczu od machających się w jej palcach miniaturowych trampek.

- Stań przy oknie.

Stanęła do niego plecami. Gdzieś w mieście słyszała wizg Ośmiornic. Szczur zaczął strzelać. Koshe nachylił się wprost do ucha dziewczyny i mówił coś bardzo cicho. Nie słyszała żadnego z jego słów. Pod koniec monologu obudził ją dźwięk żyletki upadającej na podłogę. Dziewczyna poprawiła mokre włosy i wytarła twarz. Wstała i zaczęła się ubierać. Koshe wyszedł, a ona za nim.

- Udało ci się.

- Nie. Czysty przypadek. To nie działa.

- Ale teraz zadziało.

- Nie zadziało. Jedynie odwlekło w czasie. - Odwrócił się do niej u szczytu schodów na klatce schodowej. - Jeśli człowiek raz pomyśli o samobójstwie, ta myśl towarzyszyć mu będzie do końca życia.

- Mało znasz ludzi. Prawie każdy z nas czasami myśli jak lekko by to było, zostawić wszystko za sobą i po prostu odejść. Niemal każdy nastolatek, każda niewyspana matka, każdy zapracowany ojciec. Ale tylko w niektórych taka myśl dojrzewa. Nazwij to jak chcesz. Ziarnem zła, samotnością czy słabością charakteru. Gdyby prawdą było to, co mówisz, połowy nas nie byłoby na Ziemi, bo budowalibyśmy ci cegielnię.

Impreza zaczęła się rozkręcać. Rasputin wniósł duży szklany antał z kranem.

- Tylko mi tego nie mieszać z sokiem. To nie ma dostarczać witamin, ale odkażać organizm od środka.  
- Walnął się w szerokie bary.

Kapitana przywitani oklaskami, a dostał ich jeszcze więcej, gdy powiedział o rewelacjach z inspekcji. Podszedł do niej, gdy układała koreczki z sera na tacy i objął bez większego wstydu. Miała na sobie sukienkę. Zwyczajna i prosta, ale jemu najwyraźniej się podobała. Szeptał do niej coś z wyrazem pełni szczęścia na twarzy. Koshe stał oparty o poręcz fotela i sączył wódkę z lodem. Dokładnie usłyszał tylko kilka słów.

- ...Nawet nie marzyłem, że mam jeszcze szansę. Dom, żona, dzieci, ale los zesłał mi ciebie. Kocham cię, wiesz?

- Ja ciebie też. - Cmoknęła go w policzek i zawisa w powietrzu, wtulając się w jego szyję.

Gdy odeszła, Kaztez podszedł do byłego ucznia.

- Jest dla ciebie za młoda.

- Dziwne, że tak to ująłeś. Powinieneś powiedzieć, że jestem dla niej za stary.

- Na jedno wychodzi. Już się z tym nie kryjesz.

- Nie, ale nie ma pieczętki własności na czole. Jeśli uważasz, że nie jestem dla niej odpowiedni, to podsuń jej kogoś odpowiedniejszego. Tylko żeby nie był głupi. To by mnie obrażało.

Klecha golił się i na gumowej kaczce dla odmiany spoczywał niezapalony papieros. Weszła do łazienki, bo drzwi były rozwalone na oścież. Wskoczyła na pralkę i wyjęła z włosów ołówek, którym często spinała kok.

Czego potrzebujesz, bo idę wieczorem na zakupy?

Oplukał maszynkę po ostatnim pociągnięciu.

- Sypiasz z nim?

Wycierał twarz zupełnie nieskrępowany pytaniem. W lusterku za sobą widział jej purpurowe policzki.

- A więc nie. Nie dziwi mnie to. On był już stary, kiedy ja byłem dzieckiem.

- Dlaczego o to pytasz?

Odwiesił ręcznik i odłożył krem do golenia na swoje miejsce obok fikuśnego flakonu perfum Princea.

- Zrobię to tylko raz, a potem wszystko wróci do stanu sprzed tej rozmowy. Lubię spać obok ciebie i będziesz to mogła robić bez obaw.

Podszedł i poczuła intensywny zapach wody po goleniu. Oparł nogę o kosz z brudną bielizną i przyciągnął jej biodra bliżej siebie. Z jej miny wynikało, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi. Dopiero, gdy wziął jej twarz w dłonie, szerzej otworzyła oczy. Pocałunek trwał jakiś czas. Gdy po wszystkim spojrział na nią, przywitało go maksymalne osłupienie. Uśmiechnął się pobłaźliwie, znajomo.

- Czy stało się coś? - spytał.

- Nie.

- Właśnie. Potrzebuję kawy. Kończy się ta w słoiku, a ja lubię tę w niebieskim opakowaniu.

Podał jej listę i ołówek, bo wypadły jej z rąk. Odchrząknęła.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Tak. Kup miód. Budyń lepiej z nim smakuje. Nauczyłaś mnie jeść, to teraz masz.

- To kupię jeszcze syrop malinowy. Też ci powinien smakować.

Ledwo mówiła i przez moment bał się, że przeliczył się z jej oceną. Rozeszli się każde do swoich zajęć, z tym że ona niemal nie zginając kolan.

Wieczorem leżał w łóżku i myślał nad tym, czy to, co zrobił, stało się w odpowiednim momencie. Zerknął na komodę i zdjęcie w pustej dotąd ramce. Było pierwsze w kalendarzu ich drużyny. Koshe i on ustawieni po obu stronach Borysa. Obok Koshego Prince, a obok niego Szczur. Bura była na tyle lekka i niewielka, że siedziała na bazooce, którą za oba końce trzymał olbrzym. Nikt się nigdy nie dowie, że utrzymanie powagi

przy robieniu tej fotki było niewiarygodnie trudne. Szczurowi zaciął się jego egzozłom, Koshemu non stop dzwonił telefon, a Prince co chwilę zmieniał pozę.

A ona. Ona łaskotała Borysa włosami. Kilka razy źle ustawił wyzwalacz i zanim dobiegł, każdy miał głupią minę. Zachował wszystkie te zdjęcia. Czasami łapał się na tym, że robi je, by mu nic nie umknęło. Na prawie każdym się śmiali. To były dobre wspomnienia. Warte zapamiętania.

Do pokoju wszedł Prince i usiadł naprzeciw niego z rękami w kieszeniach. Szczur zastygł w progu z miną znudzonego wykidajły.

- I jak? Zrobiłeś, jak ci koledzy radzili, czy dalej wzdychasz do landrynek na poduszce?

- Nie ma jej jeszcze - uspokoił go Szczur. - Wróci dziś później.

Na chwilę przestał się gapić w martwy punkt na ścianie.

- Jest zielona jak młoda trawa. Równie dobrze mógłbym całować siostrę.

- Aż tak? - Prince podniósł brew. - A się nie wydaje.

- Może i jest pyskata, i wie o co chodzi, ale... ja niczego jej uczył nie będę. Spieprzyłbym to. Po prostu bym to spieprzył. A nie chcę. Lubię landrynki.

Borys wszedł do ich salonu i usiadł pośród leniwie rozwalonego towarzystwa. Czytali gazety, każdy po swoim kawałku, więc wziął swoją część ze stolika. Bura biegła po domu jak w opętańczym tańcu.

- Co jej jest? - spytał, nie mogąc nadążyć za znikającym punktem.

- Dałem jej kawy - odezwał się Klecha. - Ma jakieś egzaminy i ślęczy po nocach. Zwykle nie pije, więc mamy Strusia Pędziwiatra. Jeszcze trochę i zapali podłogę.

- Kawy, herbaty, lemoniady? Gorąco dziś - wydyszała, gdy na moment zatrzymała się obok.

- Lemoniady - poprosił Borys, uśmiechając się szeroko. - Fajnie. Dodajecie pilota do zestawu?

Wszedł Koshe i przez chwilę słuchał monologu po drugiej stronie telefonu. W końcu klapka zasunęła się z trzaskiem.

- Musimy dodrukować co poniektóre egzemplarze.

- Tak, a czyje? - rzuciła ciekawie, gdy stawiała dzbanek i szklanki.

- Mój, twój i jeszcze kilku osób. - Sięgnął po picie.

- Chyba nasz.

- Nie. Mój i twój.

- Ale ja nie robiłam sobie kalendarza. Kto by go chciał kupić? - Zaśmiała się kofeinowym spazmem.

Dopiero teraz spostrzegł sztywną minę Klechy. Ona też ją zauważyła.

- Pokaż mi go.

Gotowa do batalii czekała na to, co jej włożył w rękę. Na okładce było zbliżenie jej twarzy. Ujęcie z boku. Musiała być po kąpielii, bo z włosów kapała woda. W sumie nie było takie złe, tylko według niej modelka do bani. Dalej było już bardziej artystycznie i odważnie. Musiał robić zdjęcia z ukrycia, bo nigdy go nie widziała z aparatem. W jego dawnym pokoju, w letniej sukience, gdy uczyła się i ślęczała nad książkami. Zdjęcie robione pod światło, gdzie widać jedynie kontur twarzy i rozbliski włosów. Kolejne ujęcie, gdy słucha muzyki w kosmicznych słuchawkach, które pożyczyła od Prince'a. Podglądał ją, kiedy myślała, że nikt nie patrzy. Przy trzeciej fotce zrobiła się purpurowa. Zdjęcie przedstawiało ją stojącą na parapecie. Długi kabel od słuchawek podciągnął jej ulubioną, rozciągniętą koszulę. Włosy nieczesane po obudzeniu, ciężkie buty do połowy łydki zamiast kapci. Stała pod słońce i widać jej było o wiele za dużo. Zamknęła go zamazyście.

- Natan, ja tu prawie goła jestem - syknęła.

- Co chcesz, fajne zdjęcia - dobił ją nieco poruszony jej wdziękami Szczur i tym samym wbił ostatni gwóźdź do trumny.

- Chryste. - Zamknęła oczy. - Ile tego sprzedaliście?

Koshe zaśmiał się.

- Nie chcesz wiedzieć. Powiem tylko, że doganiasz mnie na ostatniej prostej, a ja już dawno przegoniłem twój zakładany wynik sprzed miesiąca.

- O raj... - Zasłoniła oczy.

- Może i ja wiszę w niemal każdej dziewczęcej sypialni, ale ty, mała, wisisz w prawie każdej męskiej. - Cmoknął wymownie. - Różnicy między chłopcem a mężczyzną tłumaczyć ci chyba nie muszę.

To, że stała się rozpoznawana na ulicach, było nie do zniesienia. Zaczynało się robić niebezpieczne. W szkole wylądowała u dyrektora i interweniować musiał kapitan. Szum nie ustawał. Każda knajpa



prześcigała się w ilości zdjęć wiszących na ścianach. Byli niemal jak tapeta. Dzieciaki uczyły się składów drużyn na pamięć, łącznie z wynikami i rodzajem broni. Przebili popularnością Pokemony. Jej pomysł był strzałem w dziesiątkę. Wszyscy im się kłaniali i zaczęli traktować jak ludzi, a nie jak wyrzutków, ale były też minusy. Pewnego dnia na przykład, odwiedził ich dziwny gość.

- Szukam jej. - Pokazał palcem na zdjęcie z okładki.
- W środku - odpowiedział Szczur i kiwnął głową na drzwi wejściowe.

Był w garażu i po raz dziesiąty rozkręcał i wycierał wielkie metalowe coś. Mężczyzna podziękował i wszedł do środka. W dużej sali nie zastał nikogo prócz krzątającej się po kuchni dziewczyny. Była niższa, niż wydawała się na zdjęciach i bardziej żywa, niż spokój ujęty na fotografii. Rozkładała zakupy do szafek i zamarła z groszkiem konserwowym w ręku.

- O co chodzi? Bo jeśli szuka pan chłopaków, to jedynie Szczur, to znaczy Robin, jest w garażu.

Pan. Chyba musi się ogolić. Kiedy młoda dziewczyna zwraca się do niego per pan, to coś jest na rzeczy. Swoją drogą było to przywitanie, jakiego się nie spodziewał. Ostatnim razem, gdy werbował człowieka, strzelano do niego. Jeszcze przedtem musiał bić się na gołe pięści z żylastym pokerzystą, by mu udowodnić, że nadaje się na jego dowódcę. A tu nagle został przywitany grzecznie tak znienacka, że chyba wolałby zadymioną brudną spelunę ze szczurem przybitym nad barem.

Patrzyła na niego ciekawymi oczami. Uśmiechnął się kulturalnie.

- Dzień dobry. Nie szukam chłopaków, a dziewczyny. Niejakiej Burej.

Odstawiła groszek.

- To ja. Odkąd wydrukowali te przekłete kalendarze, zna mnie całe Miasto. Lepiej niż bym chciała. - Odwróciła się do ściany. - Zabiję go.

- Chyba się nie rozumiemy. - Pokręcił głową. - Nazywam się Lucjusz Wiera i przeprowadziłem się z jednostką do waszego budynku. Zajmujemy piętro pod policją.

- Przepraszam. Myślałam, że... Nieważne. - Machnęła ręką. - Co mogę dla pana zrobić?

Potańczał się bo brodzie, która znacznie urosła mu od ostatniego golenia. U fryzjera też dawno nie był. Tak. Wygląda jak stary pierdziel, więc mówi do niego jak do starego przyka.

- Powiem bez ogródek, o co mi chodzi. Widziałem film z egzaminu i kilka poprzednich. Jesteś niezwykle...

- Szalona.

.. odważna. A co mnie interesuje najbardziej, dobrze strzelasz. Zestrzelić z odległości dwudziestu pięciu metrów obiekt w ruchu z broni krótkiej, nie jest wcale tak łatwo. Móć wię tu o akcji z Sierżantem. Miałas tylko jedną szansę i trafiłaś. Z twoim podejściem do tematu możesz być jeszcze lepsza. Prowadzę drużynę snajperów i między akcjami douczam kilka osób. Teraz jestem wolny i chciałbym poduczyć ciebie. Strzelać nauczy się nawet małpa. Trafiać w obręb tarczy metr na metr byle głupek, ale strzelać celnie, gdy trzeba zimnej krwi i logiki, potrafią nieliczni. Co powiesz na moją propozycję? Możemy oczywiście ustalić grafik tak, by nie kolidował ze szkołą i pracą. Również tą w knajpie.

Patrzyła na niego, ale jakby jej nie było.

- Dziękuję za propozycję, ale ja raczej nie zostanę tu długo, więc powinien pan uczyć kogoś, kto zdoła wykorzystać wszystkie swoje umiejętności w przyszłości. Myślę, że po- będę tu może pięć, może dziesięć lat. Może nawet krócej. Nieuczciwe byłoby zabierać panu czas. Lepiej niech pan go spożytkuje inaczej.

Nie wydawał się zniechęcony odmową.

- Rozumiem. Jeśli jednak zmienisz zdanie, przyjdź jutro o szesnastej do naszego biura. Zwykle po zakończeniu akcji mam godzinę na papiery i kawę w spokoju.

Pokiwała głową.

- Trafię do drzwi.

Nazajutrz skończyli jak zwykle o piętnastej. Usiadła przy szafkach i wiązała buty, omijając piskliwego Szczura, który prowadził z Klechą wojnę na skręcone ręczniki.

- Kim są ludzie, którzy zajęli piętro pod policją? - spytała Saszę, jednego od Rasputina.

- A. Pytasz o nie byle kogo. To coś w rodzaju jednostki specjalnej tyle że snajperów. - Naciągnął podkoszulek i bez skrupowania wkładał go w rozpięte spodnie. - Cezar dobiera sobie tylko najlepszych, a chętnych nie brakuje.

- Cezar?

Lucjusz Cezar. Taką ma ksywę. Teraz jest ich sześciu.

Połowa z nas chciała z nim pracować. Co lepsi składają papiery, ale selekcja jest ostra.

- A komuś proponował pracę osobiście?

Sasza usiadł naprzeciw niej i wkładał buty. Rozejrzył się dyskretnie dokoła.

- Tobie proponował, prawda?

Spuściła oczy.

- Oj, Bura. Powiedz mi, co ty tu jeszcze robisz?

- Proszę, nie mów nikomu.

Zasymulował zamykanie ust i wyrzucanie klucza za siebie.

- Dzięki.

Wyszła na korytarz i weszła do windy. Jechał z nią ciekawy mężczyzna w kapeluszu. Zamiast barwnego piórka za otok włożony miał wachlarz z karety asów. Wysiedli, o dziwo, na tym samym piętrze. Rozejrzała się po pustym korytarzu.

- Przepraszam. Szukam biura lub gabinetu Lucjusza Wiery.

Obejrzał ją sobie z politowaniem.

- Właśnie tam idę.

Poszła za nim do końca korytarza. Drzwi były otwarte. W środku czterech mężczyzn. Siedzieli za stołem i mazali ołówkami po planszach. Sądząc po rysunkach, opracowywali plan akcji. Ten w kapeluszu usiadł przy nich i obserwował, jak podchodzi do biurka.

- Podanie o przyjęcie proszę położyć tu. - Palec wskazał stertę sfatygowanych papierów. - Gdy będę zainteresowany, zastanowię się, co dalej.

- Nie wiedziałam, że muszę przyjść z czymś poza przeprosinami.

Podniósł głowę i wstał natychmiast.

- To ty? Wybacz. Nie spojrzałem.

Towarzystwo przy stole oddawało się udawanej kontemplacji swoich gryzmołów.

Przepraszam - zaczęła. - Jestem tu od niedawna i nie wiedziałam, kim pan jest. Zmieniłam zdanie. Jeśli chce mi pan pomóc doszkolić się w strzelaniu, chętnie skorzystam.

- Litości.

- Słucham?

- Jeśli jeszcze raz zwrócisz się do mnie per pan, kupię sobie kapcie.

Zaśmiała się.

- Lucjusz lub Cezar, lub Lucyfer. Jak wolisz. - Podał jej rękę.

- Lilith lub zwyczajnie Bura.

Miał młodą twarz, która prosiła się o kontakt z maszynką do golenia. Spod strzechy gęstej nieprzyciętej grzywki błyskały wesołe zielone oczy. Właściwie każdy z nich, nie licząc Szczura, Jekylla i Sierżanta, wyglądał jak rasowy chłop. Przywykła i do nagich, umięśnionych torsów, i do silnych uścisków dłoni. Ten w niczym nie odbiegał od innych, których tu spotkała.

- Dzisiaj nie dam rady się stąd wyrwać. Podczas przeprowadzki doszukałem się kilku niezłałatwionych spraw i muszę się z nimi do jutra uporać. - Wziął do ręki kartkę papieru, która leżała pośród innych. - Z tego co mam tu napisane, jesteś wolna od poniedziałku do czwartku między piętnastą a dwudziestą.

- Nie mam mamy na karku. Może być do dwudziestej drugiej.

- Mamy może nie, ale szkoła wymaga czasu.

- Masz dobre źródła.

- Taka praca.

- Więc kiedy i o której? Nie będę ci zawracać dłuższej głowy. - Rozejrzała się po sali. Pod ścianami stały regały, a na nich mnóstwo teczek i tub z planami. - Praca cezara również wymaga czasu. - Uśmiechnęła się.

- We wtorki i czwartki. Pasuje ci?

- Tak.

- Spotkamy się tutaj.

- Dobrze. Do zobaczenia.

Wyszła i słyszeli, jak w pustym korytarzu zasuwały się drzwi windy. Kareta bujał się nonszalancko na krześle. Wiera podszedł i wpisał coś w grafik rozwieszony na ścianie.

- Będziesz ją uczył? - spytał jeden z jego ludzi.

- Powiedziałem, że zapytam i zgodziła się.

- To chuchro? - bąknął Kareta. - Stary, zaniżysz statystykę. Ona jeszcze do góry sika.

- Gdzie ty byłeś, kiedy Północny miał egzamin? - spytał go rudzielec, który do tej pory siedział z głową ukrytą w ramionach opartych o stół.
- Jak to gdzie? Wygrywałem drugą wypłatę. Cztery rozdania z bogatym ciulem z banku.
- To była Bura. Kojarzysz? Dzieciak, który zabił Iskrę.
- To ona? Wydawała się starsza. Będziesz ją szkolił?
- Tak. Nie umawiajcie nikogo na wtorek i czwartek. - Wrócił do biurka.
- Czy ona przypadkiem nie jest w drużynie Koshego? - chciał wiedzieć Rudy.
- Jest. A co to ma do rzeczy?
- Nic. - Odwrócił się do stołu. - Będą kłopoty - zapewnił, ale jedynie szeptem.

Była sobota, gdy obudziły ich syreny alarmowe.

- O co chodzi? - spytała Princea, który zajrzał do kuchni.
  - Ktoś nie żyje. Koshe zwykle ma informacje pierwszy, więc pewnie zaraz zadzwoni.
- Za chwilę zesłała reszta domowników i gdy syreny ucichły, Klecha odebrał telefon. Trwał chwilę w całkowitym osłupieniu.

- Nie żyje cała drużyna Magika. Wszyscy.

To wydawało się niemożliwe. Magik i jego ludzie byli jednymi z najlepszych. Nie pamiętała ich imion, ale rozmawiała i żartowała z każdym. Bawili się u nich w Koniunkcję. No i Magik był przecież z Marią.

Łza pocięła jej po policzku.

Nie spali tej nocy. Za chwilę zjechali się do nich wszyscy z Północnego. W ciszy wzniesli toast za życie i bohaterską śmierć kolegów. Na te słowa Rasputin zaśmiał się gorzko i opadł obok niej na zieloną kanapę.

- Tutaj sami bohaterowie i upadli idealisci.

Ucichło. Zanosilo się na jedną z ciekawych opowieści.

- Miałem trzynaście lat, gdy tu trafiłem. Mateczka Rosja szeroka i długa, a ja mieszkałem w samym jej środku. To były czasy i biedne, i szczęśliwe. Byle do wiosny. Byle do żniw. Pęta. Koszula na grzbiecie i portki do kostek. Mycka na pustej głowie. Spałem na piecu, za ścianą krowa. Głina i słoma zamiast cegły i betonu. Dawne to czasy. Takie domy to już tylko w skansenach, w muzeach. A ja tak żyłem. Bieda była taka, że przez koszulę można mi było policzyć żebra. Jak trafiłeś w polewce kartofla, to ci się poszczęściło.

Słuchali wyznania, a takie były rzadkością. Nieczęsto ktoś opowiadał o tym, jak trafił do samobójców, więc Rasputin mógł liczyć na należyte skupienie i powagę zgromadzonych.

- Mojej trzynastej wiosny przyszli żołdacy. Nienawidziliśmy ich, bo mogli robić, co chcieli, i nikt im nie powiedział. Gwałcili dziewczki w chlewie, gdy jeden podszedł do starszego w wiosce i oznajmił, że wybiją nas w pień, jeśli nie powiemy, kto podpalił domy w sąsiedniej wsi. Ona od nas była ze dwadzieścia kilometrów na dzisiejszą rachubę. Nijak nie mogliśmy tego wiedzieć. Przez lasy nawet nie widzieliśmy dymu. Więc powiedziałem, że to ja. Odprawił swoich na plac przy studni i jednym cięciem ściał mi moją durną głowę. Ostatnie, co widziałem, to lament mojej matki. Miała mnie jednego.

Wychylił szklanke jednym haustem.

- To dlaczego jesteś tutaj? - spytała zdumiona.

Bo tylko w bajkach i oszukanych opowieściach bohaterowie są brani żywcem do nieba. To tak nie działa. Jeśli decydujesz się zginąć i masz tego świadomość, jesteś samobójcą, nie bohaterem. Tak też było ze mną. A jak myślisz, Bury ptaszku, czemu mnie tu do was zawsze po drodze? Czemu ja z wami ostatnio jak cień? Skory do wypitki i do wybitki?

- Bo mamy odlotową chatę? - Zaśmiała się we wtórce innych, powściągliwych śmiechów.

- My tu wszyscy jak groch z kapustą wymieszani jesteśmy, a język nawet kłąć w swoim nie pozwala. Jesteśmy jak szara masa bez nazwy. Bez kultury, bez akcentu nawet. Ale kiedy słucham twojej słowiańskiej mowy, bliżej mi do siebie już tylko o miedzę.

Pili do rana.

We wtorek po piętnastej kończyła się przebierać w szatni. Klecha pociągnął ją za kucyk.

- Chodź. Pójdziemy na obiad do knajpy. Serwują tam krewetki w sosie.
- Dziś nie mogę. Jestem umówiona.
- Z kim?
- Nie z kim tylko na co. Na korepetycje.
- Z czego?

- Z trajektorii kuli. - Zaśmiał się mężczyzna w kapeluszu, który opierał się o rząd szafek. Obok niego stał drugi, ścięty na rudego jeża.

- Cześć, Kaznodzieja.

- Cześć - odpowiedział.

- To do wieczora. A krewetki weź mi na wynos. Chętnie spróbuję owoców morza.

- Jeszcze nie jadłaś?

- Nie. - Pokręciła głową.

Podeszła do dwójki przy szafkach.

- Idziemy na dół, na strzelnicę. Lucyfer zaraz przyjdzie.

Wyszli.

- Cezar będzie ją szkolił? - Rodman był szczerze zdziwiony.

- Pojęcia nie mam - odburknął Szczur. - Ale na razie cisza.

Lepiej nie mówić o tym Koshemu. Jak sam się dowie, to posłaniec złych wieści będzie miał szansę przeżyć. Zrozumiano?

Kilkoro świadków skinęło głowami.

- Idziemy na te krewetki? - spytał Klecha, choć bez większego entuzjazmu.

Na dole nie było nikogo. Zapaliły się światła i podeszła do swojego ulubionego stanowiska zaraz przy wejściu.

- Ustaw na dwadzieścia pięć metrów - odezwał się Rudy i usiadł przy stoliku obok automatu z kawą. Ustawiła odległość na sterowanym elektronicznie bloczku i tarcza zakołysała się, gdy wyhamował. Do sali zszedł ktoś w mundurze. W pierwszej chwili go nie rozpoznała. Przystrzyżone włosy, ogolona twarz.

- Cześć - przywitał swoich. - Witam - zwrócił się do niej.

- I jak było? - spytał Kareta.

- A jak mogło być na pogrzebie? Odnaczenie pośmiertne i tabliczka w alei zasłużonych.

Odwróciła głowę w stronę tarczy.

- Znałaś kogoś z nich?

- Wszystkich. Spotkaliśmy się kiedyś na dole, poza tym bawili się u nas w Koniunkcję.

Kiwnął głową i zdjął marynarkę.

- Zaczynamy. Na ile ustawiłaś?

- Na dwadzieścia pięć.

Podał jej swój pistolet.

- Może dać ci stołek? Nie sięgasz końca tarczy. - Kareta roześmiał się wesoło.

- Jeśli chcesz, możesz korzystać ze stołka. Nie będę się śmiała. Ja zwykle unoszę ramię.

Rudy parsknął. Wycelowała. Piętnaście strażów jeden za drugim. Przycisnęła guzik i linki przysunęły tarczę. Stał za nią.

- Nieźle. Skupienie jest OK.

- OK uzyskuję sama. Chcę, żeby było idealnie.

Uśmiechnął się. Inaczej. Ciepło.

- Popracujemy nad tym.

Dwa tygodnie później miała już większość egzaminów za sobą. Zostały jej matematyka i fizyka. Nie musiała ich umieć perfekcyjnie, wystarczyło na pół gwizdka, ale nie umiała nawet na jedną trzecią. Prosiła o pomoc chłopaków, jednak każdy wymigał się od kilku godzin z książką i tępakiem. Na kolejne spotkanie z Cezarem poszła wcześniej i spokojnie czytała regułki, żeby chociaż to pojąć. Stukała ołówkiem w stół spięta i zła.

- Powiedziałem, cześć - usłyszała śmiech nad głową.

- Cześć. Przepraszam.

Wziął do ręki książkę.

- Nie ma to jak popołudnie z logarytmem.

- To nieodwzajemniona namiętność.

- Kiedy masz egzamin?

- Matematyka i fizyka jednego dnia i tylko tydzień na wtłoczenie wiedzy do mózgu. Może w Instytucie umieją programować matematyczne ciemnoty.

- Aż tak źle?

- Gorzej. - Opadła czołem na stół.

- No to może ja mógłbym pomóc? Mam dziś czas - zaproponował.

- Gdzie zgubiłeś broję, rycerzu?

Zaśmiał się.

- Dałem giermkowi do naoliwienia.

Strzelali do wieczora, a potem ona zaproponowała, żeby poszli do Nory. Zgodził się niechętnie i tylko dlatego, żeby nie spłoszyć jej propozycją, by poszli do niego. Mogłaby to źle odebrać.

Siedzieli w pustym pokoju otoczeni książkami i zapisanymi kartkami, gdy wszedł tam Prince z miską w jednej ręce i łyżką w drugiej.

- Młoda, chcesz...

- Cześć.

- Cześć - odpowiedział i przypomniał sobie o przeżuwananiu.

- Nie, dziękuję. Już jedliśmy. Poza tym mam jeszcze cztery zadania do rozwiązania.

- Widzę właśnie.

- Ty pisz, a ja skorzystam z łazienki.

- W końcu korytarza. - Wróciła nosem w książki.

- Nie przerywaj. Zaraz wracam.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Spokojnie poszedł za Princeem do jego pokoju.

- Matki to może nie ma, ale kolegów tak - burknął.

- I innych bliższych i dalszych znajomych króliczka - podpowiedział mu. - Koshe wie o tym, że ją szkolisz?

- Pojęcia nie mam. Ale jak go znam, to pewnie wie.

- Nie wie, inaczej nie byłoby tak sielankowo.

- Stare dzieje. Nie ma w tym nic z chęci zemsty czy nienawiści. Młoda jest dobra, a będzie jeszcze lepsza. A teraz pomagam jej w matmie, bo wy ponoć nie mieliście czasu. To wszystko.

Wyszedł. Prince chwycił za telefon.

- Gdzie jesteście? To go przytrzymajcie tam dłużej. Jeszcze jakąś godzinę. Po co, po co? Bo siedzi ze swoim nowym kolegą i szkoli się z matmy

Odsunął na chwilę słuchawkę od ucha.

- Minimum godzina, bo jak się spotkają, będzie źle. Bura nic nie wie. Klepie ćwiczenia jakby nigdy nic. Gdyby wiedziała, to by go tutaj nie przyprowadziła. Na razie, nie chce mi się słuchać twojego zgrzytu, Szczurku. - Odsunął słuchawkę możliwie daleko. - Rozłączam się.

Godzinę później stał w oknie w pokoju Klechy i trzymał kciuki, żeby nie minęli się na drodze. To, że pracowali w jednym budynku i korzystali z jednej windy, już stanowiło nie lada kłopot, a co dopiero mówić o spotkaniu twarzą w twarz.

Tylko Bura była zadowolona. Piszcząca ze szczęścia, że rozumie wszystko jak nigdy. Wyszczerył się sztucznie na te rewelacje.

- Tak. To miło. Jutro ja cię pouczę.

Tydzień później w bramie wyjazdowej z placu szkoły Koshe minął Cezara. Pozdrowili się oszczędnie i wymiśleli ostrożnie. Cezar szedł spokojnie, trzymając w ręku wielki parasol, a Koshe siedział w aucie. Przy wyjeździe stanął i włączył wycieraczki na szybszy tryb. Miał dziwne przeczucie, że pojawienie się Lucjusza pod szkołą nie jest przypadkowe. I się nie pomylił. Bura wybiegła z wynikami na schody i dumna jak paw machała nimi na lewo i prawo. Rozmawiali. To nie było takie sobie gadanie dwojga znajomych. Znali się dużo lepiej. Śmiali się. Koshe wsadził słuchawkę do ucha i wybrał numer.

- Prince? Skup się. Masz trzy minuty, żeby mi wytłumaczyć, co robią Bura i Cezar na schodach szkoły?

Stukał w kierownicę.

- Mam do ciebie dwie ulice w prawo, więc wymyśl coś lepszego niż to, że się razem uczą. To już lepiej. On ją uczy. A czego? Matmy? A to ciekawe. Korepetycje ogłosił w gazecie czy na tablicy w szatni? Oni się znają? O! To czemu ja o tym nic nie wiem? Bo zajęty byłem?

Słuchał dłuższą chwilę, a potem się rozłączył. Skręcił dwa razy w prawo i dodał gazu w dzielnicy fabrycznej.

Czekali na nią wszyscy z wyjątkiem Klechy. Ostatnimi czasy często znikał i wracał późno. Weszła i odłożyła torbę z książkami.

- Możemy wypić, panowie. Zdałam ostatni egzamin.

Podsłokami doszła do kuchni i wyciągnęła piwo z lodówki.

- Skąd znasz Lucjusza Wierę? - spytał Koshe.

- Uczy mnie już od miesiąca.

- Czego? Matematyki?

- Tego też, bo oczywiście żaden z kolegów nie miał czasu. - Rzuciła się na kanapę.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

- Nie. Wszystko, co musisz o mnie wiedzieć, załatwiam od siódmej do piętnastej - mruknęła już mniej zadowolona.

- Mieszkam u ciebie i płacę ci czynsz i rachunki. Jeśli to ci nie odpowiada, mogę poszukać sobie innego lokum. To z kim się uczę i czego, to już moja sprawa. Czy masz do mnie jeszcze jakieś osobiste pytania, czy mogę się już cieszyć, że właśnie skończyłam liceum?

Milczał.

- Zapomniałam. Nie mam się z kim cieszyć, bo oczywiście ty musisz być mistrzem ceremonii. Zawołaj mnie, kiedy już sobie ulżysz. Nie chce mi się tego słuchać, cokolwiek masz mi do powiedzenia. W przyszłym miesiącu poszukam sobie mieszkania. Mam dość kontroli z kim, jak i gdzie. Nie mam cię wpisanego w akt urodzenia w rubryce ojciec.

Zacisnął szczęki.

Wbiegła na górę i po krótkim pukaniu wtargnęła uśmiechnięta do pokoju Klechy. Nie był sam. Dziewczyna leżąca twarzą nad jego twarzą była uśmiechnięta i naga.

- Zapomniałam. Laski przyprowadzacie raz w tygodniu.

- Zamknęła szybko drzwi.

Weszła do łazienki. Myśleć, myśleć. Myśleć szybko. Piwo wylała do umywalki. Ktoś zapukał.

- Chwila. Pęcherz nie sługa.

Odczekała stosowny moment i spuściła wodę. Potem odkręciła kran i po chwili otworzyła drzwi.

- Już wolne.

W drzwiach stał Prince.

- Z tą wyprowadzką nie mówiłaś chyba serio? Odwrócił się i zobaczył w drzwiach Klechę zawiniętego

w prześcieradło. Westchnął wymownie na ten widok.

- Jak najbardziej serio. Czas dorosnąć i mieć własne życie. Choćby i takie śmiertelne. Moja piżama jest pod twoją poduszką. Możesz mi ją dać?

Klecha był tak sztywny, jak tylko można. Różowa koszula z flaneli zawisała w progu. Nawet na niego nie popatrzyła. Weszła do pustego pokoju Rona i Dakoty i słyszeli, że rozmawia z kimś przez telefon. Po kwadransie Klecha odprowadził niezbyt zadowoloną towarzyszkę do drzwi, po czym rozsiadł się obok Koshego. Chciał zapalić, ale wyjął z ust papierosa.

- Wyprowadzi się - stwierdził. - Jeszcze nie było tak, żeby coś zapowiedziała i tego nie zrobiła.

Następnego ranka w kącie salonu stały trzy pudła zaklejone taśmą. Na stole leżały rzeczy, które od nich pożyczała. Słuchawki Princea, kalkulator Szczura i pasek Klechy. Stała w kuchni i spokojnie piła herbatę. Nie wydawała się smutna. Było gorzej, niż myśleli. Stała pewnie, przywitała ich bez pretensji w głosie.

Po południu miała spotkanie z Cezarem. Czekwała na niego, przeglądając ogłoszenia na tablicy.

- Szukasz pokoju do wynajęcia?

- Raczej mieszkania.

- Z tego co mówiłaś, dobrze wam się mieszka. Co się stało?
- Nie lubię zależeć od kogoś, a w szczególności od Koshego.
- Rozumiem. Popytam, może się coś znajdzie.
- Dzięki.

Gdy zapisywała telefon, przeczytał złote litery na kartce. To było zaproszenie na bal.

- Bal na koniec szkoły. Dobrej zabawy.
- Nie idę.

- Dlaczego? Wódka i fajerwerki. Może być fajnie.

- Nie mam z kim, a swoich prosić nie będę. Nie mieli czasu na godzinkę z książką, to o całą noc tym bardziej nie będę ich prosić.

Któryś musiał ostro przegiąć. Poznał ją na tyle, by wiedzieć, że nie tak łatwo jest ją zasmucić. A może było to łatwiejsze, niż myślał?

- Ja pójdę z tobą na ten bal. Jeśli mnie oczywiście zaprosisz.

Rumieniec.

- Nie wpadło ci do głowy, żeby mnie zaprosić? Za stary jestem?

- Nie, ależ skąd. Myślałam tylko, że pewnie byś odmówił.

- A to ci niespodzianka. - Zerknął raz jeszcze na złoty napis. - W sobotę za tydzień o osiemnastej. Przyjadę po ciebie pół godziny wcześniej. A teraz chodźmy już. Mam dla ciebie nowe zabawki.

- Byleby nie foremki.

Podniósł brwi.

- Długa historia.

Tydzień później, w sobotę, zamówiła sobie kosmetyczkę do domu. Maria pomogła jej włożyć sukienkę. Gdy stanęła gotowa na szczycie schodów, przywitała ją martwa cisza. Prince odezwał się pierwszy:

- Stary musi nieźle tańczyć.

- Kapitan świetnie tańczy - odpowiedziała.

Ktoś podjechał pod bramę. Opony zgrzytały na kamieniach i piachu. Ktoś wysiadł i ruszył do drzwi. Cezar wszedł bez pukania.

- Dobry wieczór.

Smoking leżał na nim idealnie.

- Gdzie Lilith? Jeszcze się szykuje? - odezwał się, by przerwać niezręczną ciszę.

- Jestem już gotowa.

Podniósł głowę i milczał przez dłuższą chwilę. Potem uśmiechnął się znajomo.

- Wszystko fajnie, tylko nie przewidziałam tego. - Podniosła dół sukni i pokazała obcas i stopnie z kraty.

- Da się załatwić.

Wszedł po schodach i wziął ją na rękę. Założyła mu swoje na szyję. Pachniał czymś bardzo ładnym i bez skrępowania obejrzał jej zaróżowione policzki i bladą skórę dekoltu. Schodził powoli prowadzony jak na smyczy przez cztery pary oczu.

Gdy postawił ją przy drzwiach, zdążyła jeszcze nachylić się po bolerko, które leżało na kanapie. Klecha zwrócił uwagę na pieprzyk, który był dość nisko na lewej piersi. Odwrócił głowę. Nie rozmawiali od incydentu z laską tygodnia. Nie wiedziała, czy był smutny, czy może zły. Wyszli żegnani banalnymi zwrotami.

Otworzył jej drzwi samochodu.

- Chyba zadowoleni nie są. - Zaśmiał się.

- Trudno. Wystarczy, że ja jestem.

Gdy przestali słyszeć samochód, pierwszy odezwał się Borys:

- Dzisiaj na tym balu bawić się będzie z bratem Mia. Też skończyła liceum. Niech nikt się nie waży dzwonić do niego, żeby go uprzedzić. Gdyby rozegrał to inaczej, jutro by się stąd nie wyprowadzała. Za karę należy mu się taki widok.

Maria przychodziła do nich częściej od śmierci Magika. Bawiła się brzegiem szklanki z wódką i lodem.

- Koshe nie ma tu nic do rzeczy. Znam go lepiej niż którykolwiek z was. Ona mu się podoba. Lucjusz... - zamilkła na moment - ..kiedyś patrzył tak na mnie. Wiem, co mówię.

W sali bawiło się powyżej setki par, ale nie było ścisku. Nie dziwiła się, gdy witali jej towarzysza niemal na każdym kroku. Pociągnął ją bez słowa na środek. Orkiestra zagrała walca. Potem poszedł po coś do picia i stanęła pod ścianą, gdzie było mniej ludzi. Wyjęła z kieszeni telefon i sprawdzała, czy nie ma wiadomości od kapitana. Gdy podniosła oczy, napotkała wściekłe, znajome spojrzenie z drugiego końca sali. Wybrała numer i jego aparat zadzwonił sekundę później. Odebrał. Zwykle, gdy widział, że to ona dzwoni, nawet się nie odzywał. Słuchał, dopóki się nie rozłączyła. Któregoś razu tak się nakręciła, że postanowiła wyprowadzić go z równowagi i poczekać, aż się złamie i powie choć słowo. Nie doczekała się. Chodziła po domu ze słuchawką w uchu i opowiadała mu, jak wkłada rzeczy do pralki, potem wygłosiła tyradę o jakości jedzenia w stołówce i o dziwnych porannych rytuałach Prin- cea i nic. Nie wiedziała, dlaczego Koshe to robi, ale jeszcze nie usłyszała jego głosu w słuchawce.

- W sumie to dobrze, że cię widzę - rzuciła do telefonu. - Jutro zabieram swoje rzeczy z fabryki. Pieniądze zostawiam tam, gdzie zawsze. A teraz wybacz, wypiję bąbelki i zapomnę, że wkurzyłeś mnie aż tak bardzo.

Rozłączyła się, a zanim zdążył złożyć telefon, zamarł na widok Wiery podającego jej kieliszek szampana. Nie widziała jednak jego tężejącej sylwetki zajęta rozmową z Lucjuszem.

Gdy odwiózł ją do Nory koło czwartej nad ranem, oboje byli w szampańskich nastrojach. Tanecznym krokiem podeszła do drzwi. Śmiali się. Klecha przyglądał im się z okna na górze. Wiera podziękował jej za wspólną zabawę i odszedł do samochodu. Potem coś krzyknął i zawrócił z jej futerkiem w ręku. Dostał całusa w policzek i pożegnała go, machając, zanim nie zniknął za bramą. Weszła po cichu. Gdy stanęła w progu, leżał już w łóżku, ale nie udawał, że śpi.

- Dobrze się bawiłaś?

- Było świetnie. Tańce. Balony o północy, no i orkiestra grała cudnie.

Rozmarzona usiadła na skraju łóżka.

Wyglądała inaczej. Dojrzałej. Suknia szeleściła przy każdym ruchu cichą zachętą. Wytuszone rzęsy przymykały się w błogiej nieświadomości.

- Dlaczego nie poprosiłaś kogoś z nas?

- Chciałam zaprosić ciebie, ale akurat ktoś na tobie leżał i wyglądaliście na zajętych, więc sam rozumiesz.

- Bura, ja...

- Dobrze się stało. Przygarnęliście mnie do siebie i jestem wam wdzięczna, ale na tym koniec. Dziś zabieram swoje rzeczy i będziecie mogli żyć, jak żyliście, albo i lepiej. Jestem za duża na spanie na kanapie.

- To śpij w pokoju Wodza.

- Nie. Chcę spać sama. U siebie. Dobranoc, Natan.

- Spij dziś ze mną.

Poczuł zażenowanie w tym samym momencie, gdy wypowiedział te słowa. Za szybko, zbyt desperacko.

Zaśmiała się lekko. Zranił ją. Zwykle śmiała się, gdy ktoś zrobił jej przykrość.

- Dwoje to para. Troje to już tłok. Ja kupiłam ci podwójne łóżko.

Zamknęła za sobą drzwi.

Wieczorem rozpakowywała już swoje rzeczy w jednopokojowej klitce z aneksem kuchennym. Stara prycza Klechy stała pod ścianą obok jego starej szafki na dokumenty. W małym okienku szumiał klimatyzator, a na podniszczonych szafkach w kuchni, stało nierozpakowane pudło z płytami. Usiadła na chwilę. Było dziwnie cicho. Nie słyszała sąsiadki zza ściany. Wyglądała na imprezowiczkę, a tu nic. Ani odgłosów orgii, ani muzyki, ani nawet głośnej rozmowy. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Klucz zgrzytnął w zamku.

Do Posterunku miała pół godziny spacerkiem. Otworzyła drzwi do sali treningowej. Nie było w niej nikogo. Włączyła światło tylko nad matą w kącie i wyciągnęła z szafy na sprzęt dwie pałki. Były



sztynne i długie na pół metra. Kapitan uczył ją, jak się nimi posługiwać. Najpierw rozgrzewka. Seria tego, seria tamtego. Szpagat i stanie z nogą w rękę. Potem odrobina jogi dla rozciągnięcia mięśni i uspokojenia oddechu.

- Nie zrobisz z baletnicy zawodnika do ringu - usłyszała głos Koshego.
- To dobrze, że mama nie zapisała mnie na balet. Bo musiałabym zrezygnować.
- Jest niedziela. Wyrabiasz nadgodziny?
- Buc dał mi wolne.

Podszedł do szafki i wyciągnął dwie takie same pałki. Zdjął płaszcz i rzucił go na otwarte drzwi. Podszedł do niej i czekał, aż wstanie. Jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych ciepłych emocji.

- Pokaż, czego cię nauczył.

Z początku bił lekko, ostrożnie. Nadawał rytm i pokazywał, gdzie ma zamiar uderzyć. Kondycyjnie był po stokroć lepszy. Nie oddychał szybko. Nie łąpał powietrza łąpczywie. Trwało może pięć minut, zanim zmylił ją i uderzył prosto w szczękę. Cios nie był silny, ale rozciął jej usta i upadła z impetem na matę. Wytarła wierzchem dłoni krew rozmazaną na policzku. Stał nad nią.

- Kiedy następnym razem będziesz miał ochotę mnie uderzyć, miej odwagę zrobić to ręką.
- Wyszedł, zostawiając ją leżącą na macie.

Kilka dni później odwiedziła ich męski świat. Dostali wolne, bo ćwiczyć miały dwie nowe grupy. Nie zdziwiły jej brudne gary piętrzące się w zlewie ani zapach przypalonego jedzenia.

- Patrzcie, patrzcie. Wyrodna współlokatorka - przywitał ją Szczur, który bez skrzepowania wciągał spaghetti.
- Cześć. Co słychać?
- Nic. Poza tym że Koshe po raz kolejny nie przedstawił żadnego z nas do awansu - rzucił Prince.
- Aha. I co w tym dziwnego?

Był zaskoczony jej spokojem. Usiadła na szczycie kanapy i patrzyła na jego ciekawe wyjaśnienie oczy.

- Moje zdanie nie ma tu nic do rzeczy. Naprawdę, Pablo.
- Ale ja chcę je poznać.

Szczur na moment przestał zasysać makaronowe tasemki.

Mieszkałam z wami trochę. Fajne z was chłopaki. Wygadane, wyszczekane, przystojne. Niejedna zazdrościła mi takiej opieki. Ale nie wszystko w was jest tak urocze jak wasze buzie. Żeby nauczyć was wynoszenia śmieci chociażby, musiałam się naprosić, nagrozić, uciekać do przekupstwa, a na koniec i tak mnie wykiwaliście i sama ciągałam worki pod bramę. Nie mówię, że zawsze, ale awans jest na zawsze. Weźmy takiego Koshego. Jest dowódcą pełną gębą. Często przesadza, choćby ostatni jego pokaz w sprawie Cezara. Niełatwo z nim być, nawet gdy się jest członkiem jego grupy. Zawsze ma ostatnie słowo, potrafi być wredny, a konsekwencji mógłby uczyć niejedną matkę. Ale jest odpowiedzialny. Za wszystko. Czasami mnie przeraża, bo zanim wyjdę ze sklepu, potrafi zadzwonić i poprosić, żebym kupiła mu notes czy ołówki kreślarskie. Wie wszystko, a przynajmniej się stara. Po każdym telefonie jest najpóźniej po kwadransie. Nieraz łądowaliście w kozie. A to za bójki, a to za picie, a to za naruszenie mienia, gdy na przykład ktoś olewa czyjeś auto w biały dzień. - Popatrzyła na Szczura. - Cokolwiek się dzieje, zawsze jest gotowy do pomocy. Zbiera za was cięgi. A my mu nie ułatwiamy. Nawet ja. Ciągłe coś czegoś od niego chce. Ciągłe dzwoni telefon. Czasami myślę, że wychodzi na akcję, bo tam jest naprawdę wolny. Tam może być sobą. Opiekuje się siostrą, pomaga w finansach posterunkowemu niedojdzie, którego ktoś zrobił księgowym. Cały czas jest na telefonie z notesem w rękę. Ma trzech sekretarzy, a i oni często zawodzą.

- Do czego zmierzasz? - spytał sennie Klecha.

Wniosek jest prosty. Każdy sądzi własną miarą. Skoro on daje z siebie tysiąc procent, nie dziwi mnie, że od innych wymaga tego samego. Ja nie mówię, że macie mu dorównać, bo szczerze mówiąc, wątpię, by ktokolwiek dał sobie radę z jego robotą na dziś. Ale możecie pokazać się z innej strony. Weźmy ciebie, Szczur. Gonić cię trzeba do twojej roboty. Nasz techniczny warsztat niemal nie istnieje, bo ciągle coś gubisz albo zapominasz przynieść. Wszędzie walają się jakieś graty, które okazują się ważne. Ty, Pablo, nieraz zastępowałeś go przy centrali. Dowodzisz z góry. Dobrze ci idzie, nie mam zastrzeżeń, ale ilekroć wspomina o nieuzupełnionych raportach, niepotrzebny ci portal, by zmienić czasoprzestrzeń. Już chwilę potem jesteś dwadzieścia metrów dalej za zakrętem. Mógłbyś go odciążyć w papierkowej robocie, bo nieraz ją już robiłeś, ale jesteś zbyt leniwy. Natan dla odmiany ma na wszystko czas. Trzy papierosy zanim wstanie. Dwa do śniadania. Potem praca, a

po pracy zamyka szafkę i idzie w kierunku zachodzącego słońca. Ile razy Koshe musiał sam siedzieć na odprawie? Na auli siedzą niemal wszyscy z wyjątkiem was. Ile razy notuje jedną ręką, a drugą trzyma telefon? Ktoś mógłby mu pomóc, pokazać, że i wam zależy. Nie mówię, że wszystko robicie nie tak. - Zaśmiała się z przekąsem. - Uwielbiam z wami być. Każdy jest uroczo zakręcony. Niekiedy podglądałam was ukradkiem, bo kiedy coś robicie, to jak artyści przy pracy. Nic nie widzicie, nic nie słyszycie. I jesteście wspaniali. Ale, również jak artyści, niepoukładani. Macie do niego pretensje, że nie zgłasza was do awansu. A co wy byście z tym awansem zrobili? Przyznajcie przed sobą szczerze, że nie zdołalibyście być takimi jak on. Zawsze i wszędzie.

- Mówisz to, jakbyś sama nie przysparzała mu kłopotów - bąknął Szczur.

Posmutniała. Miał rację, niestety.

- Ja jestem jego głównym kłopotem. A że nie umiem robić nic, co by mu się przydało, nic, co mogłabym robić za niego lub dla niego, zrobiłam jedyną rzecz, którą zrobić mogłam.

- Co takiego? - spytał Klecha.

- Zesłałam mu z oczu.

Chwilę trwało, nim przetrwali jej słowa. Rzeczywiście. Ostatnimi czasy widywali się z nią jedynie na akcjach i znikąa zaraz po powrocie, a z Koshem praktycznie nie rozmawiała. Zdawkowe cześć lub dzień dobry.

- A tak w ogóle to przyszłam zapytać, czemu mnie jeszcze nie odwiedziliście?

- Bo nie podałaś adresu - odezwał się Borys.

- Jak to nie? Wywiesiłam na lodówce.

- E. Myślałam, że to nowej laski Klechy - palnął Szczur. Klecha nie zareagował, ale wiedziała, że jest skrępowany.

- Nie. To mój adres, więc... jak macie czas któregoś dnia, to wpadajcie.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

- Młody, zdaje się że nie pojąłeś z wiekiem związku, pomiędzy myśleniem a mówieniem na głos. - Spaghetti strzelił go w potylicę.

Siedzieli przez dłuższą chwilę w absolutnej ciszy.

- Zauważyliście, że ona strasznie lubi wszystko analizować. Tak to porozkręca na małe kawałki, że na końcu i tak wychodzi z tego jej machina, a ty durniu baw się tym, co zostało. - Gestykulował najmłodszy z zadumanych.

- Nie rozumiem twojej metafory, ale chyba wiem, co masz na myśli - mruknął basem Borys. - Zrobiła z was nierobów, leniów i niedojdy. I miała rację.

- Ty też? Daj żyć.

- Dobra. Idziemy. Nikt mi nie będzie mówił, że jestem nieudacznik. Wstawaj, mechaniczny świrze.

Szczur omal nie upuścił miski z makaronową papką.

- Musimy być porządnymi obywatelami akurat od dzisiaj? Jest blok z Benem Tenem na Cartoon Network. Już się przygotowałem. Mamy chipsy, napoje gazowane i serowe paluszki. No i mamy wolne - zazgrzytał małolat.

- Wy naprawdę macie mnie za dziecko - oburzył się Prince. - Ustawiłem nagrywanie. Wrócimy i obejrzymy.

Wyciągnął go na podwórko i odstawił jego miskę na progu.

- Tak. Obejrzymy bajki zaraz po kolacji i paciorku - wysnuł sennie Klecha i poszedł za nimi.

Nazajutrz w szatni Pablo zachował się jak czystej wody wariat. Zanim odebrał telefon, krzyknął, żeby wszyscy zamilkli.

- Dzień dobry, mamusiu - zakwilił szczęśliwy jak nigdy. - Co robię? Jestem w pracy, a właściwie już kończę. Tak.

Sasza nie wytrzymał i parsknął. Makaroniarz wyciągnął pistolet i z miną gotową do mordu, przyłożył mu go do skroni. Zadziałało. Saszka zbladł.

- Nic, nic. To tylko takie biurowe żarty. To co zwykle. Papierki. Raporty. Statystyki. Tak, nudna ta moja robota, że aż strach. Co? Chcesz mnie odwiedzić? Mamo, po co ten kłopot? Ja do ciebie przyjadę. Tak. Z dziewczyną. Tak. Będę w sobotę z samego rana. Do widzenia. Całuski. Pozdrów ojca. On mnie też pozdrawia. Tak słyszałem go. Kaszle. Słyszałem jak kaszle. No, to do zobaczenia.

Potał się łufą po spoconym czole i oblizał wargi. Było blisko.

- Bura, co robisz w sobotę, bo potrzebuję dziewczyny...  
Ryknęła cała szatnia ludzi. Rodman złożył się wpół do tyłu, a Szczur o mało nie przebił zgrzytem dźwięku kosiarki uderzającej ostrzem o kamień.

Przyszła w sobotę o siódmej. Tak jak poprosił - skromna sukienka, buty na płaskich obcasach. Dla dodania uroku niewinnego dziewczątka zawiązała kokardę na szczycie wysokiego kucyka. Koszyk na ramieniu i dziana, staroświecki sweterek. Gdy zszedł, nie poznała go w pierwszej chwili. Jasny garnitur, biała koszula, pantofle na błysk. Bez brylantyny i masy ozdóbek wyglądał jak włoski łamacz serc. Usiadła z wrażenia.

- No, no. Panie Ferrero. Gdyby był pan do wzięcia. Jak amant z ekranu.  
- Chyba z telenoweli - zakwilił Szczur.  
- Nie znasz się. - Machnęła na niego ręką. - Jest na czym oko zawiesić. Nie przesadziłam? - Okręciła się. - Bo mamy jeszcze czas, mogłabym...  
- Nie. Jest idealnie. - Błysnął zębami.  
- Myślisz, że ta lipna przepustka zadziała?

Nie jest lipna. Koshe załatwił ją legalnym kanałem, ale mamy czas tylko do siedemnastej. Potem godzinka na ochłonięcie po wizycie w zoo i dyskoteka. Mam dziś nowy zestaw tanecznych mikсів. Parkiet będzie wirował do czwartej rano. To do zobaczyska.

Pociągnął ją do samochodu.

- Jedziemy autem Szczura?  
- Nie jest Szczura, tylko Koshego. Szczur nim jeździ, bo Koshe uznał, że skoro młody je ciągle naprawia, to ma do niego większe prawo.  
- Kolejna rzecz, której nie wiedziałam.  
- Jeszcze nie przywykłaś?  
- Do czego?  
- Że tu połowa wszystkiego należy do niego?  
- Jakoś nie mogę się przemóc.

W portal wjechali autem. Celnik był uprzejmy. Pieczętka z nazwiskiem Koshe otwierała niemal wszystkie drzwi w tym świecie. Pablo był dziwnie odmieniony. Jakby włożył inną skórę. Ukradkiem zerkał na jej kolana, nonszalancko poprawiał włosy. Był w pełni świadomy jej niepewności. Gdy wyjechali z portalu i przeszli odprawę, nie przestawał tłumaczyć, co ją czeka. Będą pytali, czy sypiają ze sobą, czy ma rodzinę, gdzie mieszka i czy może razem. Szokowało ją to wszystko, bo nie dość, że była zdenerwowana jego innym „ja”, to jeszcze musiała grać zakochaną w nim wybranekę. Wyjechali na ulice. Miasto wyglądało jak każde inne na ziemi, tylko język reklam był inny. Krzaczki, kreski i motylki, jak nazywała ich litery, wzywały wszędzie dokoła. Nie ujechali daleko. Skręcili w podwórze między dwa niższe domy na uboczu. W jednym była duża restauracja z ogródkiem i parasolami. Ktoś pokrzykiwał na kucharza z zaplecza. Pablo wysiadł i otworzył jej drzwi. Z okna na piętrze wyjrzała starsza kobieta.

- Synku, a co za laleczkę nam tu przywiozłeś?  
- Zaczyna się. Pamiętaj, oni są szaleni, a ty zakochana.  
- A ty we mnie nie?  
Oczy błysnęły mu niebezpiecznie wesoło.  
- Jakżeby inaczej. Do stóp ci padam, moja ty dziewczico  
- gołęmbim sercu.

Zaśmiała się i weszła w rolę.

- Pablo, skarbie. Za ciężko pracujesz. Oni nie doceniają twojej roli w tym psim urzędzie. Gotowi przegapić twój talent.

Objął ją i weszli na schody.

- Mów mi tak jeszcze.

Jego rodzina okazała się liczna i głośna, tak jak zapowiadał. Posadzili ich naprzeciw siebie pośrodku długiego stołu zastawionego od końca do końca włoskim jedzeniem. Nie wyłgała się sałatką i dietą, bo jego matka, kobieta o twardym jak skała charakterze, oznajmiła, że jest zdecydowanie za chuda. Zarumieniła się klasycznie przy pytaniu, czy mieszkają razem, które jego ojciec zadał z jednoznacznym akcentem na „razem”,

4oczywiście odpowiedź przywitali z uśmiechem i pewnością, że ich syn, kuzyn, bratanek, siostrzeniec, członek klanu, to dobrze wychowany młodzieniec o nienagannych manierach. Gdy pomagał jej zmywać, bo się zaoferowali, słyszała, jak obgadują ich przy kawie i ciście. Stał za nią i ostentacyjnie demonstrował, czyja jest. Trzymali się za ręce podczas deseru i obejmował ją, gdy tylko była okazja. Poza tym słuchali jej mowy, nie mogąc się nadziwić i rzecz jasna byli zachwyceni, bo przez to wydawała im się jeszcze bardziej niewinna. Pablo miał używanie. Nieustannie podsycił wizerunek panienki z dobrego domu. A przecież sierota, sama samiuteńka. Gdy wsiadła do auta, opadła z sił w fotelu.

- Dobrze było?
- Aż za dobrze. Marnujesz się.

Później widziała się z nim w hangarze speluny na obrzeżach. Wyglądał już normalnie, czyli jak wariat o bliżej nieokreślonej orientacji. Zawiązała na dżinsach biały fartuch kelnerki i wzięła tacę spod baru. Poszła zebrać pierwsze zamówienia.

Koło dziewiątej przyszedł nieoczekiwany gość. Wypatrzyła ich w tłumie i poprowadziła do wolnego stolika dla obsługi. Koshe usiadł przodem do sali, a obok niego młoda blondynka - długich nogach, rzęsach i włosach. Jej idealnie ułożone pukle zdradzały, kim jest. Była jego narzeczoną z castingu. Sarą.

- Czego się napijecie?
- Dla mnie to, co zwykle.
- Dla mnie sok. Jakikolwiek. Bez lodu.
- Zaraz będę. - Podeszła do barmana i pokazała, co chce. Szczur sączył piwo przy barze i stukał palcem w rytm muzyki.

- A teraz, moi kochani, zróbmy coś, żeby mój kolega przy barze poczuł się lepiej - poszło w głośnikach. - Uła, uła.

- Uła, uła - odpowiedziała sala.
- Zabiję go - syknął Szczur.
- Niby ciota, a muzykę puszcza ekstra - usłyszeli za plecami pijacką dywagację dwóch idiotów. - No ale w sumie nie wiadomo, ile razy mu czyścili kanał. - Zaśmiał się któryś.

Szczur wychylił piwo chyłkiem. Odwrócił się i beknął przeciągle.

- Dość tego. Tylko mnie wolno nabijać się z jego dziurawionego odwłoku. Który to powiedział?
- Że niby co? - mruknął pierwszy z prawej.
- To o kanale. -Ja.

Szczur, jak cała ich drużyna, nie zastanawiał się długo nad tym, co robić. Bójka wywiązała się błyskawicznie. Podeszła z drinkami do stolika na uboczu.

- Proszę. - Obdzieliła ich szklankami.
- Co tam się dzieje? - spytał Koshe.
- Szczur, obraza kolegi kochającego inaczej, trzy kufle piwa

5Klecha w odwodach.

- Posiedź z Sarą. Zaraz wracam.

Była do tego przyzwyczajona, więc po prostu usiadła obok blond wampa i przeglądała wiadomości w telefonie.

- Raczej mało okrzęsani, ta jego załoga - usłyszała znudzony głos.
- Można się przyzwyczaić - odpowiedziała, licząc na zaniechanie tematu.
- Ty jesteś Bura, prawda?
- Tak.

- Po co tu pracujesz? Przecież nie brak ci pieniędzy? Z tego co mówił Koshe, jesteś kochanką Kazteza. On ma pieniądze, więc pewnie cię utrzymuje.

- To prawda - obudziła się nieco.

Ta cizia wyglądała na jej lata, a kłapała dziobem jak stary wycieruch. Ciekawe, czy przy Koshem też jest taka wygadana.

- Po co tu przyszłście? Koshe zwykle tu nie zachodzi.
- Nie dziwi mnie to. Tani, obskurny lokal.

Pewnie zapomniał jej powiedzieć, że mają darmowe drinki w tym tanim, obskurnym lokalu.

- Chciałam zobaczyć, jak wygląda jego codzienność, i dochodzę do wniosku, że jest nudna. - Sara wydeła usta.

- Koshe jest zwykle zajęty. Ma sporo roboty.
- Nie odpowiedział mi. Po co ci praca kelnerki w tym burdelu?
- Wiesz, trzeba kombinować, żeby cię kochanek nie wymienił na inny model. Muszę o siebie dbać i zawsze mieć w zanadrzu coś ekstra, a na to potrzebuję kasy.

Masz głowę nie od parady. - Dama z dużym biustem zaśmiała się prawie uroczo. - Ja brzydzę się biedą. Dla mnie biedni są jak małpy w zoo. Przyjdę, popatrzę i wyjdę. Na co dzień unikam z nimi kontaktu. Mam wrażenie, że są brudni, głupi, głośni i niezmiernie nudni. Koshe oczywiście nie wie o tym, bo ciągle się wśród nich obraca. Jemu jest już wszystko jedno. Jest tak bogaty, że mógłby sobie kupić to przekłete Miasto. Ale jest cholernie sztywny. Dasz wiarę, że jeszcze ze sobą nie spaliśmy? On nigdy nie ma czasu, a ja ciągle kupuję sobie nową bieliznę. Jak tak dalej pójdzie, to bzyknijemy się dopiero w noc poślubną, jeśli uda mi się gwizdnąć mu telefon.

Słuchała jej i uwierzyć nie mogła, że dureń daje się na to nabierać tyle czasu. Sara była głupia, pusta i pazerna. Patrzyła na nią jak na UFO w blasku dnia, co chwila podjudzając narzeczoną Koshego jakimś głupim tekstem.

Koło północy podeszła do nich z kolejnym zamówieniem. Blondyna machnęła na nią, więc zawróciła.

- Ta dziewczyna, która do ciebie machała przed chwilą, to dziwka? - Wykrzywiła twarz.

Bura spojrzała na Koshego. Siedział chyba tylko dzięki czwartej podwójnej wódce.

- Tak. Miła dziewczyna. Pomaga mi czasem.

- Ale jest prostytutką?

- Tak. - Zamyśliła się na chwilę. - Pracuję w takim lokalu nie pierwszy raz. Mówi się, że prostytutka to zawód, kurwa to charakter. Dziwne. Spotkałam wiele prostitutek i ani jednej kurwy.

Odeszła, bo jeszcze moment, a powiedziała głośno, co myśli o tej dziewczuszce.

Chwilę potem ktoś rozwiązał jej kelnerski fartuszek, złapał ją za szlufki spodni i wyciągnął na środek sali pomiędzy tańczących. To był Prince w swoim zwyczajowym gejowskim wdzianku. Pokazał jej na palcach, że puścił z automatu muzykę na piętnaście minut i zaczął powoli wyjmować jej koszulę ze spodni. Rozpiął dużo guzików i zawiązał ją tuż pod stanikiem. Melodia była erotyczna jak żadna inna. Musiała przyznać, że potrafi ruszać się miękko i delikatnie. Poddała się jego ruchom. Co chwila unosił ją na rękach, by mogła się wygiąć i zawisnąć nad nim. Tłumek rozstał się i zaczął rytmicznie klaskać. Już dawno nikt tak dobrze jej nie prowadził. Ocierali się o siebie i czuła jego miły zapach sprzed kilku godzin, którego nie zdążył zmyć. Bawił się jej włosami, trzymając za kark. Doskonale zapowiadał każdy kolejny krok.

- Jesteś pewien, że nie dorabia sobie na boku? Tańczy jak przy rurze. - Zaśmiała się do Koshego jego nieznajoma narzeczona.
- Chodźmy. Odwiozę cię do domu.
- Piłeś.
- Za mało, żeby się zabić.

Miała problemy, żeby zaciągnąć Pabla do domu. Był na niezłym cyku. Klechę rozebrała pierwszego. Szczur spał przy otwartym oknie i mamrotał coś o cyckach. Pablo ledwo wszedł na górę i stał uradowany w drzwiach.

- Ale impreza. Dawno mną tak nie rzucało na prostej. Jak w formule jeden. Wiraż za wirażem - odezwał się ze śmiechem.

Stanęła naprzeciw niego w korytarzu i oparła się o ścianę. W ciemności słychać było tylko jego głupkowaty śmiech i mamrotanie nawalonego małolata.

- Dlaczego udajesz?

Przestał się śmiać.

- Aktor pozna aktora. Odśloniłeś się dzisiaj dwa razy. Nie jesteś pijany. Może lekko wcięty.

- Jak się zorientowałaś?

- Może i jestem zielona i naiwna, ale wiem, kiedy ktoś widzi we mnie kobietę, nie koleżankę. Nie wiem, dlaczego to robisz, ale bądź pewien, że cię nie wydam. Masz na pewno jakiś bardzo ważny powód.

- Mam - odpowiedział całkowicie trzeźwym głosem. - Ale skoro już wiesz, nie muszę się hamować.

Wciągnął ją do pokoju i zamknął drzwi. Wylądowała na łóżku i miała go nad sobą.

Nie całowałem się z dziewczyną od bardzo dawna i nie przepuszczę okazji. Jesteś śliczna, delikatna i pełna uroku po same piegi. Klecha jest idiotą, że sobie odpuścił. Ja nie będę taki głupi. Dam sobie chwilę zapomnienia. Możesz uznać, że przesadziłem z alkoholem, ale to byłoby kłamstwo. Oficjalnie nie lubię buzi takich jak twoja, ale nieoficjalnie. - Uśmiechnął się i jeszcze bardziej zniżył nad jej twarzą. - Nieoficjalnie byłaś dziś idealną dziewczyną.

Zaczął od szyi. Ledwo oddychała. Ręka przesunęła się z uda na goły brzuch pod swetrem.

- Nie jestem z kamienia - szepnął.

Muskał jej usta delikatnie. Nie drgnęła. Nie zniechęcił się. Nie siłowała się, ale była całkowicie nieruchoma. Mocny i szybki pocałunek zakończył zabawę. Podniósł się i wstał.

- Wybacz, Bura. Jestem głupi. Czasami bardziej niż zwykle. Słowo skauta, że się nie powtórzy.

Wstała i wyszła na sztywnych nogach.

- Bura, ja...

- Idź spać. Głupiejesz po wódce. - Zamknęła mu drzwi przed nosem.

Chwilę trwało, zanim zaczęła oddychać normalnie. O dziwo, nie brakowało jej tchu ze strachu. Krok za krokiem schodziła po kracie schodów. W całkowitych ciemnościach stanęła na schodku przed wejściem. Ktoś siedział obok, oparty o ścianę.

- Ty też? To jakaś plaga. - Pomogła mu wstać i wprowadziła do środka.

Usiadł na kanapie i skrzywił się, gdy zapaliła małą lampkę, przy której kiedyś czytała książki. Był zalany w pestkę. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Fajna ta twoja narzeczona. Bystra jak żadna inna.

Zdejmowała mu buty.

- A co, myślałaś, że jesteś jedna taka na świecie?

- Mózg zastąpiły ci promile. Pogadamy jutro.

- My ze sobą nie gadamy. A wiesz dlaczego?

- Normalnie kipię z chęci poznania wiekuistej prawdy. Mogę notować?

- Bo jesteś tylko człowiekiem.

Zamarła na moment. Potem pociągnęła rękaw marynarki.

- A ty jedynie namiastką śmierci. Los okrutnie obszedł się z nami obojgiem, bo jedno nie może istnieć bez drugiego.

Chwycił ją za rękę i przewrócił na kanapę. Nie zdążyła wstać. Pocałunek był twardy i bolesny. Wyrwała się dopiero po dłuższej chwili.

- To zakład, tak? Założyliście się, który upokorzy mnie bardziej? Przysięgam, jeśli Szczur zechce mnie pocałować, zmienię płeć, więc sobie darujcie.

Zaśmiał się pewny siebie i wstał, by samemu się rozebrać.

- Jesteś bardziej pijana ode mnie.

- To po co to zrobiłeś?

- Po co? - Zmarszczył brwi. - Żebyś się w końcu zamknęła.

- Aha. To się nawet dobrze składa. Zakład byłabym w stanie zrozumieć.

Uderzyła go otwartą dłonią, z całej siły. Opadł na kanapę. Z rozciętej wargi leciała krew.

- Zapamiętaj sobie, amancie od siedmiu boleści. Możesz całować wszystkie neurotyczne narzeczone, wpół naćpane prostytutki, maolaty i wszystkie inne dziurawe i niedziurawe samobójcze gęsi. Wszystkie nieżywe są twoje. Kojarzysz? Ale nie będziesz całował tylko człowieka.

Wyszła i trzasnęła drzwiami. Ktoś stał w ciemności korytarza jeszcze przez chwilę. Potem dłoń pełna srebrnych obrączek oderwała się od ściany przy drzwiach i znikła w ciemności.

Ranek dla żadnego nie był przyjemny. Borys przyszedł z naręczem gazet i kiwając głową z politowaniem i współczuciem dla głupoty wszystkich zdychających na kanapie, zrobił życiodajny napój. Kawę. Koshe zszedł na dół i usiadł w fotelu.

- Ktoś wie, od kogo mi się dostało? - Rozejrzał się w poszukiwaniu prawdy w ich przepitych oczach.

- Bura wciągnęła cię do domu, a potem chwilę rozmawialiście. Trzasnęła drzwiami, więc chyba nie było miło - odezwał się Prince znad ogłoszeń lokalnych.

- A wiesz za co?

- Nie miałem siły wstać z wyra. Poza tym, gdybym wiedział, to bym cię skroił.

- Też mi nowina.

Wieczorem poszedł do niej do domu. Była po pracy, bo w niedzielę buc z braku klientów zamykał o jedenastej. Zapukał cicho. Otworzyła i stanęła w drzwiach już w piżamie.

- Mogę na chwilę? Nie zajmę ci wiele czasu.

Zaprosiła go gestem do środka. Było skromnie, ale do tego już przywykł. Stanęła przy oknie.

- Wybacz, prócz łóżka nie mam cię gdzie posadzić.

- Nie szkodzi. Chciałbym cię przeprosić, za to co powiedziałem. - Spojrzał na jej brak reakcji. - Lub zrobiłem. - Wciąż nic. - Lub zrobiłem i powiedziałem dzisiejszej nocy.

- Przeprosiny przyjęte.

Jej głos mówił co innego, ciało co innego. Stała daleko, nawet jak na nią. Była skrępowana czy wystraszona? Wziął głęboki oddech.

- Prince powiedział, że wczoraj rozmawialiśmy. Nie wiem, co palnąłem, ale byłem pijany...

- No właśnie. Ludziom po alkoholu rozwiązują się języki i zaczynają mówić bez skrępowania.

Wystraszył się. Wyprostował.

- Z tego co widzę, masz mi wiele do powiedzenia - mruknęła. - Ale nie przejmuj się. Nie szukam w tobie przyjaciela, kolegi czy powiernika. To, że masz o mnie takie, a nie inne zdanie, jest twoim osobistym odczuciem i już go nie zmienię. Masz do niego prawo, choćby twoje słowa mnie obrażały. Przeprosiny przyjęte, sprawa przedawniona. Jest dla mnie jasne, że nie będziemy sobie nigdy tak bliscy, jak ty i chłopaki, albo ty i Maria. Nic na siłę. Ja tu długo nie pobędę. Za kilka lat, a może i wcześniej, wszystko wróci do normy.

Milczał.

- Znowu tak na mnie patrzysz.

- Jak?

- Jakbyś mnie chciał uderzyć.

Odwrócił głowę.

- Dobranoc, Bura.

Wyszedł.

Nazajutrz w szatni był spory tłok. Poniedziałek zaczynał się od odprawy, na którą, o dziwo, poszedł Klecha. Szczegółowo rozpisana listę zadań na cały tydzień powielił i rozdał. Koshego wmurowało, ale nie powiedział nic. Czekali przed windami, kiedy wróci nocna zmiana, i posiadali półsennie na obitym blachą stole. Z jednej windy wyszła grupa dowodzona przez kobietę. Uśmiechnęła się na widok Koshego i podeszła pewnym krokiem.

- Cześć, młody. - Zaśmiała się. - To twoja recydywa? - Popatrzyła po zgromadzeniu, które jeszcze spało.

- Tak. A co, nie widać?

- Inteligencja im z oczu wyziera.

- I wdzięk - mamrotał pod nosem Szczur.

Miała coś koło czterdziestki. Kapitan wspominał, że zgłosiło się dwóch dawnych dowódców, którzy po awansach swoich podwładnych pracowali w Szkółce. To była tak zwana ciepła posadka. Teraz powrócili do czynnej służby.

- Novak. Znam cię z egzaminów - zwróciła się do niej.

- Dzień dobry.

Uniosła brwi.

- Przynajmniej jedna okrzesa. Dzień dobry.

Jej drużyna przyglądała im się ciekawie. Mijali się w szatni kilka razy, ale nikogo z nich nie znała i nie miała czasu na nawiązanie znajomości.

- Film pokazują na szkoleniach z dowodzenia, więc znają cię wszyscy - wyjaśniła, machając głową na swoich z tyłu.

Wolałyby, żeby ten film spłonął w jakiś magiczny sposób. Znikł w czeluściach piekielnych. Zrobili z niej autorytet młodego dowódcy. Pokręcona logika, której nie rozumiała.

- To jest Barbara. Byłem jej podwładnym - przedstawił jej sobie Koshe.

- Podwładnym? - powiedziały razem i zaśmiały się jak stare znajome.

- Młoda zna cię dobrze. - Barbara poklepała go po ramieniu i odeszła.

Gdy wchodzili do windy, mijali się z drugą drużyną. Jej dowódcą był Pepesza. Nie odezwali się do siebie słowem. Chyba już tak zostanie. Do końca będą współwinni ich śmierci. I nawet gdy ktoś będzie im mówił, że jest inaczej, ich to nie przekona. Ona zmaływała swój grzech jak umiała najlepiej. Próbowwała nadać ich śmierci sens. On robił to po swojemu. Poprowadził sześciu najlepszych, by zdjąć z siebie ten ciężar, by jeszcze sobie coś udowodnić.

Na ziemi było spokojnie, ale radar wykazywał coraz to nową aktywność. Źródło zamieszania było w jej kwadrancie. Od kiedy Koshe przestał ciągać ją za sobą, praca była przyjemnością.

- Na dachu. Szczur stań na południowym, Klecha na północnym. Jest twój, Bura. Siedź i czekaj - usłyszała Princea.

Koshe i Borys byli na drugim końcu malowniczego miasteczka położonego w dolinie pośród gór. Ludzie mówili tu po niemiecku.

Wdrapała się na dach po drabinie przeciwpożarowej. Stał tam mały chłopiec. Podeszła ostrożnie bliżej. Stał na skraju i patrzył przed siebie.

- Mam samobójcę przed skokiem.

- Szykujcie się, już do was idą - usłyszała biegnącego Koshego. - Zaraz tam będziemy.

Nachyliła się do niego. Jego wielkie ciemne oczy były mokre od płaczu, a do tego spazmatycznie pociągał nosem.

- Nie rób tego. Jesteś dzieckiem. Powinieneś się bawić, skakać. Zejdź na dół i poszukaj kolegów. Pogracie w piłkę.

Zapłakał mocniej. Widziała, jak biegają głodne maskary, a on drżał coraz mocniej. Szloch przechylił go bliżej krańca dachu. Nie mógł ustać prosto.

- Mamo - usłyszała. - Mamo, wróć.

Gdy chciała go złapać, przeleciał jej przez ręce. Patrzyła jak spadał. W jej głowie działo się to powoli. Trzy piętra w dół. Mgnienie powieki jak godzina. Obudził ją dźwięk upadającego ciała. Podskoczyła. Ktoś zastrzelił dwie Ośmiornice za jej plecami. Klecha stał już na dole przy kałuży krwi. Nikt nie nadbiegł. Nikt nie spostrzegł. Nikt nie zwrócił uwagi na uliczkę na uboczu. Duch chłopca płakał nadal. Chciał do mamy. Klecha wycelował w jego głowę.

- Nic nie poczujesz. Nie będzie bolało.

- Ja chcę do mamy - rozmazał się malec.

- Idziesz do mamy.

Strzelił. Podniosła oczy. Na dachu naprzeciwko niej stał Koshe. Jego mina nie wyrażała nic, ale równie dobrze mógł powiedzieć: „A nie mówiłem. To nie działa”.

## *Istota*

- Ale nudna niedziela - odezwał Szczur spod gazety.

- Może obejrzymy blok anime? - zaproponowała.

- Rasputin i reszta mają jakąś robotę. Ustawiłem nagrywanie - mruknął Klecha, któremu leżała głowa na kolanach.

- No to co?

- Nie możemy oglądać sami. Misza wciągnąłby nas na listę.

- Na jaką?

- Na listę wrogów - wyjaśnił i przerzucił strony gazety nad jej policzkiem. - W kinie też nic nie ma - oznajmił bez większego entuzjazmu.

Rasputin miał u siebie także i Miszę. Chłopak był szalony, a przynajmniej tak wszyscy uważali. Sobą był jedynie na akcji, w każdej innej minucie przechodził metamorfozę w inną postać. Borys jako psycholog



stwierdził nie tyle zaburzenia osobowości, co po prostu sposób jej wyparcia. Był nieszkodliwy, raczej uciążliwy. Ostatnio, gdy go spotkała, twierdził, że jest alfonsem i próbował werbunku. Kiedy przychodzili oglądać anime na TV Tokio, zawsze był kimś innym. Nikt go jednak nie traktował jak świra. Było ciekawie, a zgadywanie, kim teraz jest, weszło im w nawyk. Jednego Misza jednak nigdy nie zaniedbywał. Nosił ze sobą wielki zeszyt i skrupu latnie wszystko zapisywał. Daty, godziny, spotkania. Miał także swoje listy. Nie wiadomo było, co na nich jest, ale były dla niego niezmiernie ważne. Gdy mówił, że kogoś wciąga na listę, to gość już na amen miał przyklejoną etykietkę. Uczyla się z nim historii. Misza był genialny w odgrywaniu historycznych postaci. Gdy był Galileuszem czy Kolumbem, chodził jak odkrywca i mówił w języku z epoki, dziwiąc się wszystkim nowoczesnym wynalazkom. Był jak teatr jednego aktora. Błyskotliwy, przenikliwy, niepowtarzalny. Gdy grał Hitlera, stawał na stole w sali odpraw i nabijał się z faszyzmu. Ruszał namalowanym wąsem jak królik i wyszydzał brak logiki w swoich poglądach. Płakali ze śmiechu. Był komediantem, amantem, robotnikiem, królem wikingów, smutnym klaunem. Mima również grał idealnie. Był każdym tylko nie sobą. Miszka. Genialny wariat.

- Chodźmy na piknik do parku. Weźmiemy koce, jedzenie, badmintona.

Prince obudził się i walnął gazetą Szczura.

- Dzwon do Koshego. Niech weźmie Mię.

- Tu ja, twoja ulubiona i jedyna w swoim rodzaju maskotka drużyny. Skoro i tak nic nie powiesz, wedle zwyczaju, poinformuję cię tylko, że robimy piknik. Weź Mię i swoją blondynę i spotkamy się w parku. Jeśli masz jakieś debilne gry, przynieś ze sobą. - Zamknęła klapkę. - Przyjdzie.

- Skąd wiesz? Przecież się nie odezwał? - Klecha złożył swoją część gazety i cisnął nią na zastawiony stół.

- Zawsze przychodzi.

Tak jak przewidziała, zjawił się po niecałym kwadransie. Mia oczywiście w najmodniejszym stroju, uczesana, wyszykowana i wesoła jak nigdy. Od razu zaczęły grać w badmintona. Zewsząd otaczały ich krzaki i rabaty. Jedyne takie miejsce wśród szarej zbitej masy. Koshe usiadł pod drzewem i rozwiązywał krzyżówki na spółkę ze Szczurem. Nie było z nimi tylko Borysa, który w niedziele zwykle odwiedzał teściów i bawił się ze swoim przychowkiem. Tego dnia był mężem i ojcem.

Patrzyli bez entuzjazmu, gdy któraś po raz kolejny wywinęła orła na trawie. Prince spał ze źdźbłem w zębach. Na kocach, jak na kraciastych plackach pośród zieleni, stały pudełka z jedzeniem. Siedzieli tak do wieczora. Na zakończenie Klecha oznajmił, że idzie kupić im lody do budy na rogu. Zebrał zamówienia i ruszył przez trawnik.

Nie widziała akcji przy rogu budynku. Zagapiła się na Mię, która drzemała słodko na torsie brata. Głaskał ją po włosach. Był dla niej zupełnie inny. Miły i uczynny. Pytał, co zje, i rozpieszczal na każdym kroku. Jak truskawki, to najdorodniejsze. Jak herbata, to taka idealna do picia. Jak ciasto, to bez spieczonych brzegów.

Ona spała na rozgrzanym słońcem kocu. Po prostu nabiegała się dzisiaj i noga ją bolała, bo wpadła w wyrwę w darni i ku ucieście wszystkich przejechała pingwinkiem dobrego metra. Westchnęła.

- Szczur, zabierz je do domu - rozkazał Koshe.

- Dobra.

- A wy dokąd? - spytała.

- Klecha sam tych lodów nie przyniesie - skłamał Spaghetti.

Gdy składali koce, oni już przeskoczyli przez parkan i wybiegli na ulicę. Szli w kierunku, w którym znikła czerwona koszula Klechy. Jak burza wpadli do knajpki na rogu.

- Pytam po raz ostatni! - wrzeszczała w środku zdyszana furia. - Czyj jest ten szary jeep na parkingu?!

- Mój. - Z zaplecza wyszedł pomocnik kucharza. - A o co chodzi? Zastawiłem kogoś?

Koshe chwycił go za kołnierz i wywlókł na ulicę.

- Ty jechałeś nim przed chwilą?

- Ja? Skąd. Postawiłem go tu rano i stoi jak stał.

- Zgadza się - odezwał się kucharz. - Młody nie wychodził nawet na stronę. Dziś niedziela, tabuny klientów.

- Dotknij. Silnik jeszcze ciepły.

Kuchcik pokiwał głową ze zdziwienia.

- Kto jeszcze ma kluczyki?

- Tylko ja. Noszę je w kieszeni, na łańcuszku, żeby nie zgubić. Ktoś się musiał włamać.

Pociągnął za klamkę. Drzwi wozu były zamknięte. Drżącymi rękami otworzył je i sprawdził pod kierownicą, czy nikt nie odpalił z kabli.

- Nie rozumiem. Ja na pewno nim nie jechałem. Jestem jego pierwszym właścicielem. Jeżdżę nim od dwudziestu lat.

Koshe wcisnął młodemu coś na zadośćuczynienie i ruszyli uliczką w kierunku ich dzielnicy.

- O co chodzi? - spytał Natan, gdy zatrzymali się w zaułku.

- Widzieliśmy jedynie samochód. Byliśmy za daleko, żeby dostrzec kierowcę. Minął cię może jakieś pięć centymetrów i tylko dlatego, że się w ostatnim momencie wygiąłeś w pałąk - podsumował Koshe.

- Skurwysyn.

- O! Już jesteście po imieniu - zagruchał słodko Pablo.

Ale Natan nie miał nastroju do żartów. Wyraźnie popładł.

Po raz pierwszy od dawna widzieli go w takim stanie. Kiedy sięgał po papierosa, trzęsły mu się ręce.

- To nie jest pierwszy taki przypadek. Myślałem, że mi się wydaje. Zbieg okoliczności. Ale nie. Ktoś ewidentnie dybie na moje życie. Gdyby chciał mnie tylko okaleczyć, miałby setki okazji. Ale to nie są jakieś tam groźby czy pogrożki. Nie ma anonimowych telefonów ani obicia mordy w ciemnej uliczce. Ten ktoś chce mnie zabić.

- Puknąłeś mężatkę - bąknął Prince.

- Nie. - Natan skrzywił się brzydko. - Nie licząc Jane, nie znam żadnej.

- Co było wcześniej? - spytał Koshe.

- Tydzień temu poczułem dziwny smak w kawie. Wyplułem. Ledwo doszedłem do kibla. Dwa palce i płukanie żołądka u Jane. Powiedziałem jej, że było ciemno i łyknąłem nie z tej szklanki. Popatrzyła na mnie jak na idiotę. Drugim razem, chyba w środę, miałem problem z windą. Zatrzymałem ją Inwokacją, a umiem jej niewiele. Technicy nic nie znaleźli. Znowu wyszedłem na durnia. Gdy wchodzę do pokoju, zapalam światło drewnianą łyżką. Sprawdzam, czy nic nie wisi nad drzwiami. Zaczynam wariować.

- Wariuj dalej. Gdyby nie twój strach, wylądowałbyś pod kołami - skwitował zamyślony Koshe. - Wracamy do Nory. Ani słowa przy dziewczynach.

- Trzeba powiedzieć Burej. Może przypadkiem oberwać. Ciągłe u nas siedzi - zaprotestował Natan.

- Bura już z wami nie mieszka. To po pierwsze. Po drugie, temu komuś chodzi konkretnie o ciebie.

- Cześć. Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - usłyszała w słuchawce.

- Obudziłeś, ale nie szkodzi. Od trzech minut powinnam szorować zęby. O co chodzi? Zmieniamy dzisiejszy termin?

- Nie. Ale to nie rozmowa na telefon, chyba... Czekam na torze o szesnastej. Będziesz miała czas na obiad.

- Dobrze. Do zobaczenia.

Nakryła się po samą twarz.

Wszedł, gdy akurat stała z wycelowanym pistoletem. Jego ludzie krzatali się po strzelnicy, bo kończyli ustawiać tor do strzelania dynamicznego. Był trudny, jednak nie dziwiło jej to. Cezar mówił, że jest coraz lepsza, ale ich poziomu pewnie nigdy nie osiągnie. Strzelnica była na szerokości całej piwnicy, a ona słyszała echo uderzanych jedna za drugą metalowych tarcz.

- Masz ochotę na kręgle?

- Nie wiem, nigdy nie grałam. A z kim gracie, to przyjdę popatrzeć?

- Miałem na myśli nas. Na randce.

Odstrzeliła bloczek trzydzieści metrów dalej. Spojrzała na jego ubawioną twarz. Tarczki w tle przestały opadać.

- Chodź. - Chwycił ją za rękę i wyciągnął z sali.

W samochodzie się nie odezwała. Bawiła się suwakiem od kurtki.

- Jesteśmy na miejscu. - Zaciągnął ręczny.

- Jeszcze nigdy nie byłam na randce. Co trzeba zrobić, żeby się dobrze bawić?

Zaskoczyła go. Wyciągnął kluczyki.

- Być sobą.

- Zastanów się jeszcze. Bycie sobą wychodzi mi świetnie, ale nie zawsze jest fajnie.

- Mnie to zadowoli. Chodźmy.

Kręgle były fajne, a ludzi mnóstwo. Co chwila do kogoś machała. Tor obok grała ekipa Rodmana. Ich tańce po udanym rzucie były paralityczne i śmieszne. Opadła z sił, gdy odprowadził ją pod drzwi windy molocho, w którym teraz mieszkała.

- Tu kończą się pierwsze randki. Chyba.
- A mówiłaś, że się nie znasz.
- Oglądałam filmy dla nastolatków.

Zaledwie musnęła jej usta i to w momencie, kiedy się tego nie spodziewała. Zrobił to, gdy szukała w kieszeniach kluczy.

- Gdzie chcesz iść następnym razem?
- Może wyda ci się nieodpowiednie, to co powiem, ale ja nie lubię jedynie wyszukanych miejsc. Można się dobrze bawić wszędzie indziej. Do tej pory właśnie tak było. Najlepiej bawię się w mało zobowiązujących lokalach.
- Dobrze. Jutro zjemy kolację - oznajmił.

Pokiwała głową.

- Dobranoc.
- Dobranoc. - Weszła do windy.

Gdy dotarła na górę i włączyła telefon, dzwonek odezwał się niemal natychmiast.

- Cześć, co tam?
- Gdzieś ty była?
- Na kręglach. Stało się coś?
- Stało. Dzwonię od godziny - fuknął Szczur.
- Ale co się stało?
- Nic ci nie jest?
- A co niby miałyby być? Zachowujesz się co najmniej podejrzanie.
- Tak tylko pytam. Nie wyłączaj telefonu. To nie mnie porwali i nie ja jestem na najbardziej rozchwytywanym kalendarzu roku.
- Nie byłam sama, więc spokojnie.
- A z kim?
- Z Wierą.
- A. Dziś wtorek, zapomniałem - uspokoił się.
- Nie. Dziś mieliśmy pierwszą randkę.
- Yyyyy?

Rozłączyła się.

To była już druga taka akcja. Radar pokazywał całe skupisko demonów. Przygotowali się jak na wojnę. Ledwo biegła, tak miała kamizelkę przepelnioną granatami. Prince zdębiał po raz drugi.

- To nie jest wina radaru. Jest w porządku.
- Ale tu były tylko dwie chodzące luzem Hieny - zbeształ go Borys.
- Niemożliwe. No to w takim razie ktoś musiał was wyręczyć.
- Dobra, zwijamy się.

Ładnie tu - powiedziała, rozglądając się na boki.

Byli w Rumunii. Piękne widoki, słońce, lekki wiatr.

Tego dnia mieli jeszcze jeden wypad i ten również okazał się podejrzanie łatwy. Byli na targu. Między ludźmi stało jednak coś, co zupełnie nie pasowało do widoku bazaru z chińskimi podróbkami. Stół był pięknie nakryty. Świece płonęły, kwiaty w kryształowym wazonie nietknięte przez wiatr. No i ludzie całkowicie nie zwracali na to uwagi. Podeszli i obścypili go. Klecha uniósł srebrną pokrywę znad talerza.

- Krewetki w sosie ziołowym. - Rozanielona przymknęła oczy.
- Takie same serwują w mojej ulubionej knajpce - wytłumaczył Koshemu Klecha.
- To nie przypadek. Wszystkie te przedmioty należą do jednego z Miast.
- Wszystko inne, prócz krewetek. Taki sos robi tylko jeden kucharz. Słynie z tego przepisu.
- No to jedz, skoro mamy to wybuchnąć w kosmos. - Szczur szturchnął ją delikatnie.
- Nie mogę. Wybieram się dziś na kolację z Lucjuszem. - Wyprostowała się znad kopczyka różowych skorupiaków.

Nie skomentowali, ale zadowoleni nie byli.

Nawet użyła perfum i tuszu do rzęs. Nie była pewna, czy dobrze wybrała. Ktoś zadzwonił.

- Słucham?

- Czekam na dole.

- Dobrze, że już jesteś. Inaczej przebrałabym się po raz czwarty.

Winda trzęsła jak nigdy. Gdy wyszła, czekał na nią w holu. Oczy mu pojaśniały. Chyba dobrze wybrała.

- Zdradzisz, gdzie idziemy?

- Nie. Ale będzie to ustronne miejsce, gdzie mają dobrą muzykę i w miarę dobrą kuchnię.

- To mi wystarczy.

Nie jechali cichymi uliczkami ani nawet nie kierowali się na takie. Zaparkował na podziemnym parkingu.

- Będziemy jeść u ciebie. - Zaśmiała się niepewnie.

- Tak. Kucharz ze mnie przeciętny, ale z muzyką nie przesadziłem.

Czwarte piętro, długi hol. Jego mieszkanie było spore jak na możliwości Miasta. Nie zdziwiło jej to, w końcu był dowódcą nie byle jakiej grupy. Weszła i rozejrzała się dyskretnie. Położył jej dłonie na ramionach.

- Mogę?

- Tak, proszę. - Oddała mu płaszcz.

Torebkę postawiła na krzesło i podeszła do półki z płytami. Wybrała jedną z nich. Pokazała mu ją i podszedł do wieży stereo. Włączył.

- Czytasz mi w myślach.

- To masz sprosne myśli. Ten zespół owszem, jest etniczny, ale jego muzyka budzi pierwotne instynkty. Powinam zacząć się bać?

- Nie - sprostował szybko. - Ale dreszczyk emocji mile widziany.

Poszedł do kuchni, a ona kontynuowała obchód. Lubił sztukę i wyszukany styl. Na ścianach zdjęcia miast z lotu ptaka w sepii. Ciemne drewno mebli, ciemny tkaniny dywan. Firanki na rzeźbionym karniszu.

- Napijesz się wina? Białe?

- Tak - odpowiedziała zamyślona.

Podał jej kieliszek.

- Wino. W kieliszku. - Popatrzyła zdumiona. - Miła odmiana.

Ładnie się uśmiechał. Ciepło. Bezpiecznie.

- Podoba ci się ich styl, nie zaprzeczysz. Inaczej tyle byś dla nich nie zrobiła. Słyszałem, że ucywilizowałaś dzikusów.

- Nie. Ja im matkowałam, a oni tego nie lubią. Ale znosili to dzielnie, trzeba im przyznać.

Zaprosił ją do okrągłego stołu, który stał w kącie pod oknem. Usiadła tak, by móc przez nie wyglądać.

- Oszust. Jesteś dobrym kucharzem.

- Ryba jak ryba. Nic szczególnego. Tak, jak chciałaś. Chwilę milczeli. Potem wyniósł talerze i usiadła na kanapie.

Usiadł naprzeciwko.

- Jestem zdziwiony tylko jednym. Uniosła brew znad kieliszka.

- Ani razu nie zapytałaś mnie o to, czy uczę cię, bo jesteś dobra, czy może dlatego, że mi się podobasz?

Rumieniec.

- Nie wpadłam na to, przyznam szczerze.

- Nie ma potrzeby zgadywać. Uczę cię, bo naprawdę masz predyspozycje. Jutro przejdziemy na dach. Postrzelamy z długiej.

- Naprawdę? - Była zachwycona.

Znowu to zrobił. Spokojnie i bez skrępowania.

- Zaczynam żałować, że nie podszedłem po prostu i nie wyłożyłem jakiegoś tekstu o oczach, nogach czy inteligencji. Żywiej reagujesz na wzmiankę o karabinie, niż o tym, że jesteś interesująca.

- Mówili mi już kilka razy, że nie umiem przyjmować komplementów, więc podziękuję zawczasu.

Była zmieszana i skrępowana. Gdyby można było zapaść się we własnych ramionach, byłaby teraz punktem osobliwym. Wstał i wyjął jej kieliszek z palców. Odstawił go na szklany stolik. W wielkich brudnych oczach zapalił się mały strach. Niewinny i drżący. Szara sukienka jak szkolny mundur, włosy zebrane spinką w kształcie klucza wiolinowego. Ale najbardziej podobały mu się buty na wysokich koturnach. Wystarczyło się nachylić. Nie uciekła. Powoli i nienachalnie. Trzeba było nie lada

wyczucia, by nie spłoszyć, nie wystraszyć. Po dłuższej chwili można było przytulić mocniej. Wyraźniej dać odczuć rękę na plecach. Dotknąć skóry na karku.

Poczuł wyraźne drżenie. Ukryła je, zaciskając mocniej dłonie na jego koszuli. Za późno, zbyt niedoskonale. Palce wsunęły się w kok. Spłynął się oddech. Całował szybciej.

Obudziła się, gdy usłyszała znajomy dźwięk dobiegający z torebki.

- Telefon - szepnęła.
- Myhy - potwierdził.
- Obiecałam Szczurowi, że odbiorę każdy.
- To odbierz.

Minęła go, poprawiając włosy. Stała do niego tyłem, więc nie widziała jego rozbawienia tą sytuacją.

- Słucham - odchrząknęła.

Przejechał palcami włosy zdumiony tym, jak bardzo mu się podobało. Była młodsza, dużo, dużo młodsza. Chodziły plotki, że jest kochanką Kazteza. Chyba w snach. Nie było mowy, by była kochanką kogokolwiek. Kochanki nie całują się jak dziewczynki ze szkoły przyklasztornej. Nie pachną landrynkami i gumą do żucia. A przede wszystkim nie umiałyby tak kłamać. Kochanki są wyuzdane, często pazerne. Kolacja przy świecach - nuda. Rozmowa o muzyce - trzeba się wpraw na niej znać. Seks - rodzaj sportu, sposób spędzania wolnego czasu, sposób na utrzymanie - niepotrzebne skreślić. Znał się na kochankach. Miał niejedną cichą znajomą od czasu do czasu. Nie wstydził się tego. Jego praca nie pozwalała na więcej. Można byłoby się nią zaślaniać, ale prawda była taka, że charakteru też nie miał łatwego. Nie lubił komplikacji. Stał wczoraj przed wyborem. Bura, która była jedną wielką niewiadomą. Dziewczyna zupełnie przeciętna, a jak magnes. Lub cichy niepokój, gdy jest zupełnie tego nieświadoma. No i był jeszcze Koshe i nieprzyjemna przeszłość, do której nie chciał wracać.

Siedziała na skraju krzesła i krzywiła się na sam dźwięk pisku w słuchawce. Zapewne dzwonił Szczur, którego zgrzyt mógł ogłuszyć.

- Dam sobie wszczepić ten przeklęty chip. Gdzie? W... - popatrzyła na niego - ... w piętę.

Zaśmiał się głośno. Podszedł do niej i wyjął jej telefon z ręki.

Cześć, Szczur. Będzie ze mną jeszcze jakiś czas. Gdy od prowadzę ją do domu, zadzwoni do ciebie. Spokojnie. Będę bardzo blisko - zniżył głos. - Na razie.

Oddał jej złożony aparat i wrócił na swoje miejsce. Usiadła i ona.

- Mnie się zwykle nie zauważa - powiedziała cicho. - Za młoda, czytaj za mały biust, wzrost i co tam jeszcze chcesz. Brak makijażu, perfum i całej tej otoczki, która podobno jest konieczna, by się podobać. Próbowałam tak i nie umiem. Wiem, że nie jestem ideałem kobiecej urody ani nie kultuwuję tradycji „muszę się zrobić, to ktoś mnie zauważy”. Więc wytłumacz mi, co planujesz?

Uśmiechnął się znowu, ale nie potraktował jej słów jak wyznania idiotki. Upił wina i odczekał moment.

- Nie jesteś kobietą, więc nie potrzebny ci wizerunek wampa w bordowych stringach, by się podobać. Jest w sam raz do wieku i poczucia tego, jak siebie widzisz. Nie udajesz, i to ci się chwali. Żadnych fiszbin, gąbek czy podnoszących staników. Żadnych błyszczków, mazistych pomad czy szminek z pieprzem. Nawet dziś, a zapewne się szykowałeś. Pachniesz mydłem i świeżym prasowaniem. Zapach już dawno zapomniany i oryginalny. Nie planowałem niczego, poza mile spędzonym czasem. Będę cię całował, to na pewno. To był nasz pierwszy raz i szczerze mi się podobało, więc nie widzę powodu, by na pierwszym razie skończyć. Lubię cię i zapowiada się na więcej z mojej strony. Dobrze się z tobą rozmawia. Spotykałem się z wieloma kobietami. Większość z nich nie używała skomplikowanego słownictwa. Nie dlatego, że były głupie, po prostu nie wysilały się za bardzo. Chodziło o seks i to właśnie robiliśmy. Z tym że ja dawno wyrosłem z uprawiania tego jak sportu.

- Uprawiać to można zagonek z marchewką. Ja mogę się co najwyżej z kimś kochać.

Zmrużył oczy w ogromnej przyjemności.

- I to jest twoja przewaga nad innymi kobietami. Doszłaś do tego już teraz. Odpowiedziałaś sobie na wszystkie pytania.

Wzięła swój kieliszek i usiadła wygodniej.

- No to chyba musimy się lepiej poznać.

Do domu wróciła przed północą. Rozmawiali po trochu o wszystkim. Kino, ulubione filmy, potrawy. Obiecał ją zabrać w miejsce, gdzie serwowali ciasta domowej roboty. Wypili butelkę wina, ale tego nie poczuła. Dużo rozmawiali też o muzyce. Zapomniała być skrępowaną.

Nazajutrz mieli dziwny wypad. Prince posadził Borysa przy centralce, a sam poszedł z nimi. Borys był genialny w swej nieporadności.

- Dlaczego tu wszystko takie małe? Krzesło wpiło mi się...

Ryknęli w windzie. Słyszeli jak przelacza wtyki.

- Trzy świnki.

Czekali.

- Nie będę ich odliczał. Patrz się tu na mnie czarnymi murzyńskimi ślepiami.

Szczur się popłakał. Usłyszeli komentarz Rodmana:

- Patrzcie. Słoń z krzesłem w dupie.

- Ja tyłkiem potrafię wkręcać śruby, a ty swoim grasz tylko w ping-ponga - mruknął spokojnym basem.

Klecha o mało nie odgryzł filtra.

- Wciśnij ten zwiędły cycek. Nie będę robił wsi i liczył świń publicznie.

Wcisnął. Wylądowali blisko siebie. Było białe, zimno i oślepiało ich słońce. Przesłona na helmie była idealnym rozwiązaniem.

- Kto mógłby chcieć popełnić samobójstwo w tym jakże surowym klimacie? Pingwinom znudził się biały? - stęknął Natan.

- Eskimoska nie chciała dać noska - wyklekotał Szczur.

- Borys?

- Nie uwierzycie. Radar niczego nie wykazuje.

- Jak to? Jeszcze przed momentem była tu istna jatka?

Sprawdziłem i na starej centrali, i na nowej i zdalnie podpiąłem się do Drugiego. Byli w zasięgu pięć minut temu i tam też to wykryli. To samo. - Prince gestykulował zamasyżycie.

- Spokojnie. Rozejrzyjmy się po osadzie. - Koshe pokazał palcem na kilka chat w dole zamarzniętej rzeki.

Poszła przodem. Zejście było strome i śliskie pod warstwą śniegu. Weszli między domy. Typowa wioska rybacka. Psy czekały jak oszalałe. Zaprzęgi gotowe do wyjazdu. Rozeszli się na boki. Szli w ciszy i słyszeli jedynie chrzęst śniegu pod butami. Nagle Prince wrzasnął przeraźliwie.

- Stary. Ty to sobie umiesz radzić ze stresem - podsumował Szczur.

To jednak nie był pojedynczy wrzask złości. Pobiegli w jego stronę. Za stodołą, w której trzymano w lodzie złowione ryby, leżał twarzą do śniegu w kałuży krwi. Miał zmiążdżone nogi od wysokości ud przez kolana do kostek. Kilka metrów dalej stał skuter śnieżny. Toporny silny sprzęt do ciągnięcia przez pustkowia ciężkich towarów. Ślady krwi skrzyły się na gąsienicach. Szczur natychmiast uspił Princea i wziął go na ręce.

- Borys, wezwij Jane. Niech szykują stół - rozkazał Koshe.

Zbliżyła się do skutera i obesła go w koło.

- Nie ma ani jednego śladu! - krzyknęła. - Ten ktoś musi umieć latać. Nie ma innego wytłumaczenia.

Pół godziny później Pablo zniknął za drzwiami sali operacyjnej. Zamiast nóg miał miazgę. Siedzieli milczący i wściekli. Rozmowę zaczęli konspiracyjnie, gdy Bura poszła po kawę do szpitalnej stołówki.

- Ktoś nam robi koło dupy - podsumował Borys.

- Tylko kto? Bo na pewno nie Invocato - sprostował ich podejrzenia Koshe. - Invocato bym wyczuł.

Może Pierwsze ma z tym coś wspólnego - podjął Klecha. - Nowe centralki sprzedają się świetnie. Są tańsze, dokładniejsze. Do tego nowa broń. Sprawdza się rewelacyjnie. Jak dopracują ogień ciągly, będzie jak w raj.

- Też możliwe. Trzeba zacząć szukać, bo nas wybiją jak kaczki. Nie wiemy, w co lądujemy. Jesteśmy ślepi i głusi.

- One tam były - odezwał się wystraszony i przytłumiony Szczur i wyciągnął pakul sierści z kieszeni. Borys wziął je do ręki.

- To Hieny. Z posoką. Skąd to masz?

- Były na dechach przy psiarni. Obok piły.

- Więc to coś jest skuteczne. Może jest ich więcej - mruknął Koshe.

Wyszła Jane, zdejmując czepek i maseczkę.

- Ma szczęście. Jest młody, silny. Regeneracja potrwa jakieś dwa miesiące. Na razie wózek, potem kule. Co to było? Wpadł pod sieczkarnię?

Wieczorem odebrała telefon. W jej pokoju działał klimatyzator, ale i tak było chłodno. Nakryła się kocem.

- Cześć. Nie, ze mną w porządku. Tak. Nie... to znaczy. Tam po prostu było dużo krwi, a ja nie lubię widoku krwi...

Rozłączył się. Pięć minut później stał w drzwiach.

- Naprawdę, nic mi nie jest.
- Jesteś blada. Dlaczego tu tak zimno?
- Nie wiem. Klimatyzacja działa.

Okręcił ją kocem.

- Ładnie tu u ciebie.
- Kłamca.
- Lubisz ich styl.
- Nie. Po prostu ja tu zapewne długo nie zostanę. Może jeszcze rok. Może dwa.
- I co będziesz robić dalej?
- Nie wiem, ale tu mnie nie będzie.

- Wiem, że Mnisi maczali palce w tym, jak mówisz, ale nie sądziłem, że i w tym, co mówisz.

Nie mogę powiedzieć ci prawdy. O sobie ani o tym, co będę robiła po upływie tego czasu. Może być nawet krótszy. Przepraszam, ale jeśli ten stan rzeczy ci nie odpowiada...

- Odpowiada - przerwał jej. - Po prostu nie będziemy tracić go na dyskusje o nim.

Był zły.

- Herbaty?
- Nie. I kawy też nie. Zaproponuj mi coś cieplejszego.

Blask od szklanego klosza stojącej w rogu lampy zatańczył delikatnie pod spuszczonej powiekami.

- Wystraszyłaś mnie dzisiaj. Kiedy usłyszałem, że ktoś z waszej drużyny miał wypadek, kolana się pode mną przez moment ugięły, co mi się rzadko zdarza. Czy wyjdzie z tego bez szwanku?

- Tak. Chłopcy dyżurują w szpitalu. Noc spędzi z nim Natan. Rano zmieni go Borys. Mamy jutro wolne.

Cisza. Podeszedł do niej i posadził siebie na kolanach. Łóżko brzęknęło znajomo starymi sprężynami. Oparł się o ścianę i położyła mu głowę na ramieniu.

- Zaśnij. Posiedzę z tobą.

Wstała późno i od razu sięgnęła po telefon. Miała wiadomość od Cezara. „Chrapiesz, skarbie”. Pierwsze czułe słówko, jakim się do niej zwrócił. Patrzyła, nie mogąc w nie uwierzyć.

Prince obudził się już dwa razy. Uśmiechnął się do niej, ale nie dał rady nic powiedzieć. Tak minął im tydzień. Dużo spał, a obok stała pompa morfiny. Codziennie zmniejszali mu dawkę. Siedzieli z nim na zmianę.

W piątek wieczorem poszła do Cezara. Zrobił jej herbatę i rozmawiali o czymś mało zobowiązującym. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami.

- Jestem brudna?

- Nie. Ponętna.

Usiadł obok i zaczęli się całować. Wcisnęła się w miękkie poduchy kanapy. To nie były zwykłe całuski pod drzwiami czy niewinny, pierwszy pocałunek. Nie poczuła, gdy uniósł ją lekko, ani że zmierzają w kierunku drzwi w kącie salonu. Zaczepiła stopą o komodę i otworzyła oczy. Sypialnia była spora, z niewiele mniejszym łóżem. Odrzucił w bok narzutę i nie czekał na jej tak lub nie.

- Wiem - powiedział.

Pościel była chłodna. Zamknęła oczy, gdy całował jej szyję. Miała sweterek z drobno usianymi guzikami. Leżał obok, a mimo to wręcz słyszał jej galopujące serce. Zdjął jej buty i zabrał się do drobnych guzików. W oczach miała niepewność. Włożył rękę pod jej plecy i zjechał niżej. Całowali się coraz gwałtowniej, ledwo łapał oddech. Prosty stanik z delikatnym wykończeniem z miękkiej koronki, wklęsły brzuch. Chciał więcej. Zdjął podkoszulek jedną ręką, potem powoli rozpiął guziki jej dżinsów. Drżała słodko. Nie dał jej zaprotestować, powiedzieć cokolwiek. Drobne biodro wystawało spod zwyczajnej białej bielizny. Wszystko było niewinne, nietknięte. Pasek wylądował na podłodze, uderzając o coś sprzączką. Objął ją ponownie i nie było odwrotu. Szerokie ramiona były zdecydowane. Gdy chciał zsunąć jej spodnie, włączył się alarm przeciwpożarowy i wyłączyły światła.

- Niemożliwe, żeby to się tak skończyło - mruknął jej prosto w ucho, a potem soczyście zaklął. - Trzeba zejść na dół, bo inaczej wywloką nas z łóżka. Takie procedury.

Ukląkł nad nią i przyglądał się przez moment.

- Chodźmy. Odwiozę cię do domu.

- Dobrze. - Usiadła i zawinęła się w sweter. - Czemu tu tak zimno? - Z ust leciała jej para.

- Pewnie klimatyzator się przeprogramował. - Pocałował ją. - Jeszcze do tego wrócimy.

Wyszli w chwilę później. Mijali na schodach zdziwionych

mieszkańców. Nie było ani dymu, ani ognia. Wyszli na parking i po pięciu minutach siedzieli już w samochodzie. Uśmiechał się lekko pod nosem. Był zadowolony i spokojniejszy. Musiał się jej podobać, skoro zaszli tak daleko. Będzie z nią. Rok, może dwa, ale będzie.

Nazajutrz Koshe słyszał, jak rozmawiają przez telefon.

- Dlaczego? Coś się zmieniło od wczoraj? - w jej głosie wyczuł strach. - Wypadek? A co ci się stało? - Zaśmiała się głośno. - No to ładnie. Czyli dosłownie jesteś zawalony pracą? Myhy. Do jutra. Kuruj się.

Bura nie kwapiła się do rozmowy z nim, a brzmiało ciekawie, więc chcąc nie chcąc, musiał spytać Wierę osobiście. Chwilowy pakt o nieagresji może wiele wyjaśnić. Za dużo ostatnio tych wypadków. Wszedł do windy i wcisnął guzik. Nie było mu w smak rozmawiać z nim, ale nie miał wyjścia. Wyszedł na korytarz i skierował się do drzwi na samym końcu. Przy stole stała jego ekipa i rozrysowywała ustawienia. Wiera siedział za biurkiem z ręką na temblaku. Zamarli na jego widok. Podszedł do Cezara i usiadł na krześle po przeciwnej stronie. Milczeli chwilę.

- Pofatygowałeś się osobiście, czyli to coś poważnego.

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, co ci się stało w rękę.

- Nie pogryzła mnie, jeśli o to ci chodzi.

- Odpowiedz mi na pytanie i już mnie tu nie ma. Rozmawiać z tobą lubię mniej więcej tak bardzo, jak z nią się kłócić.

- To żaden wypadek. Półka z mapami spadła na mnie dziś rano. Nadwreżyłem sobie bark. To wszystko.

Koshe wstał i szedł już do drzwi, gdy nagle zatrzymał się i rozejrzał po biurze.

Półki są nowe. Kaztez osobiście je wybierał, a Rasputin przytwierdzał kotwami do ścian. Widziałem to, bo codziennie chodziłem po korytarzach i szukałem tego niedojdy z liczydłami. Lubił z nimi siedzieć. - Zamyślił się. - Zostawcie nas na chwilę samych - zwrócił się do mężczyzn przy stole.

- Idźcie. Przecież nie będziemy się tu bić - burknął Cezar.

Koshe ponownie usiadł na krześle.

- W ostatnim czasie ktoś próbował zabić Natana. Trzy razy. Pabla przejechał skuter gąsienicowy. Tego nie przeczytasz w raporcie, bo oficjalnie spadł idiota z dachu. Teraz ty i wyrwane ze ścian śruby grubości kciuka. W archiwach stały na nich tony papierów i na nikogo nie spadły, więc nie wierzę, żeby to był przypadek. Działo się ostatnio coś dziwnego, oprócz tego dzisiaj?

Przez chwilę patrzył na niego jak na wariata.

- Nic, poza wczorajszym pożarem. Wywaliło rozdzielnię w moim budynku. Spłonęła tylko ona. No i klimatyzator zwariował na chwilę. Było lodowato.

- Co przy tym robiłeś? Wywaliło ci korki? Wlałeś wody do tosterka? Cokolwiek, co racjonalnie może to wyjaśnić?

- Nie. Byłem z Lilith. W sypialni nie mam za wiele elektryki, a było ciemno.

Widział, że go zaskoczył i dobrze się tym bawił.

- Wiedziałem. Mogłem domyślić się wcześniej. Odkąd ten dzieciak stanął mi na drodze, wszystko, co jest dziwne i szalone, dotyczy właśnie jej.

- Nie jest dzieckiem. Poza tym co ma do tego Spaghetti i Natan? To mógł być przypadek.

Koshe uśmiechnął się brzydko. Najwyraźniej Wiera nie znał jej za dobrze.

Natan robi za poduszkę, gdy oglądają telewizję. Do tej pory spała często w jego łóżku. Nic między nimi nie było, po prostu taka mała tradycja w Norze. Pablo z nią tańczy, gotuje, chodzi na zakupy. Tylko ja, Borys i Szczur nie mieliśmy żadnych podobnych sytuacji. Borys ma żonę i traktuje Burę jak



córkę, całkowicie aseksualnie. Szczur jak kolegę, bo ma za małe kobiece atrybuty, a dla mnie jest po prostu podwładnym.

- To za mało, by udowodnić słuszność twojej teorii. - Wyjął z kieszeni bucujący telefon. - O wilku mowa. Słucham. Tak, a za co? - spojrzał wściekle na Koshego. - Nie ma za co. Spotkamy się na obiedzie? Tam gdzie zawsze. Miałem nadzieję, że ci się spodobają. Do zobaczenia.

Odłożył telefon na biurko i milczał przez moment.

- Właśnie dostała bukiet stokrotek.

- Romantycznie - zadrwił.

- Jestem tak samo romantyczny jak ty.

- Więc od kogo je dostała?

- Nie ode mnie. Ale tylko ja wiedziałem, że je lubi. Powiedziała mi o tym ostatnio.

- Mówiłeś komuś?

- Nie.

- To i teraz się nie przyznasz. Burej nie mówiliśmy o wypadkach.

Milczał chwilę zamyślony.

- Zrobimy tak. Jutro idziemy wszyscy na ziemię. Z tego co mówiła, potrafi się materializować, bo Kaztez zabierał ją na zakupy do Paryża. Swoją drogą, muszę przyznać, że ciekawi mnie, który z was zdobędzie rękę księżniczki.

- Do rzeczy.

- Prince ma pierwszą rehabilitację. Portal pomaga w gojeniu się ran. Zejdziemy na ziemię i pobędziemy tam trochę. Może ten ktoś się odśloni. Pójdiesz z nami i sam się przekonasz, że nie żartuję.

- I co wtedy? Liczysz na to, że ją sobie odpuszczę?

- Nie obchodzi mnie jej życie prywatne. Chcę się po prostu przekonać, czy moja teoria ma sens. Tylko bądź dyskretny. Ona nie wie o mnie i o Marii. A tym bardziej o tobie.

Wiera zaśmiał się głośno i pokręcił głową. Opadł na skórzane oparcie fotela.

- Masz tupet, Koshe. Niby nie interesuje cię twoja tylko podwładna, jak ją określiłeś, a jednak trzęsiesz się na myśl, że może się dowiedzieć, jakim jesteś sukinsynem.

- Tobie też powinno na tym zależeć. Obaj nie graliśmy czysto, a ona ma twardy charakter. Jak sobie coś wbije do łba, to tak robi. Uważaj, żeby cię nie przerósł ten romans. Ja mam z nią same kłopoty. Nie lubimy się za bardzo.

- I właśnie dlatego ją lubię. Jedyna, która nie patrzy w ciebie jak w obraz. To musi być denerwujące.

- Nie. To akurat mi się w niej podoba. Jak myśli, tak mówi. Nie zawsze mądrze, ale zawsze szczerze. Zależy mi bardziej na tym, by mnie nie znienawidziła. Trudno pracować z kimś, kto tobą gardzi.

- Zaskakujesz mnie, Koshe. Sam o sobie, tak ostro? - nadal drwił.

- Ma prosty system wartości. Radzę ci się z nim zapoznać, bo kiedyś wyjdiesz poza jej standardy i po stokrotkach. Chcę jedynie spokojnego spaceru z gościem na wózku i na tym koniec.

- A co potem?

- Potem oddam ci, Cezarze, co twoje. Jeśli tylko jest twoje. - Wyszedł.

Nikt inny w całym wszechświecie nie drażnił go tak bardzo jak Koshe. Rzucił długopisem w stertę papierów. Odechciało mu się pracować.

Pablo wjechał do windy w takim strachu, że oblał go zimny pot.

- Co ci jest? To ma być nasz dzień wolny, a ty się trzęsiesz. - Popatrzyła na niego smutno.

Szczur musiał pomóc mu się umyć i ubrać. Zawsze było w nim tyle radości życia, a teraz jego wychudzona twarz pełna była lęku.

Portal pomaga na uszkodzenia ciała - wyjaśnił Borys. - Podczas teleportacji ustawia kości na miejscu. Boli strasznie, ale raz w górę, raz w dół i po kłopotcie. Zostaną mu kule na jakiś czas, ale zejdzie z wózka.

- Potrzytać cię za rękę?

- Dzięki, mała, ale lepiej nie. Połamałbym ci palce. Wał w ten guzik. - Zacisnął ręce na oparciach.

Gdy otworzyła oczy, słyszała jedynie jego krzyk.

- Kurwa - wystękał. - Dobrze, że odwiedziłem kibel przed startem. Szlag, ale boli.

Szczur bez słowa zaaplikował mu dawkę znieczulenia w ramię.

- Chodźmy, poszukamy jakiegoś ustronnego miejsca do materializacji. - Koshe rozejrzał się po okolicy.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- W Wiedniu - odpowiedział jej Wiera i wziął za rękę.

Weszli w zaułek między parkingiem a kramami z pamiątkami. Materializacja była formą prostszej Inwokacji. Często z tego korzystali, bo fikcyjne firmy z zaopatrzeniem usiane były po całym globie. Po chwili stała się całkowicie widoczna dla ludzi.

- Szybko ci poszło - skomentował Klecha.

- Robiłam to już kilka razy.

Wyszli na słoneczny plac. Wzbudzali nie lada zainteresowanie. Wszyscy mówili płynnie prócz niej, a jednak rozumiała wszystko, a oni rozumieli ją. Przechadzali się uliczkami, Natan robił im zdjęcia. Kupiła na straganie różową parasolkę i przymocowała Princeowi do oparcia. Potem wózek prowadzić musiał Borys, bo Szczur brzydził się różowego jak diabeł święconej wody. Zjedli w restauracji pod wielkim białym parasolem. Chłopcy przeglądali gazety. Szczur kupił dwie techniczne książki w księgarni na rogu i oczywiście od razu zaczął je czytać i komentować zacofanie inżyniera, który je napisał. Ona podziwiała architekturę i zrobiła kilka zdjęć z pomocą Natana. Cezar, o dziwo, był zrelaksowany, choć z początku wydawało jej się, że nie przepada za Koshem. Obaj mieli podobny styl bycia, z tym że Lucjusz uśmiechał się, a Koshe wcale. Obserwowała ich dyskretnie znad filizanki herbaty.

- Pójdziemy jeszcze do parku. Zabiorą nas stamtąd za godzinę. - Koshe spojrzął na zegarek.

Usłyszała chichot za plecami. Kelnerki obmawiały ich z drzwi zaplecza. Niestety, rozumiała, co mówiły. Oczywiście gwoździem programu był mruk, który siedział naprzeciw niej. Potem wedle gustów. Żaden nie zwrócił na to uwagi.

- Idziemy, bo jeszcze któraś, nie daj Boże, narazi twoją przestrzeń prywatną, a to byłoby żenujące.

Wstali i każdy wyłożył swoją część rachunku i napiwku. Jej rękę złapał Wiera.

- Nawet o tym nie myśl - powiedział.

Gdy odeszła, pchając wózek Pabla, Koshe nie omieszkiał się z niego ponabijać.

- A nie mówiłem? Nie licz na to, że ci tych pieniędzy nie odda. Kupi ci coś albo zrobi.

- Nie wszystkie chcą twoich pieniędzy. Ona nie umie inaczej, ale ją nauczę.

- Założyłbym się, ale nie chce mi się czekać w nieskończoność.

- To wymaga czasu.

- Nie ma takiego czasu. Przywyknij.

Poszli do parku. Usiedli na kamiennych ławkach, a Szczur padł na trawę i czytał dzieło inżynierskiego idioty. Było leniwie. Mijali ich spacerujący ludzie. Bura poszła do straganu po drugiej stronie wielkiego trawnika. Chwilę ciszy przerwał tylko im słyszalny wizg. Biegły w ich stronę. Drzewa były za wysokie, żeby dostrzec, co tam jest. Ktoś je zabijał, sądząc po hałasie. Nad trawnik i budkę z pamiątkami doleciał tylko Pulsar. Nie widziała go ani nie słyszała. Machała spokojnie głową w takt muzyki w słuchawkach. Szła zaczytana w informatorze turystycznym, z wachlarzem pocztówek w garści. Nagle za jej plecami coś tąpnęło, robiąc dziurę w ziemi. To coś było niewidoczne i duże. Pulsar już chciał owinąć ją płaszczem, gdy to coś odbiło się z impetem od trawy i przebiło go na wylot. Upadł między drzewa kilkadziesiąt metrów dalej.

- Masz to, Prince? - spytał Koshe, który przyglądał się temu z założonymi rękami.

- Tak - odpowiedział, wyłączając kamerę.

- Ty gnoju. Wystawiłeś ją na przynętę - syknął Wiera. - Wiedziałeś, że coś takiego może się wydarzyć i czekałeś na to.

- To coś jej nie zagraża. Jest wielkie, silne, szybkie i chroni ją. Nie wiem, co to, ale na pewno nikt mi znany. Żaden Invocato. Na twoim miejscu zadałbym sobie inne pytanie. Dlaczego wywaliło skrzynkę akurat w takim momencie? Może uznało cię za zagrożenie? Wczoraj dostałeś półką, jutro to może być ściana. Lepiej wróć do wierszy i stokrotek, to pożyjesz nieco dłużej.

Doszła do nich zaczytana w rozdziale o muzeach.

- Gdybym wiedziała, że tyle tu ciekawych rzeczy, nie siedziałabym nad talerzem - oświadczyła z nosem w książce.

Kwadrans później Prince uderzył pięścią w drzwi windy.

- Zniosłem jajko - stęknął. - Uch, w mordę.

- Możesz chodzić? - spytała.
- Bura, jedź z nami. Szczur nie umie robić okładów.
- Dobrze. Tylko pożegnaj się z Wierą.

Podbiegła do Cezara i oddała mu swoje zakupy. Nie wypuścił jej bez ostentacyjnego pocałunku. Pożegnał resztę grupy kiwnięciem głowy i wyszedł.

W Norze Prince był milczący. Posiadali wokół wózka. Wyciągnął spod siedzenia teczkę z dokumentami i przez chwilę ważył ją w dłoni.

- Nie zdziwię się, jeśli po tym, co wam powiem, zawieziecie mnie na dach Posterunku i zrzucicie razem z wózkiem. - Wziął głęboki oddech. - Pracuję dla wydziału wewnętrznego. Przydzielono mnie do was, by inwigilować Posterunek z uwzględnieniem Koshego.

Oczy Szczura przypominały sztuczne szkiełka wypchanego zwierzaka, a Borys mruknął zaskoczony. Bura zerwała się na równe nogi.

- Pablo, powiedz, że nie pisałeś im słówka o mnie. Powiedz, że nikomu nie powiedziałaś.

- Nie, młoda. Nikomu nic konkretnego nie mówię od zamierzchłych czasów. Przekazuję zdawkowe raporty, czasami ratuję wam tyłki przed dochodzeniówką. Właściwie, to nie wiem, co ja tutaj jeszcze robię? Powinni mnie dawno zdjąć, bo niczego, czego już by nie wiedzieli, im nie mówię. Od razu zastrzegam, że Maria o niczym nie ma pojęcia. Moja grupa powstała dawno temu i jest jedyna w swoim rodzaju. Wierzcie mi. Drugiej takiej nie ma.

Koshe stał oparty o tył kanapy.

- Nie wydajesz się zaskoczony - odezwał się Klecha.

- Inwigilują mnie od dziecka. Gdy ojciec szukał kamerdynera, a byłem wtedy bardzo mały, przyszedł do nas Thomas. Z miejsca powiedział, że jest wtyką i że będzie musiał zdawać raporty, ale zastrzegł jedno. Będzie bronił jego i rodziny, ponieważ takie ma zasady. Ojciec go przyjął. Gdy miałem naście lat, usłyszałem od Thomasa to samo, co powiedział wcześniej ojcu. Kiedy zbierałem grupę, liczyłem się z tym, że któryś będzie z przydziału. Od początku wiedziałem, że jest nim Prince.

- Nie pierdol. - Zaśmiał się. - Jak na to wpadłeś?

- Byłeś zbyt idealny. Szkoły, umiejętności, doświadczenie, którego nie ma żaden żółtodziób. Byłoby zbyt doskonale, gdyby nie twoja kontrowersyjna jak na tamte czasy deklaracja seksualna. Zbierałeś baty na każdej imprezie. Pasowałeś więc do nas. Dziwak.

Pablo zaśmiał się triumfalnie.

- Wiedziałem, że to cię skusi. - Cmoknął wymownie. - Było warto.

Koshe zamarł.

- Nie jestem gejem. Nigdy nim nie byłem.

Klecha zadławił się śliną.

- Co? - napuszył się Szczur. - Tyle lat na ręcznym? Nic dziwnego, że słoiki z sosem pomidorowym palcami otwierasz.

Śmiała się tak głośno i szczerze, że aż pocięły jej łzy.

- A ty co tak rechoczesz? Jeszcze powiedz, że wiedziałaś.
- Pewnie, że tak. Może nie od początku, ale się domyśliłam.
- Jak? - zapytał Borys.
- Jeździłam z nim Landrynką.
- No i?
- Czasem siedziałam z przodu.

- Leeeee. - Szczur wywalił jeźor. - To niemoralne, żebyś się komuś podobała. Jesteś bardziej płaska ode mnie. Muszę się napić. - Wstał i poszedł do lodówki.

- Tu jest wszystko. - Makaroniarz rzucił dokumenty na stół.

Koshe usiadł obok Burej i czytał je na głos.

- Pablo Ferrero. Urodzony w... ble, ble, ble. Lat tyle a tyle. Awans po piętnastu. Dowódca oddziału. - Zaśmiał się wrednie. - Proszę, proszę. Nic dziwnego, że trafia cię szlag przy centrali. Uziemilem cię tym przydziałem. I wiesz co? Jeszcze cię trochę nim pomęcę. Uuuu, ile zasług. Ranga kapitańska czeka. Tylko się obejrzeć, a po tylu latach podwójnej służby dadzą ci jakieś ważne, tajne stanowisko - drwił wesoło.

- Będzie tak tajne, że ci o nim nie powiedzą. Dopiero z tabliczki w alei zasłużonych dowiesz się, kim byłeś - pociągnął Klecha.
  - Dwa razy odmówiłeś awansu - spoważniał Koshe. - Raz dwadzieścia lat temu, drugi raz niecałe pięć. Proponowali ci z Pierwszego. Oba. Czemu odmówiłeś?
  - Bo mi tu dobrze - fuknął urażony tym, że może mieć jakiegokolwiek wątpliwości odnośnie do jego wyboru.
- Koshe wrócił do czytania. Po chwili zaśmiał się w głos. Jeszcze tak wyszczerzonego go nie widziała.
- Pokaż. - Wyciągnęła mu z rąk teczkę i wyszukała śmieszny fragment. - Pablo Ferrero powinien natychmiast zaniechać dalszej inwigilacji drużyny Koshego - przeczytała wszystkim.
  - Po wstępnych oględzinach ciała, doszukałem się piętnastu siniaków, dwóch poważnych stłuczeń i jednego zwicnięcia. Rentgen wykazał liczne zbliznowacenia żeber i kilka krwiaków wewnętrznych. Jednak najważniejszym uszkodzeniem okazała się nawracająca marskość wątroby.
- Ryknęli chórem.
- Tak eksploatowany organ nie ma czasu na odpowiednią regenerację, w rezultacie czego potrzebna jest pomoc farmakologiczna, a przede wszystkim przymus odizolowania pacjenta od źródła choroby. W mojej opinii nie należy mu zezwolić na dalszą pracę w terenie. Ludzie, których inwigiluje Pablo Ferrero, są czynnikiem stresogennym, wymuszającym na pacjencie określone zachowania, jak na przykład w tym konkretnym przypadku, skakanie pod wpływem alkoholu do rzeki z mostu o wysokości dwunastu metrów. Jednocześnie zgłaszam pacjenta na badanie psychiatryczne, by wyłonić z podświadomości jego prawdziwe ja, gdyż zachowanie rzezonego względem mojej osoby było, delikatnie mówiąc, napastliwe. Pod wpływem niewyobrażalnej wręcz ilości promili we krwi oznajmił on, cytując: Spróbuj wetknąć mi to w ucho, patałachu, a zrobię ci tym tak dobrze, że sowieci urządzą przemarsz wojsk przez twoją tęczową dolinę.
- Szczur wysmarkał piwo nosem. Wytarła oczy.
- Śmiej więc twierdzić, że zżył się z odgrywaną postacią na tyle niebezpiecznie, że zagraża to możliwości pozostania dalej sobą. Podpisano taki a taki - dokończyła.
  - Dupek. Nastawiał mi bark, gdy byłem po kilku głębszych
  - podsumował zainteresowany.
  - Robiliście takie rzeczy, a teraz tylko pornosy i biba raz na jakiś czas. Starzejecie się. - Rzuciła teczkę na stół.
  - No dobra, a jak kontaktujesz się z nimi? To znaczy z resztą drużyny? - spytał Szczur.
  - Proste jak konstrukcja cepa - odezwała się bez namysłu. Koshe przytaknęła głową, ale reszta nie za bardzo wiedziała, gdzie szukać.
  - Powiedz im, bo Szczur dostanie wylewu, tak poczerwieniał. Zawsze jest purpurowy, gdy mu krew nie odpływa z mózgu.
  - To tłumaczy, czemu na co dzień jest taki blady. - Oberwała książką. - Ogłoszenia. Pokiwali głowami.
  - Mamy klucz, którym piszemy, ale jest tak tajny, że aż banalny, więc szukajcie go sobie sami.
  - Dlaczego przyznałeś się akurat teraz? - spytał Koshe.
  - Bo już czas. Jak się prawie zdechło na śniegu i mrozie, to się przewartościowuje swój świat. Bura, skocz na górę. W wannie powinno być sześć worków żelowych do okładów. Leżą w lodzie. Weszła na górę i słyszeli, jak zamykają się drzwi łazienki.
  - Pytałem wszystkich. Nikt nic nie wie na temat tego czegoś. Przerzyli systemy w poszukiwaniu anomalii, ale nic nie znaleźli. Kilka bójek, jedno oskarżenie o napastowanie seksualne, handlarz drobnicą przyłapany z gorącym towarem. On jest bezpośrednio przy nas.
  - To coś jest przy niej - podsumował Koshe. - Trzymać od niej łapy z daleka. Każdy ma się zająć swoimi sprawami. Żadnych wspólnych wypadów, dyskotek, picia czy spania w jednym wyrze. Trzeba jej wymyślić zajęcie, żeby nie szukała jakichś nowych znajomości. Wiera jest idiotką i nie odpuści. Rasputina i chłopaków też trzeba będzie czymś zająć. Biorę ją na siebie.
  - Dlaczego ty? - spytał Borys.
  - Mam cichą nadzieję, że to coś się mnie wystraszy i pójdzie
- sobie. Przypuszczam, że to nieznany nam astralny byt, który jakimś cudem zyskał świadomość i polubił to chuchro. Może sobie odpuści.

Weszła do salonu. Wiera ubierał się w sypialni.

- Zaraz wyjdę - powiedział gdzieś z głębi.
- Poczekam. Nie spiesz się.

Dziś była kolacja, bo jutro z rana cała grupa Cezara wyruszała na misję. Ich misje zwykle trwały długo, nawet miesiąc. Potem poszli do niej. Zaparzyła im herbaty i rozmawiali o tym, co będą robić, gdy wróci. Wiedziała, że nie pożegnają się o tak. Lampa zakolysała się, gdy całując się zaczęli o nią. Potem stare łóżko skrzypnęło złowieszczo, gdy na nie upadli.

Było mu z nią dobrze. Uśmiechnięta, prostolinijna. Nie chciała od niego wiele, a im mniej chciała, tym więcej pragnął jej dać.

Ręka pod sukienką przesunęła się wyżej. Zadrżała, gdy wsunął ją pod majtki i zacisnął lekko na pośladku. Masował smukłe biodro. Cokolwiek by się teraz stało. Pożar, gradobicie, a nawet burza, nie przestanie. Wymacał pod nimi kołdrę i zarzucił ją na plecy. Wyjął z kieszeni telefon, wyłączył go na oślep i rzucił na podłogę. Luźne ramiączko sukienki zsunęło się odpowiednio nisko. Po dłuższej chwili coś trzasnęło w kuchni. Przerwali. Jedna po drugiej filiżanki z herbatą zaczęły pękać i na szafki wylała się ciemna gorąca ciecz.

- Chyba za nie przepłaciłam. - Łapała oddech.
  - Nie. To zegar wybił drugą. Na mnie czas. - Pocałował ją mocno. - Kiedy wrócę, każde z nas weźmie dzień wolny i nie wyjdziemy z łóżka. Chcę się z tobą kochać.
  - Wiem - odpowiedziała niepewnie. - Można powiedzieć, mowa ciała.
- Zaśmiał się.
- Nic na nią nie poradzę. Będziesz jutro przy portalu?
  - Tak. My mamy tylko poranne zmiany, więc tak.

Popatrzył na to, co zostawił za plecami. Odwrócił się od drzwi.

- Już zapomniałem, jak to jest mieć dziewczynę. Całkiem miłe uczucie.
- Ja muszę się nauczyć mieć chłopaka, więc... Spraw, żeby to było miłe uczucie.

Tydzień po tym jak pożegnali się przed portalem we wtórze śmiechów i przytyków, Koshe odebrał telefon. To był Wiera.

- Koshe.
  - Wiem, że tylko ty masz na tyle jaj, żeby złamać protokół - wyszeptał do słuchawki.
- Koshe machnął na resztę, żeby przyciszyli telewizor.

- Czemu mówisz tak cicho?
- Jesteśmy obleżeni już od tygodnia, właściwie od momentu wylądowania. To miała być rutynowa akcja, ale trafiliśmy w sam środek piekła. Nie wywinimy się żywi, jeśli ktoś nas nie wesprze. Kombinuj, Koshe. Wiem, że chciałbyś mnie widzieć martwego, ale ja tu nie jestem sam. Oni nie wiedzą o opiece Lilith, a to z pewnością on. Nasze koordynaty są na biurku pod kubkiem z niedopitą kawą. Macie godzinę. Potem całkowicie skończy się nam amunicja.

Rozłączył się.

- Ani słowa Burej. Zbieramy się. Wiera spotkał to coś na ziemi. Obleżeni są już tydzień. Brać wszystko. Nie zdziwię się, jeśli nie pójdziesz, Borys. Masz rodzinę.
- On też zapewne jakąś ma.

Pół godziny później stali przy portalu. Każdy obładowany bronią. Nad karkiem mężczyzny z krwistą koloratką wystawała rękojeść miecza. Używał go sporadycznie i tylko w sytuacji ekstremalnego zagrożenia. Reszta wyglądała w miarę normalnie, choć prawie nie było ich widać spod natłoku majdanu. W sali nie było nikogo. Jak dobrze pójdzie, uwiną się przed nocną zmianą. Za centralką posadzili Kazteza, obiecując jednocześnie, że wszystko mu wytłumaczą, kiedy wrócą. Nie był zadowolony. Zwykle po takich akcjach musiał się gęsto tłumaczyć.

Wylądowali w parku tuż obok jakiejś rezydencji. Wiera zwykle zdejmował demony, które zasadały się na kogoś ważnego i dążyły do chaosu. Wojny, zatrucia środowiska, ludobójstwa. Czekali na delikwenta i jeden celny strzał rozstrzygał sprawę.

Powietrze było lepkie od astralnej siły. Ledwo oddychali.

- Gdzie jesteś, Wiera?
- Na południowej ścianie - szepnął i trzeba było się nie lada skupić, by usłyszeć ten szep.

Byli we Francji.

Pobiegli przy drzewach. Dwa Pulsary rozłożyły nad dachem swe amebowate cielska. Jeśli Pulsar zbyt długo ma na coś wpływ, zwykle kończy się to tragedią. Sami nieraz widzieli, jak matka topiła własne dziecko, syn zabijał ojca, zagryzały się psy. Na nich Pulsar również miał wpływ. Ból był niewyobrażalny, tętniący, uporczywy. W głowie pojawiały się obrazy, wspomnienia, te najbardziej bolesne, najokrutniejsze. Gdy zabijasz albo gdy widziałeś jak kogoś zabijano.

- Musimy zdjąć ścierwo - powiedział Borys. - Idźcie. Ja i Szczur rozwalimy to z działa.

W tym samym momencie Szczur skończył montowanie na metalowym barku poruszanego zdalnie działka. Ruszył głową na boki i skalibrował broń. Przeszli połowę drogi, gdy usłyszeli wizg zdychającej ameby. Uderzyły cielskami o ziemię. Koshe zdziwił się, że są tylko dwie. Wyjął słuchawkę z ucha.

- Coś tu jest nie tak. Ludzie Wiery to najlepsi strzelcy. Poradziliby sobie.

- Czyli co? - spytał Prince.

Pułapka - mruknął Klecha. - Wchodzimy w nią jak po sznurku. Tylko po co Lucjusz miałby nas prowadzić na śmierć?

- To proste. Nie on nas prowadzi.

Czyli to coś miało siłę perswazji lub siłę opętania, a najpewniej jedno i drugie.

- Idziemy górą. Prince sobie przypomni pionową Inwokację albo wejdzie ci na plecy i jesteśmy w domu.

Włożył słuchawkę do ucha.

- Kod pomarańczowy, panowie.

- Zrozumiałem - pisnął Szczur.

Zbliżyli się do ściany. Powoli weszli pod dach, omijając okna i starając się nie rzucać cienia w wieczornym słońcu.

- Tam nic nie ma. Jest czysto. Radar niczego nie pokazuje - odezwał się Kaztez.

- Wiemy, inaczej przysłaliby tu kogoś z Pierwszego. Mijam już trzecią Iskrę - odpowiedział mu szeptem Koshe. - Słuchaj naszych rozmów, łatwiej nam będzie potem to wszystko wytłumaczyć.

- Dobra.

Weszli na dach i odrzucili właz. Rezydencja była sporych rozmiarów. Pomarańczowe słońce romantycznie zajęło dolinę, na skarpie której stała. Wskoczyli do środka i zaczęła się jatka. Prince zestrzelił dwie Iskry u szczytu schodów. Smugi światła można było ustawić na ogień ciągły. Szybciej schodził jego zapas, ale łatwiej szło przecinanie ich cienkich ramion. Padły na stopnie i splątały się ze sobą w martwym uścisku. Szli dalej.

- Wchodzimy frontowym. Tu chyba nikogo nie ma, wszystko pootwierane - zapowiedział Borys.

Piętro niżej, w ogromnej sali wiły się Hieny. Jak naćpane koty tarzające się w kocimiętce. Koshe odblokował dwudziestkę i wturlał ją po podłodze do środka. Nawet jej nie zauważyły. Po chwili spod drzwi wyjrzało oślepiające światło. W pokoju obok leżały ciała rodziny. Rodzice i trójka dzieci. Strzały w głowę. Ojciec trzymał broń. Klecha zamknął drzwi.

- To musiało być coś naprawdę silnego, skoro przełamało więzy krwi. Rzadko się takie coś widuje - mruknął Prince.

- Za dużo tych pokoi, a w każdym coś ciekawego. Idziemy prosto do holu.

Zeszli krętymi schodami z kutą balustradą. Na dole czekała ich niespodzianka. Borys stał w drzwiach z rękami za głową. Obok Szczur, zaciskając wściekle szczękę. W drzwiach pod schodami zobaczyli Wierę. Koshe stanął tak, by w razie ataku móc obronić resztę za plecami. Zajęli miejsca gotowi do strzału. Wiera wyglądał jakoś dziwnie. Niby utrzymywał się na nogach, ale jednocześnie chybotał się jak kukła pociągana za sznurki. Wycelował prosto w swojego zagorzałego wroga.

- Zawsze chciałem to zrobić - wystękał z trudem, ale jego oczy mówiły co innego.

W tym samym momencie wybiegła jego drużyna, o ile można było to nazwać biegiem. Opierali się, walczyli, ale w ich oczach widać było strach i ból. Przerazający ból.

- Mógłbyś mieć na tyle odwagi, by przedstawić się nam osobiście. Używanie człowieka jako tarczy nie świadczy o tobie dobrze - warknął Koshe, próbując sprowokować niewidzialnego przeciwnika.

Byli na celowniku. Wszyscy. Klecha sięgnął za plecy.

- Trzymajcie się od niej z daleka, nie jest wasza - wystękał z bólem Wiera.

- A twoja niby tak? Co jest w tym nieopierzonym kurczaku, że tak cię zaciekawiła, ha? - Koshe grał na czas.

- Nie jest twoja ani moja. Należy do niego.

- Spoko. Daj mi namiar na gościa, to ustalę z nim jej obowiązki. Jeśli się na nie zgodzi, może sypiać nawet z Dalajlamą. Nic nam do tego.

- Czyżby? Mówię po raz ostatni. Wara od niej.

Klecha widział kątem oka, że rudzielec naciska spust. Inwokacja zapłonęła jednocześnie na klindze miecza i koloratce. Krwawe litery wirowały wokół jego spokojnej sylwetki. Ruszył od lewej. Prince poszedł prawą. Jego modlitwa rozwinęła się jak wstęga i przejmowała lecące kule. Mnożyła się i była już niemal w całym pomieszczeniu. Koshe wiedział, że Prince musi być zdolny, bo inaczej nie zostałby dowódcą, ale poziomem umiejętności przyjemnie go zaskoczył. Był lepszy, niż można się było tego spodziewać.

Wstęgi owinęły głowy i ręce szóstki snajperów. Ostatnią kulę złapał Klecha końcem sztychu, tuż przed twarzą Szczura. Młody przełknął głośno ślinę. Mężczyźni padali jeden po drugim, wijąc się z bólu i krzycząc, jakby ich ktoś obdzierał żywcem ze skóry. Borys i Szczur podchodzili kolejno i kolos podnosił ich z ziemi tylko po to, by zakończyć męki i ogłupić Inwokacją. Stosował ją przy atakach paniki. Szczur zabrał im broń. Sadzali ich pod ścianą, całkowicie nieświadomych. Ślady liter przebiły się przez skórę do mięsa. Ból musieli odczuwać, nawet śpiąc.

- Oddaj nam Wierę. Jeśli jest świadomy, na pewno zrozumiał twój przekaz. Zostawi ją w spokoju.

- Zabiję go, jeśli dotknie jej jeszcze raz.

- Zrozumieliśmy. Puść go. Jestem Invocato. Wiesz, co to takiego?

- Tak.

- Nie zmuszaj mnie, byśmy się trochę pobawili. Ja nie zwykłem się hamować.

- Wiem, kim jesteś - wyartykułował sztucznie siny na twarzy Wiera.

- Więc darujmy sobie konwenanse. Dziewczyna nie jest łatwa. Nawet jeśli żaden z nas jej nie dotknie ani na nią nie spojrzy, ona będzie to robić. Musiałbyś zabić cały świat, a i tak się nie zgodzi być z mordercą.

- Nie musi się zgadzać.

Chwilę trwali w bezruchu. Nagle Koshe odbił się od marmurowej posadzki pod samą kopułę świetlika. Chwycił to astralne coś, zanim wbił się z hukiem w taflę. Wyciągali spod szkła pokaleczonych ludzi z oddziału Cezara i jego samego, bo padł nieprzytomny na ziemię wraz z odłamkami. Koshe stał na skraju dachu.

- Widzę twoją aurę. Nie jesteś demonem. Nie jesteś duszą. Ale nie dam ci tak po prostu zwiać.

Ośmiornice zaatakowały ze wszystkich stron.

- Spierdalajcie stamtąd! - krzyknął Kaztez. - Radar oszalał.

- Do następnego - odezwał się Koshe i zeskoczył z dachu.

Doszedł do nich i czekali na transport.

- Spójrzcie na drzewa - odezwał się Szczur, który trzymał na rękach nieprzytomnego Wierę. - Jeszcze przed momentem były zielone.

Rzeczywiście, zanim oślepiło ich światło, widzieli to dokładnie. Jedno z drzew miało piękną, jednolicie rudą koronę. Drugie stało obok. Siwe liście kołysały się na wietrze jak ulepione z popiołu.

Koshe uleczył im rany, zanim otworzyła się winda. Kaztez nie był zadowolony, ale pomógł zanieść ludzi Wiery do najdalej położonej części zabiegówki, w której pracowała Jane. Położyli ich na łózkach. Podłączała kroplówki drżącymi palcami. Stwierdziła u wszystkich skrajne wyczerpanie.

- Czy to konieczne? Nie możesz poczekać z tym do jutra? - spytała Koshego, który cucił Cezara.

Koshe zamknął oczy i siny ślad na szyi Lucjusza powoli nabrał cielistego koloru. Inwokacja, która leczy, była jedną z najtrudniejszych, jakie musiał opanować. Gdy Jane wyszła, spokojnie opowiedzieli wszystko kapitanowi. Był przejęty i wściekły. Potem skończył chrypać Wiera.

- Tydzień dyszał mi nad karkiem. Skurwiel. Jest silny. Ma zdolności, jakich do tej pory nie znałem. Inwokacja przy tym to przedszkole. Myślałem, że mnie zabije, ale on chyba chciał

porozmawiać i z wami. Kazał mi mówić to, co myśli. Nie było tego wiele. Jest pusty. Zero emocji, zrozumienia, empatii. Po prostu twór. Ma zadanie i je wykonuje tak, jak komputer wykonuje program. Walczyliśmy z nim dwa dni. Nie czuł z tego przyjemności, nie rozumiał oporu. Byłem bliski wsadzenia sobie lufy w usta. Zagonił nas do tej rezydencji, osaczył. Wariowaliśmy.

Dobre pięć minut ciszy zawisło im nad głowami.

- Dajcie mi kartkę i coś do pisania.
- Po co ci? Na testament jeszcze za wcześnie - stwierdził Prince.
- Nie będę zrywał przez telefon. Wolę nakłamać, żeby się nie wystraszyła. Pewnie i tak się boi. On jest przy niej. Nawet jeśli nie robi nic, pewnie go czuje tak samo, jak ja go czułem.

A więc jednak ten romans go przerósł. Koshe nie był z tego zadowolony. Wolał, by rozpadł się naturalnie. Byłoby mniej skutków ubocznych. Może kilka dni smętnej muzyki i babskiego chlupania w poduszkę, może krótka sesja z wódką i kacem. Było jednak gorzej. Nie widzieli jej już cztery dni. Nie odbierała telefonu. Nie otwierała nikomu. Po prostu jakby zapadła się pod ziemię. W nocy czwartego dnia zbierało się na burzę. Odebrał telefon z takim samym entuzjazmem jak pozostałe pięć w ciągu ostatniej godziny.

- Przyjedź - usłyszał słaby głos. Pociągnęła solidnie nosem. - Chyba jestem chora, a nie mam co jeść. Bądź na tyle wredny, żeby kupić coś ciepłego, przyjsć tutaj i pogderać, jaka to jestem beużyteczna, głupia i młoda. Chcę rosół. Jesteś Księżę Koshe. Obudź kóregoś z nadwornych kucharzy i rozkaż „rosół damie przynieście, bo smarki łyka” czy coś takiego. Mam nadzieję, że się przeziębicie. Głupio wyglądałbyś z gilem pod nosem, więc pewnie nie. To do zobaczenia. Życzę sobie też jakieś cukierki i inne takie. Chorych należy rozpieszczać, prawda?

Rozłączyła się.

- Thomas.
- Słucham? - Starszy, stateczny pan pojawił się w drzwiach pokoju.
- Rosół damie przynieście, bo smarki łyka - palnął bez namysłu.
- Jak rozumiem, ktoś jest chory.
  
- Nie ktoś, tylko wariatka, która tak skutecznie wywołuje u mnie nerwicę. Mamy coś na ciepło?
- Oczywiście. Odgrzeję i zapakuję.
- A jakieś słodczye są? O tej porze już nic nie dostanę. - Spojrzał na zegarek.
- U nas zawsze są. Mia lubi czasem pogryzać, ale się oczywiście do tego nie przyzna, bo to takie infantylne - podsumował z przekąsem.

Kwadrańs później stał pod jej drzwiami w zatęchłym korytarzu. Zapukał i otworzył mu potwór z głębin przepastnego wyra. Trzy warstwy koca i jeszcze się trzęsła. Nic dziwnego. W pokoju było lodowato. Wszedł bez słowa i od razu ruszył w stronę klimatyzacji. Działała prawidłowo. Widocznie musiał być w jej pokoju, bo temperatura spadła niemal do zera. Zdjął jej z pleców koce i ubrał ją w swój wygrzany płaszcz. Odetchnęła głębiej. Nałożył jej słuchawki.

- Skup się na muzyce. Prince wynalazł ci jakiś zespół. Podobno ma ci się spodobać. Mówił, że czwarty kawałek jest najlepszy.

Słuchawki były podpięte do jego telefonu. Wzięła go lodowatą ręką i słyszał, gdy głośno włączyła. Odwrócił się do drzwi i je otworzył.

- Wyjdź stąd. Ona jest chora, a ty jej nie pomagasz. Pilnuj jej zza drzwi, bo wyląduje w szpitalu. Obiecaliśmy, że jej nie dotkniemy i tak będzie.

Drzwi były otwarte jeszcze kilka minut. Zdążył wypakować jedzenie i wyłożyć je na talerze. Była zupa z groszku, którą uwielbiała Mia. Pikantna potrawka z kapusty pekińskiej i papryki na rozgrzanie. Butelka świeżo wyciśniętego soku, batony, ciastka, paczka chusteczek jednorazowych, i aspiryna. Thomas jak zwykle myślał o wszystkim. Koshe zamknął drzwi, bo zaczynało się robić ciepło. Doszedł do wniosku, że tamten jednak posłuchał i wyszedł.

Za oknem zaczął padać deszcz.

Gdy zjadła w zupełnej ciszy, oddała mu płaszcz i telefon. Zakopała się pod koc i pociągnęła nosem. Koshe siedział w nogach jej łóżka.

- Dziękuję. Możesz już iść. Powoli mija mi niepełnosprawność.
- Dlaczego zadzwoniłaś do mnie?



- Bo nikt inny nie odbierał, a kapitan jest na dole. Nie chciałam go martwić. Ma jakieś spotkanie w interesach.

Nie odbierali, bo tak ustalili między sobą. On podjął się opieki nad Panną Wieczne Kłopoty. Był najsilniejszy, a może najgłupszy?

- Nie mogę teraz wyjść. Będzie burza.

- No to co? Nie masz parasola?

- To twoja pierwsza burza?

Chwilę myślała i podniosła się zaciekawiona z poduszki.

- Dziwne, ale tak.

- Bo do tej pory unikaliśmy ich jak ognia. Ale trzeba naładować baterie. Będzie w nas waliło jak w bęben. Raz za razem. Kraty na budynkach są po to, by łapać pioruny. Cała energia z nich jest magazynowana.

- Nie da rady tego zrobić. Ludzie próbują od lat. Oglądałam o tym program. Jedna burza zapewniłaby energii na pół roku dla Los Angeles. Nie umiemy ich magazynować.

- Już ci kiedyś mówiłem. Nasza ewolucja technologiczna poszła innym torem. Da się to zrobić.

Pociągnęła nosem.

- Nie wyłączą prądu?

- Nie. Ale muszę to przeczekać tutaj, bo wyjście na zewnątrz grozi śmiercią.

Podsunał sobie karton pod nogi, a lampkę przeniósł na swoją stronę łóżka. Wziął do ręki notes i liczył coś w zamyśleniu.

- Nie mogę spać od trzech dni - powiedziała, patrząc na chmury za oknem.

Nie podjął tematu.

- Ktoś mnie obserwuje. To znaczy, takie mam wrażenie. Jakby ktoś na mnie patrzył z ukrycia.

W budynek obok uderzył pierwszy piorun. W pokoju pojaśniało. Odłożył pióro.

- Jesteś inna. Możesz reagować inaczej niż my na ten świat.

- Myślisz, że wariuję, prawda? Że to przez to, że Wiera...

- Nie. Myślę, że za długo siedzisz tu sama. Powinnaś dalej chodzić na strzelnicę. Poprosić kogoś innego o pomoc. Kogoś, kto się na tym zna. Saszka jest niezły i cierpliwy, a przy tobie to wymagane. Wiera musiał wyjechać, ale to nie znaczy, że nie możesz kontynuować nauki. Myślę, że powinnaś wybrać studia i skupić się na przetrwaniu pierwszego roku. Mia już czyta materiał. Tak się nakręciła, że sam się dziwię.

- Mia jest inna niż myślisz. Wystarczy ją odpowiednio naprowadzić. Na spokojnie wyjaśnić, po co się uczyć. Pogadałyśmy sobie o tym jakiś miesiąc temu. Obiecała, że się namysli, co chce studiować i czego oczekuje po nauce. Z tego co wiem, zastanawia się też nad podjęciem jakiejś pracy. Chce się uniezależnić od ciebie i nazwiska. Sprawdzić się. Udowodnić, że sama też coś potrafi.

- No to już się nie dziwię - westchnął.

- Ja nie wariuję. - Kolejna jasna smuga uderzyła gdzieś blisko. - Już kiedyś czułam na sobie takie oczy. To śmierć.

- Nie kpij sobie ze śmierci. Nie w takim miejscu. Tu wszyscy...

- Ja nie jestem wszyscy. - Ukryła twarz w dłoniach. - Wiem, co mówię. To śmierć. Nic innego nie ma tak lodowatego oddechu.

- Jesteś zabobonna?

- Nie. Ale jednocześnie nie chodzę na cmentarz po północy i nie naśmiewam się z rytuałów, których nie rozumiem.

- Zaśnij. W burzę dobrze się śpi. Posiedzę tu i popracuję.

Zakopała się pod kołdrę.

- Dlaczego nazwałaś mnie dziś Księciem Koshe?

Zachichotała z zatkanym nosem.

- Jak się udusisz gilem, to ja ci usta usta robił nie będę.

- Dowiedziałam się od Mii. Sporo tych tytułów. Rodzice mieli poczucie humoru.

- To nie rodzice. Śpij smarku.

- Dobranoc, Książę Koshe.

Siedział do północy. Potem wyszedł i cicho zamknął drzwi.

- Nie wchodzi tam. Jesteś zimny jak biegun północny. Nie wykuruj się, gdy będziesz jej wisiał nad głową - powiedział jakby do siebie. - Ona nigdzie nie ucieknie, a przez ciebie myśli, że śmierć po nią przysłała. Nie śpi i nie je. Tego nie przewidziałeś, prawda? Partaczysz robotę. Wiedział, że słucha. Nie wiedział, jak to coś wygląda, jak funkcjonuje, co myśli, ale wiedział, że słucha.

## Wyrok

Ostatni tydzień był nawet niezły, wzięwszy pod uwagę to, że to coś nie łączyło z nią na każdą posiadówkę z anime, na każdy wypad do baru czy do stołówki. Nie było czuć chłodu, gdy siadała obok. Akcje też mieli w miarę normalne i wszystko jakby ucichło. Gejzer jednak wybuchł i to za sprawą jej samej, a nie demona bez nazwy.

Był poniedziałek, a ona dziwnie nerwowa. Prosto z szatni poszła do biura Kazteza. Kierowani intuicją wychylili się do sali odpraw. Przy stołach kilka drużyn czekało na swoją kolej do zejścia. Wszyscy odwrócili się jak na komendę.

- Jak to nie przyznano?! Dlaczego?!

Kaztez mówił coś cicho i uspokajał ją ręką.

- O co jej chodzi? - spytał Szczur.

- O przepustkę. Ciągle powtarza, że chce zejść na dół - odpowiedział Natan.

Jeszcze chwilę stała bez ruchu.

- Niedobrze. Gdy zaczyna myśleć, są z tego tylko kłopoty - odezwała się góra mięśni nad ich głowami.

Borys jak zwykle miał rację. Patrzyli, jak trzaska drzwiami, i idzie w kierunku wyjścia.

A ty dokąd?! - krzyknął Makaroniarz.

- Rozdział drugi, podpunkt czwarty! - odkrzyknęła mu z głębi korytarza.

Prince zmarszczył czoło. Popatrzyli po sobie inteligentnym wzrokiem.

- Ale z was głąby - odezwał się po chwili uśmiechnięty Sierżant. - Jak wyście się uchowali bez znajomości kodeksu? „Niesubordynacja. Podpunkt czwarty. Jeżeli żołnierz niższy rangą uderzy, znieważy bądź obrazi publicznie wyższego rangą, bez wymaganych procedur trafia bezzwłocznie do jednostki karnej”. I to pod sam mur, panowie. Radzę się pospieszyć.

- Parowa miał w sobie sporo łaski, że nie poprosił o jej zawieszenie. - Klecha zaśmiał się ironicznie.

- Poprosił, ale Stary zapłacił mu solidnie, żeby poprzestał na przeprosinach. Za dobrze na tym nie wyszedł. - Koshe zamyslił się na chwilę. - Gdzie może być teraz Sadysta?! - rzucił przez salę.

- W Szkółce. Ma teren za budynkiem obok schodów przeciwpożarowych - odpowiedział Rodman znad zaciętego zamka karabinku.

Zerwali się wszyscy i kilkoro ciekawskich, w tym i Rodman. Biegli na skróty przez podwórko i dziurę w płocie, z której korzystali uczniowie. Gdy dobiegli na skraj budynku, właśnie zamierzała się na rybią twarz. Była za daleko, by go sięgnąć, ale pałka teleskopowa, która rozsunała się z pędu już nie. Dostał dwa razy w oba policzki. Z rozciętych szram ciekła krew.

- Mówiłam, że kiedyś oberwiesz za swój rodzaj współpracy. Będziesz jak napiętnowany zboczeniec. Zero. Społeczne nic. Mniej niż gównno.

- Ty suko - wysyczał wściekle.

- No dalej. Nawet nie wiesz jak liczę na twój delikatny dotyk, złamasie.

Zamierzył się. Dostała z pięści w szczękę i padła na ziemię. Uczniowie byli w głębokim szoku. Nie ruszył się żaden.

Sadysta chciał ją kopnąć, ale czyjs but ściał go z nóg. Za to buty wściekłego Koshego poznała od razu. Stał nad nią.

- Ty idiotko. Mogłaś mnie poprosić o przepustkę. Załatwiłbym ci ją.

- Nie zamierzam prosić o nic, co mi się należy.

- No tak. Użyłem złego słowa. Ty się zapisz do feministek. Nie noszą majtek, są wyszczekane i palą fallusy ze słomy. Jak nic do nich pasujesz. Teraz pójdziesz w takie miejsce, że wypinać się będziesz co noc. Zadowolona?! - darł się.

- Tak. Bo on też się tam nadstawi. I to nie raz. Prawda, cukiereczku?

Sadybę trzymał wyszczerzony Rodman.

- No jak nic teraz jest komplet. Jeszcze tylko ty i Koshe nie byliście w karnej. Macie w sobie czynnik destrukcyjny czy jak?

- Kurwa mać. - Kaztez przeciskał się przez siatkę. Nawet jego kroki były wściekłe. - Co tu się dzieje bez mojej... - zamilkł.

Jego ukochane dziewczę stało z siniakiem na całym policzku, uwalane błotem po czubek głowy. Zamknął oczy. Nic nie szło tak, jak należy. Albo ktoś zasiał tu ziarno szaleństwa, albo nie wiedział, co czyni, w momencie gdy pokochał ją bez pamięci.

- Złożymy się na łapówkę dla strażników - podsumował jeden z uczniów. - W jego drużynie była moja starsza siostra. Skończyła w domu bez klamek. Nie mogę jej kupić tabletki zapomnienia, ale skurwysynowi zapewnię rozrywkę, a jej ochronę.

Popatrzyli na chłopaka.

- No co? Może mi naskoczyć. Nie jestem jego uczniem już od pięciu minut, a do cywila mogę mówić, co mi ślina na język przyniesie. - Wzruszył ramionami.

Do jednostki trafiła przed wieczorem. Koshe zapłacił za pojedynczą celę. Był wściekły, ale zrobił, co należy. Klecha w niemal każdej celi miał jakiegoś znajomka. Oczywiście nie przyszli z pustymi rękami. Obdzielili papierosami, wódką, świerszczykami. Pogadali, pośmiali się, zapewnili jej ochronę i nietykalność. Prince przyniósł niesprzedany hasz i kilka torebek białego proszku. Stary poszedł pogadać z naczelnikiem. W celi śmierdziało stęchlizną i lizolem. Umyli ją przed jej przyjściem.

Siedziała w bloku dla kobiet. Koshe wszedł za nią i rozejrzał się dokoła.

- Jak tak dalej będziesz sobie zaniżał standardy, skończysz w kartonie.

Nie odezwała się. Rzucił na pryczę aerozol i maść na opuchliznę.

- Jakiś nowy dezodorant?

- Żeby cię wszy nie zjadły. Opłaciłem sprzątaninę, ale łażą po ścianach.

- Dzięki.

- Było po prostu powiedzieć.

- Ja nie mam czasu na popołudniowe wypadki.

- Tak, wiem. Śmierć krąży ci nad karkiem - zakpił.

- A żebyś wiedział.

Wszedł i strażnik zasunął kratę. Kobiety z bloku wykrzykiwały na widok Koshego sprośne aluzje. Skrzywił się.

- Mam nadzieję, że przeżyjesz ten miesiąc. To nie będzie łatwe. Ile bym pieniędzy nie zapłacił, jak chłopcy by się nie starali, będzie dobrze, jeśli nie znajdą cię któregoś dnia z długopisem pod żebrami.

- Poradzę sobie. Załatw mi jeszcze jedną rzecz.

- Czego chcesz?

- Chcę pracować pod samą siatką.

- Nie wiem, czemu chcesz stać na krawędzi piekła, ale niech będzie.

Czerwony kombinezon był za duży. Mokre po dezynfekcji włosy zlepily się jak masa pociągnięta miodem. Była chudsza i mniejsza niż zwykle. I smutniejsza, jakby już na niczym jej nie zależało. Jakby się poddała.

- Powodzenia.

Odszedł we wtórce jęków i pisków.

Do jej obowiązków należało pielienie warzyw przy samej siatce. Nie rozmawiała za wiele z innymi więźniarkami. Chyba się jej bały, bo etykiетка z jego nazwiskiem sterczała z każdej strony. Podwójne strażnice przy jej polu buraków, przywilej korzystania z łaźni naczelnika, który był dobrym znajomym Kazteza. Pracujący przy naprawie płotu mężczyźni, tylko szczerzyli się na jej widok. Żaden nawet nie zaczepił jej głupią gadką.

Koło tego płotu, na którym jej tak zależało, dziennie przewijały się setki osób. Byli głodni, brudni, pozostawieni samym sobie. Samobójcy, którzy nie umieli odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Zgrabiłymi rękami wzruszała ziemię. Na kolanach, wyuczona patrzeć spod czapki na ludzi zza siatki.

Dzieci było niewiele. W większości młodzi, zdrowi ludzie. Dużo policji rozganiającej tłum. Było zimno, sądząc po drzewach, jesień. Dowiedziała się, że na stołówce jedzą te właśnie warzywa. Nie czuła pleców ani przemarzniętych palców. Dłoń zacisnęła się od motyczki i tak już została. Pobudka o piątą, jakaś breja na śniadanie i do trzeciej w polu. Potem prysznic i ostatni posiłek, inaczej przyprawiona breja. Czas uciekał jak przez dziurawe rzeszoto. Pielila nawet we śnie. Potem przyszedł czas zbiorów i wróciła na początek zagonów. Ludzie tłoczyli się pod siatką. Głodni, zmęczeni. Kogoś zabrali w prześcieradło. Ktoś zmarł z zimna bądź głodu. Zewsząd wyzierała beznadzieja. I śmierć.

Była czwarta rano, ale Koshe odebrał. Stary musiał mieć powód, by dzwonić przed świtem.

- Przyjedź do karnej. Jest problem. Tylko wał prosto do naczelnika. Lilith nic nie mówiłem.

Wszedł tylną bramą witany sennie przez strażnika. Potem schodami z boku budynku. Naczelnik tego przybytku miał biuro na najwyższym piętrze wieży. Koshe wszedł i przywitał się z obydwojema. Kaztez wskazał mu krzesło.

- Dzisiejszej nocy, między dwunastą a drugą, zginęło troje ludzi. Ktoś im pomógł przejść na drugą stronę. - Naczelnik podał Koshemu teczki personalne.

Nie był zdziwiony. Sadysta, jego ruda prawa ręka i jej współlokatorka z celi. Cycula miała już kilka wyroków. Jej koleżanka była tu stałym bywalcem.

- Co mam z tym zrobić? - Szeł więzienia rozłożył ręce. - Rozeszło się już, bo trzeba było zapalić światło na całym bloku. Dwa powieszenia w przypadku kobiet i okaleczenie upozorowane na podcięcie żył, ale tak pod same pachy. Ktoś się musiał postarać. Znalazł go oczywiście współlokator. Zarzeka się, że to nie on. Krew przeszła przez siennik i zalała mu twarz. Strażnik usłyszał jego narzekanie i zapalił światło. Woźni jeszcze zmywają cełę.

- Nic nie zrobimy. Możemy jedynie odizolować ją w miarę

daleko od ludzi.

- Tego robić nie trzeba. Te dwie zaczęły ją notorycznie. Z nikim innym nie miała tyle kontaktu, co z nimi. Facet sam się chwalił, że ją zabije. Boją się jej jak opętania. Nawet zaczęli szeptać, że niesie ze sobą śmierć i inne zabobonne idiotyzmy.

Koshe zaśmiał się nieładnie.

- Ona niesie ze sobą jedynie obłąd. Znajdźmy jej jakąś robotę, tak żeby nikomu nie przeszkadzała.

- Da się zrobić.

- Chciałbym z nią pomówić, jeśli można - poprosił grzecznie Kaztez.

- Oczywiście. Za półtorej godziny wyjdą w pole. Zrobię panom kawy.

Wstał i wyszedł. W pokoju sekretarki nie było nikogo. Szczekał kubkami.

- Dlaczego jesteś zły na mnie, nie na nią?

- Wszystkich was powinienem tu wysłać. Myślałem, że dacie sobie radę. Polubiła was, zaufała. Któryś coś palnął i wyszła z waszego gniazdko. Potem Wiera, idiota, który jej tylko w głowie namieszał. I teraz to.

- Zapytam jeszcze raz. Dlaczego jesteś zły na mnie?

- Jestem zły na siebie. Bo ci zaufałem.

Do siatki podeszli, gdy była już w połowie wykopywania zagonu. Ostukiwała buraki z mokrej brei i wrzucała do koszy. Siąpił deszcz.

Podszedł do niej. Podniosła się z trudem, ale stała prosto. Ani Koshe, ani naczelnik nie słyszeli, o czym rozmawiają. Kręciła przecząco głową. Kaztez machał jej przed oczyma teczką z jakimiś papierami.

- Zgódź się - poniósł wiatr. - Jako członkowi szlachty przyznane ci będą przywileje. Ledwo na nogach stoisz.

- Ja zawiodę. Nie dziś, nie jutro, ale zawiodę. Nie umiem przemilczeć, przeczekać. Zawiodę i przyniosę ci wstyd. A tego nie chcę.

Wytoczył cichy, bolesny argument. Najsilniejszy jaki miał. Liczył na jego moc.

- Właśnie dlatego. Moje ręce są do motyki, nie do filiżanek. To się nie zmienia. Przykro mi. Kiedy odwrócił się, wyglądał na zranionego. Najwyraźniej nie spodziewał się ani takiej odpowiedzi, ani takiej odprawy. Odeszli, by nie wprowadzać większego zamieszania.

Kilka dni później Koshe wracał z banku wściekły na opieszałość obsługi. Był głodny i spragniony. Wpadł do Nory i poszedł wprost do lodówki. Na górze chłopaki szykowały się do wypadu na ziemię. Mieli urlop i chcieli wykorzystać go na zwiedzanie. Lubili to. Zawstydzali przewodników w muzeach wiedzą z zakresu trzech ostatnich wieków. Do Luwru ich więcej nie wpuszczą. Tym razem mieli zwiedzać Moskwę razem z Rasputinem i resztą jego brygady. Zapowiadał się świetny tydzień. Koshe otworzył lodówkę i wyjął sok marchewkowy. Szukanie szklanki było daremne. Zlew wyglądał jak dobrze spakowana walizka. Nic więcej nie dało się tam wcisnąć. Zamknął skrzypiące drzwiczki. Przyklejony był do nich kalendarz. Ich kalendarz. Akurat ten miesiąc należał do Borysa. Zdjęcie robione od dołu, gdy wyglądał jak góra z wycelowanym w obiektyw pistoletem. Pod spodem mazakiem, który wisiał obok, zakreślone były kolejne dni. Zbliżali się do celu. Zostało ich jeszcze tylko kilka. Z zamyslenia obudził go krzyk w korytarzu.

- Woląłem być gejem! Przez lata udawało mi się unikać takich widoków. Szczur, zaciągnij zasłonkę! Twój tyłek obciążnięty skórą jest mało apetyczny.

Byli na ziemi od dwóch godzin, gdy zadzwonił telefon.

- Koshe.

- Mam trzy minuty. Przyjeźdź. Wiem, że jesteście na ziemi, ale nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne. Pozostałym skłam. Powiedz, że jesteś gdzieś niezbędny. - Szczęknęła ciężka słuchawka automatu w pokoju widzeń.

Na miejscu był godzinę później.

- To dziwne - usłyszał, gdy szedł po błocie w jej stronę. - Nawet gdy mam wiatr prosto w twarz - zaczęła cicho - nawet gdy pada albo gdy powietrze stoi i można je niemal kroić. Twój zapach wyczuję zawsze i wszędzie. Jak zwierzę. Tylko które z nas jest myśliwym, a które ofiarą?

Nie odpowiedział.

- Kaszle i muszę iść do lekarza - dodała po chwili.

- I po to mnie ściągnęłaś? Tu wszyscy kaszlą. Jest zimno, mokro i wieje. Czego się spodziewałaś, leżaka i drinków z palemką...

- Ja kaszle krwią - przerwała mu.

Odwróciła się i uderzyła kilka razy motyką w grudy ziemi pod nogami.

- Czy teraz załatwisz mi wizytę Jane?

Jego mina nie wyrażała nic. Tę umiejętność opanował do perfekcji. Nawet stojąc pośrodku zagonów, wyglądał, jakby był dokładnie tu, gdzie ma być. Wyprostowany, spokojny, zimny. Odszedł bez słowa.

Kilka dni później odwiedzili ją w szpitalu. Z racji choroby umorzyli jej ostatnie dni wyroku i Kaztez umieścił ją w swoim prywatnym szpitalnym pokoju. Leżała w nim sama. Miała telewizor i DVD. Wtoczyli się głośną hałastrą. Miała podłączoną kroplówkę i oglądała jakąś durną komedię. Włożyli do odtwarzacza film z Moskwy z odpowiednim komentarzem. W pierwszej odsłonie Rasputin, śpiewając *Katiuszę*, szedł Placem Czerwonym. Ludzie oglądali się na nich jak na barwny korowód. Po chwili weszła Jane i poprosiła ich ze sobą. Poprowadziła korytarzem do pokoju kolegi po fachu, który użyczył jej swojego gabinetu.

- Sprawa jest dość skomplikowana.

- A co tu skomplikowanego? Jest człowiekiem, więc dostała zapalenia płuc - podsumował Klecha.

- Jane? - Borys wstał. - To nie jest zapalenie p<sup>3</sup>uc, prawda?

- Nie.

Usiadła naprzeciw nich, na małej kozetce. Nie umiała zacząć.

- Przeziębła się i zaczęła kaszleć. Krwawią jednak nie płuca, a krtań. Gdyby nie kaszel znaleźlibyśmy to później, ale wynik byłby ten sam. Podrażniła gardło i wyszło. - Wzięła głębszy oddech. - Guz. Masa jest nieoperacyjna, duża i złośliwa. Są już przerzuty. Na razie dwa. Zostały jej trzy miesiące. Z lekami do pół roku. To jest optymistyczna wersja.

Szczur nie zamknął ust. Klecha drżącą ręką wyjął papierosa.

- To pomyłka - wydukał Prince. - Trzeba powtórzyć badania. Wyniki są błędne. Jest za młoda na raka.

Jane rzuciła na biurko trzy teczki.

- Też tak pomyślałam. Za młoda, za miła, za dobra. Powtórzyłam badania trzykrotnie. E-mailem wysłałam je na ziemię do trzech niezależnych lekarzy. Wszyscy potwierdzili diagnozę. Jest tak oczywista, że wyszydźli mój brak wiedzy medycznej. Z tego co mówiła, w rodzinie był nowotwór, więc jest w grupie ryzyka. A raczej, była.

- Ale jak? - spytał Szczur i opadł pod ścianą.

- Z badania włosa wynika, że miała częste i przewlekłe anemie. Była słaba od bardzo dawna. W końcu wyszło, co miało wyjść. Na razie nie potrzebuje morfiny, ale pod koniec to będzie nieodzowne. Sprawa jest przesądzona. Nie podziela na nią nasze leczenie, ani Inwokacją, ani lekami. Jest człowiekiem i krucha jest jak szkło. Próbowałam już wszystkiego. Nie reaguje na nic, prócz leków dla ludzi. Co więcej, uważam, że trzeba ją sprowadzić na ziemię. Tam będzie miała lepszą opiekę. Lekarzy, którzy znają się na tym, i przede wszystkim, nie będzie musiała się z tym ukrywać. Leczenie jest wyczerpujące. Skutki uboczne, ból. Musimy ją stąd zabrać. Nie na długo. To nie potrwa długo.

Milczeli.

- Czy Kaztez o tym wie? - spytał Koshe.

- Tak, dowiedział się pierwszy. Jeszcze zanim jej powiedziałam. Załamał się. Wyszedł dosłownie kilka minut przed waszym przyjściem. Nie odstępował jej na krok. Źle z nim.

Pocłapali do jej pokoju. Wszyscy prócz Koshego, który zamyślony poszedł gdzieś korytarzami szpitala. Gdy stanęli przy jej łóżku, włączyła pauzę i zatrzymała kroniki filmowe. Uśmiechnęła się blade.

- A prosiłam, żeby nikomu nie mówić. Macie takie miny...

- A jacy mamy być? Szczęśliwi? - fuknął Klecha.

Na co ty się złościsz? Na śmierć, czy na to, że ludzie są śmiertelni? Tak byłoby wcześniej czy później. Lepiej, że wcześniej.

- Dla kogo lepiej?

- Dla mnie.

Zdziwiła ich tym. Opadła na poduszkę.

- Zmęczyło mnie to życie. Ciągłe czegoś brakuje, ciągle jakaś głupota, bieg donikąd. To dziwne, ale jestem spokojniejsza, kiedy już wiem.

Siedzieli z nią do wieczora. Obejrżeli film, pośmiali się gorzko sami z siebie. Jane pojawiła się dwa razy i zmieniła kroplówkę. Usnęła, zanim wyszli. Miała miłe sny. Śniło jej się morze, którego nigdy dotąd nie widziała. Słyszała jego szum. Wysokie szczyty porośniętych lasem gór. Oglądała je z lotu ptaka. Obudziła się wiedzioną instynktem. W sali było ciemno i tylko poświata z korytarza wpadała przez mleczną szybę w drzwiach. W oknie szumiał klimatyzator.

- Jest zapewne późno. Po co przyszedłeś?

Zgadła. Jak zawsze. Nieważne co by się działo, wyczuje go w powietrzu jak mór.

- Jutro cię wypisują. Dzień spędzisz z nami, noc z kapitanem. Będziecie mieli czas się pożegnać, bo nie wiadomo, czy w ostateczności zdążymy na ziemię przed... - usłyszała za plecami.

Stały tam krzesło i stolik z dzbankiem i szklanką.

- Bądź gotowa do wyjścia jak najwcześniej. Pojedziemy w pewne miejsce. Jest daleko. Pojutrze z samego rana zejdziemy z tobą na ziemię. Wiedeń. Podobał ci się ostatnio. Zostaniesz tam u pewnego człowieka, którego znajomość z nami jest tajemnicą. Wie, kim jesteśmy. Ma syna. W jego domu zamieszkasz.

- Dlaczego jest tajemnicą?
- Za zapoznanie się z ludźmi grozi natychmiastowa śmierć.
- W moim przypadku powinno się powiesić wszystkie trzy Miasta. - Zaśmiała się.
- Bądź gotowa. - Wstał i minął ją bez słowa.
- Znowu to spojrzenie. Już ci mówiłam, jeśli masz ochotę mnie uderzyć, miej odwagę to zrobić. Nie odwrócił się. Nie skomentował. A ona wróciła do pięknych snów.

Tak jak zapowiedział. Czekali na nią pod szpitalem. Chwyliła się poręczy i schodziła po schodach. Byli w cztery samochody. Mia jechała z Klechą, Szczur z Princeem, Borys zapakował swoją krzykliwą rodzinę i czekał na Jane, która pojawiła się z saszetką pełną leków. Na nią czekał Koshe oparty o czarne luksusowe auto. Wziął od niej plecak i wrzucił go do bagażnika. Jane podała jej przezroczysty woreczek pełen fiolek.

- Dawkowanie tak jak mówiłam. Napisałam ci wszystko na karteczce. Masz tu zegarek. - Zapięła jej na nadgarstku elektronika w kolorze fuksji z kolorowymi piłeczkami na tarczy. - Pilnuj czasu.

Odeszła i słyszała, jak Szczur kłóci się z Pablem, którą stację włączyć.

- Będziesz musiał jechać powoli. Wiem, że nie umiesz, ale jeśli chcesz zachować tę piękną tapicerkę, zrobisz jak proszę.

Nie odrywał wzroku od torebki na jej kolanach. Była pełna. Włożyła ją do schowka i zapięła pas.

W korowodzie do portalu byli ostatni. Tak jak myślała. Wyrobił jej przepustkę i nie było kłopotu. Celnicy stawali na baczność, gdy tylko widzieli, kto siedzi za kółkiem. Nie rozmawiali. Minęli miasto obwodnicą i kierowali się daleko na zachód. Gdy obudziła się, było południe, a oni mieli postój. Otworzyły się drzwi i pierwsze, co zobaczyła, to kubek od termosu z herbatą.

- Jest pięć minut po terminie.

Czekał, aż wydłubie wszystkie tabletki z listy. Było ich siedem. Małe, duże, białe i kolorowe. Pełna garść. Łyknęła za jednym zamachem i popiła solidnie.

- Koshe, gdzie ty nas wieszysz? - Klecha stał nad mapą rozłożoną na masce. - Tu nic nie ma.

- I tak ma pozostać - odpowiedział mu tajemniczo. - Do celu jeszcze jakieś dziesięć minut. Za wzgórzem. - Pokazał na las.

Tym razem jechali jako pierwsi. Tuż przy lesie strażnicy z psami otworzyli szeroką bramę. Wjechali na nowy asfalt. Za wzgórzem otworzyła szeroko oczy. Wyłoniło się miasto. Szklanymi taflami nowoczesnych domów odbijało jesienne słońce. Aglomeracja inna niż wszystkie. Nowoczesna, jasna, bogata w formy i kształty. Rzędy latarni wisiały nad ulicą. Zaparkowali niedaleko bramy, na wielkim parkingu. Wypakowali graty z aut. Szczur podskoczył, by zobaczyć to jeszcze raz.

- Koshe, co to, kurwa, jest? - podsumował Klecha.

- To dzieło życia mojego brata.

- Dzięki, Mia. Właśnie tego sformułowania użyć nie chciałem.

- Ale kiedy? To przecież całe miasto - spytała oślepiała Jane.

- Od kilkunastu lat dopieszczałem projekt. Ta ziemia jest ugorem. Kamienista, piaszczysta... To znaczy jak na uprawę, ale nie dla miasta. Oślonięta wzgórzami od wiatru jest idealna. Skończyłem i jutro oficjalnie wejdą na rynek oferty kupna mieszkań i wynajmu biur. Może przyjąć dziesięć tysięcy mieszkańców.

Borys pokiwał głową z wrażenia.

- To się nazywa spełniać marzenia. Mogłeś sobie kupić miasto, ale wolałeś je stworzyć.

- Chodźmy. Kolejka czeka.

- Kolejka? - pisnął Szczur.

Tak. Tutaj auta nie mają prawa wstępu. Wszystko jest dostępne z kolejki, więc nie ma po co zanieczyszczać powietrza.

Podjechała kolejka i wsiedli do jasnosrebrnego wagonika. Zielone siedzenia, ergonomiczne wyposażenie.

- Automat? - spytał Szczur.

- Tak. Komputer ustala trasę. Nie jest to trudne, bo całe miasto jest podzielone na segmenty.

Mijali ulice o szerokich chodnikach oddzielonych od szyn kwietnymi klombami. Widzieli dużo drzew, krzewów, placów, które oddziały od siebie wieżowce. W dzielnicy biurowej nie było

tarasów, ale standard wykonania nie zmniejszył się. Minęli plac zabaw, dwie szkoły, budynek straży, policji i szpitala. Było wszystko. Brakowało jedynie ludzi. Wysiedli u zbiegu uliczek przy wielkiej fontannie, która zajmowała cały plac. Woda układała się w tunele, pod którymi można było się przechadzać.

- Prince, widzisz ten lokal na rogu? Ten z markizami w biało-czerwone pasy?

- Tak - odpowiedział. - A co z nim?

- Tu twoja rodzina otworzy włoską knajpę. Teren na kamiennej kostce jest do dzierżawy pod ogródek, więc...

- Mówisz poważnie?

- Tak. - Był całkowicie naturalny, w przeciwieństwie do Princea, który wietrzył gałki oczne.

Oglądali i słuchali, gdy opowiadał. Doszli do rogu ulic.

- A to jest najważniejsza ulica w całym tym mieście. Musiała się więc odpowiednio nazywać. Rzeczywiście. Ulica ciągnęła się daleko w obie strony. Klecha podszedł do tablicy na skrzyżowaniu. Na kamieniu z obu stron wybito jednakowy napis.

- Aleja Kwitnącej Wiśni.

Popatrzyła na Koshego.

- Coś taka zdziwiona? Tyle razy nuciłaś tę piosenkę, że w końcu wryła mi się w mózg. Ale to dobra nazwa. Rośnie tu ponad setka wiśni. Ściągnięcie ich było katorgą, ale efekt wiosną musi być niewiarygodny...

Nie słuchała. Podeszła do pierwszego drzewa, które stało po lewej. Dorodne, widać kupował odchowane sadzonki.

- Jestem tak zadłużony, że jeśli projekt nie wypali, będę musiał wprowadzić się do was.

- Akurat - bąknął Klecha.

- Bardzo akurat. Kredyt ledwo zipie, a ja miałem opóźnienia. Nie chcesz wiedzieć, ile wynosi rata. Nie mogłem dać pod zastaw nic prócz domu i patentów, a na to za bardzo szczerzą kły akcjonariusze banku. Wszystko musiało odbyć się w tajemnicy.

Jeszcze długo rozmawiali o kosztach i rozmachu przedsięwzięcia. Potem zrobili sobie piknik. Jesienny piknik na kocach w parku, gdzie świeżo położona darni jeszcze rosła w kratkę. Odeszła na bok i usiadła na ławce. Podziwiała fontannę.

Stanął obok.

- Jesteś idiotką. O twojej tępotcie nie ma co wspominać, bo to było oczywiste od samego początku. Nie znacysz nic. Jesteś jedynie chwilą, liściem na wietrze. Twój upór jest na pokaz, a inteligencja złudna, bo wszystko, co robisz, jej przeczy. Brzydka, nijaka, nudna, tępa...

Popatrzyła na niego uśmiechnięta, choć nie było jej do śmiechu.

- Nie zmusisz mnie. Gdybym miała to zrobić, odważyłabym się dawno temu. - Wróciła do podziwiania wody w słońcu. - Co tam dla mnie masz w kieszeni? Linkę z solidnym udźwigniem? Tabletki? Żyłetkę?

Usiadł obok.

- Jestem z ciebie naprawdę dumna. To co zrobiłaś, przerasta moje marzenia. Ale widać tak ma być, by i marzenia mieć na swoją miarę. Musisz jeszcze wymyślić coś dla biednych. Jakies przejściowe solidne domy, by nie czuli, że trafili do piekła. Głodu, brudu i beznadziei.

Pośrednio przyczyniłem się do polepszenia ich egzystencji. Tu przejdzie dziesięć tysięcy ludzi, więc zwolnią się mieszkania w innych miastach. Wymiana będzie widoczna. Samobójcy dostaną pracę na miejsce tych, którzy przeniosą się tutaj. Bardziej zaradnym i mniej zdesperowanym to pomoże. Innym zaszkodzi.

Włączył się alarm w jej zegarku.

- Muszę wziąć tabletki. - Odeszła kilka kroków.

- Zrób to. Dla mnie. Zastygła na moment.

- Żądasz wiele, Koshe.

- Wiem. Ale obiecaj mi, że jeśli ból będzie nie do zniesienia albo po prostu znudzi ci się powolne umieranie, zrobisz to.

- Tyle obiecać mogę.

- Tylko uprzednio daj znać, żebyśmy zdążyli cię przenieść. Głupio by było dać się zeżreć.



Gdy wracali, słońce już zachodziło. Tuż przed miastem poprosiła, by się zatrzymał. Odeszła kawałek od drogi i wymiotowała. Wyjął z bagażnika wodę i podał jej. Miała zimne palce i policzki blade bardziej niż zwykle.

- Już dojeżdżamy.
- A ja już skończyłam. Zawróciła do samochodu.
- Powiedz mu dziś to, co chce usłyszeć.
- Kapitan wie już wszystko, co mogłam mu powiedzieć.
- To kłam. Pociągnęła nosem.
- A ty chciałbyś, żeby w takiej sytuacji cię okłamywano?
- Tak. Łaknąłbym właśnie kłamstw.

Pół godziny później stanęła w drzwiach Aleksandra Kazteza.

- Dobry wieczór. - Uśmiechnęła się. - Czy tu mieszka przystojny pan, który śpiewa przy goleniu?

- Ten pan nie mieszka sam. Rezyduje u niego taka jedna małolata, która też śpiewa przy goleniu.

Zamknął za nią drzwi.

Miasto widziała z oddali. Podeszli do furtki oklejonej winoroślą. Klecha nacisnął dzwonek. Po chwili ktoś otworzył drzwi. Był to mężczyzna po czterdziestce. Szpakowate włosy, okulary, surowa twarz. Garnitur i zegarek świadczyły o wysokim statusie społecznym. Zdjął okulary.

- Jakbyście kiedykolwiek potrzebowali dzwonić - skomentował beznamiętnie.

Prince wszedł jako pierwszy. Ją musiał szturchnąć Szczur. Dom był stary i duży. Elegancki i cichy, jakby wszyscy domownicy spali w to popołudnie. Po schodach zszedł do korytarza chłopak, na oko siedemnastoletni, i przywitał się uśmiechnięty. Widać było, że zna się z jej kolegami nie od dziś. Podał jej rękę i widziała w jego oczach, że zauważył sine ślady po kroplówkach. Nienawidziła litości.

- Lilith. - Ścisnęła jego dłoń uśmiechnięta do granic. - Miło mi poznać.

- Max - odpowiedział okularnik z aparatem na zębach. - A ten z pozoru ponury pan to mój ojciec, ale mów do niego Johann.

- Dobrze. - Pokiwała głową.
- Oj, chyba będziesz musiała mówić po angielsku.
- Chodźcie - odezwał się szpakowaty. - Whisky wietrzeje.

Poprowadził ich do wielkiego salonu z wysokimi oknami, wielkim kominkiem i fortepianem, pełnego półek z książkami. Posiadali na wyważonych, surowych kanapach. Gospodarz obdzielił szklankami wszystkich, z wyjątkiem jej i syna.

- Lekarz mieszka dwa domy obok. To mój przyjaciel, więc nie będzie problemu. Powiedźcie mi, jakim cudem trafił do was człowiek? Przecież to niemożliwe.

- Tylko Bura to wie i nam nie powie, prawda? - zawstydzął ją Koshe.

Wykręciła oczy pod sufit. Sączyli herbaciany trunek, a jej chciało się spać. Tabletki miały mnóstwo skutków ubocznych. W końcu rozmowę przerwał sygnał z tandetnego zegarka. Wyjęła z torby saszetkę z lekami.

- Max, pokaż Lilith kuchniê - poinstruował ojciec.

Chłopak poszedł przodem.

W końcu mieli czas na dogadanie szczegółów, o których nie chcieli jej wspominać. Mówili cicho, konspiracyjnym szeptem. Jakby to, że jest śmiertelnie chora, było tajemnicą.

Potem zostawili ich samych, by się pożegnali.

- Mam nadzieję, że nie będziecie mnie przytulać i smęcić, jak wam przykro i jak będziecie tęsknić. - Wsadziła tabletki z powrotem do torby.

- Nie. Pośmiejemy się z twoich siniaków i rzygania - warknął Pablo i usiadł koło niej.

Ostatnimi czasy nie ubierał się już jak dawniej. Lubił rockowy styl, ale nie przesadzał. Zrezygnował też z brylantyny. Przytulił ją mocno. Odetchnęła spokojnie. Spod przymkniętych powiek widziała wściekłego Natana. Wyszedł bez słowa. Borys pociągnął ją do góry i zawisła w niedźwiedzim uścisku.

- Teraz już wiem, czemu Jane lubi dużych mężczyzn. Normalnie jak w kokonie.

- Trzymaj się, mała. Jakbyś czegoś potrzebowała...
- Wypuszczę racę. - Zaśmiała się.

Szczur stał chwilę i gapił się na nią zza długiej grzywki. Stężyły, zły. Minał ją bez słowa i wyszedł. Został sam lord posepniaków.

- Oddaję. - Podała mu telefon. - Nie będzie mi już potrzebny.
- A co ja mam z nim zrobić? Zachować na pamiątkę?
- Tam jest coś dla ciebie, a właściwie coś twojego.

Rozsunął klapkę. Ona zasunęła ją z powrotem.

- Dopiero po. Obiecuj, że przesłuchasz dopiero po.

Była spokojna. Taka jak zawsze. Konkretna, obowiązkowa. Jedynie termin umierająca jakoś tu nie pasował.

- Dobrze. - Wziął płaszcz z oparcia fotela. - Wpadnę za tydzień, może dwa.
- Powodzenia w sprzedaży. Na pewno się uda.
- Pamiętaj, co mi obiecałaś.
- Ty również.

Obszedł ją bez słowa. Chwilę jeszcze patrzyła przez okna. Wychodziły na ogród pełen starych drzew i kwitnących krzaków.

- Chodź, pokażę ci twój pokój - powiedział Max z jej torbą w ręku. - Rozumiesz, co mówię?

Uśmiechnęła się przyjaźnie i pokiwała pewnie głową.

- Tata o tej porze pracuje. Z gabinetu wyłania się dopiero koło szóstej. Wychodzi na kolację.

Musi sobie przypomnieć angielski, żeby z nim pomówić. Miała sporo pytań. Minęła duży lśniący instrument stojący pod oknem. Wyglądał tak dostojnie, że bała się go dotknąć. Weszła na schody i wchodziła wolno po ich stopniach. Jedno piętro, a stopniom wciąż nie było końca.

Starszy pan był sędzią. Mieszkali na obrzeżach miasta, w dzielnicy willowej. Codziennie jakiś znakomity gość przychodził do nich i często podawała im herbatę. Najbardziej podobał się jej fortepian i dzikie koty w ogrodzie, które spały na drzewach i na parapetach. Naliczyła ich dziesięć. Sędzia je dokarmiał, gdy przechadzał się po ogrodzie.

Ona i Max mieli swoje zajęcia. Chłopak uczył się w liceum i dodatkowo chodził na kurs filmowy. Starał się o stypendium do szkoły wyższej i chciał zostać reżyserem teledysków. Jego ojciec uznał, że jeśli od tylu lat konsekwentnie chce tylko jednej rzeczy, powinien to właśnie robić. Powierzchność statecznego pana nie zdradzała jego ciepłych relacji z synem, ale niejednen nastolatek chciałby mieć takiego ojca. Rozmawiali

- wszystkim. Najczęściej przy kolacji. Słuchała ich z przyjemnością. Rozmowa dwóch znajomych, przyjaciół, nie rodzica dziecka. Żadnego umoralniania. Czyste zasady. Decyzje są twoje, błędy też, konsekwencje nasze wspólne. Czas mijał im na kolacjach, montażu filmów w pokoju Maxa i narzekaniu snującej się po domu gosposi. Przeszkadzał jej kurz, który osadzał się na kryształowych kinkietach, a do pasji doprowadzały ślady butów na dywanie w salonie. Była jak wszystkie gosposie. Miała swój świat szczonek i garnków i nic więcej jej nie obchodziło.

Sędzia jak w każde popołudnie przechadzał się po porośniętych mchem, starych, kamiennych alejkach. Spojrzał na dom. W pokoju syna balkon był otwarty na oścież i widział jak dziewczyna o wątlej posturze nachyla się nad monitorem i wybiera lepsze jej zdaniem ujęcie. Max ją polubił. Zresztą on lubił wszystkich. Miał pogodne usposobienie, ludzie go interesowali, uwielbiał ich słuchać i z nimi rozmawiać. Udał mu się syn. Pasjonowały go komputery jak każdego dzieciaka, ale z czasem pasja przerodziła się w konkretne marzenie. Ciężko pracował. Szkoła nie była lekka. Elitarne towarzystwo pełne narkomanów i łatwych dziewcząt z dobrych domów. Na początku przeklinał te jego maszyny za to, że nie biega z kolegami na łyżwy, rolki czy po prostu nie siedzi w kawiarni z dziewczyną, ale któregoś dnia zajechał do niego pod szkołę i czekał na ławce przy wejściu. Wytoczyła się papka wyrostków. Większość z ich rodziców znał. Wyszczekani, monotematyczni, bezczelni. Przechodziła obok nich młoda bibliotekarka. Kobieta skromnie ubrana, stosownie do wieku i wykonywanej pracy. Nasłuchiwał się przykrych komentarzy. A że stara, głupia, brzydka i przede wszystkim, biedna. Poczul wtedy ogromną ulgę, że jego syn jest inny i ma ambicję bycia kimś innym. Tego samego wieczoru poszedł do jego pokoju i powiedział, że spełni jego prośbę i kupi mu

maszynę taką, jaką mu wskaże na półce w sklepie. Max spojrzał na niego, jakby dopiero co mu się na nowo przedstawił. Wtedy pierwszy raz od śmierci żony powiedział do niego tato.

Lilith była miłą i skromną dziewczyną. Przynosiła mu często herbatę do gabinetu. Nie prosił o to. Sama wiedziała, kiedy lubi ją pić. Praca w domu była spokojniejsza od tej w biurze. Miał sekretarkę i wszystko inne, ale nie miał ogrodu, zapachów dobiegających z kuchni, kotów, które chowały się przed wiatrem na niskich i szerokich parapetach. A od kiedy mieszkała z nimi Lilith, w domu jakby więcej było śmiechu. Więcej łamanych językowo rozmów, więcej muzyki, która nie jest męcząca, jak muzyka dzisiejszych czasów. Lubiła łączenie chórów, gitar, opery z muzyką elektroniczną. Max też poweselał. Miał kompana do rozmów i do pracy. Wolne dni spędzali na łażeniu po mieście i stwierdził, że przy niej nauczył się o Wiedniu więcej, niż wiedział do tej pory. Zabrali go raz w magiczne miejsce. Ktoś przerobił dom na kawiarnię. Siedzieli na tarasie z widokiem na fontannę, w której buszowały chmary wróbli. Sam nigdy by tam nie trafił. Nie poszedłby smętną uliczką donikąd i nie znalazłby domku z małym sztyldem w kształcie filizanki. Wpadał tam teraz, kiedy tylko czas mu na to pozwalał. Stało się ono jego miejscem.

Ścinała kwiaty do wazonów. Bukiety najróżniejszej maści zdobiły kominek i wnękę z konsolą przy wejściu. Parzyła świetną herbatę i mieszkanki ziół, które rosły pod płotem. Lubiła proste sukienki i proste buty. Choroba wyniszczała ją. Chudła w oczach. Często słyszał, jak wymiotuje, a Max mówił mu, że niekiedy mdleje z wyczerpania. Trzeba było wezwać lekarza. Obiecał kroplówkę w razie spadku wagi. Czas się było nią poratować.

Max wychylił się, gdy ojciec rzucał plastry szynki na trawę, tuż przed pyskiem wielkookiego kota.

- Tato, wystąpisz w teledysku.
- Max, ja jestem za poważny nawet na to, żeby spytać w jakim.
- Nie będzie widać twojej twarzy. Jedynie męską pierś w garniturze i teczkę.
- Jeśli tak, to może być. Moja aktorska gaża to czwórka z biologii.
- Da się załatwić.

Zmienił się. I nikt mu o tym nie musiał mówić, bo sam to widział. Zawsze starał się w życiu spełniać czyjeś oczekiwania. Najpierw ojca, który jak wszyscy w rodzinie był prawnikiem. Potem żony. Młoda, piękna, wrażliwa. Lubiła muzykę, teatr. Pobrali się, gdy byli zbyt młodzi. Od razu wyszło na jaw, że Eliza jest bardziej wrażliwa, niż się z pozoru wydawało. Bała się wszystkiego, nie umiała odnajdywać się w prostych życiowych sytuacjach, takich jak wyjście do sklepu, spacer z synkiem po parku, babki w piaskownicy. Męczyło ją wszystko. Chowała się w pokoju, a niańki zmieniały się jedna po drugiej. Depresja - powiedział pierwszy lekarz, melancholia - orzekła ciotka, wariatka - krzyknął on w złości, w zmęczeniu. Nigdy nie było już między nimi dobrych stosunków. Oskarżyła go

- kochankę. Nie to że nie miał okazji. Miał, i to niejedną. W świecie jest wiele kobiet, które nie ukrywają, że wolą być tą drugą, bo tak jest łatwiej. Ale nie skorzystał. Albo nie chciał, albo przypominał sobie rozmowę z ojcem. Był surowy

- zasadniczy i twierdził, że to kłamstwo, oszustwo i zdrada domu, a tym brzydził się jak lenistwem czy głupotą. Trwało to latami. Jego niezrównoważona żona, wieczne kłótnie, jej krzyki, wspólna, choć osobna, samotność zza ścian. Max wszystkiego był świadkiem. Próbował go chronić. Wycieczki zagraniczne, kursy językowe.

Tego dnia prowadziła Eliza. Wracali z kolejnej zakłamaney imprezy, podczas której grali idealne małżeństwo, idealną rodzinę. Max siedział z tyłu. To zabawne, ale kiedy przyspieszyła, krzyczała i zamykała zapłakane oczy, wymijając kolejne auta, myślał tylko o tym, czy syn zapiął pasy. Gdy zjechała z rozmysłem w bok i uderzyła w ciężarówkę, akurat mówił wystraszonemu chłopcu, że zaraz będą w domu. Wtedy właśnie, na wpół przytomny zobaczył dziwnych ludzi przy samochodzie. Jeden z nich bez ogródek strzelił zakrwawionej Elizie prosto w skroń. Krew jednak nie pociekła. Zdołał powiedzieć: „Zaczekajcie. Dokąd ją zabieracie?” Odpowiedział mu surowy i poważny mężczyzna, zupełnie nie zważając, do kogo mówi. „Do Miasta Samobójców”, usłyszał. „Będzie tam żyła wieki”. Błagał, by jej pomogli, że się odwdzięczy. Byli wyraźnie zaskoczeni tym, że ich widzi. Ten surowy spojrzał na zegarek i spytał, co może zrobić dla nich człowiek? Odpowiedział, że jest wpływowym człowiekiem. Zainteresował się. Powiedział, że go odwiedzą i wyciągnął mu wizytówkę z zakrwawionych palców. Później, dobry rok po wypadku, pojawili się na ścieżce jego domu. Mówili dziwnym językiem, ale wyjaśnili, jak może im pomóc. Najważniejszy z nich przedstawił mu propozycję. Oświadczył, że odnalazł w ich świecie jego żonę i pomógł jej stanąć na

nogi. Na początek dał jej w twarz. Sędzia nie mógł wydusić z siebie słowa. Zamurowało go albo zatkało, jak mawia Max. W jego salonie siedzieli ludzie, wysłannicy samej kostuchy, i mówili mu o tym, jak postawili jego żonę w dziesięć minut do pionu i równowagi psychicznej. Jak wyłożyli jej, że jest durna, głupia koza, że tam takich pełno, a ona jest jedną z wielu. Opowiadali, jak się szamotoła, jak stękała, że ona nie chce żyć i inne frazesy, które znał na pamięć. Prawdę mówioną w oczy odbierała jak obrazę. W końcu zrozumiała, że jest po prostu rozwydrzona, ot i wszystko. Znalazł jej mieszkanie i pracę. Tego wieczoru poznali i Maxa. Gdy wyszli, odważył się na rozmowę z synem. Pierwszą od wypadku. Odważył się go przeprosić. Od tamtej pory zmienił całe swoje dotychczasowe życie. Odwiedzali ich dość często, gdy tylko Miasto było nad Europą. Nigdy nie było z nimi Lilith. Nie wspomnieli o niej. Wielka, śmiertelna tajemnica.

Przewartościował wszystko jednej nocy. Koshe na odchod- ne powiedział mu coś, czego do tamtej chwili nie zauważył. Wyjaśnił, że widzą ich tylko samobójcy, i to tacy, którzy już umarli. Tamtej nocy i on był samobójcą, a na pewno pragnął śmierci. Nie uwierzył, ale potem przemyślał ten absurd. Życie pod linijkę, dla kogoś, dla innych. Kłamstwa, gra pozorów, szkielet zbudowany z półprawd. Chciał śmierci, ale już jej nie chce.

Spojrzał jeszcze raz na syna, który opowiadał coś z zacięciem dziewczynie siedzącej na podłodze. Życie ma wiele smaków i zapachów.

Z zamyślenia wyrwał go rudzielec w białe plamy, który okręcił się wokół jego nogawki.

- Ty to masz dobrze.

Kot zamruczał w odpowiedzi i plaster różowej szynki wylądował mu na pyszczku.

To nie był pierwszy raz, gdy czuła, że nie zasypia sama. Nikomu już nie zaufa, nie powie, że czuje na sobie czyjeś oczy. Położyła się i nakryła. Przekładała w palcach wyłącznik lampki. Powiedziała to głośno i pewnie:

- Dziś mijają dwa miesiące, odkąd jestem w tym domu. Ciekawi mnie, jak wyglądasz i kim jesteś. Wiem, że nie zjawiłeś się tu bez przyczyny. Przyszedłeś po mnie. Czuję to. Gdziekolwiek chcesz mnie zabrać, zgadzam się. Jeszcze dzień twoich kroków za mną i zwariuję. - Przymknęła oczy. - Ale nie dziś. Jutro, po przyjęciu. I nikomu nie zrobisz krzywdy. Ci ludzie na to nie zasłużyli. Byli dla mnie mili, dobrzy. Opiekowali się mną. Jutro. Pójdę z tobą jutro.

Nikt nie odpowiedział, ale poczuła ulgę. Nie miała już siły wymiotować, chodzić z kropłówką czy po prostu przesypiać całych dni. Zmęczyło ją to. Może ten ktoś zabierze ją wprost na cmentarz? Może jej ulży?

Przyjęcie nie trwało długo. Niewielka, kameralna orkiestra zwinęła się, a Max poszedł do siebie, bo zmęczyły go rozmowy o niczym. Usiadła przy fortepianie, którego nikt nie zamknął, i dotykała klawiszy. Sędzia stał w kuchni i nalewał sobie herbaty, gdy usłyszał pierwsze tony.

- Rachmaninow - powiedział i poszedł szybkim krokiem, by zobaczyć, kto gra.

Sukienkę wybrał Max. Jasna, delikatna, jak pocięta pajęczyna. Opinała chude plecy i odsłaniała łopatki. Wątle ramiona w poświacie wieloramiennych, wyciągniętych specjalnie na tę okazję świeczników przesunęły się nad klawiaturą. Fortepian należał do jego żony. Również grała, ale nie tak. Usiadł osłupiały przy wejściu i patrzył na szybkie palce, na spokój na jej twarzy, na lichą postać z sińcami pod oczami. Gdy skończyła jeden utwór, grała następny. Max szturchnął go, by się przesunął i usiadł obok zasłuchany w spokojną melodię. Uderzyła palcem po raz ostatni.

- Czas na mnie.

Nie zrozumieli.

- Jest już późno - wydukał sędzia. - Czemu nie grałaś przedtem?

Wzruszyła ramionami.

- A czy kobieta nie powinna być tajemnicza? - Uśmiechnęła się przewrotnie.

- Czego jeszcze o tobie nie wiedzą? - spytał Max.

- Niemal wszystkiego.

- Dlaczego? Przecież to twoi przyjaciele? - Nie rozumiał.

- Tak? A widzisz tu któregoś z nich? - Rozejrzała się na boki.

Improwizowała. Muzyka skakała i opadała cicho.

- Kiedyś ktoś mi powiedział, że trzeba nauczyć się tańczyć. To pewne. Bo inaczej aniołowie w niebie nie będą mieli co z tobą robić. Dacie wiarę? Aniołowie w niebie. - Zaśmiała się smutno.

Zamknęła klawiaturę.

- Koshemu powiedzcie, że znudziło mi się umieranie.

Okno otworzyło się powoli na oścież i zimny wiatr zawirował w pokoju. Na czarnej politurze fortepianu ślad stygł w tym chłodzie. Spostrzegła go. A więc już czas. i podeszła do okna. Poczowała paralizujący strach. Niemal ją dusił. Coś tworzyło się obok z niczego. Ciężkie buty, spodnie, szeroki czarny pas, nagi tors. Był wysoki. Błada skóra i sięgający do ziemi, pachnący wiatrem płaszcz. Podniosła oczy. Włosy różnej długości. Czarne jak węgiel. Matowe jak zbita końska grzywa. Jedne poskręcane w strąki, inne proste, jeszcze nie kręcone. Twarz trupia, bez wyrazu. Wciągnęła powietrze na widok oczu. Całe, łącznie z białkami, były czarne i szkliste, przerażające. Chłód bił od niego niczym od lodowego posągu. Wysunął rękę i materializowała się w niej biała futrzana peleryna. Bez słowa narzucił ją na jej plecy. Popatrzyła na ojca i syna nieruchomych ze strachu pod ścianą.

- Jest dobrze. Przyszedł po mnie i tak widać ma być.

- Czas na nas - odezwał się potwór nad jej. Wziął ją na rękę i skoczył w ogród. Gdy odważyli się i podejść do okna, nikogo tam nie było. Nawet kotów.

- Co to było? - szepnął Max.

- Nie wiem. Może śmierć - odpowiedział mu ojciec.

Otworzyła oczy chwilę potem. Dosłownie po jednym wdechu. Rozejrzała się. Wiatr poruszał łąką pełną kwiatów na szerokim białym tarasie. Było na nim mnóstwo doniczek z kwiatami. Ktoś podszedł i zatrzymał się za jej plecami. Odwróciła się powoli.

- To ty?

- Witaj, Lilith - odpowiedział pogodny głos.

Siedzieli w auli i czekali na plan zadań wyczytywany smętnie przez Kazteza. Szczur kopał w krzesło, na którymś „Klecha. Borys beznamytnie notował coś z tablicy ogłoszeń ^ Koshe wiercił się niespokojnie ze słuchawką przyklej ucha. Reszta bliższych i dalszych sąsiadów rozmawia przysypiała. Kaztez rozpoczął od prezentacji. Mówił coś niemrawo i kilka razy gubił wątek. Tylko oni wiedzieli, w jakim jest stanie. Ledwo stał na nogach. Nagle zgasło światło i na planszy wyświetlacza zobaczyli uśmiechniętą bezczelnie twarz. Zapadła głucha cisza.

- Bez takich, panowie. To nie projekcja astralna, darujcie sobie te miny.

- Magik? - Koshe skrzywił się i w jednej chwili zdjął nogi z krzesła naprzeciwno.

- We własnej osobie. Tak tylko wpadłem powiedzieć, że mam coś, co należy do ciebie i żebyś się o to za bardzo nie martwił. Jest cała, nakarmiona i wyspana, więc nie ma po co wszczynać alarmu.

- O kim ty mówisz?

- A tak. Zapomniałem. Nie ma wokół ciebie kobiet, o które warto się martwić.

- Mia - wyszeptał.

- Nie. Twoja siostra mnie nie interesuje. Jest jeszcze kilka. Strzelaj.

- O co ci chodzi? I gdzie reszta twojej załogi?

- Niestety. Oni naprawdę nie żyją. Musiałem upozorować własną śmierć, więc ich zabiłem. -

Wzruszył ramionami.

- I co zamierzasz?

- Nic. Żyję sobie, choć nie sam. Mam kucharza, sprzątaczkę, własne Miasto. Jak widzisz, nie brakowało mi niczego prócz kobiety, choć wolę ją nazywać swoją królową.

- Żarty sobie robisz?

- Niestety nie.

Z tyłu Prince wybrał numer Marii. Chwilę czekał.

- Gdzie jesteś?! - krzyknął do słuchawki.

- Pod prysznicem, a gdzie mam być o szóstej trzydzięci rano? Czy coś się stało? Prince?!

Zasunął klapkę.

- Ups. Zostały dwie.

- Gdzie jest Lilith? - odezwał się przytomnie Kaztez. Kadr się przesunął i ktoś, kto trzymał kamerę, obszedł go

i zrobił zbliżenie łąki. Stała na niej tyłem do nich, w jednej ze swoich babcynich sukienek.

- Cała i zdrowa.  
 Koshe wyciągnął broń z udowej kabury i wycelował w ekran. Magik zaśmiał się triumfalnie.

- Widzę, że nasze koleżeńskie stosunki właśnie uległy przedawnieniu.  
 - Któryś z nas cię zabije - zapowiedział Koshe.  
 - Czekam, choć nie będę się nudził do tego czasu.  
 - Nie doceniasz jej.  
 - Doceniam. Właśnie dlatego czekałem na nią tak długo. Przepróż ode mnie Marię. Była celem numer jeden, ale pojawił się ktoś bardziej interesujący. Sam rozumiesz. - Ponownie wzruszył ramionami.  
 - Nie chcesz pieniędzy, więc czego?  
 - Niczego. Ja się po prostu świetnie bawię.  
 - W zabawie to my jesteśmy najlepsi.

Przesunął ramię w prawo i strzelił w gniazdko koło nogi Kazteza. Zgasło światło w całym budynku.

- Nie! - krzyknął Szczur do kogoś, kto stał już przy dźwigni awaryjnej. - On ma kamery podpięte do naszej instalacji. Widział nas. Za latarki i szukać!  
 Rozbiegli się. Klecha opadł na siedzenie.  
 - Ta dziewczyna jest tak pechowa sama z siebie czy po prostu przyciąga psychopatów? - Odpalił w mroku papierosa. - Magik powiedział, że ma własne Miasto. Jak to możliwe? Nie jest nawet Invocato.  
 - Nie musi być. Wystarczy, że jego ojciec był. Jest wiele nieślubnych dzieci takich ojców - podrzucił Prince. - Lepiej pomyśl, jak wyłapać Miasto na radarze. Widzimy siebie jako plamy energii i dzięki temu, że mamy łączność. To jak szukanie igły w stogu siana. Musimy mieć jakiś punkt zaczepienia.

Po godzinie dywagacji jak znaleźć coś, co teoretycznie nigdy nie powinno powstać, zapaliło się światło. Rasputin i Je- kyll przynieśli pół worka małych przenośnych kamer. Kaztez siedział bez ruchu w pierwszym rzędzie. Koshe przykucnął obok niego i ważył słowa.

- Znajdziemy ją, a jego się zabije. To kwestia cza  
 - Ona nie ma czasu.

Koshe przekręcił głowę w bok, by nie oswoić się za bardzo z tą myślą.

- Teraz skoczmy do sędziogo.  
 - Uważajcie. Wewnętrzni na razie o niczym nie mają pojęcia, ale nie wiem, ile czasu uda mi się ich trzymać z daleka  
 - mruknął Stary.

Koshe wstał i odszedł w kierunku drzwi.

- Sprawdźcie jej mieszkanie, Norę i szafkę w szatni - zarządził. - U siebie też sprawdzić. Policzyć. Poszukać, sprawdzić czy sprzęt i ewentualnie znaleźć dostawcę, jeśli to możliwe. Szczur, ze mną. A... - zawrócił raz jeszcze - mieszkanie kapitana.  
 Zmieszali się, ale Stary wyciągnął klucze z kieszeni i rzucił za siebie, wprost w ręce Borysa.

Do mieszkania Burej poszli Klecha i Prince, a do Kazteza

- Borys. Reszta szukała pluskiew w Norze.  
 To, co zastali u Lilith, zdziwiło ich. Pokój był dokładnie wysprzątny i pusty. Jej rzeczy stały spakowane w kartonach przy drzwiach. Wiedziała, że nie wróci, i spakowała się zawczasu, by nie robić nikomu kłopotu.  
 Nie trzeba było szukać ich szczególnie pilnie. Jedna przy klimatyzacji, druga za lodówką z widokiem na kuchnię. Łazienka była czysta.  
 - Gdybyś był podglądaczem, gdzie najpewniej umieściłbyś kamerę? - spytał zamyślony Natan.  
 Prince wyciągnął telefon.  
 - Jesteście już na miejscu? To dobrze. Sprawdźcie łazienkę. Tak. I? Nic? U nas też nic. Wiem, że dziwne.  
 Klecha zabrał mu telefon.  
 - Co trzymała w łazience? I?... Leki. - Pokiwał głową. - No to mamy odpowiedź.  
 Oddał mu aparat.

- Bierzemy jej rzeczy i wracamy do Nory. Założę się, że ten dzentelmen w naszym kiblu też nie założył kamery ani podsłuchu.

Było tak, jak myślał. Rodman siedział ze swoimi i dzielił sprzęt według kategorii.

- Trzy u kapitana, cztery w samej szatni. Każdy z nas miał jedną u siebie. Sprzęt najwyższej klasy. Bez sprzężeń - podsumował Borys. - Część zapewne należy do wewnętrznych, ale niektórych nie widzieliśmy nigdy na oczy. Sprawdzają inne piętra. I strzelnicę.

Sierżant chodził od ściany do ściany.

- Jak można było bez skrępowań zabić swoich ludzi, a potem porwać dziewczynę i oznajmić to tak spokojnie? To szalenie.

Weszli Koshe i Szczur.

- I? - spytał Koshe Rodmana, przyglądając się masie sprzętu na ich stoliku, wysypanego na gazety i kryształowego łąbiedzia pełnego niedopałków.

- Podzieliliśmy na cztery grupy. Trzy znamy. Jednej nie. Nowa technologia.

Prince bez słowa wziął do ręki kamerę i poszedł na górę. Trzasnęły drzwi. Pozostałe zawinęli w trzy ścierki i oznajmili, że idą szukać i pytać.

- Weźmiemy tę część - oznajmił tajemniczo Sierżant i popukał palcem w mapę, którą rozłożył na stoliku. - Będziemy nasłuchiwać na zmianę. Miasto Miastem, ale on musi być widoczny. Musi się czymś wyróżniać.

Klecha popatrzył na niego zdziwiony.

- No co? Może i jest nienormalna, ale jest jedną z nas. - Wzruszył ramionami.

- My weźmiemy ten obszar. - Wskazał Rasputin. - Często tam schodzimy. Zauważymy każde odchylenie od normy. Rodman weźmie ten i wam zostanie ten. Jakaś będzie nas zmieniać. Trzeba jeszcze pracować, nie?

- Nie trzeba - usłyszeli kapitana za plecami. - Ogłosiłem miesiąc testów z nową bronią. Będziemy przysyłać portalem bomby świetlne. Wałą do kilometra. Będzie jasno i czysto jak nigdy. Wybieramy miejsca najbardziej newralgiczne i walimy w nie profilaktycznie. Później wielkie podsumowanie, czy działa, czy nie działa. Miał to robić Południowy, ale załatwiłem, że nasz, bo mają dojść kolejne trzy drużyny młodych, więc musieli mi dać czas na ich oswojenie. Mamy fart i miesiąc na znalezienie jego, jej i tego Miasta. Nikomu pary z ust. Do roboty. - Machnął głową na drzwi.

Kiedy wyszli dowódcy innych drużyn, zjawił się Prince, kręcąc głową. Czyli jego tajna grupa tajnego odłamu ukrytych gejów i lesbijek też nie rozpoznała sprzętu.

- Później rozpracuję to cacko. - Wsadził je do kieszeni.

Cisza.

- Max przypadkiem nagra<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>e zdarzenie - zaskrzecza<sup>3</sup> Szczur. - Chcia<sup>3</sup> udowodniæ, że jedna z ich bogatych s<sup>3</sup>siadek to kleptomanka i podci<sup>1</sup>ga im srebra. Ustawi<sup>3</sup> dwie kamery na pó<sup>3</sup>kach pomiędzy ksi<sup>1</sup>żkami i nikomu o tym nie powiedzia<sup>3</sup>.

Wybrał jedną z kilku płyt i wrzucił do odtwarzacza.

- A pozostałe nagrania? - spytał Kaztez.

Szczur się zasępił.

- Młody powiedział, że jeśli niczego o niej nie wiemy, to nas uświadomi. - Włączył odtwarzanie.

Oglądali film trzy razy. Urywał się w momencie, gdy obaj dochodzą do okna i wypatrują czegoś w ciemnościach.

- Co to, kurwa, było? - spytał Natan.

- A co za różnica? Ważne, że się odsłonił. Humanoidalny, mówiący, silny - odpowiedział Borys.

- Mamy mało czasu. Mniej niż miesiąc - odezwał się Koshe.

Podszedł do płaszcza rzuconego na poręcz schodów i wyciągnął z kieszeni znajomą im szaszetkę. Kaztez opadł na kanapę.

- Spytałem o te leki. Brała je tylko w łazience. Nikt nie widział, jak je połyka, a skoro on nie miał tam oczu, nie wie, że jest chora. Nie wie, że jest człowiekiem. A ona jest uparta. Będzie rzygać, ale się nie przyzna. Nie wiemy, co Magik robi, gdy się dowie. Opcje są dwie. Albo ją zabije, albo wypuści.

- Jest inna możliwość - wtrącił pewnym głosem Klecha. - Ona jest sprytniejsza, niż myślisz. Logiczna i precyzyjna. Wiedziała, że ten ktoś nie łązi za nią tylko na stronę, więc ukryła fakt, że jest chora. Wymiotowała też tylko w łazience. Tak jak mówiłeś. Nie docenił jej.

Noc nie była spokojna. Prince zszedł na dół, żeby się czegoś napić. Przetarł oczy, bo bolały go od patrzenia w mikroskop. Kamera, którą rozłożył na części, była tak skonstruowana, że stracił pół nocy na podziwianie jej architekta. Z fotela przed telewizorem wystawały jedynie nogi. Chude i długie. Siedział i przewijał w kółko jeden fragment.

- Tak? A widzisz tu któregoś z nich? - Chwila na przewinięcie. - Tak? A widzisz tu któregoś z nich?

Podszedł do niego.

- Zadręczasz się w jakimś konkretnym celu czy jesteś masochistą od zawsze?

Nie odpowiedział.

- Młody, daj se siana. Pojechałbyś do niej i co? Pottrzymał za rękę? Posiedział przy łóżku?

Nie odpowiedział. Pablo zawrócił na schody.

Dlaczego my wciąż mieszkamy razem? - usłyszał za plecami cichy głos beznadziei i złości. - Dlaczego mimo tylu kłótni, bójek, żartów, wzajemnego gnojenia, wciąż jesteśmy razem? Pod jednym dachem, na kupie. Bywało głodno i chłodno i z wódką, i z kacem, a my jak baby jeden przy dupie drugiego. Tylko po to, by nie być samemu.

Poprowadził ją do stołu. Siedziało przy nim czworo niezwykłych ludzi. Kobieta była jedna. Rudowłosa. Koński ogon prostych i gestych włosów sięgał daleko za siedzenie krzesła. Zero ozdób, zero makijażu, a i tak piękna jak posąg i nierealnie wręcz doskonała. Była boso. Na tle pergaminowo białej skóry opięta czerwona suknia wyglądała jak zastygła krew. Obok niej siedział łysy mężczyzna o ostrych rysach. Jedyne, czym się wyróżniał od pozostałych, to zielone jak trawa, wyraźne oczy. Magik popchnął ją delikatnie i obeszła stół i ludzi, którzy przy nim siedzieli. Odwróciła się i zamarła na ułamek chwili. Kobieta miała tak samo rude oczy jak włosy. Rdzawy, lśniący kolor. Po drugiej stronie zajął miejsce ten, który ją przyprowadził. Nie miał na sobie płaszcz i był na wpół nagi. Obok niego, dyskretnie się jej przyglądając, siedział długowłosa, siwy mężczyzna. Młody, choć oczy miał szkliste i jasne. Niemal tak jasne, że nie było widać źrenic. Magik wskazał jej krzesło, a sam usiadł u szczytu stołu. Naprzeciw siebie miała potwora o czarnych źrenicach i gałkach. Było jasne, że nie są ludźmi. Jedynie tak wyglądają. Za spokojni, zbyt zimni, zbyt idealni w proporcjach i urodzie.

Jakiś człowiek podawał do stołu. Mdlilo ją już wcześniej, ale teraz poczuła jedzenie. Skrzywiła się. Dom, na którego tarasie do tej pory siedziała, był całkiem normalny. Wszystko inne było nienaturalne. Słońce od kilku godzin stało w jednym miejscu. Łąka trwała jak nienaruszony, niezamieszany byt. Była sztuczna tak jak jej towarzysze przy stole. Ściany, dywan, o który zaczepiała nogami, również. Groszek na talerzu wydawał się prawdziwy. Tknęła go widelcem. Magik uśmiechnął się do niej, a przyglądał się jej zmęczonej twarzy od dobrych pięciu minut.

- Jeśli chcesz coś innego, powiedz, przyniosą ci.

- Nie. Jest smaczne, tylko - odłożyła widelec - jestem zmęczona. Nie codziennie ktoś jest portalem.

Znowu się zaśmiał. Minął kant stołu i podszedł do jej krzesła. Wstała i zrobił coś, czego się nie spodziewała. Posadził ją sobie na kolanach. Jedli, zupełnie na to nie zważając. Podciągnął jej kolana i objął.

- Było powiedziec od razu. Zauważyłem, że schudłaś.

- Na pewno ci doniesiono, że chorowałam. - Popatrzyła na martwą twarz z naprzeciwka.

- Doniesiono - odpowiedział ubawiony i wystawił przed jej nos widelec z filetem rybnym.

Spokojnie patrzył, jak lekko wyciąga szyję i wkłada go do ust. Bawił go ten widok.

- Nie chcesz wiedzieć, co tu robisz?

- Nie - odpowiedziała szybko. - Cokolwiek to jest, im później się dowiem, tym lepiej dla mnie.

- Tak, a dlaczego?

- Będę spała spokojniej.

Kolejny widelec, kolejna napięta chwila.

Do pokoju wszedł ktoś dziarskim krokiem. Nosił okulary, a zza nich całkowicie błękitne, szklane oczy, przyglądały się jej ciekawie. Usiadł u szczytu stołu i rozwinął serwetkę. Miał rozpięty biały fartuch, a pod nim biały kitel, podobny do tych, jakie wkładają lekarze podczas operacji. Bez większych ceremonii zaczął jeść.

- Nie ufasz mi, prawda? Od początku nie ufałaś - usłyszała przy uchu.



Sięgnęła po szklanę z sokiem.

Klecha miał cię pod bokiem, gdy spałaś. Prince, Szczur, Borys. Nawet Koshe. Nawet jemu zaufałaś od razu. A ja byłem miły, uprzejmy, a im bardziej miły i uprzejmy, tym bardziej trzymałaś mnie na dystans.

- Byłeś z Marią. Poza tym nie ciebie jednego trzymałam na dystans.

- Ale Maria nie tłumaczy wszystkiego.

- Śledziłeś mnie i nawet nie zapytałeś, czy chcę tu być. Czy to nie jest wystarczający powód, by mieć wątpliwości?

Nóż śmignął jej przy twarzy. Błada ręka pochwyciła go w palce na wysokości jej oczu.

- Więcej szacunku, dziewczynko - usłyszała syk z krańca stołu.

Okularnik chyba jej nie lubił. Czarnowłosa beznamiętnie opadł na swoje krzesło i odłożył nóż na obrus.

- Nie odpowiedziałaś na pytanie.

Spojrzała w niebieskie oczy szaleńca, na którego kolanach siedziała.

- Nie ufam nikomu, kto jest nadto miły, uczynny, z wachlarzem komplementów czy błyskotliwych ripost. Nie ufam ludziom, którzy są zbyt dobrzy, bo takich nie ma. Są tylko pozory i iluzja. To, że siedzimy tu sobie i jemy groszek z rybą z rusztu, jest jedynie dowodem na to, że miałam rację.

Drugi nóż zatrzymał się w palcach Czarnego. Zerwała się i wyjęła go, dotykając przelotem zimnego kawałka lodu, zamiast ręki. Odrzuciła go w furii przez stół i trafił w talerz okularnika, rozrzucając jego zawartość na boki i biały fartuch.

- Albo masz odwagę uderzyć mnie ręką, albo nie rób tego wcale.

Usiadła z powrotem.

- Dziękuję, Czarny. Ty to masz oko - powiedział z uznaniem Magik.

Skinął lekko głową w podziękowaniu za uznanie.

- Powiesz mi, jak masz na imię, czy mam się do ciebie zwracać per Wyciągający Białe Króliczki z Kapelusza?

- Jesteś nikim, więc milcz niepytana o zdanie! - krzyknął okularnik i uderzył pięścią w stół.

Wychyliła się lekko.

- To jest Czarny, więc idąc tą logiką, obok siedzi Siwy. Ruda i Zielony. Ja jestem Bura, a ty pewnie jesteś skrzatem z krańca tęczy. - Zaśmiała się, obracając twarz wprost w rozpromienione spojrzenie Magika.

- Mam na imię Xawier.

- Tak więc, Xawier, karmisz mnie dalej, czy zawiesz kolorowego elfa, by dokończył za ciebie?

Ledwo mówiła. Bała się, że zacznie kaszleć i wyda się, że jest chora.

- I ty jej na to pozwalasz?

- Jest gościem. Poza tym, ile bym jej nie uczył, to się nie nauczy. - Wzruszył ramionami. - Nie tacy jak ja próbowali.

- Mimo wszystko nie powinna.

- Ty. - Odwróciła się do niego i oparła łokciami o stół. Drżały jej ręce i czuła, że zaraz zemdleje. - Jesteś irytujący, mówił ci już ktoś coś podobnego?

- A ty brzydka.

- To zabawa, w powiedz mi coś, czego nie wiem. A ja na przykład wiem, że masz kompleks małego ptaszka.

Okularnik zacisnął pięści na obrusie.

- Nie jesteś taki jak oni. Nie trafiasz do celu nawet z bliskiej odległości, a taktu masz tyle, co brudu za paznokciem. Czy zmieniłeś sobie sam? To może pomogłeś sobie i z innymi organami?

- Po czym poznałaś?

- Masz rumieńce, idioto.

Zerwał się do wyjścia. Nikt przy stole nawet nie zareagował. Opadła niemal bez siły.

- Jesteś zmęczona. Zaniosę cię do twojego pokoju.

Nie odpowiedziała. Spała, gdy kładł ją na wielkim łóżku

z mnóstwem poduszek. Wyszedł i zamyślony rzucił, idąc korytarzem:

- Będzie ubaw.

- Czarny wyminął Siwego i ruszył w przeciwnym kierunku.
- Gdzie idziesz? - spytał go siwowłosy.
  - Do biblioteki. Muszę sprawdzić co znaczy ubaw. Poszli za nim.

## *Pragnienie*

Wszedł do Nory i od razu skierował się do lodówki. Piwo otworzyło się z charakterystycznym sykiem. Zamknął z kopa drzwi. Wisiał na nich kalendarz, a obok dyndał flamaster przymocowany taśmą do metalowej sprężynki. Data sprzed tygodnia oznaczona była jako Start. Przełożył kartkę. Ta dokładnie miesiąc później jako Meta. Oparł się o szafki i nasłuchiwał kroków. Przyszli dokładnie pięć minut później. Klecha rozejrzał się.

- Koshe, od kiedy nam sprzątasz?

Popatrzył na niego tępym, przemęczonym wzrokiem.

- Wyrzuciłeś moje żarcie! - oskarżył go Szczur i szukał w amoku czegoś na półkach w lodówce.

- Było jeszcze pół miski makaronu z sosem serowym. Wiem, bo sobie robię na tydzień!

- Łeeee. - Prince wywalił jęzor.

- Nic tu nie ruszałem.

- No to kto?

Rozejrzeli się i jak jeden spojrzeli na górę. Ktoś wyszedł z łazienki.

- Ten zapach. - Szukał czegoś w pamięci Natan. - To kadzidło...

- Słyszałeś, Ron - zadrwił głos na szczycie schodów. - Ktoś jadł z mojego nocniczka.

- Ktoś wydymał moje dmuchane lale - odpowiedział inny. Znieruchomieli. Ron wyglądał jak Ron.

Wysoki kucyk,

spokojna twarz. Obok niego stał Dakota. Uśmiechnięta, smagła facjata. Białe jak mleko zęby i rozpierające koszulkę bicepsy mięśniaka. Zeszli powoli. Zapadła niezręczna, nieruchoma cisza.

- Wy durnie - wypalił Prince. - Myśleliśmy, że już po was.

- Eee. Od razu durnie - spoważniał Dakota. Japończyk był niski w porównaniu z pozostałymi.

Usiadł

w fotelu.

- Złożyli nam propozycję nie do odrzucenia - wyjaśnił tajemniczo.

- Kto? - spytał Natan.

- Pierwsze.

- O! A czego chcieli?

- Inwigilowania własnych ludzi. W tym i Magika. Zainteresowanie wzrosło. Koshe podszedł do

Wodza

i strzelił go w łeb.

- Byłem ci winny za oszustwo w remika. Ja nie zapominam. Usiedli.

- No to macie okazję, by się wypowiedzieć - zazgrzytał Szczur.

Ron zasłonił uszy.

- Kurwa, młody. Tyle lat, a ty wciąż masz mutację.

- Pierdol się - zazgrzytał Szczur bez entuzjazmu i opadł obok Princea.

Dakota założył włosy za uszy. Nadal miał ten tik.

- Byliśmy w barze, gdy ktoś do nas podszedł i uderzył mnie w głowę, aż odbiłem się od blatu.

Wstrzyknęli mi coś pod skórę. To samo zrobili pijanemu Japońcowi. Zawsze miałeś słabą głowę - wyszydził przy okazji.

- Wal się.
- Kochacie się jak zawsze. Jeśli oni was nie zabili, stawiam, że mieliście siebie po prostu dość. - Borys zaśmiał się rubasznie.
- Powiedzieli, że to nadajnik z bombą. Musimy iść z nimi, jeśli chcemy żyć.
- I? - zaciekawiał się Koshe.
- Kazałem im obrócić kierunek na zachodzące słońce.
- Aha, czyli byłeś mało uprzejmy.
- Oni do tego nie byli przyzwyczajeni, więc obudziliśmy się dwa dni później w bardzo nowoczesnym szpitalu. Wyciąg, zabandażowane łby i widok z jednego oka. Podwójna sala. Przerwał na chwilę.
- I? - Koshe ponaglił go raz jeszcze.
- Sądząc po minie, Dakota miał ciężkie wspomnienia.
- Obudziłem się kolejnego dnia. Nie widziałem wyciągu ani ścian. Przezornie dali nam oddzielne sale.
- Śmiali się z ich głupoty. Koshe dopił piwo i ręce mu opadły. Ron i Dakota byli skrajnie różni. Wódz miał otwarty sposób bycia i maniery pędzącej w cyklonie stodoły. Ron był wyważony i cichy. Spokojniejszy czasem nawet od Borysa, choć język miał cięty jak żyłotka. Ciągał się zwykle z Natanem - obaj lubili białą broń i nie działali na siebie jak nafta i zapałka. Dakota ciągał się ze wszystkimi. Nie robiło mu różnicy z kim pije, bije czy wyrывa laski. Jednak najwięcej czasu spędzał z Koshem. Nikt nie rozumiał dlaczego.
- Gdy ucichli, Dakota skończył swoją opowieść.
- Kazali nam się uczyć socjotechnik i innego psycho, somo, sromo gówna. Na macie nie było lepszych, choć nie dawali nam sparować ze sobą. Zamknięto nas na dwa lata, a potem wypuszczono i nawet się nam spodobało. Udawaliśmy inżynierów, sprzątaczy, techników. Roznosiliśmy podsłuchy do domów i mieszkań. W tym i Magika.
- Dlaczego teraz kazali wam wrócić?
- Nie kazali. Zwialiśmy - odpowiedział Ron. - Mieliśmy nawiać już dwa lata temu, ale nie było jak. Te kurewstwo pod skórą krążyło ciągle we krwi, aż nadarzyła się okazja jej oczyszczenia i wio. Tyle nas widzieli.
- Dopiero teraz na to wpadliście? - ofukał ich Prince.
- To była trucizna, ciole bez szkoły - wycedził Dakota. - Aplikacji nie przeżyło dwie trzecie testerów.
- To pogwałcenie praw człowieka - wtrącił Borys.
- Wiemy i ubolewamy nad tym - zasmucił się sztucznie Ron. - Dlatego wysłaliśmy dowody, gdzie trzeba, i sprawa zaczęła strasznie śmierdzieć. Oj, strasznie.
- Rozpierzdocie tym niejeden oddział - skomentował Koshe. - Pierwsze straci status najsilniejszego, najnotliwszego, najczystsze Miasta.
- Taa jest. - Dakota uderzył się w kolano.
- Zabiją was - wychrypiął Szczur.
- Mam to w dupie. - Dakota oparł się wygodnie. - Przecież ja oficjalnie już nie żyję.
- Chwilę milczeli.
- Widzieliśmy kilka nagrań z udziałem naszej małej gwiazdy. - Czerwonoskóry zachichotał. - Ależ ona namieszała. Wiecie, że chcieli ją sprzątnąć już dwa razy? Popatrzyci po sobie.
- A to czemu?
- Od kiedy wyszło, że to ona zapoczątkowała *Pimp My Posterunek*. Dwie duże firmy w Pierwszym splajtowały, bo nie było odbiorców demobilu, czytaj, was. Mundury swoje, broń swoją, centralki własne. Pewnie nie wiecie też, że Parowa dostał awans i przeniesiono go za biurko? Nawet personalny tak na niego wołał. Wiem, bo osobiście sprawdzałem taśmy z jego podsłuchów. Byłem wtedy dostawcą wody. Całkiem niezła fucha.
- Co o niej wiecie? - spytał spokojnie Natan.
- Ron wzruszył ramionami.
- Oficjalnie czy nieoficjalnie?
- Jedno i drugie.

- Pieprzyć oficjalnie - wtrącił Dakota. - Młoda, przeciętna, niegłupia. Sypia ze Starym, który ją utrzymuje. Ostatnio na urlopie zdrowotnym. Pewnie Wiera zaaplikował jej wtyczkowego wirusa. - Zaśmiał się i nagle mina mu zrzedła.

Nie byli w nastroju do żartów, ale Wódz nie znał słów „nie wypada”.

- No dobra. Który ją puka?

- Żaden - pisał Szczur.

- To może jakiś wielokącik?

Cisza.

- Duecik?

Klecha zacisnął szczękę.

- Patrzycie na mnie, jakbym mówił o waszej siostrze, a nie uwierzę, że ten dzieciak narobił wam w mózgach takiego spustoszenia. Nowa Nora, grafik mycia garów na lodówce, Klecha w wyprasowanej koszuli i pokój Szczura z plakatem Transfor- mersów na ścianie. Tylko Koshe jest tak samo powalony jak przedtem. Coś się jeszcze zmieniło? Zaczęłeś przyprowadzać kolegów oficjalnie? - rzucił w stronę Princea.

- Kolegów nie. Koleżanki - odpowiedział mu oszczędnie.

- Dobra, przepuść mnie. - Dakota postukał w nogę Rona, który siedział obok. - Na trzeźwo tego nie przyswoję.

Poczekali, aż wróci z piwem. Podał jedno zamyślonemu Japończykowi.

- Skoro już siedzicie, to teraz wy posłuchacie.

Koshe mówił spokojnie i zupełnie bez emocji. Od początku. Przerzywał tylko w momentach, gdy mieli miny porażonych regularnie prądem. Produkował się przez dobrą godzinę, po czym poszedł do lodówki i wyjął kolejną butelkę. Otworzył ją otwieraczem, który dumnie wisiał na ścianie, przybity całowym gwoździem obok lodówki, by skarb nie zaginął pomiędzy garami. Wrócił i usiadł na swoim miejscu, czyli na podwójnym fotelu. Klecha odpalił papierosa.

- Więc mamy człowieka za burta? - podsumował zszokowany Ron i wyłączył DVD.

Dakota myślał nad czymś intensywnie.

- Poznałem Magika. Bogaty, ustawiony, zdolny. Popularnością bił nawet ciebie, Koshe.

- Fanki są kapryśne. Jeden przejazd przez Miasto i wróca do pana.

Koshe nie lubił, gdy traktowano go jak kawał mięsa. Żartował z tego, ale nie było w tym dla niego nic śmiesznego.

- No i ostatnimi czasy spotykał się z Marią. Ale z tego co pamiętam z nagrań, to była bardzo kulturalna, a wręcz zbyt grzeczna znajomość. Kwiaty, kolacyjki, wyjścia do szpaner- skich lokali. Nic nadzwyczajnego. Facet jakich setki - dokończył Wódz.

- Ale nawialiście dopiero teraz, bo? - spytał zamyślony Borys.

- Zaprzeczasz ewolucji. Inteligentna kupa mięśni nie występuje we wszechświecie. Nawialiśmy teraz, bo dali nam robotę przy szukaniu anomalii, czytaj, rzeczy, które dzieją się niby przypadkiem, a jednak się zdarzają. Ostatnio było ich zbyt wiele. I to właśnie u Samobójców. Kradzieże, których nie było. Włamania bez śladów włamania. Zgadnijcie, czyja karta osobowa znikła z archiwum personalnego?

- Burej - pisał Szczur.

- Właśnie. Ktoś zdemolował cały cholerny blok, by zatrzeć ślady, a zrobił to w sekund pięć. Ukryliśmy przed pracodawcą ten fakt. Kilka innych również. Bez pleców daleko byście nie zajechali.

- Co jeszcze macie?

- Oni wiedzieli, że Magik nawiał. Jeden z jego ludzi miał włączony telefon, gdy do niego mierzył. Powiedział kilka znaczących słów i było jasne. Zatuszowali to natychmiast. Poszły granaty czyszczące, niby że nie było kogo zbierać. Dwóch jeszcze żyło.

- Sukinsyny - odezwał się Prince. - Traktują nas jak element do zastąpienia.

- A ona. Nie dała wam jakichś wskazówek? - spytał Ron.

- Tyle, co widziałeś. Nie wiemy, po co mu do szczęścia potrzebna - burknął Klecha i wyciągnął nogi na stercie gazet, które zrzucił ze stolika.

- Mnie coś dała. - Koshe trzasnął drzwiami i poszedł do samochodu. Wrócił po chwili i podłączył telefon do ładowania.

Czekali w napięciu. Znalazł pliki ze swoim nazwiskiem. Pogłośnił odtwarzanie i położył aparat na stole.

W tle leciała hałaśliwa muzyka. Rozpoznał głosy.

- *Po co tu pracujesz? Przecież nie brak ci pieniędzy? Z tego co mówił Koshe, jesteś kochanką Kazteza. On ma pieniądze, więc pewnie cię utrzymuje.*

- *To prawda.*

Szybka odpowiedź i szybkie pytanie:

- *Po co tu przyszliście? Koshe zwykle tu nie przychodzi.*

- *Nie dziwi mnie to. Tani, obskurny lokal.*

Chwila przerwy i znowu ten sam głos:

- *Chciałam zobaczyć, jak wygląda jego codzienność. I dochodzę do wniosku, że jest nudna.*

- *Koshe jest zwykle zajęty. Ma sporo roboty.*

- *Nie odpowiedziałas mi. Po co ci praca kelnerki w tym burdelu?*

- *'Wiesz, trzeba kombinować, żeby cię kochanek nie wymienił na inny model. Muszę o siebie dbać i zawsze mieć w zanadru coś ekstra, a na to potrzebuję kasy.*

- *Masz głowę nie od parady. Ja brzydzę się biedą. Dla mnie biedni są jak małpy w zoo. Przyjdę, popatrzę i wyjdę. Na co dzień unikam z nimi kontaktu. Mam wrażenie, że są brudni, głupi, głośni i niezmiernie nudni. Koshe oczywiście nie wie o tym, bo ciągle się wśród nich obraca. Jemu jest już wszystko jedno. Jest tak bogaty, że mógłby sobie kupić to przeklęte Miasto.*

*Ale jest cholernie sztywny. Dasz wiarę, że jeszcze ze sobą nie spaliśmy? On nigdy nie ma czasu, a ja ciągle kupuję sobie nową bieliznę. Jak tak dalej pójdzie, to bzyknijemy się dopiero w noc poślubną, jeśli uda mi się gwizdnąć mu telefon.*

Bura zaśmiała się znajomo. Bezczelnie przysunęła bliżej telefon. Koshe miał nieodgadnioną minę.

- *Daj spokój, nie może być aż tak źle. Ma poczucie humoru. Kiedyś, pamiętam na pewno, zażartował nawet. Dwa tygodnie temu, między siódmą a ósmą rano. Chyba się zapomniał.*

Sara zachichotała.

- *Poza tym, jak cię tak słucham, nie wyglądasz na taką, co zasypia sama. Na pewno jest ktoś, kto w mało oficjalny sposób ściąga z ciebie te drogie fatalaszki.*

- *Oczywiście, że jest. Gdybym miała liczyć na drogiego, przyszłego małżonka, uszłabym. Ojciec ma przystojnego sekretarza. Spotykamy się od czasu do czasu w biurowcu firmy i pieprzymy na ksero.*

- *Ekstremalna z ciebie dziewczyna. A jak was ktoś nakryje, to co wtedy?*

- *Nie nakryje, bo kamery są w inną stronę. Poza tym, w tym wszystkim ten dreszczyk jest właśnie najlepszy. Adrenalina stosunku. Czasem dla niepoznaki, krzyczymy, że ksero się zacięło, bo wypluwa kartkę za kartką.*

- *A gdyby on się o tym dowiedział? Małżeństwa z wyższych sfer przewidują taki scenariusz?*

- *On niewiele o tym mówi. Muszę go trochę ponaciskać, bo sama nie wiem, na czym stoję. Przeciągnął zaręczyny na za rok. Dziwne, prawda. Mam cycki jak marzenie, a on ich nie chce miętosić. Może jest gejem?*

- *Nie jest.*

- *Skąd wiesz?*

- *Bo mam grupę testową.*

- *Aaa. Princea. Całkiem niezłe ciacho. Szkoda, że się marnuje.*

- *Natan też jest niezły. - Bezczelny głos podjudzacza.*

- *Puściłam do niego kiedyś oko. Chyba mnie nawet nie poznał, kiedy nas sobie przedstawiał. No, ale wtedy miałam miseczkę B.*

Śmiech.

- *Dziwię ci się. - Popiła czegoś. - Sypiasz tylko z jednym sekretarzem i to od czasu do czasu. Ja się nie rozdrabniam.*

- *Serio, wyglądam na taką? Sypiam też z moim fryzjerem, bo jestem u niego dwa razy w tygodniu z samego rana, zanim mam randkę z Koshem. Jest niesamowity na dłuższe dystanse. Raz w miesiącu spotykam się też z kuzynem. Mieliliśmy się pobrać, więc sypiamy ze sobą od czasów nastoletnich. Ostatnim pomysłem ojca był Koshe i jego rodzina wkręciła się w ten pomysł. Mnie to odpowiada. Jest tak zajęty, że nie zauważył podwójnej pracy ogrodnika czy sekretarza.*

- *Dobra, muszę już iść, zarabiać na te wszystkie wabiki.*

- *Trzymaj się.*

Nagranie ucichło. Koshe był blady jak płótno. Nikt nie odezwał się słowem. Sięgnął po aparat i wybrał drugi plik.

- *Oj Koshe, Koshe, Koshe. Drażnisz mnie średnio raz w tygodniu, więc dam ci to odstuchać, gdy albo będę bardzo daleko, albo wpadniesz na genialny pomysł życia z tą idiotką. Wiem, jak lubisz słuchać mojego głosu, więc wyjaśnię ci pokrótce, że wkręcić ją nie było trudno i stało się to przypadkiem. Chciałam uwiecznić furję Szczura pod kontuarem, a potem go tym szantażować, ale ona mówiła tak ciekawie, że odruchowo włączyłam nagrywanie. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe. W końcu to nie ja jestem twoją narzeczoną, tylko ona. Swoją drogą, zaczynam się cieszyć, że nie będę nigdy na tyle bogata, by mieć sekretarkę czy kucharkę. Życie jest wtedy o wiele prostsze.*

Cisza. Wstał i narzucił na plecy płaszcz. Podeszedł do stolika i szarpnął telefonem tak mocno, że ładowarka omal nie wyrwała kontaktu. Pociągnął kabel po podłodze i wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Zabije ją - pisnął Szczur.

- Albo pozwoli żyć. - Prince pokiwał głową. - Z bardzo dużym wstydem.

Godzinę później stał w wielkiej sali urządzonej w stylu myśliwskim. Nie podziwiał jednak obrazów ani wypchanej zwierzyny. Gapił się za okno. Ojciec Sary siedział obok niej i uspokajał jej nerwowe ruchy. Oboje byli pewni, że przyszedł się oświadczyć. Czekali na przedstawicieli rodziny Koshego. Kamerdyner wprowadził ich i słyszał, jak witają się z gospodarzem. Usiedli.

- Czy to spotkanie mamy rozumieć jako oficjalne zaręczyny? - spytał główny prawnik rodziny.

Odszedł od okna i stanął obok niej. Miała taką błogą minę. Położył telefon na stoliku, którego wypolerowany blat odbijał ogień z kominka. Włączył. Po chwili chciała się zerwać i wyłączyć odtwarzanie, ale twardo przytrzymał ją na miejscu. Ojciec Sary tężał, bladł i czerwieniał na zmianę. Wszyscy byli zniesmaczeni.

- Podpuściła cię zwykła kelnerka - posumował Koshe. - Płacz nic tu nie pomoże. Wiedziałem, że z kimś sypiasz, ale myślałem, że po pierwsze, robisz to z jedną osobą. Nasze nazwiska zobowiązują do posłubienia osób, które być może się nawet nie lubią, więc sądziłem, że robisz to z miłości, nie dla sportu. Po drugie, nie spodziewałem się, że jesteś tak prymitywna i ordynarna. Do żadnego ślubu nie dojdzie. Co więcej, postawiłem sobie ultimatum po tym incydencie i nie wybiorę żony, która już w tak młodym wieku jest tak doświadczona. Nie zaryzykuję po raz drugi ośmieszenia - zwrócił się wyraźnie w stronę swoich ludzi.

- Tatku, ja...

- Wyjź!

Wyszła, a stary o mało nie dostał zawału.

- Jestem człowiekiem interesu i moje słowo znaczy więcej niż podpis na skrawku papieru. Do fuzji dojdzie pomimo to - wyjaśnił Koshe. - W ustalonym terminie i na ustalonych warunkach. Na tym nasze rodziny jednak poprzestaną. Mam nadzieję, że nie będzie pan do mnie chował urazy. Do widzenia. Sam trafię. - Powstrzymał go gestem i wyszedł.

O dziwo, poczuł ogromną ulgę. Gdy wsiadł do samochodu i odpalił silnik, był już wolny. Od konwenansów, patosu, powinności wobec nazwiska. Miasto, które stworzył od podstaw, było niemal w całości wykupione lub wynajęte. Stał się niewyobrażalnie wręcz bogaty. Dyktował warunki, ustalał stawki. Jego wpływy sięgnęły zenitu. Był prawie jak Bóg. Teraz jedynie Magik zaprzętał mu myśli. Znaleźć, zabić i zdążyć przed upływem miesiąca. Czasu sobie nie kupi.

Dodał gazu.

Już trzy tygodnie siedzieli przy radarach dwadzieścia cztery na dobę. Czas mijał im na rozmowach przy centralkach. Wodza i Rona ciągaliby wciąż po nowych przesłuchaniach w sprawach, które nagłośnili. Wrzało. Północnemu został jedynie tydzień nalotów. Niewiele.

Tego dnia przy centrali siedział Borys. Zwykle przynosił ze sobą własne krzesło. Trzy nowe drużyny dostały czas na manewry, a inni na mało znaczące prace, takie jak inwentaryzacja czy zaległe raporty. Po południu wszyscy z wyjątkiem Borysa byli w Norze. Ron bez większego entuzjazmu odkurzał kanapę, bo zarzekł się, że nie spędzi ani jednej nocy więcej z rozochoconym

buhajem. Dakota sprowadzał coraz to nowe koleżanki. Prince zszedł zaspany z poduszką pod pachą. Miał za sobą ciężką noc przy centrali. Ziewając, poszedł zrobić kawę po omacku.

- Czyje to, leżało pod wałkiem? - Ron podniósł do góry płyty CD w woreczku foliowym.

Prince przekręcił głowę, nie odrywając jej od górnych szafek, na które opadła, i zastygł z łyżeczką cukru nad półlitrowym kubkiem z cyckami.

- Nie moje. Szczur!

Szczur zbiegł po schodach, o mało nie łamiąc sobie nóg.

- Moje. Szukałem ich wszędzie.

- Przykleiło się do gumy. - Przeciągał rurką po zielonym obiciu, co chwilę wyciągając drobne z jej końcówki.

Szczur bez słowa wyciągnął płyty z folii i pierwszą z brzegu wrzucił do odtwarzacza. Zabrał pilota Dakocie.

- Ej, ja to oglądałem. - Z ust wysypał mu się deszcz okruszków. Ron bez słowa odkurzył go dokładnie.

Na ekranie pojawiła się grupka ludzi. W ciemnym lokalu ustawiano światła. Był to film z kręcenia teledysku. Bura stała z Maxem i coś ustalali. Z tego, co mówili, chodziło o ustawienie kamer, oraz to, gdzie ma w danym momencie patrzeć, by ujęcie się udało. Ron wyłączył odkurzacza.

- Jeszcze raz. - Pokazywała. - Stojąc tu, patrzę na punkt przy fortepianie, a tu - ustawiła się na schodach przy zejściu od stolików na parkiet - na wysokości baru, tak?

- Tak, z tym że stojąc tak, jesteś jedynie w tym ujęciu i musisz zrobić sporą pauzę, bo potem nie będzie z czego ciąć. Mamy tylko trzy kamery. Jak światła?

Film urwał się i pojawił się napis: „Niewykorzystane, wycięte i nieocenzurowane sceny”. Umalowana i przebrana w krwistej czerwonej sukienkę, kręciła się w ciszy w kółko. Nagle wypadła z kadru.

- Kurwa mać - usłyszeli po upadku. Filmowa ekipa zarżała chórem.

Oglądali te kawałki, jakby patrzyli na kogoś zupełnie obcego. To nie była Bura, jaką znali. Gdy wysunęła się ostatnia płyta, długo trwali w milczeniu.

Ciszę przerwał Prince. Wybrał numer i położył telefon na stoliku.

- Słucham. - Ktoś po drugiej stronie jeszcze spał.

- Cześć, tu Pablo.

- Pablo. Wiesz, która jest godzina?

- Max, w³aczenie obejrzelicemy twój¹ pracê.

- Wczoraj dostałem list z uczelni. Zakwalifikowałem się do konkursu, a stypendium mam zapewnione.

- Gratuluję.

- Znaleźliście ją?

- Jeszcze nie.

- Rozumiem. Kiedy się to stanie, podziękujcie jej ode mnie. To wszystko jej zasługa. Większość pomysłów, kadry. No i głos.

- Dlaczego pozwoliłeś jej na to? Ma ranę w gardle.

- Mówiliśmy z ojcem, że nie potrzebujemy jej głosu. Ktoś inny by to zrobił, ale się uparła. Prawdę mówiąc, była lepsza od wszystkich, których przesłuchała.

- Ten facet, ten przy konsoli, powiedział, że jest profesjonalistką. Co to znaczy?

- Znaczy, co znaczy. Miała rację. Wy nic o niej nie wiecie. Nam też nie powiedziała niczego o sobie. Wiem jedynie, że umiała się obchodzić z tym sprzętem, a gra i tańczy jak zawodowiec. Śpiewu trzeba posłuchać na żywo. To nie są jedyne nagrane piosenki, jakie mam. Jest jeszcze kilka innych. Lubi starocie.

- Prześlij mi na pocztę. Adres znasz.

- Gdy tylko się obudzę.

- Dzięki, trzymaj się. - Zakończył rozmowę.

Sytuacja beznadziejna. Czuli się jak gównno. Pablo wstał ze swoim kubkiem i poduszką pod pachą.

- Idę do centrali. Jeszcze jeden dzień tej beznadziei i z rozpędu walnę w ścianę.

- Szczur, przegraj te filmy - odezwał się Dakota. - Ona jest dla mnie obca, ale dla Starego już nie.

Kaztez przyjmował delegację z wewnętrznego. Po powrocie Dakoty i Rona miał ochotę wyskoczyć przez okno. Rozpętali takie piekło, że każdy sprawdzał każdego. Ta wizyta jednak nie była oficjalna. Nie miał czasu na niańczenie gryzipiórków. Na odchodne wręczył im worek. Niebieski plastikowy worek na śmieci.

- A to co? - spytał jeden z delegatów.

- Wasz zagubiony sprzęt. Ostrzegam, że jeśli będziecie chcieli go zgubić raz jeszcze, wasi techniczni pogłuchną. Mamy sprytnych w warsztacie. Skonstruowali takie cacko, że wam mózgi wypali. Odpalamy je raz dziennie przy wyłączonym agregacie, bo kasuje programator.

Trójka ludzi nerwowym krokiem kierowała się do drzwi. Ten z workiem zawrócił.

- A może mi pan jeszcze wyjaśnić, dlaczego zawartość tego worka tak śmierdzi? - syknął.

- A ja wiem, gdzie wyście to zgubili? Może oddałem to swoim ludziom do przejrzenia i każdy zrobił z tym, co uważał za stosowne? A może niektórzy tym drobnym gestem przyjaźni pokazali, gdzie was mają?

Chłopaczek podszedł bliżej i próbował zrobić groźną minę.

- Pożałujesz swojej arogancji, Kaztez.

Kapitan uśmiechnął się mało dyplomatycznie.

- Zabieraj się z mojego Posterunku. Zabieraj swoich kolegów i swoje zabawki. Pracowałem na swoją pozycję wiele lat i nie pozwolę mówić do siebie w ten sposób. Jesteś dla mnie, chłopcze, za cienki w uszach. Gdyby nie ta plakietka na za dużej marynarce, wyleciałbyś oknem i ozdobił ścianę. Tylko moja uprzejmość i moja zasada, że się nie sra tu, gdzie się je, ratuje was dziś przed szpitalem.

Kiwnął na drzwi i zmyli się natychmiast.

Całe dnie spędzała z Czarnym. Mało się odzywał, ale lubił słuchać. Kręcili się po domu pośrodku niczego i nudzili się, więc zaproponowała grę w karty. Byli jak dzieci. Nie rozumieli wielu rzeczy. Znaczenia słów, skrótów myślowych, dwuznaczności. Magik ją przerażał, ale nie okazywała tego. Patrzyła mu prosto w oczy. Plecy prosto, harda mina. Rozmawiali podczas spacerów po parku. Siadywali na ławce w pobliżu drzew i po prostu rozmawiali. Zarzucał jej utrzymywanie dystansu, a ona jemu brak zrozumienia.

W podziemiach domu miał laboratorium, w którym spędzał całe dnie. Nie wolno było jej tam wchodzić. Wiedziała, że Czarny został oddelegowany, by jej pilnować. Kiedyś potknęła się o dywan, ale nie zdążyła upaść. Jedyne, co zapamiętała, to pęd wiatru na twarzy i jego silny chwyt. Cała ta dziwna kasta nie umiała siebie określić. Padały słowa, ale bez większego znaczenia. Wiedzieli jedynie, że to Magik ich stworzył i że jemu muszą być posłuszni.

Ruda była jak dziecko. Nierozgarnięta, naiwna, bez zahamowań. Potrafiła siedzieć w maksymalnym rozkroku z zadartą do góry kiecką. Nauczyła więc ją, czego kobiecie robić nie wypada. Siwy był mądrałą. Wiedział z nich wszystkich najwięcej. Najwięcej czytał. Zielony był na poziomie oglądania wszystkiego z każdej strony. Była świadkiem, jak wsadził rękę w ogień. Odruchowo mu ją wyciągnęła. Nie było na niej śladu poparzeń. Wtedy zrozumiała. Uczyli się słów i ich znaczeń, bo ich nie pojmowali. Nie czuli nic i próbowali wypełnić tę pustkę przynajmniej ich znaczeniem.

Czarny wciąż wertował encyklopedię. Zapamiętywali każdą formułkę. Wymyśliła zabawę w słowa. Brała na kolana wielkie tomisko i rzucała jakieś hasło. Odpowiadali po kolei. Zapisywanie punktów nie było konieczne. Zapamiętywali wszystko jak maszyny.

Jej opiekun był najsilniejszy z całej czwórki. Kiedyś odprowadził ją do pokoju i usiadł na swoim fotelu przy drzwiach. Powiedziała, że nie musi tego robić, że zaśnie sama, a on może iść spać. Odpowiedział, że po to go stworzono, by jej pilnował i spełniał jej zachcianki, a sen jest mu niepotrzebny.

Obywali się bez snu, jedzenia i nie odczuwali innych ludzkich potrzeb. Do stołu siadali tylko po to, by zobaczyć, jak to jest być człowiekiem. Lubili to i przestrzegali rytuału. Ruda polerowała kieliszki, Zielony ustawiał talerze, czytali menu i cieszyli jak dzieci, że będzie dziś coś nowego. Pytali ją o smak potraw. Próbowwała, ale po jednej odpowiedzi, pojawiała się setka innych pytań.

To Czarny chodził za nią przez cały ten czas. Przyznał się do próby okaleczenia lub zabicia jej kolegów z drużyny,



- których jej nie powiedzieli. Przyznał się też do tego, że nie pozwolił, by między nią a Wierą do czegoś doszło. Miał rozkaz ją bronić, włączając w to mężczyzn. Miała być tylko jego. Tylko Magika.

Polepszyło się jej. Wiedziała, że koniec jest bliski. Zawsze polepsza się przed końcem. Już z rana poczuła urlop od rzygania. Czarny nigdy nie wchodził za nią do łazienki, ale dziś nie było potrzeby szybkiej ewakuacji. Przemysła twarz i oparła się dłońmi o zimne brzozy umywalki. Jeśli ma się to stać, stanie się na jej warunkach.

- Powiedz Xawierowi, że chcę z nim mówić. Mam do niego prośbę.

- Dobrze - odpowiedział i słyszała jak wychodzi.

Godzinę później siedziała na ławce w ogrodowym atrium.

Wokół stały dwa piętra kolumn połączonych łukami. Szerokie na jakieś dziesięć metrów i długie na dwadzieścia. Idealne. Wypatrzyła je już wcześniej i przemyślała swój wybór. Taka śmierć musi być lepsza od powolnej agonii w łóżku.

Magik stał obok i przyglądał się, jak wiąże łyżwy. Założył jej niepokorne pasemko włosów za ucho. Często jej dotykał

6robił to coraz śmieiej.

- Nie mogę się doczekać, by zobaczyć jak jeździsz. Po raz pierwszy o coś poprosiłaś.

- To dobre zajęcie i odstrasza nudę.

Wstała i chwyciła się kolumny. Rękawiczki przesunęły się po marmurze. Odczucie było dziwne. Wysoko świeciło sztuczne słońce, a lód skrzył się jak w mroźny poranek. Weszła na taflę i liczyła kroki. Od rogu do rogu i z powrotem. Wróciła do wejścia. Spojrzała na Siwego. Kończył ustawiać głośnik w rogu. Naprzeciw niego Ruda siedziała po turecku na takim samym wielkim pudle. Zaciekawiona jak dziecko tym, co będzie się działo. Czarny stał na skraju murku i nie spuszczał jej z oczu. Nawet gdyby miała upaść, nie upadłaby. Był szybszy od grawitacji.

Włączyła muzykę. Roześmiane i dumne oczy Magika przyglądały się jej uważnie. Lubił na nią patrzeć, ale jeszcze bardziej lubił, gdy była od niego zależna, jak teraz. Odepchnęła się od kolumny.

Na lodowce dyndał flamaster. Srebrna taśma izolacyjna trzymała kalendarz na swoim miejscu. Chude palce zakreśliły kolejny dzień. Zupka błyskawiczna parowała w kubku na blacie. Ktoś zapukał. Szczur bez entuzjazmu podszedł do drzwi. Nie było nikogo. Na kamiennym schodku leżała płyta CD. Rozejrzał się raz jeszcze, po czym kopnął ją nieznacznie w bok. Nie było pod nią niczego. Podniósł i obejrzał podrzutka. Nie wyglądała podejrzanie. Wszedł do środka i z miejsca włączył telewizor. Odtwarzacz połknął krążek. Na ekranie pojawił się niemy film. Był jakiś dziwny. Jakby kręcony z kilku ujęć naraz. Obrazy w każdym rogu ekranu inne. Widział rudzielca

- porcelanowej twarzy, gościa, który siedział na kolumnie

- czytał książkę. No i Magika, który stał oparty o coś i gapił się uśmiechnięty. Włączył pauzę.

- Prince, złażcie na dół. Natychmiast!

Zbiegli. Szczur popchnął Wodza na kanapę.

- Nie stawaj nade mną - zajęczał. - Albo idź najpierw do kibla.

Włączył od początku. Prince niemal wsadził nos w monitor. Na środkowym obrazie Bura jeździła na łyżwach. Coraz szybciej i szybciej. Wirowała i zmieniała rytm.

- Za szybko, wariatko! - krzyknął Klecha.

Nim upadła po opętanych tańcu, obraz błyskawicznie się do niej przybliżył. Ci inni po rogach przyglądali się zajściu. Magik również. Kamerzysta zdążył ją złapać, zanim upadła. Przekręcił jej głowę. Była nieprzytomna, a wkoło mnóstwo krwi. Koniec nagrania.

- Puść jeszcze raz - poprosił Makaroniarz.

Szczur nie zatrybił. Siedział bez ruchu. Prince wyjął mu z ręki pilota i włączył odtwarzanie.

- Te zakłócenia, są rytmiczne. - Pokazywał palcem na monitor i zaciemnienia, które trwały ułamek chwili. - To nie kamera. To jego powieki - stwierdził osłupiały. - Nagrał nam dokładnie to, co widział.

Film po raz któryś z rzędu się skończył. Ron wyciągnął telefon spod sterty swoich ubrań na stoliku. Opadł na poduszkę i wybrał numer.

- Dostaliśmy prezent z zaświatów. Nagranie - chwila ciszy - jej śmierci.

Gdy przyniósł mu nagranie do domu i włączył je, po raz pierwszy widział jego łyzy. Kapitan zacisnął pięści i płakał jak dziecko, a Koshe nie umiał nic mu powiedzieć, nijak pocieszyć. Stał w oknie i patrzył w pustkę. Jego mentor, nauczyciel, ojciec, płakał tak boleśnie i żałośnie, że nie był w

stanie nawet patrzeć w jego stronę. Była dla niego naprawdę ważna. Kochał ją szczerze. Nie zamienili ze sobą ani słowa. Na komodzie stały zdjęcia Ingi i Burej. Na stoliku porozrzucone jej szpargały. Zeszyty, notatki ze szkoły, szczotka do włosów. Gorzej być już nie mogło. Wyszedł po godzinie ciszy wzajemnych oskarżeń i goryczy.

.....

Dwa tygodnie później obudził ich budzik w korytarzu. Klecha rzucił w niego butem i roztrzaskał się o podłogę. To był już czwarty z rzędu. Mieli ich spory zapas. Różnokolorowe, plastikowe. Tylko baterii wciąż nie trafiał szlag i przeżywała za każdym razem. Zwlekli się do kuchni. Słońce, o dziwo, wschodziło. Ron postanowił wyrzucić śmieci. Wczorajsza potrawka Princea śmierdziała do obrzydzenia czosnkiem, więc wyskrobał ją z garnka i chciał czym prędzej wynieść poza strefę mieszkalną. Zamarł w drzwiach, po czym podniósł z ziemi znajomy przedmiot.

- Panowie, zapowiadają się kłopoty.

Film obejrżeli natychmiast, po czym wezwali Koshego. Włączył go ponownie.

- Witaj, Koshe - odezwał się beczelnie wyszczerzony Magik.

Tak samo jak poprzednio ktoś po prostu na to patrzył, a potem jakimś sposobem, im nieznanym, przenieśli to na CD. To była sala szpitalna lub wyglądająca na szpitalną. Obejmował ją w pasie. Nieprzytomną, a może raczej otępiłą. Siedział za nią na łóżku. Obok kręcili się zamaskowani ludzie przygotowujący się do jakiegoś zabiegu. Dużo skalpeli i plastikowych rurek.

- Nie wiem, jakim cudem udało wam się ukryć wasz sekret? Wasz pachnący landrynkami sekrecik. - Powąchał jej szyję. - Człowiek. Ale jeszcze bardziej nie pojmuję, jak ona ukryła przede mną chorobę. Mała, rezolutna pszczołka. Musiało ją boleć, i to bardzo, aż sobie wykombinowała, że się zabije. Poprosiła o lodowisko. Trzeba przyznać, że jest za mądra jak na wasze standardy. Oszukać mnie nie jest łatwo. Ale to już nie potrwa długo.

Przejechał ręką od kolana po udo. Szpitalna koszula pod- kasła się wysoko. Druga ręka objęła talię.

- Ja nie zrezygnuję. Zrobię z niej samobójczynię, a raczej pomogę przejść na tamtą stronę w sposób naukowy. Będzie żyła. Dla mnie. Jeśli mi się uda, wkrótce pokażę wam, jak wygląda nasze wspólne życie. - Pocałował chudy bark. - Już nie mogę się doczekać, naszych wspólnych dni. I nocy.

Koniec nagrania. Wyciągnął płytę i wyszedł.

Kazteza znalazł pijanego. Otworzył okna, bo zatęchłym od smrodu alkoholu powietrzem trudno było oddychać. Wydawał się mało przytomny, kiedy to oglądał. Potem opadł na oparcie fotela i mina mu się zasepiła.

- Nienawidzę skurwysyna - podsumował. - Ale skoro może spełnić moje marzenie, to będę się modlił, żeby mu się udało. - Pokiwał zamroczoną głową. - A jak mu się uda, to ona już sobie z nim poradzi. Nie takich jak on rozkładała. Moja mała kobietka. Ocygani skurwiela. - Podniósł ręce, usiłując zachować równowagę w fotelu. - Już po nim. - Wycelował w niebieski ekran i strzelił z palców. - Gość już jest martwy.

Jane obejrzała film klatka po klatce, nerwowo poprawiając okulary i mamrocząc coś pod nosem. Jednostronna dyskusja trwała i trwała. Stukała pilotem w kolano, pocierała czoło i była w swoim świecie. Borys nie pozwolił jej przeszkadzać. Zostawili ją samą. Po godzinie wyłączyła telewizor i była gotowa z nimi porozmawiać.

- Ten człowiek jest szalony. Albo genialny. Albo jedno i drugie.

- Do czego doszłaś? - spytał olbrzym.

Wyglądała przy nim jak laleczka z porcelany. Wzięła od niego kubek z herbatą i usiadła na rogu kanapy, grzejąc o niego drobne palce.

- Widziałam wyniki testów sprzed jakichś pięćdziesięciu lat. Wtedy doświadczenia na ludziach były normą. Ta sala pasuje do opisu jednego z eksperymentów. Macie szczęście, że byłam zahukanym mołem książkowym.

Wypiła łyk. Kubek trząsał się zbyt wyraźnie, by mogła to ukryć.

- Co to za eksperyment? - spytał Szczur.

- Do organizmu człowieka wprowadzają naszą krew, nasze tkanki i inne takie. Potem, gdy organizm powoli przejmuje nasz metabolizm, zmusza się go do popełnienia samobójstwa. Ta machineria w tle, ta która odbijała się w drzwiach, to kopia urzędnika sprzed pięćdziesięciu lat.

- Po co urządzenie? Wystarczy usnąć i... - wtrącił Prince.

- Nie. Wtedy to byłoby na nic. Zabieg trwa ponad trzy dni. Nikt nie dotrwał do połowy.

- Czemu? - zaskrzybiał Szczur.

Odstawiła kubek, bo omal nie oblała sobie rąk.

- Ból jest nie do zniesienia. W końcowym etapie dostawiany jest ostatni moduł stołu. Zakłada się na szyję pętlę i czeka, aż ten ktoś sam pociągnie za wajchę. Klamry zaciskają się. Uduszenie. Obiekt, to znaczy - potarła czoło i przymknęła oczy - musi być przytomny. Widzieć, słyszeć i czuć.

Szczur westchnął głęboko.

- To już wolałem myśleć, że sobie po prostu umarła.

- Kiedy będziemy wiedzieć, czy się powiodło? - spytał Koshe, który siedział na schodach.

- Tydzień. Dojście po tym do siebie zajmie jej sporo czasu. Ale nie łudźcie się. To się nigdy nie udało.

- Jej się uda - powiedział twardo. - Uda się.

Klecha podszedł do ściany i wymacał coś ręką za lodówką. Otrzeptał z kurzu i wyprostował. Kalendarz po raz któryś z rzędu zawisł na swoim miejscu. Natan wygładził pozaginane rogi. Zakreślał kolejno dni. Było ich sporo. Czerwone krzyżyki jeden obok drugiego. A więc to jeszcze nie koniec.

Rytm dnia dzielili na kilka części. Zaznaczanie na mapie co do godziny i minuty tego, co pokazuje radar, sprawdzanie koordynat, jedzenie i spanie. Już nikt nie balował.

Pili sporadycznie i tylko w przerwach. Zmotywowowało ich to i wielu rzeczy nauczyło. Tak naprawdę, chyba dopiero teraz stali się grupą. Dzielili obowiązki, sumiennie i szybko wykonywali to, co do piętnastej wykonać musieli. Żeby uporać się z tym jak najszybciej, przez zupełny przypadek i zupełnie niezamierzenie, oni i Rodman wyrabiali dziennie ponad normę, a cały Północny dostał dyplom, który zawisł pośród innych, bardzo starych, pozółkłych i zapomnianych przez wszystkich.

Kaztez odżył i z upodobaniem dokręcał im śrubę. Kazał ciągle być w pełnej gotowości i nie tolerował żadnych uchybień. Nie spodziewali się kontroli i również zupełnie niezamierzenie, wypadli świetnie w niezapowiedzianej wizycie wewnętrznych. Raporty, sprzęt, urlopy, zaplecze medyczne. Jego paranoja i podenerwowanie wyszły im na korzyść.

Minął tydzień. Potem drugi. Niemal stracili nadzieję, gdy pewnego dnia, wracając z zakupów, Prince znalazł CD zatknięte między drzwi a futrynę. Zadzwoił po wszystkich i zjawili się łącznie z Kaztezem. W napięciu nacisnął play.

Tym razem obraz był jak najbardziej normalny i nieruchomy. Na starym wielkim fotelu siedział Magik, a obok stała jego świta - blada, nieludzka czwórka tworów. Jeden z nich był w białym kitlu i zajmował miejsce najbliżej niej. Wyglądała na otumanioną. Głowa kiwała się jej pod własnym ciężarem. Ubrana była w białą sukieneczkę, jak mała dziewczynka. Siedziała na wielkiej atłasowej poduszce z frędzelkami. Raczej nie była świadoma faktu, gdzie jest i co się z nią dzieje. Włosy upięte w kucyki, a na nich kokardy. Na szyi złota obróżka i długi łańcuszek wprost do jego dłoni. Ten w kitlu wyjął chusteczkę z kieszeni i wytarł jej ślinę z ust. Ledwie utrzymywała powieki. Była na ostrym hajju.

- Czy zwolniłeś mnie już z powierzonego zadania? - spytał ten w czarnym płaszczu.

- Ależ skąd. Nadal masz wyłączność - oznajmił Magik.

Długowłosa obszedł swoich towarzyszy i wyjął chusteczkę z ręki w rękawiczkach. Bez słowa kucnął i wytarł jej dokładnie usta, po czym wstał i wrócił na miejsce.

- Zapewne już skonsultowaliście się z małą Jane - odezwał się Magik po chwili. - Zabieg się powiodł, ale nie bez komplikacji. Otóż to małe stworzonko okazało się bardziej uparte, niż myślałem. Nie chciała pociągnąć za wajchę i trwało to pełne trzy dni. Musiałem trochę podkręcić maszynkę i

teraz efekt uboczny jest taki, jak widzicie. Nie, nie zrozumcie mnie źle. Jest jak najbardziej normalna. Tylko naćpana dwadzieścia cztery na dobę. Upłynie jeszcze jakiś miesiąc, zanim opracuję Inwokację pod jej ból, a do tego czasu, pozostaje mi ubierać ją jak chcę, karmić ją jak chcę i cieszyć się tym, że nie irytuje mnie jej inteligencja. Wolę, gdy patrzy tępo w pustkę, niż kiedy jest tak krępująco niezależna.

Pociągnął za łańcuszek i kiwnęła się lekko w bok.

- Przez miesiąc, biorąc takie dawki, jak brać musi, uzależni się od tego świństwa. Każdy by się uzależnił. Zrobi wszystko, by dostać działkę. No cóż, to ja mam wszystkie strzykawki. - Zaśmiała się przewrotnie. - Nęcąca wizja, nieprawdaż?

Wstał i spojrzał na zegarek.

- A teraz, wybaczenie, ale jestem zajęty. To był ostatni film z serii *Co się stało z naszym człowiekiem?*

Film urwał się, a oni odetchnęli z ulgą. Klecha podszedł do szafki pod zlewem i wyciągnął jedną butelkę spośród innych, pustych. Najciemniej zawsze pod latarnią. Butelek nikt od dawna nie wynosił, więc w śmiecach była bezpieczna. Nalał sobie pół szklanki i wychylił duszkiem. Dno uderzyło o wyrobiony blat stołu.

Teraz wystarczyło znaleźć tego pajaca.

Koshe włączył film po raz drugi. Doczekał do momentu, gdy Magik pociągnął ją za łańcuszek. Zatrzymał. Pokazał palcem na twarz w prawym górnym rogu. Odwróciła się w bok. Zastukał pilotem o ekran dokładnie na tej twarzy.

- Odwrócił się, by na to nie patrzeć. Odwrócił się ze wstrętem od swego pana i tej sytuacji. - Pokiwał żarliwie głową. - Mamy tam swojego człowieka. „To” nazywa się od dziś Sprzymierzeniec.

Ciąg nieokreślonych myśli i chaosu wirował w jej głowie. Nie miała już siły. Skręcała się na łóżku. Z bólu i pragnienia. Magik wszedł i Czarny bez słowa wstał z fotela. Widziała kątem oka strzykawkę i jego uśmiech. Wieczny niczym niezmacony uśmiech.

Zabrała mu rękę raz i drugi.

- Nie - stęknęła. - Nie chcę. Ból minął. Nie chcę.

- Nie poradzisz sobie z uzależnieniem. - Podstawił jej strzykawkę pod nos.

- Nie chcę.

- Jak wolisz. Mój pokój jest w końcu korytarza. Przyjdź do mnie, a dostaniesz, czego pragniesz, ale już nie za darmo.

Wyszedł. Czarny opadł na fotel przy drzwiach.

- Zrób coś dla mnie. - Łaziła w kółko okrakiem po łóżku. - Idź do biblioteki i znajdź coś o detoksie i odtruwaniu po narkotykach.

Bez słowa wykonał polecenie. Wrócił po pięciu minutach i usiadł z książką w ręku.

- Czytaj na głos.

Mijały dokładnie trzy miesiące od jej zniknięcia. Nie znaleźli niczego podejrzanego, nie trafili na żaden ślad, nie było żadnego punktu zaczepienia. Misza rozpoznał jednego z nagrania. Tego w kitlu. Przewertował swój osobisty dziennik personalny i podał nazwisko. Facet uznany był za zaginionego. Zwykły nikt w strukturach Instytutu. Szarak od noszenia próbek. Jednak musiał odznaczyć się czymś więcej, by zostać zauważonym przez Magika. Po przewertowaniu jego akt nie znaleźli niestety niczego, co mogłoby ich na to naprowadzić.

Szczur oglądał ostatni film, jaki dostali. Koshe miał rację co do tego, że jeden z nich, ten w czarnym płaszczu, lubi ją. To dlatego poza wiedzą swojego pana wysłał im krążek z urywkami tego, co robi.

Ten fragment był z jej gry na fortepianie. Pięć, a czasem sześć obrazów na ekranie. Rozmawiali o czymś. Śmiała się. Potem jasnowłosa usiadł obok niej i układała mu palce na klawiaturze. Łysy mężczyzna o zielonych wyłupiastych oczach wyśmiał jego nieporadność. Ruda dziewczyna tańczyła boso po pokoju. Włączył pauzę.

- On pokazuje nam coś tak oczywistego, że nie możliwe, byśmy zobaczyli to dopiero teraz.

Wstał i zdjął kurtkę z wieszaka. Włożył ją i otworzył drzwi. Klecha zdążył zapytać go w proggu:

- Co zobaczyli?

- Jak bardzo jest zdolna. - Zamknął drzwi.

Natan usiadł na jego miejscu i włączył dalszy ciąg filmu. Ten fragment jako jedyny był z dźwiękiem. Siedzieli razem na łóżku. W tle paliła się lampka. Wielki pokój z mnóstwem drobiazgów i delikatnych bibelotów. Pokój księżniczki.

- Gdybyś mogła powiedzieć im coś teraz albo napisać, co by to było? Co chciałabyś im przekazać? Ostatnie słowa - spytał.

Westchnęła lekko. Wydawała się pogodzona z faktem, że jest tu, gdzie jest.

Po kolei. - Zaśmiała się. - Oni są jak fajerwerki w moje urodziny czy Nowy Rok. Świat się zatrzęsł, gdy ich poznałam, i tak już zostało. Natanowi powiedziałabym, że świat się beze mnie nie zawali. Sam prasuje sobie koszule, sam wstaje punkt szósta, sam sobie robi zakupy. Pablo, żeby był taki, jaki jest. Nic bym w nim nie zmieniła. Borys. Borys jest szczęśliwym, poukładanym facetem i miałabym do niego jedynie prośbę, by pomógł im się uspokoić, wyciszyć, by ich tego nauczył. Szczególnie Szczura. Jemu powiedziałabym, żeby sobie odpuścił, pofolgował, że wszystko będzie dobrze, a nawet lepiej, żeby przestał się tak szarpać, szamotać. Całej masie tych wszystkich fajnych ludzi, których poznałam w Mieście i nie tylko, powiedziałabym, żeby poszli spokojnie na piwo i po prostu zapomnieli.

Odwróciła głowę. Było jej naprawdę smutno.

- Kapitana chciałabym jedynie przeprosić, za to, że się nie udało, że nasze wspólne marzenie nie będzie miało szansy się ziszczyć.

- A Koshe? Często go wspominasz?

- Koshe. - Zaśmiała się i pokręciła głową.

- Wyłącz to. - Wymieniony oderwał się znad notesu i kalkulatora.

Klecha nie zareagował.

- Prosiłem, wyłącz.

Nic.

Koshe kopnął w stolik z niepohamowaną siłą. Spadło z niego wszystko i pofrunęło do góry razem z meblem, który roztrzaskał się o wysoki sufit i spadł w kawałkach na ziemię.

- Widzę, jak na mnie patrzycie od miesiąca! Jak mi wcale niedelikatnie wyrzucacie, że się opierdam! Ale to, że nie siedzę przy centrali, nie znaczy, że nic nie robię! Codziennie mam na głowie setki spraw! - Machał rękami, a z oczu wyczierała mu czysta furia. - Zatrudniłem dwudziestu ludzi, niby do badań. Siedzą dwadzieścia cztery na dobę i gapią się w monitory, zapisując centymetr po centymetrze! - Przeczesał palcami kosmyki, których nie utrzymał kucyk. - Śpię po sześć godzin na dobę! Niemal mieszkam w samochodzie i po co?! Po to żebyście na mnie patrzyli z taką pretensją?! Gdyby chciał pieniędzy, to bym za nią zapłacił! Każdą sumę! Choć jest wredna, pyskata i drażni mnie jak wysypka na tyłku! Gdybym mógł stanąć z nim twarzą w twarz, wyręczyłbym sąd polowy! Jestem zmęczony, wściekły i mam dość waszego towarzystwa przynajmniej na pół roku!

Podniósł z podłogi pióro i usiadł na swoim ulubionym miejscu. Położył na kolanach notes i już miał zacząć pisać, gdy wyciągnął zza pleców kawałek połamanego stolika. Odrzucił go w bok.

Chwilę stali nieruchomo.

Koshe zwykle był opanowany do granic trzeźwości umysłu. To był pierwszy jego wybuch od dziesiątków lat. Ron podszedł do kalendarza i namazał coś flamastrem. Dakota stanął za nim i zaczął się śmiać.

- Dnia owego wielki i niezłomny Koshe w końcu pękł. - Wódz odwrócił się w stronę pokoju. - Będzie miała co czytać, gdy wróci. Od dzisiaj zamiast krzyżyków będziemy zapisywać reakcje obiektu.

Śmiali się z niego i całej sytuacji. Przyda im się trochę śmiechu.

- Czyś ty na głowę upadł? - mruknął Klecha. - Nikt nie ma do ciebie żadnych pretensji ani cię niczym nie dręczy. Po prostu chciałem najpierw zdrapać ser z pilota, zanim wcisnę guzik. Szczur oblepił go tak, że widać już tylko zarys literek.

Przez przypadek wcisnął play.

- Koshe to największy dureń, jakiego znam. Ma wszystko pod nosem i szczęścia w tym zobaczyć nie umie.

Koshe zerwał się ponownie.

- To przypadkiem, serio - tłumaczył pospiesznie Natan i czym prędzej wyłączył telewizor.

- Co tu się, kurwa, dzieje? - zapytał zaspany Pablo z ulubioną poduszką w cukierki pod pachą. - Czy wy nie rozumiecie słów: „Idę spać, więc nie rzeć i nie włączać głośno muzyki”? To obejmuje także demolkę.

- Masz rację. Jestem największym durniem, jakiego znasz. - Olśniło go.

Przebiegł przez pobojowisko i w trzech susach stał na szczycie schodów. Popchnął na bok ziewającego Princea i wbiegł do jego pokoju. Na biurku leżały duże, grube zeszyty z zaznaczonymi datami. Wertował jeden po drugim. Weszli za nim. Prince ze stoickim spokojem patrzył, jak Dakota defiladowym krokiem przechodzi przez jego rozbabrane łóżko.

- Nie krępujcie się, zapraszam.
- Czego szukasz? - spytał Ron.
- Podała nam dwie daty, a ja, idiota, nie skojarzyłem. Myślałem, że mówi od rzeczy. Kiedy ma urodziny?

Szukali w zakamarkach pamięci daty, która gdzieś umknęła. Wyciągnął telefon i wybrał numer.

- Którego ma urodziny? Nie mam pod ręką karty. Dzięki, później wyjaśnię. - Rozłączył się.
- Dwudziesty piąty grudnia. - Rozdał po zeszytach. - Szukać.

Sprawdzali ponad godzinę, nim trafili na jakiś ślad. Mapa na ścianie cała pomazana już była kolorowymi mazakami, gdy w końcu Prince podszedł i połączył dwa punkty.

- Mam powiązanie.
- Co sprawdzałeś? - spytał Klecha i podniósł się z podłogi.
- Dwanaście Hien i dwie Ośmiornice. Zpełny standard.

Koshe raz jeszcze złapał za telefon.

- Prześlijcie mi wykres punktowy z mapą. Wymagania to dwanaście Hien i dwie Ośmiornice. - Rozłączył się.

Zalogował się na pocztę i czekał.

Dwudziestego piątego trwały jeszcze manewry. Oberwał albo bezpośrednio, albo był gdzieś obok, dlatego użyła słowa „fajerwerki”. Jeśli uda się pokryć z datą trzydziestego pierwszego, wyjdzie ich trajektoria. Będzie można spekulować, gdzie są. Obchodzą system. Radar skupia się na celach według pewnych zasad. Miasta, aglomeracje, większe skupiska ludzkie. Gdzie ludzie, tam demony. Chcąc nie chcąc, muszą iść niekiedy nad nimi, choć gdy nie trzeba, nie muszą się ukrywać. Nie udają dwunastu Hien i dwóch Ośmiornic. Radar ich nie wychwytuje, bo ich nie szuka. Przejścia między miastami, obrzeża. Sprzęt ma określony zasięg, a oni znają nasz tryb działania. Wystarczy nanieść punkty na mapę i sprawdzić daty. Może się uda.

Na ekranie pojawił się e-mail. Kliknął i przygryzł wargi w napięciu. Kilkanaście czerwonych punktów rozjarzyło się jak ogniki. Europa, Azja, Ameryka. Obok nich wyświetlały się daty. Szukał zgodnie z zapiskami w notesie.

- Dwudziesty piąty, Londyn. Trzy bomby, jedna obok drugiej.

Powiększył obraz. Były tam. Dwanaście Hien i dwie Ośmiornice.

- Trzydziesty pierwszy. Madryt.

Powiększył cały fragment i połączył punkty mazakiem na monitorze.

- Mam cię, sukinsynu - mruknął pod nosem.

Telefon szczerknął po raz kolejny.

- Wytyczne to dwanaście Hien i dwie Ośmiornice. Wszystkie komputery z wyjątkiem dwóch szukają według tej wskazówki. Zapisywać godziny.

Wybrał kolejny numer.

- Znaleźliśmy. Jak? Tak jak mówiłeś. Pokonała go.

Dwa dni później rozproszyli się grupami na pustyni i czekali. Zgodnie z przewidywaniami miał się pokazać właśnie tutaj. Wybrali to miejsce, bo było duże i puste. Tu mogli się ukryć. Nikt by ich nie szukał. Nie ma ludzi, więc nie ma potrzeby walki z demonami. Było gorąco i cicho. Z początku myśleli, że to falujące powietrze zniekształca obraz, ale Rodman potwierdził. Szło prosto na nich. Kilometr na trzy, może cztery kilometry. Pod kopułą.

- Sukinkot, odbija radar - zgrzytnął Szczur.
- Jak atakujemy? - zapytał Klecha.
- Z czego jest ta kopuła?
- Pojęcia nie mam - odezwał się Pablo z centrali.

Koshe przejechał językiem po spierzchniętych wargach.

- Nie mamy wyjścia. Na mój rozkaz walić w filary, które widać spod tego plastiku. Wydaje mi się, że podtrzymują całą konstrukcję. Kto ma coś takiego w zasięgu, niech strzela. Potem pomyślimy. Raz, dwa, trzy.

Borys zdążył zsunąć na oczy okulary i kopuła oberwała kilka razy jednocześnie. Coś pękło z jękiem metalu. Padał jeden filar.

- Sierżant, zmywajcie się. Leci prosto na was - usłyszeli Saszkę.

Pękały jeden po drugim i padały na ziemię.

- Teraz, zanim się zorientuje - rozkazał Koshe.

Byli już kilka metrów od celu, gdy po prostu znikł.

- Co jest? - obruszył się Borys.

- Włączył nadświetlną - rzucił ironicznie Prince.

Koshe chwycił za telefon.

- Czy w ciągu ostatnich minut pojawiły się?... Nie? Sprawdź jeszcze raz.

Chwilę stał bez słowa, potem wyrzucił czarny metalowy prostokąt daleko za siebie i odszedł w stronę punktu odbioru.

- To już czwarty w tym miesiącu. Poprzedni rozjechał na podjeździe - podsumował Ron.

Najpierw mocno zatrzęsło, potem zakołysało. Czarny nie pozwolił jej wyjść z pokoju. Po południu przyniósł duże pudełko. W środku były buty i suknia. W mniejszym, białym, bielizna.

- Co to jest?

- Prosi cię na kolację. Do siebie.

A więc stało się, co stać się musiało. W końcu się odsłonił. Tygodnie spędzone na spacerach i gadaniu pierdoł przestały mu wystarczać.

Czarny odprowadził ją do drzwi i je otworzył. Weszła. Magik siedział za stołem i zaprosił ją gestem. Służący podpalił świeczki. Do tej pory zorientowała się, że nie było tu ludzi

- ani tych żywych, ani umarłych. To były jakieś twory. Wykonywały jedynie polecenia. Nie funkcjonowały chyba zbyt długo, bo to był już czwarty służący, jaki ich obsługiwał, od momentu gdy tu trafiła.

Stół, krzesła, kominek, kanapa. Na galerii biblioteka. Eleganckie wykończenia, tapicerka, oświetlenie. Jak z domku na wsi wyższych sfer. Zjedli w milczeniu i podziękowała skinieniem głowy.

- Imponujesz mi - odezwał się w końcu i odłożył serwetkę na bok. - Nawet morfina nie złamała w tobie ducha.

- A miała złamać?

- Nie. Miała utrzymać cię przy życiu. Twój krzyk było słychać w całym domu.

- Gdybyś na siłę nie chciał mnie wydrzeć naturze, nie krzyczałabym i nie byłabym uzależniona od tego świństwa.

- I nie żyłabyś już - przerwał jej dość ostro.

- Tak powinno być. Ludzie chorują i umierają.

- Inni ludzie mnie nie obchodzą. Interesujesz mnie ty.

Wstała od stołu.

- Czy to wszystko, bo jest już późno i chciałabym...

- Nie. To nie wszystko.

Stanął obok niej.

- Jesteś tu, bo wybrałem cię na swoją towarzyszkę.

- To się nie uda.

- A czemu miałoby się nie udać? Dobrze nam się rozmawia, jest przyjemnie.

- To nie wystarczy.

- I tu mamy mały konflikt interesów. Bo mnie wystarczy, a w tym świecie liczy się to, co ja mam do powiedzenia.

- Ja się tu nie prosiłam.

Przycisnął ją mało delikatnie do ściany obok drzwi i pocałował. Nie było to przyjemne.

- Tracę cierpliwość - wydyszał w jej włosy.

- W końcu przestałeś się uśmiechać. Zdjąłeś maskę.

Musiała ci ciężać przez cały ten czas. Niełatwo udawać emocje, których się nie rozumie.

Uderzył ją z otwartej dłoni. Z nosa pociekła krew. Wytarła ją palcami.

- Ale tak jest lepiej. Przynajmniej wiem, z kim rozmawiam. Chociaż podtrzymywanie konwersacji z kimś tak sztucznym było całkiem zabawne. Trzeba tylko dobrać słowa, które są ostrożne i puste. Bawiłam się w grę, którą sobie wymyśliłeś, i w której dawno przestałeś być mistrzem. Rozmowy o niczym z nikim. Bo sobą przecież nie byłeś.

Szarpnął za kłamekę.

- Czarny!

- Tak?

- Zabierz Lilith do jej pokoju. Wydaje się zmęczona.

Wykonał polecenie. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, przekręcił klucz w zamku, choć do tej pory nigdy tego nie robił. Wszedł do łazienki i zmoczył ręcznik. Usiadł obok niej na wielkim łóżku pełnym falbaniastych poduszek. Wycierał jej powoli krew zakrzepłą nad wargą.

- Dlaczego nie chcesz zrobić tego, o co cię prosi? To aż takie trudne, ten sex?

- Trudne nie, ale ja po prostu nie chcę tego robić z nim.

- Widziałem sex. W telewizji.

Zaśmiała się. Był jak dziecko podglądające świat przez dziurkę od klucza.

- Jeśli ci rozkaże, zabijesz mnie, prawda?

- Tak.

- To dobrze. Wolę, żebyś to był ty.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Nieruchoma postać w rogu pokoju, wpatrzona była w drobny druk książki. Obok stała lampka, która rzucała koliste światło na dywan i podłogę.

- Dlaczego nie śpisz?

- Zimno mi. Przydałby się termoфор z gorącą wodą. Albo jestem już stara, albo zaczynam się starzeć.

Wstał i poszedł do łazienki. Po chwili wrócił, ale nie podniosła oczu. Poczwała, jak kładzie się za jej plecami. Biło od niego gorąco. Objął ją.

- Coś ty zrobił?

- Wszedłem pod gorącą wodę. Przybieram temperaturę otoczenia, kiedy chcę.

- Jesteś nagi.

- Czy to ci przeszkadza? Opadła na poduszkę.

- Nie, rozprasza. - Zaśmiała się.

Słuchał jej oddechu, który powoli uspokajał się. Gdy usnęła na dobre, przycisnął ją do siebie mocniej.

Była inna niż on. Bardziej miękka. Jak kanapa albo ręcznik. Nagą widział ją wielokrotnie. To on ją mył, gdy była nieprzytomna od narkotyków, które kazał jej podawać. To on ubierał ją i karmił. A teraz poczuł się odrobinę inny. Nie wiedział, co to za zmiana i czuł jedynie instynktownie, że nie przeczyta

- tym w żadnej książce. Leżał policzkiem na jej włosach. Przejechał ustami po wilgotnym karku.

Włożył rękę pod koszulę

- delikatnie gładził skórę. Mruknęła, więc cofnął rękę. Coś budziło się uspięne pośród wielu innych instynktów. Po raz pierwszy w życiu poczuł coś, co mógł nazwać pragnieniem.

Dwa tygodnie później Czarny przyniósł kolejne pudełko. Ubrała się i usiadła na łóżku.

- Daj mi pięć minut.

Kiwnął spokojnie głową i zamykał za sobą drzwi, gdy dodała spokojnie:

- Ale dokładnie pięć minut.

- Dobrze. Dokładnie pięć.

- Dzięki.

Gdy wyszedł, siedziała spokojnie i nieruchomo przez dłuższy moment. Potem wyjęła spod poduszki sznur i zarzuciła go na rurę od zasłonki prysznicowej. Kilka wprawnych, wyćwiczonych ruchów. Zdjęła buty i weszła na kant brodzika. Przytrzymała się gałki pokręta i wzięła ostatni oddech. Palce zsunęły się gwałtownie ze śliskiej krawędzi.

Czarny szedł korytarzem i słuchał monologu Siwego. Nagle zatrzymał się.



- Dlaczego dokładnie pięć minut? - zapytał sam siebie. Zrozumiał i przemieścił się z niebywałą prędkością do jej pokoju, a potem do łazienki.

Zerwał się z poduszki. Rozejrzał się, próbując wypatrzyć coś w ciemności wokół łóżka. Słyszał ją. Słyszał dokładnie. Jej spokojny, roześmiany głos. Powiedziała wyraźnie, tuż przy jego uchu: „Koshe, ty durniu”.

## Prośba

- Nie sprawdzaliśmy wody! - Prince zerwał się na równe nogi.

Jego mina mówiła sama za siebie. Olśnienie przyszło po czwartej kolejce.

- Nigdy nie sprawdzamy wody!

Pobiegł na górę i słyszeli, jak wali w klawiaturę. Potem drukarka zgrzytała przez chwilę. Wychylił się przez poręcz uśmiechnięty.

- Wiadomości CNN. Przez ostatnie trzy dni zaginęły dwa statki transportowe. Oba nie więcej niż sześć kilometrów od brzegu. Muszą się trzymać linii brzegowej, bo inaczej nie mieli by dojścia do zaopatrzenia. Portal nie sięga.

Wyciągnął telefon.

- Sprawdziłem. Są na wodzie. Skąd wiesz? - Chwilę słuchał kogoś po drugiej stronie. - I jaki wynik? - Uśmiechnął się szeroko i zaciągnął klapkę.

- Koshe dwie godziny temu sprawdził to co ja. Mamy ich. Za kolejne dwie będziemy w zasięgu.

Wylądowali bezpośrednio pod jednym ze złamanych filarów. Było tam mnóstwo ludzi. Sądząc po ubraniach, obsługa techniczna z zaginionych statków. Choć martwi, ruszali się.

Nie wiedzieli, jakim cudem udało mu się stworzyć zombi, ale ten cud właśnie kierował się prosto na nich. Nie za szybko, jednak ciągle do przodu. Gdzieś w oddali pojawili się kolejni. Było ich wielu. Nie wydawali się zbyt sprawni, ale konieczność uporania się z taką ich liczbą z pewnością zatrzyma ich tu przez jakiś czas. I o to zapewne chodziło Magikowi. W głębi stała mniejsza kopuła. Widać w niej było zarys dużego domu i drzew.

Ron wyciągnął miecz i czerwonymi niczym krew literami załśniła na nim Inwokacja. Zakręcił ostrzem w powietrzu i wypuścił wstęgę przed siebie. Wiła się jak żywa, po czym zeszywniała i cięła kilku naraz. Dwóch ostatnich nadziało na jej ledwo widoczny kształt. Wszedł głębiej w napierających.

Tuż za nim posuwał się Dakota i walił z dwóch luf. Smród ciał wykręcił mu twarz. Borys odszedł daleko w bok i strzelał z działka, które pluło łuskami na jałową ziemię. Prince i Szczur po drugiej stronie za pomocą Inwokacji cięli jak leci. Prince zwrotnie, szybko. Szczur wybierał pojedyncze jednostki, które ruszały się zwawiej od reszty. Zewsząd słychać było słowa szeptane jak zaklęcia. Słowa, które zabijały.

Wchodzili dalej, kierując się na wewnętrzną kopułę. Deptali po nadgniłych ciałach i już niemal nie widać było ziemi pod nogami. Modlitwie nie było końca.

Po godzinie dobijali ostatnich tuż pod jasną ścianą mniejszej kopuły. Koshe szedł i rozglądał się spokojnie. Już miał poprosić Borysa o zrobienie w niej drzwi, gdy zobaczył ich stojących w oddali. Dwóch. Czarny i Siwy. Ten w czarnym płaszczu trzymał ją na rękach. Wyglądała na nieprzytomną albo martwą. Zbliżyli się. Koshe wycelował prosto między czarne ślepie.

- Nie rób tego - odezwał się siwowłósy.

- Podaj mi choć jeden dobry powód - syknął.

- Bo ci tego nie wybaczy.

Miała zawiązane oczy kawałkiem wydartego skądś materiału.

- Jest nieprzytomna. Nie jadła od wielu dni. Jedynie piła. Nie zdejmujcie jej opaski. Dwa tygodnie była w kompletnych ciemnościach. - Czarny czekał, aż któryś ją odbierze. Ocknęła się i chwyciła go za ramię.

- Wiem, co chcesz zrobić. Nie pozwolę ci. On cię za to zabije. Zostanę.
- Tak długo uczyłaś mnie znaczenia słowa wolność, a teraz miałbym udawać, że go nie rozumiem?

Klecha zabrał ją pospiesznie. Czarny dotknął jej policzka.

- Inne słowa też już rozumiem.

Popatrzył po ludziach, których do tej pory jedynie obserwował ukradkiem. Znał wszystkich z wyjątkiem dwóch, z których jeden miał żółtawą, a drugi ceglastą skórę.

- Odejdźcie stąd. To nasz jedyny dom - poprosił.
- Gdzie jest Magik? - spytał Koshe.
- Ojciec jest już gdzie indziej. Ma kilka domów i nie wiemy, gdzie jest obecnie - wyjaśnił ten drugi.
- Oddałem ją wam. Odejdźcie - poprosił jeszcze raz Czarny.

Koshe stał i patrzył jak odchodzą. Było coś żalospnego w tych namiastkach ludzi. Jakaś karykatura odczuwania smutku. Nagle ten w płaszczu odwrócił się i podszedł bardzo blisko niego. Wyciągnął mu pistolet z ręki.

- Widzę, że musisz to zrobić. Wyręcę cię.

Przystawił sobie pistolet do skroni i strzelił. Po kuli nie pozostał nawet ślad. Oddał mu broń.

- To było pierwsze, co zrobiłem, kiedy zrozumiałem, że jestem martwy. Odchodzili, a Koshe ku zdumieniu reszty kiwnął głową do odwrotu.

Przy windach czekali na nich wewnętrzni. Odebrali ją i wsadzili do karetki. Nie powiedzieli, gdzie wiozą. Ich wpychali każdego z osobna do wozów operacyjnych. Zaczęło się maglowanie. Pytania, na które nie znali odpowiedzi. Skąd, jak, dlaczego? Nie wiedzieli, że była człowiekiem i nawet im to do głowy nie przyszło. Dwa tygodnie później odbyło się jej oficjalnie przesłuchanie. Aula była pełna. Wielkie głowy ich świata, możni, bogaci i uczeni zasiadali w pokoju przesłuchań. Tylko ona znała odpowiedzi na ich pytania, więc był komplet. W tym i Koshe. Siedział z szarfą przewieszoną przez bark. Na jej końcu widoczny był szkarłatny symbol ich rodziny. Siedziska w sali wykute zostały w kamieniu. Kamienny był też fotel w dole, na którym skupiały się posępne twarze obecnych. Strażnicy obstawili wejście. Przedni półokrąg przewidziano dla przesłuchujących. Tylny dla słuchaczy. Panował taki ścisk, że nie było gdzie stanąć. Prowadzący uderzył młotkiem, a wtedy jeden ze strażników wprowadził ją i posadził na zimnym siedzisku. Opadła na jego skraj. Łokcie zaledwie dotykały krawędzi podłokietników. Ręce zwisały bezwładnie ze zbyt dużego kombinezону więziennego. Oczy przepasane miała białą opaską. Tenisyówki bez sznurówek, na gumkę. Włosy bez spinki czy innych ostrych ozdób.

- Imię - zagrzmiało echo.

- Lilith Novak.

- Status.

Uśmiechnęła się półgębkiem.

- Samobójca.

- Zacznijmy od tego, jak i kiedy poznałaś Magika?

Opowiedziała o Koniunkcji.

- I co było dalej?

Mówiła zmęczonym i obojętnym tonem. O swoim pobycie w jego świecie, o jego do niej stosunku. Omijała pewne niewygodne szczegóły.

- Dlaczego nie szukałaś uciezki? - zadał pytanie któryś z sali.

Obróciła głowę za dźwiękiem.

- Dokąd? A, że niby miałam wrócić tutaj? Jak? Na piechotę?

- Nie bądź beczelna, Novak. To jest sąd!

- To nie zadawaj mi głupich pytań. Nie wiedziałam, gdzie jestem, jak tam trafiłam i straciłam całkowicie poczucie czasu, bo tam dni i noce ustalał on. Przez większą część pobytu tam byłam naćpana, a to raczej nie sprzyja koncentracji i kontemplowaniu rzeczywistości.

- Czy wiesz, o co jesteś oskarżona?

- Szczerze mówiąc, wisi mi to.

- O zdradę!

- Nie drzyj się. Słyszę.
- Koshe westchnął cicho i zsunął się niżej w siedzisku. Skażą ją. Już ona się o to postara.
- Co twój domniemany oprawca robił, gdy byliście razem?
  - Na początku rozmawiał, potem narkotyzował, a na końcu złożył propozycję do odrzucenia.
  - Jaką propozycję?
  - Pozycję misjonarską, z uwzględnieniem ewentualnych powtórek.
  - Czyli mamy rozumieć, że miał wobec ciebie takie zamiary od początku?
  - Nie odpowiadam za wasze rozumienie. Nie wiem, jakie miał zamiary, wiem, czego chciał. Może miał duszę romantyka i mu nie wyszło? - zadrwiła beznamiętnie.
  - Novak, ostrzegam, jeszcze jeden taki komentarz i zostaniesz skazana za obrazę Łoży! - Znów g³os z sali.

Zaśmiała się g³ośno i długo.

- Jesteście niepoważni. Jedyne za co mogę odpowiadać, to za to, że nieświadomie i niezamierzenie spodobałam się mu. Ot i cały mój udział w jego szaleństwie. To, co on sobie myślał i jakie miał zamiary, mało mnie obchodziło i nadal tak jest. Jedyne zdrada, jakiej się dopuściłam, to taka, że obecnie mam gdzieś wasz pogląd na nią. Jestem zmęczona i boli mnie głowa. Chcę iść spać, a za godzinę mam wizytę lekarza. Dajcie mi spokojnie o tym zapomnieć.

- To brzmi jak groźba.

Głos, który odzywał się co jakiś czas, wyraźnie jej nie lubił. Szkoda, że nie widzi, kim jest jego właściciel. Miała zamiar wstać, ale opadła z powrotem.

- Prowokujesz mnie tak nieudolnie, że aż żałośnie. Chcesz, żebym wam ułatwiła zadanie. Było po prostu poprosić. Zadać odpowiednie pytanie.

- Skąd w tobie tyle pogardy dla Łoży?

- To jest właściwe pytanie. Ja nie gardzę ani Łożą, ani nikim innym. Trzeba mieć jakieś odczucia w jakimś temacie, by je nazywać. Wy mnie nie tyle nie obchodzicie, co was po prostu nie ma w moim świecie. Nie jesteście nawet brudem za paznokciem.

- Milcz!!

- Chciałeś wiedzieć, chciałeś, bym to powiedziała. Więc wiedz, że są ludzie na tej ziemi i są większością, dla których twój sztuczny majestat, twoje tytuły i majątki nic nie znaczą, a ty sam jesteś zaledwie cieniem, który ma się za lepszego! Pies stróża na parkingu cieszy się większym poważaniem! Jesteście pazerni, chciwi. Władza uderzyła wam do głów. Szpiegujecie własnych ludzi. Mordujecie niewygodne jednostki, takie jak ja. Nic dla was nie znaczy ani życie żołnierzy, ani cywilów. Miasto jest po to, by was utrzymać. Korupcja to już za małe słowo, by określić to, co się tu dzieje. Samobójcy stali się mięsem, które ma nabijać wam kabzę! Odpowiednie pytanie brzmi: co wie o was Magik? A wie dużo, wierzcie mi. On was inwigilował. Zakładał podsłuchy, kamery. Wie o waszych kochankach, o kochankach waszych dzieci, o przekrętach, łapówkach, układach. Tego się boicie. Jego technologii, przebiegłości i przenikliwości umysłu. Boicie się jego władzy!!

Echo poniosło po sali jej słowa.

Nazywany jest szaleńcem. Ale on nie jest szalony. To najbardziej zdrowy okaz mężczyzny, jaki znam. Chciał coś wziąć i po prostu sobie to wziął. Zazdrościcie mu odwagi, otwartości, wy, szczury. Lichwiarze! Jesteście wszyscy kwintesencją zła tej ziemi. Wszyscy, z wyjątkiem jednego. - Uśmiechnęła się ciepło. - Witaj, Koshe.

- A czemuż to on ma być lepszy od nas?!!

- Uważaj, nie lubi pogardliwego tonu. - Westchnęła. - Bo robi pożytek ze swoich pieniędzy. Wciąż w coś inwestuje i coś tworzy. Wykorzystuje mądrze swoją władzę i swoje wpływy.

- Czy wiesz, że teraz zostaniesz skazana? - odezwał się przewodniczący. - Czy rozumiesz, że umrzesz jutro o świcie?

- Od początku wyrok jest ten sam. Co ma mnie dziwić? Liczycie na skruchę, przeprosiny? Mam paść na kolana i błagać o życie? - Zaśmiała się. - Pierdolcie się. Możecie się ustawić w kółeczko jeden za drugim. Wyklaszczę wam rytm.

Dłoń uderzyła o dłoń. Raz, drugi, trzeci.

- Egzekucja odbędzie się jutro o szóstej rano. Wyprowadzić!

- Chwila. - Wstała. - Znam regulamin. Mogę sobie wybrać rodzaj śmierci. I kata.

- Słucham.

- Pistolet. Katem będzie on. - Wskazała na miejsce, z którego mniej więcej słyszała irytujący głos. - Skoro miał na tyle ikry, by wykrzykiwać swoje racje tak otwarcie, nie zabraknie mu jej, gdy będzie naciskał na spust.

- Nie licz na to, że będzie inaczej - usłyszała w odpowiedzi głos przyszłego oprawcy.

Strażnik chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę wyjścia. Szczęknięty drzwi i oburzone towarzystwo wychodziło jeden za drugim. Koshe siedział nieruchomo, wsparty o zaciśniętą pięść.

- W całym bloku było ciemno. Światło wyłączyli ze względu na jej oczy. Strażnik pociągnął za wajchę i krata uchyliła się na tyle, by wszedł. Słyszała, jak ciężkie buty, które sprawdzały co kwadrans, czy jeszcze dycha, odeszły gdzieś daleko. Usiadła na łóżku bokiem do wejścia.

- Nie doszłam, które z nas jest kim. Czy ja ofiarą, a ty myśliwym, czy może na odwrót? Dobry wieczór, Koshe. Wybacz, że goszczę cię tak skromnie i w ogóle, jestem taka nieuczczona.

Była smutna.

- Oczywiście nie mogłaś inaczej.

- Mówisz to tak, jakbyś ty mógł.

Podszedł do pryczy i usiadł obok.

- Przyniosłeś ostatni posiłek?

Było chłodno. Od murów bił ziąb. Zarzucił jej swoją marynarkę na plecy.

- Jane prosiła, żebym podał ci leki. Krople do oczu.

- Dobra.

- Ale to nie będzie przyjemne. Właściwie to będzie bolało jak cholera. Regeneracja boli niemiłosiernie. Wystarczy, by jutro zobaczyć po raz ostatni niebo.

- No to dawaj. Im szybciej, tym lepiej.

Rozwiązała przepaskę.

- Jest ciemno jak w beczce smoły. Możesz otworzyć oczy.

- Jest ciemno, a i tak wiem, że patrzysz na mnie tak jak zawsze.

Podniósł ręce i wpuścił po trzy krople w lewe, a potem w prawe oko. Przez chwilę nie działo się nic. Potem złapała się za głowę i zakwiliła boleśnie. Zanim krzyknęła, zasłonił jej usta i przycisnął do łóżka.

- Zaraz minie.

Poczuł łzy na palcach. Szamotała się.

- Wiem, że to uczucie, jakby kwas wypalał ci gałki, ale zaufaj mi, zaraz minie.

Wygięła się w pałąk i opadła po chwili. Nie ma czego się wstydzić. On też nieraz zemdlał, gdy go leczyli. Zakreślił buteleczkę z lekarstwem i wsadził do kieszeni. Wymacał koc pod rękami i nakrył ją szczelnie. W powietrzu czuć było wilgoć. Obudziła się po godzinie.

- Mam dla ciebie coś, co lubisz. Do szóstej zostały dwie godziny.

Pociągnęła nosem. Posadził ją i zawiązał opaskę na oczach. Złapała go za rękę.

- Mam do ciebie prośbę. Kapitan. Kapitan nie odwiedził mnie ani razu. Obawiam się, że zrobi coś głupiego.

- I słusznie.

- Przypilnuj go. Powstrzymaj, w razie gdyby chciał przeze mnie napytać sobie biedy.

- Dobrze. A teraz chodź.

Pociągnął ją w stronę krat.

- Zaczekaj. Buty.

Podszedł i nałożył jeden, potem drugi i poprowadził gdzieś poza celę. Po kilku przejściach, windzie i schodach weszli do jakiejś dużej sali. Słyszała własne kroki. Zatrzymał ją i poprowadził wolno rękę. Gładkie i chłodne. Uśmiechnęła się szeroko. Poznała od razu. Posadził ją na taborecie i przejechała palcami po klawiszach.

- Chcemy posłuchać.

Szopen był jako pierwszy. Potem Mozart, Rachmaninow i kilka innych znanych nazwisk i znanych utworów. Słuchali w ciszy. Echo niesło nuty gdzieś bardzo wysoko, po samo sklepienie. Wiedziała, ile trwają grane przez nią utwory. Wstała dokładnie kwadrans przed szóstą.

- Już czas. Chcę jeszcze przedtem popatrzeć na niebo. Czy jest jasno?

- Tak. Słońce zachodzi - usłyszała głos Natana.
- To dobrze. Chodźmy.

Uderzył w nią podmuch wiatru. Musieli być na otwartej przestrzeni. Obok czuła znajomy zapach. Zdjął jej opaskę.

- Oczy otwieraj powoli. Jeśli zaboli, przestań.

Pokiwiała głową. Pierwsze światło od tygodni. Czerwone, krwiste niebo. Smugi błękitu zza chmur. Powietrze po deszczu. Czyste i chłodne. Odwróciła się. Stała tam delegacja urzędników i jej kat. Koshe wrócił do szeregu. Do jej drużyny. Rozpoznała dwójkę ze zdjęć. Nie przyglądała im się jednak zbyt długo. Ustawiła się na wyznaczonym miejscu.

Byli na dachu. Dokoła strażnicy pod bronią. Pistolet wycelowany w jej głowę trwał nieruchomo. Człowiek z naprzeciwka niepodobny do nikogo. Szary i nijaki. Podeszła krok bliżej i oparła się czołem o lufę.

- Pusi, pusi, pusi...
- Bezczelna nawet w takiej chwili.
- Jak to jest, gdy ktoś ma cię gdzieś, a ty tak się starasz?
- Stać! - krzyknął Kaztez u szczytu schodów prowadzących na dach.

Ominął strażnika i pokazał dokument urzędnikom.

- Czy sprawę możemy uznać za zakończoną?

Jeden z nich skinął głową. Należała do szlachty. Uprzywilejowanych nikt nie miał prawa zabić. Byli zbyt cenni, by ich osądzać.

- Przecież mówiłem, żebyście zaczekali - fuknął na tego z pistoletem. - Chodź. - Pociągnął ją ze sobą.

- Co to jest? - Koshe wyciągnął mu z ręki papier.

Przeleciał oczami po nagłówku i treści.

- Akt adopcji? To znaczy, że ty, że wy...

- Twoja mina jest jak z reklamy mastercard. Bezcenna. - Zaśmiała się. - Każdy sądzi własną miarą. Wasza jest lekko wypaczona.

Kaztez zabrał mu dokument, a ona korzystając z okazji, podeszła do niedoszedłego oprawcy.

- Wiedziałeś, że on nam przerwie, i liczyłeś na to, że się ukorzę pod lufą. Przepraszę, pojęczę. Tak jak myślałam. Władza to jedyne na czym wam zależy.

Kapitan bez słowa pociągnął ją w stronę schodów.

- Idziemy do domu i nie wyjdiesz stamtąd do dnia sądu ostatecznego. Masz szlaban na wszystko. Jeść, kibelek i spać. To wszystko, co będziesz teraz robić.

Stali w kompletnym osłupieniu.

- To się nie wydarzyło naprawdę - skomentował Ron.

Ponad trzy tygodnie. Tyle czasu jej nie widzieli. Stary miał za to tak świetny humor i był tak dumny z córki, że nawet

- nią nie zapytał. Któregoś dnia, gdy wrócili do Nory, zastali ją siedzącą po turecku na stole i czytającą kalendarz pełen śmiesznych komentarzy. Obok stały trzy torby zakupów. Zaśmiała się po raz któryś z rzędu. Dakota podeszedł i obejrzał ją ciekawie. Podniosła oczy na smagłą twarz. Oparł się o stół

- zbliżył niebezpiecznie blisko.

- Cześć, Bura panienko.

- Lilith Kaztez. To wasze? - zwróciła się do Natana, pokazując palcem na mięśniaka nad nią.

- Niestety - przytaknął Prince i wniósł do kuchni karton pełen jedzenia do mikrofalówki.

- Skoro tak. - Wygrzebała coś w torbie. - Kupiłam sobie, bo często tu bywam, ale jeśli jest potrzeba... Szczur się nauczył, to ty też się z tym oswoisz. On dał radę, a taki duży chłopczyk jak ty, miałby sobie nie poradzić? - Uniosła zabawnie brwi i podała mu szczoteczkę do zębów. - Średnio miękka. Może być?

Dakota uśmiechnął się szeroko.

- Nadaje się. Choć popieram młodego. Kobiecości za grosz.

- Nadrabiam urokiem.

Podszedł Japończyk.

- Ron.

- Lilith. Miło mi.

Do Nory wszedł Koshe, który jak zwykle rozmawiał przez telefon. Podszedł do niej i obejrzał dokładnie. Wyjęła z torby kartę medyczną i wsunęła mu ją w dłoń. Usiadł i czytał, jednocześnie słuchając rozmówcy. Gdy skończył, oddał jej teczkę, którą zwinęła w rulon i schowała do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyglądała tak jak zwykle. Dżinsy, bluzka, kucyk, ciężkie buty. Opadła na kanapę.

- Mam jeszcze miesiąc urlopu zdrowotnego. Jane boi się, że mogę oślepnąć, albo boi się mojego ojca, co na jedno wychodzi, bo on boi się wszystkiego.

- Kaztez twoim ojcem - dziwił się Borys. - Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś?

- Bo to nie miało nic wspólnego z wami. Koshe, skończ gadać, mam do ciebie biznes.

Trwało to jeszcze chwilę, ale w końcu pancerna klapka zasunęła się z trzaskiem.

- Słucham, choć musisz wiedzieć, że jak ty masz do mnie biznes, zaczynam się nerwowo drapać.

- To rób to dyskretnie. Chcę od ciebie odkupić spelunę. Czy można liczyć na twój dobry humor?

Koshe spojrział dyskretnie na Klechę. Rozpoznał, że się zgadza.

- Jakież propozycje?

- Tak. Wiem za ile sprzedano podobny lokal, ale ja proponuję więcej, bo zaplecze jest większe. -

Podala mu kopię umowy kupna nieruchomości wystawionej niedawno na licytację.

Znał adres. Rzeczywiście metraż był podobny, a lokalizacja zbliżona.

- OK. Skąd masz kasę?

- Od ojca. Obiecałam mu, że oddam ją po upływie dwóch miesięcy albo nie nazywam się Kaztez. Zadziałało. Wolę to od ciągłych wypadów na zakupy. Nie wiedziałam, że tak się wczuje w rolę ojca. Wynajęłam już ekipę remontową i wejdą tam, gdy tylko podpiszemy umowę. Otwarcie za miesiąc.

- Twoja własna cegielnia.

Zaskoczył ją. Nie sądziła, że zapamiętał rozmowę sprzed ponad roku. Skinęła głową.

- Dobra. Umowę podpiszemy jutro. Może być?

- Nawet bardzo może być.

- Bura, te lizaki to dla mnie? - spytał Prince, przeszukując jej zakupy.

Wstała i podeszła do niego.

- Tak, z wyjątkiem gum.

- Jak to? Przecież to jabłkowa.

- No właśnie. Jabłkowe są moje.

- Od kiedy?

Przysłuchiwali się codziennym utarczkom i przekomarzaniu. Klecha opadł na kanapę i podpalił papierosa. Szczur włączył telewizor i kruszył chrupkami wokół siebie. Jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Nigdy nie było inaczej.

- A gdzie jest stolik? - Stanęła z tacą z dzbankiem i szklankami.

- Zapytaj Koshego. - Wyszczrzył się Wódz znad gazety.

Wręczyła im vipowskie zaproszenia. Numer stolika, darmowe drinki i wymagany strój wieczorowy. Zjawili się przed czasem ciekawi tego, co zastaną. Wmurowało ich od samego wejścia. Szatniarka z uśmiechem odebrała płaszcze, kierownik sali zaprowadził do stolika tuż pod sceną. Nic nie pozostało z dawnego wyglądu. Czerwień dywanu, biel obrusów, kryształowe żyrandole. Sztukateria na ścianach i sektory, z których dwa po boku były wyższe. Scena zasłonięta czerwoną teatralną kurtyną. Usiedli i kelner przyjął zamówienie. Koshe rozejrzał się dyskretnie.

- Żałuję, że nie wszedłem z nią w spółkę.

Spokojnie sączyli drinki, gdy podeszła od strony sceny. Długa, czerwona jak krew suknia, złote sandaalki i aksamitna róża w pozornie beładnym koku. Kolczyki zakołysały się złotem.

- No i co powiecie?

Natan o mały włos nie wsadziłby papierosa drugim końcem do ust. Nikt nic nie powiedział.

- Dziś otwarcie i będzie komplet, więc cieszcie się przedstawieniem. Szef kuchni poleca rybę.

Mnie smakowała kaczką.

Dalej nic. Obeszła spokojnie stolik i ruszyła w stronę pianisty, który siedział za fortepianem na prawo od sceny. Coś uzgadniali. Żaden nie przestał się gapić na odsłonięte przez nisko wyciętą suknię plecy. Rozejrzała się po sali i machnęła na kelnerkę. Młoda dziewczyna nalała wody do kosza z kwiatami i podpaliła świece na srebrnym świeczniku, który stał na fortepianie. Bura skinęła głową i muzyk zaczął grać. Dyskretne światło oświetlało go z góry. Smoking leżał nienagannie. Spokojna muzyka popłynęła po sali. Patrzyli, jak ich koleżanka wita się z ojcem i jego zastępcą. Kaztez o mało nie wyrwał guzików koszuli, taki był dumny. Poprawiła mu klapy smokingu i poprowadziła do stolika. Zjawiło się wielu znajomych. Obsługa dyskretnie przemieszczała się po sali.

Podeszła raz jeszcze.

- Uzgodniliście już wersję, jak mniemam. Niech ją któryś przedstawi.

- To najlepszy lokal w Mieście. Nawet w Pierwszym takich nie mają. Gratulacje - odezwał się Ron.

- Dzięki. Ale na dzisiaj to jeszcze nie koniec. Za pół godziny zacznie się przedstawienie.

- Jakie przedstawienie?

- W stylu francuskim. Lokal wygląda jak z dawnych lat, więc i muzyka musi być jak z dawnych lat. Magazyn za budynkiem przerobiliśmy na garderobę. Zatrudniam obecnie dziesięć tancerek, ale to dopiero początek. Sama układałam choreografię i wybierałam piosenki. Życzę miłych wrażeń.

- Rozumiem, że jutro o siódmej nie będzie cię przy portalu? Kobieta sukcesu nie musi biegać z bronią - odezwał się Koshe.

- Czy sukcesu, to się dopiero okaże. Poza tym, nie liczyłabym na to. Strzelać też lubię.

Rzeczywiście, kurtyna za niedługi czas rozsunała się cicho i światło padło na tancerki w strojach do kankana. Przepych, pióra, styl i szyk. Publika klaskała i bisowała. Całość zakończyła się około drugiej i ludzie zaczęli wychodzić. Oni zostali.

Opadła na krzesło obok.

- No, chyba się udało.

- Nie chyba. Było świetnie. Kuchnia wyśmienita, trunki z górnej półki. Muzyka, taniec i śpiew. To lokal z klasą. Naprawdę, udało ci się - podsumował Pablo.

- Dzięki. Teraz jeszcze tylko muszę sprawdzić, czy się opłacało. Rezerwację mamy na tydzień do przodu, ale jeszcze nie przekalkulowałam, czy taki biznes jest opłacalny. Zawsze trzeba do czegoś dopłacać. Do jutra. - Wstała i trzymając dół sukni, odeszła w stronę baru zasnutego lekkim mrokiem.

- No dobra, panowie. Pierwszy i pewnie ostatni raz widzieliśmy tu przedstawienie i jedliśmy kaczkę nożem i widelcem - skomentował Dakota.

Koshe siedział zamyślony. Wstał jako ostatni. Nim wyszli, odwrócił się raz jeszcze i popatrzył na drobną postać w rogu pomieszczenia. Ktoś gasił powoli światła. Znikały punkty przy stopniach, gasły żyrandole i lampki na stolikach. Rozmawiała o czymś z kierownikiem sali i barmanem. Uśmiechała się. Gratulowała i dziękowała za dobry dzień i dobrą pracę. Miała wśród nich poważanie. Jeszcze nigdy nie widział jej tak pewnej siebie. Była tam, gdzie być powinna. Wyprostowana, spokojna, uśmiechnięta. Coś się jednak zmieniło. Coś poszło zbyt gładko. Jej całkowita obojętność na to, co zaszło między nią a Magikiem, była jak dobrze skrojone kłamstwo. Niemal nabrała na nią samą siebie, ale on był żołnierzem i lęk wyczuwał niczym drapieżnik krew.

Było dokładnie tak, jak podejrzewał. Po rozmowie ze Starym, nie miał już żadnych wątpliwości. Dokładnie pięć dni po otwarciu wpadła do nich z wizytą. Poprosił dyskretnie, by chłopcy wyszli. Zmyli się w kilka minut. Wstał ze swojego ulubionego miejsca i wyłączył telefon. Popatrzyła na niego i usiadła bez słowa na oparciu zielonej kanapy.

- Co on ci zrobił?

Wstała bez słowa i udawała, że nie było tematu.

- Masz lęki. Wystarczy coś głośniej powiedzieć. Trzęsiesz się na każdy nieprzewidziany dźwięk. Dziś podskoczyłaś, bo Prince trzasnął drzwiami do łazienki.

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Z kimś musisz. Ojciec się o ciebie martwi.

- Nie wyjeżdżaj mi tu z ojcem. Jesteś po prostu ciekawy. Jak zawsze.

- Co?

- Nic. Byłam zbyt sztywna.

- Coś zrobić musiał.

Rzuciła kubkiem o ścianę. Rozpadł się z szczękiem. Furia dopadła go przy schodach.

- Zrobił. Ubierał jak księżniczkę. Wybierał bieliznę, by móc sobie na nią popatrzeć. Ostatnim razem, po bardzo nieprzyjemnej kolacji, zabrał mnie do swojej sypialni i kiedy odmówiłam, chciał sobie wziąć, co wedle niego mu się należało - syknęła. - Ale byłam zbyt nieobecna. Sztywna i zimna. Nie podobało mu się na przykład to, że się nawet nie szarpałam. Po prostu leżałam nieruchomo. Nie umiał sobie z tym poradzić. Nie to, że nie byłby do tego zdolny. Wolał poczekać, pobawić się. Gdy kolejny raz miał mnie zabrać do swojej sypialni, okazało się, że ja też nie umiem. Byłam zbyt słaba. Po raz pierwszy sobie odpuściłam. Pętla bardzo zgrabnie mi wyszła. - Łzy popłynęły razem z wyznaniem. - Nie bałam się jego, lecz siebie. Nie umiałabym żyć z myślą, że mu uległam, że mnie zламаł. Wybrałam inną ścieżkę. Zawisłam tylko na dwie sekundy, ale wystarczyło, by poczuć się przegraną.

Podszedł do niej i po raz pierwszy w życiu przytulił. Drżała i po prostu czekał na falę płaczu. Nie trwało to długo. Zaniósł ją na kanapę i zapalił lampkę. Podał chusteczki i nie mówił nic. Ona mówiła. Spokojnie lub znowu wściekle. Kilka razy zalewała się łzami tak bardzo, że brak jej było tchu. Gdy zasnęła zmęczona łkaniem, odetchnął głębiej.

- Zabiję go. Bądź pewna - powiedział cicho.

Rano zadzwonił do Starego.

- Wiem, skąd przepaska na oczach. Odmówiła mu i zamknął ją w piwnicy. Zabronił komukolwiek dawania jej jedzenia i picia. Ten, którego wołają Czarny, utrzymał ją przy życiu.

Akcje były codziennością. Później zniknęła za kulisami swojej małej sceny. Widywali się sporadycznie. Życie toczyło się utartym rytmem. Któregoś z sobotnich wieczorów urządzili imprezę. Odpowiednio nastrojowa muzyka, Nora pełna roześmianych panienek. Gdy weszła, Dakota miał dwie na kolanach. Było jeszcze wcześniej i nie były zbyt pijane. Każdy siedział z jakąś w bardzo bliskiej komitywie. Nowy stolik zastawiony był butelkami i szklankami. Spokojnie odprowadzili ją wzrokiem do kuchni. Nie zdziwiło jej pozornie nic. Podeszła do szafki i wyciągnęła butelkę z resztkami wódki.

- Sukienka, kolczyki, obcas na oko siedem centymetrów - zakwilił Dakota. - Wiesz, co lubię, mała.

Wychyliła miarkę i sprawdziła godzinę. Odstawiła butelkę na miejsce.

- Wiesz, że zwykle ci nie odmawiam, ale nie dzisiaj. - Cmoknęła z udawanym smutkiem. - Dziś jestem umówiona.

- I dlatego walisz wodę szklankami? - zadrwił Koshe.

Obok niego siedziała rozanielona blondynka. Posłała jej szczyry uśmiech triumfu.

- Któż jest tym szczęśliwcem? - pociągnął Pablo.

- Koshe, w sumie powinienes go znać. - Zarzuciła na siebie płaszcz i wiązała apaszkę. - Macie to samo nazwisko.

Spojrzał znad szklanki. Kostki lodu zadrżały złowrogo.

- Właściciel banku i kilku innych przedsiębiorstw.

- Karol.

- Bernard. Ale ma syna o takim imieniu.

Zaśmiał się głośno. Patrzyła spokojnym wzrokiem na jego reakcję. Innej się nie spodziewała.

- Bierzesz się za takie wapno? Musisz być zdesperowana. Żonę pochował czterdzieści lat temu.

- I szuka następnej.

Przełknął ostatni łyk z wyraźnym bólem. Wstał powoli.

- I ty będziesz jego następną czy tak?

- Tak.

- To nie jest partia dla ciebie. Twój status nie zezwala na to małżeństwo.

- On ma już dzieci i z tego co mówi, nie zamierza mieć ich więcej. Poza tym jego konto pozwala mu na żonę, jaką chce, a nie jaką dostanie z przydziału. Nie jest głową rodu.

- To nie działa w ten sposób.

- Nie ekscytuj się tak. - Wskazała dziewczynę obok. - Kociak ci stygnie.



Wyszła.

Kaztez siedział z miną męczennika. Na biurku leżały sterty papierów.

- Straciłem wszystko - odezwał się, gdy Koshe zajął miejsce naprzeciw niego. - Kiedy się dowiedzieli, że ją adoptowałem, wszyscy odbiorcy się wycofali.

Kapitan prowadził niewielki rodzinny biznes, który założył jego daleki przodek. Zajmował się importem żywności do Miasta. Okazjonalnie prosił Koshego o drobne przysługi, ale tym razem nie pomogłyby nawet długie macki władzy Invocato.

- Zostałem z niczym. Utrzymujemy się z mojej pensji, skromnych oszczędności, ale przede wszystkim z jej lokalu. Nie chcę tego. Nie chcę być utrzymywany przez własne dziecko.

- Dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie?

- Nie zdążyłem. - Rozłożył nerwowo ręce. - Wykupił moje długi.

- Co ona chce przez to zyskać?

- Dom. Mają zlicytować mój dom. Choć tłumaczyłem jej, że nie jest ważny, że dom możemy mieć inny, nie posłuchała. Zdaje sobie sprawę, ile dla mnie znaczy. A on dokładnie wiedział, jak to poprowadzić. Rozmawiałem z nim. Zadeklarował swoje zamiary. Spotykają się od miesiąca. Ciąga ją na ziemię. Teatry, opera. Kolacje przy świecach. Kwiaty dostaje codziennie.

- Nie zmienił się - podsumował stryja przez zaciśnięte zęby.

- Nic nie możesz zrobić. Ona się uparła, on też. Zapowiedział, że gdy zostanie jego żoną, skończy z wojskiem. Przeknęła nawet i to.

- Idiotka. Nie uratuje się, tylko pograży. Ja go znam. Tyran z kompleksem wielkości.

- Przetłumacz jej. Porozmawiaj. W całym tym grajdole tylko ty masz na nią wpływ - poprosił kapitan.

- Przeceniasz mnie.

- Spróbuj chociaż. Zrób to dla mnie. Dziś jedzą kolację w restauracji Na Tarasach.

Nie liczył, że to da jakikolwiek efekt, ale obiecał spróbować. Czekał w uliczce przed wejściem. Bernard pożegnał ją przelotnym pocałunkiem w policzek i odprowadzał ją Karol. Widać ojcu się gdzieś spieszyło. Zanim podszedł, usłyszał ich rozmowę.

- Ojciec lubi ciekawe okazy. Wybiera starodruki, meble, kupuje przedsiębiorstwa o niszowych profilach. Teraz upatrzył sobie ciebie. Pasujesz do jego kolekcji. Młoda, ale przede wszystkim inna. To jest to, co pociąga go w tobie najbardziej.

Karol był nieco młodszy od Koshego. Przynajmniej tyle wywnioskowała z rozmowy. Zatrzymała się i spojrzała w oczy, które wydały się jej znajome.

- Co chcesz mi powiedzieć?

- On kupuje okazy, by je kolekcjonować, a nie z nimi żyć.

Ciebie kupił bardzo tanio. Znudziś mu się po roku czy dwóch. Skończysz jako akompaniament na przyjęciach i chodzące trofeum. I odda cię mnie.

Dotknął jej policzka bardzo wymownie.

- Dobry wieczór. - Koshe ujawnił swoją obecność, uznając, że już dość usłyszał.

Karol się go wystraszył. Przez ułamek chwili dłoń, która opierała się o policzek Burej, drgnęła nieznacznie.

- Ojciec kazał cię odprowadzić do domu - odezwał się po chwili.

- Ja to zrobię. Mamy z Lilith do pomówienia. Jutro ważna akcja, a jej nie było dziś na odprawie - skłamał bez zająknięcia.

- W takim razie do zobaczenia. - Karol pożegnał się sztywno i odszedł do samochodu.

Koshe pokazał, gdzie zaparkował. Wsiadła i zapięła pas. Zapowiadała się ciężka batalia. Ruszył. Jechali ulicami, jakich nie znała. Zatrzymał się gdzieś na uboczu. Bez słowa wysiadła z samochodu. Byli pod samym murem. Poszła za nim po kładce obok pustego budynku. Mieli widok na miasto w dole. Jarzyło się jak morze światła. Oparła się o mur.

- Fajne miejsce.

Księżyc wisiał niczym nadgryziona pajda chleba.

- To głupie, co robisz.

- Zaczyna się.

- Karol miał rację, ale ubarwił prawdę. Magikowi się postawiłaś, a jemu oddasz się tak łatwo i bez walki?

Ojciec przeze mnie ma te kłopoty. Pierwszą pożyczkę wziął, gdy Parowa zażądał zadośćuczynienia. Widziałam datę na umowie z bankiem. Drugą na szkołę. Nie wiedziałam, że jest tak droga. Uparł się, więc nie pytałam. Temat bez podejmowania dyskusji. Trzecią, gdy byłam w więzieniu. Leki też kosztowały. Gdyby nie adopcja, o której oboje marzyliśmy, byłoby wszystko dobrze. Ostatecznie podrobił mój podpis. Przez te kilka dni był taki szczęśliwy. Warto było... jest - poprawiła samą siebie - być tak blisko i móc robić te wszystkie rzeczy oficjalnie, na oczach ludzi. Ale to ma swoją cenę.

- Są bogatsi i młodszy. Nie musisz wychodzić akurat za mojego stryja.

- Wiem, że gdzieś tam są, ale po pierwsze, ja ich nie znam, po drugie, nie mam czasu na ich poznanie. Licytować mają za dwa miesiące. Twój stryj, to znaczy Bernard, to jemu się spieszy. W sumie nie wiem czemu.

- Wykupię ci ten dom.

- Nie chcę. Tym, co najbardziej mnie drażni w tym świecie, jest życie pod twoje dyktando. Nie masz powodu, by mnie ciągle ratować z kłopotów.

Spojrzał na nią gniewnie.

- Aż tak ci ciąży nasza znajomość? Co ja takiego zrobiłem? Ha? Za co mnie tak nienawidzisz?

Nie odpowiedziała. Poszła za nim do samochodu i bez słowa odwiózł ją do domu. Po krótkiej rozmowie z ojcem poszła do swojego pokoju. Zasłoniła okna i włączyła lampkę. Usiadła na łóżku i bez namysłu wybrała numer. Odebrał.

- Ja cię nie nienawidzę. Tego możesz być pewny. To, że czasami nie mam cierpliwości do tego, że ktoś może być miły sam z siebie albo dlatego, że po prostu mnie lubi... Nie przywykłam do tego. Zawsze musiałam radzić sobie sama i czasami zapominam, gdzie kończy się duma, a zaczyna buta. Wiem, że nawet kapitana zraniłam tym nieraz. Ja po prostu nie umiem być blisko ludzi takich jak wy. Troskliwych i zaradnych. Nie umiem być obiektem ich troski.

- Wiem - usłyszała.

Uśmiechnęła się delikatnie. Ulżyło jej.

- Zdajesz sobie sprawę, że po raz pierwszy odezwałeś się do mnie przez telefon?

- Tak.

Cisza.

- Wiem też, że jesteś taka dlatego, że sama lubisz zabiegać o wygody innych. Gdyby tak nie było, Nora nie wyglądałaby jak wygląda, Szczur nie miałby ani jednych całych skarpet, a oni wszyscy spokojnego domu. Jeden zapobiegliwy nie przepada za innym, który wchodzi mu w drogę. Ale czasem warto. Ty stanęłaś na mojej i wszystkim wyszło na dobre. Rasputin codziennie grzeje kości w jacuzzi. Uszczęśliwiasz innych, to czemu nie siebie? To aż takie trudne?

- Nie myl, proszę, mojego zachowania z martyrologią. Nie lubię się umartwiać. Po prostu nawet ja potrzebuję stabilizacji. Biorąc pod uwagę moje dotychczasowe przygody, nuda jest mile widziana. Nie zakocham się. Nie ma co na to liczyć. Byłam zakochana raz w życiu i ten jeden raz wystarczy. Nie było fajnie.

- Daj sobie szansę.

- Daję, właśnie daję.

Rozmawiali jeszcze ponad godzinę. Kaztez słuchał zza drzwi. Wiedział, że nie wypada mu podsłuchiwać, że jest dorosła i ma swoje sprawy, ale musiał wiedzieć. W końcu nie było mu lekko, ale z tego co mówiła, jej też nie.

Mia weszła do pokoju. Podniósł się z kanapy i odłożył szpargały, które do tej pory zawały go po sam pas. Przetarł oczy.

- Słyszałam od Karola. Pochwalił się, gdy spotkałam go w kawiarni. Wiesz, wtedy gdy byłam z koleżankami. - Przeszła do okna i popatrzyła w dół.

Duża lampa z mlecznym abażurem stała na trójnogu obok. Bawiła się jej włącznikiem.

- Ona to robi, żeby pomóc ojcu, prawda?

- Skąd wiesz?

- Słyszałam twoją rozmowę.

- To znaczy, podsłuchiwałaś moją rozmowę.

- Gdybym nie podsłuchiwała twoich rozmów, nie wiedziałabym o niczym, co dzieje się w twoim życiu.

Usiadł wygodnie i wziął do ręki filiżankę z zimną kawą.

- Boisz się tego, że i ty kiedyś będziesz musiała sprostać rzeczom, do których zobowiązuje nazwisko?

Spuściła oczy. Machnął na nią ręką i usiadła obok.

Chowała ją od dziecka. Uczył chodzić, pisać, czytać. Była jego małą księżniczką.

Opadła głową na jego kolana, a on głaskał ją spokojnym gestem.

- Nie będziesz musiała robić niczego dla rodziny czy nazwiska. Zarobiłem i wciąż zarabiam tyle pieniędzy, że sama sobie wybierzesz męża. Zakochasz się i urodzisz mu szóstkę dzieci, które będą rozpieszczął.

Zaśmiała się cicho.

- Naprawdę, jesteś aż tak bogaty?

- Jesteśmy. Śmy, moja panienko.

Przez chwilę słuchał jej pisku, gdy połaskotał ją po szyi. Potem usiadła i spojrzała na niego innymi oczami. Nie była już dzieckiem, czas to zauważyć. Patrzyła na niego bardzo młoda, śliczna kobieta.

- Skoro masz tyle pieniędzy, by kupić sobie moje szczęście, to dlaczego nie kupisz sobie własnego? Nie chciałam widzieć przy tobie tej wydry, Sary, ale samego też nie chcę cię oglądać. Jesteś smutniejszy i smutniejszy z każdym dniem.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Na szczęście zadzwonił telefon i musiał odebrać. Dzwonił prawnik rodziny.

- Tak, wiem o spotkaniu. Na piętnastą. Będę. Dobranoc.

Rzucił telefonem w kąt kanapy.

- Nie mam czasu na żonę. Nie mam czasu nawet na skok w bok.

- Kłamiesz. Zawsze gdy mnie okłamujesz, przybierasz taki lekki ton. Ale niech ci będzie. Na dzisiaj ci daruję. Jutro mam zajęcia od ósmej. Dobranoc.

- Dobranoc.

Usiadł bez ruchu i trwał tak dobre dziesięć minut. Potem sięgnął po zniechęcony przedmiot i przyłożył go do twarzy.

- Wiem, że późno. Będę u was jutro, powiedzmy o czwartej. Czy coś wymyśliłem? - Westchnął głęboko. - Tak, ale pewnie jej się to nie spodoba, więc, może być różnie... Aha... To do jutra.

Dom Kazteza, ten, który wybudował własnymi rękami, stał na obrzeżach miasta. Po wyjeździe z portalu jechało się jakieś pół godziny. Zaparkował w uliczce przed bramą. Biały, niewielki, z uroczym ogrodem w starym stylu. Pnące krzewy, poidelko dla ptaków, niewielki taras. Zapukał i usłyszał kroki kapitana. Chodził dość charakterystycznie. Struna na szrudłach miała więcej miękkości. Otworzył zamasyście i bez słowa wciągnął go za ramię do środka. Rozejrzał się konspiracyjnie po korytarzu. Nie wyszła z pokoju na górze. Odetchnął.

- No więc, co wymyśliłeś?

- Masz coś mocniejszego? Przyda mi się, zanim wejdę w paszczę lwa.

Po kwadransie zawołał ją z góry.

- Lilith, Koshe do ciebie.

- Niemożliwe, przed chwilą z nim rozmawiałam.

- Nie ten Koshe.

Weszła do pokoju.

- O! Coś się stało? Mamy akcję? Mogłeś zadzwonić.

Kaztez zawrócił w progu gosposię, która niosła tacę z herbatą.

- Nie teraz, kochanieńka, nie teraz. - Pociągnął osłupiałą kobietę w stronę kuchni.

Jeśli liczył na siłę zaskoczenia, to właśnie ją stracił. Konspiracja kapitana skutecznie go demaskowała. Świdrowało go podejrzliwe spojrzenie.

- Usiądź. - Poklepał kanapę obok siebie.

Usiadła dość sztywno.

- Musi to być coś wyjątkowo poważnego, skoro pofatygowałeś się osobiście.

- Takich rzeczy nie załatwia się przez telefon. - Odetchnął głębiej. - Za dwa miesiące jest licytacja. Do zorganizowania wesela będziemy potrzebowali jakiś miesiąc. Sprawdzam wolne terminy i proponuję dwudziestego drugiego. Data dobra jak każda inna. Zostaniesz moją żoną i wszystko powinno się wyklarować. Będziesz miała swoją stabilizację, dom, pracę i nie zmienisz wiele w tym jak żyjesz do tej pory. Prócz nazwiska.

Cisza. Słyszał, jak powoli zbiera się do kupy. Uśmiechnęła się lekko. Niedobrze.

- Po wczorajszej rozmowie... Myślałam, że po raz pierwszy potraktowałeś mnie jak równą sobie. Ale dziś minęło mi całkowicie. Nie szanujesz mnie nawet na tyle, by zrobić to jak należy. Jesteś zaiste wyjątkowym mężczyzną. Tylko ty, ze wszystkich durni, jakich znam, obrażasz mnie z taką łatwością i tak celnie. - Po policzkach potoczyły się łzy.

Wyszła z domu i słyszał, jak trzaska furtką w bramie. Do pokoju wszedł Kaztez.

- No i?

- Do tego powinni napisać jakiś podręcznik. Nie jestem pewny, ale chyba nie było zgody.

- Co ci powiedziała?

- Że obrażam ją po mistrzowsku.

- Idziemy. Muszę się lepiej rozeznąć, co sknociłeś. Mamy godzinę dziesięć. Jest umówiona z Bernardem. Ma na niego czekać obok budowy tego nowego wieżowca.

Pojechali na dwa samochody. W mieście kapitan zadzwonił do niego i kazał mu zaparkować przed Posterunkiem.

- Skąd wiesz, że jest w budynku?

- Zainstalowałem jej szpiega w telefonie.

- Uczysz się szybko.

- Jeszcze mnie o hasło poprosisz - odciął się świeżo upieczony ojciec.

Weszli prosto do szatni. Kapitan zatrzymał go ręką i kazał zostać w progu galerii. Sam oparł się o balustradę. Było tam kilkoro z młodszej grupy.

- Dlaczego nie?! Ufam mu!

- Ja również - odwróciła się od drzwiczek szafki i popatrzyła w górę na ojca.

- To dlaczego mu odmówiłaś?

- Nie dał mi szansy. Nie odmówiłam, bo on mnie o nic nie poprosił.

Trzasnęły drzwiczki, potem drzwi do sali odpraw zamachały się tam i z powrotem. Kaztez popatrzył w bok, na blade zaciśnięte wargi.

- Jedno słowo. Albo się przełamiesz, albo wszystko się rozpieprzy.

Wyjechał z parkingu za budynkiem. Miał do przejechania zaledwie kilometr. Zaciskał ręce na kierownicy, dwa razy kogoś strąbił. Wysiadł, nie zamykając samochodu. Widział jej szary płaszczyk w tłumie na ulicy. Wyszła zza rogu. Złapał ją za rękę i przyciągnął bliżej muru.

- Zgódź się. Proszę.

W oczach zakołysały się łzy.

- I chcesz mi powiedzieć, że budzisz się z myślą o mnie i zasypiasz z myślą o mnie i na co dzień jestem przy tobie? I że chcesz mnie i tylko mnie?

Zacięte spojrzenie i znajoma twarz, która walczy sama ze sobą.

- Tak.

Uśmiechnęła się lekko.

- Nie umiesz kłamać, Koshe, ale dobrze. Zgadzam się.

Widziała, kiedy wyraźnie odetchnął. Spojrzała w bok. Bernard stał jakieś dwadzieścia metrów od nich na rogu zatłoczonej ulicy. Rozmawiał z kimś. Sądząc po stroju, był to jakiś urzędnik. Pewnie jego pracownik.

- Co się robi w takich sytuacjach? Macie tu jakąś gazetkę matrymonialną, ogłoszenia w radio? Mam nałożyć plakietkę z imieniem właściciela? - Wciąż zerknęła nerwowo na róg ulic.

- Robi się to, co robią wszyscy narzeczeni.

Miała chłodną twarz i tak zdziwione oczy, że omal nie zrezygnował. Omal. Nie było w tym ani namiętnego porywu, ani szaleńczej pasji. Raczej spokój i pewność. Gdy otworzyła oczy, patrzył na nią z góry. Oparła się czołem o jego koszulę.

- Dlaczego kazałeś mi czekać tak długo?

- Bo jesteś, jaka jesteś.

Obejrzał się. Jego stryj stęzał na rogu i był niczym czarny chmurny drogowskaz. Wyjął z kieszeni kluczyki do auta i zacisnął w jej zimnej dłoni.

- Idź do samochodu. Zaparkowałem obok kiosku. Jest otwarty. Wiesz, jak włączyć ogrzewanie. Poprawił jej kucyk i popchnął w kierunku auta.

- Idź. Ja to z nim załatwię.

Widział, jak odwracała się kilkakrotnie. Zdenerwowana i wystraszona. On też kiedyś się go bał. Słowo despota, nie oddawało nawet w jednej trzeciej wrednego charakteru wuja. Wychowywał go po śmierci rodziców i Koshe szczerze nienawidził człowieka, który szedł teraz w jego stronę. Ale strach minął, a sztuczna mina dobrodzieja z sercem na dłoni też na niego już nie działała.

- A więc tak postanowiłeś się zemścić? Upadłeś tak nisko, że kradniesz mi dziewczynę?

- Ona nie jest ci potrzebna. Miałeś ich na pęczki i gdy żyła ciotka, i gdy jej zabrakło.

- Więc tak chcesz to rozegrać?

Już ci kiedyś powiedziałem. To, że cię nie wykupiłem kawałek po kawałku, zawdzięczasz jedynie temu, że nosisz to samo nazwisko i przez wzgląd na ojca. Lilith daj spokój. Od dziś to moja dziewczyna. Zaproszenie na wesele dostaniecie pocztą. Do zobaczenia.

Wsiadł do samochodu. Popatrzyła na niego wystraszonym wzrokiem.

- Nie będzie się mścił?

- Będzie. Ale mało może, więc co najwyżej będę go musiał trochę ukrócić. - Odetchnął głęboko.

Bawiła się nerwowo rękawiczkami. Odpalił silnik.

- Pojedziemy teraz do mnie. Mia kończy za pół godziny. No i jest jeszcze Thomas.

W windzie czuła się nieswojo. Przeszepowała nerwowo z nogi na nogę. Usłyszała jego śmiech.

- Odważna i zadziorna Novak-Kaztez trzęsie się na wieść

- ślubie.

- Bardzo śmieszne.

- Jak cholera.

Weszli do apartamentu na ostatnim piętrze. Był taki, jak go zapamiętała. W tle leciał Mozart, a do pokoju wszedł starszy, szpakowaty pan. Włosy idealnie przystrzyżone. Twarz modelowo zastygła. Spokojne, jasne spojrzenie. Koszula i garnitur jak spod igły. Uśmiechnął się do niej ciepło.

- Dzień dobry - powiedziała odruchowo.

- Dzień dobry - odpowiedział starszy pan.

- Thomas, przedstawiam ci Lilith - włączył się Koshe

7zdjął jej płaszcz.

Poczekala, aż podejdzie. Pierwszy podał rękę. Ucisnęła ją. A więc pewne zasady nie są jej obce.

- Czy panienka Lilith nadal uważa mojego pracodawcę za durnia?

- Niezmiennie.

Koshe parsknął gdzieś w korytarzu.

- Odezwał się kwiat inteligencji.

- Przywyknij - rzuciła mu przez plecy.

Nagle doszło do niej, do kogo mówi. Zagryzła dolną wargę. Thomas zaśmiał się ciepło.

- Widzę, że się polubimy.

- Mam nadzieję. Z tego co sprawdziłam, świetnie pan gotuje.

- Jaki pan? Mów mi Thomas.

- Jeśli tylko zniknie ta panienka sprzed mojego imienia.

Wyprostował się.

- Zgoda.

Z windy wypadła Mia. Rzuciła torbę na krzesło w korytarzu i zrzuciła kurtkę.

- Nienawidzę profesorskiego drylu! Mają się za lepszych, a nie potrafią wytłumaczyć prostych rzeczy. O! Bura, część. Wybacz, ale cię nie zauważyłam.

- Wtapiam się w tło. - Obejrzała swoją sukienkę i kolor ściany za nią. - Nieumiejętnie - dodała szeptem.

- Zrobię coś ciepłego do picia. - Thomas zatarł ręce. - Czego się napijesz, Lilith?

- Herbaty.

- Popołudnie jest smętne i nudne. Może lekkiej kawy?

- Nie pijam kawy - odparła zawstydzona. - Poza tym emocji na dziś zapowiada się ciąg dalszy, więc...

- Rozumiem. Herbata.

Usiedli obok siebie. Mia popatrzyła na nich ciekawie. Thomas wniósł tacę i usiadł obok, powoli wlewając parujący płyn do filiżanek.

- No dobra, o co chodzi? Masz taką minę, jakbyś zaraz miała upaść - przygnaliła ją Mia.

- Ehe - wyrwało jej się bezwiednie.

- Oświadczyłem się dzisiaj dwa razy, ale przyjęła mnie dopiero po drugim razie - odezwał się głos obok.

Mia zastygła z otwartymi ustami. Jej pogodna mina uciekła gdzieś bezpowrotnie.

- Zarazisz ją swoim sztywniactwem - stwierdziła po chwili. - Powinna była nie przyjmować cię i za drugim razem. Może za czwartym zrobiłbyś to jak należy - skwitowała i na jej twarzy pojawił się uśmiech aprobaty.

- Zepsuł obie przemowy, ale nie byłem bez serca. Doceniłam, że wyłączył telefon.

Dziewczyna pisnęła przeciągle. Thomas wyciągnął notes z górnej szuflady komody. Usiadł i otworzył go na założonym przekładką miejscu.

- Zrobiłem wstępną listę gości. Termin pozwoliłem sobie zamówić wcześniej. Dwudziesty drugi. Menu również już ustaliłem. Musicie jedynie wybrać zaproszenia. Przyniosłem kilkanaście wzorów. Z naszej strony gości będzie czterystu.

Zakrzuszyła się. Koshe śmiał się z niej bezczelnie.

- To i tak okrojona liczba. Sala nie pomieści więcej niż siedmiuset, a trzeba doliczyć gości z twojej strony - wyjaśnił starszy pan.

- Kapitan nie ma za dużej rodziny. Jestem jedynie ja i kilkoro dalekich krewnych. - Posłała narzeczonemu miażdżące spojrzenie. - Kontrahentów po ostatnim posłał do diabła. Gdyby umiał, użyłby laleczek voodoo.

- Pełną listę gości muszę mieć jeszcze w tym tygodniu. Dziś mamy poniedziałek, a w piątek powinniśmy rozesłać zaproszenia. Kaligrafowanie zajmie mi dwa wieczory.

Siedziała nieruchomo z miną całkowitej klęski. Śmiali się z niej otwarcie. Nawet Thomas. Żadne z nich nie wiedziało, co działo się w jej duszy. Lęk. Była jak klocek z innej układanki, który ktoś chciał na siłę wpasować do tej.

Dwa dni później siedzieli w Norze na wspólnym, podwójnym fotelu. Czekali jak na wyrok. Popołudnie podobne do poprzedniego. Podzielili gazety między siebie. Nagle Prince zerwał się z fotela inwalidzkiego, który został u nich po jego ostatniej chorobie i robił furorę na imprezach. Kubek z kawą, który trzymał na kolanach, wylądował na podłodze.

Gazeta zatrzęsała się spazmatycznie. Odwrócił ją w ich stronę i popukał palcem w kolumnę matrymonialną, gdzie wołami widniały ich nazwiska. Przymknęła oczy.

- Co to jest? - wysuptał z czeluści przepony.

- Ogłoszenie - odpowiedziała.

Szczur popatrzył z zaciekawieniem i przestał oblewać sobie brodę mlekiem z płatków, które jadł, czytając książkę.

- Tu jest data ślubu! - oburzył się Włoch.

- Zgadza się - potwierdził Koshe.

Patrzyli na nich dość podejrzanie.

- Ślub jak wiele innych. Nazwiska z nazwiskiem. Poza tym znamy się i pracujemy razem, więc drażnić mnie może oficjalnie. - Uniosła ramiona. - W czym problem?

Cisza.

- W niczym. Po prostu to jak wieść o ślubie homoseksualistów w Watykanie - podsumował Ron.

- W końcu - mruknął Borys i wrócił ostentacyjnie do czytania. - Moje gratulacje. Oby żyło się wam szczęśliwie i zgodnie.

- Dziękujemy - odpowiedziała wesoło.

Po pokoju poszedł pomruk gratulacyjny, ale bardzo niemrawy.

- Dajcie spokój. Przecież mnie nie zje - oburzyła się.

- My się martwimy o niego. Zdrowy chłopina był. Pił, bałował, bałamucił. A tu ciach i sam sobie pętlę małżeńską zarzucił na szyję. I to z kim? Z największą megierą, jaką znam.

Dakota biegał szybko, ale ona była lżejsza. Podcięła mu kolano i padł w kuchni pod lodówką. Kibicowali mu, ale przydusiła go do ziemi.

- Odszczekaj to.

Zacharzał brzydko. W tym czasie Klecha zdążył już wymienić kilka wymownych spojrzeń ze świeżo upieczonym narzeczonym. Nie był zadowolony, ale nic nie mógł zrobić. Po adopcji nie była już tylko ich kumplem, stała się towarem na rynku szlachty. Koshe zrobił jej przysługę. Nie musiała być z kimś obcym. Z tego co słyszał o wyższych sferach, wnioskował, że była to zgniła kasta. To, co wykrzyczała im prosto w twarz podczas przesłuchania, było prawdą. Koshe był jedynym, który będzie ją dobrze traktował. Tego był pewny. Nieme przyzwolenie zostało dobrze odebrane. Ale nie mógłby w tej chwili powiedzieć, że jest szczęśliwy. No cóż. Nauczył się myśleć o sobie bez niej, nauczył się myśleć o niej z nim. Kwestia czasu.

- Odszczekaj, bo wyleję na ciebie zimne mleko. - Wyjęła z lodówki karton.

- Złaż, łaskoczesz mnie, głupia. - Zaśmiał się gdzieś nad podłogą.

Uwolniła go w końcu i poszła umyć ręce do łazienki.

- Natan, pralka skończyła wirować!

Koshe wszedł za nią i stojąc za jej plecami, włożył ręce pod wodę i opłukał jej dłonie z mydła. Powoli nasunął pierścienek na palec. Był niewielki z drobnym kamykiem pośrodku.

- Mogłem wybrać większy, ale nie chciałybyś go nosić.

- To prawda. - Popatrzyła na mokry przejrzysty kamień na tle obtłuczonej umywalki.

- Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która gardzi moimi pieniędzmi.

- Nieprawda - zaprzeczyła i gwałtownie przeniosła wzrok na postać w lustrze, która stała za nią.

- Nie gardzę nimi, po prostu żyłoby się nam łatwiej, gdybyś i ty miał tyle co ja. Nikt by się po nas niczego nie spodziewał, niczego nie oczekiwał. Byłoby prościej.

- Nieprawda. Nie oszukuj się. I tak nie będzie łatwo.

- Wiem.

- Ale musi się udać. Już nie ma odwrotu.

Pokiwała głową.

- Chodźmy, odwiozę cię do domu.

Nie mogła spać kolejny dzień z rzędu. W ciemności pierścienek iskrzył się na jej palcu. Mia dzwoniła dwa razy na plotki. Umówiła się też z Marią na ziemski wypad na tydzień przed ślubem. Potrzebowała pomocy w zakupach i oddechu od tego całego zamieszania. Ojciec chodził jak nieprzytomny. Wciąż ktoś dzwonił, ruszyły interesy, znaleźli się odbiorcy zalegających półki towarów. Nazwisko narzeczonego córki otwierało wiele drzwi, nawet te do tej pory zamknięte. Atmosfera pośpiechu nie sprzyjała jej nielicznym momentom szczęścia.

Wyświetlacz telefonu rozjarzył się obok na poduszce. Odebrała wiadomość. „Po ceremonii nie będziemy mogli nigdzie wyjechać. Terminy mi nie pozwalają. Co powiesz na podróż przedślubną?” Pisnęła cicho.

- A dokąd?

- Szybka jesteś. Europa. O tej porze jest pięknie. Ciepło i...

- Francja.

- Może być Francja.

- Kiedy wyjazd?

- Pojutrze. Sprawdź pogodę i pakuj walizki.

Usłyszał przeciągły pisk w słuchawce. W końcu coś mu się udało.

Cztery dni bezpiecznego włóczenia się po uliczkach i placach, mostach i parkach. Zameldowali się w hoteliku na uboczu. Mały pokój, łazienka, widok na rzekę. Wynajęli samochód i jeździli wszędzie, gdzie mogli. Uspokoił się, odprężył. Była dobrym kompanem. Nie narzekała, że za ciepło albo za zimno. Nosila swój wypchany plecak, miała energii za dwóch i była wszystkiego ciekawa. Gdy szli ulicą orbitowała wokół niego. Dwa razy nawet trzymali się za ręce i nie było tak źle. Obchodzili wszelkie możliwe kramy i stragany. Nie odmawiał sobie jedynie porannej gazety i kawy. Reszta była wypełniona jej pomysłami.

Ostatniego wieczoru siedział na parapecie, jedną nogą wsparty o chłodne deski podłogi. Było gorąco i otwarte okna nosły chłód od rzeki. Zasnęła, gdy tylko dotknęła głową poduszki. Kilometry w nogach, świeże powietrze, dobra kuchnia. Kolację zjedli w hotelu. Wywołano go do telefonu, gdy kończył pić whisky. Przy kontuarze stała dziewczyna, która wyraźnie go podrywała. Przez lata nauczył się dwóch opcji: albo to wykorzystywać, albo nie zauważać. Tej okazji widzieć nie chciał. Nie było mu też na rękę, że

Lilith na to patrzy. Nie chciał, by coś się popsulo między nimi. Ten stan, choć chłodny i ostrożny, odpowiadał mu. Potrzymali się za ręce, kilka razy siedzieli bliżej siebie, niż bywało do tej pory. Gdy wrócił do stolika, była wyraźnie smutniejsza. Podsumowując jej wszystkie tiki i nerwowe gapienie się wszędzie gdzie popadnie, wywnioskował, że jest najnormalniej w świecie zła. I choć nie miała powodu, trzeba było zakończyć ten ostatni dzień jakimś miłym akcentem. Poprowadził ją do holu i kazał na siebie poczekać. Poprosił rozanieloną dziewczynę o telefon i wybrał numer. Widział dokładnie jej minę w lustrze nad kontuarem. Siedziała oparta o poduszki fotela, jakby ją palił żywym ogniem. Odłożył słuchawkę.

- Chciałbym jeszcze poprosić szampana do pokoju. Kochanie, chcesz coś poza tym? - Odwrócił się do niej.

Minę miała nieodgadnioną.

- Nie, myślę że sam trunek wystarczy. Odpowiedni, by świętować.

- Pokój trzydzieści cztery.

Weszli do windy.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. - Pokiwała głową.

- Byłaś zła.

- Przywykłam.

- A ja nie. - Wcisnął guzik.

- Miałeś sporo czasu. Ciągle jakaś cię zaczepia.

- Mówiłem o tobie.

Skrzywiła się.

- A do czego ty miałbyś się przyzwyczajać?

- Kelner zajął ci w dekolt i stał o chwilę za długo, gdy się do niego uśmiechnęła. Facet w kawiarni, ten, który siedział naprzeciwko, pokłócił się o ciebie z żoną. Dostał gazetę pod stołem.

Wyszli z windy i szli korytarzem do drzwi.

- Przewodnik w muzeum zajął ci pod spódnicę, gdy zśliśmy po schodach. Dał znać koledze po fachu, którego mijał, że jest na co popatrzeć. Goguś w wypożyczalni sprzętu obok miejsca, gdzie nurkowałem, zabawiał cię nie dla zabicia czasu. Napoje zwykle nie są darmowe, a dziś nie było tak ciepło, żeby paradować w samych spodniach. I to tylko z czterech ostatnich dni.

Otworzył drzwi.

- Nic takiego nie zauważyłam.

- I właśnie do tego muszę się przyzwyczaić.

Wypiła dwa kieliszki i zasnęła z jeszcze mokrymi włosami. Jutro nie zwróci uwagi na ich posplatane końce ani na to, że ułożyły się nie tak jak trzeba. W łazience jedynie się myje i nie służy jej do trwania przed lustrem, by wymyślić nową fryzurę. Lubi też proste ubrania jak choćby koszula nocna, którą ma na sobie. Zwykła, biała, przed kolano. Wysunęło się spod kołdry. Westchnął i wypił do końca to, co zostało w kieliszku.

Do tej pory jego kobiety były wyrafinowane i strojne. Maria na przykład miała na sobie zawsze najlepszą bieliznę, choćby pod dzinsami. Same majtki kosztowały tyle, że Bura ubrałaby się za to od stóp do głów. Nie pozwoliła sobie kupić niczego. Postanowił z tym poczekać, nie naciskać. Sama zmieni zdanie, gdy przyjdzie jej bywać na salonach, przyjęciach, balach. Nienawidził tego, ale w pewnych miejscach bywać musiał. A gdzie on tam i ona.

Sam łapał się za głowę, jak do tego doszło, że to właśnie ona śpi dziś z nim w tym pokoju. Dolał sobie szampana i cicho wsadził go z powrotem w lód. Usiadł na łóżku obok. Przezornie wziął pokój z dwoma łózkami. Widział jej ulgę, gdy weszli do środka. Czy powinno mu to dać do myślenia? Nie rozmawiali na ten temat. Nigdy nawet się o niego nie otarli. Gdy Borys zagał o dzieciach i obowiązkach wobec umowy małżeńskiej, jaką w ich świecie podpisywała szlachta podczas ceremonii, oznajmiła, że jest jeszcze in vitro. Któres z nich na pewno oszalało. Z dnia na dzień dał się porywać coraz głębiej w to szaleństwo.

Stali już niewidzialni dla ludzkiego świata i czekali na odbiór portalu. Przyglądała mu się od dłuższej chwili. Nagle pociągnęła go za kłapy marynarki w dół i pocałowała w policzek.

- Dziękuję. Było wspaniale.

- Cieszę się.

Zanim puściła go z powrotem, zrobił to w zupełnym odruchu, bo dlaczego nie? W końcu to nikt obcy i są oficjalnie parą. Spokojnie i niespiesznie. Nie była obojętna, co mile go zaskoczyło. Wystraszona, ale wciąż delikatna. Obudziły ich dźwięki zza otwartych drzwi windy. Usłyszeli gwizdy i oklaski. Patrzyły na



niego zamglone oczy. A więc jest lepiej, niż myślał. Wyszli czym prędzej z rozweselonego tłumu. Ostatnie co zobaczył to rozbawione oczy Kazteza, który przyglądał się im z podestu dla centralek.

Spod budynku odebrał ją Thomas. Koshe był umówiony za pół godziny gdzieś w Mieście. Zanim odszedł, dotknął jeszcze jej policzka i poprosił, by została dziś u niego do obiadu, a potem pójść do chłopaków. Kupiła im sporo pamiątek. Wsiadła do samochodu i Thomas ruszył z miejsca. Gdy stali przed wyjazdem, starszy, nienaganny pan posłał jej ciepłe spojrzenie.

- Jak sądzę, była to przyjemna podróż.
- Bardzo. Widziałam mnóstwo pięknych miejsc. No i zobaczyłam morze.
- I zakończenie też było miłe.
- Było - odpowiedziała czerwona po czubki uszu.

\*\*\*

Tak jak zakładał, najbardziej ucieszył się Prince z domowej roboty lizaków, których kupiła cały worek. Drugi w kolejności był Klecha, bo dostał nowiutką sutannę. Mina sprzedawcy, gdy ją wybierała, została uwieczniona na zdjęciu, które cyknął ukradkiem. Wieczór spędzili na spokojnym podsumowaniu tego, co się działo, gdy ich nie było. Odwioził ją do domu i wrócił do siebie. Było późno. W salonie paliła się lampka. Rozpoznał perfumy. Stała tyłem do okna.

- Myślałam przez cały ten czas, że to dlatego, że jestem z rodziny o niższym statusie. Ale Lilith jest jeszcze niżej w hierarchii mięsa na wydaniu, a zenisz się z nią. Do tego w takim tempie, jakby była w ciąży. Podobno oświadczałeś się dwa razy. Mia jest zachwycona jej uporem.

Marynarkę przerzucił przez fotel i nalał sobie szklaneczkę. Przyjrzał się zawartości i przezornie dolał raz jeszcze. To będzie ciężki wieczór.

- Ona jest za młoda. Daruj, ale całkowicie do siebie nie pasujecie. Zranisz ją wcześniej czy później. Jesteś zimnym draniem, a ona jest słodka. Nawet teraz, gdy... wciąż uważam, że jest taka wesolutka, zadziorna. To jest fajna, poukładana dziewczyna. Nie wygląda na masochistkę.

- Nie jest nią. Na razie układa się nam całkiem dobrze.
- Dlaczego?

Pytanie zawisło nad jego głową jak kowadło w kreskówkach.

- Bo nie byłbym dla ciebie dość dobry.

- To chyba ja powinnam o tym zadecydować, nie uważasz? Odsuwałeś się ode mnie raz za razem. W końcu stałeś się zimny i nieprzystępny. Co powiedziałaś, gdyby to usłyszała? Dla mnie nie byłeś dość dobry, ale dla niej jesteś akurat?

To nie tak, ale blisko. Ona niczego ode mnie nie oczekuje ani ja od niej. Działo się ostatnio tyle z jej udziałem, że poznałem ją na wskroś. Jej reakcje. Upór, dumę, ciężką pracę. Niczym mnie już nie zaskoczy.

- To znaczy, że robisz to, bo ją znasz, a mnie nie? Zaraz. - Odwróciła się szybko. - To nie tak. Mnie też znasz, tylko że coś ci się nie spodobało. Co ja takiego zrobiłam? Czego nie można mi wybaczyć? Jaka to zbrodnia przeciwko tobie?

Wychylił do końca i skupił się na dnie, po którym toczyła się ostatnia kropla. Właśnie do niego dotarło, że to, co zrobiła Maria, było niczym w porównaniu do ambicji Burej. Argument tak żaloszny, że nawet nie śmieszny. Trzeba się zebrać na odwagę i w końcu to przyznać. Nigdy nie chodziło o ich ambicje, pragnienia czy marzenia. Zawsze chodziło o niego. To on nie pasował.

Odstawił szklanekę i wstał. Miała łzy w oczach, a przecież zrani ją jeszcze bardziej. Jedno cięcie szczerości.

- Nigdy nie usłyszałaś ode mnie tych słów, bo ich nigdy nie było.

Zanim wyszła, widział jak walczy. Co chciała zrobić, nie wiedział, ale czuł, że nie byłoby to nic dobrego. Gdy zamknęły się za nią drzwi windy, Thomas wyszedł z ukrycia. Usiadł wygodnie.

Zwykle rozmawiali o wszystkim. Było tak, od kiedy u nich zamieszkał. Od dzieciennych lat. To Thomas ubierał go na pierwszą randkę, to on słuchał, gdy opowiadał o swoich marzeniach. Był rodzicem idealnym. Wypychał go do świata, pomagał w wyborze studiów, rozwijał w nim chęć pasji, popierał go we wszystkim. Był przyjacielem i powiernikiem. Szarą eminencją w jego życiu.

- W jednym miała rację. Gdyby Lilith to usłyszała, nigdy nie zgodziłaby się na tę farsę.

- To dlaczego tyją tak popierasz? Przed chwilą widziałeś moją stronę przyjemniaczka i nadal jesteś za? Ba, ty nawet nam kibicujesz.

Zaśmiał się znajomo. Kojąco.

- Zdaję się na nią. Nauczy cię wszystkiego, co o życiu wiedzieć powinieneś, a czego najlepsi profesorowie nie wtłoczą ci do głowy. To będzie bolesna i ciężka nauka. Ale uda jej się.

Następnego dnia mieli akcję, jakich wiele. Okrążyli budynek i czekali na okazję. Było gorąco i parno. Przedmieścia Brazylii, duszne i śmierdzące. Od dawna przestała wnikać w to, w jakim kraju czy mieście są. Budynek miał wejścia i wyjścia, okna i dach. To wszystko, na co zwracała uwagę. Prince podśpiewywał w słuchawce.

- Bura, masz dwie po swojej stronie. - Młasnął lizakiem.

- Słyszałaś. Rusz dup... - zaciął się.

Klecha wyszczerzył się do granic możliwości. Szczur zajęczał przeraźliwie czymś, co nijak nie przypominało śmiechu. Koshe walnął hełmem w ścianę i wyszeptał kilka ważnych słów, które z pewnością nie były Inwokacją.

- Wiem, skarbie, jak martwisz się o moje atrybuty, ale spokojnie. Wstawiłam dwie dwudziestki na rogu, więc reszta załogi niech lepiej spierprza za zachodnią ścianę. Pięć, cztery...

- Kurwa - wysapał w biegu Ron.

- Trzy, dwa...

Usłyszeli zgrzyt zardzewiałego metalu, a potem rozbłysło. Dwie salwy, które opadały powoli.

- Załatwiłaś wszystkie sześć. Czym ty je wabisz? - odezwał się Pablo.

- Zwęszyły głupotę - syknął Koshe, idąc w kierunku zaułka.

- Nie, bo wtedy biegłyby w twoją stronę - odcięła się.

Rozejrzał się. Nigdzie jej nie było. Po chwili kłapa kontenera podniosła się i Bura wygramoliła się z niego powoli.

- Wskoczyłaś do śmietnika? Błeee... - skomentował Szczur.

- To nie śmietnik tylko zrzutka z fabryki. Robią tu artykuły papierowe. - Otrzepała się ze ścinek.

Prince, zabierz nas stąd, zanim mamusia i tatuś złączą się gryźć - mruknął Dakota i oparł się o powyginany kontener. - To źle wpływa na moje samopoczucie. Nie wiem, które kocham bardziej.

- Iiiii akcja! - Szczur machnął ręką.

- Co się tak krzywisz? Pies zdychał w tych kartonach. Postawiłam dwie obok niego, zbiegły się i czekały. Zrobiłam to, co zwykle.

- Tylko, że nie jest jak zwykle.

- A niby co się zmieniło?

Ściągnął jej rękawiczkę i podniósł przed oczy rękę z pierścionkiem.

- Spokojnie, jak mi ją urwie, jubiler przyjmuje zwroty. Robię to, czego sam mnie nauczyłeś.

- Szlag mnie zaraz trafi.

- Dajcie sobie buzi i wracajmy do domu - mruknął z papierosem w zębach znudzony Natan. - Spaghetti, pospiesz się z tym odkurzaczem, bo będzie rozwód, zanim doszło do ślubu.

- Czy mogłabyś odrobinę - ugrzęzło mu w gardle - bardziej uważać. Byłbym ci za to niezmiernie wdzięczny.

- Mogę, oczywiście. Na przejściu przez jezdnię zamiast spojrzeć dwa razy w prawo i raz w lewo, dołożę dodatkowe w lewo. Zgoda?

- Trzy świnki, dwie świnki, jedna świnka...

Od tego dnia rozmawiała jedynie z Mią i Thomasem. Urok, pod jakim była podczas ich wspólnej wyprawy do Francji, znikł bezpowrotnie. Ostatni tydzień przed ślubem spędziła na ziemi. Maria w ostatniej chwili wymówiła się napiętym grafikiem i przeprosiła, że nie będzie mogła jej towarzyszyć. Potrzebowała jednak kobiecej rady, więc zaprosiła Barbarę, dawną szefową Koshego. Zgodziła się i było bardzo przyjemnie. Dużo rozmawiały, chodziły po sklepach, a Barbara okazała się bardzo miłą i bezpośrednią osobą. Plotkom nie było końca. Wieczorami chadzały po knajpkach i popijały do lekkiego rauszu. Na miejsce ich wypadu Barbara wybrała Pragę. Znała ją dobrze i pokazywała jej ukryte uroki, o których nie piszą w przewodnikach. Wieczór przed godziną zero odważyła się zadzwonić do przyszłego małżonka.

- Jesteś z resztą mrowiska?

- Tak.
  - To włącz głośnik.
- Słyszała, jak kładł telefon na stole.
- Cześć brygada. Co słycać na wieczorze kawalerskim?
  - Nie wiem, o czym mówisz? - skomentował Ron.
  - Czy ja z wami pierwszą godzinę spędzam? - Zaśmiała się. - Stoisz przy wieży i czekasz, aż skończę rozmawiać, żebyś znowu mógł włączyć ją na fuli. Do tego widziałam, jak dwa tygodnie temu Szczur przywłócił do garażu ładną satynowaną rurę. Lubi majsterkować, ale pewnie nie będzie z tego dzwonów rurowych. Dołączając do tego śruby, które leżą na lodówce i podest, który Prince z zacięciem godnym dekoratora wewnątrz obił czerwoną zasloną, życzę miłego przedstawienia.
- Borys ryknął gdzieś w tle.
- Dzwonisz, żeby nas zawstydzić? - spytał spokojnie Pablo.
  - Wstyd? Co ty możesz o nim wiedzieć? Właśnie wracam z salonu piękności. Wydepilowali mnie w takich miejscach, o których nawet moje lustro nie wiedziało. No więc? Kiedy zaczynacie?
  - Za pół godziny, o ile znajdziemy młotek i przecinak i odetkami kibel, bo pasjonat makaronu z serem, pozbył się całej miski naraz - warknął z wyrzutem.
  - Odykacz jest pod wanną. Leży tam od ostatniego razu. Koshe, mam do ciebie jedno pytanie.
  - Tak?
  - Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Chłopcy popatrzyli po sobie. Wydało się. Wygadała się albo Maria, albo tak ktoś coś chlapnął.
- O czym? - spytał ostrożnie.
  - O tym na przykład, że mieszkasz w tym wielkim domu, z którego się ostatnio śmiałam. Pokazałam ci zdjęcie w gazecie. W sumie wiesz jak wygląda, należy do twojej rodziny od pokoleń.
  - Następnym razem, gdy przejedziemy się przez Miasto, pokażę ci wszystkie, co do jednego. Umowa stoi?
  - Stoi. No dobra, panowie. Więcej was nie szpieguję. W sumie to mój wieczór panieński dopiero się zaczyna. Idziemy z Barbarą do bardzo nieprzyzwoitej dzielnicy. Nie chcę wam psuć zabawy, ale wychodzi na to, że wy macie jedną rurę na kilku. Ja zamówiłam sobie wczoraj osobistego tancerza. Takie zwierzę o muskulaturze barbarzyńcy. Dostaniemy nawet oddzielny pokoiik. Kończę, bo muszę jeszcze rozmienić pieniądze. Na zdjęciu był ubrany... a właściwie nie był, więc będę musiała dobrze poszukać kieszeni, by mu je gdzieś wetknąć. Hm. Ciekawe, co robi, gdy wrzucę mu tam drobne? Dobranoc, miłego show.
- Rozłączyła się, zanim zdążył coś powiedzieć. Klecha wypuścił dym.
- Podniosła ci ciśnienie. A mówiłaś, że nie umie wydawać na siebie pieniędzy? Może jedynie umiejętnie je inwestuje?

## *Ivocato*

Nic mu nie wychodziło. Mucha nie dała się przyzwoicie zawiązać, szarfa z Inwokacją rodziny i jej pieczęcią, ciągle przesuwiała się w bok.

- Gdybym cię nie znał, uznałbym, że się denerwujesz - uspokajał Thomas. - Chodźmy, już czas.

Ceremonia odbywała się w budynku sądu. Nie mieli tu żadnych bóstw ani kościołów. Nikomu nie były potrzebne. Mało było w ich świecie męczenników religijnych. Limuzyna podjechała pod sąd. Zebrał się spory tłum gapiów, których odizolowano barierkami.

- Jesteśmy kwadrans przed czasem - oznajmił Thomas i wysiadł.

Otworzył drzwi Mii, jemu otworzył kierowca. Sala była inna niż te znane ludziom. Goście siedzieli nieco poniżej poziomu podestu, po którym piał się w górę. Około pięciuset par oczu patrzyło na niego. Przywykł do bycia na świeczniku i nie wiedzieć czemu był wściekły. Wczorajszego wieczoru nawet nie udało mu się upić. Nora pełna rozochoconych panienek i nic. Swoją kobietę bluszcz przekazał Ronowi, a sam poszedł do pokoju Pabla i próbował się do niej dodzwonić. Nie odbierała.

Podszedł do skraju podestu tuż przy kamiennym stole urzędnika. Kaztez przestępował nerwowo z nogi na nogę.

- Nie uciekła, to chyba dobry znak - zachrypiał pełen lęku.
- O której wróciła?
- Jakies dwie godziny temu. Poszła się przebrać i czesać, i co tam jeszcze. Nie wiem, nie zaglądałem.
- Mówiła coś?
- Tak - odpowiedział ciekawy jego ciekawości.
- Co?
- Że Czesi to bardzo ciekawy lingwistycznie naród. Mają giętkie języki.

Zacisnął szczęki. Nie wiedział, kiedy stanęła obok niego. Obudził go melodyjny głos mężczyzny stojącego za stołem. Czytał tekst przyrzeczenia.

Nie dziwiła się temu, że podpisywało się to przyrzeczenie, zamiast mówienia „tak” po każdym wersie. Gdyby trzeba było potwierdzać te słowa, żadnej normalnej kobiecie nie przeszłyby one przez gardło. Tekst mówił jedynie o szacunku, nie o miłości. Szlachta zwykle łączyła się w pary między sobą i śluby aranżowano jeszcze w kołyskach. Do tego jeden z podpunktów dokładnie określał, do jakiego czasu po zawarciu małżeństwa ma się pojawić pierwsze dziecko. Koshe wynegocjował dwadzieścia lat. Do zwyczajowych pięciu udało mu się wytargować aż piętnaście. Z tego co jej powiedział, argumentem miały być jej studia, których jeszcze nie zaczęła. On podpisał się jako pierwszy. Wyjęła mu pióro z ręki i złożyła podpis we wskazanym miejscu. Urzędnik napuszonym tonem uznał związek za aktualny. Koshe podał jej rękę i wyszli z sali we wtórce oklasków i życzeń.

Thomas usiadł obok niego. Obok niej usiadła Mia.

- Można przyciemnić szyby? - spytała kierowcy.

Gdy zaszła na nie granatowa zasłona, zaczęła wachlować się welonem.

- Ciężko w tym oddychać. Musieli w ostatniej chwili przerabiać szarfę. Nie przewidzieli mojego rozmiaru.

Suknia była z białej koronki. Odsłonięte ramiona, długi, ręcznie tkany welon.

- Co? - Obejrzała się dokładnie. - Poszły gdzieś szwy?

Nie odpowiedział, zamiast tego spytał:

- Jak tam Czechy? Podobały ci się?

- Tak. Bardzo rozrywkowy naród. A jak tam konstrukcja uciechy? Nie rozpadła się od natłoku obsługujących.

- Nie. Ustaliliśmy kolejność wedle rozmiarów stanika. Od C wzwyż.

Wiedział, że ma na tym punkcie kompleksy, a i tak to powiedział. Nauczył ją nie opuszczać gardy. Trudno. Skoro gra nieczysto, ona też nie musi.

Kierowca zawrócił przed wejściem do sali. Koshe wysiadł i wprowadził ją na środek. Ich wesela również różniły się od ziemskich. Nie było tańców, choć była muzyka. Kobiety i mężczyźni siadali po dwóch końcach sali. Pozwalano jedynie na dyskretne znaki. Zanim kobiety zabrały ją do siebie, mógł jedynie odsłonić welon. Zastygł z rękami w materiale. Wiedział, że może wyglądać ładnie. Widział ją na balu maturalnym, ale nie przypuszczał, że może wyglądać aż tak. Ją pociągnęła na miejsce roześmiana Jane, a jego Thomas.

Stoły ustawione były zygzakami, tak by pan młody widział pannę młodą. Dziewczyny nie pozwoliły się jej nudzić. Plotkowały i jadły niezdrowe, tłuste przekąski. Thomas jak zwykle spisał się doskonale, przygotowując uroczystość. Kobiety, wino i jedzenie w każdej rzeczywistości były nierozłączne. Po drugiej stronie siedział nabszyczony i nieobecny mąż. Z jego miny wynikało, że coś jest bardzo nie tak. Wyszczył koleją szklaneczkę i bez słowa gapił się na nią.

- Zły pomysł. Bardzo zły pomysł - odezwał się Ron znad talerza.

Co, zły pomysł, co zły pomysł? To jest jego żona od jakichś trzydziestu minut. Ma prawo coś tam sobie myśleć - skwitował Szczur. - Choć to niemoralne. Jest jak kumpel, siostra. Widzenie w niej kobiety nie jest normalne.

- Nikt, kto widział twoją bieliznę, nie potraktuje cię inaczej niż dalekiego krewnego - podsumował Japończyk, dzieląc stek na nieprzyzwoicie drobne kęsy.

- Ron ma rację. To było w zamierzeniach połączenie rodzin i niech tak zostanie - odezwał się posępny Natan. - Jeśli teraz zmienisz zasady, wszystko może się poplątać.

Koshe spojrział na zegarek. Minęła dopiero godzina, jeszcze pięć do dwunastej. Odetchnął głębiej.

Zanim o północy odjechali żegnani przez tłum, zdążył wypić pół butelki whisky, czegoś, co popijał Thomas drugie tyle, i wciąż był trzeźwy. Oparła się wygodniej i zamknęła oczy.

- Zmęczona?

- Nie, ogłuszona. Tylu plotek naraz nie jestem w stanie przyswoić.
- To był ostatni barbarzyńca w twoim życiu.
- I twoja ostatnia impreza z panienkami.

Wyzwanie strzeliło w półmroku limuzyny. Po półgodzinie jazdy dotarli na miejsce.

- Gdzie jesteśmy?
- W domku, który stoi na uboczu i nikt nam nie będzie przeszkadzał.
- Nie przeszkodziłyby mi nawet cztery kilotony zrzucone obok. Zasnę od razu.

Weszli do środka. Była to niewielka posiadłość położona gdzieś w ponurym lesie. Ich kierowca poszedł do kuchni, a on wskazał schody. Człapała po nich powoli. Weszła do sypialni i zupełnie obojętna na wielkie łóżko stanęła przy toalecie. Widziała w lustrze, jak Koshe zdejmując muchę, wypina spinki z mankietów i rozpina klamrę na włosach. Sięgnęła po grzebień welonu. Chwycił ją za nadgarstek.

- Pozwól. Ja to zrobię.

Był inny. Widziała, ile wypił, ale to nie było to. Widziała go już pijanego. Welon odrzucił w bok i bez słowa zabrał się do rozplatania włosów. Szpilki, jedna po drugiej, padały na szklany blat. Palcami rozczesywał pokręcone pukle. Gdy skończył, jego ręce wolno objęły jej szyję i przesuwały się niżej.

- Boisz się mnie? - spytał cicho.
- Tak. To chyba normalne. Od dziś nikt inny jak tylko ty może mnie zranić.

Mógł ją spokojnie objąć w tali. Położyła rękę na jego dłoni.

- Przepraszam. Powinam była być ostrożniejsza.

Zadrżała.

- Ostrożniejsza?

Palcami drugiej dłoni przejechała po dziąsłach. Na koniuszkach zalśniła jasnorożowa rozmyta krew.

- Wypiłam jedynie szampana na koniec. Nic nie jadłam i nie piłam, ale szampan... Powinam być rozsądniejsza. Przepraszam.

Krew chlusnęła z ust na koronkę i ich złączone ręce. Przez moment świat zakręcił się na boki. Ciemność.

Wpadli do szpitala. Koshe stał oparty o przeszklenie w korytarzu. Po sali biegali ludzie i Jane. Lilith leżała na łóżku. Ktoś ją o coś pytał. Nagle podniosła się i wykręciła w bok. Krew chlusnęła na podłogę. Miała w niej unurzane włosy. Podniosła nieobecne spojrzenie na szybę, w której stał. Ktoś zaciągnął rolety. Odwrócił się w stronę chłopaków. Doszedł do nich Thomas i zapłakana Mia. Prince przechwycił ją i odeszli w stronę łazienek. Nie potrzeba było słów.

- Nie możemy przesłuchać takiej liczby gości. Kieliszek z tą substancją został zabrany tuż po waszym wyjściu. Nie znalazłem śladów niczego na widelcach, serwetkach czy kwiatach. To było w szampanie - odezwał się Thomas.

Co mam teraz robić? Umrze, jeśli nie będziemy wiedzieli, co to było. To mógł zrobić każdy. Stryj, inni członkowie klanu, ci, którym coś przez nią nie wyszło, ci, którym nie wyszło coś przeze mnie. - Westchnął ciężko. - Nie ma sensu szukać sprawcy. Lista niedoszłych morderców sięga jakiegoś tysiąca osób. I to tylko moi wrogowie. Ona, choć jest tu tak krótko, postarała się o własnych.

Dopiero teraz zobaczył teścia. Twarz kapitana była równie biała, jak jego włosy.

- Cokolwiek to było, jedynie wypaliło jej rany w przelyku. Da się naprawić - oznajmiła Jane, zdejmując maseczkę. Jej fartuch był cały we krwi. - Ale to potrwa.

Odetchnął z ulgą i odwrócił się do szyby. Była na niej zakrzepła krew. Krew, którą miał na rękach, koszuli, spodniach, butach. Telefon, który trzymał zaciśnięty w pięści, był cały nią oblepiony.

- Teraz jest na bloku. Skończymy za jakąś godzinę.

- Odwiozę Mię i przywiozę ci ubranie - odezwał się Thomas ze stoickim spokojem.

Chłopcy siedzieli z nim do rana. Przez okno można było jedynie patrzeć, jak pielęgniarka myje nieprzytomnej włosy.

- Nie będzie mogła mówić przez jakiś czas. Dwa tygodnie i wszystko wróci do normy. - Jane poklepała go po ramieniu. - Mam nadzieję, że ta śmierć będzie jej ostatnią.

Do szpitala przyjechał po nią Thomas. Po tygodniu kroplówek chciało jej się jeść. Nie mogła doczekać się zupy, o której opowiadał przez całą drogę. Wjechali w las.

- Gdzie jesteśmy?
- W parku.

- W parkach nie rosną grzyby. Powiedz, że to tylko taki długi podjazd do małego domku na wsi. Wiesz, psy, koty, zaprzyjaźniona wiewiórka.

- Niestety.

Za lasem przywitały ich rozległe francuskie ogrody i sztucznie wypiętrzone ponad zieleń tarasy. To nie był dom, ale pałac. Królowa Anglii by się nie powstydziała takiego M.

- Jezu. Przecież on ma prywatną Białą Damę. Albo i dwie.

- Tylko nie mów tego przy nim. Bardzo się starał, żeby ci się spodobało.

- Kazał wypolerować srebra rodowe?

- Nie. Odmalował całe skrzydło. Czyli jakieś cztery tysiące metrów kwadratowych.

Na widok służby stojącej przed wejściem schowała się głęboko w fotelu.

- Thomas, ja sobie nie poradzę. Wybieram telefon do przyjaciela.

- Przywykniesz.

- Nie umiem kierować ludźmi. Matko. Jest ich z dwadzieścioro.

- Nie musisz nimi kierować, bo ja to robię. Wsiadam i uprzedzam, że zaraz otworzę ci drzwi.

Spodziewają się kobiety godnej nazwiska.

- Wolę już trzy Ośmiornice w sytuacji bez wyjścia.

- Wychodzę.

Wysiadła na sztywnych nogach. Powietrze było chłodne, choć dzień słoneczny. Między ludźmi stojącymi w szeregu kręcił się mały chłopiec. Machnęła na niego ręką.

- Jak ci na imię?

Malec o zadartym nosie wsadził ręce do kieszeni.

- Wiktor.

Wyglądał na jakieś pięć lat.

- Bardzo ładne imię. Co tu robisz?

- Czekam na bardzo ważną panią. Tak mi powiedziała mama.

Ktoś w rzędku westchnął wyraźnie.

- E tam. Tu nie przyjedzie nikt ważny. Nikt, poza mną.

- Nie wyglądasz na ważną.

- Bo nie jestem ważna. Pracujesz w tym wielkim domu? - Pokazała palcem na moloch, przed którego schodami stali.

- Tak. Pomagam tacie.

- A w czym?

- Mój tata pracuje w stajni.

- O! Macie tu stajnię?

- No pewnie. I mnóstwo koni. - Pokazał rękami jak mnóstwo.

- Ale konie są duże i silne. Czy ty mnie nie oszukujesz? Jesteś za mały, żeby pomagać przy koniach.

- Nie oszukuję. Czeszę je i noszę im wodę, i rozdaję smakołyki.

- Zrobimy tak. Jutro po śniadaniu spotkamy się dokładnie tutaj i zaprowadzisz mnie do stajni.

Pokażesz mi, co robicie, i poopowiadasz o koniach. Dobrze?

Pokiwał głową.

- A teraz przedstawiśz mnie innym? Znasz wszystkie imiona?

- No pewnie - oburzył się malec. - Chodź. - Pociągnął ją za rękę.

Podeszli do pierwszej w szeregu starszej kobiety.

- To jest babcia, to znaczy nie moja, ale wszyscy mówią na nią babcia. Jest kucharką i piecze pyszne ciasteczka. Kiedy nikt nie patrzy, wszyscy je podkradają - opowiadał konspiracyjnym tonem.

Zaśmiała się wraz z innymi. Thomas nie miał wątpliwości, że polubią nową panią.

Idąc korytarzem, liczyła drzwi. Ich pokój był czwarty. Weszła i zastała w nim męża.

- Cześć.

- Cześć. - Przyjrzał się jej uważnie.

- O co chodzi?

O nic.

Rozejrzała się po pokoju. Cztery metry w górę. W kominku wielkości drzwi płonął ogień, a właściwie buchał. Wielkie łoże, na które najpewniej będzie musiała się wdrapać, stało pod ścianą. Ciężki baldachim

wieńczył dzieło przepychu. Tort czekoladowy z bitą śmietaną i polewą z krwistych truskawek. Brakowało tylko wisienki.

- Chyba nie za bardzo tu pasuję. - Wydęła wargi i rozchyliła poły szlafroka.

Miała pod nim koszulę nocną w misie jak z pęczków, a każdy trzymał gwiazdkę. Pomachała stopami w puchatych bamboszach. Śmiał się, choć dyskretnie. Pomijając fakt, że już nawet Mia nie spała w takich piżamach, na tle drewnianej boazerii i antyków wyglądała jak postać z innej bajki. Brakowało jej tylko papilotów.

- Przebiorę się. A jeśli nic nie znajdę, podziurawię obrus, który leży na konsoli w holu. Będziemy udawać, że to ekstrawagancja.

- Daj spokój. Jest idealnie. - Zawrócił ją od drzwi.

- Którą stronę wolisz?

- Śpię od strony ściany. Ty śpisz od strony kominka. Noce są chłodne w tych celach.

Podeszła do swojej strony. Łóżko sięgało jej do pasa. Wdrapała się mozolnie, ślizgając się po śliskiej powierzchni narzuty. Padła gdzieś pośrodku.

- Przyznaję, że takiej metody jeszcze nie widziałem.

- Gdybyś mierzył tyle co ja, tobyś się nauczył.

Zatopiła się w masie poduszek. Zgasił światło i gdzieś z boku usłyszała dźwięk prysznic. Drzwi ukryte były za boazerią. Usnęła, zanim wrócił. Ostrożnie odsunął swoją część kołdry i ułożył się powoli na poduszkach. Wyciszył telefon i wcisnął go pod poduszkę. Zawsze go tam kładł. Wibracja wystarczyła, by go obudzić. Zgasił lampkę i nakrył się po same barki. Sztywny, nieswój, chyba nawet trochę zawstydzony. Odetchnął głębiej. Oby tylko to przetrwać.

Telefon obudził go koło drugiej. Odruchowo wyciągnął go spod poduszki.

- Koshe. Zamknijcie zawór. Z samego rana wezwijcie głównego inżyniera. Tak. Będę koło dziewiątej, powiedzmy. Niech na mnie zaczeka. Dostaje taką sumę za serwis, że poczeka choćby do wieczora. - Rozłączył się.

Coś poruszyło się pod jego bokiem. Landrynki. Przymknął oczy. Było źle, bardzo źle. Leżał na jej połówce, która zwykle była jego połówką, bo do tej pory miał do dyspozycji całe łóżko. Przytuliła się gdzieś głęboko pod kołdrą. Ledwo jej wystawał czubek głowy. Czuł nagie udo obejmujące jego nogę. Jej ręka leżała niebezpiecznie nisko.

- Liii, udusisz się. - Szturchnął ją lekko. - Hej.

Mruknęła i przewróciła się na bok, wysuwając się z pościeli.

Koszula podkasała się ponad biodra. Nad majtkami uwydatniły się dwa niewielkie wgłębienia. Zakrył ją i lekko docisnął miękkość kołdry. To pierwsza noc, więc co będzie dalej?

Kolejne dni nie przyniosły nic dobrego. Denerwowała go jej niezależność. Nie zgodziła się na ochroniarza, łąziła po posiadłości i widywali się tylko podczas akcji. Któregoś wieczoru wezwała kierowcę i wysztafirowana pojechała do swojej restauracji. Słuchał z rozszarganiem, gdy opowiadała mu o tym, co robi, bo jedną ręką szukał dokumentów, a drugą przytrzymywał laptop. Do tego chciała nauczyć się jeździć konno, wybrała dwa kierunki studiów i ciągle była zajęta. Śniadanie w biegu, obiad na stolówce i późny powrót do domu. Noce były torturą. Nie spała spokojnie. Koszmary, krzyki. Śnił jej się Magik i ktoś jeszcze. Prosiła, błagała, by wrócił. Nie wiedział, o kim mówi.

Po kolejnej nieprzespanej nocy miał oczy podkrążone jak po trzydniowej libacji. Dakota poleciał mu ją przelecieć. Cóż mógł zrobić? Nawet nie skomentował. Któregoś dnia ocknął się przed budzikiem i dziękował za to opatrności, w którą nie wierzył. Tulili się jedno do drugiego jak dwa zmarznęte misie na jej podkoszulku w kratkę. Ostrożnie odsunął ją od siebie. Nad ranem spała tak głębokim snem, że można było oddać salwę z armaty i też by jej nie obudziła. Musiał coś postanowić. Było sporo rad - jedne głupie, inne głupsze.

- Niech zajmie drugi pokój - podpowiedział Thomas.

- Ja nawet nie chcę o tym słyszeć. To kazirodztwo. - Szczur zakrył uszy.

- Wydaje się, że to tylko twój problem. Ona sypia jak dziecko - wydmuchał mu Natan znad gazety.

- Dziecko. Właśnie. Zrób jej dziecko - podsunął Ron i dodał po chwili: - Albo lepiej od razu dwójkę. Z domu nie wyjdzie, a noce spędzać będzie w pokoju dziecięcym.

- To urocze, że nie możesz zasnąć, gdy leży obok - westchnęła Mia.

- Kup większe łóżko - skwitował Pablo.

- Wstaw mniejsze łóżko, kup jej coś ładnego, nie pytaj, czy chce, tylko pokaż, jak może być. Na dzieci macie jeszcze termin. Miałaś dziesiątki kobiet, a z niepozorną Burą ma ci nie wyjść? - wyszydził Borys.

Ostatecznie zaprowadził ją do pokoju obok. Był mniejszy i jaśniejszy.

- Od dziś to twój pokój. Jeszcze jedna taka noc i skończę na leżance u psychologa. Do mnie ciągle ktoś dzwoni, ty śpisz niespokojnie. Tak będzie najlepiej.

O dziwo, przytaknęła. Wdrapała się na wysoki materac i poprosiła tylko, by zgasił światło. Nie tego się spodziewała. Mogłaby poczuć się urażona. Chociaż odrobinę. Koniec końców i tak nie zasnął.

Cztery miesiące później czuł, że celibat rzuca mu się na psychikę pulsującym cieniem. Wpadła wieczorem do jego pokoju. Mówiła coś szybko, ale nie słuchał. Instynkt mu się włączył. Ofiara poruszała się po sobie jedynie znanej trajektorii. Podeszedł i zatrzymał ją w biegu. Stała do niego tyłem. Bez słowa masował jej delikatnie brzuch pod bluzką. Trwało to do momentu, gdy zobaczył jej odbicie w lustrze nad kominkiem. Cios przyszedł zniemacka.

- Robisz to dlatego, że chcesz, czy dlatego, że uważasz, że tak trzeba?

Nie odpowiedział. Uwolniła się powoli z jego rąk.

- Dobranoc, Koshe.

Nie omieszkała trzasnąć drzwiami.

Zimny prysznic i pół butelki whisky przestały wystarczać. Romans z własną żoną coraz bardziej go nurtował. Albo była z kamienia, albo robiła mu na złość, za to, że wyprowadził ich ze wspólnej sypialni. Dostawał nerwowych tików i zaczął mówić przez zaciśnięte zęby. Rano bolała go szczęka. Sekretarz krył się po kątach, chłopaki uciekały sprzed oczu i jedynie ona była niczego nieświadoma. Nawet Kaztez zaprosił go raz do siebie. Postawił butelkę na stół i spytał ojcowskim tonem, jak się im układa. Koshe śmiał się histerycznie i długo. Odpowiedział, że to jego córka, więc niech się domyśli. Stary pomyślał chwilę i dostawił drugą. Większą.

Gwoździem do trumny była wizyta u jego drugiego stryja i stryjenki. Uważano ich za czarne owce w rodzinie, bo prowadzili jedynie niewielki zakład dziewiarski. Bura z ciotką od razu przypadły sobie do gustu. W skromnym domu czuła się pewniej. Pomagała nakrywać do stołu i rozmawiały jak przekupki, jedna przez drugą. Stryj wziął go na stronę i pogratulował wyboru. Rozmowa o niczym zesłała na temat dzieci. Złapała go za rękę i wesołym trelem oznajmiła, że najpierw muszą się sobą nacieszyć. Ziemiak utknął mu w przeliku. Popił solidnie winem. Bawiła się świetnie jego kosztem. Potem trajkotały o biżuterii. Stryj wykręcił oczy do nieba. Opowiadała o jakichś kolczykach z jadeitu wykańczanego misternie srebrem i skwitowała, że gdy zarobi na sukienkę, którą sobie wypatrzyła, kupi je do kompletu. Mały włos, a dostałby udaru. Ciotka podsumowała, że jest urocza, a stryj, że za mało rozpieszcza żonę. Na schody przed wielkimi odrzwiami mrocznej posiadłości rodem z horroru wspinali się w milczeniu, które trwało już dobry kwadrans.

- Co tym razem zrobiłam źle? Już przywykłam, że za każdym razem, kiedy skądś wracamy, jesteś na mnie o coś zły. Ale dziś było wyjątkowo miło, więc nie rozumiem. Zaczynam myśleć, że nigdy nie dorównam twoim standardom.

Odwrócił się gwałtownie.

- Mogłabyś się ubrać w jadeit i to tylko za miesięczne kieszonkowe. Ale nie, moment, ty nie chcesz moich pieniędzy, bo masz własne. W rozmowie o dzieciach też poszło ci świetnie. Szkoda, że wcześniej nie poznałem twojego poglądu.

- Dzieci nie biorą się z powietrza. Ale nie, moment, dałeś mi jasno do zrozumienia, że moje miejsce jest za ścianą. Hm, pomyślmy. Nie dotknąłeś mnie od czasu powrotu z Francji, drażnię cię, gdy tylko wchodzę do pokoju. Już nawet nie rozmawiamy przy śniadaniu. Musiałabym ci wyciąć w gazecie otwory na oczy. Pod choinkę dostaniesz ode mnie łopatę, żebyś mógł się okopać w ogrodzie.

- Powiedziałaś, że jeszcze nie chcesz...

- Mieć dzieci. Jesteś ode mnie sporo starszy. Mam ci tłumaczyć, co miałam na myśli?

Już miał ją chwycić za rękę, gdy odcięła się od całej sytuacji.

- Dobranoc, Książę Koshe.

Zgłupiał. Wyszło na to, że to on nie chce. I do tego ten sztuczny tytuł, którego szczerze nienawidził. Biła nisko.

Pakt o nieagresji przerodził się w zimne dzień dobry i lodowate dobranoc. Mia posmutniała, Thomas przyglądał im się ukradkiem. Wspólnie czas spędzali jedynie na korytarzu, mijając się bez słowa, i na akcjach, na których, o dziwo, było normalnie.

Wczesną wiosną wypadły manewry u samobójców. Urządzano je co jakiś czas. Wybierano teren albo leśny, albo górzysty, albo jedno i drugie i dzielono ich kolorami. Kto ma drapnąć kogo podawało dowództwo przez radio dopiero wtedy, gdy byli na wylosowanych pozycjach. Nie przyznała się, że i ona



jedzie na te manewry. Dostali się z Saszą do drużyny strzelców i w tajemnicy wyjechała zaraz za mężem. Zabrała się z Saszką jego rozklekotanym krążownikiem. Na miejsce dojechali przed czasem i weszła prosto do hangaru. Rzędami pod sam sufit ciągnęły się szuflady na łóżka i szafki podręczne. Tu będą spali, jeśli mieli w kantynie za budynkiem, a myć się w baraku obok. To było spore przedsięwzięcie. Ponad dwieście osób miało się bawić w podchody. Nazajutrz okazało się, że jej drużynę prowadzi Wiera. Gdy ją zobaczył, zamurowało go i niemal nie mógł mówić. Zaczynał się i gadał od rzeczy. W końcu stwierdził, że dokończy za niego zastępca i szybkim, porozumiewawczym spojrzeniem, wyznaczył na niego Karetę. Siedzieli w sali przed mapą, więc mało dyskretnie wywlókl ją za rękę i poprowadził gdzieś w zarośla. Rozejrzał się konspiracyjnie.

- Co ty tu robisz?

- Zgłosiłam się. Po twoim liście świat się nie zawalił i musiałam uczyć się sama. Wzięłam instruktora i jestem.

- Przepraszam. Ja wiedziałem o tym, który za tobą chodził. Koshe też. Ostrzegął, że mnie zabije, ale nie posłuchałem.

- Słyszałam od Czarnego. Wiem, jak było. Gdybyście mi powiedzieli wcześniej... Obaj macie tendencję do widzenia we mnie nieporadnej dziewczynki, a tak nie jest.

- Wiem, że tak nie jest. Gdy tylko się dowiedziałem, że wróciłaś, a było to dość późno, bo nie schodziłem z ziemi bardzo długo, chciałem przyjechać. Ale zobaczyłem to.

Wyciągnął z portfela wygnieciony wycinek z gazety.

- Dajmy już temu spokój. Ja nie mam o nic żalu. Jest jak jest.

- Ale nie wyglądasz na szczęśliwą.

- Szczęście to coś, co widziałam, o czym słyszałam, ale chyba nie jest mi dane go zaznać. Chodźmy już.

Za godzinę będzie losowanie.

Ruszyła w stronę namiotu i bez słowa weszła do środka. Karetę produkował się przy mapie. Wiera nie wszedł za nią.

\*\*\*

Jako snajperzy wylosowali trzy drużyny. Do obstawienia był kawał łąki i wzgórze. Przyczaili się i czekali. Była jednym z Zajęcy, bo z racji drobnej figury nie rzucała się w oczy. Dzień zero nadszedł i ruszyli. Koshego widziała dwa razy. Stał z Marią na jednym z podestów niżej, przy jej pryczy. Widziała ją tylko przelotnie, a że nie chciała być rozpoznana przez nikogo, raczej nie wychodziła na spacer. Ludzi było jak na pielgrzymce, więc ukrywanie się nie stanowiło większego problemu. On i Maria mieli na sobie te same kombinezony i ten sam naciągnięty przepaską na ramię kolor. Byli w jednej drużynie. Śmiali się i rozmawiali. Nic w tym dziwnego. Znają się od lat. Ale poczuła ogromny smutek, patrząc na nich. Oboje piękni, wręcz idealni. Elegancy, wyważeni. Pasowali do siebie. Ale najbardziej zazdrościła im sposobu, w jaki rozmawiali. Lekko, niezobowiązująco, bez złości. Nagle dotknął przelotnie jej dłoni. Stężeła na moment. Gest, którego by się po nim nie spodziewała. Delikatny i przede wszystkim nie dla niej.

Jednym z wylosowanych przez nich kolorów był kolor Koshego. Granatowy. Po sześciu godzinach ktoś z jej ekipy wypatrzył jednego z nich. Borysa, bo był największy.

- Idą drugą stroną. To zmyłka. Liczą, że będziemy chcieli powalić go po cichu. Nóż nie hałasuje, a w walce wręcz nie mamy z nim szans. Jest zwinny jak małpa, choć nie wygląda. Niech jeden zostanie i sprzątnie go, gdy będzie blisko. Reszta idzie drugą stroną - szepnęła.

- Skąd wiesz? - spytał ktoś z tyłu.

- Bo na co dzień jest w ich drużynie - odezwał się Rudy.

Wiera rozstawił ich, jak mówiła. Podczołgała się do krawędzi wzgórza. Pokazał, że mają trzymać języki za zębami i wyłączyć nadawanie w komunikatorach. Przystawili się na nasłuch. Oparła lufę karabinu owiązaną szmatą i trawą o dwa wystające kamienie. Mieli ich na widelcu. Ukryli się za strumieniem i czekali, aż usłyszą strzał i padnie Borys. Okrutna taktyka, ale dająca szansę przeżycia. Kamuflaż był idealny, a do tego zajmowali pozycje wyżej od partyzantki obok strumienia. Widziała ich twarze przez lunetę. Blisko, na wyciągnięcie ręki. Prowadził ich Dakota. Sądząc po tym, jak oglądał ślady, nie zapomniał o korzeniach i tropił jak pies myśliwski. W końcu przystanęli. Wyraźnie chcieli obejść

wzgórzu. Dakota pokazał, że jest czysto. Nic dziwnego, bo chłopcy z jej drużyny szli blisko lasu jeden za drugim i trawa wyglądała jakby przeszły po niej zwierzęta, a nie buciory owinięte szmatami.

- Poddajcie się. Równie dobrze moglibyście wywiesić flagę
- odezwał się Wiera.

Szczur rzucił kilka kurew.

- Maria, umawiasz się na podwójne randki czy jak? - usłyszała gdzieś po swojej prawej.

Nie zrozumiała na początku. Celowała w głowę męża i czekała na rozkaz.

- Obaj byli kochankowie na polu chwały. - Zaśmiał się ten nieznajomy głos. - Tylko że Koshe ma przewagę. Jest w twojej drużynie. Choć już żonaty, podobno.

- Co komu do mojego stanu cywilnego?

- Szybka zamiana. Wiera tobie Marię, ty Marię Magikowi, Magik wybiera Burę, która była z Wierą. Wszystko w jednym kociołku i to w ciągu kilku lat. Co by było, gdyby?

- Zamknij się - fuknął na niego Saszka.

Powoli kark odzyskiwał miękkość. Popatrzyła na dowódcę. Nie wytrzymał spojrzenia. A więc to, co mówił ten młody grzdyl na tyłach, było prawdą. Wiera był z Marią, Maria była z Koshem. I tylko ona o tym nie wiedziała.

- Jak chcesz, Koshe. Możesz sobie wybrać, w co cię trafię

- odezwał się Cezar.

- Możesz mnie trafić w...

Nie dokończył. Kilka strzałów poszło po bokach i zmusiło go do leżenia na wznak w kałuży. Zabawa przestała być zabawą. Czerwona farba rozbryznięła się na trawie.

- To ty, Hans? - usłyszał jej głos w słuchawce i podniósł się machinalnie.

Oberwał prosto w szyję, aż go odrzuciło. Potem poszło kilka strzałów i padali jeden po drugim.

- To byłoby na tyle. Zbieramy się - dostali rozkaz.

Wstała i nawet nie spojrzała w ich stronę. To był naprawdę koniec wszystkiego.

Na pół godziny przed zgaszeniem świateł, odwiedzili ją na jej poziomie. Klecha nie zdążył usiąść na jej pryczy.

- Nie chcę was widzieć. Szczególnie ciebie - powiedziała spokojnie w twarz za smużką dymu i papierosem.

Ominęła ich i podeszła do Saszy, który czekał na nią przy schodach. On też miał spakowany plecak. Widać nie czekali na jutrzejsze ogłoszenie wyników. Wziął od niej torbę i poszli w kierunku polowego parkingu.

Do domu pojechała niemal od razu. Wahała się, ale od wejścia poprosiła jedną z dziewcząt, które u nich pracowały, by spakowała wszystkie jej rzeczy i odesłała je natychmiast do domu jej ojca. Napisała na kartce adres i dała im na to godzinę. Thomas nie powiedział nic.

- Masz rację, że milczysz. Do tej pory świetnie wychodziło wam milczenie i trzymajcie się tej wersji.

Przebrała się i wezwała kierowcę. Kazała mu jechać naokoło. Gdy dojechali pod Posterunek, odprawiła go pospiesznie. Weszła do sali odpraw. Prawie nikogo tam nie było. Jedynie Barbara akurat wróciła z akcji. Maria stanęła w drzwiach do szatni. Wyglądała, jakby się obawiała tej konfrontacji. Miała na sobie kombinezon, więc musiała się spieszyć.

Barbara taktownie odsunęła się z ewentualnej strefy walki, ale pozostała przy stole, na który zrzucili sprzęt.

- Cześć - odezwała się Maria.

- Cześć - odpowiedziała.

- Wybacz mi.

- Nie ma czego. To, że jest idiotą, że Wiera jest idiotą i że oni wszyscy nie grzeszą rozumem, nie jest twoją winą.

- Nie to że gdyby tylko skinął palcem... Nie, kłamie. Nie musiałby robić nawet tego. Nie musiałby prosić.

- Który?

Wyprostowała się gwałtownie.

- Wybacz, ale ten chłystek, który mnie uświadomił, miał rację. Jeden kocioł i każdy z każdym. Ja nigdy nie chciałam brać w tym udziału. Nie wiedziałam o niczym. Nie słuchałam plotek i być może to mnie zgubiło.

- Z Koshem byliśmy razem kilka ładnych lat. Zerwał ze mną, gdy dostała mu się Sara.

- A potem byłam ja.

Maria pokiwała głową.

- To od początku powinno być twoje. - Zdjęła obrączkę z palca. - Nam nigdy nie miało prawa się udać. - Zaciśnęła w jej dłoni platynowy krążek. - Jest mi przykro, że dowiedziałam się dopiero teraz. Gdybym dowiedziała się wcześniej, nie byłoby sprawy. Macie moje pełne błogosławieństwo. I jest szczerze.

Maria stała zdezorientowana. Barbara popatrzyła w kierunku, w którym odeszła Bura.

- Pierwszy raz widzę taką klasę - skwitowała spokojnym głosem. - Gdybym ja była na jej miejscu, leciałoby pierze. Bez urazy, Maria.

- Koshe.

- Jedziesz tu? - Pociągnęła nosem.

- Jadę na Posterunek. - Słyszała, jak szarpie skrzynią biegów.

- Jest w szatni.

- Rozmawiałaś z nią?

- Tak. Ona... oddała mi swoją obrączkę. Powiedziała, że od początku powinna być moja.

Rozłączył się.

Już miała wychodzić, gdy spotkała go przy windach. Stanęli oboje nieruchomo. Kilkoro ludzi czytało ogłoszenia. Ktoś wymieniał żarówki w holu. Fontanna między nimi szumiała złowrogo.

- Bura, ojciec cię szuka! - krzyknął Rodman z głębi korytarza. - Czeka na ciebie w gabinecie.

- Oho ho - zakwilił słodki głosik gdzieś po boku. - Kłopoty w raj?

Rozpoznała koleżankę ze szkoły. Uśmiechnęła się spokojnie.

- Moja droga, oddaję swój raj za darmo. - Zdjęła pierścionek z oczkiem. Był ostatnią rzeczą, jaka do niego należała. Rzuciła go w nurt fontanny.

- Jest bezpieczny, więc cały może być twój.

Odwrociła się i odeszła. Ojciec zapewne oczekiwał wyjaśnień.

Podszedł wolno do fontanny i przykleknął przy jej krawędzi. Zanurzył rękę ponad łokieć i wyciągnął z dna okrągły przedmiot. Z rękawa płaszcza ciurkiem ciekła woda. Stał jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się na pięcie i wyszedł. Wszędzie, byle dalej.

Wieczorem siedział przy tablicy kreślarskiej. Zawsze to robił, gdy musiał się uspokoić. Na razie nie chciał myśleć o całej tej sytuacji. Pokój, w którym panował totalny chaos, był jego azylem. Nad biurkiem obok paliła się lampka. Czytał plany i zerkał to na nie, to na wyliczenia. Ktoś wszedł do pokoju. Nie odwrócił się. Ten ktoś położył coś na biurku. Teczka.

To przygotował mój prawnik - odezwała się za jego plecami. - Zrobił to miesiąc temu na moją prośbę. Liczyłam, że może coś się zmienić, ale nic się nie zmieniło, więc cóż.

Wstał i oparł się o deskę. Machnął nią. Przymknęła oczy, gdy roztrzaskała się o ścianę.

- Nie dam ci rozwodu.

- Nie chcę z tobą walczyć. Możemy to ciągnąć latami albo dać sobie spokój jak najprędzej.

- Ja nie chcę rozwodu.

- No to czego chcesz? Będziesz mnie dręczył? Wierz mi. Ja nie znam wstydu. Zrobię ci z życia piekło, w którym ty masz więcej do stracenia. W teczce jest wizytówka. Umów się z moim prawnikiem i uzgodnijcie szczegóły.

Wyszła. Coś za zamkniętymi drzwiami roztrzaskało się o kominek. Na korytarzu czekał Thomas zlany niemal z cieniem.

- Odwiozę cię.

- Nie, dziękuję. Taksówka czeka na mnie przy bramie.

- To trzy kilometry.

- Spacer dobrze mi robi.

Widział przez okno, jak schodzi ze schodów. Ciężkie buty, zielona patrolówka, zielona kurtka. Zupełnie jak tego dnia, gdy się poznali.

- Anomalia.

Umówił się z nim z samego rana. Przejrzał ten pozew. Niczego w nim nie chciała, prócz wolności. Wszelkie dobra materialne, jakie dostała od niego, biżuterię, stroje, wszystko zostało w szafach. Łącznie z kopertą z pieniędzmi za dom Kazteza, który jej kupił. Prawnicy uzgadniali coś między sobą, gdy zadzwonił telefon. Odszedł na bok.

- Koshe.

- Słuchaj, wpadli w gówno. Pierwsze wykluczyło ich z pola i... Bura i Dakota zostali odcięci. Zeszli za późno dosłownie o jakieś trzy minuty - zaciął się.

- Prince? Mów.

- Dakota jest operowany. Bura... Bura nie żyje.

Stracił czucie w palcach. Telefon spadł na ziemię.

Czekali, aż Jane wyjedzie z łóżkiem z operacyjnej.

- Macie pięć minut. Potem leki przeciwbólowe przestaną działać i trzeba go będzie uśpić.

Weszli do sali. Pielęgniarka stała ze strzykawką w pogotowiu.

- Trafiliśmy na Iskrę. Oplótł mi nogi. Stąd rany. Ciachała nożem tak długo, aż puścił. Wszystko działa się bardzo szybko. Nie pamiętam za dobrze, ale chyba gdzieś mnie zaciągnęła, wcisnęła między jakieś drzwi a ścianę i sprawdziła latarką, czy nie ma szczelin. Były, ale niewielkie. Potem okryła mnie swoją kurtką i oddała nieśmiertelnik. Wbiegła za zaulek, w korytarz. Słyszałem, jak nadchodzą. Miała już tylko pięćdziesiątkę, więc musiała odbiec daleko. Słyszałem przed odpaleniem, jak mówi coś głupiego. Coś, zupełnie, bez sensu.

Milczał przez chwilę, jakby jeszcze raz zastanawiał się nad jej słowami.

- Powiedziała: „Nie ma bohaterów”. To ostatnie, co pamiętam.

Usłyszeli, jak Koshe opadł na futrynę, śmiejąc się jak oszalały pijanym ze strachu i ulgi spazmem.

Siedziała na ławce przy wejściu z podkulonymi pod brodę kolanami. Urzędas ospale wypisywał papiery. W pokoju była jeszcze spora grupa innych wystraszonych ludzi. Tylko ona zdawała się nie mieć samobójczej paranoi i rozbieganych oczu.

- Powtarzam po raz dziesiąty z rzędu. Nazywam się Lilith Koshe, po mężu. Zadzwońcie do niego, bądź do mojego ojca. Kaztez Aleksander, kapitan Północnego Posterunku.

A ja jestem kobietą, a wąsy noszę dla niepoznaki - zadrwił. - Powtarzam również po raz dziesiąty. Nie wpiszę ci, panienko, nazwiska jednego z Invocato, bo ci się tak podoba. Spróbuj jeszcze raz, inaczej stąd nie wyjdiesz.

- Ja jestem Aleksander Kaztez, a to przysze nieżywe pod ścianą, to moja córka.

Wąsacz zdębiał. Wpisał pospiesznie coś w blankiet. Za kapitanem wtoczyli się Borys i Natan.

- Co z nim? - spytała.

- Już samodzielnie siedzi. Szukamy cię od trzech dni. Coś ty robiła? - spytał Klecha.

- Korek na prawo od piekła.

- Nie pyskuj, młoda - zagrzmiał kapitan. - Ile razy jeszcze w ciągu tak krótkiego czasu mam odbierać telefon z informacją, że nie żyjesz? Zaczynam sprawdzać datę w kalendarzu, czy to przypadkiem nie pierwszy kwiecień! Jedziemy do szpitala i jak nie będziesz miała wyników jak w tabeli dziecięcej, to cię umieszczę w sanatorium dla obłąkanych, gdzie twoje miejsce.

Chwycił ją za rękę i pociągnął w stronę ciężarówki przed wyjściem. Borys podszedł do biurka i położył na niej pismo z pieczątką poufności. W zamian wziął kartkę sprzed nosa urzędnika i podarł ją na drobne kawałki.

- Jej tu nigdy nie było.

Rankiem siedziała już na łóżku i czekała na wypis. Do jej pokoju cicho wjechał na wózku Dakota. Podjechał pod same jej nogi i chwycił za ręce.

- Jesteś szalona - wyszeptał. - I za to ci dziękuję.

- Zrobiłbyś to samo, Wodzu.

- Nie wiem, czy bym się odważył. Ty się nawet nie zastanowiłaś. Przesłuchałem nagrania. Trzy minuty. Tyle zajęło ci podjęcie decyzji. Wciągnęłaś mnie na piętro, gdzie byłem bezpieczny.

- Nie mówmy już o tym.

- To pomówmy o czymś innym. Wiem, że się nie popisaliśmy.

- Już zapomniałam. Nie umiem się na was długo gniewać. Wolę się z wami śmiać.

Podniosła głowę. Koshe stał w drzwiach. Wódz wycofał się powoli i wyjechał na korytarz.

Bez słowa położył teczkę z dokumentami na stoliku. Poznała je. Patrzył na nią nieobecny wzrokiem. W końcu odważył się odezwać. Mówił cicho, ale dobitnie, jak przy Inwokacji:

- Jestem twoim dowódcą i rozkazuję ci dożywno kilka rzeczy. Po pierwsze. Jeśli następnym razem ktoś zechce cię porwać, uprowadzić czy w jakikolwiek inny sposób zrobić krzywdę, masz obowiązek gryźć, drapać i kopać. Po drugie. Jeśli jesteś na akcji ze mną czy z innymi, masz przeżyć. Cokolwiek zrobisz, wpadniesz do kontenera na śmieci, szamba czy innego ścieku, zrób to, jeśli ma cię to uratować. Po trzecie. Będziesz ostrożna i swoje życie będziesz szanować na równi z życiem innych. I zrobisz to wszystko, wypełnisz rozkaz, bo twój dowódca, delikatnie mówiąc, szaleje na twoim punkcie i nie chce widzieć żadnego ze światów bez ciebie. Jesteś pierwsza i jedyna, więc weź, proszę, pod uwagę, że jeszcze nie umiem okazywać tego jak należy. Ale się nauczę.

Chwila na pozbieranie ego z podłogi.

Wiesz, czemu nigdy nie odzywałem się, gdy dzwoniłaś? Bo uwielbiam słuchać twojej paplaniny. Wszystkie rozmowy od początku naszej znajomości nagrywałem, a gdy miałem wolny czas, siadywałem w fotelu czy w wannie i słuchałem ich jedna po drugiej. Mam nawet kilka ulubionych. - Zaśmiał się smutno. - Wiem, że spieprzyłem to wszystko, co mogło być dobre. Nie chcę o tym myśleć, jak o przegranej sprawie. Do momentu, gdy się poznaliśmy, żyłem raczej byle jak. Pracą, libacją od czasu do czasu. Kobietami, których nie traktowałem. .. dobrze. Wiedziałem, że twój pogląd na życie jest inny i zacząłem wstydić się swojej przeszłości. Ukrywać ją przed tobą. Wiele chciałbym dziś zmienić, ale się nie da. O Wierę byłem zazdrosny tak bardzo, że niemal wykrzyczałem ci to w twarz. Tego dnia, gdy dowiedziałem się, że jesteś chora, porzygałem się ze strachu. Nie wiedziałem, że mogę czegoś tak bardzo się bać. Mówiłaś mi często, że patrzę na ciebie, jakbym chciał cię uderzyć. Wierz mi. - Pokręcił głową. - Uderzyć cię to ostatnie, o czym myślę w takich chwilach.

Podszedł do łóżka i podał jej teczkę. Otworzył na ostatniej stronie. Dokumenty były podpisane.

- Jeśli uważasz, że nie warto mi zaufać, zrozumiem. Podpiszesz je i zapomnimy o sprawie, ale nie lic na to, że zrezygnuję. Ja nie umiem się poddać. Żaden z moich nauczycieli, w tym i twój ojciec, tego mnie nie nauczył.

- To tylko słowa.

Wzięła od niego teczkę i wstała z łóżka. Ominęła go i zatrzymała się przy drzwiach.

- Będziesz musiał mi to udowodnić. Będziesz musiał ją przeprosić. Za wszystko. I zatrudnisz kilku nadzorców, którzy zdawać ci będą cotygodniowe raporty. Jesteś bogaty, stać cię na to. Jeszcze jeden dzień oglądania cię, jak siedzisz ze słuchawką w uchu i erupcja wulkanu przy moim wybuchu będzie niczym. Zamieszkać u ojca. Tak będzie sprawiedliwie. Nie ułatwię ci zadania tylko dlatego, że masz dobre chęci. Publicznie będziesz okazywał mi uczucia tak, żeby nikt nie miał co do nich wątpliwości. Jedne plotki wyprą inne. Daję ci tydzień na zorganizowanie się. Dokumenty zatrzymam, w razie gdyby ci się nie powiodło. Radzę ci też kupić jakiś poradnik albo spytać kogoś bardziej doświadczonego, jak się zdobywa kobietę. Do zobaczenia.

Wyszła i wyminęła spory tłumek przed drzwiami. Wyciągnęła swój wypis z rąk osłupiałej Jane i ruszyła korytarzem do schodów. Wtoczyli się do sali. Byli tam wszyscy, włączając w to Mię i Thomasa z koszem pełnym kolorowych kwiatów. Opadł osłupiały na łóżko.

- Stary. - Ron pokiwał głową. - Nie sądziłem, że cię na to stać.

- Aż się lezka w oku zakręciła - dobił go Prince.

- Ważne, że podziałało - obronił go Natan i usiadł obok. - I co teraz zamierzasz zrobić?

- Zrobię, jak powiedziała, a potem spróbuję naprawić, choć nie wiem jak.

- Ty, nie wiesz jak? Wystarczy, że wejdiesz do pierwszej z brzegu knajpy i...

- No właśnie. Ja nigdy się o to nie starałem. Nigdy o żadną.

- Houston, mamy problem - zagrzmiał Borys.

- Dobra. Idziemy. - Dakota wytoczył się z sali. - Do centrum dowodzenia.

Posiadali na kanapach, a Thomas odstawił kwiaty na stół kuchenny i po otwarciu pierwszej lepszej szafki natrafił na poszukiwane przedmioty. Ustawił szklaneczki na stoliku i polał wszystkim, włącznie z sobą.

- Kobiety lubią kwiaty i komplementy. Standard i banal, ale to lubi każda, nawet najbardziej uparta - odpowiedziała Mia.

- Zgadza się - przytaknęła Jane. - Mnie Borys udobruchał kwiatami. Przez dwa tygodnie dzień w dzień przynosił mi bukiet, który ledwo mogłam podnieść, aż w końcu mi przeszło.

- A co nabroił nasz rosyjski dżentelmen w podkoszulku z sierpem i młotem? - zapytał Szczur.

- Wszedł któregoś dnia do laboratorium i zażartował ze mnie, że wyglądam jak mysz doświadczalna, a nie jak naukowiec.

Chwilę się pośmiali.

- Czym jeszcze się je wabi?

- Pszczoły otumania się dymem. Tyle wiem - skomentował Ron.

- A ja nic nie wiem.

- Ona jest całkowicie zielona, nie wyczałeś tego? - zarzucił mu Klecha.

- Zgadza się. Kiedy ją pocałowałem, była tak cudownie zaskoczona - pociągnął temat Prince.

- Tego słowa szukałem. - Natan pokiwał głową. - Całkowite, słodkie osłupienie.

Cisza. Zbierał się w sobie.

- I akcja - zazgrzytał Robin.

Zerwał się z siedzenia i gonił obu wokół kanapy, krzesel i foteli.

- Daj spokój, Koshe. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej, żaden by jej nie tknął.

- Jest zły, bo kiedy się odważył, dostał w szczękę.

Zatrzymał się na chwilę.

- Mówiłeś, że nie wiesz, czemu to zrobiła.

- A co miałem ci powiedzieć? Że oberwałeś za mnie?

Opadł na kanapę obok Thomasa i wypił do dna z jego szklanki.

- Wychodzi na to, że ja jestem zielony, nie ona. Nic nie wiem.

Chwilę jeszcze patrzył w przestrzeń.

- No właśnie.

Wybiegł z Nory i słyszeli tylko, jak opony zakopały się w żwirze, gdy ostro ruszył.

- A temu co znowu? - Mia uniosła brwi.

- Pojechał do źródła - stwierdził Thomas.

- Czyli?

- A kto wie o niej więcej niż jej ojciec?

Kaztez podał mu jedynie datę i zastrzegł od razu, by dochował tajemnicy. Szukał dwa dni bez ustanku. I znalazł. Przedtem jednak chciał porozmawiać z Marią. Nie była to łatwa rozmowa czy wspominki ze wspólnych lat. Przyznał się do wielu rzeczy. Do niewierności również. Nie była zdziwiona, raczej zła. Na koniec powiedziała jedynie, że życzy im jak naj lepiej i że przyjęła posadę zastępcy komisarza w Pierwszym. Nie przedłużała pożegnania, za co był jej szczerze wdzięczny.

Potem zszedł na ziemię. Znalazł to przez przypadek. Niewielkie miasteczko na wschodzie, które pewnej nocy nawiedził dziwny stan. Włamał się do dziurawego systemu archiwum Drugiego, które tego akurat dnia orbitowało nad Europą Wschodnią. To było jedyne miejsce na całej mapie, gdzie gęstość i nasilenie demonów była równa zeru. Nigdy przedtem nie spotkał się z czymś takim. Zawsze coś było. Choćby jakieś resztki, niedobitki. Przerzył całą bazę mieszkańców. Szukał zaginionych i znalazł adres. Stare domy, z których sypał się tynk. Slumsy przy torowisku. Przy trzepaku bawiły się dzieciaki, a pod jedyną ławką na wydeptanym klepisku drzemał kot. Wszedł na ostatnie piętro. Na samej górze zaduch niemal obezwładniał. Małe okienko na klatce schodowej. Pod nim podeschła palma. Drzwi były zamknięte. Nie siłował się jednak z nimi za długo. Wszedł do środka i cicho zamknął je z powrotem. Rozejrzał się. Dwa pokoje, z czego jeden był bardziej klitką na łóżko. W tym, do którego wszedł, ledwo można było się odwrócić. Na zakurzonej półce nad komodą stała ramka ze zdjęciem. Przyjrzał się mu i szukał czegoś dalej. Znalazł albumy ze zdjęciami, płyty z muzyką, prace jakiegoś dziecka. Laurki, pierwszy zeszyt do pisania. Popatrzył przez okno. Miała widok na tory i rzekę zaraz za nimi. Smętny, szary krajobraz. Ktoś wszedł cicho za nim. To była starsza kobieta.

- Czy pan jest z policji? - zapytała, poprawiając okulary.

Pokręcił przecząco głową.

- Rozumiem. Liczyłam na to, że ktoś ją znalazł. Zgłosiliśmy zaginięcie, to znaczy ja i jeszcze dwie sąsiadki. Była dla mnie jak wnuczka. Czy pan również jej szuka?

Nie wiedział czemu, ale uśmiechnął się najpogodniej jak

potrafił.

- Ja ją znalazłem.

Kobieta przekrzywiła lekko głowę.

- Czy napije się pan herbaty? Opowie mi, co u niej słychać?

- Zgoda, pod warunkiem, że uchyli mi pani rąbka tajemnicy. - Pokazał jej zdjęcie w zakurzonej ramce.

- Dobrze.

Poszedł za nią. Mieszkała naprzeciwko. Poczekał spokojnie, aż zaparzy herbatę.

- Czy pan wie, że wyszperała dla mnie wszystkie te bibeloty, które tu stoją?

Rozejrzał się po półkach pełnych koronkowych serwetek i porcelany na starych meblach sprzed wojny.

- Mam rentę po mężu. Był wojskowym, więc całkiem sporą jak na ten region. Dawałam jej co miesiąc jakąś sumę, a ona kupowała mi coś w mieście obok, w którym pracowała. Wie pan, to zadziwiająca dziewczyna. Od dziecka miała w sobie to coś, co przyciągało do niej ludzi. Nawet najgorsi chuligani ją lubili. Potrafiła w człowieku rozbudzić wszystko co dobre. Gdziekolwiek się pojawiła, tworzyła dom. Zawsze wiedziała, jak pocieszyć, co powiedzieć, jak się zachować, choć nikt jej tego nie uczył.

Nalał im herbaty do filiżanek. Pokiwał głową.

- Lilith rzeczywiście ma w sobie to coś.

- Mówi pan to przewisko zupełnie inaczej, niż zwykłam je słyszeć. Tak ciepło.

- Tak mi się przedstawiła.

- To dziwne, bo nienawidzi tego słowa bardziej od najgorszego epitetu.

Wysłuchał całej opowieści. Zaciskał szczęki z wściekłości, kilka razy wstawał i chodził od okna do okna. Starsza pani lubiła ją i choć często odbiegała od tematu, dowiedział się wszystkiego, czego chciał, a nawet więcej.

Rankiem siódmego dnia od czasu ich ostatniej rozmowy obudził ją intensywny zapach. Było jakoś za jasno. Usiadła na łóżku. Całą podłogę pokrywały białe róże, z wyjątkiem jednej, czerwonej jak krew. Był do niej przypięty bilecik. Znała to pismo.

- „Jesteś dla mnie wyjątkowa”. - Przygryzła dolną wargę.

- Tato!

Kaztez wywiązał kokardkę na pasku szlafroka i wsunął powoli głowę do jej pokoju.

- Oczywiście nie wiesz, kto zrobił tu kipisz, kiedy spałam?

- Nie - skłamał.

- I dlatego nie otworzyłeś drzwi na oścież jak zwykle?

- Tak. - Zamrugął. Pokręciła głową.

- Zaraz zejdę na śniadanie.

- Dziś niedziela. Jajecznicza na boczku. - Zamachał brwiami. Siedziała przy stole i opowiadała ojcu o swoich planach,

na co odpowiadał półsłówkami. Zadzwoił telefon i od razu wiedziała, że to on.

- Jesteś szalony.

- Spotkamy się dzisiaj? Mam na myśli kolację.

- Co proponujesz?

- Zobaczysz wieczorem. Przyjadę po ciebie o ósmej.

- Dobrze.

Rozłączył się, a ona stała jak głupia. Miała go obsobaczyć za wszystko, a tu jeszcze zgodziła się na kolację.

- Ten mój zięć, to umie sobie z tobą radzić. Miękniesz, młoda - podsumował kapitan, smarując bułkę masłem.

Zaczęło się od kolacji. Szarmancki, oddany, pełen poświęcenia. Zupełnie inny niż dotychczas. Potem były narty w niemieckich Alpach i inne wypadki po świecie. Najbardziej lubiła muzea. Wiedział o

wiele więcej niż przewodnicy i zwykle zauważała podążających za nimi ludzi, podsłuchujących jego opowieści. Nie naciskał, choć widziała, że bardzo chce czegoś więcej niż trzymanie się za rękę i pocałunki na uboczu.

Koniunkcja była w tym roku wyjątkowa. Zorganizowali bal przebierańców. Goście, w tym cały Posterunek, bawili się w sali balowej jego posiadłości. Spóźnił się i wyszukał w tłumie znajome monumenty. Rasputin przebrał się za Rasputina. Kostium jeszcze śmierdział muzeum, z którego go zwinął. Borys był piratem, a Jane wyuzdaną karczmarką. W jednym ręku trzymała duży gliniany kufel, a w drugim kieliszek szampana.

- Ma ktoś osikowy kołek? - zadrwił Szczur.
- Spuśćmy mu krew, hrabio - zaproponował Klecha.

Jego strój nie był oryginalny. Przebrał się za egzorcystę, a w Biblii nosił okazałą piersiówkę.

Koshe wyjął na moment szczękę z klami, bo ciężko się w niej mówiło.

- Widział ktoś Burą?

Prince zatrąbił nosem i pokazał na tłumek przy stole. Stała tyłem. Wysokie, sznurowane kozaki, wystające podwiązki, pierzasta spódniczka, gorset i czerwona pelerynka z kapturkiem. Z koszyka przewieszzonego przez ramię wystawała bagietka, sztuczne ciasto i szary, złowrogi łeb wilka.

- Gdybyśmy zaginęli na jakieś dwa dni, nie szukajcie nas. - Ruszył w jej stronę.

Odwróciła się i przywitała słodkim trelem niewinnego dziewczątka.

- Skąd ty masz taki kostium? - zapytał, otwierając szeroko oczy.
- Naciśnij mu nos, a będziesz wiedział.

Wyciągnął rękę i po chwili czerwone ślepia zapaliły się, a z paszczy popłynęły zgrzytliwe słowa:

- Bę-dziesz mo-im wil-kiem?
- Skoro tak ładnie prosisz. - Uśmiechnął się.

Chwycił ją za rękę i wyciągnął z sali. Koszyk odstawił na bok i weszli na ostatnie piętro. Potem była zbyt zajęta oglądaniem korytarzy, których jeszcze nie знаła. Nigdzie nie paliły się światła, ale on najwyraźniej znał rozkład pomieszczeń na pamięć.

- Gdzie jesteśmy?

- Na samym końcu zamkniętego skrzydła. Otworzył jakieś drzwi i wciągnął ją do środka. Usłyszała za plecami, że zaciąga zasuwę.

- Przyznaj się. Naprawdę jesteś Draculą i chcesz wyssać ze mnie życie.

Potknęła się o coś. To była rzymska leżanka. Światło księżycza wpadło do sali. Ściągał prześcieradła z okien. Duży, pusty salon.

- To był ulubiony pokój mojej matki. Tu odpoczywała, pisała listy, czytała.

Rzucił płótna na leżankę.

- Zimno tu.

Krzesła skruszył bez mówienia Inwokacji. Był naprawdę dobry. Machnął ręką i wpadły z trzaskiem do kominka. Posypała się z niego sadza. Podpałił stertę zaledwie jednym cichym słowem. Usiadła na krańcu miękkiego mebla i zapatrzyła się w ogień.

- Czasami zapominam, jak jesteś silny
- Ale wciąż masz mnie za durnia.
- Oczywiście.

- Mówisz mi komplementy z taką łatwością. Zawsze tak było. „Koshe, jesteś durny, ale nikt tak jak ty nie robi drinków”. „Jesteś uparty, ale doceniam twoje starania” - przedrzeźniał jej głos.

- Jedno nie wyklucza drugiego. To, że masz wady, nie znaczy, że nie mogę podziwiać zalet.

Przyklęknął przy niej i zaczął rozwiązywać buty.

- Co robisz?

- Nie przyciągnąłem cię tu, żeby rozmawiać. Przesunął rękami wysoko, do podwiązek. Wysunęła się spod jego dłoni w głąb leżanki. Usiadł naprzeciw niej.

- Jak długo jeszcze zamierzasz przede mną uciekać?
- Nie uciekam, ja się po prostu boję.

- Czego?

- A jeśli się zawiedziesz?

Nie odpowiedział. Peleryna poleciała w tył, a za nią gorset opadł gdzieś z boku. Koszula z bufkami poszybowała za nim. Haftki przy spódnicy sprawiły mu nieco kłopotu, ale, o dziwo, doczekał się pomocy



z jej strony. Całowali się coraz szybciej, coraz odważniej. Drżała kusząco. Po dobrym kwadransie pieszczot i jej wstydlwego ukrywania się, postanowił nie czekać dłużej.

- Aaron ja...
- Po raz pierwszy powiedziałaś moje imię.
- Zachowałam je sobie na szczególne okazje.
- Ja również, Liliano.

Zesztywniała.

- Skąd wiesz?
- Wiem od dwóch miesięcy. I wierz bądź nie, ale nie żałuję, że wiem. Nikomu nic nie zdradzę. Kiedyś przyjdzie dzień, że sama nam to wszystko opowiesz.

Pokiwała głową ze łzami w oczach. Nie chciał, żeby płakała. Wrócił do całowania szyi i masowania wnętrza ud.

- Aaron, ja nie...

- Wiem. Znam twoją kartę medyczną na pamięć. - Sięgnął gdzieś na ślepo i wyciągnął portfel nad jej głowę. Usłyszała szelest. - Przy tobie czuję się jak nastolatek.

Było inaczej, niż zwykł się kochać. Zwykle gra wstępna przypominała zapasy dwojga znudzonych ludzi. Jej pragnął tak bardzo, że omal nie krzyczał, gdy wiła się pod nim. Westchnęła i wiedział, że jest dobrze i już nie było odwrotu. Potem westchnięcie przerwał cichy jęk. Chciał być delikatny, ale nie potrafił. Drobną dziewczyną, na którą patrzył z góry, miała nabrzmiące wargi, wygiętą do tyłu głowę i włosy rozrzucone na czerwonej pelerynie. Jej udo niemal całe mógł chwycić dłonią. Bawił się nim. Pod palcami drugiej dłoni wyczuwał linię kręgosłupa, talię, pośladki.

Gdy opadł obok, miał pod ręką jej głowę i bawił się nerwowo włosami.

- Chryste. Czemuś mi nie powiedziała? - wydyszał z trudem.
- A czy to by coś zmieniło?
- Nie. - Zaśmiał się triumfalnie.

Podciągnęła na siebie pelerynę wampira i wsunęła się pod jego bok.

- Myślałem, że ty i Wiera...
- Za dużo myślisz.

- Zapomniałem powiedzieć, że... Miałem to wtrącić gdzieś w trakcie, ale jakoś nie było kiedy.

Leżeli jeszcze chwilę, potem zaniósł ją do ich pokoju. Wzięli wspólny, długi prysznic. Wciąż była zawstydzona i czerwieniła się, gdy jej dotykał. Kochał się z nią jeszcze raz. Spokojniej, odważniej. Nikt im nie przerywał, nigdzie się nie spieszyli.

Gdy spotkali go po poniedziałkowej akcji tuż po Koniunkcji, siedział w szatni, opierając się o szafki.

- I jak było? Prince tak wrzeszczał, że słyszałem go na zebraniu.
- Bo ci daltoniści nie odróżniają lewa od prawa - odezwał się u szczytu ciągu szafek gość z wielkim lizakiem w ustach.

Dakota odpowiedział mu coś mało cenzuralnego.

- Jak poszło na zebraniu? - spytał go Ron.
- Mamy akcję z Invocato. Za dwa tygodnie, jeśli nie wcześniej.
- Oho! A gdzie?
- Bliski Wschód. Gdzie Liii?
- U ojca. Zaraz przyjdzie. A coś ty taki uśmiechnięty?

Chwila ciszy.

- Zaliczyłeś Burą? - zazgrzytał Szczur.

Szczur, głąbie, żony się nie zalicza. - Ron strzelił go w ogoloną potylicę.

- To był nasz pierwszy raz. A jej na pewno.
- Smoki wyginęły, Koshe.
- Jerzy był skuteczny - odciął się ubawiony.
- Tyle czasu po ślubie. Nie wiem, czy ci współczuć, czy gratulować. Nic dziwnego, że się cieszysz - skomentował Borys.

Przed akcją postanowił poćwiczyć. Chłopcy zwykle siadywali na wyższym z podestów w sali treningowej i obserwowali jego ruchy. Uczył ich, jeśli o to prosili, ale Inwokację każdy z nich układał sobie własną.

Tego wieczoru również tam siedzieli na podwyższeniu i widział jak Szczur macha chudymi nogami, siedząc na kratkach oparty głową o barierkę. Odetchnął głębiej i zaczął.

Burą przyprowadził ojciec. Stanęli w kącie, by go nie rozpraszała swoją obecnością. Zrozumiała wtedy, dlaczego fizyczny stan ma wpływ na moc Inwokacji. Był jednym z nielicznych, którzy nie potrzebowali jej szeptać. Stawał się nią. Poruszał się zgrabnie, miękko, jakby tańczył. Ruch ręki, stopy. Powietrze tężało i miękło zarazem. Nagle Kaztez zasłonił jej oczy.

- Nie potrzebujesz ich, by widzieć - szepnął.

Posłuchała. Czerwone światło wypełniło salę. Ciepłe i jasne. Migoczące. Tańczyło wraz z nim. Widziała jego ruchy zza zamkniętych powiek, czuła zapach, który znała jakby od zawsze. Zrozumiała wiele rzeczy w ciągu zaledwie minuty. Wszystkie nauki byłyby prostsze, gdyby zacząć od tej. Nie potrzeba słów.

Na tydzień przed akcją Invocato był milczący i jakiś nieswój. Usiadł jak zwykle w podwójnym fotelu i głaskał jej nogi, gdy czytała wymiętą gazetę.

- Znalazłem to, czego szukałaś.

Odłożyła ją powoli.

- Ale nie wiem, czy to dobry pomysł, taka konfrontacja.

- Gdzie? - szepnęła.

- Pojedziemy tam razem, bo to najbardziej niebezpieczna okolica, jaką znam.

- My też jedziemy. Bez odwołania - warknął Klecha.

Po wyjeździe z portalu jechali dobre pół dnia. Potem szli jakiś kilometr pieszo. Baraki, domy z kartonów, kran wystający z ziemi. Dalej jakiś zdewastowany budynek i ludzie otoczeni śmieciami. Ktoś ich zaczepił. Koshe przyłożył mu pistolet do głowy.

- Prowadź nas do Sebastiana. Proszę.

Obdarty mięśniak machnął głową i weszli do budynku. Rezydował na samej górze. Gdy pojawili się w drzwiach, obrócił się gwałtownie w obrotowym fotelu i wyhamował nogą o niski stół.

- Proszę, proszę. Kogo to przywiało do mojego świata?

Chłopak wyglądał na jakieś siedemnaście lat. Był na oko

w wieku Szczura. Wstał i podszedł do niej. Ledwo oddychała.

- Ty też zawisałaś na drzwiach czy może położyłaś się na torach? - Dotknął jej policzka.

Zamach był wyuczony. Nie po to tyle czasu biła w worek, żeby teraz tego nie wykorzystać. Odrzuciło go w bok i zatoczył się na kartony, które stały pod oknem.

- Nie uczyłam cię, że mówi się dzień dobry?

Zaśmiał się brzydko.

- Po raz pierwszy w życiu odważyłaś się mnie uderzyć. Zaskoczyłaś mnie. Ty? Taka ciepła kochająca i troskliwa? Ty? Zdolna do największych poświęceń?

Oddychała ciężko i ledwo stała na nogach.

- Dlaczego?

Zaśmiał się. Bawiło go to.

Zacząłem w wieku dwunastu lat. Mówiłem ci, że pobili mnie w szkole, gdy miałem siniaki. Kłamałem. To ja naparzałem każdego, kto mi się nie spodobał. Tuliłaś mnie wtedy i opowiadałaś bajki. Potem przeproszałem, że nalałem w łóżko, a w rzeczywistości codziennie zanim wstałaś, robiłem to, stojąc nad nim. Wypisywałem na materacu twoje imię. Mówiłaś, że nic nie szkodzi, że się zdarza. Zmuszałem cię rzewnym spojrzeniem, żebyś dawała mi pieniądze na kino albo wycieczki do muzeum, a laziłem z kumplami do cukierni. Nie złamałaś się. Wkurwiałaś mnie coraz bardziej. Kiedy miałem czternaście lat, sprzedałem cię do burdelu, ale miałaś szczęście, bo akurat wtedy zrobili nalot na melinę i zgarnęli twojego niedoszłego alfonsa. Nie wycenił cię za drogo, ale wystarczyło, żeby za tę kasę balować dwa tygodnie. Tylko że ciągle nie mogłem się ciebie pozbyć. W końcu zrozumiałem, że zmiażdżyć cię mogę tylko wtedy, kiedy zabiorę ci to, co kochasz najbardziej. Siebie. Od pomysłu do wykonania zajęło mi jakieś pół godziny. Powinnaś być wdzięczna, bo wymyśliłem też, że mogę ci podrzucić prochy i zakapować glinom, ale potem uznałem, że ta zemsta będzie lepsza. Kipnąłem ci na złość. I jak ci z tym? Niezłomna, idealna, krystalicznie dobra. Nienawidzę cię całym sobą. Każdy dzień z tobą był piekłem. Było mnie oddać do bidula.

Podeszła na sztywnych nogach. Nie zareagował. Przyłożyła mu pistolet do głowy.

- No dalej. Nawet nie wiesz, jak na to czekam.

- Do twojej wiadomości. Zrobiłam domowy test na ojcostwo po twojej śmierci. Był pozytywny, idioto.

Odwróciła się i zostawiła go, jak tak siedział, osłupiały i śmieszny.

- Jest wasz - rzuciła, gdy mijala ich w progu.
  - Koshe, kto to? - Dakota z obrzydzeniem machnęła na chłopaka.
  - Jej brat. Sebastian.
- Szczur parsknął niebezpiecznie nisko.
- Ja cię, skurwysynu, zabiję. - Ruszył przez pokój.
- Nie powstrzymali go.

\*\*\*

Gdy z powrotem przekraczali portal, była całkowicie nieobecna. Podjechali pod Posterunek. Weszła sama, im kazał zaczekać.

- Dajmy jej godzinę. Potem zejdziemy do niej.

Poszli na kawę do stołówki. Szczur obwiązał sobie poobijane kostki. Wściekłość mu jednak nie przeszła.

Przy centrali siedział jedynie Saszka. Widać to jego poprosiła o obsługę. Popatrzył na nich z góry.

- Druga winda. Zadzwoń, gdy skończycie.

Kaztez wychylił się ze swojej dziupli. Koshe machnął na niego głową i Stary wszedł do windy razem z nimi. Wylądowali na ubitym klepisku podwórka. A potem wdrapali się po starych trzeszczących schodach na samą górę. Drzwi były uchylone. Siedziała na parapecie z podkulonymi nogami. Posiadali, gdzie kto mógł. Kaztez spokojnie opadł na przyciasny fotel, Koshe oparł się o drzwi. Czekali, aż sama zacznie.

Urodziłam się tu. Pierwsze co pamiętam to nie ojca i matkę, ale muzykę. Mój ojciec był multiinstrumentalistą. Ale czasy nie sprzyjały muzyce. Komuna, ciemnota. Nie był robotnikiem, więc nie znaczył zbyt wiele. Poznał matkę w jakiejś knajpie, w której śpiewała do kotleta. Była piękna nawet jak na dzisiejsze standardy. Wysoka, smukła, eteryczna i pełna wdzięku. Zawsze cudnie pachniała. Włosy, skóra, ubranie. Była prawdziwą damą i wybijała się na tle szarych czasów. Tańczyła w kabaretach, grała niewielkie role w teatrach. Wychowywałam się za kulisami. Garderoba była moim drugim domem. Jedna ze starszych nauczycielek baletu stwierdziła, że będzie mnie uczyć. Powiedziała, że taki smark, a tyle w niej uporu. Miałam trzy lata. Codziennie robiłam coś innego. Kościasta starucha ciągała mnie to na lodowisko, to na parkiet, to na równoważnię. Ćwiczyłam tak zawzięcie, że w końcu stałam się jej najlepszą uczennicą i zaczęłam występować. Tańczyć, śpiewać, grać. Choć tego ostatniego nauczyłam się sama. Ojciec dużo ćwiczył w domu. Ciągłe coś robił. Dlatego tak lubię patrzeć na was przy pracy. Tylko że on był inny. Praca pochłaniała go tak bardzo, że rodzina schodziła nawet nie na dalszy plan, ale sprowadzała się do roli towarzystwa i ludzi, którzy mu przeszkadzają. Uczyłam się nut, jednak lepiej szło mi granie ze słuchu. W końcu jeden z kolegów ojca, który był nauczycielem, oświadczył, że mam dysleksję i nigdy nie nauczę się czytać nut prawidłowo. To było dla niego równoznaczne z wydziedziczeniem. Przestałam się dla niego liczyć. Byłam felerna. Słyszałam, jak wykrzykiwał w kłótni z matką, że to jej wina. Nie umiał uzasadnić swojej głupiej teorii, ale on całkowicie umywał ręce od uszkodzonego muzycznie bachora za ścianą. Zaczął mnie nazywać Lilith i dopowiadał do tego jedną z najgorszych obelg, jakie znałam. Mówił na mnie „gorsze dziecko Boga”. Lilith to skrót od Liliany. Tak mam na imię.

Pociągnęła nosem i dalej patrzyła gdzieś na horyzont za torami.

- Było coraz bardziej krucho z pieniędzmi. Nie wystarczało już nawet na podstawowe rzeczy. Matka, żeby nas ubrać, szła ciuchy ze staroci, które wyszperała to w teatrze, to gdzie indziej. Starala się, żeby wszystko było jak należy. Nikt się niczego nie domyślał. Często pożyczła jakieś drobne sumy od pani Wandy z naprzeciwka, ale kiedy zachorowałam na zapalenie płuc, nie było skąd wziąć na leki. Ojciec coraz rzadziej bywał w domu. Mało go obie obchodziłyśmy. Więc musiała zrobić jedyną rzecz, jaką może zrobić kobieta. Jej uroda nie kazała długo czekać. Zrobiła to tylko raz, ale ten ktoś dumny z podboju, musiał się tym pochwalić. Ja wyzdrowiałam, ale ona nigdy. Kochała tego egoistę i jego muzykę. Nie umiała sobie wybaczyć. Często płakała. Coraz częściej. Ojciec wrócił z jakiegoś występu i przy kolacji oświadczyła mu, że jest w ciąży. Wykrzyczał, że bękart nie jest jego, a on utrzymywał go nie będzie. Urodził się chłopiec. Dałyśmy mu na imię Sebastian, po Bachu. Ojciec szczerze go nienawidził, a gdy mój brat miał cztery latka, odszedł od nas i zamieszkał gdzieś na drugim końcu kraju. Nie szukałyśmy go. Mama zmarła na raka, gdy Sebastian miał niespełna trzynaście lat. Dwa miesiące po rozpoznaniu. Zaczęło się piekło. Zdałam właśnie do liceum. Pani Wanda mi pomogła. Zresztą inni też. Podrabiałam podpis ojca, który niby ciągle gdzieś wyjeżdżał. Pani Wanda podawała się za naszą babcie. Zaczęłam pracę. Mama miała sporo znajomych. Ja również. Pracowałam w knajpach, w których ona pracowała. Grywałam do kotleta, szorowałam gary,

stawałam za barem, niby że tylko na chwilę, bo barman wyszedł na sekundę. Starzy bywalcy wiedzieli jak jest. Dawali znać, gdy wchodziła policja czy po prostu ktoś obcy. Nauka nie szła mi najlepiej. Nie miałam na nią czasu. W wolnych chwilach, których było niewiele, nie rezygnowałam z tańca ani z muzyki. Sebastian był drobnym, zahukanym dzieckiem. Przynajmniej tak mi się zdawało. Robiłam wszystko, by nas nie rozdzielili. Pracowałam i doglądałam go. Kłamałam i jego też wyszkoliłam, co ma mówić, a o czym wspominać mu nie wolno. Udało się. Dostałam do ręki dowód i mogli mi wszyscy naskoczyć. To miało swoją cenę, ale nie żałuję. Nie skończyłam liceum. Trzy lata w jednej klasie to mój rekord. Wszystko, by zapewnić mu dom. Niekiedy nie mogłam zasnąć ze zmęczenia. Marzyłam o pralce automatycznej, żelazku na parę i nowych butach, bo starych nie łąpał już klej. A on mi dzisiaj powiedział, że wszystko, co zrobiłam, było najgłupszą rzeczą w moim życiu. Nie wiem, kim był chłopak w tamtym pokoju, ale to na pewno nie mój brat. To nie mojego brata znalazłam wiszącego nad łóżkiem.

Wstała i już w prugu odwróciła się zamyślona.

- Jak na ironię losu, jesteśmy w pełni spokrewnieni. Mamy i tę samą matkę, i tego samego ojca. Sprawdziłam. Poprosiłam policjanta o pukiel jego włosów i zrobiłam test na ojcostwo. Obaj są siebie warci.

Siedzieli jeszcze chwilę, milczący i zasmuceni. Potem zeszli na dół i Sasza odliczył do trzech.

Gdy dojechali do Nory, usiadła na swoim ulubionym podwójnym fotelu, czytając nieobecny wzrokiem. W kuchni brzęknęły szklanki. Do niej podszedł Szczur. Wyjął jej gazetę z rąk i usiadł bardzo blisko.

- Byłem młodszy, gdy skoczyłem do rzeki. Umiałem pływać, ale wiedziałem, że zanim mnie wyciągną, zabije mnie chłód. To było kilka lat przed rewolucją przemysłową. Mój ojciec zginął przywalony drzewem. Był drwalem i ryzykował życie za marne grosze. Matki nigdy nie znałem. Siostra zostawiła mnie w domu i wyszła pod pretekstem kupienia czegoś do jedzenia. Nigdy jej już nie zobaczyłem. Byłem po prostu głodny i umierałem powolną śmiercią. Wiem jednak, że gdybym miał obok kogoś takiego jak ty, nie byłoby nigdy mostu ani zimna tuż przed końcem. Nie znam go, ale szczerze nienawidzę, bo byłaś dla mnie najlepszą starszą siostrą, jaką miałem.

Popatrzyła na niego zażwawionymi oczami. Przytulił ją mocno. Po policzku pod gęstą grzywką potoczyła się pełna kropla.

Był już spóźniony, ale zwykle mu się to nie zdarzało, więc ten jeden raz mogli zaczekać. Chichocząc, odebrała telefon.

- Koshe - naśladowała jego głos.

- Powiedz mu, że szuka go ten wystraszony intelektualista w brylach zwany Sekretarzem Oczko - pisnęła mutacja, omal nie wywołując sprzężenia.

Zaśmiała się, gdy Koshe ugryzł ją w szyję.

- Łeeee, oni znowu to robią - powiedział z obrzydzeniem Szczur. - Masz, ty z nim gadaj.

- Tu Seksmaszyna do Wilgotnej Jamki. Odbiór - wyrecytował Dakota. - Zaczynacie za godzinę.

- Będę. - Rozłączył się i telefon spadł na podłogę, ześlizgując się z pościeli.

- A śniadanie?

- A co serwujesz?

Koszula w misie podkasowała się wysoko. Miała gorące uda. Gdy zapukał Thomas, odkrzyknął tylko, że jaśnie państwa nie ma w domu i zarzucił na nich koldrę.

Półtorej godziny później stanął na dachu budynku i przeprosił wszystkich za spóźnienie. Ich szaty wyglądały jak szaty mnichów. Białe, obszerne, z głębokimi kapturami. Zamiast sznura w pasie każdy przepasany był szarfą z Inwokacją rodziny i rodową pieczęcią na jej końcach.

- Zaczynamy. Spiesz się.

Dwie godziny później jadła obiad. Siwy polecił jej łososia.

- Ruda uczy się gotować.

- Serio? I jak ci idzie?

- Lubię piec ciasta. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie widać? Przytyłam już dwa kilo.

Mruknęła, przeżuując.

- Nie przysłaś tu, żeby rozmawiać o gotowaniu. - Czarny odłożył widelec.

- Nie. - Pokiwała głową.

- Wybraliśmy wczoraj kilka celów. Robimy to ostrożnie, tak jak radziłaś. Nie widzą nas i nie słyszą.

- I niech tak zostanie.

Dokończyła spokojnie i odstawiła talerz.

- Dzięki, ale muszę już iść. Wpadnę piętnastego, to porozmawiamy dłużej.

Pozegnali się zwyczajowym do zobaczenia i wyszła na schody tarasu. Czyjaś ręka spoczęła lekko na jej ramieniu. Pachniał wiatrem.

Nigdy nie chciałem mieć nad sobą Pana. Zrozumiałem to, gdy obserwowałem ciebie. Ale nie mam nic przeciwko temu, żeby mieć Panią.

Chwilę jeszcze przyglądała się łące, która stała nieruchoma i sztuczna. Buszowały w niej ptaki. Te prawdziwe, które przez przypadek dostały się tutaj.

- Widzę w tobie więcej niż sługę. Każdy dobry pan dziękuje za pracę i oddanie i w końcu zwraca wolność. Chcę, żebyś był wolny i sam stanowił o sobie.

Koshe siedział zamyślony i zdenerwowany. Gdy weszła do Nory, nawet nie zwrócił na nią uwagi.

- Kto to jest? Nie miał symbolu rodziny, tylko po prostu czysty pas.

- O kim mówisz?

- O chłystku, który wciął mi się w paradę. Było gęsto od Pulsarów. Całe gniazdo. Na dole ludzie walczyli. Padali jeden po drugim, a ten po prostu zatrzymał nasze ruchy. Nie mogłem zrobić nic. Jednym gestem zabił je wszystkie. Rozpadły się na kawałki. Chcę wiedzieć, kim on jest i czy mnie tego nauczy?

- Daj spokój. - Machnęła ręką. - To po prostu dzieciak, który zachował się niewłaściwie, stając ci na drodze, gdy użyłeś Inwokacji, to wszystko. Pewnie nikt mu nie powiedział, czego robić nie wolno.

Patrzył na nią.

- Nie wspomniałem słowem o Inwokacji.

Borys odłożył gazetę. Cisza.

- Jak, Liii? Jak do tego doszło?

- Ups.

- Właśnie, ups. - Niemal zgrzytał zębami.

- No więc, nie mogę powiedzieć.

- Możesz. Musisz. - Koshe pokiwał nerwowo głową.

Usiadła głębiej na poduszkach zielonej kanapy.

- Umiem to robić od początku, ale boję się tego. Dopiero ostatnio zrozumiałam nauki Mnichów. Jedną nieskoordynowaną myślą potrafiłabym zabić całe to Miasto. Nie potrafię panować nad tak wielką mocą. Nigdy jej nie użyłam. Do dziś. Nalegali, bym się pospieszyła z nauką i z akceptacją tego, kim jestem. - Wykręciła oczy ku niebu.

Cisza. Koshe skamieniał. Bała się na niego spojrzeć. Bała się reakcji ich wszystkich.

- Mnisi powiedzieli, że pierwsi Invocato byli ludźmi, których wiara i pragnienie okazały się tak silne, że trafiali do Miasta krążącego nad światem. Ja tak tu trafiłam. Jestem więc najsilniejszym Invocato, jaki istnieje, i z pewnością jedyną kobietą.

To, co działo się później w budynku na uboczu dzielnicy fabrycznej, pozostało ich najgłębszą tajemnicą. Tłumaczyła się gęsto ze wszystkiego do późna w nocy.

Kaztez opadł ciężko na swój kapitański fotel. Symbol jego władzy i bezsilności.

- Ta misja jest samobójcza. Od samego początku do samego końca - odezwał się po chwili milczenia.

- Dlatego potrzebni są nam najlepsi ludzie.

- Raczej szaleńcy.

- Jedno nie wyklucza drugiego. Inaczej dotychczasowy porządek przestanie istnieć. Musieli planować to od dawna, od wielu, wielu lat. Jedyne Magik zerwał się ze smyczy i jego samowolka doprowadziła moje śledztwo do tych rewelacji. Pierwsze wchłonienie dwa pozostałe Miasta, a potem... Potem zaczęła się walka o wpływy i o władzę. Będziemy mieli Pana zamiast Łoży i wybuchnie wojna. Tych Istot jest zapewne więcej. Może dziesiątki, a może cała armia.

Odsapnął pełen trwogi.

- Wiem, że mogę ci zaufać. Koshego miałeś pod bokiem od dziecka. Nie jest skorumpowany, ty również. Mogę o tym powiedzieć jedynie tobie i jemu.

- Wojna w niebie. - Kaztez sposepniał.

Mężczyzna po drugiej stronie biurka oparł się o nie i wyczytał, po co przyszedł.

- Potrzebuję szaleńców, improwizatorów, symulantów, kłamców i notorycznych szmuglerów. Zebranie takiego zespołu jest nierealne na dziś. Za dużo szpiegów i skorumpowanych pcheł. Muszą sobie ufać, a zaufania nie zaszczipię strzykawką. Dlatego przyszedłem do ciebie. Potrzebuję drużyny Koshego.

## *Epilog*

Do ciasnego mieszkanka na poddaszu wszedł urzędnik, a za nim kobieta z dzieckiem.

- Wiem, trochę duszno, ale nikt tu nie mieszka od kilku lat. Ktoś jednak opłacał czynsz, więc jako administracja nie mogliśmy nic zrobić.

Otworzył szeroko okno i do środka wpadł gwałtowny wiatr. Spod komody wraz z tumanami kurzu wysunęła się niepozorna kartka. Ślady ołówka były blade, ale dawały się jeszcze odczytać. Nagłówek brzmiał: „Moja pierwsza inwokacja”.

## *Spis treści*

Prolog.....	7
Miasto.....	12
Zakład.....	48
Człowiek.....	89
Koniunkcja.....	131
Klasa D-1.....	160
Strajk.....	185
Zmiany.....	219
Istota.....	260
Wyrok.....	300
Pragnienie.....	337
Prośba.....	371
Invocato.....	413
Epilog.....	457

